3 1761 05642318 9

1

NAPOLEON A POLSKA

6 81 c

III

Szymon Askenazy

Napoleon a Polska

III

Bonaparte a Legiony

WARSZAWA 1919 KRAKÓW
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE
MAZOWIECKA 12, STARE MIASTO 11, MARSZAŁKOWSKA 143.

Przedruki, nieuprawnione przez autora, wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do tłómaczeń i przeróbek zastrzeżone.
Copyright by Szymon Askenazy nineteen hundred nineteen

DC
202
.7
A7
t.3

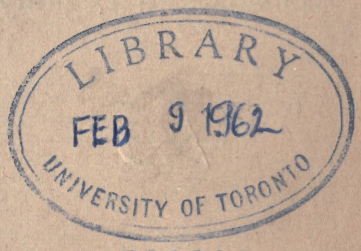

783818

Drukarnia Naukowa. Warszawa, Rynek Starego Miasta 11.

TEGOŻ AUTORA

Studya historyczno-krytyczne. (1894) wydanie 2. Warszawa 1897 (wyczerpane).

Die letzte polnische Königswahl. Göttingen 1894.

Przymierze polsko-pruskie. (1900) wydanie 2. 1901. Wydanie 3. Warszawa - Kraków 1919.

Sto lat zarządu w Królestwie Polskiem. (1900) wydanie 2. Lwów 1903.

Dwa Stulecia XVIII i XIX. I. (1901) wydanie 2. Warszawa - Kraków 1903.

Wczasy historyczne. I. (1901) wydanie 2. Warszawa - Kraków 1903.

Wczasy historyczne. II. Warszawa - Kraków 1904.

Książe Józef Poniatowski. (1904) wydanie 2. Warszawa - Kraków 1910. wydanie 3. Warszawa - Poznań 1913.

Fürst Joseph Poniatowski. Gotha 1912.

Uniwersytet warszawski. Warszawa 1905.

Uwagi z powodu listu Polaka do ministra rosyjskiego. Kraków 1905.

Observations politiques à propos de la lettre d'un Polonais à un ministre russe. Paris 1905.

Rosya — Polska. Lwów 1907.*)

Sprawa gubernii chełmskiej. Kraków 1907.

Documents relatifs à la question du gouvernement de Chelm. Cracovie 1908.

Łukasiński. I. II. Warszawa 1908 (wyczerpane).

Dwa Stulecia XVIII i XIX. II. Warszawa - Kraków 1910.

Nowe Wczasy. Warszawa - Kraków 1910.

---

*) Przekład rosyjski, p. t. Carstwo polskoje. Moskwa 1915, okrojony, wydany został bez wiedzy autora.

O sprawie polskiej w r. 1812. Odczyt na publicznem posiedzeniu Akademii Umiejętności. Kraków 1912.

Ks. Józef Poniatowski. Przemówienie na obchodzie w Krakowie w setną rocznicę zgonu. Warszawa - Lwów 1913.

Le prince Joseph Poniatowski. Paris 1915.

Prince Joseph Poniatowski. London 1915.

New Partitions of Poland. London 1916.

Uwagi I. Genève 1916.

La Pologne et l'Europe. Genève 1916.

Poland and Europe. London 1916.

La Pologne et la paix. Lausanne 1917.

L'Angleterre et la Pologne. Lausanne 1917.

Thaddeus Kosciuszko, for the centenary of his death. London 1917.

Gdańsk a Polska. Warszawa - Kraków 1919.

Dantzig et la Pologne. Paris 1919.

Monografie w zakresie dziejów nowożytnych

Wydawca Szymon Askenazy

Tom I. Józef Bojasiński. Rządy Tymczasowe w Królestwie Polskiem. 1815. 1902.

Tom II. Maciej Loret. Między Jeną a Tylżą. 1806—1807. 1902. (wyczerpane).

Tom III. Jan Leszczyński. Rządy rosyjskie w Kraju Tarnopolskim 1809—1815. 1903.

Tom IV. Adam Skałkowski. Jan Henryk Dąbrowski. 1755—1795. 1904.

Tom V. Kazimierz Rudnicki. Biskup Kajetan Sołtyk. 1715—1788. 1906.

Tom VI. Aleksander-Jan Rodkiewicz. Pierwsza politechnika polska 1825—1831. 1904.

Tom VII—VIII. Władysław Konopczyński. Polska w dobie wojny siedmioletniej. 1. 1755—1758. 1908.

Tom IX. Janusz Iwaszkiewicz. Litwa w r. 1812. 1912.

Tom XI. Michał Sokolnicki. Generał Michał Sokolnicki 1760—1815. 1912.

Tom XII. Maciej Loret. Kościół katolicki a Katarzyna II. 1772—1784. 1910.

Tom XIII. M. Cecylia Łubieńska. Sprawa dysydencka 1764—1766. 1911

Tom XV. Emil Kipa. Fryderyk Gentz a Polska. 1794—1831. 1911.

Tom XVI. Władysław Konopczyński. Polska w dobie wojny siedmioletniej. 2. 1759—1763. 1911.

Tom XVIII. Eugeniusz Wawrzkowicz. Anglia a sprawa polska 1813—1815. 1919.

Tom XIX. Maryan Kukiel. Próby powstańcze po trzecim rozbiorze. 1795—1797. 1912.

Tom XXI. Kazimierz-Maryan Morawski. Ignacy Potocki. 1. 1750—1788. 1911.

Tom XXIII. Natalia Gąsiorowska-Grabowska. Wolność druku w Królestwie Kongresowem. 1815—1830. 1917.

W przygotowaniu

Tom X. Henryk Mościcki. Rządy rosyjskie w Obwodzie Białostockim. 1807—1842.

Tom XIV. Antoni Derkacz. Polityka wschodnia Rosyi za ministeryum Czartoryskiego. 1802—1807.

Tom XVII. Marya Jarosiewiczówna. Galicya a sprawa polska. 1806—1809. (w druku).

Tom XX. Wiktor Kochanowski. Idea słowiańska za ministeryum Czartoryskiego. 1803—1807.

Tom XXII. Włodzimierz Dzwonkowski. Powstanie Kościuszkowskie a Rewolucya francuska. 1794.

Tom XXIV Wacław Mejbaum. Galicya a sprawa polska. 1810—1815.

Tom XXV. Zbiorowy.

Tom XXVI. Bruno Staweno. Rada Nieustająca. 1775—1789.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

PRZYBYCIE KOŚCIUSZKI.

I.

Legiony, po Campoformiu i odejściu Bonapartego, jedno miały zadanie najbliższe a najtrudniejsze: trwać. To proste hasło zaraz wtedy, rozczarowanym przez pokój, osamotnionym przez stratę opiekuna, rzucił rozumny sercem prostak, łacinnik Wybicki: *durate et vosmet rebus servate secundis.* Należało wytrwać i dotrwać do nowego, napewno nieuchronnego w bardzo bliskiej przyszłości, a może pomyślniejszego dla sprawy narodowej, wielkiego w Europie przesilenia. Ale ku temu nieodzownie dwóch trzeba było warunków: utrzymania narodowej odrębności organizacyjnej legionów; utrzymania ich narodowej jedności duchowej. Obiedwie te rzeczy były arcyniełatwe.

Nasampierw, jak było do przewidzenia, izby prawodawcze medyolańskie, i to najpewniej w tajnem porozumieniu ze swym rządem, uchyliły się od zatwierdzenia konwencyi legionowej z listopada 1797 r. Napróżno Wybicki, w wymownym liście otwartym do prawodawców cyzalpińskich, zaklinał ich, w imię najświętszych wspólnych dążeń republikańskich, aby nie odmawiali potwierdzenia zawartej ku obustronnemu dobru umowy i nie zawiedli nadziei narodu polskiego i Dąbrowskiego, który „nie przyszedł tu w roli werbownika, dla handlowania swobodą i honorem ludzi wolnych".

Niedość, że upierano się przy odmowie ratyfikacyi, lecz, co więcej, usiłowano rozbić odrazu rdzeń narodowy legii, przez wprowadzenie do nich oficerów obcych. Mając mianowicie na myśli wprowadzenie włoskich, na początek zręcznie podawano francuskich. Powoływano się zaś przytem najfałszywiej na wspomniany dawniejszy rozkaz Bonapartego, przewidujący możliwość umieszczania w legiach Francuzów, aż do jednej czwartej. Był to fałsz podwójny. Popierwsze bowiem tamten rozkaz odnosił się do czasu, kiedy w legiach jeszcze był brak, a nie, jak teraz, nadmiar oficerów Polaków. A powtóre, nigdy nie był wprowadzony w wykonanie. To też obecnie temu złośliwemu zamachowi cyzalpińskiemu bezwzględnie sprzeciwił się Wielhorski, pozostawiony razem z Wybickim w Medyolanie.

Na szczęście, przyszedł im z sukursem, właśnie w końcu grudnia 1797 r., od Bonapartego z Paryża, przybywający do Medyolanu, prowizoryczny wódz naczelny Berthier. Uspokoił on Wielhorskiego i poparł go przeciw Cyzalpinom, „tym głupcom, nie pojmującym, jak bardzo Wy (legioniści) możecie im być pożyteczni“. Następnie zaś, w końcu stycznia 1798 r., po drodze na wyprawę rzymską, na obiedzie w Fano u Dąbrowskiego, powstrzymanego w dalszym do ziem papieskich pochodzie, Berthier „wspominał, co ma za wiadomości od Bonaparty o Polsce, jakie nadzieje; kazał być w gotowości do marszu w kupie“. Pozwolił też, wedle zawieszonej konwencyi listopadowej, ściągnąć artyleryę polską do legii. Otwierał nawet jakieś nieokreślone i przesadne widoki ze strony Austryi. „Upewnia(ł) o egzystencyi kraju naszego; powiada(ł), iż równie Bonaparte, jak i dwór austryacki, całe usiłowanie łoży ku temu celowi; i że Wiedeń będzie drogą legionów, powracających do swojej ojczyzny”. Tak donosił obecny przy tej z Berthierem rozmowie sangwiniczny Kniaziewicz. Lecz i chłodniejszy Dąbrowski zawiadamiał o niej Wielhorskiego z lepszą

w sercu otuchą. „Będziemy—pisał—szczęśliwi i w pomyślnej porze na własnej przypominać sobie ziemi, żeśmy wszystko czynili dla ojczyzny"; zaś młody oficerek legionista Drzewiecki dopisywał pod adresem czułego Wybickiego: „Niech żyje Polska!... Powrócim na ziemię własną i wtenczas dopiero w panienkach będziem się kochać".

Aliści, wnet po odjeździe Berthiera, zaczęły znowuż nadchodzić wieści fatalne o zgubnych zamiarach rządu cyzalpińskiego, noszącego się wprost z myślą „zniszczenia legionów polskich, dymisyonowania oficerów i rozmieszczenia ochotników (szeregowców) po wojskach swoich". Dąbrowski struchlały posłał natychmiast, w połowie lutego 1798 r., Berthierowi do Rzymu prośbę naglącą o zabieżenie podobnemu nieszczęściu i ratowanie legii od „twardej alternatywy, bądź skazania ich na rozproszenie i włóczęgostwo, bądź też wzięcie pod obce jarzmo i wcielenie przemocą do niemiłych im wojsk (cyzalpińskich)". Wprawdzie Berthier niezwłocznie w serdecznej odpowiedzi starał się rozproszyć te najgorsze obawy, obiecując sam „uczynić, co tylko będzie w jego mocy". Przytem zresztą bez złej myśli wyraził życzenie dość draźliwe, aby „kilku dobrych i roztropnych oficerów" polskich wstąpiło do służby powstającej Republiki rzymskiej. Jednakowoż trudno już było wyzbyć się poważnego niepokoju. Bardzo też być może, iż do podjętego w tym mianowicie czasie niefortunnego kroku Dąbrowskiego pod adresem Bernadotta i Wiednia, obok poprzednich napomknień Berthiera o rzekomych widokach austryackich, przyczyniły się również niniejsze kłopoty i wprost niebezpieczeństwo, grożące sprawie legionowej od Cyzalpiny. W każdym razie położenie legionów pozostało bardzo niejasnem. Organizacya ich zawisła w powietrzu, pomiędzy pierwotną konwencyą legionową lombardzką, formalnie zgasłą, a nową cyzalpińską, formalnie nieuprawomocnioną. Nadomiar zaś biedę i troskę zwiększały niezwykłe wypadki dni i miesięcy

najbliższych: niebezpieczna chwiejność w polityce, komendzie naczelnej i samychże szeregach armii francuskiej; przelotne zjawienie się Masseny i bunt wojskowy rzymski; odwołanie przyjaznego Berthiera i przybycie nieobliczalnego Bruna; afera wiedeńska Bernadotta; wreszcie odpłynięcie gdzieś daleko, może nazawsze, Bonapartego.

Jeśli tym sposobem podstawa organizacyjna legionów ciągle jeszcze nie była ubezpieczoną nazewnątrz, to nie była również ustatkowaną należycie główna jedności i karności podwalina wewnętrzna. Uosabiał ją sam twórca ich, Dąbrowski. Przeciw niemu też, a tem samem przeciw jego tworowi, dawne i nowe szły podkopy z ręki rodaków. Podawnemu przewodziła tu nieszczęsna Deputacya paryska. Zbankrutowana politycznie do cna, gaszona coraz bardziej bijącym w oczy widokiem odrodzonej w legionach, bez niej i wbrew niej, porządnej siły zbrojnej narodowej, napróżno swoją rzekomą siłą konspiracyjną wciąż przechwalała się natrętnie przed rządem francuskim. W podawanych Dyrektoryatowi kłamliwych memoryałach powtarzała bajki niestworzone o nadzwyczajnej potędze swego tajnego „towarzystwa centralnego", o „będących z niem w związku nieprzerwanym przeszło 160 punktach na całej powierzchni Polski, gdzie w każdym z tych punktów wszystko jest gotowe do wybuchu na pierwsze hasło". Na zasadzie tych bajek oświadczała bez zająknienia, iż „w razie wznowienia wojny, Republika francuska może najniezawodniej liczyć na dywersyę" rewolucyjną polską. A nie chcąc parzyć się na zaprzyjaźnionych z Francyą Prusach, ani też tykać Austryi, zwłaszcza po kompromitacyi wołoskiej i pokoju campoformijskim, swój ferwor spiskowo-powstańczy wyładowywała obecnie Deputacya najchętniej przeciw dalekiej Rosyi. Składała niedorzeczne projekty powichrzenia jej buntem, zgromienia orężem; podawała fałszywe wykazy jej zasobów wojennych i t. p.

Zaś nadomiar deputacyjni nad Sekwaną głowacze czynili to w czasie, kiedy na związki tajne, lekkomyślnie i zbytecznie, bez sumienia i bez celu, prócz chyba celu czysto fakcyjnego, powołane przez nich do życia w dzielnicy rosyjskiej, okropna spadła klęska. Z natchnienia Deputacyi paryskiej, a ramienia Centralizacyi lwowskiej, zostały, jak namieniono, na tle potrzebnych doraźnych komunikacyi legionowych, zaszczepione staraniem Giedroycia i towarzyszów zgoła niepotrzebne stałe organizacye spiskowe na Litwie i Wołyniu. Tak były zawiązane, latem 1797 r., „asocyacye" tajne w Łucku, Dubnie, Brześciu, Mińsku, wreszcie i w Wilnie, gdzie spisano akt „konfederacyi" litewskiej w guście krakowskiej i wołoskiej. Zaczem w kilka już tygodni, skutkiem nieostrożności, zdrady, doniesień austryackich i pruskich, przyszło oczywiście odkrycie wszystkich tych robót. Nastąpiły aresztowania masowe jesienią 1797 r., straszliwe śledztwa i wyroki w Łucku, Wilnie i Petersburgu zimą t. r. Nastąpiło dalej zesłanie mnóstwa ofiar na Sybir, powszechne represye i prześladowania, znamionujące stanowczą odmianę dotychczasowej względniejszej postawy Pawła w rzeczach polskich. Rozbicie organizacyi wołyńsko-litewskiej było przegrywką do podobnego niebawem losu galicyjskiej. Dni Centralizacyi lwowskiej były policzone. Była ona już poderwana z gruntu przez aresztowania, dokonane w ciągu 1797 r., naskutek wołoskiego pogromu. Odtąd we wszystkich swych rozgałęzieniach została ujęta niewidocznie w sieć policyi tajnej austryackiej. Aż wreszcie miała z kolei zostać rozbitą doszczętnie w ciągu 1798 r., pociągając za sobą znowuż ofiary niezliczone.

Ale matacze deputacyjni paryscy na takie nie oglądali się drobnostki, jak te klęski i ofiary w dalekim kraju rodzinnym. Na bezpiecznym bruku nadsekwańskim oni wciąż bynajmniej nie tracili fantazyi. Wyżsi ponad poczucie odpowiedzialności za swoje niepowodzenia a naprawdę winy ciężkie, poprostu niepoczytalni pod względ-

dem moralno-politycznym, co tracili w kraju, to starali się tanim sposobem wetować sobie w Paryżu. Korzystali w tym celu z biorących tam znów górę mętów *quasi* jakóbińskich. Przedewszystkiem zaś, dla wynagrodzenia doznanej własnej spiskowej konfuzyi, tem namiętniej starali się pogrążyć sukces legionowy Dąbrowskiego. Było też pewne psychiczne powinowactwo między wrogością nieprzejednaną, jaka Bonapartego za wyższość jego talentu i czynu ścigała we Francyi, a wściekłą naganką, ścigającą Dąbrowskiego na wychodźctwie. Zgoła niewspółmierna co do rzeczy i człowieka, płynęła ona przecie poczęści z instynktów pokrewnych. Zresztą, na inny sposób, na innem podłożu, lecz wciąż z pokrewną domieszką warcholską, podobna naganka dotknie w czasie najbliższym nietylko Dąbrowskiego, lecz równych mu albo większych w narodzie, Kniaziewicza czy Czartoryskiego, Kościuszkę czy ks. Józefa. Wystawiała też ona z tego względu zjawisko głębsze, którego przemilczeć niewolno. Nie przemilczał go wierny legionowy poeta, acz nienajlepiej wtedy dla Dąbrowskiego nastrojony, ale złotem, miłującem sercem czuły zarówno na porywy wzniosłe, jak i na zboczenia obłędne swego narodu. Nie ukrył, iż w legionowej łodzi zbrakło „jedności i miru. Nikt nie chciał robić wiosłem, każdy pragnął steru". A choć „korab daleko jeszcze był od lądu, Sternicy się kłócili o nowy ster rządu. I chcąc dom na nadziei kształcić budowany, Ten podwyższał sklepienia, ten odmieniał ściany, A czego jeszcze wspomnieć niemożna bez sromu, Już się nawet o miejsca kłócili w tym domu... Ani w środkach ratunku jedności nie było, Ten chciał powstać przez pomoc, drugi własną siłą".

Jednakowoż, w imię prawdy, raz po razie wypominając to zjawisko opłakane i zawartą w niem gorzką naukę, wypada też ponownie podnieść uczynione już zastrzeżenia i wyrozumieć rzeczy nie w oderwaniu, lecz w związku z żywym splotem powszechniejszych zjawisk

spółczesnych. Bezdomna gromadka emigrancka i legionowa, niezawiśle od tego, co się wewnątrz niej działo, pozostawała ciągle pod bezpośredniem ciśnieniem niesłychanego politycznego i duchowego zamętu, kłębiącego się ponad nią, dokoła niej, we Francyi, Włoszech, Europie. Wchodziło tu w grę rozprzężenie, szerzące się w rządzie, opinii, nawet armii francuskiej; niezadowolenie, nurtujące społeczność włoską; przenikające wszędy krecie wpływy koalicyjne, szczególnie po dojściu pokoju i odejściu Bonapartego, a w przededniu nowej zawieruchy europejskiej. Wszystko to razem wytwarzało atmosferę rozkładową, od której odgrodzić się Polacy nie mieli poprostu sposobu. Było dla nich czystem niepodobieństwem rozeznać się w odmęcie haseł i dążeń najsprzeczniejszych, a co gorsza, przybierających najprzeciwniejsze istotnej swej treści oblicze. Żywioły ultrarewolucyjne, niosące propagandę wolnościową światu, w samejże Francyi mimowoli służyły kontrrewolucyi; we Włoszech wręcz obracały się przeciw Francyi; tu i tam, chcąc niechcąc, pracowały dla koalicyi. Pomiędzy robotą wyzwoleńczą a dezorganizacyjną wytwarzała się równoległość niebezpieczna i nieuchwytna. Polacy, ciągani do tych robót jakóbińskich w Paryżu, patryotycznych w Medyolanie lub Rzymie, musieli częstokroć w najlepszej wierze zabłąkiwać się na manowce. Mogło tak stać się tembardziej, iż nieraz w najlepszej też myśli tam ich ciągano.

Nadzwyczaj ciekawem tego świadectwem było wystąpienie, skierowane temi czasy do samego Dąbrowskiego od szczerego przyjaciela i obrońcy sprawy polskiej, gorącego patryoty, jakóbina i emigranta niemieckiego nad Sekwaną, Frankończyka Rebmanna. Wybitny działacz i pisarz nadreński, chorąży republikanów południowo-niemieckich, srożej jeszcze zawiedzionych na Francyi i nieboszczyku Hochu, niż republikanci północno-włoscy na Bonapartem, błogosławił on serdecznie

trudom Dąbrowskiego i jego legionistów. Ale zarazem wzywał do złączenia wysileń skrzywdzonej Polski a „nieszczęsnych Niemiec, ciemiężonych, zdradzanych przez tych samych (Francuzów), którzy nam przyrzekali pomoc... Niechajże przyjaciele wolności obojga narodów (Polski i Niemiec) podadzą sobie dłonie, niechaj zespolą swoje działania!... A więc jednoczmy się! Włosi, Polacy, Niemcy, Szwajcary, puśćmy w niepamięć uprzedzenia narodowe i oczekujmy zbawienia nie od Francyi, lecz od własnych wysiłków naszych!“ Ten głos Niemca jakóbina do wodza legionów polskich, niby najwcześniejsza na swój sposób zapowiedź Młodych Niemiec, Wiosny narodów, albo bodaj Internacyonału, znajdzie sobie bliższe odbicie, już po leciech kilkunastu, w próbach skojarzenia *Tugendbundu* pruskiego z generalicyą i konspiracyą Księstwa Warszawskiego. Bez Francyi teraz oznaczałoby przeciw Francyi, jak potem bez Napoleona—przeciw Napoleonowi. Tak czy owak, skończyłoby się na pójściu z koalicyą; zaś ponętne hasła rewolucyjno-wyzwoleńcze ulotniłyby się bez śladu. Owóż podobnie pociągające hasła wciskały się teraz do uszu emigracyi polskiej od marzących o zjednoczeniu całej swej ojczyzny patryotów włoskich. W Medyolanie, cóż dopiero w Wenecyi, równy bowiem był obecnie żal o Leoben i Campoformio, jak później w Warszawie o Tylżę i Schoenbrunn. Wciskały się zarazem hasła pokrewne od marzących o republikanizacyi świata i ludowładczym do Konwencyi nawrocie pogrobowców jakóbińskich francuskich. W Paryżu bowiem równa była obecnie ich niechęć do Bonapartego i złorzeczenie na gospodarkę dyrektoryalną, jak później na samowładztwo napoleońskie. Szczytne hasła idealne, głoszone przez zapaleńców szczerych, choć za kulisami i we Francyi i we Włoszech pełno fałszywych było braci, zwłaszcza reżyserujących wygów rządowych i generalskich, trafiać musiały do niejednej z młodych, gorących, niedoświadczonych głów wychodźczych pol-

skich, dogadzając intrydze wygów deputacyjnych, wnosząc zamęt i rozdwojenie do prostego, jednolitego legionowego przedsięwzięcia. Lecz, koniec końcem, te błędy pozostały w znikomej stosunkowo mniejszości. Nie zwichnęły one rzeczy. Okupione zaś były stokrotnie przez ofiarność błądzących, przeważone przez zdrowy instynkt ogromnej większości legionowej. Zamiast daremnie „świata dawną burzyć postać, — tak odzywał się ten instynkt słowem lapidarnem prawego legionisty — Polak pragnął szczególnie swą własność wydostać. I płochych z Ikarami nie dzieląc układów, Żądał tylko odzyskać szczęśliwość naddziadów, Ufny w dzielnem ramieniu, a bardziej w swej sprawie, O własnej, nie o świata zamyślał poprawie".

W każdym razie, chorobę fakcyjną przebyć dopiero musiały legiony. Nie mogła ona zresztą być im oszczędzoną już chociażby ze względu na dorywczość i niejednostajność zapełniania się kadrów oficerskich. Przypływ świeżych oficerów rodaków, tak bardzo upragniony, bywał też z konieczności dosyć w swym składzie mieszany, odbywając się śród warunków i trudności wyjątkowych. W niniejszej mianowicie, przełomowej porze, zjawiło się do legii sporo ochotników z dzielnicy rosyjskiej, uszłych przed tamecznym pogromem związkowym. Był śród nich taki kwiat niepokalany ziemi i kultury polskiej, wyrosły gdzieś na zapadłem Polesiu, jak Cypryan Godebski. Była to dojrzała już dusza męska bez skazy żadnej. Równie prosty, prawy, pewny jako człowiek i obywatel, wystawiał on wzór nieodrodny tej prześwietnej małej szlachty, co naprawdę zbudowała wielkość państwową i duchową Rzpltej. Był to wzorowy polski żołnierz, sprawny i bitny, który piękną za kraj polegnie śmiercią. Był polski pieśniarz rzewny i szczery, którego skromnej, czasem uśmiechnionej pogodnie, częściej boleśnie poważnej, muzy samouczki obozowa nuta narodowa cudnie odżyje w potężnej harfie małego też,

kresowego szlachetki, a największego budowniczego Polski porozbiorowej, Mickiewicza. Razem z Godebskim stawił się do legii młodziutki jego przyjaciel Kossecki Ksawery. Ukształcony, zdatny Wołyniak, był przecie z gliny dużo pośledniejszej, nie z tego już kruszczu, choć jeszcze teraz z ognistym młodości połyskiem, zanim w późniejszym ochłonie i skruszeje wieku, aż wreszcie pod starość, zgoła wyziębły i zmarniały, skończy w służbie paskiewiczowskiej i rosyjskim generalskim mundurze. Stawił się także w tym czasie przedsiębiorczy Podolak, wyborny kawalerzysta, Aleksander Różniecki. Śmiały, zgrabny, nikczemny, w młodej piersi patryotycznego spiskowca i legionisty, ukrywał te zarody niecne, jakie wyprowadzą go w końcu na szefa policyi tajnej pod W. Księciem Konstantym.

Jakkolwiekbądź, bez względu na ich różnowartość, śród tych świetnych poczęści, nowych nabytków legionowych, silne były konspiratorskie wpływy kierownicze Deputacyi. W niejakiej mierze, pod uczonym Dmochowskiego i Szaniawskiego urokiem, ulegał im nawet taki umysł jasny i czysty, jak Godebski. Wyradzał się stąd mimowoli pewien niejasny, nieufny stosunek do naczelnej w osobie Dąbrowskiego władzy legionowej. Równocześnie odbywał się znaczniejszy jeszcze do legii napływ rozbitków partyzanckich, uszłych przed pogromem konfederackim wołoskim, zbiegających się tłumnie z Turcyi do Włoch. I między nimi także świetnych żołnierskich, jak poczciwiec Małachowski Kaźmierz, służbista Blumer Ignacy i mnóstwo innych tej miary nie brakło postaci. Ale roiło się tu także od zabitych stronników deputacyjnych najskrajniejszego gatunku, trochę było figur podejrzanych, a najwięcej wybornych zapewne serc patryotycznych, lecz głów rozsejmikowanych, rozkonspirowanych, niedojrzałych i skroś niekarnych. „Zacna i ochocza młodzież,—wyrozumiale o nich uprzedzał Dąbrowskiego Rymkiewicz, ekspedyując mu ich morzem

ze Stambułu—która stąd jedzie z Wami łączyć się, jest między sobą w poróżnieniu. Roztropność i przezorność radziły mnie tu ich oddzielnie trzymać i oddzielnie ambarkować. Potrzeba ich będzie równie i po batalionach oddzielnie umieścić, dla spokojności i uniknienia złych skutków". Nietrudno było przewidzieć, że ta skacząca sobie do oczu młodzież zwiększy jeszcze kłopoty Dąbrowskiego, konfederowana przeciw niemu przez nasyłanych jej z Paryża spiskowych mentorów.

Tutaj zresztą pomściło się na Dąbrowskim, iż zaniedbał on zapewnić sobie zawczasu braterskiej pomocy jedynego człowieka, zdolnego najlepiej poradzić sobie z tą najburzliwszą falą wychodźczą, Rymkiewicza. Franciszek Rymkiewicz pochodził z zubożałej szlachty żmudzkiej. Pierwotnie przeznaczony do stanu duchownego, wstąpił zamłodu do Towarzystwo oo. jezuitów. Wkrótce jednak porzucił śluby zakonne, ożenił się i powołaniu wojskowemu poświęcił. Zaliczony do służby rosyjskiej, wszedł jako sierżant do starotulskiego pułku piechoty. Odbył potem, w stopniu kapitańskim, kampanię turecką, w której tylu nieladajakich, w rodzaju Zajączka lub Chłopickiego, Polaków, pod wodzą Potemkina i Suworowa, pomagało Katarzynie zwalczać półksiężyc. Wszakże przed rozprawieniem się imperatorowej z Wielkim Sejmem, wziął w stopniu sekundmajora dymisyę ze służby rosyjskiej. Podczas wtargnięcia wojsk carowej do Polski 1792 r., trzymał się całkiem na uboczu. Już po tej wojnie i upadku sprawy majowej, zaciągnął się do reformowanej pod znakiem targowickim, skazanej na zagładę, armii Rzpltej. Niebawem jednak w insurekcyi kościuszkowskiej odsłonił istotną swą wartość patryotyczną i żołnierską. Bił się walecznie i z podpułkownikostwa, prawie zawsze w ogniu, dosłużył się rangi generałmajorowskiej. Żmudzin to był zamknięty, kańciasty, drażliwy, przytem arcydobry, stąd czasem i złych ludzi narzędzie. Zrażony, jak tylu innych, lichą wtedy jezuicką

nauką, tem skrajniej do wolnomyślnych i demokratycznych przerzucił się pojęć. Umysł to był oświecony, ze śladem lepszego ukształcenia, nawet w poezyi niemieckiej oczytany, jak świadczy piękna epistolarna jego niemczyzna. Bardzo zresztą sumienny, ścisły w pełnieniu obowiązku, z przebytej kilkunastoletniej twardej szkoły żołnierskiej rosyjskiej wyniósł tem hartowniejszą cnotę narodową, tem tkliwsze pod surowym pozorem dla rodaków uczucie, tem czystszą gotowość oddania siebie za nich w ofierze. Rówieśnik Dąbrowskiego, był podczas insurekcyi dzielnym jego w wyprawie wielkopolskiej towarzyszem i druhem serdecznym. Następnie, po upadku powstania, obarczony został, jak wspomniano, od skrajniejszej partyi wychodźczej, beznadziejną misyą stambulską. Skoro jednak tylko zasłyszał nad Bosforem o narodzinach imprezy legionowej włoskiej dawnego wodza i przyjaciela, Rymkiewicz natychmiast zwrócił się do Dąbrowskiego z oświadczeniem gotowości stawienia się u jego boku. Raz po razie odtąd w tym celu najwymowniejsze zaklęcia, błagania, w prześlicznych ze Stambułu do Włoch ponawiał listach, ale długo, zadługo, z obojętnem spotykał się milczeniem. Zdaje się, że Dąbrowski umyślnie nie kwapił się ze sprowadzeniem człowieka, cieszącego się zbyt wydatną samoistną powagą, popularnością i wpływem, zbliżonego zresztą raczej do partyi przeciwnej, zdolnego może zostać w legiach jej ośrodkiem, a przez to groźnym spółzawodnikiem. Zdaje się, że nawet w sprawie nominacyi szefowskiej Rymkiewicza niecałkiem jasne zajmował stanowisko. W każdym razie z odpowiedzią swoją i przywołaniem go wybrał się bardzo późno, kiedy dalej zwlekać było wprost niepodobna. Był to błąd, płynący poniekąd z zaznaczonej, wśród znakomitych zalet, przykrej przywary w charakterze Dąbrowskiego, pewnej podstępności ambicyjnej. Ale ten błąd pomścić się musiał i miał też istotnie skutki niedobre. Zwarzył nazawsze stosunki obustronne,

zraził Rymkiewicza, a tem samem osłabił Dąbrowskiego w wytoczonej mu przez przeciwników walce.

Smutna ta walka, przeniesiona z Paryża do Medyolanu, przybierała tam w chwili obecnej kształty wręcz potworne. Byle zwalić Dąbrowskiego, nie wahano się podcinać samej młodej gałęzi legionowej. Nie cofnięto się przed wyzyskaniem wynikłych o niedoszłą konwencyę drażliwych i groźnych z Cyzalpiną zatargów. Niesłychanym wprost sposobem, szczególnie od ukazania się tu Maliszewskiego, z miejscową cyzalpińską sprzymierzyła się własna polska „kabała, czerniąca konduitę legii". Znaleźli się „intryganci z Polaków, co chcą oburzyć Dyrektoryat cyzalpiński przeciw legiom". Zaczęła się destrukcyjna, na złość, samobójcza robota, którą ze zgrozą odkrywali Dąbrowskiemu Wielhorski, Tremo, Dembowski, w medyolańskich swych doniesieniach. Jednocześnie czysto osobista na Dąbrowskiego naganka przechodziła od bróżdżeń pokątnych do otwartej napaści. Pierwszy swarliwy Kosiński wszczął brutalną z Dąbrowskim burdę. W wystosowanem doń obraźliwem piśmie francuskiem, podanem zaraz do wiadomości Francuzów i Włochów, a rozesłanem też okólnie w przekładzie wszystkim oficerom Polakom, śmiał piętnować go, jako „interesownego" z Saksonii przybysza, usiłującego „pod maską sprawy publicznej" ukryć „zażyłość z Suworowem", wysługi dla Prus i inne grzechy dawne. Z kolei, w Paryżu ukazał się z druku, równie po francusku i polsku, pod fałszywem nazwiskiem, sfabrykowany przez Dmochowskiego z Szaniawskim, paszkwil ohydny, „List" otwarty do Dąbrowskiego. Był on komunikowany zaraz władzom i gazetom paryskim i medyolańskim, w mnóstwie odbitek rozpowszechniany w legiach, i wprost samemu spotwarzonemu generałowi posłany od Deputacyi, niby akt oskarżenia. Odsądzano Dąbrowskiego w tem piśmie od czci i wiary, jako targowickiego, moskiewskiego, pruskiego zdrajcę i sprzedawczyka. Chciano oczywiście za wszelką cenę poderwać

i stanowisko jego urzędowe, i ufność w nim a nawet subordynacyę podkomendnych. W rzeczy samej, od pojedyńczych oficerów legionowych poczęły dość gęsto wpływać do niego prośby o abszyty. Niektórzy z nich, przez szkodliwą, zasłaniającą się Berthierem namowę, dali się skusić do służby pod nową chorągwią radykalnej Republiki rzymskiej. Piękny protest Chłopickiego i oficerów jego batalionu ledwo zapobiegł szerzeniu się tej pokusy, grożącej rozłamem i spaczeniem całej, wspartej na Cyzalpinie, organizacyi jednolitej korpusu polskiego.

Nie pozostał też bez wpływu odgłos wojskowego w Rzymie buntu, skąd iskra padła aż do Mantui, wywołując podobne rozruchy w tamecznym garnizonie francuskim, obejmującym również legionistów Polaków. Rzecz była tem poważniejsza, iż w tym buncie mantuańskim pokazał się ślad widomy prowokacyi austryackiej, przyczem w szczególności miano na widoku rozbicie pokątnemi sposoby organizacyi legionowej polskiej. Komendy pograniczne austryackie miały sobie dostarczone z Wiednia, od Thuguta i Hofkriegsrathu, drukowane proklamacye w języku polskim, które rozrzucano potajemnie między legionistów. W tych odezwach namawiano ich do powrotu pod sztandar cesarski, obiecując bezkarność zupełną i nagrodę po dukacie na głowę. Na szczęście, konsystujący w Mantui batalion polski, dzięki poczciwości żołnierza oraz energii Wielhorskiego i Chłopickiego, zachował karność wzorową pośrodku burzących się Francuzów. Ale zatargi wewnętrzne wciąż nie ustawały w obu legiach. Zwłaszcza w pierwszej, skupionej razem w Romagni, ciągłe były tarcia, nawet pomiędzy oddzielnemi batalionami. Tak np. boczono się tu na batalion grenadyerski, utworzony najwcześniej, mający pierwotnie najwięcej oficerów z niewoli austryackiej, a najulubieńszy Dąbrowskiego. Zaraza „partyjna" poczciwe a słabe obłąkiwała głowy. „Wszyscy prawili tylko o partyach. Słowo *partya* stało się tak modnem

i głośnem, iż co kroku obijało się o uszy. Każdy prawie wyższy oficer szukał sobie partyi, której zostałby naczelnikiem".

Tak więc, z wiosną 1798 r., położenie legii pod wielorakim względem było nieustatkowane. Kamieniem obrazy pozostawał nadomiar zadraźniony stosunek do Cyzalpiny, sprawa niezatwierdzonej konwencyi. Zamyślano już nawet zwrócić się ze skargą na Włochów do Paryża, odwołać się tam jeszcze do Bonapartego, przed samem jego odjazdem do Egiptu. Dąbrowski osobiście zjechał do Medyolanu, lecz nic nie wskórał w tej sprawie u nowego wodza Bruna. Odebrał natomiast rozkaz udania się z legią pierwszą do Rzymu, dla zluzowania tam załogi francuskiej.

II.

Ujrzał Rzym zadziwiony zbrojne zastępy Polaków, przegnanych z ziemi ojczystej, z wawelskiego wzgórza, świątyni gnieźnieńskiej, warszawskiej stolicy, Ostrej bramy wileńskiej, jak w samo zalane słońcem włoskiem południe Trzeciego Maja 1798 r., wkraczały przez Porta del Popolo, zajmowały Wieczne Miasto cezarów i św. Piotra, zakładały kwaterę na górze kapitolińskiej.

W pięknym rozkazie dziennym, „befelu przy wejściu do Rzymu", mówił Dąbrowski „współobywatelom i braciom oręża", „żołnierzom niepłatnym, bosym i na wpół nagim", o „czystej miłości Ojczyzny i Wolności, ile jedynym celu, który nas tu zgomadził". Mówił o „karności przyzwoitej,... która nas jedynie wolnych od zarzutów i tryumfujących do Ojczyzny naszej napowrót zaprowadzi". Mówił też o obowiązku uczenia się i czerpania z wielkiej krynicy kultury łacińskiej, przez co, „gdy do Ojczyzny powrócimy, staniemy się dla niej uży-

teczniejszymi". Zaciągnęły warty polskie przy posągu Marka Aureliusza na Kapitolu. Stąd to wydawane były rozkazy dzienne, jako z kwatery głównej legionu. Objął też niebawem po Francuzach batalion polski załogę w zamku św. Anioła.

Przy ognisku zachodniego chrześciańskiego świata nie wystygło jeszcze miejsce Polski katolickiej. Miała ona tu swoje prawa nieprzedawnione i drogie pamiątki. Zaraz, w dni kilka, uroczyście obchodziła legia święto tradycyjne św. Stanisława w kościele swym rodowitym jego imienia, skąd Dąbrowski kazał poprostu oderwać nałożone pieczęcie władz rzymskich, jako z własności narodowej polskiej. Od szlachetnego przyjaciela Polski, konsula Rzymu, Angelucciego, otrzymano pamiątkowy pałasz Sobieskiego. Zaś za zezwoleniem Saint-Cyra, sprowadzono z Loretu inny dar wotalny, zdobytą przez króla pod Wiedniem chorągiew Mahometa. Upomniano się o fundacye pobożne polskie, od wieków w Rzymie i Lorecie ustanowione, a teraz bezprawnie sekularyzowane i zabierane do skarbu Republiki rzymskiej. Dąbrowski niezwłocznie, w silnem piśmie do Dyrektoryatu francuskiego, założył protest przeciw temu „rabunkowi". Zażądał wyłączenia rzeczonych fundacyi i uznania ich za „dobra narodowe polskie", które pragnął obrócić na najniezbędniejsze potrzeby legii, a zwłaszcza na utrzymanie oficerów nadliczbowych.

Naogół zresztą legioniści, z przeważnym coprawda wyjątkiem ciała oficerskiego, mieli głęboką pobożność polskiego, galicyjskiego chłopa. Przy legii podobno paru prowadzono kapelanów, choć urzędownie unikano o nich wzmianki. Obecnie zaś w Rzymie znaleźli się księża spowiednicy Polacy. Rozkwaterowany po klasztorach S. Agostino i Madonna del Popolo, potem skupiony głównie we wspaniałem Gesù, siedlisku skasowanego Towarzystwa Jezusowego, żołnierz polski, zwłaszcza z początku, znalazłszy się w stolicy wiary, mocno odbijał gorącą re-

ligijnością swoją od towarzyszów broni francuskich. Był też zrazu przychylnie wyróżniany przez ludność i duchowieństwo rzymskie. Wynikły stąd wszakże niebawem skutki dość kłopotliwe. Doszło do ostrych zatargów między szeregowcami polskimi a francuskimi. Poczynano też zbyt wyraźnie oświecać legionistów o winie Francyi względem papieża, zachwiewać ich w prostem poczuciu służbowem, nawracać politycznie. Zafrasowali się prości żołnierze legionowi. Zaczęli jeden po drugim przychodzić do Dąbrowskiego „z meldunkiem“, iż „ksiądz na spowiedzi kazał kochać baurów, (t. j. powstańczych chłopów włoskich), bo oni lepsi chrześcianie od Francuzów“. Było to rzeczą tem draźliwszą, iż bezdomnego rekruta polskiego pełno wszak było po stronie przeciwnej, i to nietylko w służbie austryackiej, piemonckiej czy bodaj aż hiszpańskiej, lecz także w najbliższej teraz armii neapolitańskiej, gotującej się już potajemnie, w przedniej straży koalicyjnej, do uderzenia na Rzym. Zaniepokoiły się też niepomału władze francuskie. Sam Dąbrowski zażegnywać musiał te szczególniejsze powikłania religijno-polityczne i jednemu z gorliwszych spowiedników, ks. Falęckiemu, franciszkaninowi, doradzić wyjazdu z Rzymu. Nie obeszło się przecie bez śledztwa a nawet smutnej ofiary, rozstrzelania jednego legionisty.

Pozatem Dąbrowski z wielkim taktem i roztropnością umiał radzić sobie nad Tybrem pośród bardzo niełatwych stosunków tamtejszych. Rezydując w pałacu Teano, on to, Polak, jako dobry gospodarz Rzymu, strzegł wtedy bezpieczeństwa i zaprowadzał nowożytne porządki, np. czyszczenie, oświetlanie ulic itp., w zapuszczonem Wiecznem Mieście. A starał się, wzorem Bonapartego, unikać skrajności wszelkiej, iść drogą pośrednią, żyć dobrze i z konsulatem republikańskim i z duchowieństwem rzymskiem. Jednakowoż bardzo musiał mieć się na baczności, gdyż coraz bardziej już zewsząd bliską nową pachniało koalicyą.

Niestety, inne także boleśniejsze trapiły go troski, których źródłem było ciągle tlejące w samej legii rozdwojenie. Wkrótce po wejściu do Rzymu zaszedł pierwszy w legiach wypadek przelania krwi bratniej. Sprężyną zatargu był szef batalionu trzeciego, Grabiński, a tłem głębszem dawniejsza niechęć pomiędzy Sułkowskim, który go wypromował, a Wielhorskim. Stąd to teraz, w połowie maja 1798 r., doszło z błahego powodu do pojedynku między kapitanem tegoż batalionu, Antonim Haumanem, a zasłużonym majorem legii, Maciejem Zabłockim. Pierwszemu sekundował kapitan Józef Szumlański, drugiemu Chłopicki. Strzelali się przez płaszcz, opodal Pincio, w willi Borghèse; zginął waleczny Zabłocki, pochowany z honorami wojskowemi w ziemi pogańskiej, na Forum, naprzeciw kościoła S. Francesca Romana. Śmierć kochanego powszechnie kolegi niebezpieczne wywołała wrzenie. Zabiegając gorszym jeszcze skutkom, wypadło corychlej oddalić Grabińskiego, Haumana, Szumlańskiego. Wyrazili oni życzenie wzięcia udziału w wyprawie egipskiej, dokąd wyrywali się wtedy także inni ochotnicy polscy, a dokąd zresztą wyprawiano też sporo szeregowców legii pierwszej, dla eskortowania amunicyi wojennej. Dąbrowski zdążył jeszcze skierować ich do odpływającej eskadry francuskiej, opatrzonych w gorące polecenia do przyjaznego Klebera. A jednocześnie, w osobnem piśmie, polecając ich samemu Bonapartemu, wyrażał mu przy tej sposobności, w ostatniej niemal godzinie, będącemu już na pełnem morzu, pożegnalne „życzenia legionów naszych i żywione przez nie uczucia wdzięczności".

Ze smutnej afery pojedynkowej usiłowały skorzystać dla nowych jątrzeń przybyłe w tym celu nad Tybr najzawziętsze żywioły deputacyjne. W towarzystwie nasłanego z Paryża Neymana, zjawił się godny brat „Sarmaty", pułkownik Józef Turski. Ten warchoł, podobnie jak i brat dwulicowy, wkrótce potem zaofiaruje w Pe-

tersburgu plany tworzenia legii polskich na żołdzie rosyjskim; zaś po kilku jeszcze leciech będzie w Białymstoku płatnym kierownikiem szpiegowskiej „obserwacyi" rosyjskiej nad Księstwem Warszawskiem. Tymczasem zjeżdżał on do Rzymu w charakterze ultrapatryotycznym, z jakiemiś „ustnemi" zleceniami od jakichciś tajnych związków krajowych, celem „śledzenia kroków podejrzanych" Dąbrowskiego i odebrania komendy temu „nieprzyjacielowi ojczyzny". Niebezpieczne te matactwa zmierzały widocznie do celowej dezorganizacyi korpusu i całego dzieła legionowego. Zniecierpliwiony i zaniepokojony Dąbrowski musiał wreszcie zyskać od Saint-Cyra rozkaz niezwłocznego przymusowego wydalenia z Rzymu dwóch wichrzycieli głównych, Turskiego i Neymana. Zarazem zaś, dla uprzedzenia szkodliwej znów w Medyolanie intrygi, wyprawił tam roztropnego Chamanda, posuniętego po Zabłockim na majora legii. Jednak i nadal przychodziły do Rzymu nadsyłane od Deputacyi paryskiej poduszczenia wręcz buntownicze przeciw Dąbrowskiemu, którego wciąż za wszelką cenę chciano z komendy utrącić. Miano już nawet na jego miejsce gotowego zastępcę. A mianowicie, zamiast zasłużonego twórcy legionów, chciano na ich wodza wysunąć niepoczytalnego moralnie lekkoducha, generał-inspektora Jerzego Grabowskiego, spowinowaconego z Francuską, przyjaciółką awanturniczej pani Tallien, stąd znaną i nie bez wpływu w intrygujących salonach paryskich. Grabowski, dzięki tym stosunkom, został niedawno mianowany dowódcą fikcyjnego wojska Republiki rzymskiej, dokąd również w stopniu szefa brygady przeniósł się z korpusu polskiego niestały Jabłonowski.

W tym to własnie krytycznym czasie, w połowie czerwca 1798 r., przybył ze Stambułu do Rzymu oczekiwany oddawna Rymkiewicz. Przyjęty został owacyjnie przez wszystką legię, szczególnie przecie poszukiwany przez malkontentów. Sam zaś, nie bez słusz-

nego powodu zrażony do Dąbrowskiego, stanął on względem niego w urzędowym raczej, niż przyjacielskim stosunku. Był też zaraz najjadowitszym sposobem poduszczany przeciw niemu listownie przez Mniewskiego, imieniem Deputacyi paryskiej. Dąbrowski atoli złożył zaraz w prawe ręce Rymkiewicza, niezawiśle od czekającego nań zdawna szefostwa legii drugiej, ważny „skład korespondencyjny" całego korpusu z emigracyą, a więc z Paryżem i Polską, t. j. ze związkami tajnemi. Powierzył mu również zarząd przychodzących stamtąd zasiłków pieniężnych i prawo dzielenia ich na obiedwie legie. Tym krokiem mądrym pragnął Dąbrowski otworzyć drogę do zagodzenia najdotkliwszych nieporozumień pomiędzy organizacyą legionową a konspiracyą wychodźczą i krajową. Rymkiewicz żywo zakrzątnął się koło urządzenia „składu". Pośpieszył też bezpośrednio skomunikować się ze związkami krajowemi. Jako naczelnik „korespondencyi składowej", wystosował do nich natychmiast pismo obszerne, gorące, mające podtrzymać ich ducha, lecz które zaraz miało tam zostać wyzyskane przez czynniki samozwańcze do upozorowania nowych, niebezpiecznych a bezcelowych, robót organizacyjno-spiskowych. Rymkiewicz zatrzymał się w Rzymie jeszcze przez dwa miesiące, aż do połowy sierpnia. Następnie, w towarzystwie przybranego sobie do pomocy Godebskiego, miał udać się do Mantui, celem objęcia komendy nad swoją legią.

Wtem nadleciała do Rzymu wiadomość niezwykła, która do głębi poruszyła serca legionistów. Wiadomość, już przed rokiem szerzona i wtedy płonna, teraz znów zawczesną błysła pogłoską, lecz nakoniec objawiła się prawdą niezawodną. Kościuszko stanął na ziemi francuskiej.

III.

Tadeusz Kościuszko, w 1794 r., mocą zgadnionej czynem nieśmiertelnym woli narodowej, objąwszy Naczelnictwo Polski, zachował je po upadku insurekcyi mocą niewygasłej narodowej miłości. Mierny siechnowicki szlachcic polski, z litewskiego środowiska stron białoruskich, wcielał jedność Polski, Litwy i Rusi. Zaś w duszy najczystszej Polaka, przepojonej nowożytną myślą Zachodu, niósł prawo ludzkie chłopa całej niepodległej Rzpltej. Te dwie wielkie idee, państwową i społeczną, on dźwignął, nie przez siłę geniuszu, lecz przez mądrość serca. Średnich talentów, nietyle lotny, ile pracowity i sumienny, szkoły kadeckiej warszawskiej wychowanek wyborny, z żywą poza rzemiosłem wojennem do sztuk pięknych i nauk społecznych pobudką, dokształcił się kilkoletnim zagranicą pobytem w Niemczech, Anglii, Włoszech, a zwłaszcza w Paryżu, na szlachetnej Turgota, surowej Roussa nauce. Marzyciel czuły, skrzywdzony zamłodu w afektach serdecznych przez pychę pańską, wcześnie z magnactwem krajowem znajomy, jego grzechów dobrze był świadom, lecz jego urokowi i powadze dostępny, a bliski szczególniej domu Czartoryskich. Nieobecny w zawierusze barskiej, ofiarny natomiast przy Washingtonie obrońca wolności amerykańskiej, pozostał odtąd dozgonnie pod silnem wrażeniem tamecznych odrębnych pojęć wojskowych i politycznych. Ze zdobytem tam doświadczeniem, wystąpił odrazu w kraju jako jeden z najdzielniejszych obrońców sprawy narodowej w ciężkiej kampanii ukrainnej przeciw Rosyi. Dzięki ówczesnej zasłudze, a nienajmniej też puławskiemu poparciu, mąż zaufania emigracyi sejmowej, niesłuchany poseł jej do rewolucyi francuskiej, stanął wreszcie u szczytu swych przeznaczeń, jako głowa narodu, „Naj-

wyższy Naczelnik i rządca całego zbrojnego powstania". Dyktator najrzadszy, głosił on najszczerzej: „Niech nikt, kto cnotliwy, nie pragnie władzy"; a brał tę władzę jak krzyż, dla „ocalenia ludu". Przez samą skromność bywał wielce podatny na wpływy cudze, Czartoryskich, Ignacego Potockiego, Kołłątaja, czy pośledniejszych bodaj czynników, ale zawsze ze swoistym nawrotem ku własnej, łagodnej a upornej, i bardzo niełatwej indywidualności. Niepokalany nawet w błędach swoich, skutkach bądź samejże swej cnoty, bądź wyznaczonej sobie przez naturę umysłowej granicy, bądź niesłychanej trudności sprawy publicznej, Kościuszko na barkach miernych, wyolbrzymiony dobrą wolą poczciwego Polaka, wyniósł tamte dwie potężne idee, narodową i ludową. Jak wszedł do powstania, tak z niego wyszedł, z górującą myślą o całości Polski niepodległej i obywatelstwie prostego jej włościańskiego ludu. Żył w przeświadczeniu głębokiem, „że wszyscy równi jesteśmy,... że nie może być żaden naród skłonniejszy do uczynienia dobrze każdemu, jak naród polski, kiedy tylko sam swoją wolę czynić może". Dobył z nicości siłę ogromną; pokazał, co naród samotnie zdziałać potrafi; a przez to, pomimo klęski doraźnej, otworzył źródło niepożytej na przyszłość otuchy. Tak sam, z wodza upadłej insurekcyi, został nazawsze symbolem resurekcyi narodowej.

Jednakowoż, w nadludzkim, niepomiernym wysiłku krótkiej doby powstańczej, wydatkował, wypalił niepowrotnie Kościuszko główne zapasy niemłodej już osobistej energii życiowej. Zesłabły od ogromnego moralnego wstrząśnienia, ran maciejowickich, niewoli petersburskiej, dał się nad Newą skłonić do złożenia Pawłowi przysięgi wiernopoddańczej. Błąd ten na chorym, nadczułym człowieku był wyłudzony w imię pobudek szlachetnych, jedynie do takiej duszy przystępnych. Był mu poddany przez chęć wyzwolenia tysięcy więzionych rodaków, przez poryw wdzięczności za niespodzianą ludz-

kość Pawła, przez ułudę lepszych stąd dla kraju widoków. Bądźcobądź, ciężko przytłoczony fatalnym tym krokiem i hojną łaską imperatorską, zobowiązawszy się jechać do Ameryki, opuścił Kościuszko Petersburg z końcem 1796 r. Stąd na Stockholm udał się do Göteborga, gdzie miał siąść na okręt, lecz przez kilka miesięcy się zatrzymał. Tutaj doszła go ożywcza wiadomość o utworzeniu legii polskich pod Bonapartem, oraz wezwanie zbiorowe od emigracyi paryskiej. Ale tutaj też, w Szwecyi, w początku maja 1797 r., dobiegła go wieść dotkliwa o rozejmie leobeńskim. Jeśli przeto w znękanej jego głowie kołatała się podówczas myśl schronienia się do Republiki francuskiej, której wszak był obywatelem honorowym, i zbliżenia się do odrodzonej pod jej osłoną broni polskiej, to tę myśl, oprócz ciężkiej jeszcze niemocy fizycznej, oddaliła narazie tamta niepomyślna wieść rozejmowa. Zamiast do Paryża, udał się tedy do Londynu. Przez całą zresztą drogę, zarówno na ziemi szwedzkiej, jak angielskiej, był pod najczujniejszym, jawnym i tajnym dozorem rosyjskim. Po dłuższym znów w Anglii postoju, a pewnie i wahaniu, odpłynął stąd wreszcie, w połowie czerwca t. r., do Ameryki, próżno wyczekiwany przez legiony, cieszące się już złudą szczęśliwego porwania go z drogi przez francuskich korsarzy.

Przybiwszy do Filadelfii, w połowie sierpnia 1797 r., pośpieszył Kościuszko nasampierw zwrócić się do tutejszego konsula generalnego francuskiego, Létomba. Zaraz nazajutrz po swym przyjeździe, uczynił mu, na cztery oczy, ważne wynurzenia poufne, które zlecił przekazać ministrowi spraw zagranicznych, Delacroix. Oświadczył mianowicie, iż „pragnie udać się do Francyi" i to „natychmiast"; iż „przybył tu (do Ameryki) jedynie dla omylenia swych nieprzyjaciół"; iż „jest tu obserwowany i nie może mówić ani działać, jak tylko z największą ostrożnością". Ale z wykonaniem tych tajnych pragnień swoich tymczasem wstrzymać się musiał. Trafił

tutaj na silne naprężenie pomiędzy Republiką francuską a Unią amerykańską. Ta ostatnia, w osobie Washingtona, jego obecnego w prezydenturze następcy, Adamsa, i całego rządowego stronnictwa federalistycznego, przychylała się mocno ku macierzystej Wielkiej Brytanii i szła coraz jawniej ku zerwaniu, a bodaj wojnie z Francyą. Kościuszko, którego sympatye były wtedy całkowicie po stronie rewolucyi francuskiej, unikał teraz widzenia się z Washingtonem, pomimo jego zaprosin. Natomiast zszedł się najściślej ze stanowczym francuzofilem, radykalnym wiceprezydentem Unii, Jeffersonem, twórcą stronnictwa demokratycznego, zwalczającego gwałtownie federalistów za ich skłonności raczej zachowawcze, „monarchiczne“, anglofilskie, wojenne. W istocie, dawne przymierze francusko-amerykańskie 1778 r. przedarte zostało przez traktat anglo-amerykański 1794 r., zatwierdzony większością senatorską, będącą na żołdzie angielskim, a wprost zabójczy dla morskich dostaw i korsarzy francuskich. Skutkiem tego, zwłaszcza, od wiosny 1797 r., nastąpiły gwałtowne represye francuskie przeciw ładunkom angielskim pod flagą amerykańską. Dla zagodzenia wynikłych stąd ostrych zatargów, rząd Unii, pod naciskiem demokratycznej opozycyi Jeffersona, musiał nawiązać jesienią 1797 r. rokowania z Dyrektoryatem w Paryżu, przez trzech wysłanych tam pełnomocników. Aliści prowadzący te układy ze strony francuskiej nowy minister, sprzedajny Talleyrand, dyskretnie zażądał od Amerykanów milionowej dla siebie łapówki. Skorzystał z tego natychmiast prezydent Adams i z rozmyślną bezwzględnością pokwapił się poufne w drażliwej tej materyi doniesienia swych pełnomocników podać w marcu i początku kwietnia 1798 r. do wiadomości publicznej. Sam nawet w urzędowem orędziu przełożył je Kongresowi i ogłosił w półurzędowem *New York Advertiser*. Cały świat mógł stąd wyczytać najdosłowniej, w oficyalnych depeszach amerykańskich, iż

w Paryżu dopraszano się od Unii 1,200.000 liwrów „łapówki *(douceur)* dla kieszeni Dyrektoryatu i ministeryum“ francuskiego. Rewelacya tak niesłychana w stosunkach międzynarodowych, kompromitująca nietylko Talleyranda, lecz cały rząd francuski, była aktem wprost wrogim i pojętą też została powszechnie, jako krok przedwojenny, ułożony przez prezydenta Adamsa w porozumieniu z Anglią.

Dla Kościuszki bliska groźba wojny amerykańsko-francuskiej musiała być stanowczą pobudką do przyśpieszenia wyjazdu, który z chwiłą wybuchu wojennego zostałby zgoła uniemożliwiony. Zresztą, z czasu służb swoich w obronie niepodległości amerykańskiej, miał on żywo w pamięci zbawczą pomoc, udzieloną wtedy Stanom przez Francyę. Istnieją też skazówki, iż obecnie pragnął osobiście przyłożyć się do pogodzenia obojga wielkich republik i w tym celu „przyjął misyę, bez urzędowego upoważnienia“, od Jeffersona, gdy ten „osądził, że do porozumienia ich z Francyą mógłby (Kościuszko) być najdzielniejszym pośrednikiem“. Pozostawał przytem były Naczelnik w ciągłej styczności listownej z emigracyą polską, a zapewne i z krajem. Z przesłanych sobie do Ameryki zeszłorocznych jeszcze „inwitacyi“ medyolańskich Dąbrowskiego i Wybickiego, wiedział o tęgim rozroście siły zbrojnej wychodźczej w dwóch już pełnych legionach, o niestłumionych przez doznane zawody nadziejach walki wskrzesicielskiej. Są nawet pewne poszlaki, że jeśli przedtem wodzowie irlandzcy byli potajemnie wzywani z Ameryki do Paryża, z polecenia rządu francuskiego, to podobnie teraz, w początku 1798 r., kiedy w Paryżu silne wystąpiły wpływy za wznowieniem „propagandy“ i wojny powszechnej, poszła stamtąd od niektórych członków Dyrektoryatu tajna zachęta powrotna do Kościuszki. W każdym razie, jasną jest rzeczą, że skoro on od pierwszej chwili przybycia do Ameryki nieomieszkał o swoim zamiarze powrotu już

z góry powiadomić władz francuskich, to tembardziej musiał uprzedzić je przed istotnem spełnieniem tego zamiaru, zapewniając sobie ich aprobatę i należne przyjęcie. Sam zbyt znakomitą był osobą, aby mógł spaść znienacka do Paryża, niby pierwszy lepszy podróżnik. Przybycie jego na stały do Francyi pobyt było wypadkiem politycznym zbyt doniosłym, a nawet, ze względu na mocarstwa rozbiorowe, pacyfikowaną niedawno Austryę, przyjazne Prusy, zwłaszcza zaś na Rosyę i Pawła, zbyt drażliwym, aby mogło odbyć się inaczej, jak za uprzednią wiedzą powołanych czynników rządowych francuskich. Dość, że w początku maja 1798 r. Kościuszko wyjechał potajemnie z Filadelfii do Europy. Jak się zdaje, dla zmylenia wrogiej czujności, jechał nie wprost do Francyi, lecz drogą bardzo okólną, Pod koniec czerwca t. r. wylądował szczęśliwie w Bayonnie. Witany był uroczyście przez uprzedzone najwidoczniej władze francuskie, municypalność bajońską i komisarza Dyrektoryatu paryskiego. Stąd dopiero zawiadomił o swem przybyciu zdumionego Barssa, a przez niego rodaków, przed którymi aż do ostatka ścisłą zachował tajemnicę. Niebawem, w pierwszej połowie lipca 1798 r., wszędzie po drodze przyjmowany z honorami przez cywilne i wojskowe władze francuskie, zjechał do Paryża i w domu Barssa zamieszkał.

Wieść o jego powrocie, naprzód głucho obiegająca po legiach, wreszcie od Barssa napewno potwierdzona, przez Medyolan i Mantuę doszła pod koniec lipca do Rzymu. Wywołała zrozumiały zapał powszechny i zrazu „wszystkie uśmierzyła intrygi“. Dąbrowski oznajmił natychmiast w pięknym rozkazie dziennym, iż pośpieszy osobiście do Paryża, „oddać raport obywatelowi Kościuszce, jako Najwyższemu naszemu Naczelnikowi“. W złożonej na jego ręce ognistej odezwie „korpusu polskiego w Rzymie“ do Kościuszki, oddawano hołd Naczelnikowi, jako duchowemu twórcy legionów, i wzywano go, by sta-

nął na ich czele. „Jestto Twe własne dzieło, — głosiła ta odezwa, okryta podpisami Kniaziewicza, Rymkiewicza i wielu oficerów — że Polak, który dobył pod Tobą oręża na obronę ojczyzny, już go złożyć nie umie, pókąd jej wolną nie zrobi. Ciesz się więc owocem prac Twoich i przybywaj na łonie tych, którzy Cię wielbią i kochają, uczynić pojętnem przeznaczenie nasze. Wiemy, iż nie dla innych widoków widzisz raz jeszcze Europę, tylko żebyś nas doprowadził do ziemi ojców naszych". Była nawet w tej odezwie pewna aluzya do ponownego w samym kraju powstania, którą zapewne wpływowi Rymkiewicza należałoby przypisać. Rymkiewicz zresztą złożył również na ręce Dąbrowskiego osobny raport do Kościuszki, imieniem powierzonego sobie „składu korespondencyi" tajnej z emigracyą i krajem. Serdeczne pismo od siebie wystosował też zacny Wybicki. Przypominał on Naczelnikowi swoją niegdyś z jego rozkazu misyę wielkopolską przy Dąbrowskim; i w obecnej swej misyi włoskiej wskazywał łączność sprawy insurekcyjnej a legionowej. Dąbrowski z temi ekspedycyami udał się niezwłocznie do Medyolanu, celem uzyskania od Bruna urlopu na wyjazd do Paryża. Dowództwo zastępcze nad obiema legiami przekazywał Wielhorskiemu, przebywającemu wtedy w Mantui. Kniaziewicz, z legią pierwszą, pozostał w Rzymie. Rymkiewicz niebawem podążył stąd do Mantui, dla objęcia komendy nad swoją legią drugą.

Dąbrowski, śpiesznie odbywszy drogę do Medyolanu, już jednak nie zastał tu Bruna, który sam właśnie w tym czasie był opuścił chwilowo kwaterę główną armii włoskiej i wyjechał nagle do Paryża. Ten wyjazd wodza naczelnego był w związku z ostrem przesileniem, jakie wówczas przechodziła Cyzalpina, w przededniu mającej zwalić się na nią katastrofy wojennej. Skoro tylko zbrakło Bonapartego, zaczęło się tajne z Paryża a najtajniejsze z Wiednia podkopywanie jego tworu cyz-

alpińskiego. Przykładali się do tego gorliwie, choć przeważnie mniej świadomie, sami Cyzalpińczycy, i to z dwóch końców naraz, arystokratycznego i radykalnego. Z obu stron było sarkanie, gdyż uznawano ów twór za nietrwały pod względem politycznym i niedostateczny pod terytoryalnym. Żalono się też nie bez powodu na rozliczne wady nadanych krajowi urządzeń ustawodawczych, a zwłaszcza na nieznośne ciężary gospodarcze. Żądano tedy „reformy“ konstytucyjnej i praktycznej, pod hasłem uproszczenia administracyi i zaprowadzenia oszczędności. Zwracano się natarczywie po taką reformę do Dyrektoryatu w Paryżu, spierając się o nią zaciekle pomiędzy sobą w Medyolanie. A zerkano przytem ukradkiem, z jednej strony, poza kordon austryacki, gdzie byli posesyonowani jako *sujets mixtes* najpierwsi magnaci medyolańscy; z drugiej, — poza kordony sąsiednich ziem włoskich, gdzie otwierały się widoki skrajnej propagandy wszechitalskiej. Tymczasem zaś z obu stron, w imię zbawiennej „epuracyi“, na wzór fructidorowy paryski, dążono przedewszystkiem do wysadzenia z siodła niemiłych rodaków, ludzi umiarkowanych, umieszczonych w rządzie medyolańskim przez Bonapartego, oraz do wprowadzenia natomiast do rządu siebie i stronników swoich. Było to zjawisko niezmiernie nauczające pod kątem widzenia retrospektywnym polskim. Albowiem, jak teraz w Cyzalpinie, stworzonej przez Leoben i zwiększonej przez Campoformio, tak samo później w Księstwie Warszawskiem, stworzonem przez Tylżę i zwiększonem przez Schoenbrunn, odezwie się wielkie wołanie o „reformę“ administracyjną i oszczędnościową. Będzie to dążność, podobnie tam, jak i tutaj, niepozbawiona słusznych przesłanek rzeczowych, lecz niewolna też podobnie od skrytych a zgubnych wpływów fakcyjnych. Kiedy atoli te ostatnie czynniki destrukcyjne będą jeszcze hamowane w Warszawie przez obywatelstwo ks. Józefa i wolę Napoleona, to obecnie w Medyolanie, dzięki in-

trydze Bruna i bezrządowi Dyrektoryatu, miały one doprowadzić Cyzalpinę do zupełnego wewnętrznego rozkładu, przed samem doszczętnem zgnieceniem jej przez bliskie już koalicyjne natarcie austro-rosyjskie.

Stosunki tak się tutaj ułożyły, iż miejscowe żywioły arystokratyczne lombardzkie skupiły się dokoła posła francuskiego w Medyolanie, młodego, ambitnego krętacza Trouvégo, zaś radykalne dokoła starego, kupnego spryciarza Bruna. Między tymi dwoma dostojnikami poszła więc walka zażarta o sposób „reformy“, t. j. naprawdę o obsadę stanowisk rządowych w nowej republice. W tej to mianowicie sprawie Brune, w towarzystwie generała Lahoza, jeszcze do czasu ultrajakóbina włoskiego, a niebawem zbiega do armii rosyjsko-austryackiej, udał się obecnie, w końcu lipca 1798 r., do Paryża. Narazie jednak wskórał on tam niewiele. Zaczem, po jego powrocie do Medyolanu, Trouvé mógł w końcu sierpnia dopełnić po swojemu „reformatorskiego“ zamachu stanu, zmian zasadniczych w ustawie i rządzie cyzalpińskim. Wnet atoli odmieni się wiatr w Paryżu. Już we wrześniu zostanie odwołany Trouvé, a na jego miejsce, z protekcyi Barrasa i wyboru Bruna, mianowany posłem były konwencyonista, do czasu zapamiętały jakóbin, a przyszły sławny minister policyi, sługa napoleoński i bourboński, wyłaniający się dopiero z nicości arcyzdrajca i arcywyga, Fouché. Zaczem, przy jego pomocy, Brune z kolei będzie mógł w październiku 1798 r. dopełnić na swój sposób nowego zamachu stanu w Medyolanie, nowej zmiany w ustawie i rządzie, przepędzić świeżych nominatów Trouvégo, a obsadzić władze cyzalpińskie swojemi kreaturami barwy najskrajniejszej. Aliści wkrótce potem, pod wpływem Reubella, nastąpi w końcu października odwołanie samego Bruna i powierzenie komendy naczelnej włoskiej gorącemu a szlachetnemu Joubertowi; zaś w listopadzie odwołanie Fouchégo z poselstwa i mianowanie na jego miejsce

uczciwego Rivauda. Zaczem znowuż ten ostatni, już pod koniec 1798 r., dopełni trzeciego zrzędu zamachu stanu i nowych zmian w składzie rządu i reprezentacyi cyzalpińskiej.

Cała ta wahadłowa gospodarka przyniosła oczywiście, zamiast „reformy“, zupełne tylko rozprzężenie polityczne i anarchię duchową w Cyzalpinie. Zraziła kraj do Francyi i własnego niezawisłego bytu. Tem samem zaś nieocenioną przysługę wyrządziła koalicyi i utorowała jej powrotną drogę zdobywczą. Jeszcze chwila, a Austryacy wkroczą tu jako wybawiciele od przemocy francuskiej i jakóbińskiej. Witany owacyjnie zwycięzca Suworow odbędzie wjazd tryumfalny do szalonego radością Medyolanu. Ważna w tem wszystkiem była przestroga dla Polski. Szczęściem jeszcze dla niej będzie w nieszczęściu, że do jej stolicy tak nie wjedzie kiedyś Kutuzow; że pośród klęsk największych, przecież tej jednej ustrzeże się Warszawa; że nie da się wytrącić z raz obranej linii wytycznej i zachowa jednolitą postawę moralno-polityczną, przez całą trudną dobę Napoleona; że dzięki temu, już po jego upadku, zamiast lombardzkiej, pod batem austryackim, bezprawnej niewoli, wyratuje dla siebie przynajmniej konstytucyjne Królestwo Kongresowe.

Ale to były dopiero sprawy bliższej lub dalszej przyszłości. Tymczasem, w początku sierpnia 1798 r., Dąbrowski, nie zastawszy Bruna i nie mając sposobu jechać dalej do Paryża bez urlopu, musiał zatrzymać się w Medyolanie. Nie był on zresztą wolny od pewnego niepokoju. Zjawienie się Kościuszki we Francyi było dlań w tej chwili niespodzianką dość zagadkową. Mógł w tem domyślać się trafnie jakiegoś uprzedniego porozumienia z rządem francuskim, ale też nietrafnie—z nieprzyjazną sobie Deputacyą polską. Miał tylko pośrednią, niczego nie wyjaśniającą wiadomość od Barssa. Od samego Naczelnika nie miał nic zgoła, i na pierwsze od nie-

go pismo będzie jeszcze czekał przez miesiąc. Nie wiedział, jakie stanowisko zajmie Kościuszko względem legionów wogóle a niego osobiście, jako ich wodza, w szczególności. Tembardziej zależeć mu musiało na zdeklarowaniu swego własnego lojalnego stanowiska względem Naczelnika. Zaraz tedy nazajutrz po przybyciu do Medyolanu, naradziwszy się z nadbiegłym z Mantui Wielhorskim, wyprawił do Paryża Tremona i kapitana Wasilewskiego. Powierzył im zabrane z Rzymu ekspedycye od legii pierwszej i od Wybickiego, jakoteż pismo Wielhorskiego i przywiezione przezeń adresy legii drugiej. Dołączył nadto osobistą od siebie odezwę do Kościuszki. „Oświadczam Ci, obywatelu, — pisał w tej odezwie, wyjaśniając powód mimowolnego zatrzymania się swego w Medyolanie, — że jako Polak i żołnierz uznaję w osobie Twej Naczelnika mego i Wodza. Jako generał komenderujący Legionami polskiemi posiłkowemi Rzeczypospolitej Cyzalpińskiej, powtarzam to tylko, co w roku przeszłym pisałem do Ciebie przez adjutanta mego, obywatela Zawadzkiego, gdy wiadomość mieliśmy o przybyciu Twem do Nantes: że składam komendę tychże Legionów w ręce Twoje a razem los kilku tysięcy Polaków. Posyłam Ci, Najwyższy Naczelniku, raport powinny... Oczekuję Twych rozkazów i najprędszej rezolucyi".

IV.

Kościuszko spotkał się w Paryżu z najpochlebniejszem napozór przyjęciem. Wzięty został ostentacyjnie w opiekę przez Dyrektoryat, a mianowicie, wobec umyślnej rezerwy Barrasa, oraz choroby i wyjazdu na kuracyę Reubella, przez najsłabszą w rządzie głowę, Lareveillèra.

Był prowadzony na posiedzenie Rady Pięciuset, jako gość honorowy. Był czczony ognistym toastem na bankiecie u ministra wojny, Scherera. Był wychwalany obficie po dziennikach, zwłaszcza radykalno - rządowych. Zdawaćby się mogło, że władcy paryscy naprawdę znakomitym zajęli się Polakiem. W rzeczywistości szło jedynie o wyzyskanie go na rzecz własnych ich rachub i widoków chwili bieżącej.

Była to właśnie chwila, kiedy urwały się układy francusko-austryackie o zadośćuczynienie za aferę wiedeńską Bernadotta, a zarazem utknęły rokowania kongresowe rastadzkie. Natomiast do zakulisowych knowań przedkoalicyjnych poczynał czynnie wdawać się Paweł, pchany tędy nienajmniej widmem snowanej jakoby przez Dyrektoryat „intrygi polskiej". Ostrzegał cara przed nią przemyślny Thugut, korzystając z awantur Bernadotta i jego świty polskiej w Wiedniu. Przestrzegał gorliwy Panin, mając klucz podrobiony do sekretów ambasady Caillarda w Berlinie. Roboty te ułatwiało spółczesne ochłodzenie stosunków prusko-rosyjskich, skutkiem zmiany panującego w Prusiech. Na schyłku zeszłego 1797 r. zmarł po długiej chorobie Fryderyk - Wilhelm II, osobisty przyjaciel Pawła jeszcze z czasów jego wielkoksiążęcych. Z objęciem rządów przez młodego Fryderyka-Wilhelma III urwała się tymczasem nić dynastycznej zażyłości między Berlinem a Petersburgiem. Wobec wyraźnych starań Dyrektoryatu o zamianę pokoju bazylejskiego na ścisły sojusz z dworem pruskim, Paweł, coraz bardziej oziębły dla tego dworu, a coraz wrażliwszy na wpływy wiedeńskie, wyprawił wiosną 1798 r. do Berlina wielkorządcę Litwy, Repnina, z misyą bardzo kategoryczną. Szło mianowicie o niezwłoczne oderwanie Prus od Francyi, przeciągnięcie ich na stronę koalicyjną, pośredniczenie między niemi a Austryą. Nieudanie się tej misyi, wobec odporności Prus, skłonnych raczej zachować najdogodniejszą dla siebie rolę środkującą, miało

zostać jednym z czynników, wiodących Pawła niebawem do obozu koalicyi. Ze swej strony Dyrektoryat, odwołując z Berlina Caillarda, posłał na jego miejsce, latem 1798 r., jedną z najtęższych głów Republiki, eksksiędza Sieyèsa, z wręcz przeciwną, a równie nieudaną, misyą przeforsowania nareszcie aliansu francusko-pruskiego. Wedle istotnej myśli samego Sieyèsa, szłoby przytem głównie o pchnięcie Prus przeciw Rosyi, odsunięcie ich bardziej ku Wschodowi, a tym sposobem rozwiązanie Francyi rąk w Rzeszy niemieckiej. To też w przeniknionej taką myślą przewodnią instrukcyi jego poselskiej, redagowanej przez Talleyranda, doradzano dworowi berlińskiemu „zbliżyć się do Polski, przeznaczonej może kiedyś do odrodzenia potęgi swojej pod berłem pruskiem“. Oczywiście nie wierzył w to naseryo obojętny na Polskę Dyrektoryat. Nie wierzył Talleyrand, który dopiero co, pytany prywatnie o radę przez Ogińskiego, z koleżeńską otwartością wielkopańską, jako magnat francuski, na cztery oczy poradził magnatowi polskiemu wyrzec się wszelkich „nadziei chimerycznych,... nie narażać swojej fortuny i wrócić do domu“. W gruncie rzeczy, w Paryżu, wyprawiając głębokiego, lecz bardziej jeszcze zarozumiałego Sieyèsa na wielką jego misyę berlińską, nie łudzono się zbytnio co do jej powodzenia. Nie liczono nawet naseryo na samo wypraszane tak natarczywie przymierze pruskie; a conajmniej tyleż liczono, wedle zwykłej recepty, samym tym postrachem pruskim zmiękczyć jeszcze Austryę i dojść z nią do ładu. Bądźcobądź jednak, dla osiągnięcia jednego czy drugiego celu, dla aliansu, czy też dla manewru, dla zagrzania i skuszenia Prus, czy też zażegnania ich obawy przed podstępnem porozumieniem się Francyi z cesarzem, przybierano tymczasem pozory jaknajbardziej nieprzejednane i wojownicze. Tedy szczękano orężem, hałasowano rewolucyjnie, a między innemi nieomieszkiwano też dąć rozgłośnie w trąbkę wskrzesicielską polską.

W takich warunkach, radykalizujące koła rządowe paryskie rade były wyzyskać Kościuszkę dla swoich rzeczywistych, czy udanych widoków propagandy wojennej. Była w tych rachubach cała tęcza odcieni. Byli śród rządowców francuskich tacy, co spodziewali się wyzyskać Naczelnika dla ośmielenia Prus i pociągnięcia ich polską pokusą do przeciwstawienia się Rosyi i do aliansu z Republiką. Byli tacy, co chcieli wyzyskać go tylko dla skompromitowania Prus w tym kierunku, a zarazem dla zaniepokojenia Austryi i ulżenia w końcu pomyślnej z nią zgody. Niezawodnie zaś byli i tacy, pod maską jakóbińską wysługujący się restauracyi i zagranicy, co pragnęli wyzyskać go dla przyśpieszenia i ułatwienia nieprzyjacielskich przygotowań koalicyjnych. Zgłaszali się do niego, bądź samorzutnie, bądź też podesłani, najrozmaitsi działacze stołeczni, przeważnie bardzo nieosobliwi i niepewni obywatele Francyi republikańskiej, a już oczywiście zgoła obojętni dla losów Polski. Przychodzili Lebrun, Garat, Ducos i podobni karyerowicze literacko-polityczni, ofiarować Kościuszce tanie rozrzewnienie rzekomych polonofilów, filantropów i zelantów republikanckich. Przychodzili wkradać się doń w „zażyłość“ rzekomi czerwieńcy, *exclusifs*, „rudy poczciwina“ Fouché, miodopłynny „Anakreon gilotyny“ Barère, i inni pogrobowcy teroryzmu, prawiący o wielkich hasłach wyzwoleńczych Konwencyi, a przeobrażający się pocichu z królobójców na policyantów. Przychodzili mężowie stateczni, poważni stanowiskiem społecznem i wysokiemi stosunkami rządowemi, wyciągać po przyjacielsku polskiego Naczelnika na wynurzenia poufne, by przekazywać je niezwłocznie do Wiednia, Petersburga, Londynu, przez tajną agencyę szpiegowską Antraigua i kompanii, której stałymi byli donosicielami. Do rozeznania się pośród tych farbowanych lisów, pośród tych wilczych dołów i sideł paryskich, nie byłoby zawiele całej przenikliwości Ignacego Potockiego lub Hugona Kołłątaja. Ko-

ściuszko, z prostodusznym swym idealizmem, zupełnie do tego się nie nadawał. To też poczynano sobie z nim tem śmielej, iż wprawdzie uznawano w nim powszechnie „najzacniejszego z Polaków *(le plus honnête des Polonais)*“, lecz bynajmniej nie najbystrzejszego. Już przedtem, jako więzień carski nad Newą, wydał się on Katarzynie „głuptasem“, „jagnięciem“, a jej Bezborodkom, Zawadowskim *e tutti quanti*—„entuzyastą, człekiem uczciwym, lecz bardzo ograniczonym“. Teraz, jako gość republikański nad Sekwaną, obsypywany w oczy czułemi komplementami, był traktowany zaocznie z lekceważeniem niesłychanem. „Ten Polak—tak pogardliwie wyrażał się o nim sprzedawczyk Talleyrand — zbyt jest ograniczony pod każdym względem, aby można było radzić się go w czemkolwiek“. „Odkąd poznałem Kościuszkę,—odzywał się nawet Reubell—zostałem zniechęcony do Polaków i wszelkich ich planów; ci ludzie są niezdatni do niczego“. Wielkiego idealistę i uosobioną w nim wartość moralną mierzono miarą codziennego szalbierstwa politycznego. Widziano w byłym Naczelniku proste jeno narzędzie do chwilowego użytku i potrzeby. Bez ceremonii okłamywano go, durzono, nadużywano jego bezbronnej dobrej wiary. Dotychczasowe zawody emigracyjne polskie wystawiano mu jako winę wyłączną nieobecnego Bonapartego, chytrego zdrajcy Wenecyi, Włoch i Polski, występnego sprawcy dzieł pokojowych Leobenu i Campoformia. Zaś obiecując natomiast postaremu wzniosłą republikańską krucyatę wojenną, w imię wolności powszechnej ludów, tumaniono i podniecano Kościuszkę taką nadzieją ożywczą.

Te podniecające praktyki paryskie niczem na swój sposób nie były lepsze od poprzednich przygnębiających petersburskich. To też, jeśli jedne przyczyniły się ongi do wprowadzenia w błąd Kościuszki względem przysięgi wiernopoddańczej na rzecz Pawła, to drugie odegrały teraz pewną rolę względem sposobu jego zerwania z Pawłem. Kościuszko, powracając do Europy, miał na

sercu uwolnienie się od ciążącej mu nieznośnie darowizny imperatorskiej, jaką obarczony został na wyjezdnem do Ameryki. Ale ten prawowity akt własnowolny Naczelnika spaczony i wyzyskany został przez obce interesowne czynniki paryskie. Przyoblekł się mianowicie pod ich wpływem w formę mniej szczęśliwą „twardego“ pisma Kościuszki do Pawła. Wyrzucane w niem były imperatorowi „pozory dobroci“; użyte zwroty gwałtowne, niedość przystosowane ani do rzeczy samej, ani do wybuchowej natury carskiej. Zapewne, Kościuszko mógł być rozgoryczony wieściami, dochodzącemi go zza kordonu rosyjskiego, zwłaszcza o zeszłorocznej łucko-wileńskiej tragedyi śledczej oraz świeżych, wiosną i latem t. r., aresztach i śledztwach na rodzimej Litwie. Ale wielki jego takt moralny i właściwe mu umiarkowanie dostateczną są poręką, że jaskrawa stylizacya tego pisma nie z jego wyszła głowy. Istnieje zresztą całkiem wyraźna skazówka spółczesna, iż było ono dla niego redagowane z natchnienia i przy udziale bezpośrednim Lareveillèra. Dość, że tegoż samego dnia, kiedy zostało nakreślone przez Kościuszkę, w początku sierpnia 1798 r., pośpieszono natychmiast wyprawić je z urzędu przez ministeryum spraw zagranicznych, oczywiście do Berlina, na ręce Sieyèsa, dla przesłania przez Panina Pawłowi, a bardziej podobno dla zaprodukowania rządowi Fryderyka-Wilhelma III. W kilka dni potem, na jednym jeszcze hucznym bankiecie paryskim, w sierpniową rocznicę obalenia monarchii bourbońskiej, uraczono Kościuszkę jedną jeszcze ciepłą mówką na cześć „wolności Polski“; a na widok serdecznego jego rozczulenia, przydano jeden jeszcze podniosły toast „na łzy Kościuszki“. Natomiast od niemiłej funkcyi doręczenia jego pisma Paninowi wymówił się roztropny Sieyès i odesłał je z powrotem do Paryża. Ale przedtem, rzecz prosta, doszło ono w odpisie do wiadomości ministrów pruskich, o co wszak chodziło najgłówniej.

Skutek był ten, że rząd pruski pośpieszył umyć ręce od całej tej niemiłej sprawy, a nawet skorzystać z niej dla okazania gorliwej swej lojalności względem Rosyi. Haugwitz poufnie zakomunikował kopię owego pisma Paninowi i nie przestawał odtąd donosić mu, wedle relacyi Sandoza z Paryża, o każdym kroku Kościuszki, oraz o przewrotnych zamysłach francuskich zużytkowania go dla wszczęcia nowej rewolucyi w Polsce. Skutek dalszy był ten, iż Paweł, rozjuszony do żywego, jak z ukontentowaniem stwierdzono w Wiedniu i Londynie, odtąd zupełnie „wziął na kieł“ *(a pris le mors aux dents)* i objawił daleko większą łatwość w układach o wejście do koalicyi. Rozpoczęła się też niezwłocznie zaciekła przeciw Kościuszce naganka osobista. Wywleczono jego przysięgę petersburską. Rozpisywano się o doznanych przez niego dobrodziejstwach carskich. Wydano nawet w Anglii, rzekomo za jego zgodą, przeciw czemu protestować musiał publicznie, a naprawdę staraniem Woroncowa, reprodukcye fantazyjne, wyobrażające łaskawego Pawła, jak w zakratowanej celi obwieszcza wolność Naczelnikowi, i t. p. Co się tycze samego owego pisma do Pawła, to przestano o nie troszczyć się w urzędowym świecie paryskim. Kościuszko, po próżnem wyczekiwaniu, musiał znacznie później ogłaszać je po gazetach paryskich, gdzie atoli opatrzono je inspirowanem z góry, obłudnem zastrzeżeniem półurzędowem, zwalającem na niego osobiście wyłączną za nie odpowiedzialność. Jednocześnie, po dłuższych dopiero zachodach, udało mu się zwykłą drogą pocztową przemycić je, wraz ze zwrotem darowizny carskiej, do ambasady rosyjskiej Razumowskiego w Wiedniu, i tędy nareszcie skierować na miejsce przeznaczenia do Petersburga.

Kościuszko, jak się rzekło, o wylądowaniu swojem we Francyi uprzedził nasampierw Barssa, dawnego swego tutaj z doby insurekcyjnej pełnomocnika, a następnie pod jego dachem w Paryżu na stałe zamieszkał. Po-

został on u niego w gościnie bez przerwy przez rok z górą. Co więcej, w sprawach wewnętrznych krajowych zrazu jego przeważnie zasięgał rady, nawet jego posługiwał się piórem. Tym sposobem, rzecz szczególniejsza, będąc pod wpływem żywiołów skrajnych francuskich, dostał się jednocześnie pod wpływ umiarkowańszych kół emigracyjnych polskich, spółdziałających Dąbrowskiemu i jego pracy legionowej. Ta sprzeczność, uwarunkowana poniekąd pewnemi właściwościami psychiki Kościuszki, miała niebawem wtrącić go w dotkliwe powikłania i zatargi. Zresztą, od pierwszej zaraz chwili jego pojawienia się, pomiędzy dwoma wrogiemi obozami emigracyjnemi zaczęła się zażarta walka o Naczelnika. Deputacya pragnęła koniecznie wydobyć go z pod kurateli barssowej, przeciągnąć na swoją stronę, przez niego rządzić, przez niego przeciwników zgromić. Imano się w tym celu, bądź na miejscu w Paryżu, bądź też z Drezna, Lipska i kraju, ciągłej, natrętnej, osobistej i listownej pod jego adresem namowy. Używano do tego nieprzejednanego kasztelana Mniewskiego, przybyłego ze Stambułu napowrót nad Sekwanę wymownego „Sarmaty“ Turskiego, zbiegłego do Saksonii po niefortunnej wyprawie spiskowej litewskiej zapamiętałego generała Giedroycia, i innych powag radykalnych. Z kolepuszczono w ruch krajowe związki tajne i ich emisaryuszów, w zamiarze oddziałania na Naczelnika, zaimponowania mu, lub nawet wygórowania ponad nim, suggestyą rzekomej potęgi organizacyjnej i konspiracyjnej domowej. Liczono się przytem bardzo sprytnie z właściwą mu wielką na głos opinii narodowej, na wpływy postronne wrażliwością, wzmożoną jeszcze obecnie, po przebytych ciężkich doświadczeniach petersburskich, w nie jasnem na wychodźctwie położeniu. Te rachuby miały istotnie nie pozostać bez pewnego wyniku. Nie udało się wprawdzie nigdy tym mataczom całkowicie skonfiskować dla siebie Kościuszki. Ale udało się stopniowo

wsączyć niepokój, wnieść chwiejność do jego myśli i działań, postawić go nawet w niektórych przedmiotach zasadniczych wprost w sprzeczności z pierwotnem jego stanowiskiem. Jednakowoż z początku okazywał się on dosyć odpornym. Trzymał się mocno Barssa, a tem samem poniekąd agencyjno-legionowego kierunku. Był raczej za zupełnem skasowaniem Deputacyi, wiodącej właściwie, od czasu dokonanego w niej rozłamu, żywot wręcz samozwańczy. Był za stworzeniem na jej miejsce jakiegoś nowego ciała kompromisowego. Był w każdym razie za uciszeniem gorszących niesnasek, za zgodą. Uderzyła go szczególniej obecność śród gardłaczów deputacyjnych nad Sekwaną podejrzanego Maliszewskiego, któremu przypisywał zdradzieckie wydanie w Petersburgu swoich najtajniejszych starań przedinsurekcyjnych paryskich, czynionych ongi u Komitetu ocalenia publicznego. Kościuszko z tego powodu udzielił obecnie emigrantom paryskim, a nawet władzom francuskim, stosownego poufnego przed Maliszewskim ostrzeżenia, przez co w nim, jego kompanie Szaniawskim, i innych prowodyrach deputacyjnych, zyskał sobie wrogów nieubłaganych.

Tymczasem, w dni kilka po nakreśleniu rzeczonego pisma do Pawła, pośrodku tych wszystkich złud i matactw francuskich, niesmaków i zgrzytów emigranckich, przyszła Naczelnikowi szczera, zdrowa pociecha. Nadeszły przyniesione przez Tremona i Wasilewskiego wierne odezwy legionowe. Z wzruszeniem głębokiem odebrał on te drogie świadectwa niezachwianego przywiązania i ufności najlepszych, najtęższych rodaków. Odpisał wszystkim, od żołnierzy aż do oficerów, wszystkim równie pięknie, z tą swoją kochaną i trafną prostotą, jaką odnajdywał zawsze, ilekroć, zdala od umykających się jego pojęciu majaków polityki, czerpał zwyczajnie ze skarbów serca swego. „Ściskam każdego z Was — pisał „do obywateli żołnierzy, legie polskie składają-

cych"—z przywiązaniem statecznem, i nic nas nie rozłączy, chyba śmierć, gdy razem bić się będziemy za kochaną ojczyznę". Mówił im o obowiązkach wraz wojskowych i obywatelskich. Zalecał „karność i subordynacyę", „nierozerwaną jedność z Francuzami i Cyzalpinami". Zalecał też „nabycie umiejętności czytania i pisania rodowitym językiem", albowiem „Waszem jest przeznaczeniem zanieść dar wolności ojczyźnie i udział światła dla spółziomków". „Chcę być z Wami, — pisał do korpusu oficerów legionowych—chcę z Wami się złączyć dla służenia wspólnej ojczyźnie, skoro okoliczności tę miłą porę nam wskażą". Ważną przestrogę skierował do Rymkiewicza względem prowadzonej przez niego tajnej komunikacyi ze związkami krajowemi, która „może stać się okazyą rozdwojenia umysłów, sprzeczek i zamieszania". Radził tedy całkowicie „zaniechać korespondencyi składowej z krajowymi w sensie politycznym i nie narażać na prześladowanie współziomków nam przyjaznych w Polsce, zwłaszcza, że oni nic sami przez siebie uczynić nie są w stanie". Tak samo zresztą, nieco wcześniej, był przestrzegał krewkiego Giedroycia, potępiając niebezpieczną a warcholską robotę spiskową Centralizacyi i Deputacyi. W serdecznych wyrazach odzywał się do Wielhorskiego i Wybickiego. Temu ostatniemu polecał dla legionistów „katechizm republikański ułożyć... (na) miejsce opinii zabobonnej", oraz „pieśni pomiędzy współziomkami... pomnażać", t. j. dać inną, na miejsce ulubionej i utartej od roku legionowej, która widocznie wystawioną mu była jako niedość „republikańska". Wreszcie, w najważniejszej odpowiedzi pod adresem samego Dąbrowskiego, wyrażał mu pełne zaufanie i zatwierdzał go niejako moralnie na stanowisku legionowego dowódcy. Oświadczał się zarazem ponownie przeciw „składom wszelkim politycznym pod nazwiskiem deputacyi bądź korespondencyi". Wypominał znowuż „karność, jedność i zgodę". Ponawiał też z naciskiem zacną wskazówkę

względem „uczenia żołnierzy nieumiejętnych czytania, pisania, rachunków oraz wrażania powinności, cnotliwym obywatelom i żołnierzom przyzwoitych". Zaś podkreślając dobitnie hasło równości, obok niepodległości i wolności, „w legiach polskich—dodawał—widzę tylko zbiór obywateli oficerów i obywateli żołnierzy". Brał na siebie wyraźnie naczelną nad korpusem polskim opiekę. Donosił o widzeniu się swojem z Brunem, za jego bytności paryskiej, którego „prosiłem, aby miał staranie o Was i był Waszym ojcem". Jednocześnie nader doniosłej, choć ogólnikowej udzielał zapowiedzi, że „gdy się sprawować dobrze będą, mogą legiony być pomnożone. Ja sam ze swej strony starać się o to nie omieszkam". W rzeczy samej, zaraz wtedy, w sierpniu 1798 r., jeszcze przed wyprawieniem niniejszych odpowiedzi swoich, zwrócił się do Dyrektoryatu z memoryałem względem powiększenia legii we Włoszech. Jednak co do osobistego swego przybycia do legionów, wyrażał się z wielką ostrożnością, wskazaną przez niejasność własnego i ogólnego położenia politycznego. „Może,—pisał Dąbrowskiemu — że kiedy nieznacznie wypadnie mi się zobaczyć z Wami i uściskać Was braterskim afektem".

Głos Kościuszki przyjęty został w legionach z czcią należytą. Jego odezwy natychmiast publikowane były po batalionach; jego rady święcie wypełniane niby bezwzględne nakazy. Zajęto się gorliwie uczeniem niepiśmiennych wiarusów wedle jego życzenia. Zabrano się do ułożenia zaleconego przezeń „katechizmu", a nawet ogłoszono w tym celu paradny przy rozkazie dziennym konkurs literacki, którego nęcącą nagrodę stanowiła „pięcioletnia pod wierzch klacz szpakowata polska". W myśl otrzymanej od niego przestrogi, zwinięty został niezwłocznie przez Rymkiewicza cały „skład korespondencyi". Cudny to był stosunek tych młodych, bezdomnych legionów do starego, bezdomnego Kościuszki, w którego osobie, ponad wszelką, z rygoru okoliczności,

władzę cyzalpińską czy francuską, one wciąż uznawały najwyższą władzę naczelniczą polską, z wyboru serca i woli narodowej. Wzmocnione też znakomicie zostało przez jego aprobatę stanowisko Dąbrowskiego. Wprawdzie niebawem pokazały się pewne między nimi obu rozdźwięki. Uwydatniło się to już w najbliższych odezwach Kościuszki, gdzie nieraz ostro karcące Dąbrowskiego spotykało się słowo, albo niemiłe polecenie pseudo-Marsylianki Turskiego zamiast legionowego mazurka. Ale te tarcia doraźne, choć podsycane rozmyślnie przez malkontentów, znających łatwą Naczelnika wrażliwość, bez szkody przecie, za mądrym zwłaszcza wpływem asystującego mu ciągle Barssa, były kojone i usuwane. Stosunek obustronny utrzymał się naogół w karbach prawidłowych. Dąbrowski w każdej niemal rzeczy referował się do Kościuszki, zdawał mu regularnie z wszystkiego sprawę, odbierał stale jego skazówki. Wpływało to niepomału na przerwanie, do czasu przynajmniej, najzłośliwszych waśni w korpusie, i na ustatkowanie równowagi wewnętrznej w legiach.

A tem naglejsza teraz właśnie była tego potrzeba, iż zbliżała się dla legionów wyczekiwana z upragnieniem, lecz cięższa nieskończenie niż przewidywano, druzgocąca próba wojenna. Nowa chmura koalicyjna dopiero na dalekiej zbierała się północy, a już łyskać poczynało na bliskiem południu. Tam jeszcze czekano na Rosyę, a już tutaj zaczynał Neapol. Królowa Karolina, nieubłagana Francyi rewolucyjnej przeciwniczka, siostra ściętej Maryi-Antoniny, ciotka i teściowa cesarza Franciszka, kochanka Razumowskiego i Galla, kobieta przewrotna i śmiała, zdawna zapatrzona na rzymskie dla Neapolu zdobycze, postanowiła pierwsze uczynić uderzenie, mające porwać i Hofburg i Pawła. Wprzódy zaś, jeszcze, przed właściwym najazdem neapolitańskim na republikę rzymską, wszczęła znienacka, latem 1798 r.,

niby próbną przegrywkę, groźne powstanie chłopskie w pogranicznym departamencie Circeo. W armii rzymskiej działo się wtedy nienajlepiej. Skutkiem zatargów wewnętrznych, w lipcu t. r., odwołany stąd został Saint-Cyr. Dowództwo po nim objął Macdonald, Szkot z pochodzenia, syn zapalonego jakobity, sam niegdy oficer królewski, generał umiejętny, lecz bez wyższych uzdolnień, a bardzo przystępny podszeptom ambicyi i intrygi. T. zw. legia rzymska, poddana reorganizacyi, przyczem zleciał Grabowski a inni wynieśli się Polacy, licząca więcej oficerów niż szeregowców, żadnego nie dawała oparcia. Główne brzemię rozprawy z powstaniem spadło przeto na legię pierwszą Kniaziewicza. Walka z „baurami", jak z galicyjska mawiali legioniści, ze sfanatyzowanem chłopstwem rzymskiem, dobrze uzbrojonem, prowadzącem armaty, dowodzonem przez przebranych oficerów neapolitańskich i austryackich, okazała się nadspodzianie trudną i krwawą. Po raz pierwszy, od przygodnego ataku Liberadzkiego na Veronę i łatwej w obręby papieskie wyprawy Dąbrowskiego, znaleźli się w ostrym ogniu legioniści. Sprawili się dzielnie. W szeregu potyczek pod Ferentino, Frosinone, Terraciną, ugasili we krwi płomień powstania. Zasłużyli na pochwałę Macdonalda. Ale ponieśli straty stosunkowo znaczne, przeważnie w zabitych, gdyż z żadnej strony nie dawano pardonu.

Ten nieudany wybuch powstańczy pod Rzymem był drobnym, lecz znamiennym symptomatem odbywających się równocześnie za kulisami wielkich przygotowań koalicyjnych. Klucz tych przygotowań spoczywał w Petersburgu. Tegoż lata 1798 r. zjechali nad Newę od Franciszka I. dwaj jego i Pawła szwagrowie wirtemberscy, aby pospołu z przybyłym tu również, doświadczonym Cobenzlem, oraz posłami austryackim, gładkim Dietrichsteinem, angielskim, przedsiębiorczym

Whitworthem, i neapolitańskim, zręcznym Serra-Capriolą, przeważyć szalę decyzyi carskiej na rzecz wspólnej przeciw Francyi wyprawy wojennej. Starano się wyzyskiwać monarchizm nieprzejednany i żyłkę legitymistyczną Pawła. Car w tym czasie udzielił u siebie w Mitawie gościny pretendentowi Ludwikowi XVIII; karmił tłumy emigrantów francuskich; cały złożony z nich kilkotysięczny korpus księcia Condé trzymał w gubernii wołyńskiej i podolskiej pod Kowlem, Łuckiem, Włodzimierzem. Starano się też podniecać pychę samowładczą, porywy religijne, zachcianki rycerskie, ambicye światowe imperatora. Wskazywano mu wzniosłe posłannictwo wskrzesiciela tronu arcychrześciańskiego, bodaj nawet obrońcy tronu św. Piotra, pogromcy rewolucyi powszechnej, zbawcy i superarbitra Europy. Starano się również skorzystać z silnego ochłodzenia jego pierwotnych nastrojów prusofilskich, zwłaszcza od zgonu Fryderyka-Wilhelma II i bezowocnej misyi berlińskiej Repnina. Starano się natomiast uleczać cara z osobistych i politycznych uprzedzeń do Austryi, i nawet nawiązywać powinowactwo rodzinne między domem jego a habsburskim, przez planowane małżeństwo młodego palatyna Józefa z W. Księżną Aleksandrą Pawłówną. Cała ta gorączkowa gra o ostateczne pozyskanie Pawła, tak doniosła dla sukcesu i wogóle dojścia przyszłej koalicyi, miała w szczególności najżywotniejsze znaczenie dla Austryi. Ona bowiem znów musiałaby wziąć na siebie główne brzemię wojenne, a liczyć się przytem ciągle ze stojącemi na uboczu Prusami, skąd w razie niepowodzenia zawsze mogło spaść na nią zabójcze w plecy uderzenie. To też Austrya o tyle tylko chciała i mogła ważyć się na ryzyko nowego z Francyą pojedynku, o ile byłaby pewną czynnej asysty Rosyi, a tem samem pokrytą i zabezpieczoną przeciw Prusom.

Owóż jednym z najdzielniejszych ku temu sposo-

bów było podziałanie na Pawła, niby chustą czerwoną, postrachem konspiracyi polskiej. Należało tylko odnaleźć ją i namacalnie pokazać, zagnieżdżoną zwłaszcza pod berłem pruskiem, a przynajmniej wynaleźć i zaprodukować jej pozory. W rzeczywistości, w całej Polsce było podówczas cicho zupełnie. We wszystkich trzech dzielnicach, na szerokiej powierzchni przeciętnego ogółu i przeciętnej opinii publicznej, po ostatniem rozczarowaniu campoformijskiem wzrosły nawet prądy raczej ugodowe. Odbiło się to również na pruskiej Warszawie. Po zaszłej w listopadzie 1797 r. śmierci Fryderyka-Wilhelma II, zdradzieckiego sprzymierzeńca i rozbiorcy Polski, jego sukcesor Fryderyk-Wilhelm III i piękna królowa Luiza po raz pierwszy, zamiast hołdu pruskiego składanego koronowanemu elektowi Rzpltej, odebrali w Królewcu hołd koronacyjny od wiernopoddańczej deputacyi polskiej. Wkrótce potem, po zaszłym w początku 1798 r., wśród błyszczącej nędzy niewolniczej w Petersburgu, nagłym zgonie ostatniego elekta, Stanisława-Augusta, młoda para królewska pruska zjechała latem t. r. do Warszawy. Spotkała się tu z przyjęciem wspaniałem ze strony wyższego zwłaszcza towarzystwa, którego imieniem czynił jej honory polskiej stolicy osiadły tu odtąd na stałe najświetniejszy przedstawiciel arystokracyi polskiej, były wódz naczelny armii polskiej, ks. Józef Poniatowski. Ze swej strony, nowy monarcha, nie mając na sumieniu zbrodni politycznych swego poprzednika, starał się łaskawością osobistą ujmować sobie polskich swych poddanych, wyższego szczególnie stanu, i tą osłodą łagodzić, a naprawdę ułatwiać, niezmienne, celowe ciśnienie administracyjne. Łaskawość dworska i ucisk rządowy, karesy i represya, tak w tej dzielnicy, jak i w innych, wybornie dopełniały się nawzajem. Należało to do utartej już metody działania wszystkich trzech mocarstw rozbiorczych w Polsce: w jednej ręce pałka,

w drugiej cukier, i to zatruty. Albowiem kaptacya, jak się rzekło, zlewala się z prowokacyą, a coraz umiejętniejszą, coraz wyszukańszą, zatrutą podwakroć, obliczoną nietylko na pogrążenie idących na jej lep ofiar polskich, lecz zarazem na wzajemne skompromitowanie samychże rządów. Pod tym względem między Prusami a Austryą wciąż szedł wyścig o lepsze, t. j. o to, kto kogo, za tajne w sprawie polskiej spiskowe z Polakami grzechy, potrafi lepiej pogrążyć przed wspólnym przedmiotem pożądliwej miłości i panicznego strachu, przed potężnym podziałowym dawcą i sędzią rosyjskim.

W takim to mianowicie kierunku wysiliła się obecnie wytrawna sztuka gabinetu wiedeńskiego, podcinana pilną potrzebą zyskania Pawła dla przyszłej koalicyi. Po niejakiej ciszy od zeszłorocznej afery galicyjsko-wołoskiej, podane zostało policyi austryackiej hasło do nowej wytężonej działalności. Zaczęło się, jak wspomniano, od uwięzienia w Pradze, wiosną 1798 r., starszego Kochanowskiego. Sprowadzono go do Krakowa i otwarto tutaj na wielką skalę śledztwo polityczne *lege artis*. Była to w istocie gratka nielada, gdyż w pochwyconej przy nim korespondencyi znalazły się nici tajemne, wiodące przez Woyczyńskiego i Radziwiłła za kordon pruski, do Warszawy i Berlina. Zaraz poszło ostrzeżenie poufne do Petersburga. Zaraz też wznowiły się liczne aresztowania na Litwie, gdzie w najbliższych miesiącach wzięci zostali Wawrzecki, Niesiołowski, Brzostowski, Giełgud, Sołtan, Tyzenhaus i wielu innych wybitnych patryotów, i sprowadzeni na surowe śledztwo do Wilna. Wtem, z początkiem lata, przypadł powrót Kościuszki, wywołując żywy niepokój i srogą pasyę carską. Teraz sam Paweł zwrócił się do Berlina i Wiednia z żądaniem pochwycenia „zdrajcy" Kościuszki i spikniętych z nim buntowników polskich. Z obu stron, pruskiej i austryackiej, objawiono oczywiście zupełną w tym względzie kon-

kurencyjną gotowość. Rzecz jednak polegała na tem właśnie, aby dobrą wolą i niepokalaną czystością własną prześcignąć konkurenta i obnażyć jego dwulicowość i winę.

Dla dopięcia głównego tego celu, zdobyto się w Wiedniu na krok bezwzględny i jaskrawy. Latem 1798 r. aresztowano w Bardyowie na Węgrzech, przebywającego tam u wód, najwybitniejszego po Kościuszce byłego petersburskiego jeńca, Ignacego Potockiego. Zawieziono go pod strażą do Krakowa, opieczętowano mu papiery w Kurowie i w jego mieszkaniu gościnnem w Puławach. Wzięto zarazem w grzeczny areszt samego starego Czartoryskiego, którego skierowano na indagacyę do gubernium lwowskiego. Następnie aresztowano w Białaczewie marszałka Małachowskiego i wyprawiono na śledztwo główne do Krakowa. Jednocześnie uwięziono szereg figur pomniejszych, a bądźcobądź wydatnych, przeważnie członków Centralizacyi lwowskiej, kładąc faktycznie kres dalszemu jej istnieniu. Zażądano też kategorycznie od Prus wydania wielu poszlakowanych o współwinę obywateli, zamieszkałych w kordonie tamecznym, i dostarczenia ich do inkwizycyi krakowskiej. Tutaj, w Krakowie, ześrodkowano rzecz całą w ogromnym procesie śledczo-sądowym, mającym unaocznić ogrom wykrytej konspiracyi. Punkt ciężkości w tem wszystkiem najwidoczniej spoczywał nietyle w obnażeniu spiskowej „intrygi polskiej", ile rządowej pruskiej. Wobec tak przejrzystej intencyi, władze pruskie pośpieszyły przesłać na gwałt własnych urzędników do Krakowa, dla asystowania przy szczególniejszem tem śledztwie, gdzie naprawdę oskarżane były Prusy, a trybunałem najwyższym naprawdę był Paweł. W istocie, rozczytując się w tych olbrzymich protokółach śledczych krakowskich, aż do śmieszności widoczna, jak w krzyżowym ogniu niezliczonych zdradliwych pytań, zadawa-

nych inkwizytom polskim, co kroku inkwirenci naczelni austryaccy wprost zmierzali do wydobycia zeznań, obciążających Berlin, zaś nieboracy asystenci pruscy szukali ratunku przez wywołanie naodwet zeznań, obciążających Wiedeń. Rząd berliński spróbował nawet odparować grę wiedeńską przez podobny ze swej strony jaskrawy akt gorliwości. Skoro tam poświęcono Czartoryskiego, spowinowaconego z cesarzem Franciszkiem, tutaj poświęcono Radziwiłła, żonatego z kuzynką Fryderyka-Wilhelma. Urządzono surową u niego rewizyę w pałacu Bellevue pod Berlinem. Przez trzech, wydelegowanych we własnej osobie ministrów stanu, Haugwitza, Alvenslebena, Goldbecka, uroczyście nałożono pieczęcie na jego papiery. Groźnem pismem odręcznem królewskiem zażądano od niego wytłómaczenia się z zarzucanej mu zbrodni stanu i występnych stosunków z „Polakami francuskimi". Samemu zresztą Radziwiłłowi wielkiej nie uczyniono krzywdy, ale narobiono hałasu coniemiara. Sporo też śród obywatelstwa w Wielkopolsce i Warszawie dokonano świeżych rewizyi i aresztów. Zaś o wszystkich tych dziełach chwalebnych nieomieszkiwał, rzecz prosta, usłużny Haugwitz skwapliwie powiadamiać Panina, ku jego zbudowaniu i zasłużeniu na łaskawe uznanie carskie. Tak więc utarta zasada średniowieczna: „biiesz mego żyda, „biję twego żyda", doczekała się dziwnego udoskonalenia: każdy bił swego Polaka. Ale ta metoda, stosowana później przez Prusy z takiem powodzeniem właśnie w stosunku do Rosyi, w obecnej porze przyszła zapóźno, nie miała pożądanego sukcesu, nie zdołała już powstrzymać dalszego od Berlina odsunięcia się Rosyi, ani też dalszego jej zbliżenia do Wiednia i sposobionej tam nowej koalicyi. Przeciwnie, konkurencyjna na tem polu robota gabinetu wiedeńskiego w danej chwili dużą okazała wyższość i oczekiwany wywarła skutek. Puszczone w ruch stamtąd mądre i mocne spo-

soby podjudzania i trwożenia Pawła polskiem, polsko-francuskiem i polsko-pruskiem niebezpieczeństwem, nie minęły bez należytego wrażenia. Przyłożyły się też ubocznie, lecz wcale skutecznie, do ułatwienia, w ciągu lata i jesieni 1798 r., głównych prac dyplomatycznych nadnewskich, celem pociągnięcia Rosyi nieodwołalnie na tory koalicyjno-wojenne.

Jednakowoż dla tych prac arcydoniosłych najskuteczniejsze pchnięcie pomocnicze miało przyjść skądinąd, ze Wschodu. Najskuteczniej albowiem udało się wygrać w Petersburgu walny atut, dostarczony przez wyprawę egipską Bonapartego. Ten nieoczekiwany zwrot zdobywczy Francyi rewolucyjnej ku Wschodowi wydał się nad Newą wprost świętokradczym i zgoła niedopuszczalnym zamachem na przynależną samej tylko Rosyi, dojrzewającą dla niej wyłącznie od Piotra W. aż do Katarzyny, prawowitą zdobycz i sukcesyę bizantyjsko-turecką. Wprawdzie równocześnie podjęta została z Paryża nadzwyczaj ciekawa próba polubownego w tej mierze z Petersburgiem porozumienia. Na początku tegoż lata 1798 r., zbliżony do rządu francuskiego Szwajcar Laharpe, będący z dawniejszej guwernerki wielkoksiążęcej w osobistych z dworem carskim stosunkach, imieniem Dyrektoryatu, a z natchnienia Talleyranda, zwrócił się z pismem najpoufniejszem wprost do Pawła, ofiarując mu związek sprzymierzeńczy z Republiką, za cenę podziału Turcyi między Rosyą a Francyą. Ale taka kombinacya niezwykła i nienaturalna, w późniejszej szczęśliwszej nawet porze, nazajutrz po Austerlitzu i Friedlandzie, nie wytrzyma rachunku pomiędzy Napoleonem zwycięzcą a pobitym Aleksandrem. Teraz zaś, w przededniu Trebbii i Novi, taka kombinacya spólnicza musiała Pawłowi samodzierżcy wydać się szczytem czelności szalbierzy dyrektoryalnych, albo też poprostu zastawioną przez nich pułapką, celem odstręczenia od niego wszyst-

kich mocarstw zainteresowanych na Wschodzie. Grzech polityczny egipskiego przedsięwzięcia od pierwszego zaraz kroku mścił się z konsekwencyą nieubłaganą. Do tylu zarzewi, tlejących w stronie zachodniej, a już zajmujących się płomieniem od neapolitańskiego podmuchu na palnym gruncie włoskim, dorzucona została nadomiar groźna żagiew sprawy wschodniej. Pod znakiem tej sprawy podnosiła się przeciw Francyi potworna koalicya austryacko-angielsko-turecko-rosyjska. Skojarzenie żywiołów tak sprzecznych byłoby w zwyczajnym rzeczy porządku wprost niepodobieństwem. Teraz wszakże paradoksalny ten związek miał szybko i gładko stać się czynem dokonanym, dzięki nadbiegłym w samą porę odgłosom rozgrywającej się równolegle fantastycznej wyprawy Bonapartego.

ROZDZIAŁ DRUGI.

LEGIONY BEZ BONAPARTEGO.

I.

Bonaparte po niebezpiecznej, powolnej żegludze w początku czerwca 1798 r., z całą flotą swoją przystanął pod Maltą. Wyspa, broniona przez szczęśliwe położenie przyrodzone, potężne bastyony, ogromną artyleryę, kilka tysięcy załogi, była prawie nie do zdobycia siłą, zwłaszcza z koniecznym w tym wypadku pośpiechem. Ale władający nią Zakon, toczony wewnętrzną zgnilizną, tak samo jak przedtem Wenecya, w mgnieniu oka uległ śmiałości i zdradzie. Kiedy wczesnym rankiem letnim skoczyli z szalup Francuzi na skaliste pobrzeże, jeden z najpierwszych Polak Maltańczyk Sułkowski, poprzez urwiska, fosy, szkarpy, zwinnym pędem prowadził grenadyerów do ataku na baterye Valetty. Natychmiast, ściśle na modłę wenecką, wybuchły rozruchy śród ludności maltańskiej, rozdwojenie śród kawalerów. Poczem w niewiele godzin nastąpiła kapitulacya, zatknięcie trójkolorowej chorągwi na starożytnej katedrze św. Jana, upadek istniejącego od blisko siedmiu wieków Zakonu. I tym razem również Sułkowski, w ostentacyjnem piśmie do swych przyjaciół paryskich, opisywał z zapałem prędkie zwycięstwo, a usprawiedliwiał też najazd gwałtowny,

piętnował „tyrańskwo" i znikczemnienie spróchniałej, przeżytej braci rycerskiej zwyrodniałych Joannitów. Ale wzięcie Malty niebezpiecznym było sukcesem. Wydzierało smaczny łup Rosyi; rozjuszało do ostateczności nowego opiekuna Zakonu, Pawła.

Uwinąwszy się z wyspą, Bonaparte wprost już do afrykańskiego poszybował lądu. W początku lipca, w jasną noc księżycową, szczęśliwie przybił do delty nilowej tuż pod Aleksandryą. Nazajutrz, o samym świcie, przy trudnym szturmie Aleksandryi znów przodował Sułkowski, wedle słów własnych, do głębi „wzruszony wielkiem tego miejsca wspomnieniem, chwilą przedziwną, romantycznym widokiem". Na czele kolumny szturmującej, z właściwym sobie zimnym szałem bojowym, podwakroć zrzucany z murów, wdarł się przez wyłom do miasta. Bił się pod okiem Bonapartego, i zaraz na miejscu posunięty został na szefa szwadronu. Prócz niego zresztą, w tej pierwszej akcyi czynny był również Łazowski. Jednakowoż dla wojsk, przygotowanych na zamorskie cuda z tysiąca i jednej nocy, a przyrodą i kulturą włoską spieszczonych, nędzny i wrogi wygląd zdobytej ptolomeuszowej stolicy, surowe oblicze rozpościerającej się dokoła pustyni, okrutnym były zawodem. „Zawiedzeni zostaliśmy — biadał żałośnie Szumlański — w nadziei oczekiwanej przyjemności, bowiem zastaliśmy miasto puste, sklepy liche, pozamykane, niesłychane gorąco, a w miejscu ludzi mnóstwo jadowitych much, owadów, robactwa, że się prawie pod naszem okiem sprawdzała kara Boża owych plag siedmiu, na Egipt dopuszczonych".

Nie dając czasu szemraniom, Bonaparte już w dni kilka pociągnął z armią dalej ku południu, faraonowemi szlaki. W straszliwym przez pustynię pochodzie, szczęśliwemu dotychczas zwycięzcy żywej mocy ludzkiej nasampierw udzieliła przestrogi ta sama martwa siła przyrody, która wydobytego tu z ledwością z piaszczystych

afrykańskich żarów pogrąży kiedyś doszczętnie w zlodowaciałej moskiewskiej równinie. Po niełatwej potyczce nilowej pod Szebrachitem, gdzie uczestniczyli Zajączek, Łazowski, Szumlański, w drugiej połowie lipca zniesieni zostali waleczni mamelukowie Murada beja pod Piramidami. Ujrzano tu znów Sułkowskiego, jak z fantazyą staropolską wylatywał przed front batalionów, na harce w pojedynkę z opancerzonymi jeźdzcami egipskimi. Po poddaniu się nazajutrz Kairu, zaraz w pierwszych dniach sierpnia ruszono w dalszy pościg za uchodzącym do Syryi nieprzyjacielem. I raz jeszcze, w oczach wodza, pod Salhejem, w krwawem starciu z karawaną Ibrahima beja, na czele paruset szaserów i huzarów, wściekle nacierał Sułkowski na roje świetnej konnicy mameluckiej w lśniących zbrojach i szyszakach; olbrzymiego czarnego Berberyjczyka w ręcznej zwalił rozprawie; odniósł dziesięć ran od kul i kling damasceńskich; i wziął na placu boju stopień szefa brygady. Już przecie Bonaparte poczynał przeświadczać się o niedocenionych, nieprzewidzianych trudnościach wyprawy. Wtem, w drodze powrotnej do Kairu, odebrał wiadomość fatalną, niweczącą już właściwie w zarodzie samo założenie i przyszłość egipskiego przedsięwzięcia. Było ono narażone oddawna przez groźne skutki trzytygodniowego opóźnienia, z powodu afery Bernadotta. Oddawna też eskadra angielska pod admirałem Nelsonem biegła tropem okrętów, wiozących wyprawę Bonapartego. Aż nareszcie, naprowadzona na ślad właściwy przez dwór neapolitański, dopadła ich z początkiem sierpnia 1798 r. pod Abukirem i od jednego zamachu zniszczyła całą flotę francuską.

Cios był niepowetowany, doniosłości niezmiernej pod względem zarówno wojennym, jak politycznym. Bonaparte został odcięty od Francyi, zamknięty w Egipcie, pozbawiony wszelkich widoków dywersyi w kierunku Turcyi. Natomiast daną została potężna ostroga wszystkim dotychczasowym knowaniom koalicyjnym.

Przedewszystkiem nastąpiło wrogie zdeklarowanie się Porty ottomańskiej. Szczególną ironią i logiką wypadków, tego samego dnia, kiedy w Dyrektoryacie paryskim, po próżnych przez Laharpa umizgach do Petersburga przeciw Turcyi, uchwalono po niewczasie wyprawić Descorcha z nową misyą przeciw Rosyi do Stambułu, nakazywał tutaj sułtan Selim III, odwiecznym przedwojennym zwyczajem, zamknąć rezydenta Republiki w Siedmiu Wieżach. Porta od chwili najścia Francuzów na Egipt gwałtownie była naciskana sprzymierzeńczą od Pawła namową, lecz wzdragała się zrazu przed dzikim dla niej z Moskwą przeciw Frankom sojuszem. Obecnie jednak, po Abukirze, uległa odrazu. Zdobyła się, już z końcem sierpnia 1798 r., na konwencyę wojskową z Rosyą. Wpuściła eskadrę oczakowską na Bosfor. Wreszcie, w początku września, wypowiedziała wojnę Republice francuskiej; wyrznęła załogi francuskie w Dalmacyi; rzuciła hasło wojny świętej przez Syryę i Arabię do doliny nilowej przeciw Bonapartemu.

Z drugiej strony, w Petersburgu, pod wrażeniem wieści abukirskiej, znacznie ożywiły się toczone tam najgłówniejsze rokowania koalicyjne. Pod koniec września 1798 r., podpisana została umowa wojskowa austryacko-rosyjska o wkroczeniu posiłkowego korpusu carskiego do Galicyi. Jeszcze przecie znaczne były trudności z nieobliczalnym Pawłem, a bróździła też miejscowa, czysto nadnewska intryga pałacowa. Wtedy z przeciwnego znów krańca śmiało przedsięwzięła przyśpieszyć rzeczy i sprowokować koalicyę namiętna królowa Karolina. W listopadzie t. r. wojska neapolitańskie uderzyły znienacka, bez wypowiedzenia wojny, na zajęty przez Francuzów i Polaków Rzym. Zarazem ostatecznie „wziął na kieł" Paweł. Na uroczystym obchodzie w Pałacu Zimowym przybrał w listopadzie godność wielkiego mistrza maltańskiego; ustanowił nowe przeorstwa i komandorye prawosławno-rosyjskie; wywiesił chorągiew zakon-

ną św. Jana na bastyonach Admiralicyi petersburskiej. Związał się też niebawem, w grudniu 1798 r., traktatem sprzymierzeńczym z Anglią i posiłkowym z Neapolem. W styczniu 1799 r., zamienił konwencyę z Portą na formalne przymierze, rozciągnięte również na Neapol i wnet w czyn wprowadzone braterskim atakiem floty turecko-rosyjskiej na wyspy jońskie i Maltę. Z kolei, pod pieczą subsydyową angielską, doszedł pełny sojusz austryacko-rosyjski, uświęcony następnie związkiem małżeńskim W. Księżny z arcyksięciem. W ten sposób skute zostało walne ogniwo środkowe w ogromnym koalicyjnym łańcuchu. Nakoniec padły ostatnie międzynarodowe pozory i szranki, wraz z przeciąganym rozmyślnie, a wreszcie, przez mord posłów francuskich, krwawo rozegnanym kongresem rastadzkim. Rozpalający się stopniowo przez tych kilka miesięcy ogień wojenny mógł od wiosny 1799 r. powszechną pożogą okolić zewsząd Francyę, srodze osmalić jej skrzydła, spędzić ją ze wszystkich niemal stanowisk zdobywczych, i w obliczu zupełnej, zewnętrznej i wewnętrznej, postawić katastrofy.

Bonaparte, rażony gromem morskiej pod Abukirem klęski, musiał bystro przejrzeć dalekie jej skutki i już odtąd właściwie całą swą wyprawę uznać w zasadzie za chybioną. Ale jeszcze nie rezygnował bynajmniej. Zostawiał miejsce rozwojowi wypadków i polotowi własnej wyobraźni, zamkniętej teraz z konieczności w obrębie Wschodu. Tymczasem zaś po swojemu skupił się na bezpośrednio najbliższem zadaniu twórczem. Przedsięwziął utrzymanie w garści, obronę i organizacyę wojskowo-cywilną samejże opanowanej zdobyczy egipskiej. Zabrał się do tego ze zwykłą genialną energią, wszechstronnością, intuicyą. Zanurzył się w głąb stosunków bytowych i duchowych obcego oryentalnego i muzułmańskiego świata. Łącząc siłę z wyrozumieniem, z niejakiem aż, jak sam wyznawał, „szarlatańskiem", umiał w pewnej dostępnej mierze trafić do szeików, ulemów

i muftich kairskich, do egipskiego pospólstwa i arabskiej dziczy. Przetrwał też dodziśdnia w pamięci i wyobraźni dalekich ludów wschodnich, jako bajeczny „Bunaberdi", groźny i mądry sułtan „El Kebir". Pozostawił niezatarte ślady obecności i ręki swojej na kulturze i urządzeniach Egiptu. Upamiętnił się nazawsze nawet w rzuconej wtedy przez siebie myśli kanału sueskiego, nawet w zrodzonej wtedy, dzięki towarzyszącym mu oficerom i uczonym, sztuce odczytywania hieroglifów. Tutejszą egzotyczną swoją politykę wewnętrzną oparł na fakcie gnębienia i wyzyskiwania kraju przez nienawidzonych od ludności miejscowej, panujących przybyszów mameluków. Zaś konfiskując ich majętności i obalając władzę, usiłował tem samem oprzeć się na fikcyi, jakoby wojował z nimi tylko, nie z padyszachem, ani tuziemcami. Owszem, uroczyście poręczał „narodowi egipskiemu" poszanowanie religii, własności, prawodawstwa, nadawał jakieś pozory samorządne a także niektóre istotne reformy społeczne. Lecz koniec końcem, zamiast mameluckiego jarzma, nakładał inne, niemniej uciążliwe a mniej znośne, bo bardziej obce.

W podejmowanej przez niego nad Nilem różnostronnej działalności militarno-administracyjnej brali też żywy udział nieliczni przytomni tu Polacy. Sułkowski, świeżemi okryty jeszcze ranami, z szlachetnym zapałem pracował w powołanym do życia w Kairze Instytucie egipskim, budząc wiedzą i talentem podziw uczonych swych kolegów francuskich. Zasiadał on tu w wydziale ekonomii politycznej, gdzie rozstrząsano szereg zagadnień żywotnych, podanych od wodza naczelnego, o stanie miejscowej jurysprudencyi, procedury cywilnej i karnej, wychowania publicznego. Wszedł też zaraz do składu osobnej komisyi, wysadzonej celem zredagowania odpowiedzi na wnikliwe zapytanie Bonapartego: „jakie udoskonalenia w rzeczonych dziedzinach są wykonalne, a zarazem pożądane przez ludność krajową?". Trudził się

nad poprawą losu egipskich fellachów, skoro nie było mu danem, jak marzył, ulżyć doli polskiego chłopa.

Zajączek, „generał *Pastèque*“, jak przezwali go żołnierze francuscy, za objadanie się ulubionym melonem, jedyną w zakazanym Egipcie godną szlachcica strawą, przypominającą rodzinne Podole, zachował nad Nilem gęstą minę konfederata barskiego. Nie przestawał, w obozowiskach nad Nilem, kolegom Francuzom tak dobitnie kłaść w głowę konieczności odbudowy Polski, że mu to oni po wielu jeszcze leciach przypominać będą. W stopniu swym brygadyerskim użyty przy kawaleryi, przeprowadził wzorowo remont powierzonej sobie jazdy dragońskiej ze szlachetnych koni arabskich. Nieomieszkał zresztą kilku pięknych stąd okazów posłać w upominku swemu niegdy dobroczyńcy, hetmanowi Branickiemu, dla białocerkiewskiego stada. Przeznaczony następnie do czynności administracyjno-skarbowych, jako gubernator kilku prowincyi egipskich, co osobliwszą zapewne było propedeutyką dla przyszłego Namiestnika Królestwa Polskiego, sprawnie wywiązał się z tej trudnej funkcyi, polegającej głównie na ściąganiu podatków z zarządzanych rozległych dzielnic i utrzymaniu ich w posłuszeństwie.

Tutaj to najniespodzianiej wykryty przez niego został jeden jeszcze polski na ziemi Faraonów tułacz, ksiądz Prosper Burzyński. Wstąpiwszy zamłodu do zakonu św. Franciszka obserwancyi braci reformatów mniejszych, Burzyński, uchwałą kongregacyi małopolskiej, za zezwoleniem papieskiem, wyprawiony był w 1790 r. jako misyonarz apostolski, do Egiptu i Syryi, gdzie przez blisko dwudziestolecie z poświęceniem zupełnem umiłowanemu oddawał się posłannictwu. Spotkał on teraz w pustyni zabłąkanego ze swą jazdą Zajączka, wyprowadził go i wyratował, przestrzegł przed zatrutą studnią, a i nadal doświadczoną stale wspierał radą, przychylał mu ciemne umysły tuziemców przez swe arabskie przeciw „szemraniom“ ewangeliczne kazania. Został też od-

tąd, mimo różnice pojęć, dozgonnym przyjacielem radykalnego generała; i kiedyś, po wielu leciech, zasiadłszy dzięki niemu na sandomierskiej stolicy biskupiej i krześle senatorskiem warszawskiem, poróżnionemu z własnym narodem Namiestnikowi poczciwą dłonią stare zamknie oczy.

Łazowski, czasowo towarzysząc Zajączkowi, potem zajęty był przeważnie przy pozostawionych w delcie wojskach okupacyjnych. Tam, z niepowszedniem swem uzdolnieniem inżynierskiem, okazał się szczególnie użytecznym przy nakazanej przez Bonapartego fortyfikacyi ujścia Nilu pod Damiettą. Trzej przygodni uczestnicy wyprawy, Grabiński, Szumlański i Hauman, w charakterze raczej ochotniczym mężny mieli udział w pierwszych tylko akcyach między Aleksandryą a Kairem. Już w początku września 1798 r., poderwani klimatem na zdrowiu, zyskali pozwolenie powrotu; lecz pochwyceni w drodze przez korsarzy tureckich, dostali się na mękę okrutną do Siedmiu Wież i lochów Tersany w arsenale stambulskim. Tam nędznie zginął waleczny Hauman; zaś szczęśliwym ledwo trafunkiem, dzięki protekcyi pruskiej i rosyjskiej, po długiej męce, wydobędą się stamtąd Grabiński i Szumlański. Wreszcie, skoro znalazła się nad Nilem gromadka szlachty polskiej, musiał oczywiście pośród nawiasowych materyi egipskich, w luźnym bodaj związku, trafić się także „żyd polski“, wspomniany poprzednio, stary Zalkind Hurwicz z Lublina. Ubogi dziwak-erudyt, zapędzony żądzą nauki z kraju do Paryża, autor odznaczonej w Metzu rozprawy konkursowej o reformie żydów, zachęcony przez Lafayetta i Mirabeau, z polecenia oryentalistów paryskich mianowany tłómaczem i konserwatorem w dziale wschodnim Biblioteki Narodowej francuskiej, popularny spółpracownik dzienników żyrondystowskich, poczytywał się szczerze za Polaka i podpisywał w druku i aktach urzędowych jako „*Polonais*“. Owóż pragnął on koniecznie

dostać się do Egiptu i ofiarował w tym celu swoje usługi, jako znawca gruntowny języków wschodnich. Był też później przeznaczony przez Bonapartego na zarządcę drukarni arabskiej i wydawcę czasopisma w tym języku w Kairze, przyczem zapewne miałby także oddziaływać w przychylnym duchu na żydów egipskich i syryjskich.

Bonaparte, odcięty po Abukirze od wszelkich z domu zasiłków, musiał odtąd dla utrzymania swej armii coraz mocniej wyciskać ogromną, lecz znędzniałą, nie liczącą wtedy ponad trzy miliony mieszkańców, krainę nilową. Zarazem wrogie wystąpienie Turcyi, znosząc fikcyę rzekomej z mamelukami jeno, a nie z Portą, wojny, podważało go z gruntu w Egipcie. Pierwszym tego objawem było groźne powstanie w Kairze pod koniec października, łatwo wprawdzie uśmierzone, lecz opłacone drogocenną krwią Sułkowskiego. Cały jeszcze obandażowany, osłabiony od ran niezagojonych, a porwany nieposkromionym temperamentem, wybiegł on przed świtem, 22 października 1798 r., z nieliczną eskortą na rekonesans, poza drgający jeszcze odgłosem rozruchów Kair. Wtem opadnięty na cmentarzysku przedmiejskiem, pod starym meczetem, przywalony upadkiem swego konia, przebity gradem oszczepów, został rozszarpany na strzępy, iż potem ledwo po kosmyku jasnego wąsa okrwawione rozpoznano szczątki. Tak młodego, chmurnego dokonał żywota błędny polski rycerz wolności i sławy, a wbrew sławie i wolności żałosna ofiara czarnej tłuszczy barbarzyńskiej, podnoszącej się przeciw najeźdzcom. Kiedy w parę godzin wieść żałobną przyniesiono Bonapartemu, „umarł,—rzekł z gorzkiem uczuciem ciężkich trosk własnych—jest szczęśliwy". Ale stratą jego żywo był dotknięty i srogo ją pomścił. Rozkazał na miejscu zburzonego meczetu, po drodze do Belbeisu, gdzie on zginął, wznieść „fort Sułkowskiego", którego ślady przetrwały podziśdzień. Nieraz później, w nocnych

z powiernikami rozmowach, na tarasie kairskiego swego pałacu, wspominał go „z żalem głębokim“, unosił się nad jego „charakterem, piękną odwagą, niewzruszoną krwią zimną”. A wspominając wraz o losie rozszarpanej Polski, dodawał „z żywem ubolewaniem, iż ten, kto podjąłby się jej wskrzeszenia, bezcennego miałby w Sułkowskim człowieka”.

Ale to były rzeczy nieskończenie w tej chwili dalekie. Trzeba było wybrnąć z afrykańskiej matni. Trzy drogi wyjścia nastręczały się Bonapartemu: utrwalić się w Egipcie, dotrzeć do Konstantynopola, rzucić się do Indyi. Wszystkie jednakowo były zgubne. A już wynurzała się czwarta: wrócić samemu bez wojska do domu. Lecz ta, choć najprostsza, nie była zgoła do pomyślenia inaczej, jak pod warunkiem podwójnym, iżby Francya znalazła się w potrzebie, a on wracał do niej z chwałą. Tedy postanowił wprzódy wypróbować jeszcze dróg tamtych, gotując się zarazem i do tej, przez egzotyczne zwycięstwa własne, na wypadek klęsk europejskich Republiki. Po blisko półrocznym w Kairze pobycie, udał się najpierw w grudniu 1798 r., na rekonesansową do Suezu wycieczkę. Wtedy to, zaskoczony przypływem, w fantastycznym, nocą, konno, przez morze Czerwone powrocie, omal faraonowego nie doczekał się końca. Poczem w styczniu 1799 r., uprzedzając skombinowane natarcie anglo-rosyjsko-tureckie od strony północno-wschodniej, ruszył na wyprawę syryjską. Dwie trzecie armii musiał zostawić w Egipcie; wziął z sobą do 13 tysięcy najlepszego żołnierza. Wstępnym bojem zdobył twierdzę pograniczną Arisz, gdzie ranny był Łazowski; w lutym wtargnął do Palestyny. Tutaj atoli z nadspodzianie twardym spotkał się odporem wspomaganych przez Anglię Turków. A nie przydała się też na nic ognista odezwa, jaką wydał do żydów tamecznych, mocno przeciw niemu obstawających za padyszachem. Sam on zresztą oczywiście nie dbał o Ziemię Świętą, choć kroczył sław-

nemi ślady krucyaty francuskiej Godefroy de Bouillon. „Jerozolima — mówił — nie leży w mojej linii operacyjnej". Ani też nie myślał naseryo o jawnie niewykonalnej ekspedycyi do Indyi, choć i nadal rozmyślnie o niej puste rozgłaszał wieści. Najpewniej marzyło mu się jeszcze dotrzeć może lądem aż nad Bosfor i od strony azyatyckiej zagrozić Stambułowi. Po krwawym szturmie, gdzie powtórną ranę odniósł Łazowski, opanował Bonaparte Jaffę. Kazał tu w pień wyciąć, tyleż przez srogą konieczność wojny, ile dla postrachu, do 2 tysięcy załogi arnaucko-albańskiej; ale też na miejscu rzezi spotkał gorszą od Turka wrogą ohydę, zarazę morową. Wreszcie, w połowie marca, dalej w górę nadmorskim ciągnąc szlakiem, natknął się na przeszkodę nieprzebytą, obronną Akkę. Rozbił jeszcze w kwietniu na miazgę śpieszące z odsieczą wojska tureckie pod górą Taborem; a odprawiwszy *Tedeum* w kościołku nazaretańskim, zawrócił przed obleganą twierdzę. Ale poradzić z nią nie mógł, mimo wysiłków nadludzkich. Musiał w końcu maja 1799 r. zwinąć oblężenie, nakazać odwrót do Egiptu, wyrzec się dalszych oryentalnych widoków. „Pod Akką—są jego wyrazy—umarła moja wyobraźnia".

Tutaj prysły ostatnie miraże Wschodu, a tem silniej znów europejska ozwała się rzeczywistość. W istocie, podczas tego oblężenia odebrał Bonaparte pierwsze wieści pewne o rozpętanej już na Zachodzie zawierusze koalicyjnej i pod ich wpływem postanowił w każdym razie do Francyi pośpieszyć. Zresztą, w całej tej straszliwej wyprawie syryjskiej i straszliwszym jeszcze odwrocie, zgoła pokrewnym okropnością moskiewskiemu, okazał moc duszy wielką, a nieraz wspaniałą gestu prostotę. Tak w Jaffie, by stłumić trwogę wojska przed morderczą zarazą, sam udał się do szpitala zadżumionych; półtory godziny bawił; pocieszał chorych; własnoręcznie przenosił z posługaczem murzynem umierającego żołnierza, okrytego pianą i ciekącą z otwartych bubo-

nów ropą. Tak znów, w spiekocie pustyni syryjskiej, kroczył pieszo na czele, konia własnego oddawszy dla ambulansu. Zaś śród nadleciałej wtem trąby powietrznej, „Dokąd bieżycie? — tem słowem spokojnem odrazu uciszył panikę oszalałych, duszonych słupem ognistego piasku, i przed grozą nieznanego zjawiska rzucających broń żołnierzy, — czego się boicie? wszak to jest tylko śmierć". Jednakowoż naogół wrażenia okrutne Wschodu wyryły ślad wybitnie ujemny na jego indywidualności duchowej. Wzmocniły w nim instynkt samowładny, skłonność despotyczną, pogardę ludzi, lekceważenie życia i cierpienia ludzkiego. Płynące stąd zboczenia moralno-polityczne, ze strefy wschodniej przeniesione do stosunków europejskich, odbiją się też nieraz nawskroś ujemnie na dalszej jego roli dziejowej.

Powróciwszy, w połowie czerwca 1799 r., do Kairu, Bonaparte znalazł się w położeniu napozór niezmienionem, niezachwianem, lecz w istocie bez wyjścia, bez przyszłości. Na dobitkę, coraz wyraźniej podnosiła się przeciw niemu głucha niechęć znacznego odłamu własnej jego generalicyi. Zrażeni do całej wyprawy, a bardziej jeszcze do niego osobiście, głośno poczynali szemrać i dopominać się powrotu do Europy. Groźną tę opozycyę składali ludzie tak wybitni, jak Kleber, „serce waleczne a głowa tchórzliwa"; jak zdatny a skryty i zacięty Szwajcar Reynier, były szef sztabu przy Moreau; i inni, zwłaszcza dawniejsi generałowie nadreńscy, wcielający zadawnioną niechęć zawodową i polityczną ku szczęśliwemu niegdy wodzowi armii włoskiej, a teraz niefortunnemu naczelnikowi awantury egipskiej. W podobnych warunkach Bonaparte czekał już tylko z dnia na dzień sposobności pomyślnej, aby świetnym czynem wojennym zakończyć swój pobyt nad Nilem. Na pierwszą też wieść o wylądowaniu znacznych wojsk tureckich pod Aleksandryą, pośpieszył w połowie lipca na ich spotkanie. Pobił je niebawem w walnej bitwie

pod nieszczęsnej pamięci Abukirem; zdziesiątkował, potopił i rozpędził; samego wezyra Mustafę wziął do niewoli. Tutaj także dowiedział się o najświeższych, aż do początku lata, obrotach wojennych drugiej koalicyi, o ciężkich porażkach Francyi, o grożącem dobiciu jej przez zbrojne wdanie się nowej nieprzyjacielskiej potęgi rosyjskiej. Miał tedy w ręku dwa atuty konieczne do usprawiedliwienia swego powrotu: własne zwycięstwo i klęskę Republiki. Tu w Egipcie był pokryty; tam we Francyi mógł być niezbędnym. W kilka tygodni uskutecznił ostatnie zarządzenia pożegnalne. Pobiegł jeszcze w tym celu nakrótko do Kairu. Przekazał pisemnie dowództwo naczelne nad zostawioną w Egipcie armią głównemu swemu przeciwnikowi osobistemu, lecz najwydatniejszej w wojsku postaci, zaskoczonemu tym wyborem Kleberowi. Sam niezwłocznie wrócił pod Aleksandryę. Tu, w drugiej połowie sierpnia 1799 r.. siadł nocą na jedną z dwóch przygotowanych tajemnie fregat. W towarzystwie niewielu najzaufańszych przyjaciół i paruset guidów, puścił się na pokryte angielskiemi żaglami morze, z postanowieniem wysadzenia się w powietrze, w razie wpadnięcia w ręce nieprzyjaciół. Po półtoramiesięcznej ryzykownej żegludze, łaskawą wiedziony gwiazdą, przybił szczęśliwie do brzegów francuskich. W połowie października 1799 r. stanął w Paryżu.

II.

Kiedy te sprawy niezwykłe na dalekim rozgrywały się Wschodzie, stała już Francya w pełnym ogniu koalicyjnego natarcia. Zbiorowy na nią atak miał wyładować się nasampierw od ściany włoskiej, tem samem zaś zaraz na wstępie ugodzić w stojące tam legie pol-

skie. Pozostawały one, jak wskazano, po odejściu z Włoch Bonapartego, w położeniu niejasnem i kłopotliwem, naskutek drażliwego swego stosunku do Cyzalpiny i zawieszenia przez jej władze konstytucyjne ostatniej umowy legionowej. Dąbrowski, od przybycia swego do Medyolanu, latem 1798 r., wobec rozpoczynającego się tutaj zupełnego zamętu politycznego, mniej niż kiedykolwiek mógł dojść do ładu z miejscowym rządem i ciałem prawodawczem. Spotykał się, przeciwnie, z coraz jawniejszą złą wolą i dążnością celową do wynarodowienia legii i przetworzenia ich na modłę czysto cyzalpińską. Rząd tutejszy odrzucał zeszłoroczną konwencyę jesienną, z listopada 1797 r., a narzucał swoją czerwono-biało-zieloną kokardę włoską zamiast dotychczasowej francuskiej. Nowy minister wojny, Vignolle, nielepiej od swego poprzednika nastrojony dla Polaków, już nawet narzucał im gotowe włoskie wyłogi zielone. A wraz z samowolną zmianą umundurowania, zanosiło się na odmianę całej narodowej, autonomicznej, „posiłkowej" istności korpusu polskiego. Równałoby się to zwichnięciu sprawy legionowej, w przededniu nadchodzących właśnie doniosłych widoków wojennych. Dąbrowski, odpowiedzialny za jej losy, musiał koniecznie przed wybuchem wojny ubezpieczyć organizacyę legionów. Musiał z zamkniętego medyolańskiego skarbu wydobyć corychlej niezbędny dla nich zasiłek. Musiał oporządzić je należycie na przewidywaną ciężką kampanię, opłacić, ubrać, uzbroić. Nie było to rzeczą łatwą, tembardziej, że on sam skądinąd jeszcze w ciężkich znajdował się opałach. Był narażony na odradzające się, pomimo dodatniego wpływu powrotu Kościuszki, szkodliwe wichrzenia własnych rodaków w Medyolanie, a nawet na pewne tarcia wewnętrzne ze sztabem legii drugiej, w pobliskiej Mantui, i z jej szefem, nieufnym Rymkiewiczem. Był zresztą sam w dotkliwej biedzie, nie pobierając dotychczas żadnej dla siebie płacy od rządów lombardzko-cyzalpińskich, a obar-

czony niespodzianem zjechaniem żony i nieletniej córeczki z kraju do ubogiej jego włoskiej kwatery.

Z tem wszystkiem atoli Dąbrowski nie tracił kontenansu i nie zasypiał sprawy. Nie widząc zaś sposobu na przekornych Cyzalpinów, przedsięwziął ponad ich głową odwołać się postaremu wprost do wodza naczelnego armii włoskiej i od niego bezpośrednio zyskać przynajmniej doraźną militarną porękę organizacyjną dla swoich legii. Trafnie skorzystał w tym celu z poważnej konstelacyi przedwojennej, kiedy komendzie naczelnej musiało szczególnie zależeć na legionistach polskich, pokaźnym stosunkowo ułamku pozostałej we Włoszech, a przez wyprawę egipską znacznie uszczuplonej siły zbrojnej francuskiej. Skorzystał też zręcznie z zaznaczonych ostrych zatargów, wynikłych w tym czasie między generałem Brunem a Trouvém i rządem medyolańskim. Skorzystał wreszcie z dobrego wrażenia, jakie świeżo sprawiło dzielne zachowanie się legii pierwszej, latem t. r., przy stłumieniu wybuchłych w Circeo rozruchów. Zaraz tedy, w początku września 1798 r., przedstawił Brunowi wyłożone zwięźle w ośmiu punktach „żądania względem organizacyi korpusu polskiego". Objęte w nich było mocne wyodrębnienie legii od wojsk cyzalpińskich; utrwalenie kadrów polskiego ciała oficerskiego wraz z oficerami nadliczbowymi; ustalenie awansów wedle ułożonego właśnie w legiach porządku, za wyborem koleżeńskim i prezentą komendy głównej legionowej; odwołanie dawniejszego przepisu Bonapartego o umieszczaniu w legiach oficerów francuskich; ścisłe zachowanie narodowego stroju i odznak batalionowych; utrzymanie kokardy francuskiej. Po pomyślnem przyjęciu żądań powyższych przez Bruna, Dąbrowski z kolei, w kilka dni później, przedstawił mu do zatwierdzenia szczegółowy „etat imienny oficerów korpusu polskiego", t. j. sztabu głównego oraz obudwu legii, jakoteż skład liczebny wszystkich sześciu batalionów piechoty i batalionu arty-

leryi polskiej. Etat ten, wyrachowany suto, ogółem na 8 tysięcy ludzi, w czem przeszło trzystu oficerów, został nazajutrz w całości aprobowany i podpisany przez Bruna. Był to sukces niemałoważny. Los legii tym sposobem wojskowo został skonsolidowany.

Nie poprzestał jednak na tem Dąbrowski. Zbiegłszy pod koniec września 1798 r. do Mantui, dla osobistego porozumienia się z komendą legii drugiej, zwrócił się stąd pisemnie do Bruna z prośbą o złączenie razem całego korpusu polskiego w Cyzalpinie, gdzie oczekiwał pierwszego uderzenia ze strony Austryi. Wyprawił z tem do Medyolanu Wielhorskiego, Rymkiewicza imieniem legii drugiej, Strzałkowskiego jako podszefa pierwszej, oraz kapitana Redla, sprawnego i umiejętnego oficera, imieniem artyleryi. Prośba ta, przedtem już potylekroć daremnie przekładana przez Dąbrowskiego Bonapartemu, i tym razem spotkała się z odmową. Mimo to jednak Brune, w trudnych okolicznościach ówczesnych, ostentacyjnie starał się legionom swoją okazywać życzliwość i zwłaszcza przeciw Vignollowi dobitnie brał je w obronę. To też wkrótce potem, w początku października, sam przybywszy do Mantui, dla sprawdzenia stanu twierdzy i załogi, nieomieszkał przy tej okazyi zagrzać ufności i otuchy Polaków. Na odbytym przeglądzie legii wystąpił publicznie z gorącem przemówieniem do wojsk polskich. Nie szczędząc im pochwał ani ogólnikowych nadziei, „mogę Was zapewnić, — oświadczał z naciskiem— że Dyrektoryat w tej chwili bardzo poważnie Wami się zajmuje i że odebrałem nakaz roztoczenia szczególniejszej pieczy nad korpusem Waszym". Bądźcobądź, dzięki zatwierdzeniu etatu legii przez Bruna i jego życzliwej interwencyi, przełamaną została oporność rządu cyzalpińskiego, który musiał teraz przystąpić do wydania patentów oficerskich, zapłaty zaległego żołdu i dostarczenia efektów ubiorczych dla zbiedzonych i obszarpanych legionistów polskich.

W końcu października 1798 r., po powrocie do Medyolanu, wobec mnożących się zapowiedzi wojennych, Dąbrowski w towarzystwie Wielhorskiego i Rymkiewicza stawił się w kwaterze wodza naczelnego z ponowną natarczywą prośbą o zjednoczenie całego korpusu polskiego, ściągnięcie go na prawe skrzydło armii włoskiej i użycie w masie przeciw Austryi, w chwili bliskiego wybuchu wojny z cesarzem. Ale i ta „konferencya" skończyła się na niczem. Brune znowuż stanowczo odmówił, tłómacząc się koniecznością zachowania po jednej legii polskiej przy armii włoskiej i rzymskiej. Był on zresztą sam już na wylocie z Medyolanu. Otrzymał inne przeznaczenie, jako dowódca armii francuskiej w Holandyi, t. j. w Republice batawskiej. Po niewielu też dniach stary wyga musiał ustąpić komendy włoskiej młodemu generałowi Joubertowi. Wkrótce po przybyciu nowego wodza, Dąbrowski ze swoim sztabem pośpieszył złożyć mu w początku listopada dwa memoryały względem organizacyi i uposażenia legii. „Korpus polski — tak odzywał się tu językiem, przystosowanym do ognistego nastroju radykalisty Jouberta, — nie może być traktowany ze stanowiska wyłącznie wojskowego, lecz z punktu widzenia politycznego i filozoficznego". Joubert, przed wyjazdem z Paryża, widział się z Kościuszką. „Taki on (Joubert) nasz przyjaciel, jak i Brune", donosił z pociechą Dąbrowskiemu Naczelnik, który napewno co do Bruna był w błędzie i nie poznał się na jego sprycie i chytrości żołdackiej. Joubert niezawodnie szczerszy był od Bruna. Przyśpieszył też wydanie zaległości i efektów legionowych. Pozatem jednak do okazania przychylności swej Polakom niewiele miał sposobu, ani nawet czasu, sam zawikłany odrazu w medyolańskie intrygi i swary, a stąd w ostre zatargi z władzą dyrektoryalną paryską. Nagle, w parę tygodni zaledwo po jego instalacyi w Medyolanie, spadła tu wieść nieoczekiwana o wybuchu wojny w stronie południowej

półwyspu. Zamiast oczekiwanego ataku Austryaków na Cyzalpinę, nastąpił znienacka atak Neapolitańczyków na Rzym. Legia pierwsza polska była w ogniu, była po raz pierwszy w wielkiej kampanii. Na tę wiadomość Dąbrowski, w początku grudnia 1798 r., pośpiesznie opuścił Medyolan i popędził z powrotem ku walczącym swoim legionistom.

W rzeczy samej, w drugiej połowie listopada 1798 r., upragniona ofensywa, gotowana zdawna przez królowę Karolinę, stała się czynem dokonanym. Armia neapolitańska, pod dowództwem austryackiego sztabowca, genialnego rzekomo strategika, a w istocie zarozumiałego fanfarona, generała Macka, w kilku miejscach przekroczyła granicę, kierując się wprost na Rzym. Liczyła ona naprawdę, wbrew utartym przesadnym podaniom, tylko 11 tysięcy wojsk regularnych oraz około 40 tysięcy uzbrojonego chłopstwa. Jak się zdaje, Mack, który podczas katastrofy, przeznaczonej mu po kilku leciech pod Ulmem, będzie aż do ostatniej chwili liczył na jakieś spiski rewolucyjne przeciw Napoleonowi, podobnież i teraz rachował więcej na jakieś tajne sprężyny paryskie i rzymskie, na niekarność żołnierzy i rozdwojenie generałów francuskich, aniżeli na własną siłę zbrojną. Armia francuska rzymska była chwilowo rozprószona, a więc niezdolna do skutecznego oporu. Zasilona jednak już w dniach najbliższych przez nadciągające znaczne posiłki, liczyła ogółem 24 tysięcy doskonałego regularnego żołnierza. Naczelne nad nią dowództwo—podporządkowane atoli komendzie głównej włoskiej, z prawem rekwirowania od rzymskiej, w razie nagłej potrzeby, całych oddziałów, a więc i legii pierwszej polskiej,—otrzymał w październiku Championnet. Był to generał bitny, talent drugorzędny, syn nieprawy chłopski, który w armiach nadreńskich z prostego grenadyera w lat kilka męstwem dosłużył się dywizyonerstwa, popierany przez Hocha i Klebera, a ostatnio przez Bernadotta, republikanin go-

rący, szlachetny w gruncie człowiek, lecz ograniczony i słaby, wiedziony na pasku przez niegodnych zauszników i doradców. Zjechawszy świeżo, w połowie listopada, do Rzymu, w najgorszych zaraz stosunkach stanął do zawistnego Macdonalda, który mu nie mógł darować utraconej komendy, a którego on znów podejrzewał o pokątne knowania rojalistyczne.

Natomiast przyjaźnie wyróżnił Championnet Kniaziewicza, okazał szczerą życzliwość jego legii i w pierwszej swojej proklamacyi do armii oddał hołd „tysiącom republikanów, przybiegłych z głębi ujarzmionej Polski". Ale już w kilka dni potem, zaskoczony najazdem neapolitańskim, musiał ustąpić z Rzymu. O drugiej po północy trzy wystrzały armatnie z zamku św. Anioła dały znak do wymarszu. Miasto poburzone podnosiło się znienacka przeciw Francuzom. Ubijano ich na ulicach w pojedynkę. Ścinano śród złorzeczeń drzewo wolności na Kapitolu. Deptano kokardę francuską i rzymską. Z dzwonów uderzono na trwogę; zewsząd rozlegał się okrzyk bojowy *Evviva Maria*. Legia polska, zgromadzona na placu Navone, stała tam pod bronią przez noc całą. Nazajutrz, okrywając odwrót armii, wyszła ostatnia w aryergadzie przez Porta del Popolo, tuż przed wkraczającą już z drugiej strony do miasta jazdą neapolitańską. Championnet za Tybrem koncentrował wszystkie swe siły. Mack, ze znacznem opóźnieniem, ruszył za nim, by „obtoczyć" go gruntownie uświęconym hofkriegsrathowskim sposobem. Z obu stron operowano nieosobliwie, poczęści na ślepo. Ale Francuzi, choć napozór słabsi liczebnie, mieli przewagę doświadczenia i bitności liniowego żołnierza. W tych warunkach wiele zależało od pierwszego spotkania. Przypadło ono w udziale Polakom. Kniaziewicz, umieszczony ze swą legią na prawem skrzydle pod Macdonaldem, w początku grudnia 1798 r. przeprawił się napowrót przez Tybr. Nagle, na czele trzeciego batalionu, uderzył z bagnetem w ręku na parę tysięcy okopanego

w Maglianie nieprzyjaciela, wyparł go i rozproszył. „Polacy okazali waleczność niezwykłą", wyrażał się Macdonald w osobnym o tej pięknej akcyi rozkazie dziennym.

Odtąd na całej linii przeważyła się szala na stronę Francuzów. Główne przytem zadanie spadło na skrzydło prawe, w walnej już po trzech dniach rozprawie między Falari a Civita-Castellana, dokąd zrazu pod naporem neapolitańskim cofnąć się musiano. Tutaj to, 4 grudnia 1798 r., Kniaziewicz ze swoim legionem i oddziałem ochotników rzymskich pod Jabłonowskim, w chwili stanowczej, mniemając, iż ma do czynienia z jedną tylko brygadą nieprzyjacielską, rzucił się pod Falari na samo centrum awansujących wojsk Macka, powstrzymał je, przełamał i tem rozstrzygnął zwycięstwo. Po raz trzeci pięknie odznaczył się znowuż w dni kilka, kiedy energicznym ruchem oskrzydlającym przyłożył się głównie do zabrania pod Calvi kilkotysięcznej kolumny nieprzyjacielskiej. Tutaj dognał legię śpieszący z Medyolanu Dąbrowski. Lecz zostawiając dowództwo Kniaziewiczowi, z początku asystował tylko jako „spektator", w sztabie Macdonalda, dalszym powodzeniom broni legionowej. Armia francuska niezwłocznie całą masą ruszyła naprzód. Zajęła z powrotem Rzym, witana entuzyastycznie przez zmienne jak wiatr pospólstwo. Puściła się dalej w pościg za uchodzącym w popłochu nieprzyjacielem i przez błota pontyńskie wtargnęła do królestwa neapolitańskiego.

Dąbrowski od granicy przeniósł się ze sztabu Macdonalda do swej legii, idącej teraz w awangardzie. Championnet bowiem, coraz mocniej skłócony z zostawionym umyślnie w tyle Macdonaldem, odebrał mu Polaków i oddał pod rozkazy swego ulubieńca, generała Reya, „największego rabusia i tchórza", jak ze zgorszeniem postrzegał Dąbrowski. Żadnego już prawie nie spotykano odporu. Poprostu gnano przed sobą nieprzyjaciół,

zmykających w strachu panicznym. W końcu grudnia, po kilku wystrzałach z granatników, poddała się legionistom potężna twierdza Gaeta z dwu tysięczną załogą i setką armat. „Nikczemna to kapitulacya,—obruszał się Dąbrowski—...niewarto prowadzić wojny z Neapolitańczykami". W początku stycznia 1799 r. poddała się Capua. Mack, rachujący niedawno na niesnaski francuskie, sam teraz przed zbuntowanymi swymi lazzaronami ratować się musiał ucieczką w niewolę do obozu francuskiego. Na trzeźwym Dąbrowskim, któremu wypadło odesłać go do Medyolanu i Paryża, zrobił on wrażenie „waryata, albo udającego waryata". W drugiej połowie stycznia Championnet wszedł do Neapolu. Obalił królowanie Ferdynanda i ogłosił Republikę partenopejską właściwie całkiem wbrew intencyom Dyrektoryatu paryskiego, który pragnąłby raczej zachować Neapol jako zastaw do przyszłych układów. Odtąd armia francuska z rzymskiej przybrała nazwę neapolitańskiej. Wszakże na nową republikę, wzamian za zdjęte jarzmo bourbońskie, zwalono na początek kontrybucyę 50 milionów, wnet wyciśnięto z niej przeszło 200 milionów. Zaś na skargi żałosne stropionych republikantów neapolitańskich, udzielił Championnet węzłowatej odpowiedzi: „*vae victis*". Zaczęły się grabieże wprost niesłychane, i to na tle najciemniejszych krętactw politycznych.

Nie miała żadnego w tych sromotnych rabunkach udziału legia polska. Umaczał w nich ręce jeden tylko przybłęda, łotr wyjątkowo wysokiej próby, dowcipny, śmiały, czuły, pobożny, bardzo barwny, Ignacy Chadzkiewicz. Syn regenta i sędziego ziemskiego wileńskiego, pochodził z majętnej szlachty litewskiej. Służył zamłodu w gwardyi koronnej. Wszedłszy w służbę rosyjską, do sybirskiego pułku grenadyerów, dorobił się pod Suworowem krzyża przy szturmie Oczakowa. Poczem, z abszytem kapitańskim, udał się do Paryża i brał udział w szturmie Bastylii. Za Targowicy wieszał się Szczę-

snego Potockiego, którego okadzał, okpiwał i ogrywał. Osiadłszy w Wilnie, przyjaźniąc się i zgrywając z bohaterem insurekcyjnym Litwy, Jakóbem Jasińskim, pracował publicznie jako szuler a *privatissime* jako szpieg tajnej policyi rosyjskiej. Wydał jej też Działyńskiego, a nie wydał Jasińskiego przez osobliwszy karciarski punkt honoru, jeśli nie przez płatne wyrachowanie. By bowiem najpewniej agentem prowokatorem w służbie kliki petersburskiej Zubowa, życzącego sobie małej awantury powstańczej, jako pretekstu do nowego rozbioru. Po wybuchu insurekcyi w Wilnie, uczestniczył przy uwięzieniu, czy też przy ocaleniu, generała Arseniewa. Przybywszy stamtąd do Warszawy, jako wściekły działacz powstańczy, imieniem niby Jasińskiego, wnet dał się poznać stolicy i gardłował po jakóbińsku za terorem i szubienicą. Po upadku kraju baraszkował naprzód śród konfederatów na Wołoszczyźnie, przy serdecznym swym druhu, godnym siebie kompanie, zdrajcy Ksawerym Dąbrowskim. Z kolei urzędował w Widyniu przy Paswanie Ogłu; wiercił się też czas jakiś w Stambule, między bracią emigrancką a ambasadą rosyjską Koczubeja. Zjechawszy stąd do Francyi rewolucyjnej, wstąpił do ochotniczej legii północnej i gromił pod Hochem Wandejczyków. Następnie w Paryżu, jako prawy jakóbin, odszukał znane sobie z wieszań warszawskich tęgie głowy deputacyjne. Zwąchał się szczególnie z Maliszewskim i przez niego dostał się do Bernadotta i Barrasa. Stąd też, śladem Maliszewskiego, podążył do Włoch, gdzie było w czem mącić i czem się pożywić. Pojawił się zaraz w Rzymie, wnet po wyjeździe Dąbrowskiego, znów urzędownie jako szuler, a podobno z jakimś poufnym komisem paryskim, może rosyjsko-neapolitańskim. Trafił do Grabowskiego i Jabłonowskiego; wtarł się do Macdonalda i przez niego narzucony był Kniaziewiczowi na oficera nadliczbowego legii. W wybuchłej kampanii neapolitańskiej bił się żwawo; głównie przecie był zajęty „oświecaniem mieszk-

kańców", jak nazywał palenie wsi i miasteczek, a zwłaszcza rabunkiem na wielką skalę. Wnet spiknął się w tych pracach grabieżczych z faworytami samego wodza naczelnego, z głównym jego doradcą, eksmisyonarzem i ekskonwencyonistą, głębokim, machiawelskim hultajem, Bassalem, i przez niego pozyskał zaufanie i protekcyę Championneta. Podszywając się pod służbę francuską, jako romansownej pamięci „generał Lodoiska", odtąd stale do najdraźliwszych zakulisowych przykładał się robót, wojskowych, politycznych, a zwłaszcza najulubieńszych sobie, finansowych. Sprawiał się z nich gracko, choć były to roboty, bez wyjątku pachnące kryminałem i szubienicą; aż wreszcie wygarnięty z nich zostanie nieborak twardą dłonią Bonapartego.

Ale z wyjątkiem Chadzkiewicza, którego rzadkie talenty trafnie chciał zaraz rozstrzelaniem nagrodzić Kniaziewicz, Polacy legioniści, tęgo wojskową swoją pełniąc powinność, a czujnie narodowego strzegąc honoru, jak przedtem w Lombardyi i Rzymie, tak teraz w Neapolu trzymali się zdala od rozgrywających się dokoła intryg i rozbojów. „My obadwaj z Kniaziewiczem — mówił Dąbrowski—mamy jeszcze czyste ręce i zachowamy je. Nasi oficerowie i żołnierze też dobrze się sprawują". Na tym punkcie nie znał on żartów. Surowym rozkazem dziennym zapowiadał rozstrzelanie za każdy rabunek. Po wzięciu Gaety, nakazał ścisłą rewizyę osobistą żołnierzy. W mantelzakach francuskich znalazł kielichy kościelne, monstrancye i dukaty; w polskich conajwyżej świśnięty połeć słoniny i ciepłą kołdrę; a na to patrzeć musiał przez palce, gdyż po rozdrapaniu magazynów neapolitańskich przez wielkich złodziejów sztabowych francuskich, nie było ani co zjeść, ani czem się okryć.

Tymczasem, po łatwym spacerze zwycięskim do Neapolu, dopiero prawdziwe zaczynały się trudności. Na tyłach armii wybuchło powstanie pogranicznych gó-

rali, t. zw. *scarpetti*, grożące przecięciem komunikacyi z Rzymem. Dla stłumienia go otrzymał Dąbrowski od Championneta dowództwo dywizyi nad Gariglianem, złożonej, oprócz legii, z dwóch półbrygad i artyleryi francuskiej. Niełatwe miał zadanie z tą krwawą walką podjazdową. Ku największej swej „boleści i męce“, stracił w niej zaraz na wstępie nieodżałowanego Eliasza Tremona, wielu innych też oficerów, jednego z nich, porucznika Żelewskiego, spalonego żywcem przez bandytów. Dawał sobie przecie radę Dąbrowski, lecz głównie przy pomocy własnych swych legionistów. „Francuski żołnierz,—donosił Wielhorskiemu—który wraz z nami walczy, powiada: „To dzielne zuchy ci Polacy, nawet chłopów się nie strachają", gdyż trzeba wiedzieć, że Francuzi baurów się boją“. Nie przepominał zresztą po swojemu o tuczeniu, rozwinięciu legii. Wynalazł w armii neapolitańskiej, śród niewolników i dezerterów, mnóstwo Polaków, zabłąkanych aż tak daleko, bądź ze służby austryackiej, piemonckiej czy hiszpańskiej, bądź też nawet, rzecz ledwo do wiary, z trzymanych przez króla Ferdynanda pułków macedońskich oraz dostarczanych mu od Porty posiłków albańskich. W istocie, aż do służby tureckiej i neapolitańskiej dostało się sporo biedaków polskich. Dostali się tam naprzód jeszcze z kawaleryi narodowej dywizyi ukraińskiej, skąd po drugim podziale zbiegano przed zabraniem w sołdaty przez Katarzynę; potem z rozbitków armii insurekcyjnej Kościuszki; wreszcie z ofiar konfederacyi wołoskiej. Wszystko to teraz, ile tylko się dało, Dąbrowski w Neapolu, jak przedtem w Medyolanie, porządnie rekrutował i wcielał do legii, do nowych kompanii grenadyersko-strzeleckich. Co więcej, mógł nareszcie urzeczywistnić myśl dawną stworzenia jazdy legionowej, zachęcony zwłaszcza odnalezieniem tu szczętów dawnej kawaleryi narodowej. Użył do tego rotmistrzów Brzechffy i Przyszychowskiego. Użył też dobrego kawalerzysty, pułkownika Berka Joselowicza,

którego już w Rzymie serdecznie do legii przygarnął. Przy pomocy sprytnego tego rzeczoznawcy, zdobył kilkaset koni z rasowej stadniny królewskiej pod Casertą. Sformował też wnet dwa piękne szwadrony, w trzysta jeźdców ułańskich, pod generałem kościuszkowskim Karwowskim, ubranych na wzór kawaleryi narodowej polskiej. Uzyskał nadto od Championneta pozwolenie na artyleryę konną polską, zresztą również jak i względem jazdy, pod zastrzeżeniem aprobaty Jouberta i Cyzalpiny.

Coprawda stamtąd to, z Włoch północnych, fatalne tymczasem od Wielhorskiego przychodziły relacye o dalszej nieżyczliwości rządu cyzalpińskiego. Donosił stamtąd Dąbrowskiemu rozżalony Wielhorski o formalnych nawet uchwałach rządowych, kasujących artyleryę polską, narzucających kokardę cyzalpińską, a wstrzymanych jedynie dzięki oporowi zacnego Jouberta. Ale zarazem donosił o wielkich tam przygotowaniach francuskich do mającej wybuchnąć lada chwila wojny z cesarzem. Zapalił się Dąbrowski tym ostatnim mianowicie widokiem. Nie wątpił o zwycięstwie Francuzów i już widział ich maszerujących znów na Wiedeń. Postanowił zaś tym razem nie pozostać już w tyle, leczbić się wprost za sprawę polską, „z wrogiem ojczyzny naszej, nie ze skarpettami". Marzył znowuż o złączeniu obu legii, a bodaj nawet o nagłem z niemi „bryknięciu" na Raguzę i Węgry do Galicyi, o wyprzedzeniu prawego skrzydła armii włosko-francuskiej przez śmiałą dywersyę na własną rękę. Jednocześnie, celem zabezpieczenia i rozszerzenia organizacyi legionowej, ułożył wyprawić umyślnego do Paryża wysłańca. Wybrał w tym celu Kniaziewicza, do którego zresztą temi czasy osobiście nieco ochłódł, odkąd ten za świetne swe czyny bojowe magrodzony został przez Championneta stopniem francuskiego generała brygady. Na jego miejsce pragnął Dąbrowski szefostwo legii przekazać zaufanemu, choć nierównie mniej wybitnemu Chamandowi. Posłał tedy w końcu stycznia 1799 r. z tą

propozycyą samego Kniaziewicza do kwatery głównej do Neapolu. Tam podówczas gwałtowne trwały zatargi między wodzem naczelnym Championnetem, a naczelnym agentem politycznym Dyrektoryatu, komisarzem Faipoultem. Ten ostatni, wyszkolony przez Bonapartego, wyborny administrator, protestował stanowczo przeciw sztabowej orgii grabieżczej, za co też temi właśnie dniami został pozbawiony urzędu przez Championneta i sromotnie przepędzony z armii. Championnet, mocno już naraziwszy się swemu rządowi samowolnem ogłoszeniem Republiki partenopejskiej, a przewidując, jakie wrażenie ta nowa samowola wywoła w Paryżu, pragnął złagodzić je wagą swych zwycięstw i widokiem trofeów. Lecz posłać z niemi nikogo ze swoich, bez wyjątku skompromitowanych sztabowców, nie mógł, ani też żadnego z ludzi Macdonalda nie chciał. Tak więc nietylko chętnie udzielił zgody na misyę paryską czystego i lojalnego Kniaziewicza, lecz nadto z własnego natchnienia powierzył mu od siebie zaszczytne poselstwo, zawiezienie Dyrektoryatowi 35 wspaniałych, zdobytych na Neapolitańczykach, sztandarów. Z taką ekspedycyą podwójną, od legii i od armii, Kniaziewicz, w towarzystwie Kosseckiego, Drzewieckiego i młodego Dąbrowskiego, w początku lutego 1799 r., wyjechał na Rzym i Medyolan do Paryża.

Zanim jeszcze Kniaziewicz przybył na miejsce przeznaczenia, nastąpił upadek Championneta, który rozkazem Dyrektoryatu odwołany, a następnie nawet uwięziony i pod sąd oddany został. Już w końcu lutego musiał on zdać dowództwo armii neapolitańskiej czyhającemu na sukcesyę po nim Macdonaldowi. Równocześnie dowództwo armii włoskiej otrzymał, po odwołanym Joubercie, stary i schorowany Scherer, zastąpiony w ministeryum wojny przez generała Mileta. Dyrektoryat, usuwając wodzów „jakóbińskich", i to tak wybitnych, bojowych, Championneta, wsławionego świeżem zwycięstwem, Jouberta, pełnego inicyatywy i ognia, bardzo dzi-

wnie jakoś sposobił się do wojny. Podejrzliwsi postrzegacze uważali nawet, że sposobił się rozmyślnie do porażki, w myśl intryg koalicyjno-restauracyjnych, będących istotnie temi czasy gorączkowo przy robocie w Paryżu. Zresztą w rządzie dyrektoryalnym, zaplątanym we własnej dwulicowości i krętactwie bezdennem, z drugiej znów strony niecałkiem jeszcze pozbywano się złudzeń, iż przecież może nie dojdzie do wojny powszechnej, ku której od Campoformia pchano bezustanku, a przed którą teraz poczynano się wzdrygać. Oddawano się w ostatniej już godzinie szczególniejszym zwłaszcza złudzeniom względem Rosyi. Jeszcze w lutym 1799 r., członek Instytutu francuskiego i Rady Pięciuset, były konwencyonista, zapalony republikant, naśladowca Roussa i oskarżyciel Bonapartego, popularny i brudny pismak Mercier, złożył Reubellowi obszerne „Uwagi o Rosyi i o pobudkach, jakie skłonić powinny Pawła I do aliansu z Francyą". Właściwym autorem tego pisma był niejaki Guttin, używany oddawna przez Dyrektoryat do rozlicznych tajnych misyi i planów, celem „zrewolucyonizowania" Rosyi. W rzeczy samej, znał on dobrze tameczne stosunki, ludzi i język, gdyż służył przedtem na dworze Katarzyny w Petersburgu, potem zaś najpewniej służył na dwie strony i był tajnym agentem rosyjskim w Paryżu. Próbował on też dla odmiany, obok projektów zbuntowania kozaków czarnomorskich lub urządzenia rewolucyi pałacowej nad Newą, występować w sposobnej porze z projektami zgody i przyjaźni francusko-rosyjskiej, w stylu przedrewolucyjnej polityki wersalskiej, pod hasłem dokonania do spółki rozbioru Porty albo nawet odbudowania Polski pod berłem rosyjskiem. Istotnie, przed trzema już laty, zaraz w początkach Dyrektoryatu, Guttin z podobną do rządu zgłaszał się ofertą. Owóż powracał on do niej obecnie w memoryale niniejszym. Wykazywał wymownie uderzającą wspólność interesów francusko-rosyjskich i rozwijał sposoby zawar-

cia przymierza między Republiką a Pawłem, za cenę podziału Turcyi oraz oddania carowi całej Polski dla W. Księcia Konstantego, jako króla polskiego. To wystąpienie Merciera i Guttina, ciekawy odgłos uprzedniej do Pawła odezwy Laharpa, inspirowanej przez Talleyranda, a ciekawa też zapowiedź późniejszego ku Rosyi nawrotu Bonapartego, było w chwili obecnej znamiennem świadectwem dziwnych ułud a raczej tumanień politycznych paryskich.

W tej samej właśnie chwili Rosya stawała na czele koalicyi i podawała hasło wojenne. W połowie lutego 1799 r. doszło w Petersburgu ostateczne porozumienie ofensywne austro-rosyjskie, pod znakiem zaręczyn przybyłego tam palatyna Józefa z W. Księżną Aleksandrą. Korpus 20 tysięczny rosyjski generała Rosenberga, wprowadzony już od końca r. z. z Brześcia przez Galicyę do kwater zimowych nad Dunajem, obecnie skierowany został wprost na linię operacyjną włoską i wsparty przez 10 tysięcy Rosyan generała Rehbindera. Drugi korpus 25 tysięczny, pod generałem Korsakowem, miał pomaszerować na linię nadreńsko-szwajcarską, a trzeci, pod generałem Hermannem, popłynąć do Holandyi. Na wyraźne życzenie Hofburgu, do głównej we Włoszech rozprawy wojennej ofiarował Paweł Austryakom najsłynniejszego swego wodza, pogromcę Turków i Polaków, starego feldmarszałka Suworowa, a nawet przydał mu W. Księcia Konstantego dla uświetnienia pogromu Francuzów. Już w początku marca Suworow, dotychczas w niełasce carskiej, sprowadzony śpiesznie do Petersburga, udał się stąd do Wiednia i na plac boju do Włoch. Paweł zabierał się do rzeczy odrazu na wielką skalę militarno-polityczną. Występował jako opatrznościowy obrońca tronu i ołtarza, protektor Habsburgów, Bourbonów i papieża, głowa świętej krucyaty przeciw Francyi rewolucyjnej oraz wszelakim sprzymierzonym z nią duchom buntowniczym, a nienajmniej też buntownikom legionowym

polskim. Szeroką dłonią dobroczynną sięgał okolnie, od Stambułu i Neapolu, aż do Londynu i Hagi. Wyprawiał na Zachód wysztyftowany przez siebie na Wołyniu i Podolu korpus emigrancki francuski. Układał się z gościem swoim mitawskim, Ludwikiem XVIII, względem nowego powstania w Wandei, popartego przez ekspedycyę rosyjską, mającą wylądować w Holandyi. Wydawał zarazem zarządzenia względem poruszenia sprężyn spiskowych w Paryżu, użycia generała Pichegru, zbiegłego do Anglii, przekupienia samego Barrasa, pozyskania jednej z armii francuskich, „która z republikańskiej zamieniłaby się na rojalistyczną". Pod takiem, idącem z Petersburga, potężnem tchnieniem ożywczem, podniosły głowę w Paryżu wszelkie ciemne żywioły rozkładu i zdrady. Poczuła Francya po raz pierwszy na własnym karku dalekosiężne twarde wpływy rosyjskie. Ujrzała groźbę klęskową najazdu i rozszarpania, ciśniętą jej przed kilku laty zdala od Katarzyny, a zbliżającą się teraz z ręki Pawła, zanim dopełnioną zostanie z ręki Aleksandra.

III.

Zwycięska dotychczas Republika do nowej, cięższej od wszystkich poprzednich rozprawy wojennej wstępowała dziwnie nieprzygotowana, jakgdyby z rozmysłu przez własnych swych rządców wydawana na pobicie. W chwili wybuchu niniejszej drugiej wojny koalicyjnej, mieli Francuziw polu ogółem około 170 tysięcy ludzi, rozrzuconych od ujścia Renu aż do stóp Wezuwiusza. Tymczasem sami tylko Austryacy mieli teraz do rozporządzenia przeszło 250 tysięcy ludzi, do czego już dochodziło 30 tysięcy a wnet drugie tyle Rosyan. Rozpoczęły

się w marcu 1799 r. kroki wojenne pod najniepomyślniejszą dla Francyi wróżbą. Na terenie bojowym niemieckim armia francuska pod generałem Jourdanem rozbita została przez przeważne siły austryackie pod arcyksięciem Karolem i wyparta za Ren. Równocześnie gorszy jeszcze obrót przybrały wypadki na terenie włoskim. Stała tu armia austryacka, licząca przeszło 90 tysięcy ludzi, pod feldcechmistrzem Krayem, w zastępstwie wodza naczelnego Melasa, prócz 48 tys., trzymanych w odwodzie pod Bellegardem w Tyrolu, oraz 30 tysięcy nadciągających Rosyan. Naprzeciw tej potęgi Francuzi mieli rzeczywiście pod bronią w armii włoskiej Scherera, wystawionej na pierwsze natarcie, 47 tysięcy ludzi, zaś w armii neapolitańskiej Macdonalda, oddalonej jeszcze o całą długość półwyspu, 25 tysięcy ludzi. Te ostatnie mianowicie liczby rzeczywiste zbrojności francuskiej we Włoszech mieściły się w sytuacyi poufnej, udzielonej przez Scherera w końcu lutego swemu następcy w ministeryum wojny, Miletowi. Owóż ten arcyważny, arcytajny raport sytuacyjny, sposobem wielce znamiennym dla ówczesnych stosunków paryskich, wykradziony został niezwłocznie z tamecznych biur ministeryalnych, dostarczony do Berlina Paninowi, a przez niego podany do wiadomości Pawła oraz Suworowa. Była to dobra próbka wytrawnej sztuki wywiadowczej rosyjskiej. Zresztą Suworow i nadal, przez cały czas tej wojny, o swych przeciwnikach francuskich nadzwyczaj dokładnie był informowany. W połowie marca, stary nieporadny Scherer przybył do Medyolanu, objął komendę naczelną, założył kwaterę główną w Mantui. W poczuciu własnej słabości przybrał on sobie do pomocy generała Moreau. Ten ostatni bowiem, też zbyt zdolny, jak Joubert i Championnet, popadłszy w niełaskę rządową, zdegradowany był na inspektora armii włoskiej i teraz miał dowództwo drugorzędne nad środkowym jej korpusem. W takich

to warunkach, pod każdym względem opłakanych, wypadło otworzyć kampanię.

Do nieszczęsnej tej kampanii z największym zapałem gotowała się zostawiona w Cyzalpinie legia druga polska. Niewiele tam wiedziano o niepocieszających istotnych auspicyach wojennych. Pamiętano wielkie zwycięstwa Bonapartego i wierzono w gwiazdę francuską. Z uniesieniem witano nadeszłą nareszcie chwilę upragnioną zmierzenia się z rozbiorcami ojczyzny, pomszczenia jej i wskrzeszenia z bronią w ręku. Godebski w *Dekadzie legionów*, wydawanej przez siebie w Mantui, rozpisywanej ręcznie w niewielu egzemplarzach i czytywanej na głos legionistom przy rozkazach dziennych, zagrzewał umysły do bliskiego już boju. Podawał on tu wiadomości pomyślne, czerpane przeważnie z dzienników paryskich albo gazetki breściańskiej lub lugańskiej, a niestety z reguły bardzo dalekie od smutnej rzeczywistości. Ta rzeczywistość niebawem ujawnić się miała w całej grozie, skoro Scherer, przekroczywszy Mincio i Adygę, rozpoczął, pod koniec marca 1799 r., operacye zaczepne przeciw Austryakom w kierunku Verony.

Już w pierwszem zderzeniu, nieporządnych walkach od Pastrenga do Legnaga, pomimo częściowych powodzeń, okazały się ciężkie błędy francuskiego dowództwa i znaczna sił niewspółmierność, co zaraz dotkliwemi stratami okupiła legia. Biły się tu trzy bataliony polskie, każdy z osobna, rozdzielone między obadwa skrzydła i centrum armii francuskiej, gdyż niecałkiem jeszcze im dowierzano, jako byłym jeńcom i dezerterom austryackim. Biły się zapamiętale w tej najpierwszej próbie ogniowej przeciw wojskom cesarskim, skąd tak niedawno same były wyszły, a gdzie niestety i teraz sporo było rodaków, zwłaszcza w walczących tu pułkach kawaleryjskich austryackich. Zdobyły sobie niepodzielne uznanie starego żołnierza francuskiego. Okazały równą mu, nawet wytrzymalszą, podcinaną gniewem narodowym, waleczność. Ale zostały zdziesiątkowane.

Zwłaszcza batalion pierwszy, pod szefem legii Rymkiewiczem, wciągnięty w porażkę prawego skrzydła francuskiego pod Legnagem, doznał fatalnych skutków „chaosu" i „szczytu nieporządku", panującego w komendzie naczelnej. Szczęśliwiej natomiast powodziło się Wielhorskiemu, który, mając przy sobie batalion drugi, dowodził na lewem skrzydle brygadą francuską. Ogółem straciła legia tego dnia przeszło 750 ludzi, jedną czwartą całego swego stanu czynnego. Po dniach dziesięciu, 5 kwietnia 1799 r., nastąpiło pod Magnanem ponowne uderzenie zaczepne armii francuskiej na wyruszającego z Verony Kraya. Zakończyło się ono fatalnie, zupełną przegraną Francuzów i odwrotem na całej linii poza Mincio i Addę. W nieszczęśliwej tej bitwie, z równą sprawiając się dzielnością, straciła legia przeszło tysiąc ludzi w zabitych, rannych i wziętych do niewoli, a zaraz za dezercyę pędzonych przez rózgi austryackie. Tutaj też, pod upamiętnioną zgonem Liberadzkiego Veroną, straciła Rymkiewicza. Ranny dwukrotnie, śmiertelnie trafiony kulą karabinową w pachwinę, był on przez Moreau na placu boju mianowany generałem brygady francuskim. Lecz już po dwóch dniach, przeniesiony do szpitala w Medyolanie, skonał, śród śroższych, niż fizyczne, cierpień duszy. Zgnębiony poczuciem przegranej, umierał z powtarzaną w agonii skargą bolesną: „Czemu nie było mi sądzonem na swojej zginąć ziemi". Nawet ostatniej posługi oddać mu nie mogli rodacy; zostawić musieli ciało w ręku nieprzyjacielskiem.

Nie wetowały takiej straty próżne pochwały Dyrektoryatu paryskiego, w osobnem piśmie dziękczynnem do legii. Objął nad nią po Rymkiewiczu komendę Wielhorski. Zostały z niej szczątki, około jednej trzeciej, tysiąc zaledwo ludzi. Przyrzekł wprawdzie Wielhorskiemu Scherer złączenie tych szczątków z przywoływaną już z południa legią pierwszą. Lecz nie dotrzymując słowa, sam do śpiesznego zabierając się odwrotu, przeznaczył niedobitków legii drugiej na załogę do Mantui, na posterunek

stracony i nieuniknioną zagładę. W rzeczy samej, już waliło się w gruzy panowanie francuskie we Włoszech. Waliła się Cyzalpina, opróżniona przez Francuzów, zalewana przez wojska austro-rosyjskie. Dyrektoryat i izby medyolańskie ratowały się ucieczką do Szwajcaryi i Francyi. Powracały do Lombardyi rządy habsburskie. Zaczynał się okres feralny „trzynastu miesięcy“ (*tredici mesi*), restauracyi panowania cesarskiego i okrutnego odwetu za minioną jak sen, krótką dobę republikańską.

Zarazem, w połowie kwietnia 1799 r., przybył do Verony Suworow. Wódz niepospolity, największy, jakiego wydała Rosya, „z duszą a bez głowy wielkiego generała“, wedle sądu o nim Bonapartego, sam natomiast z zachwytem odzywał się on o Bonapartem, za srogie cięgi, zadane przezeń nienawistnym sobie w gruncie Austryakom. Teraz zjawiał się po nim na ziemi włoskiej, aby pospołu z Austryą zetrzeć ostatnie ślady bonapartowych czynów. Nadawał się do tego Suworow, jak nikt inny. Bożyszcze swych wojsk, umiał, jąk nikt inny, rozpalać i wyzyskiwać do ostateczności ślepe, bezmyślne, karne bohaterstwo rosyjskiego żołnierza. Bezwzględny, śmiały, czujny, szybki, chytrość głęboką pod błazeńskim kryjąc pozorem, pełen niepożytej jeszcze energii, choć starością i brzydką nękany chorobą, żądny wciąż sławy dla siebie i rosyjskiego imienia, po raz pierwszy zanosił on zbrojną pięść rosyjską aż tak daleko, do kolebki kultury zachodniej. Tym czynem swoim zaczepnym, dziwaczną swoją po Bonaparcie zjawą na tle klasycznego świata, wcielił, jak nikt inny, biegunową Wschodu a Zachodu antytezę, skąd z kolei spłynie nawrót obronny przeciw Rosyi, podjęty przez pierworodnego syna łacińskiej kultury, Napoleona. Suworow, natychmiast po przybyciu, podjął energiczne, na swój sposób, uderzenie offensywne. Rozbił pod Cassanem armię francuską, dowodzoną obecnie, po odwołaniu Scherera, przez Moreau. Przed wziętym do niewoli Serurierem prawił już o inwazyi do Francyi,

o marszu na Paryż. Jednocześnie, w końcu kwietnia, nastąpiło w Rastadzie tragiczne, niebywałe w stosunkach międzynarodowych, zamknięcie przewlekanej dotychczas fikcyi kongresowej, przez wymordowanie pełnomocników francuskich. Republika francuska zachwiała się w posadach. Zagrożona była wewnątrz wybuchłem ponownie powstaniem szuańsko - wandejskiem. Była naciskana zewnątrz zwycięskim naporem koalicyjnym, na całej linii Renu od Holandyi aż do Szwajcaryi. Szczególnie zaś pognębiona i narażona była od strony traconych Włoch. Tutaj, w sam dzień rastadzkiego mordu, padł Medyolan, zagarnięty zmiatającą wszystko przed sobą offensywą suworowowską. Tegoż dnia, w niedzielę wielkanocną rosyjską, odbył stary Scyta wjazd tryumfalny do langobardzkiej stolicy. Witany był uroczyście przed bramą miasta przez deputacyę obywatelską z arcybiskupem na czele, jako zbawca od francuskiego jarzma. Wśród bicia dzwonów i entuzyastycznych okrzyków pospólstwa, wjeżdżał do Medyolanu Suworow, na koniu kozackim, cały w bieli, w otwartej koszuli, podwiniętych płóciennych szarawarach, szerokich krótkich butach na gołych nogach, przeżegnywając się ciągle i naprzemiany błogosławiąc cisnące się ku niemu tłumy szerokim znakiem greckiego krzyża, czynionym bezustanku ręką praw z której zwieszał się nahaj.

Raptownie odtąd szły po sobie dalsze postępy austro-rosyjskie, pomimo rodzących się już w skrytości ostrych obustronnych tarć sprzymierzeńczych. Moreau zepchnięty został aż na Rivierę. Cała północna połać Włoch, od granic weneckich aż do Piemontu i Liguryi, dostała się w ręce koalicyjne. Padły wszystkie niemal znajdujące się tutaj twierdze francuskie. Już tylko z ledwością trzymała się obtoczona zewsząd najściślej Mantua, gdzie w beznadziejnej obronie trawiła się zamknięta, okaleczona legia druga polska.

Dąbrowski tymczasem, po odjeździe Kniaziewicza

do Paryża, ucierał się nad Gariglianem z powstańcami neapolitańskimi, ze scarpettami, kontrabandzistami, brygantami, baurami, chłopstwem licznem i dzikiem, prowadzonem przez takich, jak sławny Fra Diavolo, partyzantów śmiałych i krwiożerczych. Codzienne męczące te walki przybierały postać coraz poważniejszą i zaciętszą, w miarę jak poczynały dobiegać już tutaj pierwsze z północy podmuchy burzy koalicyjnej. Trapił się tem Dąbrowski, ale i radował w duszy, gdyż w wielkiej wojnie z koalicyą pokładał wszak jedyne właściwe widoki całej imprezy legionowej. Tembardziej przecie śpieszno mu było z zaklętego kalabryjskiego kąta wydostać się z legią swoją na północ, do wspólnych z legią drugą działań na głównym terenie wojennym. O zwycięstwie Francuzów nad Austryakami ani wątpił. Trząsł się tylko na myśl, iż ono może przyjdzie znów zaprędko, i że sam mógłby znów spóźnić się do wzięcia czynnego w niem udziału z bronią legionową dla dobra Polski. Wtem, pod koniec marca 1799 r., odebrał od Wielhorskiego z Mantui wiadomość pewną o objęciu dowództwa przez Scherera i niezwłocznem rozpoczęciu kroków wojennych. Nie było chwili do stracenia. Ale rzeczą dość było drażliwą wypraszać się wprost z pod komendy niezbyt zresztą życzliwego Macdonalda, który w szczególności źle był usposobiony dla Dąbrowskiego osobiście, mając go za stronnika Bruna, Jouberta, Championneta, swych rywalów wojskowych i politycznych. Wysłał tedy Dąbrowski natychmiast do głównej kwatery armii włoskiej w Mantui wiernego Wybickiego, który przybył za nim z Medyolanu na neapolitańską wyprawę, oraz adjutanta swego Zawadzkiego. Powierzył im naglącą do Scherera prośbę o odwołanie do siebie legii pierwszej, celem użycia całego korpusu polskiego na prawem skrzydle armii, dla samodzielnej dywersyi zaczepnej i przedarcia się przez Węgry do Galicyi. Nakazywał wysłańcom „pośpiech jaknajwiększy, pod osobistą odpowiedzialnością".

Jednocześnie próbował przygotowywać w tym sensie Macdonalda i czynił stosowne zarządzenia w legii i zakładach jej ankońskim i rzymskim. Kilka tygodni w niespokojnem minęło oczekiwaniu. Frasował się już Dąbrowski, czyli jeno na czas „otrzymamy rozkaz złączenia się z armią włoską, zanim ona podstąpi pod Wiedeń". Nieborak mierzył wciąż rzeczy na miarę Bonapartego.

Naraz zaczęły do Neapolu dochodzić głuche odgłosy klęsk lombardzkich, aż wreszcie w drugiej połowie kwietnia z hiobową wieścią powrócił Zawadzki. Trafił on z Wybickim do Mantui nazajutrz po porażce pod Magnanem, kiedy armia francuska zabierała się do odwrotu a rząd cyzalpiński do ucieczki. Biedny Wybicki, zdjęty rozpaczą i przerażeniem, schronił się aż pod Genewę. Zawadzki, śpiesząc z powrotem, przywoził wprawdzie Dąbrowskiemu upragniony rozkaz marszu dla połączenia się z armią włoską, przecie nie w spodziewanym kierunku północno-wschodnim lecz zachodnim, przez Rzym, Sienę, Florencyę. A przywoził zarazem okrutną wiadomość o sromotnem pobiciu Francuzów, o śmierci Rymkiewicza, o zniszczeniu dwóch trzecich jego legii i zamknięciu okrwawionych jej ostatków, pospołu z batalionem artyleryi, na stracenie doszczętne w murach Mantui. Jęknął draśnięty w samo serce Dąbrowski na widok znikłej nagle jednej mozolnych prac swoich połowy, albo raczej i więcej, bo wraz z drogocenną artyleryą polską. Ale się wnet opamiętał i przedsięwziął z pozostałą czynić połową, co był zamierzał z całością. Niełatwo jeszcze przyszło wydobyć od Macdonalda pozwolenie ostateczne na odmarsz. Jeszcze dni parę czekać wypadło na zluzowanie na zajmowanych posterunkach przez oddziały francuskie. Nakoniec, pod koniec kwietnia 1799 r., można było wyruszyć w pochód powrotny, na walną rozprawę wojenną.

Droga trudna, niebezpieczna wiodła teraz wstecz

przez całe Włochy, już wszędy burzone, podkopywane, podnoszone na nogi przez koalicyę i duchowieństwo, przez pomstę za ciemięstwa francuskie, przez szerzący się pogłos francuskich porażek. Wzdłuż przez wszystką przebogatą, przepiękną krainę italską, ku której od wieków pożądliwe obce parły plemiona, którą teraz wydzierali sobie gallijscy i germańscy najeźdzcy, piął się w górę z powrotem lechicki hufiec sierocy, rządzony jedną tylko myślą, jak od tych cudzoziemskich świetności i blasków do swojej wyzwolonej trafić ziemi szarej, głodny nie zdobyczy, nie panowania, lecz własnej swobodnej ojczyzny.

Legia w wybornym była stanie. Z półrocznej kampanii neapolitańskiej wracała liczniejsza i tęższa. Składała się z pięciu batalionów piechoty i dwóch szwadronów jazdy. Miała w szeregu blisko półczwarta tysiąca ludzi. Była porządnie uzbrojona, nieźle przyodziana; otrzymała w drodze brakujące mundury. Szła znów w cudną południową wiosnę, rzeźko, sprawnie, z animuszem dobrym. Szła wszak na północ, zawszeć bliżej, niż dalej domu. Kapela z czterdziestki muzykantów, w kurtkach karmazynowych, skocznego legionowego przygrywała mazurka: „marsz, marsz Dąbrowski, do Polski z ziemi włoskiej“. A Dąbrowski z ciężkiem słuchał i prowadził sercem. Wiedział już dobrze, i on, i jego oficerowie, jak stały rzeczy. Wiedział, że prowadzi nie do Polski, lecz do pobitych Francuzów, na zwycięskich Austryaków i Rosyan, że może prowadzi na rzeź. Ale wiedział też, i on, i oficerowie szlachta, że w nich i w tym powierzonym im zbrojnym ludzie był jedyny jeszcze ostały złom oręża wielkiej Rzpltej, był promień starożytnej mocy i zadatek odrodzenia narodu. Tedy należało podtrzymać ducha żołnierza i nieść wysoko imię polskie.

Pod Terraciną wychylała się legia z cieśnin gór-

skich Kalabryi na równinę pontyńską, w wojenną już strefę, w obręby zagrożonej już Republiki rzymskiej. Kroczyła odtąd zwartą kolumną, w pełnym szyku bojowym. Tutaj, z kwatery sztabowej w Mezy, w rozkazie dziennym do generał-marszu ze świtem, wydał Dąbrowski pierwsze hasło dla całej legii: „Wolność, Warszawa, Wanda“. Nazajutrz, w Cisternie, wyszło hasło: „Kraków, Karność, Kościuszko“. Trzeciego dnia, w Gensanie: „Polak, Poczciwość, Patryotyzm“. Dnia następnego: „Szczęsny, Szelma, Szubienica“. Był to właśnie Trzeci maja 1799 r., i znów, jak równo przed rokiem, wstępowała legia do Rzymu. Wchodziła przez bramę Lateraneńską, w paradzie, „w pełnym blasku“: pułk lansyerów z trębaczami na czele, dalej sztab na białych koniach, batalion grenadyerów, trzy bataliony fizylierów, batalion strzelców. Dziwowali się Rzymianie postawie dzielnej, większej niż przedtem liczbie i nowej jeździe legionowej; a choć wrogo już nastrojeni, wstrzymać się nie mogli od wiwatów i oklasków. Po dwudniowym ledwo spoczynku, ruszono z Rzymu dalej, pod hasłem: „Męstwo, Miecz, Mieczysław“.

Zamiast na Sienę, zboczono nieco na Perugię, dokąd troskliwy Chamand sprowadził z ankońskiego zakładu pociąg ubiorczy, i gdzie do reszty ubrała się legia. Ale przez to odchylenie, pod kątem niebezpiecznym wstępowano do Toskanii. Dopiero co, w marcu, byli opanowali ją Francuzi, przepędziwszy W. Księcia Ferdynanda III, a oto już od początku maja cały kraj był z tej strony w powstaniu. Trzeba było przedzierać się przez silne oddziały powstańcze, mające działa i instruktorów austryackich, przez zatarasowane miasta Arezzo i Cortonę. Tutaj też, w marszu, w trudnem przejściu między górami a jeziorem Trasimeńskiem, w połowie maja, dotkliwe straty poniosła legia, a najdotkliwszą w osobie zabitego na miejscu kulą, nowego szefa swego, niepospolitego Chamanda. We Florencyi otrzymał Dąbrowski

rozkaz spędzenia oddziałów austryackich, grożących już przecięciem komunikacyi z Genuą, dokąd pod wodzą Moreau wycofywała się pobita armia włoska. Żwawo wywiązał się z tego zadania. Wnet oczyścił z nieprzyaciół wszystkie wyloty apenińskie na Cyzalpinę. Po raz pierwszy prowadząc tu legię swoją przeciw Austryakom, pokazał Dąbrowski, iż potrafi wybornie dawać im radę.

IV

Już jednak wielka otwierała się kampania. Śladem legionu polskiego, nadciągnął z całą armią neapolitańską, odwołany oddawna na pomoc włoskiej, ambitny Macdonald. Zrazu nienazbyt się śpiesząc, potem znów nadmiernie on się kwapił, na własną rękę, bez udziału Moreau, wyprzedzić go w zaszczycie wielkiej wygranej. Zszedłszy w dolinę Padu dla złączenia się z Moreau, lecz nie doczekawszy się jego przybycia, Macdonald posunął się aż nad Trebbię. Tutaj, w pozycyi niefortunnej, wsławionej hannibalowem nad Rzymianami zwycięstwem, w drugiej połowie czerwca 1799 r., uderzył na nadbiegłego z armią austro-rosyjską Suworowa, wydał mu trzydniową batalię i przegrał z kretesem. Siły w tem miejscu i chwili były niemal równe, około 30 tysięcy ludzi z każdej strony. Była nawet pierwotnie pewna raczej przewaga po stronie francuskiej, ale nie było głowy, i to spowodowało klęskę.

Dąbrowski z legią polską umieszczony był na skrzydle lewem. Ku nieszczęściu swemu i armii, miał on tutaj pod bokiem jazdę francuską pod niewytrawnym generałem Ruscą. A miał naprzeciw siebie wszystką prawie rosyjską połowę wojsk nieprzyjacielskich. Albowiem Suworow, powiadomiony wybornie o ruchach i rozłoże-

niu Francuzów, nawet o stanie czynnym ich batalionów i kompanii, skupił na prawem swem skrzydle najtęższe wojska własne. W szczególności zaś dbając o mściwe porachunki domowe rosyjskie, o dogodzenie Pawłowi zgruchotaniem Polaków, zdobywca Pragi osobliwie zawzinał się na nich i swego niegdy w Warszawie więźnia, Dąbrowskiego. Naprzód, pierwszego dnia, 17 czerwca 1799 r., nad Tidonem, o wiorst kilka przed Trebbią, tym samym zupełnie manewrem, jak przed dwudziestu wiekami wódz punicki swych Numidów, wypuścił Suworow kilka pułków kozackich, które Ruscę wciągnęły w pościg za sobą i zasadzkę, co początkiem było bitwy i klęski. Natychmiast całą awangardę, pod bitnym Gruzinem, ulubieńcem swoim i W. Księżny Katarzyny Pawłówny, generał-majorem Bagrationem, zwalił znienacka na idących z odsieczą legionistów. Wtedy to, po dzielnej lecz daremnej obronie, wykłóty i wzięty został cały batalion strzelców polskich.

Nazajutrz, nad samą już Trebbią, legia polska, wedle fatalnej dyspozycyi Macdonalda, wystawiona bez osłony i oparcia na uderzenie atakujących dwóch pełnych dywizyi pieszych rosyjskich, dragonów austryackich i kozaków, w nieskończenie gorszych jeszcze znalazła się opałach. Poddać się musiał odcięty i otoczony zewsząd cały batalion trzeci, z Forestierem, szefem legii po Chamandzie. Rozbity, wycięty i zabrany został batalion grenadyerski. Z biedą i stratą znaczną, ledwo wybrnął okolnie w góry batalion pierwszy. Najsprawniej jeszcze pod Chłopickim, który w tej łaźni okazał rzadką zdatność bojową, przerznął się w zamkniętym czworoboku batalion drugi. Sam Dąbrowski, ranny w rękę, szablą otwierać sobie musiał drogę przez piki kozackie.

Następnego, ostatniego dnia właściwej bitwy trebbiańskiej, znów od rana aż w późną noc, ze zmiennem szczęściem, lecz już ze świadomością przegranej, wal-

czyły szczątki polskie z ośmieloną sukcesem przewagą nieprzyjacielską, zawsze w pierwszej linii z Rosyanami mając do czynienia. Nareszcie, w czwartym jeszcze dniu, upadające ze znużenia niedobitki legionowe, pod Dąbrowskim, od świtu w walce nad Nurą, okrywały w aryergardzie odwrót pobitej, zmniejszonej o połowę, armii francuskiej, odbywający się w największym bezładzie, podobniejszy do prostej ucieczki.

Co zaś wśród wojennego tego nieszczęścia znowuż okrutnym, zgrzytliwym było wyrazem bezprzykładnej narodowej tragedyi polskiej, to ta okoliczność, że podobnie, jak już pod Legnagem i Magnanem, przeciw lego drugiej, tak w wyższym jeszcze stopniu tutaj, pod Tidonem i Trebbią, przeciw legii pierwszej, podnosiła się bratobójcza ręka Polaków w służbie nieprzyjacielskiej. Tak więc, w szarżujących tu austryackich szwadronach szwoleżersko-dragońskich Karaiczay i Levenehr, nie brakło Polaków; był nawet między nimi brat przyrodni Sułkowskiego Józefa. A pełno ich było w idących tu na bagnety batalionach muszkieterskich i jegierskich rosyjskich. W samym sztabie głównym rosyjskim, na stanowiskach naczelnych, byli ludzie pochodzenia albo krwi polskiej. Był tu np. generał dywizyi Powała-Świejkowski, który wybitne oddał usługi pod Trebbią i w ciągu całej obecnej kampanii włoskiej. Był generał-lejtnant Aleksander Szembek, który bił się już przeciw Polsce pod Zieleńcami i Dubienką, a teraz przybywał do Włoch, na czele pułku muszkieterskiego nowogrodzkiego. W jednym tylko batalionie muszkieterskim pułku nizowskiego, biorącym udział wydatny, drugiego i trzeciego dnia bitwy trebbiańskiej, w bagnetowym na legię polską ataku, mnóstwo polskich było oficerów. Służyli tu mianowicie dwaj praporszczykowie książęta Lubeccy, Hieronim i Ksawery, późniejszy znakomity minister skarbu warszawski. W tymże batalionie służyli ze szlachty polskiej podporucznicy Miłkowski i Wysocki, porucznik

Jurgaszko, kapitan Gołębiowski, major Zaremba i inni, którzy poczęści już dawniej bili się przeciw Polsce pod Zelwą, Dubienką, Chełmem i przy szturmie Pragi, a teraz, służąc przeciw legionistom, dorabiali się orderów Anny i Włodzimierza za akcye nad Trebbią i pod Novi. O dezercyi mowy tu nie było, ani też prawie nie było stąd niewolnika: bo nie było pogromcy, umiejącego rozwalać armie nieprzyjacielskie i wykrzesywać z nich polski materyał legionowy: nie było Bonapartego.

Przeciwnie, mnóstwo legionistów, powyżej tysiąca, dostało się tu do niewoli. Położenie ich było okropne. Niemiłosiernie traktowani byli od zwycięskich Rosyan. Sam młody W. Książę Konstanty, asystując tutaj kwaterze głównej Suworowa, choć bynajmniej nie odznaczył się w tej kampanii animuszem rycerskim, przecie dawał przykład nienawiści i pogardy dla broni polskiej, którą kiedyś będzie się szczycił, jako Wódz Naczelny Królestwa Kongresowego. Jeńcy polscy, natychmiast oczywiście, na polu bitwy, rozbierani byli gruntownie przez kozaków, tak że wielu nawet oficerów w jednej tylko znalazło się koszuli. Ale najgorszy był los prostych żołnierzy, oddawanych Austryakom i zaraz bez litości katowanych, wedle przepisów krygsrechtu, za zdradę cesarskiego sztandaru.

Naogół, w tej ciężkiej nad Trebbią potrzebie, legia polska pierwsza, jak przedtem druga pod Veroną, spełniła swoją powinność. Żołnierz legionowy rodem z Galicyi, słysząc tu nasampierw dzikie pogwizdy i wycia napierającego kozactwa, przeraźliwe okrzyki „*wperiod, neboś*, Praga, Praga“ szturmujących jegrów, nie stropił się, trzymał się twardo i dał się dobrze we znaki zwycięzcom. Nawet zachwianie się batalionu trzeciego, ku zgrozie oficerów, zrozpaczonych „straceniem reputacyi“, nie było wszak niczem, w porównaniu z wcześniejszą kapitulacyą całej prawie dywizyi francuskiej pod walecznym Serurierem, a było tak samo wyni-

kiem nieodbitych ciężkich win komendy naczelnej, nie wojska.

W rzeczy samej, ani poświęcenie legionistów polskich, ani świetna brawura francuskiego żołnierza nie zdały się na nic, wobec tych fatalnych, rozkładowych warunków, śród jakich toczyła się obecnie nierówna walka Republiki z koalicyą. Jakkolwiek w legii polskiej nie miano należytego pojęcia o właściwych rozmiarach tego zgubnego u góry rozkładu, sięgającego od kwatery głównej aż do kół rządowych paryskich, to jednak opłakane stąd skutki na własnej odczuwano skórze, a niektóre też, nadzwyczaj znamienne objawy poczynano własnem stwierdzać doświadczeniem. Już w czerwcu, będąc w pełnym marszu na bitwę nad Trebbią, uczynił Dąbrowski zdumiewające odkrycie, iż między dostarczonemi mu dla legii ładunkami karabinowemi znajdowała się znaczna bardzo ilość mieszczących wewnątrz kule woskowe. Dawało to aż nadto do myślenia. Było bowiem namacalną skazówką, jak głęboko wżarła się zdrada, gdyż fabrykacya podobnych ładunków była rzeczą dość skomplikowaną, wymagającą czasu i uprzedniego porozumienia. Zadziwiony był również Dąbrowski zupełnem zaniedbaniem służby wywiadowczej ze strony francuskiej, niemożnością dostania porządnych przewodników i szpiegów, w obliczu świetnie informowanego nieprzyjaciela. Zadziwiony był bardziej jeszcze niesnaskami generalicyi, nieporządkiem w sztabie głównym, brakiem planu i najniezbędniejszych środków ostrożności, tuż przed oczekiwaną co chwila batalią. Po złączeniu się w Reggio z armią Macdonalda, na kilka dni przed Trebbią, uderzony był „panującym nieładem tak wielkim, że nikt nie wiedział czego się trzymać“. W ciągu pierwszego dnia bitwy był świadkiem takiego w armii „zamieszania, iż trudno było przywrócić porządek“. Kiedy zaś drugiego dnia, wobec zwalającej się na legię przewagi, żądał na gwałt pomocy od Macdonalda, zostawiono go na łasce

losu, albowiem poprostu „armia nie była przygotowaną do boju" *(l'armée n'était pas préparée pour se battre)*. To proste orzeczenie, w poufnym raporcie Dąbrowskiego o Trebbii, przeznaczonym dla władz francuskich, a przeto z konieczności wstrzemięźliwym w swej stylizacyi, było nietylko gorzką skargą, lecz bezwzględnem potępieniem zbrodniczego niedołęstwa komendy naczelnej wogóle, a Macdonalda w szczególności. Zaś nierównie dobitniej jeszcze istotne przyczyny klęski napiętnowane zostały bez żadnych obsłonek w prywatnym opisie tej bitwy przez jednego z uczestniczących w niej oficerów legionowych. „Nieprzyjaźń wzajemna, niezgoda i bezgraniczna zawiść, — są słowa kapitana Tomaszewskiego — opanowała umysły wszystkich generałów francuskich... Honor, sława, zbawienie całej armii, dobro sprawy publicznej, a z drugiej strony pohańbienie charakteru narodowego, wreszcie narażenie własnej reputacyi, wszystkie te pobudki nie starczyły do pojednania ich między sobą i powstrzymania od zgubnego dla armii nieładu". Nie było potężnej ręki i woli, górującej nad całością, trzymającej rzeczy w kupie: nie było Bonapartego: takie było powszechne uczucie pobitych Francuzów i rozbitej legii polskiej.

Legia pierwsza, podczas czterodniowych walk nad Tidonem, Trebbią i Nurą, straciła ogółem w zabitych, rannych i wziętych do niewoli conajmniej 1600 ludzi. Być może nawet, straty rzeczywiste sięgały wyżej jeszcze i dochodziły blisko dwóch trzecich całego stanu czynnego. Nadomiar, w tym samym czasie, przypadła zguba zupełna szczątków legii drugiej, zamkniętych w Mantui. Twierdza, zablokowana od kwietnia, następnie zaś, wnet po Trebbii, oblegana natarczywie od początku lipca przez 30-tysięczny korpus austryacki Kraya, przy udziale też Rosyan, pod najzawziętszym w tej kampanii przeciwnikiem Polaków, Bagrationem, po krótkiej, właściwie kilkotygodniowej zaledwo obronie czynnej, już

z końcem lipca poddaną została przez komendanta francuskiego, Foissaca. Załoga bez broni wracała do Francyi pod warunkiem niewalczenia aż do wymiany, a oficerowie przy szpadzie bądź mogli również wracać pod podobną kondycyą wymienną, bądź też pozostawali w niewoli jako zakładnicy. W każdym razie generał Foissac, pomimo późniejszych wielomównych swych tłómaczeń, niezaszczytną odegrał rolę, wydając tak rychło potężną mantuańską warownię, której tak długo musiał dobywać Bonaparte. Nigdy też potem od Napoleona nie otrzyma on rehabilitacyi, ani prawa noszenia munduru. Najcięższą krzywdę wyrządził Polakom dwuznacznem brzmieniem kapitulacyi. Wprawdzie w jawnym jej artykule warowano wyraźnie, iż „wojska polskie będą uważane pod każdym względem jako wojska Republiki francuskiej“. Aliści w dodatkowym, ukrytym zrazu przed Polakami, artykule kapitulacyjnym, podstępnie zastrzeżono, iż „dezerterowie austryaccy będą wydani odpowiednim regimentom i batalionom“, z tem tylko zaręczeniem, iż nie będą karani śmiercią. Był to wyrok zagłady dla znajdujących się w Mantui, pod Wielhorskim, Kosińskim, Axamitowskim, legionistów polskich, stanowiących piątą część załogi. Było ich tu z początkiem oblężenia około półtora tysiąca ludzi, t. j. 1200 piechoty oraz cały batalion artyleryi. Pod koniec, po ciężkich stratach w zabitych, rannych i chorych w czasie oblężenia, a poczęści też skutkiem namowy dezercyjnej austryackiej, pozostało jeszcze pod bronią około 800 ludzi. Uczestniczyli oni dzielnie w obronie twierdzy. Zwłaszcza artylerzyści polscy, pod uczonym Jakubowskim, sprawnym Redlem, wytrwałym Hornowskim, niemałe oddali usługi. Teraz wszyscy padali ofiarą, wyłączeni od wymarszu i wymiany, skazani na powrót przymusowy karny do porzuconej służby cesarskiej.

Sądny to dla legionistów był dzień 30 lipca 1799 r., kiedy kapitulująca załoga mantuańska wychodziła

z twierdzy, pomiędzy dwoma szeregami piechoty austryackiej z regimentów Deutschmeister i Terzy, rekrutowanych pomocniczo z Żółkwi i Lwowa, a więc dobrze ze zbiegami galicyjskimi obeznanych. Umyślnie puszczono przodem Francuzów, lecz nawet ze środka ich plutonów wyciągano chowających się tam Polaków. Rzucono się następnie na maszerującą w tyle kolumnę artylerzystów i fizylierów legionowych. Porwano im sztandar, zdzierano mundury, chwytano ich, oddawano pod sąd polowy, i ułaskawionych na rózgi porozsyłano po dawnych pułkach, albo na odsiadywanie kary po fortecach. Świadek naoczny, Godebski Cypryan, wychodząc wtedy z lazaretu mantuańskiego po ciężkiej pod Magnanem ranie, ze zgrozą patrzył się na te przeprawy okropne rodaków. Oddał szlachetny poeta legionowy hołd należny szczeremu dla polskich kolegów braterstwu prostego żołnierza francuskiego. Uwiecznił „wspaniałego granadyera filozofa“, Jana Henry, szeregowca 14 półbrygady francuskiej. Ale wzdrygnął się na zdradliwą niewdzięczność francuskiej komendy. „Poznaliśmy wówczas, — orzekł z boleścią — co to jest walczyć za cudzą sprawę“.

Taki był opłakany koniec legii drugiej. W tym samym czasie Dąbrowski, z pozostałą mu resztką legii pierwszej, na inny sposób niemniej opłakane przechodził koleje. Zapadało się panowanie francuskie w całych Włoszech. Ginęły wszystkie, powołane przez Francyę do życia, twory państwowe italskie. Znikały, zalane krwawym odwetem restauracyjnym, republiki partenopejska i rzymska. Zmiecioną doszczętnie została Cyzalpina, a tem samem „posiłkowe“ jej wojska legionowe polskie traciły wszelką podstawę materyalną i nawet racyę bytu. Po klęsce nad Trebbią wypadło przed napierającym pościgiem wycofywać się w góry, chronić się głęboko między niegościnne urwiska apenińskie, gdzie legia niszczała z wyczerpania i głodu, kiedy natomiast nieprzyjaciel

wylegiwał się na płodnych równinach Lombardyi i Toskanii. Zaraz w tydzień po bitwie, w końcu czerwca 1799 r., Dąbrowski wyprawił Jabłonowskiego, który ze straconej teraz służby rzymskiej znów powrócił do swoich i posunięty był na generała brygady po Rymkiewiczu, do Genui, do Moreau, z usilną prośbą o pomoc w reorganizacyi legii oraz o wydobycie jej z rąk Macdonalda i wzięcie do siebie, do armii włoskiej. Zresztą niebawem, po złączeniu się w połowie lipca z Moreau, sam Macdonald udał się do Paryża. Przysłany na jego miejsce roztropny Saint-Cyr objął dowództwo stopniałych jego wojsk, stanowiących obecnie prawe skrzydło armii włoskiej, przenoszonej etapami dalej wstecz, na jedyne jeszcze pozostałe jej we Włoszech schronisko, Rivierę genueńską.

Tutaj też, pod koniec lipca 1799 r., po mozolnej przez górskie szlaki nadmorskie włóczędze, nadciągnęła zbiedzona legia. Dąbrowski założył kwaterę w samej Genui, w Casa Lomellini. Bataliony dyzlokowano na przedmieściu, w Sampierarenie, i po nędznych wioskach okolicznych. Niezwłocznie zgłosił się Dąbrowski do Moreau ze szczegółowym o legiach memoryałem. Wykładał tu, w dziewięciu punktach, pytania najnaglejsze, względem przyszłego losu broni legionowej, a zwłaszcza względem wzięcia jej na koszt i żołd francuski, wobec upadku Cyzalpiny. Nie mógł jednak od wodza, pomimo osobistej jego życzliwości, uzyskać skutecznej pomocy materyalnej, gdyż nazbyt smutnem było położenie samejże armii francuskiej. Zyskał tyle tylko, że pozwolono mu przynajmniej zbierać nowozaciężnych i przenieść zakład legionowy do Nizzy. Trzeba było własnym przemysłem, z pustemi rękoma, śród najniepomyślniejszych warunków podejmować reorganizacyę zdziesiątkowanego i zbiedzonego korpusu polskiego. Co do sprawy najgłówniejszej, od której obecnie, po zniknięciu Cyzalpiny, zale-

żała cała przyszłość legii, polskich t. j. co do stosunku ich do Francyi, udzieloną została jedynie ogólnikowa „ustna odpowiedź,... by zostawić żądania legionistów dalszemu losowi, a teraz niech się uważają, jakgdyby w służbie Republiki francuskiej".

Ale o skutecznem na miejscu zaradzeniu niedoli legionowej nie mogło wcale być mowy dla tego już prostego powodu, że równocześnie zaszły znowu gwałtowne odmiany w komendzie naczelnej francuskiej. Moreau, przy najlepszej nawet chęci, nie miał sposobu uczynienia zadość żądaniom Dąbrowskiego. W tej samej bowiem chwili, kiedy odbierał od niego rzeczony memoryał, sam przestał już być wodzem armii włoskiej. Co więcej, nagłe rdzenne zmiany w dowództwie były bezpośredniem odbiciem nieustatkowanych zgoła stosunków, panujących przez cały przeciąg klęskowego tego okresu w rządzie centralnym paryskim. W Paryżu, w drugiej połowie czerwca 1799 r., właśnie w dzień klęski nad Trebbią, dokonany został t. zw. zamach stanu prairiala. Była to nadzwyczaj sprytnie przeprowadzona komedya polityczna, rzekome zwycięstwo ciała prawodawczego, a mianowicie republikańsko-jakóbińskich żywiołów w Radach, nad zohydzonym w opinii Dyrektoryatem. W rzeczywistości jednak pozostał nietknięty na stanowisku najohydniejszy dyrektor, główny tej komedyi reżyser, Barras; zaś na miejsce usuniętych czterech innych dyrektorów, wszedł powołany z Berlina Sieyès i trzech statystów bez znaczenia. Skutkiem tego nastąpiły też odpowiednie zmiany w zarządzie ministeryalnym. Ambitny i zręczny Bernadotte, narzucony Sieyèsowi przez Barrasa, objął nasampierw ministeryum wojny po Milecie. Wkrótce potem, Reinhard wziął tekę spraw zagranicznych po Talleyrandzie. Jednocześnie zaś, zgodnie z radykalnemi pozorami całego tego przewrotu, już w początku lipca, ognisty republikanin Joubert otrzymał napowrót dowództwo armii włoskiej, a znany

ze skrajnych swych przekonań Championnet dowództwo nowoutworzonej armii alpejskiej.

Wobec wywołanego tym sposobem nowego zupełnie położenia, Dąbrowski, całkiem zbity z tropu, w końcu lipca 1799 r., wyprawił z Genui, gdzie Moreau był już jakby na wylocie, a dokąd jeszcze nie przybył Joubert, dwóch zaufanych oficerów, majora Kaźmierza Konopkę i kapitana Biernackiego, do Paryża. Wybór tych wysłańców był w pewnej mierze przystosowany do przewidywanych nastrojów i okoliczności spółczesnych paryskich. Konopka, jak wspomniano, należał ongi do radykalniejszych w Warszawie działaczów za insurekcyi kościuszkowskiej. Biernacki, który wiosną roku zeszłego był jeździł od Dąbrowskiego do Wiednia, do ambasadora Bernadotta, miał tym razem trafić do niego, jako obecnego ministra wojny. Zabierali oni z sobą raport powinny do Naczelnika, dziennik działań legii pierwszej od wyjścia z Neapolu aż do przybycia do Genui, naglące listy Dąbrowskiego do Kościuszki i Kniaziewicza. Przedewszystkiem jednak misya ich polegała na wyjaśnieniu przyszłych losów legii, uzyskaniu od rządu najniezbędniejszych zasiłków doraźnych oraz poręczeń zasadniczych w sprawie kardynalnej: czy i jak Francya zamierza zastąpić legiom obaloną Cyzalpinę.

Rzecz sama przez się była równie doniosłą, jak trudną i drażliwą ze strony rządowej francuskiej. Na dobitkę zaś wchodziły tu w grę szczególnie niepomyślne powikłania ze strony emigracyjnej polskiej, godzące bezpośrednio w Dąbrowskiego. Najzawziętsi jego przeciwnicy osobiści i polityczni wynurzyli się znów i wzmocnili w Paryżu, dzięki przewrotowi prairiala. Wznowili też w te pędy dawną zaciekłą walkę fakcyjną przeciw znienawidzonemu twórcy legionów. Już w połowie lipca, z natchnienia kliki deputacyjnej, a mianowicie wiodącego w niej teraz rej Szaniawskiego, „patryota polski“ Neyman ogłosił drukiem w Paryżu w języku fran-

cuskim nowy paszkwil „O Dąbrowskim“. Było to istne arcydzieło potwarczej czelności, gdzie wykazywano czarno na białem, jak Dąbrowski onego czasu, podczas insurekcyjnej swej wyprawy do Wielkopolski, nietylko był sromotnie bijany przez Prusaków, lecz, przekupiony przez nich, dawał bijać się rozmyślnie; jak następnie „czołgał się u stóp Suworowa“; jak wreszcie od rządów rozbiorowych otrzymał tajną „destynacyę“ do Włoch, dla tem snadniejszego zdradzania Francuzów, pod pozorem swych robót legionowych. Nikczemne to pismo wydano w tym samym właśnie czasie, kiedy Dąbrowski, z raną, otrzymaną nad Trebbią, męczył się na czele swych legionistów, ucierał ze zwycięskim nieprzyjacielem i głodził wśród urwisk apenińskich. Piśmidło to rozpowszechniane było w znacznej ilości egzemplarzy, staraniem warcholących nad Sekwaną prawdziwych „patryotów”, rozdawane w Radzie Pięciuset, po ministeryach, klubach i redakcyach paryskich. Niedość na tem, postarano się jeszcze poprzeć ten paszkwil stosowną petycyą zbiorową, podpisaną imiennie przez wielu znajdujących się w Paryżu „patryotycznych“ Polaków, i skierowaną wprost do ministeryum wojny, z żądaniem usunięcia Dąbrowskiego od komendy oraz oddania go pod sąd, dla wytłómaczenia się z wytoczonych przeciw niemu ciężkich zarzutów.

Owóż miano teraz pomocnych tej intrydze ludzi przy boku nowego ministra wojny, Bernadotta. Był tu dwuznaczny Rousselin, mianowany przez niego, zaraz po objęciu władzy, swoim sekretarzem generalnym. Był arcysprytny Maliszewski, parokrotnie aresztowany z rozkazu Dyrektoryatu przed przewrotem prairiala, z powodu ciemnych swych knowań politycznych, a obecnie z tego samego powodu przygarnięty przez swego opiekuna, Bernadotta, umieszczony na wpływowem w ministeryum stanowisku, a następnie mianowany komisarzem nadzorczym *(agent contrôleur)* przy armii Championneta.

Był, ulokowany znów staraniem Maliszewskiego przy komisaryacie wojennym, Ignacy Zajączek, brat generała, superintendent kasowy mazowiecki, bardzo czynny w insurekcyi warszawskiej czerwieniec, do niedawna przez Austryaków więziony, „ponury, krwi i znaczenia chciwy, kat rewolucyjny“, naprawdę zaś człek tyleż mizerny co dwulicowy, fagas i donosiciel, jakim okaże się później, na wybitnej posadzie administracyjnej w Księstwie Warszawskiem. Razem z nimi wysunął się teraz emigrant wojskowy, mało dotychczas śród rodaków a najmniej w legionach znany, lepszy zapewne od tamtych głównych warchołów cywilnych, lecz aż nadto z nimi związany, Jan-Henryk Wołodkowicz. Pochodził z Mińszczyzny, bogaty z domu, rzecz na wychodźtwie rzadka i ceniona, żonaty z córką bankiera warszawskiego Teppera, oficer waleczny, bardzo piękny, „*Henri le beau*“, jak go potem nazywał Napoleon, ale głowa niespokojna, „Twój i publiczny nieprzyjaciel“, wedle ostrzeżenia, posłanego o nim, przez znającego go bliżej z domu Kniaziewicza, pod adresem Dąbrowskiego. Zdawna blisko z Chadzkiewiczem zaprzyjaźniony, Wołodkowicz, jako ochotnik poza legią, uczestniczył w kampanii neapolitańskiej przy sztabie Championneta. Uzyskał wtedy od niego nieurzędownie tytuł bez stopnia generała brygady, a obecnie w tym charakterze umieszczony został przy głównej kwaterze armii włoskiej pod Joubertem. Nakoniec pojawił się też oczywiście sam wszechstronny „generał Lodoiska“-Chadzkiewicz, który, dawszy nura z upadkiem Championneta, wypłynął znowuż za jego powrotem do komendy. Z hałasem upominał się on teraz dla siebie, ponad głową Dąbrowskiego, o szefostwo jazdy polskiej i prawo werbowania oddziałów na własną rękę. Pocichu jednak, zwąchawszy się osobiście z Barrasem i Bernadottem, zatrudniony był nierównie grubszym, a wielce delikatnym interesem podwójnym. Od Barrasa, wzorującego się zresztą w tym względzie na

wielkim przykładzie Wielkiego Fryderyka, pierwszego wynalazcy podobnej operacyi finansowo-wojennej, miał sobie mianowicie powierzone Chadzkiewicz, za wynagrodzeniem po dwadzieścia od sta, puszczanie w obieg wyrabianych w Paryżu, pod tajną egidą rządową, fałszywych bankocetli austryackich na sumy milionowe. Miał czelność zgłosić się z tem również po przyjacielsku do swego przeciwnika Dąbrowskiego, ofiarując mu za piękne te walory gładki skup wszystkich zaległości żołdu legionowego, lecz oczywiście spotkał się z odmową. Zarazem zaś podjął się on innej, daleko jeszcze subtelniejszej misyi, poruczonej sobie od Bernadotta, zapewne za pośrednictwem Rousselina i Maliszewskiego. Chodziło tu ani mniej ani więcej, jeno o planowy zamach wojskowy, celem obalenia całej istniejącej ustawy republikańskiej, wraz z pięciogłowym Dyrektoryatem, i zaprowadzenia natomiast „tryumwiratu“, dokąd wszedłby sam Bernadotte z innym jeszcze generałem, a dokąd liczył też wejść wtajemniczony w spisek Barras. Aliści niebezpieczna ta planta spiskowa, mająca najprawdopodobniej w ostatecznych swych konkluzyach pewną styczność ze snowanemi z drugiego końca widokami restauracyjnemi, wymagała koniecznie bliższego porozumienia z kuszonymi do niej generałami komenderującymi. Wymagała także wprzódy wypośrodkowania nastroju i intencyi ciała oficerskiego armii czynnych. Owóż tę to właśnie karkołomną czynność pośredniczącą wziął na siebie straceniec Chadzkiewicz.

To wszystko, w chwili niniejszej, gdy Neyman z Szaniawskim i towarzyszami podnosili głowę w Paryżu, gdy Maliszewski stanął przy Bernadocie, Wołodkowicz przy Joubercie, Chadzkiewicz przy Championnecie, fatalną tworzyło konjunkturę dla wyobrażanej przez Dąbrowskiego sprawy legionów włoskich, wstrząśnionych i nieledwie zdruzgotanych przez doznane straszliwe ciosy wojenne.

Ale jeszcze klęskom francuskim nie było końca. Nowy minister wojny Bernadotte we wspaniałych odezwach do armii zapowiadał potężne zbrojenia w dawnym stylu republikańskim, podjęcie energicznych kroków zaczepnych, powetowanie haniebnych porażek i odbój Włoch utraconych. Lecz od słów przemyślnego ministra-polityka daleko było do czynu. Ciężar czynu wziął na siebie porywczy Joubert. W początku sierpnia 1799 r. przybył on do Genui i po Moreau przejął komendę. Przyrzeczonych sobie z Paryża wielkich posiłków doczekać się nie mógł, ale przyrzeczonej przez siebie śmiałej offensywy dopełnić postanowił. Ruszył tedy niezwłocznie na odsiecz Mantui, nie wiedząc jeszcze o dokonanym już jej upadku. W połowie sierpnia natknął się pod Novi, w 35 tysięcy ludzi, na armię rosyjsko-austryacką Suworowa i Melasa, liczącą 45 tysięcy i 13 tysięcy rezerw. Sam padł ugodzony śmiertelnym postrzałem zaraz na początku walki. Armia jego ciężką poniosła klęskę, i pod prowizorycznem znów dowództwem Moreau ledwo uratowana została od zguby zupełnej. Dąbrowski z legią pierwszą, po marszu całonocnym, przybywszy tego dnia na plac boju dopiero popołudniu, był świadkiem okropnej przegranej. Umieszczony na skrajnem skrzydle prawem pod Saint-Cyrem, przy dywizyi generała Watrina, znowuż musiał w straży tylnej osłaniać odwrót zmniejszonej o jedną trzecią armii francuskiej.

Ponownie przyszło wycofywać się marszem forsownym w „nieszczęsne góry“ liguryjskie, w ciągłych krwawych utarczkach aryergardowych, a w nędzy okropnej i powszechnym upadku ducha. Donosił Watrinowi w urzędowych raportach Dąbrowski, że mu żołnierze pośród akcyi padają z głodu. Zaledwie dowlókłszy się z powrotem do Genui, zaczął przecie mimo wszystko pracować nanowo nad reorganizacyą legii, z niezmordowanym uporem i nawet z pomyślnym stosunkowo wynikiem.

Jak do magnesu zewsząd ciągnęli do niego zabłąkani jeszcze z Trebbii legioniści. Później z pod Mantui sporo przybywało niedobitków legii drugiej. A poczynali też potrosze znów napływać luźni dezerterzy i jeńcy austryaccy. Aż gdzieś z głębi Francyi wciąż przychodziły do Dąbrowskiego wzruszające zgłoszenia i akcesy. „Zabrany przemocą — pisał mu, we wrześniu 1799 r., z departamentu Jury, Michał z Korybutów Wigandtt, w regimencie I. pieszym buławy W. Księstwa Litewskiego bywszy podporucznik, a w wojsku cesarskiem oberkapral — od cesarskiego wojska do służby, wydobyłem się z tej... i teraz mam tu pod władzą głów 300 samych rodaków, czyli obywatelów polskich, którzy nie mają woli więcej powrócenia się do cesarza, a tych, chociaż są w biednym stanie,... utrzymuję od dezercyi i cieszę mocno tem, że jeszcze możemy tak powstać, iż będziemy wolnymi z pryzonu, a orzeł czarny porośnie w białe pióra, na czem zawisł los każdego rodaka ojczyzny naszej, a nie zostaniecie w tem despotycznem jarzmie niemieckiem,... i na tym fundamencie wszyscy oczekują rozrządzenia obywatela generała... Prześlij więc do nas kogo, lub z nami zrób jaki koniec, aby ja i ci ludzie, którzy pragną swojej ojczyźnie przywrócić sławę,... byli zaspokojeni w swoich zamysłach".

Ale Dąbrowski był bezsilny, sam w opresyi okrutnej, wszelkich pozbawiony środków. Po krótkim postoju w Genui, znów musiał stąd wyruszyć w góry, na niezmiernie uciążliwą walkę podjazdową, przełamywać zaciskającą się zewsząd obręcz silnych forpocztów nieprzyjacielskich. „Najważniejsze miejsca—pisał w początku września 1799 r. Kniaziewiczowi—Polakami obsadzają, najważniejsze posterunki nam są powierzone... Żołnierze nasi źle żywieni i płatni. Mógłbym w krótkiem do kilkutysięcy ich mieć, ale ogołocony z sposobów truję się tym widokiem". Codzienne drobne a mordercze potyczki wypadało odprawiać wciąż o dokuczliwym głodzie,

w warunkach bojowych opłakanych a nawet niekiedy dość podejrzanych. Tak więc podówczas, we wrześniu, znowuż musiał Dąbrowski zwrócić się urzędownie do francuskiego zarządu parków artyleryi z ostrą skargą, iż śród przysłanych „100 tysięcy ładunków znajduje się wiele z kulami drewnianemi. Jestto wypadek największej wagi, zarówno ze względu na właściwe swe skutki, jakoteż na nieufność, jaką budzi w żołnierzu“. Wtedy też pokazały się groźne niepokoje i dezercye, naprzód między Francuzami, potem również śród legionistów. Na wzór zeszłorocznych rozruchów rzymskich, jęły buntować się niepłatne wojska francuskie w Genui. Stojący tam załogą batalion pierwszy polski zachował i tym razem karność przykładną. Ale w rozłożonych dokoła w górskiem pustkowiu oddziałach poczynano z jesiennych zbiegać obozowisk, najgłówniej dlatego, że poprostu nie było co jeść.

Pod koniec września 1799 r. przybył do Genui Championnet i objął po Moreau przekazane sobie z kolei nowe dowództwo nad złączoną armią alpejsko-włoską. Odtąd na znękanego Dąbrowskiego większe jeszcze spadły kłopoty. Odtąd bowiem cała chmara paryskich jego pogromców, a wraz wybitnych mataczów emigracyjnych, ukazała się w Genui, uczepiona kwatery głównej Championneta. Przybywał ze swoją osobliwszą misyą tajną nieunikniony Chadzkiewicz. Maliszewski, który już roku zeszłego, jak namieniono, był działał przy armii włoskiej, w pokrewnej próbnej misyi spiskowo-wywiadowczej, zjeżdżał teraz do Genui, w urzędowej godności komisarskiej i towarzystwie Zajączka. Zjeżdżał tu również Wołodkowicz, w swym połowicznym stopniu generała brygady, powracając po zgonie Jouberta do sztabu Championneta, popierany gorąco przez wszystkich warchołów, w myśli wysadzenia a może zastąpienia nim Dąbrowskiego. Do tej samej kompanii należał nieposkromiony zawadyaka Mierosławski. Wyrobił on sobie

u Championneta, niewiadomo z jakiego tytułu, szefostwo artyleryi polskiej, faktycznie wszak zabranej już w Mantui, a formalnie dowodzonej jeszcze przez wypuszczonego stamtąd Aamitowskiego. Zaś po drodze z Paryża do Genui, spotkawszy w Lyonie jadących w przeciwnym kierunku dwóch wysłańców Dąbrowskiego, Mierosławski na poczekaniu wyzwał i ciężko postrzelił Biernackiego. „Znamy rodzaj zwierząt krwiożerczych, — donosił z goryczą Wybickiemu świadek pojedynku, Konopka—ale ci nie swego, lecz obcego rodu krwią się karmią". Wreszcie nieomieszkał też pośpieszyć do Genui potwarca Neyman, dla osobistego wśród armii poparcia jadowitych swych oskarżeń. Gdy zaś Bernadotte uznał za stosowne posłać jego paszkwil z urzędu komendzie głównej, musiał tedy upokorzony Dąbrowski urzędownie tłómaczyć się z tego powodu przed Moreau i Championnetem. Wobec podobnego wrogiego zajazdu, przy nieprzychylnym z góry nacisku a fatalnych warunkach ogólnego położenia wojennego, niewiadomo, na czemby się ostatecznie skończyło, być może naprawdę na utrąceniu Dąbrowskiego a przeto pogrzebaniu legii polskich we Włoszech.

W tym samym jednak czasie zaszły wypadki nieprzewidziane, które niejaką doraźną przyniosły folgę. Naprzód, w połowie września 1799 r., upadł nagle Bernadotte, którego knowania, śmiałe w zamyśle a niedociągnięte w czynie, poczęły wychodzić na jaw. Natychmiast Sieyès, podejrzewający go oddawna, wyczuwający w nim „Katylinę", przeparł w Dyrektoryacie usunięcie go z ministeryum wojny, gdzie zastąpił go prowizorycznie poprzednik Milet, potem na stałe kompromisowy generał Dubois-Crancé. Z obaleniem Bernadotta opadły skrzydła wszystkim francuskim, a i polskim poplecznikom dymisyonowanego ministra. Z drugiej strony, w operacyach wojennych, i to na dwóch naraz terenach, dokonał się w tej samej porze zwrot nader fortunny.

Stosunki sprzymierzeńcze austro-rosyjskie ochłodziły się znacznie. Wpłynęło na to ostre spółzawodnictwo komend naczelnych rosyjskiej a austryackiej, zwłaszcza od zwycięstwa pod Novi, które niewątpliwie było przeważną zasługą Austryaków. Wpłynęły też przesłonione chwilowo, lecz bynajmniej nie usunięte, głębsze zatargi między dworami Pawła a Franciszka. W początku września Suworow, zostawiając Austryakom dokończenie kampanii włoskiej i przebicie się do Francyi południowej, wymaszerował z Włoch do Szwajcaryi, dla połączenia się z korpusem Korsakowa i wtargnięcia tamtędy na własną rękę do środka Francyi. Aliści wcześniej, w drugiej połowie września, Massena pod Zurychem pobił na głowę Korsakowa. Zaczem, w październiku 1799 r. nastąpił rozpaczliwy odwrót Suworowa z resztkami wojsk rosyjskich nad jezioro bodeńskie, i dalej wstecz, aż do Augsburga. Jednocześnie nie powiódł się planowany przeciw Francyi od północy najazd anglo-rosyjski na Holandyę. Korpus rosyjski, który wylądował tutaj, w połowie września, pod generałem Hermannem, został w kilka już dni rozgromiony pod Bergenem przez Bruna, sam Hermann wzięty do niewoli. Zaczem w październiku nastąpił kapitulacyjny odwrót Anglików i Rosyan z Republiki batawskiej.

Szczęśliwe te wypadki nie odbiły się przecie w pożądanym stopniu na najsmutniejszym ostatniemi czasy włoskim teatrze wojny. Tutaj biedny Championnet, ze znacznie wzmocnioną, przeszło 50 tysięczną armią alpejsko-włoską, zdobył się nareszcie, w październiku 1799 r., na uderzenie zaczepne, zejście do równin piemonckich. Rzecz pomyślnie zrazu rozpoczętą została operacyami prawego skrzydła, przy dzielnym udziale legii polskiej pod Dąbrowskim. Niebawem jednak cała ta spóźniona offensywa utknęła, skutkiem porażki, zadanej przez Austryaków środkowi armii francuskiej pod samym Championnetem. Ostatecznie zaś zakończyła się zupełnem niepowo-

dzeniem i ponownym opłakanym do Liguryi odwrotem Francuzów. Tak więc, na późnym schyłku jesiennym niniejszego fatalnego 1799 r., koniec końcem, położenie ogólne pozostało niewyjaśnione pod względem wojennym, a w najwyższym stopniu powikłane i napięte pod względem wewnętrznym. Obadwa zagadnienia były najściślej z sobą związane. Jeśli bowiem obroty wojenne silnie oddziaływały na trwające wciąż w stanie utajonym przesilenie rządowe paryskie, to naodwrót, od gruntownego rozstrzygnięcia tego przesilenia zależały w znacznej mierze dalsze wyniki kampanii. W szczególności zaś, dla nieszczęsnej sprawy legionowej polskiej, znajdującej się od szeregu miesięcy w warunkach coraz smutniejszych i pod koniec wprost krytycznych, a zawisłej zarówno od losu wojny, jakoteż od postawy francuskiego rządu, klucz położenia mieścił się w Paryżu.

V.

Do Paryża tymczasem, w samem dopiero zaraniu tegorocznych wypadków polityczno-wojennych, był zjechał w początku marca 1799 r., Kniaziewicz. Przybywał, wyprawiony z Neapolu w fortunnej, zwycięskiej jeszcze godzinie, z powierzonemi sobie od Championneta chlubnemi trofeami, oraz z żądaniami Dąbrowskiego, imieniem pełnych jeszcze otuchy i siły legionów. Po serdecznem nasamprzód powitaniu Naczelnika Kościuszki, którego nie widział od Maciejowic, Kniaziewicz, wzięty pod ojcowską jego opiekę, zaraz przez niego był zawieziony do ministeryum wojny i Dyrektoryatu. Oddał tam uwierzytelniające swe pisma, ale zarazem już dowiedział się o ówczesnym upadku swego mocodawcy, Championneta. Był też nazajutrz ze swymi adjutantami z wizytą urzędową u posła

Cyzalpiny, Serbelloniego, lecz spotkał się z przyjęciem chłodnem, wymówkami z powodu noszonej u czapek kokardy francuskiej zamiast cyzalpińskiej, skargami na legie i Dąbrowskiego.

Trzeciego dnia, w święto „szczepienia drzewa wolności“ na cześć świeżych, neapolitańskich sukcesów broni francuskiej, odbyło się z wielką wystawnością w pałacu Luksemburskim wręczenie przywiezionych sztandarów. W samo południe, w obecności zgromadzonego Dyrektoryatu, ministrów, członków Rad prawodawczych, posłów zagranicznych a wśród nich i Kościuszki, municypalności stołecznej, magistratur naczelnych, ciał naukowych, szkół publicznych i wielu gości, przez ministra wojny Mileta wprowadzony był Kniaziewicz, w towarzystwie dwóch adjutantów legionowych polskich, i uroczyście okryty został niesionemi przez 35 inwalidów wspaniałemi chorągwiami neapolitańskiemi, jaśniejącemi w promieniach wiosennego słońca bogactwem kolorów i haftów złotolitych. Przedstawiony przez Mileta w zaszczytnych słowach zgromadzeniu, Kniaziewicz, którego olbrzymia, rycerska postać przepięknie do takiego nadawała się obrzędu, składając zdobyte sztandary w ręce rządu Francyi, wygłosił zwięzłą, pełną smaku i prostoty przemowę. Pominął w niej zasługi własne, lecz nieomieszkał wspomnieć o „spółrodakach swoich, ...ożywionych nadzieją w życzliwość Wielkiego Narodu“. Odpowiedział mu Barras imieniem Dyrektoryatu długą i nadętą oracyą. Zmroził „walecznych Polaków“ łaskawem oświadczeniem dziękczynnem, iż „Republika (francuska) ich adoptowała i Francya jest ich ojczyzną“. Znamienną było rzeczą, iż Serbelloni, czy to zrażony sprawą kokardy, czy też powstrzymany stosowną instrukcyą rządu medyolańskiego, nie pokazał się podczas całego tego obchodu i przyszedł dopiero na końcową ceremonię szczepienia drzewa wolności. Ostry zatarg między legiami

polskiemi a „posiłkowaną“ Republiką cyzalpińską tym sposobem odrazu wychodził na jaw w Paryżu.

Owóż głównem zadaniem Kniaziewicza, zleconem mu przez Dąbrowskiego, było wszak rozstrzygnięcie tego zatargu, uzyskanie przy pomocy Kościuszki od Dyrektoryatu paryskiego skutecznej pomocy przeciw wstrętom, doznawanym od Cyzalpiny. A nawet, gdyby się tylko dało, miał on starać się wprost o „przestawienie (legii) na rząd francuski“. Pora do takich starań była o tyle dogodna, iż właśnie następował wielki wybuch koalicyjny. W tydzień niespełna po powyższym uroczystym obchodzie, Dyrektoryat urzędownie wypowiedział wojnę Austryi. Już armia Jourdana przekroczyła Ren; już rozkazy offensywne poszły do Scherera do Medyolanu. Skorzystał z chwili Kniaziewicz i niezwłocznie, w połowie marca 1799 r., podał Miletowi „petycyę“, względem legii polskich we Włoszech. Wobec jawnej złej woli władz medyolańskich, powoływał się on na obowiązujący traktat francusko-cyzalpiński. Domagał się, aby rząd francuski, „jako ojciec legionów polskich”, zobowiązał Cyzalpinę do zawarcia z niemi nowej konwencyi, „pod poręką *(auspices)*“ Francyi, na zasadach zawartej ongi przez Dąbrowskiego, pod poręką Bonapartego, pierwotnej umowy zaprzeszłorocznej z Lombardyą. Prosił jednak przytem o wyraźne ustalenie pełnego składu obu legii, w sześciu batalionach piechoty, dwóch szwadronach jazdy, czterech kompaniach artyleryi pieszej i konnej.

Równocześnie Kościuszko, w memoryale wniesionem wprost na ręce Dyrektoryatu, poparł od siebie powyższą ogólną prośbę Kniaziewicza, złożoną ministrowi wojny. Zarazem zaś poruszył w szczególności zasadniczą, a bardzo drażliwą sprawę kokardy legionowej. Drażliwość tej sprawy polegała, między innemi, na tem, iż właściwie Dąbrowski, w drugiej, nieratyfikowanej przez Cyzalpinę, umowie legionowej z listopada 1797 r., zgodził

się na czerwono-biało-zieloną kokardę cyzalpińską, zamiast biało-niebiesko-czerwonej francuskiej, zawarowanej w pierwotnej konwencyi ze stycznia t. r. Potem jednak, wobec stanowczego oporu legionistów, a zwłaszcza oficerów legionowych, korzystając z nieratyfikowania tej ostatniej umowy przez Cyzalpinę, wycofał się Dąbrowski z tego dotkliwego warunku. Pozostał tedy nadal przy kokardzie francuskiej i za nic od niej odstąpić nie chciał. Natomiast Cyzalpina, wciąż kwestyonując samą umowę i należyte rozwinięcie zbrojne legii, upierała się przy tym mianowicie warunku, „przy swojej kokardzie, jako widomym znaku pełnej od siebie zawisłości korpusu polskiego. Wchodziło tu zresztą również w grę znaczenie specyficzne, nader żywo podówczas odczuwane, świeżej trójkolorowej barwy francuskiej. Wprawdzie istotne jej źródło nie zostało podziśdzień wyjaśnione z pożądaną ścisłością naukową. Niepodobna też orzec napewno, czy ona powstała z połączenia trzech barw dawnych Stanów francuskich, szlacheckiego (czerwona), duchownego (biała), mieszczańskiego (niebieska), czy też, co wydaje się prawdopodobniejszem, zrodziła się z połączenia trzech barw stopni wolnomularskich, „mistrzowskiego“ (niebieska), „kapitulnego“ (czerwona, także barwa *Rose-Croix*), „filozoficznego“ (biała, także barwa t. zw. 33° stopnia). W każdym jednak razie, ten trójkolor francuski był uznawany podówczas powszechnie, jako odznaka rewolucyjno-republikańska *par excellence*, jako symbol prawa, swobody i postępu wszystkich ludów walczących o niepodległość, wolność i równość. Kościuszko, na te podniosłe hasła ogólnoludzkie bardzo czuły, a zarazem przenikniony właściwem sobie wysokiem poczuciem godności narodowej, mocno wziął do serca tę sprawę, napozór drobną pod względem formalnym, lecz ważną w istocie pod względem moralno-politycznym. Gdy zaś w chwili niniejszej, jeszcze przed upadkiem Cyzalpiny i rozpaleniem się w całej pełni

walki na śmierć i życie między Francyą a koalicyą, przewidywał trudności z powodu zachowania czystej kokardy francuskiej, wystąpił on przeto obecnie z najtrafniejszym wnioskiem środkującym: nadania legiom kokardy narodowej polskiej, granatowo-karmazynowo-białej.

Takiej kokardy właściwie dotychczas nie było wcale. Za Rzpltej, o ile w wojsku noszono kokardy, to tylko białe, koloru Orła narodowego, podobnie jak w dawnej Francyi koloru białej lilii królewskiej. Jedynie województwo krakowskie, kawalerya narodowa i korpus kadetów warszawski, miały w mundurach swoich trzy kolory biały, granatowy i karmazynowy. Ale te kolory, związane z prastarą stolicą wawelską, sławną bronią kawaleryjską, ukochaną szkołą wojskową, nadawały się najlepiej na troisty zespół barwy narodowej. Skądinąd zaś zbliżały się one najwięcej do republikańskiej francuskiej, od której różniły się jedynie ciemniejszym odcieniem granatu i karmazynu. Miło stwierdzić, iż tym sposobem Polska trójkolor swój narodowy otrzymała właściwie z rąk Najwyższego Naczelnika Kościuszki, ustalony przez niego podówczas, w marcu 1799 r., za wspólną z Kniaziewiczem w Paryżu naradą.

Co się tycze Dyrektoryatu, to odmawiając narazie, jak było z góry do przewidzenia, Polakom w legiach włoskich kokardy francuskiej, chętnie udzielił on zgody na nową polską. Powiadomiony o tem został urzędownie Kościuszko, a zarazem odpowiednie zlecenie poszło od Talleyranda do posła francuskiego w Medyolanie Rivauda. Nie doszło tam zresztą wcale do wprowadzenia tej inowacyi, wobec dopełnionego niebawem upadku samejże Cyzalpiny. Jeśli jednak w tej sprawie formalnej chętnie tanią okazano łatwość, to tem wstrzemięźliwiej zachowano się względem strony ściśle rzeczowej powyższych żądań legii polsko-włoskich. Zostawiono mianowicie w zawieszeniu prośbę o nową dla nich konwencyę i etat, ograniczając się do „ustnej odpowiedzi na nale-

gania Kniaziewicza", iż odłożyć to należy póki nie wyjaśni się kampania na półwyspie. Natomiast, równocześnie z taką wymijającą odprawą w interesie legionów polskich we Włoszech, wyszła obecnie z paryskiego ministeryum wojny, t. j. oczywiście za jego pośrednictwem od samego Dyrektoryatu, inna całkiem „insynuacya" pod adresem Kościuszki i Kniaziewicza, dotycząca utworzenia nowej legii polskiej nad Dunajem, czyli właściwie nad Renem.

Kościuszko, jak wspomniano, wkrótce po swojem przybyciu do Paryża i po przywiezieniu mu pierwszych odezw legionowych przez Tremona i Wasilewskiego, zwrócił się do Dyrektoryatu, w sierpniu 1798 r., z memoryałem w sprawie pomnożenia legionów Dąbrowskiego we Włoszech. Rzecz wtedy żadnego nie wzięła skutku. Zresztą sam Dąbrowski zastrzegł się wyraźnie przeciw nowej legii przy Republice rzymskiej, nad czem wówczas pracowali jego przeciwnicy. „Względem powiększenia nowych legii, — odpisał on wtedy Kościuszce—gdy się Naczelnik starać będzie,... nie pozostaje jak formować je w Genui, Szwajcaryi i Holandyi". Istotnie, Kościuszko, nawracając do pierwotnych w tym kierunku zamysłów Dąbrowskiego i późniejszych projektów Sokolnickiego, był wszedł do Dyrektoryatu, w październiku 1798 r., z nowym memoryałem. Z uwagi, iż Austrya zaczęła posyłać do Włoch przeważnie pułki niemiecko-węgierskie a rekrutów polskich kierować nad Ren, zalecał on mianowicie „utworzenie jądra *(noyau)* nowych legii (polskich) nad Renem", przy armii Jourdana. Jak się zdaje, Kościuszko osobiście nawet wyjeżdżał wówczas potajemnie w tej sprawie z Paryża do Moguncyi, czy do Brukseli. Projekt ten brany był chwilowo pod rozwagę. Co więcej, ze strony rządu francuskiego zaofiarowano podówczas Kościuszce objęcie dowództwa, bądź nad nowym korpusem nadreńskim, bądź też naczelnie nad powszechnością broni legionowej polskiej. Ani

jednego przecie, ani drugiego on nie przyjął, polecając natomiast do komendy legionowej reńskiej Kniaziewicza albo Rymkiewicza. Narazie, jesienią 1798 r., póki jeszcze łudzono się w Paryżu pokojowem rozwikłaniem nadciągającego europejskiego przesilenia, cały ten projekt wpadł w wodę. A niewiele też wówczas, w kołach rządowych paryskich, troszczono się naprawdę o samego Kościuszkę.

Przypomniano go sobie dopiero, kiedy poczuto na karku bliską już groźbę rosyjską. Wtedy śpiesznie zażądano od niego opinii rzeczoznawcy o wojskach rosyjskich i nakreśloną przezeń „Zapiskę o Rosyanach“ rozesłano komenderującym generałom francuskim. Z kolei zasięgnięto też podobnej opinii od Kniaziewicza, który nadto udzielił cennych wskazówek, uzupełniających nieścisłe i przestarzałe wiadomości, jakie posiadano w Paryżu o dyzlokacyi i etatach armii rosyjskiej. Zarazem zaś obecnie, wiosną 1799 r., stawając już oko w oko z ogromną nawałą koalicyjną, a nie czując się zgoła na siłach do sprostania jej liczebnie, przypomniano sobie tamten jesienny projekt zeszłoroczny nowej nadreńskiej legii polskiej. Zwrócono się tedy z paryskiego ministeryum wojny do Kościuszki i Kniaziewicza z zapytaniem poufnem, „czyby nie można dezorganizować części wojska tak austryackiego, jak i rosyjskiego“, przez nową formacyę legionową? Pomiędzy niniejszą „insynuacyą“ rządową a poprzednim czynem twórczym Bonapartego była różnica rdzenna w samem ujęciu rzeczy. Bonaparte stworzył legie polskie, jako żywą siłę bojową, na mocy swych zwycięstw, przedewszystkiem z wielotysięcznej masy gotowego już polskiego jeńca, niezawiśle od przygodnego zbiegowskiego potem przydatku. Dyrektoryat, bez żadnych jeszcze zwycięstw, a w przededniu klęsk srogich, szukał w nowej legii nietyle rzeczywistych kadrów bojowych, ile najgłówniej narzędzia do wywołania dezercyi. Wszak o samym Kościuszce na kilka tygodni

przedtem odzywał się Reubell, jako o „partyzancie, którego na wypadek wojny możnaby użyć conajwyżej w stopniu generała brygady, dla podmawiania do zbiegostwa *(pour débaucher)* Polaków, znajdujących się w armiach cesarskich". Nikczemność i mizerya przedsiębranych sposobów, tak w tej rzeczy, jak i w całokształcie przygotowań wojennych, była całkiem na poziomie marności rządowej paryskiej i odpowiadała też niebawnym opłakanym wynikom otwierającej się walki.

Ale tych wyników jeszcze w tej chwili przewidzieć było niesposób. Owszem, wolno było oczekiwać podobnych jak dotychczas tryumfów francuskich. Jakkolwiekbądź, trzeba było z nadarzonej sposobności skorzystać dla dobra sprawy legionowej i narodowej polskiej. Niezwłocznie też, w drugiej połowie marca 1799 r., Kniaziewicz, w ścisłem z Kościuszką porozumieniu, wypracował naprzód dla Mileta krótkie „propozycye" w 11 punktach, a następnie złożył Dyrektoryatowi zaprojektowaną szczegółowo w 19 punktach „konwencyę, względem utworzenia legii polskich posiłkowych Republiki batawskiej". Obowiązywał się „formować korpus Polaków w tej części Niemiec, na którą się rozciąga teatr wojny obecnej", z dezerterów i niewolników, „w liczbie, do której tylko można będzie go doprowadzić", t. j., jak rachował, aż do 10 tysięcy, złożony z piechoty, jazdy, artyleryi pieszej i konnej. Przyjętą zostaje kokarda narodowa polska, widocznie zaprojektowana jednocześnie przez Kościuszkę dla legii włoskich, właśnie w myśli zastosowania jej zaraz do nadreńskiej; kolory batawskie wchodzą jedynie na kontrepolety, z napisem sakramentalnym o braterstwie ludów wolnych. Pozatem mundur i komenda będą czysto polskie; regulamin, żołd i t. d. — francuskie. Dane będą fundusze ze skarbu francuskiego na oporządzenie, zakup koni i t. p.; poręczone rangi i patenty przechodzących z Cyzalpiny oficerów polskich; zachowane, *mutatis mutandis*, inne przepisy po-

rządkowe pierwotnej konwencyi polsko-lombardzkiej. Wreszcie, „kiedy zdarzenia wojenne — głosił przejęty stamtąd osobny artykuł — zbliżą epokę powstania Polski, która wskazaną zostanie legionistom przez rząd Wielkiego Narodu (francuskiego), wolno będzie tymże biedz na obronę ojczyzny z bronią, końmi i artyleryą, obowiązując się, imieniem narodu polskiego, zwrócić wartość tychże Republice batawskiej".

Dyrektoryat rad był z tego projektu i niebardzo myślał targować się o szczegóły. Troszczył się wszak nietyle o rzecz samą, ile o jej pozory i skutki dezercyjne. Polecił tedy dalsze traktowanie sprawy ministrowi wojny, a tymczasem powziął uchwałę osobliwszą, wyznaczając Kościuszce „pensyę" *(traitement)* roczną 18 tysięcy franków, płatną jednorazowo tytułem zaległości, a nadal comiesięcznie. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Kościuszko odmówił przyjęcia tej pensyi. Żadnego zgoła niema śladu, aby ją kiedykolwiek podniósł. Lecz jeśliby nawet drobną tę kwotę przyjął, to oczywiście nie dla siebie oczywiście, gdyż potrzeb on nie miał zgoła żadnych, żył jaknajskromniej pod przyjacielskim dachem Barssa, a z własnych wysług amerykańskich oraz nadsyłanych z kraju ofiar hojnie zasilał ubogich na wygnaniu rodaków. Mogłoby tu więc conajwyżej chodzić jedynie o jakiś nikły awans na najpilniejsze potrzeby przedorganizacyjne dla nowej legii, o co upominał się Kniaziewicz, a na co przed formalnem załatwieniem tej sprawy nie chciano wyznaczać funduszów.

Tymczasem jednak sama sprawa utknęła zaraz na wstępie, skutkiem trudności wynikłych ze strony Republiki batawskiej. Przy wyborze Holandyi na ostoję nowej legii, Kościuszko z Kniaziewiczem mieli zapewne również na uwadzę, iż komendę naczelną sprawował tam teraz Brune, znany z pomocy, okazanej przedtem legiom we Włoszech. Ale cały projekt rozbił się odrazu o stanowczą odmowę rządu batawskiego. Praktyczni Holen-

drzy, mając w Rosyi dług 80 milionów guldenów, ani myśleli narażać się Pawłowi przez stosunki z Kościuszką i legią polską, a to tembardziej, iż w owej chwili, w połowie marca 1799 r., poseł batawski w Paryżu, wytrawny Jan Schimmelpenninck, miał już wiadomość o gotowanej groźnej ekspedycyi anglo-rosyjskiej do Holandyi. Wobec tego, nie tracąc czasu, projekt powyższy przerobiono w ten sposób, iż zamiast Republiki batawskiej podstawiono helwecką. W tej też postaci, bez żadnej zresztą zmiany, z wyjątkiem tylko zielono-czerwono-żółtej barwy helweckiej zamiast batawskiej na półszlifach, projekt niniejszy został ostatecznie złożony Dyrektoryatowi przez Kniaziewicza. Dyrektoryat, któremu wszystko było jedno, Batawia czy Helwecya, byle corychlej pod nazwą legii polskiej mieć narzędzie dezercyjne nad Renem, polecił przyśpieszenie sprawy Miletowi, który też już pod koniec marca wystąpił z przychylnym w tej mierze raportem.

Aliści przedewszystkiem chodziło teraz o uprzednie porozumienie się ze Szwajcaryą. Młoda Helwetyka przedstawiała podówczas jaknajzawilszy splot stosunków stronniczych. Obok partyi ludowo-radykalnej, wcielonej w historyku i trybunie bazylejskim, ognistym Piotrze Ochsie, trzymało się tam podawnemu, w zmienionym jeno kształcie, stronnictwo bankiersko-patrycyuszowskie możnych oligarchów berneńskich, stanowiących i nadal, dzięki sprytnemu przystosowaniu się do nowego stanu rzeczy, walną w kraju potęgę polityczną. Pierwsi bezwzględnie szukali oparcia we Francyi republikańskiej; drudzy oportunistycznie rachowali się z nią do czasu, t. j. do wyzwolenia od niej przez broń koalicyjną. Zręcznie lawirował śród tych powikłań wewnętrznych i zewnętrznych, śmiertelny wróg Berneńczykow, jeden z głównych sprawców interwencyi francuskiej w Szwajcaryi, teraz wydatny, mądrze środkujący działacz rządowy, prezydent dyrektoryum helweckiego, Laharpe. Ten

dużej miary działacz i patryota szwajcarski, lecz z nawskroś odrębnym odcieniem patryotyzmu lemańskiego, człowiek ambitny, namiętny i bardzo osobisty, polityk wyrachowany, giętki i kręty, nigdy nie był przyjacielem Polski. Przeciwnie, stale związany z Petersburgiem, jeszcze po leciech kilkunastu, kiedy w ciężkiej dobie 1814 r. Polska, a jej imieniem również i Kościuszko, szukać będzie ratunku z ręki Aleksandra I, złączy się liberał Laharpe z najzawziętszymi wrogami sprawy polskiej, aby od jej podniesienia powstrzymać cesarskiego swego wychowanka. A i później, w cięższej jeszcze dobie 1831 r., ten syn wolnej Szwajcaryi nie zawaha się cisnąć kamieniem na rozpaczliwy wysiłek wyzwoleńczy rewolucyi listopadowej polskiej. W porze niniejszej umocowani byli w Paryżu przy Dyrektoryacie francuskim dwaj przedstawiciele Republiki helweckiej, nadzwyczajny wysłannik Bogumił Jenner, z berneńskiej rodziny bankierskiej, dawny agent skarbowy berneński, oraz minister pełnomocny Franciszek-Piotr-Józef Zeltner. Ten ostatni pochodził ze starej radcowskiej rodziny solurskiej, rodził się z matki Francuski, żonaty był z Francuską, służył zamłodu w gwardyi szwajcarskiej Ludwika XVI, ciągnął zawsze ku Francyi, a po rewolucyi ku Republice francuskiej. Wiosną 1798 r. wysłany był do Paryża, naprzód jako deputowany swego kantonu solurskiego, zaś wkrótce potem, jako pierwszy poseł pełnomocny rzeczypospolitej helweckiej przy rządzie republikańskim francuskim. Wziąwszy sukcesyę i małą pod Paryżem posiadłość po wuju, bankierze Bervillu, lecz prowadząc w Paryżu dom wystawny i wdawszy się w nieszczęśliwe operacye giełdowe, Zeltner w ciągłych odtąd był kłopotach pieniężnych. Człowiek nie bez zalet, miły w obejściu, ukształcony, lecz powierzchowny, lekkomyślny, ograniczony, nic nie znał się na zawiłych stosunkach politycznych paryskich, i w draźliwych sprawach tutejszych był zwykle prowadzony na pasku przez przy-

danego sobie szczwanego Jennera. Pozatem był on właściwie powolną kreaturą Laharpa. Naogół, pod pozorami egzaltacyi patryotycznej, był Zeltner bardzo niejasny politycznie; był słaby, niesamodzielny, a tembardziej mimowolnie zdradliwy, że miał pewną ujmującą dobroduszność człowieka prywatnego i ojca rodziny. Obadwaj ci wysłańcy, Jenner i Zeltner, działalność swoją publiczną w Paryżu zaczęli od tego, że kubanem miliona franków kupili Talleyranda, zyskali go tym sposobem całkowicie dla interesów rządowych helweckich i w najściślejszą z nim weszli zażyłość.

Owóż rządzący Szwajcarzy radzi byliby właściwie, pośrodku zawieruchy europejskiej, bezpieczną zachować neutralność. Poczęści nawet, zwłaszcza w oligarchicznym odłamie swym berneńskim, tajnie sprzyjali koalicyi i tylko gwałtem byli zmuszeni śladem Francyi do wypowiedzenia wojny cesarzowi. To też w gruncie rzeczy, równie mało jak i Holendrzy, życzyli oni sobie obecnie, wiosną 1799 r., posiłkowej legii polskiej. Ułożyli tedy z oddanym sobie Talleyrandem sprytną grę podwójną. Wobec paryskiego Dyrektoryatu, ministra wojny, Kościuszki i Kniaziewicza, oświadczali się z zupełną gotowością przyjęcia tych nieproszonych „posiłków". Zarazem zaś, przez oddanego sobie ministra spraw zagranicznych, pod najrozmaitszemi pretekstami czynili wszystko dla odwłóczenia, a tem samem uniemożliwienia całej sprawy legionowej, jaknajbardziej niemiłej im wszystkim ze względu na sąsiednią Austryę, a osobiście Laharpowi ze względu na jego bliskie z Rosyą stosunki. W rzeczy samej Talleyrand, mistrz w tego rodzaju robotach dylatoryjnych, przez odpowiednie kunsztowne zlecenia swoje do posła francuskiego przy Helwetyce, Perrochela, pogrzebał rzecz w zarodku, zgrabnie pokrywając przytem odpowiedzialność i swoją, i szwajcarskich swoich przyjaciół. Kniaziewicz, niedomyślając się niczego, jeszcze w końcu kwietnia 1799 r., złożył Tal-

leyrandowi wymowny „Wywód korzyści z odbudowania Polski dla Francyi“. Przekładał mu tu gorąco potrzebę uznania „wzajemności pożytków *(réciprocité d' avantages)*“ francuskich a polskich, i serdecznie powierzał łaskawemu jego wstawiennictwu poparcie u rządu sprawy nowego legionu. Ze swej strony Kościuszko, w ciągu kwietnia i maja, nie przestawał w tej mierze naglić Dyrektoryatu o pośpiech. Do próśb swoich prostoduszny Naczelnik dołączał listy przyjacielskie posłów szwajcarskich, zapewniających go solennie o swych życzliwych rzekomo dla tej sprawy uczuciach, choć naprawdę grzebali ją równocześnie wszelkiemi pokątnemi sposoby. Daleki od przypuszczenia podobnej przewrotności, Kościuszko obu tych republikańskich posłów Helwetów pełnem darzył zaufaniem. Zwłaszcza zaś zawierzył Zeltnerowi, „do którego przywiązała go bardziej żona tegoż, zacna, roztropna i przyjemna kobieta“. Urodzona Drouyn de Vaudeuil de Lhuys, z dobrej i aż do końca rojalistycznie usposobionej rodziny szlacheckiej francuskiej, troskliwa matka rodziny, wysokiej ogłady towarzyskiej i subtelności niewieściej, pod względem umysłu i serca nieskończenie więcej warta od męża, pani Angelika Zeltnerowa oczywiście jednak żadnej za niego bezpieczniej nie dawała poręki politycznej.

Tymczasem sam projekt legionowy nadreński nie posuwał się ani na krok naprzód. Było to rzeczą z rozlicznych względów nader dotkliwą. Do Paryża poczynali znów napływać, bądź z kraju, bądź też następnie z Włoch po biedach tamecznych, oficerowie polscy, poczęści niepospolici. Byli śród nich ludzie tej miary, co wierny Fiszer Stanisław, niegdy adjutant Naczelnika, ulubiony jego „Fiszerek“; szlachetny i dzielny pułkownik Gawroński, jeden z obrońców Dubienki i Warszawy; serdeczny piewca-żołnierz Godebski, i wielu innych, wyczekujących teraz nadaremnie nad Sekwaną, w nędzy najcięższej i gorszej jeszcze niepewności. Samemu Knia-

ziewiczowi wcale było nie na rękę bez żadnego wyniku przeciągać tak długo pobyt w Paryżu i oddalenie swoje od legii włoskich i Dąbrowskiego, okazującego już z tego powodu podejrzliwy niepokój i nieukontentowanie. A tu z dnia na dzień coraz opłakańsze nadchodziły wieści z teatru wojny, o porażkach Jourdana i Scherera, o zgonie Rymkiewicza i zniesieniu legii drugiej, o upadku Cyzalpiny i zalaniu jej przez nieprzyjaciół, a przeto zniknięciu tamecznej dotychczas podwaliny prawno-państwowej i materyalnej legionów polskich.

Nadomiar w tym samym czasie jęły znowuż wikłać się niezmiernie stosunki we Francyi i Paryżu. Wiosenne wybory odnawiające do Rad prawodawczych wypadły w duchu skrajnym, jakóbińskim, przeciw Dyrektoryatowi. Zarazem fatalny przebieg wojny podkopywał do reszty powagę rządu. Arcydziwne przytem było zachowanie się wielu dzienników paryskich, gdzie skwapliwie starano się o wszelkich francuskich donosić porażkach, podkreślać wielkie postępy koalicyi, ogłaszać nawet proklamacye Suworowa i Pawła. Wyglądało to tak, jak gdyby chciano nietylko podkopać stanowisko rządu, lecz zachwiać samą opinię publiczną, przygotować ją do nieuniknionej katastrofy wojennej, przewrotu wewnętrznego a bodaj w końcu do restauracyi monarchicznej. Były w tem najniezawodniej podziemne, agitacyjne i korupcyjne, wpływy rozkładowe nieprzyjacielskie, anglo-austryackie, a nienajmniej też rosyjskie, mające pośrodku toczącej się wojny tajny przystęp do sfer rządowych, stronniczych i redakcyjnych paryskich. A była też w tem niewątpliwie ręka byłego wicehrabiego a obecnego dyrektora Barrasa, który, czując, iż grunt ostatecznie usuwa się z pod nóg rządowej klice dyrektoryalnej, zawczasu gotował sobie odwrót. Nawiązał on tedy na wszelki wypadek tajne stosunki z pretendentem Ludwikiem XVIII. Zarazem, przy pomocy farbowanych czerwieńców, jak

Fouché i kompania, wypuszczał rozmyślnie grozę jakóbińską, aby użyć jej do pierwszych na własny swój rząd ataków, wejść tędy na płaszczyznę pochyłą nowych gwałtownych przewrotów, sprowadzić naprzód pożądane zmiany osobowe w rządzie, z zachowaniem w nim oczywiście własnej roli górującej. Następnie zaś, przy pomocy ambitnych, jak Bernadotte i kompania, generałów, myślał sprowadzić stosowne zasadnicze odmiany ustawowe, i nareszcie w miarę okoliczności przystąpić do paktowania ze zwycięską sprawą koalicyjno-restauracyjną. W tem był sęk owej, jak się rzekło, przemisternej politycznej komedyi prairialowej, która miała rozegrać się obecnie, w której szczerzy zapaleńcy republikańsko-jakóbińscy mieli raz jeszcze za mimowolne służyć narzędzia, na której mieli chwilowo zarobić Barras, Bernadotte i towarzysze, lecz którą najnieoczekiwaniej miał własnym dramatycznym zamknąć epilogiem i na własny benefis obrócić Bonaparte. Zaczęła się tymczasem, wedle ułożonego z góry planu, walka Rad z Dyrektoryatem, z „koalicyą złodziejów, gorszą od koalicyi królów“, jak wykrzykiwano ze sprawiedliwem oburzeniem z trybuny Rady Starszych. Tędy, pod hasłem walki z korupcyą oraz obrony zasad rewolucyjnych, doprowadzono szczęśliwie do wyrzucenia najszczerszych republikanów i ludzi najuczciwszych z łona Dyrektoryatu. Po sztucznie wylosowanym Reubellu, ustąpił stąd z kolei Treilhard, a wreszcie, przez t. zw. zamach prairiala, wylecieli Lareveillère i Merlin. Natomiast niezachwianie utrzymał się przy sterze główny złodziej i zdrajca, Barras. Dla pokrycia gry tak przejrzystej poświęcono drobniejszego złodzieja i w imię moralności publicznej przepędzono z ministeryum nieboraka Talleyranda. Głównie zaś pokryto się mądrym do Dyrektoryatu wyborem poważnego Sieyèsa, który, z całym swym autorytetem i zarozumieniem, odegrał tu, chcąc niechcąc, śmieszną w gruncie rolę moralno-politycznego parawa-

nu. Nastąpiły, w ciągu lata 1799 r., wskazane zmiany w obsadzie władz cywilnych i wojskowych, wysunięcie zwłaszcza Bernadotta, którego utrącenie miało później być pierwszym wyrazem czynnego odwetu ze strony Sieyèsa, usiłującego z narzuconej sobie roli figuranta przejść do samoistnych działań na własną rękę.

Owóż cały ten, prawie nierozwikłany, zamęt rządowy paryski musiał bardzo silnie odbić się bezpośrednio na nadsekwańskich stosunkach emigracyjnych a pośrednio także i na krajowych polskich. I bez tego zresztą znajdowały się one podówczas same przez się w stanie aż nadto zaostrzonym i zmąconym. Nowy czynnik do tych stosunków było wniosło, jak zaznaczono, przybycie Kościuszki latem 1798 r., jego zrazu związanie się przez Barssa z partyą agencyjną i podważenie przez to deputacyjnej. Ta ostatnia, równocześnie podcięta ze szczętem przez wznowioną latem i jesienią t. r. wielką akcyę policyjno-śledczą austryacką i wynikły stąd upadek zupełny Centralizacyi lwowskiej, umyśliła podawnemu ratować się przez jedną jeszcze fikcyę organizacyjno-spiskową, przez powołanie do życia, na miejsce gasnącej lwowskiej, nowej centralnej organizacyi tajnej w Warszawie. Nie było tam wprawdzie podówczas, jak okazano, żadnej istotnej chęci ani podstawy konspiracyjnej; był przeciwnie nastrój pokojowy, nawet ugodowy. Ale zawszeć, śród tamecznych niedobitków insurekcyjnych, a zwłaszcza wolnomularskich pogrobowców byłego Wielkiego Wschodu polskiego, pogrzebanego wraz z upadkiem powstania Kościuszki, można było znaleść trochę ofiarnych prostaków i dosyć usłużnych mataczów dla postawienia na nogi potrzebnej fikcyi związkowej. Tym sposobem, z jednej strony, umyślono pokrzyżować widoki prusofilskie agencyjnych swych spółzawodników, zapomocą zaszczepionego w ośrodku dzielnicy pruskiej spisku. Z drugiej zaś, — stołecznym autorytetem konspiratorskim

warszawskim, bliskim sercu Naczelnika przez pamięć na dobę przedinsurekcyjną, chciano oddziałać na Kościuszkę, odbić go przeciwnikom i ku sobie przeciągnąć. Wykonaniem tego planu zajął się pierwszy teraz Machiawel deputacyjny, Szaniawski. Skorzystawszy w tym celu z gorącej odezwy okólnej rzymskiej Rymkiewicza, imieniem Składu korespondencyi, do związków emigranckich i krajowych, przez ruchliwego związkowca, Erazma Mycielskiego, posłał on ją do Warszawy. Zarazem zaś Szaniawski posłał tam ułożone przez samego siebie „punkta“ nowej organizacyi spiskowej, rzekomo „podane wydziałowi patryotycznemu w Paryżu przez osoby od francuskiego rządu wyznaczone“.

Na tej zasadzie, z końcem września 1798 r., zebrało się w Warszawie pięciu nastawionych mężów zaufania, „członki ze związku patryotycznego w loży masońskiej“, Erazm Mycielski, Aloizy Orchowski, Bartłomiej Szulicki, Karol Eisbach i Andrzej Dumański. Ci osobliwsi przywódcy narodu na poczekaniu założyli powszechne tajne Towarzystwo Republikanów polskich, na wszystką byłą Rzpltę, na 36 województw, kierując jednakowoż cały wysiłek i affiliacyę spiskową najgłówniej na dzielnicę pruską, na Prusy Południowe i Nowowschodnie, a zwłaszcza na samą Warszawę. Zarazem, wedle owych, dostarczonych sobie z Paryża „punktów“, ułożyli i zaprzysięgli na poczekaniu ustawę związkową, czyli „umowę przedspołeczną“, w 28 artykułach, bardzo ostrą, radykalną, rewolucyjną. Zapowiadano tu, w artykule 26, „ogłoszenie pryncypiów wolności i równości dla zainteresowania nietylko masy ludu polskiego, ale i ościennych krajów, surowość względem dawniejszych zdrajców lub świeżych“; w artykule 28 „*levée en masse* wszystkich mieszkańców bez różnicy“; a w związkowo-republikańskiej rocie przysięgi, „nienawiść tyranii, bezrządowi i monarchizmowi“. Właściwie założyciele Towarzystwa, choć niektórzy z nich, jak gorliwy Mycielski, napewno wbrew własnemu prze-

konaniu i woli, pędzili wodę na młyn koalicyjny, austryacki. Koniec końcem bowiem, cała ta organizacya, rzekomo wszechpolsko-powstańcza, obracała się tuż na miejscu wyłącznie przeciw Prusom, a tędy pośrednio przeciw Francyi, starającej się wciąż najusilniej o alians i sukurs pruski w spadłej na nią ciężkiej potrzebie wojennej. W rzeczy samej, kiedy wkrótce po wybuchu wojny, wiosną 1799 r., przed pamiętną wielkanocną rocznicą insurekcyjną, zaszły drobne rozruchy w Warszawie, rząd pruski z żywym niespokojem wyczuwał w tem ukrytą rękę sąsiedzką. Poseł francuski w Dreźnie, Helfflinger jednocześnie donosił Talleyrandowi wprost o działalności „emisaryuszów austryackich w Polsce pruskiej, a szczególniej w Warszawie, celem spowodowania tam nisurekcyi i zajęcia tym sposobem króla pruskiego".

Rzeczy te szczególniejszem echem odbiły się też natychmiast nad Sekwaną. Niebawem po rozpoczęciu kroków wojennych wyprawiony został do Paryża od nowego związku warszawskiego jeden z jego fundatorów, krętacz zawołany, Orchowski, głównie dla skaptowania Kościuszki. Zawoził on do niego pismo urzędowe od naczelnej władzy związkowej. Zarazem „najcelniejszym obowiązkiem (Orchowskiego) — wedle danej mu instrukcyi, sprytnie obliczonej na wciągnięcie Kościuszki, — będzie podać p. Naczelnikowi punkta do poprawy organizacyi Towarzystwa..., z prośbą, aby raczył przydać do tego uwagi swoje, zwłaszcza iż Towarzystwo, uznając Go za członka swojego, zdanie Jego ważnem dla siebie uznaje". Inny, nadzwyczaj ciekawy ustęp tej instrukcyi zalecał żądać od Kościuszki sprecyzowania istotnych dla Polski nadziei, czynionych jej przez Francyę, zaś wobec oczywistej wątpliwości tych nadziei, podsunąć mu potrzebę zwrócenia się przez osobnego emisaryusza do Anglii, „do republikanów tamtejszych", i to „jaknajtajemniej, dla nieobrażenia rządu francuskiego". Ta osobliwsza insynuacya angielska w niniejszej chwili wojen-

nej miała zapach wręcz koalicyjny. Pod koniec kwietnia 1799 r. Orchowski przybył do Paryża z pełnomocną republikańską powagą krajową, imieniem rzekomo 2400 stowarzyszonych. Było to czyste brzuchomówstwo konspiracyjne, gdyż wszystko, nawet instrukcyę Orchowskiego, nadmuchiwał z Paryża Szaniawski, a liczba związkowców nie dochodziła dwustu. Zaczęło się zaraz przy pomocy Orchowskiego mocne oddziaływanie na Kościuszkę, celem odciągnięcia go od partyi przeciwnej i zupełnego jej pognębienia. Pierwiastkowo z pewną jeszcze robiono to wstrzemięźliwością. Odkąd jednak, latem 1799 r., po przewrocie prairiala, pomyślna dla wszystkich intryg deputacyjnych wynikła konstelacya, chwycono się środków bezwzględnych. Urządzono brutalną napaść Neymana na Dąbrowskiego, gwałtowną nagankę na Kniaziewicza i Barssa, a z największą też natarczywością ciągać i niepokoić poczęto Kościuszkę.

VI.

Kościuszko, niemając sposobu rozeznać się w tajnikach odmiany prairiala, z mieszanem przyjął ją uczuciem. Dotknięty on był niemile upadkiem przyjaciela swego Lareveillèra, lecz znów spółczuwał rzekomemu zwycięstwu Rad ludowładczych, oraz powrotowi generałów republikańskich, Jouberta i Championneta. W istocie, wyszło to zrazu na pożytek głównej sprawy legionowej, nad którą on i Kniaziewicz daremnie od kilku pracowali miesięcy. Nowy rząd, odebrawszy na samym wstępie straszliwą wiadomość o Trebbii, stanął wobec dokonanej ostatecznie utraty całych Włoch i całej prawie Szwajcaryi. Musiał tedy z konieczności pomyśleć o wszystkich posiadanych w tej stronie, a zawieszonych

teraz w powietrzu, cudzoziemskich wojskach posiłkowych, zatem między innemi także o włosko-polskich, i tymczasowo wziąć je wszystkie razem na żołd własny Republiki francuskiej. Przez to samo zaś stała się znów aktualną również i odwłóczona dotychczas sprawa nowej legii nadreńskiej polskiej, którą za jednym zachodem wziętoby podobnież wprost na żołd francuski. Obiedwie te sprawy żywo zostały poparte przez Jouberta i Championneta, bawiących wtedy w Paryżu przed wyjazdem na objęcie dowództwa. Zostały też obiedwie w krótkim czasie opracowane łącznie w ministeryum wojny, pod świeżym zarządem Bernadotta, i wedle jego przełożeń zdecydowane zaraz przez Dyrektoryat.

Już w początku lipca 1799 r. orędziem dyrektoryalnem przekazano do uchwalenia Radom prawodawczym dwa stosowne podwójne wnioski rządowe. Jeden mówił ogólnikowo o wzięciu na żołd francuski legii szwajcarskiej, piemonckiej, cyzalpińskiej, jakoteż włosko-polskich Dąbrowskiego. Drugi zapowiadał osobno utworzenie na żołdzie francuskim, obok kreowanej jednocześnie „nowej legii cudzoziemskiej italskiej“ *(italique)* ze zbiegów włoskich we Francyi, również i „nowej legii polskiej“. Miała ona wejść w skład armii naddunajskiej, dowodzonej poprzednio przez Jourdana, a następnie, po odłączeniu od niej odrębnej jednostki reńskiej, przez Massenę. Jednakowoż, skoro obecnie tę nową legię polską, zamiast zwalić na kark batawski czy helwecki, wypadło wziąć na własny rachunek francuski, nie omieszkano też odpowiednich ścieśniających poczynić zastrzeżeń. Tak więc jaknajostrzej zrewidowano teraz i okrojono pierwotny projekt legionowy Kościuszki i Kniaziewicza. Odbiło się to na projekcie pod niejednym względem czysto wojskowym, n. p. w znacznem obcięciu żądanej broni artyleryjskiej, przez co poderwane zostało znaczenie legii jako samodzielnej formacyi bojowej. Przedewszystkiem atoli odbiło się pod względem politycznym. Zamiast dozwolo-

nej już poprzednio kokardy polskiej, dano teraz francuską. Ustanowiono jednolity, ściśle przepisany, mundur legionowy, nie czysto polski, lecz tylko zbliżony do polskiego, bez odmian batalionowych na wzór dawnych pułków Rzpltej, jak w legiach Dąbrowskiego. Obcięto przyznane tamtym legiom przywileje autonomiczne; przyjęte tam zasady wyborcze prezentacyi, awansu i t. p. zastąpiono tutaj we wszystkiem przez przepisy zwyczajne francuskie. Usunięto całkowicie żądaną, a przyznaną swego czasu Dąbrowskiemu, ważną porękę zasadniczą względem powrotu z bronią do kraju, w porze sposobnej do podniesienia niepodległej Polski.

Słowem, w tym rządowym projekcie legionowym jaknajstaranniej wygarnięto wszystko, co przedsięwzięciu legionowemu nadałoby naprawdę piętno wyzwoleńczo-narodowe. Poprostu rzecz całą traktowano jako kłopotliwy środek doraźny, nieprzesądzający niczego względem spraw cyzalpińskich czy piemonckich, a cóż dopiero polskiej. Co więcej, względem tej ostatniej tembardziej miano się teraz na baczności i unikano wszelkich ustępstw kompromitujących, iż liczono się teraz nadzwyczajnie z jednym z głównych rozbiorców Polski, przyjaznym dworem berlińskim. W obecnych bowiem okrutnych opałach wojennych rząd francuski więcej niż kiedykolwiek oglądał się na Prusy i zabiegał gorączkowo o ratunkowe ich wdanie się sprzymierzeńcze. Podwójnie przeto w tej chwili wystrzegał się urażenia ich czemkolwiek w drażliwej materyi polskiej, a więc zwłaszcza unikał zagrożenia ich stanu posiadania polskiego przez zbyt wyraźną legionową pobudkę niepodległości polskiej. Raczej pragnąłby podawnemu zyskiwać je sobie przez widoki pruskiego w całej Polsce królowania. Jakkolwiekbądź, niniejsza redakcya wniosku legionowego, spłodzona przez republikanta Bernadotta, przyjęta przez „oczyszczony“ Dyrektoryat prairialowy, a następnie w tym samym kształcie uchwalona przez demokratyczne Rady, była

pod każdym względem nierównie gorszą i twardszą dla Polski, aniżeli konwencya legionowa polsko-lombardzka, nadana onego czasu samorzutnie przez Bonapartego.

Odczuł to z żalem i boleścią Kościuszko. Dotknięty on był do żywego bezwzględną cenzurą, jakiej ze strony rządu poddano pierwotny projekt legionowy polski, z ujmą dla jego charakteru narodowego. Zaskoczony był nieoczekiwanemi restrykcyami, wprowadzonemi przez Bernadotta, za którym widział złośliwego Maliszewskiego. Był oburzony chłodną obojętnością Dyrektoryatu, względami i rachubami na króla pruskiego. Zgorszony był nawet ustępliwością Kniaziewicza, w którym dostrzegał pewną skłonność do poddania się warunkom dotkliwym, lecz narazie nieuniknionym. Nie ukrywał swego nieukontentowania i uchylał się w tych okolicznościach od objęcia ofiarowanej sobie ponownie komendy naczelnej nad wszystkiemi korpusami polskiemi. Czynił najsłuszniej: on nie był dowódcą legionowym; był Najwyższym Naczelnikiem narodu; miejsce jego komendy było w kraju; jakże mógłby o niej myśleć, skoro mu z góry odmawiano prawa zbrojnego do kraju powrotu? W tym stanie gorzkiego rozżalenia skutkiem doznanego od obcych nowego zawodu, Kościuszko stał się tem wrażliwszym na podniecające wpływy radykalnej emigracyi paryskiej i jej z kraju spólników, emisaryuszów związkowych warszawskich. Nadomiar zaś podobnym skrajnym podnietom ulegał on tem łacniej, że w głębi serca nurtowany był nieustannie bolesną reakcyą psychiczną przeciw wyłudzonej na sobie ongi w Petersburgu chwilowej kapitulacyi własnej, nieszczęsnej swojej dla Pawła przysiędze wiernopoddańczej. Wiedzieli o tem wybornie intryganci deputacyjni, i celowo dążąc do opanowania Kościuszki, milczący nacisk moralnego niejako szantażu na jego przeczuloną wywierali duszę. Tak więc, koniec końcem, stary, sterany Naczelnik, skłoniwszy

się obecnie czuciem bardziej ku stronie krajowej i myśli nieprzejednanej, poddał się idącym stamtąd namowom spiskowym i postanowił przystąpić do Towarzystwa republikanów warszawskich. W początku sierpnia 1799 r., w najściślejszej tajemnicy, doręczył on osobiście Orchowskiemu swój akces, pod postacią własnoręcznej swojej przysięgi związkowej. Przysięga obowiązywała, jak wskazano, do „nienawiści... monarchizmowi,... oswobodzenia narodu... i uformowania rządu demokratycznego na zasadach prawdziwej równości i praw człowieka". Odpowiadała ona właściwie obowiązującej we Francyi od obalenia bourbońskiego tronu przysiędze konstytucyjnej o „nienawiści dla królów" *(haine à la royauté)*. Ale w zastosowaniu do Polski wyłączała tem samem Ustawę majową i wszelką myśl o restauracyi monarchicznej wogóle, a przez dom królewski pruski w szczególności. Dobrowolne, pisemne związanie się Naczelnika podobną przysięgą, w ówczesnej zwłaszcza ciężkiej porze wojennej, wybitną posiadało doniosłość. Wedle myśli Kościuszki, ta jego przysięga republikancka miała jakgdyby wytępić do cna ślad petersburskiej. Miała być jakgdyby nawrotem do tak niedawnych, z przed lat sześciu zaledwo, spiskowych przysiąg przedinsurekcyjnych, przygotowaniem poniekąd i zapowiedzią nowej może pod jego przewodem insurekcyi narodowej. To były szlachetne marzenia Naczelnika-wygnańca, który nie zdawał sobie sprawy z tego, iż wrócić dnia wczorajszego, wznawiać rzeczy przepadłej, przeżywać życia po raz wtóry, niepodobna. W rzeczywistości, przez ten wyłudzony na dobrej jego wierze akces i przysięgę, dogadzał on jedynie wyrachowanej taktyce stronniczej i oddawał się jej w niewolę.

W kilka dni potem u Kościuszki, w domu Barssa, byli na obiedzie Kniaziewicz i Garat, przysłany zapew-

ne w misyi pośredniczącej od rządu. Wynikła zasadnicza rozmowa polityczna. Garat, z przejrzystą aluzyą do widoków pruskich, podnosił zalety Ustawy majowej, dopuszczającej tron dziedziczny w Polsce pod obcym monarchą. Przyłączyli się do jego wywodów Barss i krewki Kniaziewicz. Wyrazili obadwaj przeświadczenie, „że Francya za nas nikomu wojny wydawać nie będzie, i że tylko wspólny interes Francyi z jedną potencyą z trzech dzielących Polskę wskrzesić może“. Obruszył się na to z żywością Kościuszko w imię czystych haseł niepodległości i republikaństwa. Żachnął się oczywiście tem mocniej, iż dopiero co wręcz przeciwną tajemną spełnił przysięgę związkową. „Oświadczył, że wcale nie myśli o królu i tej konstytucyi (majowej)“. Uniesiono się ze stron obu; doszło do sprzeczki ostrej, którą napróżno ułagodzić starał się Garat. Nazajutrz Kościuszko wyprowadził się od Barssa i na inne prowizoryczne, potem na własne przeniósł się mieszkanie. Wystąpiła na jaw różnica charakterów, a i stanowisk. Kościuszko chciał niepodległej wewnątrz i zewnątrz Polski. Chciał jej i Kniaziewicz, lecz tymczasem osiągnięcia jej nie widząc sposobu, chciał jaknajprędzej legii. Jeden pragnął być bliżej ideału, drugi — rzeczywistości: każdy w pewnem znaczeniu miał słuszność. Słuszne były nieufne wstręty Kościuszki, do fikcyjnych, oszukańczych widoków pruskich. Ale słuszne też zewszechmiar były ostrzeżenia Kniaziewicza przed oszukańczą fikcyą spiskową, przed szaleństwem „rewolucyi w kraju“, przed niepewnym Orchowskim, niedorzecznemi „asocyacyami“, nierozważnemi przysięgami republikańskiemi. „Chcę moją ojczyznę widzieć wolną,—tak z powodu tego zatargu odzywał się on do Kościuszki—i nikt bardziej nademnie tego żądać nie ma prawa..., (ale) zdanie moje otwarcie powiem, choćby się całemu światu niepodobało: że jeżeli tego politycznego gmachu, który każdy cnotliwy Polak

budować chce, razem postawić nie można, iż go po części stawić należy". Była w tem oświadczeniu prawda najoczywistsza, która w niedługim już czasie miała wcielić się dotykalnie w dziejowym tworze Księstwa Warszawskiego.

Nieporozumienie zasadnicze, ujawnione w rzeczonym zatargu w pierwszej połowie sierpnia 1799 r., nie pozostało bez wpływu na dalszy układ stosunków wewnętrznych emigracyi polskiej w Paryżu. Już przez samo wydalenie się swoje z domu Barssa stawał się odtąd Kościuszko coraz przystępniejszym dla wpływów przeciwnych. Odtąd też pewien cień padł na tak serdeczny dotychczas jego stosunek do Kniaziewicza. Jednakowoż zbyt wielką była obu poczciwość, zbyt żywą troska o rzecz publiczną, iżby pomimo wynikłej różnicy poglądów nie mieli i nadal obadwaj wspólnie pracować nad ważną i pilną sprawą legionową. Sprawa ta tymczasem znów była ugrzęzła. Odpowiednie legionowe wnioski rządowe, tyle pozostawiające do życzenia, nadomiar po przekazaniu już do Rad utknęły tam bez ruchu przez blisko dwa miesiące. Rząd najwidoczniej nie kwapił się wcale z pozyskaniem dla nich sankcyi prawodawczej i zostawiał sobie wolną rękę względem wprowadzenia ich wogóle w życie. Istniała zresztą pewna trudność zasadnicza w wyraźnym zakazie dyrektoryalnej ustawy konstytucyjnej, bezwzględnie wzbraniającym wcielania wojsk cudzoziemskich do armii Republiki francuskiej. Wprawdzie życzliwi sprawie polskiej reprezentanci, Talot, członek Rady Pięciuset, i Lacuée, członek Rady Starszych, podsunęli obejście tego zakazu pod pozorem, jakoby nowa legia nadreńska miała być uważaną tylko za cząstkowe przekształcenie istniejących już włoskich, i jakoby w tem znaczeniu brano ją tylko zastępczo na koszt francuski zamiast czyzalpińskiego; była to przecie, bądźcobądź, fikcya dość przejrzysta. Co

jednak główna, Dyrektoryat wciąż oczekiwał wieści z włoskiego teatru wojny od Jouberta. Jego sukcesy, odmieniając fortunę wojenną, może uczyniłyby jeszcze zbytecznym cały niemiły w gruncie rządowi kłopot i ciężar fundacyi legionowych na rachunek francuski.

To też dopiero po nadejściu wiadomości o okropnej klęsce pod Novi i zgonie Jouberta, wzięto się pod koniec sierpnia 1799 r. bardziej naseryo do rzeczy. Spiesznie teraz wprowadzono orędzie rządowe na wokandę obu Izb, i po przyjęciu go przez Radę Pięciuset i sankcyonowaniu przez Radę Starszych, zamieniono nareszcie w prawo. Mocą tego prawa 8 września 1799 r., na zasadach wskazanych we wniosku dyrektoryalnym, zapowiedziane zostało utworzenie nowej legii polskiej, zresztą bez bliższej narazie skazówki o jej przeznaczeniu, w składzie czterech batalionów piechoty po 1230 ludzi łącznie z oficerami, czterech szwadronów lekkiej jazdy po 106 ludzi i jednej kompanii lekkiej artyleryi, na żołdzie Republiki francuskiej, z asygnatą na organizacyę i żołd jednoroczny kwoty 3, 3 milionów franków. Sama istota tego aktu fundacyjnego legii polskiej przy Francyi, nie mówiąc już o merytorycznej jego zawartości, wystawiała pod względem prawno-politycznym dotkliwe pogorszenie, w stosunku do uprzedniej fundacyi legii polskich we Włoszech. To był akt zgoła jednostronny, wedle woli i widzimisia samejże Francyi; nie był akt umowy dwustronnej między posiłkowaną republiką a posiłkującem wojskiem polskiem. Ale na to nie było rady. Tak czy owak, rzecz przynajmniej przybrała postać prawomocną, aczkolwiek jeszcze do wykonania było dość daleko.

Kościuszko, zaraz po zapadnięciu powyższej uchwały, próbował wyprosić ladajaką choćby do niej poprawkę od samego rządu. Tłómaczył Dyrektoryatowi, iż „nowa formacya legionowa polska, uchwalona przez ciało

prawodawcze, nie daje Polakom żadnej z tych korzyści, jakie zapewniała im pierwsza“ — i tu składał jako dowód ową pierwszą, korzystniejszą umowę, t. j. konwencyę, nadaną ongi Dąbrowskiemu przez Bonapartego. Dopraszał się przynajmniej o „niejakie pocieszające obietnice“ *(quelques promesses consolatrices)*, o „jakieś światełko nadziei“. Inaczej oczywiście o jego komendzie naczelnej wcale nie mogło być mowy, nawet w moralnem tylko znaczeniu. Chodziło mu najgłówniej o uznanie przynajmniej w zasadzie prawa legii do powrotu kiedyś w pomyślnej chwili do kraju, dla walczenia o własną sprawę narodową, co wyraźnie wszak było dopuszczone w konwencyi Bonapartego. Zresztą, wobec zapadłej już a przemilczającej o tem uchwały, „nie żądał bynajmniej deklaracyi formalnej ani publicznej“ w tym względzie; gotów był poprzestać na poufnem do siebie piśmie, „bez żadnej dla rządu kompromitacyi“, byleby mógł poufnie okazać je rodakom dla uspokojenia ich i zachęty. Nowy minister spraw zagranicznych, Reinhard, do którego również z tą prośbą udał się Kościuszko, w złożonym Dyrektoryatowi raporcie uznał za możliwe udzielenie tak niewinnego zapewnienia. Opuszczono jednak wszelką wzmiankę o powrocie z bronią w ręku; zamiast „powrotu do ojczyzny, gdyby tego wymagały okoliczności“, zostawiono głuche tylko stwierdzenie „możności powrotu“. Zakwestyonowano też, czy stosowne pismo ma być wydane na ręce „generała Kościuszki“, „naczelnika narodu polskiego“, czy też „szefa legii polskiej“. W dodatku, przez zbytek ostrożności, zastrzeżono wyraźnie, że to pismo wyjść może jedynie od ministra wojny, „nie zaś imieniem ministeryum spraw zagranicznych, ażeby niezawisłość tego ostatniego wydziału nie została narażoną *(compromise)* przez deklaracyę, która mogłaby kiedyś znaleść się w sprzeczności z wynikiem ogólniejszych kombinacyi naszego systematu politycznego“. Nie-

wiadomo dokładnie, w jakiem ostatecznie brzmieniu i na czyje ręce taka deklaracya została wydaną przez ówczesnego ministra wojny, Dubois-Crancégo. W każdym razie poruszenie tej sprawy, nawet w tak skromnej postaci, było zasługą troskliwości Kościuszki. Rzecz sama w następstwie okaże się niepozbawioną pewnego moralnego znaczenia, kiedy wynikną trudności z powodu masowego dymisyonowania się polskich oficerów legionowych.

Jednocześnie nie omieszkał Kościuszko wystąpić także do rządu w interesie nieszczęsnych legii włoskich, których imieniem od września 1799 r. zabiegali w Paryżu przysłani od Dąbrowskiego Konopka i Biernacki. Te legie, wraz z całem wojskiem cyzalpińskiem, przechodziły również na żołd francuski. Zależało więc na tem, aby ułatwić szybką ich odnowę, ubezpieczyć znaczne ich zaległości pieniężne, zapewnić im z góry od rządu francuskiego, ze względu na przyszłą ich reorganizacyę, możliwie wysoki etat, około 8 tysięcy ludzi, zbliżony do poprzedniego ich stanu przed rozbiciem wojennem. Niewiele tu mógł zdaleka wskórać Dąbrowski, w ciężkiem swojem pod Genuą położeniu, odcięty od Paryża, a trawiony też niepokojem z powodu przedłużającej się nieobecności Kniaziewicza, nękany obawą zupełnego upadku swych legii włoskich, pochłonięcia ich przez nową formacyę nadreńską, gryzący się przeczuciem osobistej degradacyi z zajmowanego dotychczas stanowiska. Kościuszko, aczkolwiek wciąż mocno przeciw niemu przez jego wrogów podbechtywany, pamiętał wszakże o naglących potrzebach legii włoskich i gorliwie wstawiał się za niemi u Dyrektoryatu i w ministeryach. Była to jednak rzecz bądźcobądź na dalszym planie. Nierównie aktualniejszą była obecnie w Paryżu sprawa nowego korpusu polskiego w Niemczech. Ale i ta nie była jeszcze bynajmniej na

drodze do niezwłocznego urzeczywistnienia. Nie ruszała się z miejsca przez cały miesiąc, już po zapadłej na papierze prawomocnej uchwale fundacyjnej. Dopiero w początku października 1799 r., po nadejściu wiadomości o wygranych Bruna w Holandyi, szczególniej zaś Masseny w Szwajcaryi, zdecydowano się przystąpić, wciąż zresztą bez wielkiej skwapliwości, do zrealizowania nareszcie nowej legii polskiej. Ze względu na Prusy nie otrzymała ona przeznaczonej sobie pierwotnie nazwy legii nadreńskiej. Jako legia naddunajska *(du Danube)*, wzięła nazwę urzędową od przynależności swojej do armii Masseny. Miejsce zakładowe miała sobie wyznaczone w Phalsburgu, małej ufortyfikowanej mieścinie lotaryńskiej, w zdrowotnem na równinie położeniu, z ludnością poczciwą, życzliwie dla Polaków usposobioną przez pamięć na „króla dobroczyńcę", starego Leszczyńskiego. Przygotowano tam koszary na 3 tysiące ludzi, lecz żadnych pozatem nie udzielono środków, ani najniezbędniejszych nie przedsięwzięto zarządzeń.

W pierwszej połowie października 1799 r., przy ciągłych wstrętach ze strony ministeryum wojny, Kniaziewicz prowizorycznie dopiero przeznaczony został na dowódcę legii naddunajskiej i upoważniony do rozpoczęcia tymczasowych jedynie czynności organizacyjnych. Wezwał on zaraz przebywających w Paryżu oficerów Polaków do złożenia swych stanów służby. Oprócz Kosseckiego wziął sobie do pomocy Godebskiego, którego zaprosił, jako wypróbowanego towarzysza Rymkiewicza, do udzielenia opinii o podających się do umieszczenia w legii oficerach. Porozumiewał się zresztą we wszystkiem z Kościuszką i do jego stosował skazówek. Niestety, nie obeszło się przytem bez pewnych rozdźwięków. Tak więc Kościuszko, w myśl złożonej przez siebie samego przysięgi związkowej, i mocno obstawając przy swojem politycznem wyznaniu wiary republikańskiem

i demokratycznem, wbrew zdaniu Kniaziewicza wystąpił na własną rękę do ministra wojny, Crancégo, z kategorycznem żądaniem, ażeby wszyscy nowomianowani oficerowie legii, wraz z Kniaziewiczem, jeszcze przed wyjazdem z Paryża, a następnie podobnież wszyscy szeregowcy legionowi, złożyli przysięgę na „nienawiść królom i arystokracyi". A jakkolwiek nie uzyskał na to zgody ministeryalnej, przecież i nadal wielkim swym wpływem osobistym popierał gorąco wypełnianie tej przysięgi przez legionistów, co źródłem rozlicznych stawało się nieporozumień. Inne też tarcia przygodne wynikły z popieranych przez niego forsztelacyi, n. p. Turskiego-Sarmaty, którego nie życzył sobie Kniaziewicz. Z tem wszystkiem atoli Kościuszko opiekuńczą swą powagą przykładał się najtroskliwiej, ile tylko było w jego mocy, do ułatwienia niniejszych bardzo trudnych początków organizacyjnych legii naddunajskiej. Układał łącznie z Kniaziewiczem listę ciała oficerskiego, polecał ją rządowi do zatwierdzenia, upominał się o pośpiech w dostarczeniu potrzebnych funduszów, efektów i t. p. Cóż, kiedy cała robota szła jak z kamienia, skutkiem równie obojętnej, jak opieszałej postawy rządu. Ze strony polskiej nic nie stało na przeszkodzie corychlejszemu wysztyftowaniu silnej i dzielnej legii. Zaprojektowany w dwóch listach Kościuszki i Kniaziewicza skład oficerski przedstawiał się bardzo pięknie, poczęści świetnie. Podani byli na szefa sztabu legii naddunajskiej doskonały artylerzysta Gawroński; w piechocie, na szefa brygady wypróbowany Chłopicki, a na szefów batalionów wytrawny Fiszer, utalentowany Sokolnicki, Zajdlic i Drzewiecki; w jeździe, na szefa brygady Turski a na pierwszego szefa szwadronu Rożniecki, lichy charakter, lecz kawalerzysta niepospolity; na niższe rangi kilkudziesięciu oficerów wyższej przeważnie wartości. Nadzwyczaj licznie napływali też sze-

regowcy ze zbiegów i jeńców polskich z wojsk austro-rosyjskich, zwłaszcza po ostatnich pomyślnych akcyach w Szwajcaryi. Niebawem zaczęło roić się od rekrutów polskich w cichym Phalsburgu. Już w październiku 1799 r., „od pułku polskiego pod Suworowem zaczęli dezerterować do legii". Samych Rusinów, t. j. Małorosyan z kordonu i wojska carskiego, przyszło odrazu półtorastu, paru nawet przystało podoficerów Rosyan. A pełno pozatem zgłaszało się luźnych niedobitków z obu polskich legii we Włoszech.

Ale to wszystko nie zdało się na nic, póki ze strony rządu francuskiego skutecznej materyalnej nie było pomocy. Trzeba było na gwałt ubioru, broni, funduszów, a tego doprosić się zgoła nie było sposobu. Przyczyna tkwiła tyleż w braku istotnej życzliwości dla sprawy legionowej polskiej, ile w głębszych czynnikach ogólniejszych, w nikczemności całej ówczesnej polityki rządowej i machiny administracyjnej paryskiej. W wydziale wojny, pod Dubois-Crancém, za przykładem jego poprzednika i przyjaciela Bernadotta, gorączkowa napozór ruchliwość źle ukrywała zupełny w gruncie zastój, graniczący z anarchią. O całem ówczesnem ministeryum wojny, tak jak znalazł je niebawem Bonaparte, wydał on sąd rzeczoznawcy w kilku lapidarnych wyrazach. „Był to istny chaos... Dubois-Crancé, rzecz nie do wiary, nie był w stanie dostarczyć (mi) ani jednego etatu sytuacyjnego armii... Zapytywano go: „Płacicie wszak armię, zatem możecie przynajmniej przedstawić etaty żołdu". „Nie płacimy jej". „Żywicie armię, dajcie więc etaty biura żywności". „Nie żywimy jej". „Ubieracie armię, złóżcie choć etaty biura ubiorczego". „Nie ubieramy jej". Miesiąca czasu było potrzeba zanim udało się zestawić etat armii, i odtąd dopiero można było przystąpić do jej reorganizacyi". W zupełnej z tym obrazem zgodzie są

urzędowe świadectwa Moreau, Bruna i innych generałów komenderujących, o ówczesnym niesłychanym stanie nędzy i wręcz „rozkładu“ wojsk francuskich na linii bojowej, skutkiem zupełnego zaniedbania najpilniejszych ich potrzeb przez centralną administracyę wojenną. Oczywiście zaś najsrożej cierpieć na tem musiały traktowane po macoszemu, będące na szarym końcu, legie polskie. Agonizowały tedy, pomimo wszelkich na papierze przyrzeczeń, puszczone całkiem w niepamięć, głodne i nagie szczęty legii włoskich Dąbrowskiego. Ani też nie mogły wejść w życie, pomimo wszelkich papierowych uchwał, zdane na łaskę losu, nagie i głodne szczątki legii naddunajskiej Kniaziewicza. „Gdybyś mógł patrzeć się — tak Kosseckiemu do Paryża pisał z Phalsburga jeden z pierwszych oficerów wysłanych tam dla urządzenia zakładu, — na ten kwiat młodzieży krajowej, gdybyś ujrzał ich niewyrównaną nędzę, z tem wszystkiem najszlachetniejsze dusze i prawdziwą ojczyzny miłość,... zapłakałbyś na myśl podobną“. W zakładzie bowiem byli tylko goli ludzie i gołe koszary; pieniędzy, oręża, mundurów, butów, chleba, doczekać się nie było można od rządu.

W dodatku, niepodobna było jaśnie rozróżnić, gdzie kończyło się samo zaniedbanie rządu, a gdzie zaczynała zła wola. Niepodobna przewidzieć, co z tym rządem, co z Francyą już w najbliższej będzie przyszłości. Niepodobna rozeznać się w trwającem i rosnącem bez przerwy zamieszaniu i zaćmieniu wszystkich zewnętrznych i wewnętrznych stosunków Republiki francuskiej. Pomimo ostatnich częściowych sukcesów jesiennych, holendersko-szwajcarskich, położenie wojenne Francyi pozostawało wciąż niezmiernie groźnem. Pomimo pozornej ciszy po ostatnim przewrocie prairiala, położenie polityczne w Paryżu było wciąż brzemienne nowym większym wybuchem. Straty we Włoszech i nad Renem

ciągle nie były powetowane, ani nawet możliwość inwazyi zażegnaną. Nie była też bynajmniej usuniętą możliwość restauracyi; owszem, w tej lub innej postaci ustawicznie wisiała w powietrzu. Przedewszystkiem zaś, tak czy owak, była wprost nieuniknioną w najbliższym już czasie gwałtowna odmiana i śmierć panującego, przegniłego do kości, cuchnącego trupem, dyrektoryalnego porządku, t. j. nierządu rzeczy. Odczuwano to w całej Francyi, zwłaszcza w stolicy. Ale nikt dobrze nie wiedział ani widział wyjścia z tych powikłań i biedy, kędy zabrnęła Republika; a najmniej wiedzieć i widzieć mogli Polacy.

Wtem po Paryżu, a wnet i po legionowych polskich obozowiskach, gruchnęła wieść piorunująca. Bonaparte powrócił z Egiptu.

ROZDZIAŁ TRZECI.

PIERWSZY KONSUL.

I.

Zjawienie się Bonapartego w Paryżu, w październiku 1799 r., czyniło go odrazu ośrodkiem, i albo panem albo ofiarą położenia. Republika ludowładcza, rewolucyjna, nie istniała oddawna; panująca dyrektoryalna wiła się w podrygach konania; chodziło już tylko o dobicie jej i zagarnięcie po niej dziedzictwa. Rozumiano powszechnie, że on przybywał, aby tego dopełnić. Tedy poszukiwano go zewsząd, jako egzekutora i spólnika. Poszukiwano z obu naraz skrajów, jakóbińskiego i rojalistycznego, schodzących się w dążności przewrotowej; ze wszelkich też pośrednich grup i obozów, mających względem obecnego rządu zabójcze zamysły i porachunki spiskowe. Poszukiwano zaś najskwapliwiej z łona samego rządu, niosącego się z przechytrym spiskiem samobójczym, obrachowanym dwoiście: bądź w doraźny jeno sposób przejściowy, wedle myśli Barrasa, do odsprzedania się potem restauracyi królewskiej; bądź też na stały własny rachunek, wedle myśli Sieyèsa, do gospodarowania dalej pod zmienioną flagą republikańską. Wszyscy chcieli przewrotu, każdy na swój sposób i benefis. Nikt nie śmiał brać się do rzeczy, nie przez zbytek skrupułu, lecz dla braku siły. A tu spadał Bonaparte, wcielenie czynu, otoczony gloryą dawnych zwy-

cięstw i świeżej egzotycznej sławy, witany z zapałem przez stolicę, kraj, armię, jako opatrznościowy mściciel Francyi za nikczemność rządu i klęskę wojenną. Stał się naraz bożyszczem tłumu, przedmiotem zabiegów stronnictw, mógł wybierać. Wątpliwości zasadniczych, ideowych, nie żywił żadnych. Pochłonęła je w nim dawno wszechmocna ambicya, zmroziła praktyka życia i walki, znieczuliła do reszty atmosfera Wschodu, a nakoniec zgoła wyłączała je sama Francya spółczesna, ze swoim rozkładowym stanem i nastrojem politycznym, wręcz wyczekująca, wymagająca gwałtownej ratunkowej odmiany.

Zdecydowany nieodwołalnie na zamach stanu, Bonaparte miarkował jedynie, jak i z kim go wykonać bez ochyby i dla siebie samego. Nawet dla niego, i właśnie dla niego, była to rzecz arcyniełatwa. Znalazł się on w warunkach wyjątkowo pomyślnych, lecz wyjątkowo też niebezpiecznych. Miał podawnemu pełno dokoła wrogów śmiertelnych, tych zwłaszcza, w rodzaju generałów Bernadotta i Jourdana, co za jego nieobecności chcieli wyprzedzić go własnym zamachem, a nie zdążyli, nie ważyli się, i teraz przeczuwali, że on ich zastąpi. Miał przed sobą tysiączne komplikacye osobiste i rzeczowe. Musiał wybierać w rządzie pomiędzy gładkim Barrasem, byłym swym protektorem, a sztywnym Sieyèsem, pragnącym użyć go za narzędzie. Musiał dojść do ładu ze zmiennym, nieobliczalnym Moreau, głównym od zgonu Hocha wojskowym swym rywalem, z którym teraz dopiero po raz pierwszy spotkał się osobiście, którego narazie ku sobie skłonił, lecz nigdy na stałe pozyskać nie mógł. Musiał porozumiewać się z mądrym eksministrem spraw zagranicznych, Talleyrandem, mającym styczność z prawicą i zagranicą; uwzględniać i wystrzegać się niepochwytnego ministra policyi, Fouchégo, mającego styczność z lewicą i wszelaką w kraju konspiracyą; brać w rachubę najrozmaitsze i najsprzeczniejsze czynniki, zabezpieczać się na wszystkie strony, nie oświadczając

się przedwcześnie za żadną. A czasu nie miał do stracenia. Wiedział lepiej niż kto inny, jak szybko mijał urok nowości i gasły ognie zapału w Paryżu. Miał na sumieniu zgubioną naprawdę wyprawę i armię egipską. Był już pokątnie oskarżany przez Bernadotta przed Moreau, jako „dezerter egipski". W tych dniach przesilenia, jak potylekroć w swem życiu, raz jeszcze znalazł się między tryumfem a zgubą. Tymczasem rozglądał się. Był właściwie bez komendy. Nie chciał zresztą przed zamachem w pretoryańskiej, generalskiej ukazywać się sukni. Chadzał po cywilnemu, w oliwkowym surducie, kapeluszu okrągłym. Pojawiał się śród uczonych swych kolegów w Instytucie; rozprawiał z byłym swym egzaminatorem, Laplacem, o mechanice ciał niebieskich.

Wtedy także, w drugiej połowie października 1799 r., wprost z wizyty urzędowej w Dyrektoryacie zajechał niespodzianie w odwiedziny do Kościuszki na nowe jego mieszkanie. „Była to godzina,—opowiada naoczny, świadek polski — gdyśmy właśnie (u Kościuszki) byli. Wszedł (Bonaparte) do Naczelnika naszego, a pierwszem jego słowem było: „Chciałem usilnie poznać bohatera północy". Kościuszko odpowiedział mu skromnie, że jest szczęśliwy z widzenia zwycięscy Europy, bohatera Wschodu. Niedługo zapewne bawić miał potrzebę, a powiódłszy po nas oczyma, witał Kniaziewicza, jako znajomego sobie; stąd dopiero do Rady Starszych i ministra wojny pojechał". Pierwsze to spotkanie już dawało wyczuć obustronną sprzeczność psychiczną. Nie zbliżyło, lecz owszem mimowolnie odepchnęło od siebie; a choć było wyrażem atencyi młodego Bonapartego, nie pozyskało mu bynajmniej starego Naczelnika. Kościuszko nawet podobno zaraz pośpieszył uprzedzić Dyrektoryat, „by tego młodego człowieka (Bonapartego) się strzegli, bo mógłby im szyki popsuć". Tymczasem Bonaparte ostatecznie porozumiał się z Sieyèsem i drugim dyrektorem Ducosem, ministrem sprawiedliwości Cambacérè-

sem, członkami Rady Starszych i niektórymi Rady Pięciuset. Tak więc cały ten spisek na obalenie rządu, był w gruncie nawskroś rządowy, cywilny w założeniu, a nawet przeważnie i wykonaniu, z wojskową tylko w odwodzie egzekutywą. W początkach listopada 1799 r., na bankiecie, wydanym przez Rady na cześć Bonapartego i Moreau w świątyni Zwycięstwa, dawnym kościele św. Sulpicyusza, śród zaproszonych kilkuset gości spotkał się znowuż Bonaparte z Kościuszką. Prezydent Rady Starszych, Lemercier, wzniósł toast na Republikę; Rady Pięciuset, Lucyan Bonaparte, na armie; Dyrektoryatu, Gohier, na pokój; Bonaparte „na zjednoczenie wszystkich Francuzów"; Moreau „na wszystkich wiernych sprzymierzeńców Republiki", co jedynym bladym było wyrazem pamięci o „sprzymierzeńcach" polskich. Kościuszko, który podobno miał zamiar przemówić, nie był dopuszczony do głosu.

Już w dni parę po tym festynie, a w trzy tygodnie zaledwo po swem przybyciu, w pierwszej połowie listopada 1799 r., uderzył Bonaparte. Dokonał zamachu brumaira. Wedle planty, ukartowanej poniekąd na wzór prairialowy, lecz tym razem doprowadzonej aż do samego końca, Rada Starszych w Tuileryach wczesnym rankiem uchwaliła oddać Bonapartemu dowództwo naczelne nad siłą zbrojną paryską, objęte też przezeń natychmiast w otoczeniu całej generalicyi. Zaczem nastąpiła umówiona z góry dobrowolna dymisya Sieyèsa i Ducosa, wymuszona Barrasa i dwóch pozostałych dyrektorów. Nazajutrz przecie łatwa ta wygrana omal nie zamieniła się w klęskę, kiedy Rada Pięciuset w Saint-Cloud, porwana oburzeniem republikańskiem, a niepomału też podniecona rozmyślnie przez przeciwną konkurencyę generalsko-spiskową, z okrzykiem „precz z dyktatorem, z tyranem", rzuciła się na zbladłego, stropionego tym wybuchem Bonapartego. Mógł on jeszcze przegrać z kretesem. Mógłby nawet, choć nie było tam legendowych „puginałów", zostać srodze potur-

bowanym wśród tłumu rozjuszonych posłów w czerwonych togach, gdyby nie wdanie się i osłona straży grenadyerskiej i kilku oficerów. A „i tu się biedny Polak zamieszał“, major Szaltzer z Warszawy, umieszczony świeżo w stopniu kapitana w legii naddunajskiej, który przytomnym będąc burzliwej tej scenie w oranżeryi w Saint-Cloud, „najbliżej się znalazł i piersią swoją (Bonapartego) zasłonił“.

Po rozpędzeniu opornej Rady przez siłę zbrojną, tejże nocy na miejsce zgasłego Dyrektoryatu ustanowiony został trójgłowy Konsulat prowizoryczny, złożony z Bonapartego, Sieyèsa, Ducosa. Sekretarstwo stanu konsularne otrzymał pracowity Maret; ministeryum wojny po Crancém objął Berthier; sprawy zagraniczne nieco później, po zostawionym zrazu Reinhardzie, odebrał z powrotem Talleyrand. Szybko nastąpiło wyjście z doraźnego prowizoryum. Już w ciągu jednego miesiąca ułożoną została nowa karta konstytucyjna, wbrew doktrynerskiemu mędrkowaniu Sieyèsa, wedle dobitnych, autokratycznych skazówek Bonapartego. Zagarniał pełnię władzy wykonawczej, wraz z przeważnym na prawodawczą wpływem, jako wyznaczony na dziesięciolecie Pierwszy konsul, sam Bonaparte. Przydani mu zostali z głosem doradczym dwaj konsulowie przyboczni, Cambacérès i Lebrun, gdyż zawiedziony w swych rachubach Sieyès nagle w zaszczytnej, razem z Ducosem ocknął się nicości. Zaprowadzone zostały: Rada stanu do opracowania projektów praw i z nadzorczą kompetencyą administracyjno-jurysdykcyjną; dożywotni Senat zachowawczy, na straży konstytucyi; oraz obierane przezeń, z list ogólnokrajowych, Ciało prawodawcze, uchwalające bez rozpraw wnioski rządowe, i Trybunat, rozstrząsający te wnioski i przekładający je pospołu z rządem. Ta ustawa konstytucyjna, poddana wnet, z końcem grudnia 1799 r., plebiscytowi narodowemu, pod łatwym zresztą naciskiem rządowym była oczywiście przyjęta ogromną

większością trzech milionów głosów na półtoratysiąca protestów. Zostawiała ona pustą jeno fikcyę ludowładztwa i systematu reprezentacyjnego. Wynosiła bezwzględnie egzekutywę ponad legislatywę; i pod tym względem odbije się jaknajmocniej na wszystkich następnych pochodnych tworach ustawodawczych napoleońskich, a między innemi na późniejszej konstytucyi Księstwa Warszawskiego. Utrwalała przecie nazawsze walne zdobycze cywilno-gospodarcze Rewolucyi, zagrożone przez restauracyę. Ratowała je tyleż przez solidarną porękę rdzennej ich treści, ile przez złagodzenie nieprzejednanej formy dzieła rewolucyjnego i przeprowadzenie go ze sfery tymczasowości i przełomu na normalne szlaki rozwojowe doby nowożytnej. Stanowiła niezachwianie porządek publiczny, kosztem woli zbiorowej i jednostkowej swobody, mocą prawnorządnej autokracyi. Zaś ogniskując faktycznie udzielność w osobie Bonapartego, jako doczesnego dopiero samowładcy, dawała mu do rozrządzenia wszystką zjednoczoną siłę państwową, dla konsolidacyi wewnętrznego stanu rzeczy oraz skutecznej nazewnątrz walki.

Pierwszy konsul rozumiał wybornie, iż tylko przez taką zwycięską walkę z Europą skonsolidować się on może we Francyi. Zaczął wprawdzie zaraz od uroczystego wyciągnięcia ręki do pokoju królowi angielskiemu i cesarzowi niemieckiemu, ale wiedział dobrze, że ona będzie odepchniętą. To też wraz z tym krokiem, pojętym tam jako dowód jego słabości, gotował się gorączkowo do najdobitniejszego udowodnienia mocy swojej i Francyi. Rozwinął wszechstronną działalność reorganizacyjną wewnętrzną. Łącząc kroki represyjne a kojące, podejmował zgniecenie powstańców rojalistycznych w Wandei, a otwierał im możność pogodzenia się z panującym stanem rzeczy; tłumił ich konspiracye i wytępiał bandy zbrojne, a znosił przysięgę na „nienawiść królestwu“ i kasował święto ścięcia Ludwika. Przedewszystkiem atoli zbroił się na potęgę.

Z resztek dawnej reńskiej oraz naddunajskiej Masseny, utworzył nową zjednoczoną wielką armię nadreńską i oddał ją w ręce Moreau, jako nagrodę za jego spółdziałanie w zamachu. Zamyślał zrazu, jak się zdaje, obok formalnej jego komendy, sam tam zjechać i poprowadzić tę armię najmocniejszą, liczącą do 60 tysięcy ludzi, na wielką kampanię w Niemczech, o jakiej marzył oddawna. Później jednak, wobec stanowczego oporu ze strony Moreau, zmuszony bardzo jeszcze z nim się liczyć, zaniechał tego zamiaru i zaczął dla samego siebie organizować w Dijonie, pod formalnem dowództwem Berthiera, nową armię rezerwową, przeznaczoną do kampanii we Włoszech.

Równocześnie zajął się Bonaparte armią alpejsko-włoską, gdzie szczęty polskich twiły legionów. Naczelną tutaj komendę, po przyjęciu ponawianej czterokrotnie dymisyi skompromitowanego i schorzałego Championneta, przekazał obecnie Massenie. Położenie tej armii było nad wyraz opłakane. Z ogólnej liczby 150 tysięcy ludzi, jaką Francuzi, łącznie z wojskami posiłkowemi, zużyli we Włoszech w ciągu minionego 1799 r., 85 tysięcy poginęło albo dostało się do niewoli; reszta przerzedzała się z dnia na dzień przez choroby i dezercyę. Massena, obejmując komendę w Genui, znalazł pod bronią niewiele więcej ponad 30 tysięcy ludzi. „Armia dosłownie jest nagą, — donosił on stąd Bonapartemu, — bez żadnych zapasów ani środków transportowych; w całej Liguryi nie ma co jeść“. Najokrutniejsze w takich warunkach były cierpienia znajdujących się tutaj legionistów polskich. Mieli oni, jak wskazano, czynny i stosunkowo wybitny udział w ostatniej niefortunnej próbie offensywnej Championneta. Wtedy to mianowicie, pod koniec października 1799 r., w bitwie pod Bosco, drugi batalion legionowy polski rozbity został zupełnie, i to niestety bratobójczym znów sposobem, przez złożoną napoły z Polaków jazdę austryacką; pierwszy bata-

lion ledwo wyratowany, dzięki dzielnej odsieczy półbrygady trzeciej francuskiej. Wówczas też, w niniejszej ciężkiej pod Bosco potrzebie, w chwili gdy Dąbrowski odcinał pałaszem kanonierowi austryackiemu lont od działa, kula karabinowa trafiła go w samą pierś, lecz utkwiła w książce, którą on zawsze nosił przy sobie. Tą książką, ratującą wodza polskiego od niemieckiego postrzału, była „Wojna Trzydziestoletnia" wielkiego niemieckiego poety. Zaś jak z ukontentowaniem stwierdził potem Dąbrowski, wybiła w niej kula jedyny fałsz, jaki przytrafił się Schillerowi, błędną wzmiankę, jakoby Polacy w tamtej wojnie żołdackie pełnili posługi. Ale częściowe, bardzo ciężko okupione pod Bosco, oraz pomyślniej zdobyte w powtórnej bitwie pod Novi, sukcesy polskie utonęły wnet, jak się rzekło, w ogólnem niepowodzeniu i rejteradzie Championneta. Już nawet wytrzymały Dąbrowski, znów na wysuniętej najdalej placówce w niegościnnych górach piemonckich, skazany ze swoimi na czarną nędzę i ostrość klimatu, pozbawiony wiary zarówno w komendę naczelną, jak i w rząd paryski, poczynał tracić nadzieję lepszego jutra.

Wtem doszła Dąbrowskiego, jednego z pierwszych, przez Rivierę francuską, wiadomość o wylądowaniu Bonapartego we Francyi pod Saint-Raphaëlem. Zelektryzowała ona legię; oczekiwano wielkich i zbawiennych stąd następstw. „Bonaparte wszystkim głowy zawraca,— tak pod świeżem wrażeniem, już w październiku, z Genui, pisał Dąbrowski biedującemu pod Genewą Wybickiemu,—podług mnie on jeden jest w pozycyi przez geniusz swój nadzwyczajne odkryć rzeczy. Ja szczególnie na niego rachuję i z niecierpliwością pragnę wiedzieć, jak się on dalej obróci". Te obroty nie dały na siebie czekać; najbliższym ich wynikiem był zamach brumaira i objęcie władzy naczelnej przez Bonapartego. Przewrót przyjęty był z zadowoleniem, poczęści nawet z zapałem, przez ogromną większość wychodźczej i legionowej opinii

polskiej. „Koniec będzie intrygom,—wołał Barss ucieszony—bo nakoniec tu się skończyło panowanie burzliwych ludzi i intrygantów... Paryż skacze z radości i nadziei dla Francyi lepszych losów,... My nawet, nieszczęśliwe sieroty, syny dotąd nadziei słabych i obiekta cierpienia, doczekamy się prędzej nakoniec spełnienia naszych losów... w tej wygranej, którą dziś rozum odniósł nad głupstwem". Dąbrowski wierzył, że to „szczęście dla Francuzów i dla nas wszystkich, że się Bonaparte utrzymał i został się na czele narodu. Nie będzie on uzurpatorem, ale fundatorem pewnego rządu". Kniaziewicz, który w pierwszych zaraz dniach trafił do Bonapartego i z łaskawem spotkał się przyjęciem, donosił Dąbrowskiemu z Paryża, iż Pierwszy konsul o niego w pochlebnych pytał wyrazach, iż „pamięta o legiach polskich, nazywa je swemi dziećmi, przypominając sobie ich formacyę. Można się stąd spodziewać, że im na niczem zbywać nie będzie".

W istocie, Kniaziewicz, dotychczas samemi karmiony obietnicami za Dyrektoryatu, Bernadotta i Crancégo, odtąd dopiero mógł pracować naprawdę nad urzeczywistnieniem swej legii naddunajskiej. W końcu listopada 1799 r., mianowany on został urzędownie jej szefem przez uchwałę konsularną Bonapartego. Od nowego ministra wojny, Berthiera, otrzymał zarazem zatwierdzony etat imienny umieszczonych prowizorycznie oficerów, szczegółową instrukcyę organizacyjną, zapewnienie funduszów na dostawy dla legii, słowem pomoc realną i skuteczną, o ile na to pozwalały nieuporządkowane jeszcze po gospodarce dyrektoryalnej stosunki w zarządzie wojenno-skarbowym francuskim. Nie zapomniał też Bonaparte o stworzonych przez siebie nasampierw legiach polskich we Włoszech. Tego samego dnia instalacyi pełnej władzy konsularnej, kiedy występował z programem rządów swoich do narodu francuskiego, a z odezwą pokojową do monarchów koalicyi, zwrócił się on też

z własnego natchnienia z pismem życzliwem do Dąbrowskiego i jego legionistów. Dziękował za „konduitę walecznych Polaków we Włoszech w czasie ostatniej kampanii"; zapewniał ich, że „są oni zawsze obecnymi w mej myśli, że liczę na nich, że oceniam ich poświęcenie dla sprawy, której bronimy, i że będę zawsze ich przyjacielem i kolegą". Jednakowoż, nawet w tej odezwie serdecznej, wyrazie hołdu i spółczucia dla czynów i cierpień legionowych w czasie swojej nieobecności, powstrzymał się on starannie od cienia złudnych przyrzeczeń. Z wstrzemięźliwością rozmyślną wspominał jedynie o „sprawie, której bronimy", t. j. ogólnej francuskiej, przeciwkoalicyjnej, nie zaś o tej, której służyć pragnęli legioniści, sprawie odbudowania Polski. Dąbrowski zresztą nie doczekał się już tego pisma w obozie. Już on tam w zasypanych śniegiem górach włoskich, w opuszczeniu rozpaczliwem, wobec ginącej mu w oczach legii, skąd codzień z głodu do 40 ubywało dezerterów, wytrzymać bezczynnie nie mógł, wiedząc, że Bonaparte rządzi w Paryżu. Skoro tylko rozkazem dziennym obwieszczony został armii włoskiej zamach brumaira, zaraz w początku grudnia 1799 r., oficerowie legionowi złożyli Dąbrowskiemu adres zbiorowy, wzywający go, aby corychlej udał się do stolicy, dla przełożenia Bonapartemu naglących potrzeb legii. Na koszta tej wyprawy paryskiej biedakowi generałowi swemu ofiarowali biedacy podkomendni własny żołd jednomiesięczny. Dąbrowski niezwłocznie, w towarzystwie adjutanta swego, Jana Dembowskiego, oraz majora zastępczego legii pierwszej, Pakosza, pośpieszył do Genui, stąd morzem do Nizzy, i po uciążliwej podróży, w końcu grudnia 1799 r., stanął w Paryżu.

Znaleźli się więc tutaj razem najwydatniejsi podówczas wojskowi przedstawiciele Polski, Naczelnik Kościuszko, przy nim Dąbrowski i Kniaziewicz. Wyobrażane przez nich sprawy narodowa i legionowa przychodziły po raz

pierwszy pod rozpoznanie Bonapartego, już nietylko wodza armii, lecz rządcy państwa francuskiego. Obiedwie te sprawy, same w sobie nierozdzielne, wciąż przełamywał na dwoje przymus okoliczności. Pierwsza, większa, nie była obcą ani obojętną Bonapartemu, i to nie przez nieznany mu sentyment, lecz przez wczesne przeczucie jej realnej wielkości. Już w kilka dni po zamachu brumaira, przedstawiony został konsulom, z polecenia jednego z nich, Ducosa, wypracowany przez Bonneau obszerny memoryał o Polsce. Był to właściwie najwcześniejszy w tych rozmiarach, zasadniczy operat z dziedziny wielkiej polityki zagranicznej wogóle, złożony Bonapartemu po objęciu władzy konsularnej. I rzeczą wcale jest znamienną, iż to najpierwsze takiej treści pismo, poddane rozwadze Pierwszego konsula Bonapartego, dotyczyło odbudowania Polski, tego kamienia obrazy, o który rozbije się w końcu władza cesarza Napoleona. Bonneau, w myśl naocznych wrażeń warszawskiego swego pobytu i petersburskiej niewoli, oraz zgodnie z poglądami swemi, wyłuszczanemi poprzednio za Dyrektoryatu, w niniejszym memoryale dla Konsulatu brał za punkt wyjścia bezwzględną konieczność zahamowania Rosyi, uchylenia groźby rosyjskiej dla Francyi i wszystkiej Europy. Owóż, za jedyny skuteczny ku temu środek uznawał on „częściowe przywrócenie" *(rétablissement partiel)* Polski. Złożyć się na to miały, sposobem „retrocesyi", trzeci zabór pruski z Warszawą aż do Warty, obiedwie Galicye, i bliżej nieokreślony podolsko-litewski odłam trzeciego zaboru rosyjskiego. Odzyskana w tych granicach część Polski, pod elektorem Fryderykiem-Augustem, jako monarchą konstytucyjnym, przy Ustawie majowej, stanowiłaby z Saksonią „jedno zjednoczone nazawsze państwo", połączone terytoryalnie pasem ziemi na Szląsku, scedowanym w tym celu przez Prusy, które natomiast otrzymałyby odszkodowanie z pogranicznych dzielnic Saksonii. Wreszcie, całe państwo

sasko-polskie nabyłoby nietykalnej poręki międzynarodowej przez wcielenie w skład związkowy Rzeszy niemieckiej. Były w tych wywodach rzeczy, które utkwią w głowie Bonapartego i kiedyś odnajdą się żywcem w jego Księstwie Warszawskiem pod berłem saskiem, jako części składowej Związku reńskiego, w jego natarczywych staraniach o zdobycie terytoryalnego szląskiego łącznika, w jego rokowaniach o odstąpienie Galicyi. Ale te rzeczy, które w następstwie, pomimo ogromnych przewag i wysiłków, nie dadzą się urzeczywistnić w całości, musiały w przedwczesnej postaci i porze niniejszej wydać się zgoła chimerą. Dopiero stawał na nogi Konsulat. Jeszcze górowała na całej linii przemoc wojenna koalicyi. Jeszcze po tylu wstrząśnieniach i klęskach nie była ubezpieczoną Francya, ani też bynajmniej nie było ustatkowanem położenie Bonapartego. To też projekt niniejszy, znany mu zresztą w głównych zarysach z dawniejszej wersyi Mostowskiego, przedstawionej mu przed dwoma laty za pośrednictwem Bourrienna, nie mógł oczywiście Pierwszemu konsulowi wydać się żadną miarą możliwym do urzeczywistnienia w okolicznościach obecnych.

Nie znaczy to jednak wcale, aby nawet w tej postaci, narazie chimerycznej, zagadnienie polskie nie dawało mu wiele do myślenia. Owszem, właśnie w teraźniejszej pierwszej dobie konsulackiej, pomimo tylu innych trosk nieskończenie naglejszych i bliższych, zastanawiał się nad niem nieraz Bonaparte pod zasadniczym, jeśli nie praktycznym, kątem widzenia. „Francya — odzywał się w tym czasie do swego sekretarza Bourrienna, użytego zapewne znowuż w sprawie tego odgrzewanego projektu Bonneau, — wciąż jeszcze pozostaje upokorzoną za nikczemną trwożliwość, z jaką przyglądała się ongi zniweczeniu państwa polskiego... Nigdy nie będzie stałego pokoju w Europie, póki państwo polskie nie będzie przywrócone w dawnych granicach,

w kształcie całkowitym. Cierpliwości..., jeśli pożyję jeszcze lat dwadzieścia, może do tego przymuszę...". „Zwłaszcza w początkach Konsulatu, — są słowa ówczesnego jego interlokutora — ten przedmiot w szczególności zajmował myśli Bonapartego. Jakże często podówczas rozmawiał on w tej materyi ze mną i wieloma innemi osobami... Bywała to jedna z najulubieńszych jego rozmów, podczas której wyrażał się z największym ogniem i porywczością... Dyktował mi często dla „Monitora" zapiski, mające na celu wykazanie zapomocą rozmaitych dowodów, iż Europa nigdy nie zazna spokoju, póki ten wielki akt rabunku (dokonany na Polsce) nie zostanie pomszczony i naprawiony. Ale często darł te zapiski przed oddaniem ich do druku... Dyktował mi je zazwyczaj wieczorem,... darł nazajutrz,... lecz czasem dodawał: „A jednak jest prawdą, że mając niezawisłe królestwo polskie i 150 tysięcy ludzi tam na Wschodzie, byłbym zawsze panem Rosyi, Prus i Austryi". Po raz pierwszy bodaj poczynał on naówczas głębiej rozważać znaczenie sprawy polskiej, nietylko w bliższym jej stosunku do Austryi i Prus, lecz w najwalniejszym do dalekiej Rosyi. Albowiem coraz dobitniej poczynał uświadamiać sobie rozpierającą się bezkreśnie, następującą mu wszędzie na pięty, ogromną Rosyi potęgę. Z szerokim jej rozmachem był spotykał się w pustyniach Egiptu i Syryi. Teraz krwawe jej ślady odnajdywał na pobojowiskach Trebbii i Novi. Oglądał ją w obrazie suworowskiego wjazdu do swego Medyolanu. Z objęciem rządów konsularnych przystępując na własną rękę do politycznego porachunku z Europą, poczynał Bonaparte w całokształcie nowożytnych stosunków mocarstwowych liczyć się coraz bardziej z grozą prepotencyi rosyjskiej. Ale zatamowanie jej przez „baryerę polską" uważał za możliwe nieinaczej, jak tylko przy bezpośrednim spółudziale innego rozbiorowego mocarstwa. Istotnie, w jednem z najwcześniejszych

swych zleceń konsularnych dla Talleyranda, wskazywał potrzebę „skłonienia Prus do stanięcia na czele ligi północnej, celem nałożenia wędzidła niezmiernej ambicyi rosyjskiej". Trafiał tym sposobem na starą myśl wygrania Prus przeciw Rosyi za cenę korony polskiej.

Jednakowoż, daleki od tanich w tym względzie złud Dyrektoryatu, bystry i trzeźwy Pierwszy konsul nie miał żadnej wiary w urzeczywistnienie tej myśli, w gotowość Prus do przyjęcia takiej oferty i wdania się w przeciwrosyjską awanturę polską. Nie zamykał oczu na całą dotychczasową, skroś obosieczną, dwulicową politykę pruską, trzymającą się wciąż na wygodnej linii środkującej pomiędzy Francyą a Rosyą. Zaś przez Sieyèsa, dobrze obeznanego z tą taktyką berlińską z czasów swej ambasady tamecznej, umocniony był w największej pod tym względem nieufności. Natomiast przez Talleyranda wtajemniczony był w dawniejsze próby porozumienia się z Rosyą, ku czemu, wobec dostrzegalnych już objawów ochłodzenia austro-rosyjskiego, zdawały się większe niż kiedykolwiek otwierać widoki. Owóż w tym mianowicie kierunku poczęły teraz do Konsulatu napływać projekty, wręcz przeciwne z ducha projektowi Bonneau, a podobnież biorące za punkt wyjścia sprawę polską. Tak więc, jeśli, wedle Bonneau, ta sprawa w stosunku do Rosyi miała być orężem, to wedle tych projektowiczów—gałązką oliwną. Nasampierw tedy płodny Guttin wystąpił znowuż z memoryałem, doradzającym przymierza francusko-rosyjskiego, na zasadzie odbudowania Polski w granicach przedpodziałowych, pod W. Księciem Konstantym, z wyłączeniem atoli raz na zawsze unii Polski z Rosyą. „Konstanty, zostawszy królem polskim, tem samem stanie się Polakiem, i wpływ rosyjski równie niegroźnym będzie dla Polski, jak francuski dla Hiszpanii po wojnie sukcesyjnej i osadzeniu Bourbona na tronie madryckim". Nadto Rosya, za wydanie Litwy z powrotem do Polski, zostałaby odszkodowaną przez podział Turcyi, oraz

zachęconą do wyprawy przeciw posiadłościom angielskim w Indyach. Prusy natomiast, za stratę swego działu polskiego, otrzymałyby wynagrodzenie na Szląsku austryackim, w Hanowerze i miastach hanzeatyckich. Z kolei dwuznaczny Wojciech Turski, spiknąwszy się z Guttinem, podał pismo, przejęte niemal dosłownie z jego memoryału, wprost na ręce Bonapartego. Sarmata-jakóbin akurat tak samo doradzał „szukać pokoju na północy", w porozumieniu i aliansie z Pawłem, przez oddanie tronu polskiego W. Księciu Konstantemu. Obadwaj, Guttin i Turski, szli tu na rękę Talleyrandowi. Temu oczywiście nie chodziło zgoła o Polskę, niemającą go za co kupić: jemu chodziło o Rosyę, poczęści też o siedzącego tam pretendenta Ludwika XVIII i tajne możliwości restauracyjne. Jako główny podowczas, w zaraniu Konsulatu, informator Bonapartego w rzeczach polityki zagranicznej, pragnął Talleyrand skierować go na tory francusko-rosyjskiego porozumienia. Istotnie, w złożonym mu w tej mierze raporcie, ofiarował się, z pominięciem zawodnego pośrednictwa pruskiego, nawiązać wprost rokowania z Petersburgiem przez tamecznych emigrantów francuskich.

To wszystko nie pozostało bez pewnego wpływu na Pierwszego konsula. Jednakowoż wciąż jeszcze nie wyrzekał się on pierwotnych swych nastrojów wręcz przeciwrosyjskich. Zapewne też pod niejakim wpływem wywodów sasko-polskich z zapiski Bonneau, wyprawił wtedy zaufanego swego adjutanta, Lavalletta, z misyą wywiadowczą do dworu saskiego, do Drezna, nakazując mu w szczególności „informować się o wszystkiem, co się dzieje w Polsce". Co główna, Bonaparte nie wyrzekał się jeszcze bynajmniej stworzonego ongi przez siebie zbrojnego przedstawicielstwa Polski, legionów.

II.

Sprawa legionowa czerpała swą aktualność z przeważających narazie względów wojennych. Lecz z natury rzeczy sprzężona ze sprawą polityczną, najwięcej w polityce spotykała przeszkód. Kniaziewicz, przystępując de organizacyi legii naddunajskiej, zwrócił się do Berthiera z prośbą o pozwolenie wysłania oficerów do Polski, aby wieść o nowej formacyi na żołdzie francuskim rozpowszechniać między Polakami, branymi do rekrutacyi austryackiej i rosyjskiej. Zarazem, na osobiste życzenie Kościuszki, zwrócił się do Talleyranda z prośbą o pozwolenie wyprawienia wysłańców do związków patryotycznych polskich w kraju. Obiedwie te prośby poszły pod rozpoznanie ministeryum spraw zagranicznych Talleyrand, pomimo pozorów fałszywego spółczucia, zawsze w gruncie bardzo był dla Polski niechętny, a zwłaszcza teraz, kiedy mu ona w jego rosyjskich przeszkadzała widokach. To też w pisemnej opinii swojej dla Berthiera i konsulów, oświadczył się on stanowczo przeciw obu powyższym prośbom. Co więcej, wyraził zasadniczą wątpliwość względem samej „kwestyi niebezpieczeństwa, czy też pożytku, perspektywy odbudowania Polski". Godził się jedynie na takie dwuznaczne ustępstwo, iż Polakom, zaciągającym się do służby Republiki francuskiej, należy „zostawić perspektywę ewentualnej poprawy politycznego położenia ich kraju... i nie sprzeciwiać się w tym względzie ich nadziejom". Co najciekawsza, usiłowania reorganizacyjne w sprawie legionowej, podejmowane obecnie w Paryżu przez Kościuszkę, Dąbrowskiego, Kniaziewicza, spotykały się z pokątnemi przeszkodami ze strony rzekomo technicznie wojskowej; lecz

najniezawodniej również na głębszem tle tajnej, wrogiej, jeśli nie wprost zdradzieckiej, intrygi politycznej. Bruździł tu mianowicie, ile tylko mógł, wpływowy inspektor generalny armii, późniejszy słynny intendent generalny, Daru, utrudniając na każdym kroku, w najżywotniejszych sprawach budżetowych, żywnościowych, ubiorczych i t. p., urzeczywistnienie legii polsko-naddunajskiej i odrodzenie polsko-włoskiej. Był to napozór tylko sprężysty, niezmordowany administrator, służbista surowy i bezinteresowny, nieprzystępny i groźny gorliwiec, ślepe i wierne narzędzie Bonapartego i Napoleona, hojnie nagradzany przez niego za życia, hojnie obdarzony jeszcze w testamencie na św. Helenie, śród sług najwierniejszych, wybitny działacz napoleoński, potem poważny historyk. W rzeczywistości atoli był to podobno spryciarz nieprzenikniony, niedościgły, zamaskowany przez życie całe i aż długo po śmierci; był mianowicie jednym z głównych korespondentów i donosicieli będącej na żołdzie koalicyjnym, a w szczególności rosyjskim, tajnej agencyi Antraigua, i pospołu z Talleyrandem i pokrewną dwulicową kompanią przykładał się systematycznie do podkopania i zguby Francyi napoleońskiej. Daru, nieprzyjazny Polsce z zasady, później najnieżyczliwiej usposobiony dla Księstwa Warszawskiego, podobnież i teraz już należał do cichych, a tem szkodliwszych przeciwników wznowionej roboty legionowej polskiej.

Tymczasem, dzięki osobistemu poparciu Bonapartego, nastąpiło w ministeryum wojny pomyślne załatwienie rzeczy najpilniejszej, t. j. wojskowej organizacyi legii naddunajskiej Kniaziewicza. Ale dwie legie włoskie Dąbrowskiego, albo raczej ich szczątki, gdyż było tego wtedy razem niewięcej ponad 2 tysiące ludzi, pozostały w powietrzu. Właściwie podlegały one tylko ogólnikowej uchwale, powziętej pod koniec Dyrektoryatu, o wzięciu wszelakich obcych wojsk posiłkowych w czambuł na żołd francuski; lecz niczego nie postano-

wiono o ich liczbie, składzie, urządzeniu. W tej sprawie Kościuszko, w początku grudnia 1799 r., zwrócił się do nowego rządu, nie wprost jednak, lecz za pośrednictwem Talleyranda. Prosił o wycofanie legii włoskich z armii czynnej, dla nowej ich organizacyi, „która byłaby odpowiedniejszą na sposób francuski, podobnie jak w legii naddunajskiej". Pragnął też sprawdzenia obecnych list oficerskich, celem usunięcia „arbitralności i stronniczości". Były istotnie pewne szczegóły organizacyi wojskowej francuskiej, które jaknajbardziej trafiały do przekonania Naczelnika, a zwłaszcza przepisy o elekcyi oficerów, t. j. podporuczników z prostych szeregowców. Zaś właśnie gorącem Kościuszki było życzeniem, by „nie przez urodzenie, jak u cesarza i Moskali, ale (przez) zasługi, zdatność i łagodność,.,. każdy (miał) miejsce otwarte do awansowania na najwyższy stopień wojskowy". Wszakże ten krok Naczelnika, uczyniony pod adresem Talleyranda, w mylnem pojęciu o jego życzliwości, a z pominięciem Bonapartego i Berthiera, żadnych nie wydał owoców.

Wtem, z końcem roku, nadjechał do Paryża Dąbrowski. Usłyszał on na wstępie od Berthiera, iż rząd konsularny zna jedną tylko legię zorganizowaną przy Republice francuskiej, naddunajską. Powziął więc zrazu obawę, iż zamiarem jest rządu wcielenie do niej obu włoskich. Zwrócił się tedy po tygodniu z pismem do samego Pierwszego Konsula. Prosił „fundatora legionów" o ściągnięcie ostatków legii włoskich do Marsylii i udzielenie im tam środków reorganizacyjnych. Obowiązywał się przytem w ciągu czterech miesięcy postawić swój korpus na dawnej stopie przeszło 7 tysięcy ludzi i w gotowości do wyruszenia w pole. Nie odbierając atoli rezolucyi, wielce tem strwożony, a nieufny, najniesłuszniej zresztą, względem szczęśliwszego od siebie Kniaziewicza, udał się Dąbrowski po ratunek do Kościuszki

i skłonił go do wystąpienia w ważnej tej sprawie wprost do Bonapartego.

Kościuszko, jak się rzekło, wnet po powrocie Bonapartego z Egiptu poznawszy go osobiście, w grzecznym napozór, lecz naprawdę skroś nieufnym, do niego stanął stosunku. Wtem nastąpił zamach brumaira. Kościuszko chwilowo był wtedy nieobecny w Paryżu, gdyż w towarzystwie młodego przyjaciela, radykalnego Duńczyka emigranta, głośnego potem geografa i przyjaciela Polski, Malte Bruna, wybrał się właśnie w sam dzień zamachu, 18 brumaira, na wycieczkę do Wersalu. Wracając późnym dopiero wieczorem do Paryża, dowiedział się o dokonanym przewrocie. Zaraz też wówczas, pod świeżem wrażeniem, wobec Malte Bruna, wyraził najwyższe z tego powodu oburzenie, oraz przekonanie, że sprawca podobnego czynu, Bonaparte, nigdy niczego zbawiennego nie uczyni dla Polski. Miał wprawdzie Kościuszko przyjaciół osobistych w rządzie konsularnym, naprzód w prowizorycznym—konsula Ducosa, potem w stałym—konsula Lebruna. Ale na samego Bonapartego on wciąż się boczył. Sam wierny ideałom czystej cnoty republikańskiej, potępiał w spełnionym przezeń zamachu stanu widome dzieło ambicyi i gwałtu. Pod okrywką Konsulatu jasno dostrzegał samowładztwo jednego człowieka, nowego Cezara, kroczącego do tronu. Trwał przy złożonej świeżo przez siebie dla Polski, a teraz właśnie, wręcz naopak, znoszonej dla Francyi przez Bonapartego, przysiędze „na nienawiść królom". Był teraz Kościuszko głównie otoczony Polonią raczej radykalną, związaną z pokrewnemi żywiołami paryskiemi, poczęści z poprzednim rządem, a przez obecny zgoła wytrąconą za nawias. Żył także w otoczeniu przeważnie opozycyjnem francuskiem, gdzie pomstowano ze świętem oburzeniem na zbrodniczego sprawcę zamachu brumaira; a nie wiedział, że ten zamach był nie do uniknięcia, i że gdyby nie przez owego sprawcę, byłby niechybnie spełnio-

ny przez samychże pomstujących republikantów. Wzdrygał się demokrata Naczelnik na skrytą autokracyę konsularną i nadchodzącą jawną imperyalną; a nie widział, że bez niej, i bez ocalonych w niej jeszcze wielu zdobyczy rewolucyjnych, byłoby doszło niezawodnie do najzacofańszej restauracyi rojalistycznej. W Pierwszym konsulu widział Kościuszko jedynie uzurpatora, widział zabójcę i grabieżcę Republiki, choć on był tylko jej grabarzem i dziedzicem.

W następstwie, przestrzeżony przez Fouchégo, umiejącego, jak wspomniano, udaną poczciwością byłego rewolucyonisty wkraść się w jego zaufanie, Kościuszko tę opozycyę swoją, z najczystszych, acz poczęści nietrafnych, krótkowzrocznych płynącą pobudek, w milczącym jeno objawiał sposobie. Ale teraz, w początkach Konsulatu, odkrywał ją bez obsłonek, z całą otwartością republikańską. Tak np., razu jednego, na uczcie u konsula Lebruna, gospodarz, odwołany chwilowo do Bonapartego, za powrotem stamtąd do swych gości, „z wesołą twarzą, przed wszystkimi licznie obecnymi, głośno i z przyciskiem zawołał do Kościuszki: „Czy wiesz, generale, że Pierwszy konsul mówił o Tobie?". „A ja—odpowiedział wręcz Kościuszko, odwracając się tylko głową, — ja nie mówię nigdy o nim". Chodził pierwotnie niekiedy Kościuszko na ogólne audyencye do Bonapartego, rezydującego po brumairze naprzód w pałacu Luksemburskim, potem w Tuileryach. Chodził opornie, w palących sprawach legionowych, ciągany tam z trudem przez Kniaziewicza. Na tych niemiłych sobie audyencyach, wedle świadectwa Kniaziewicza, Kościuszko „był bardzo grzeczny, kłaniający się, potulny i najczęściej miał minę ubogiego, niepoczesnego szlachcica"; ale zbyt wyraźnie biła od niego nieprzejednana, ledwo tajona niechęć. To też ze swej strony, odwetowo, już poczynał boczyć się na niego Bonaparte, i „zbliżając się do nich, zwykle mówił do Kniaziewicza tylko, nie zwracając uwagi na Kościuszkę".

Zwierały się tu i odstręczały od siebie przeciwieństwem najjaskrawszem dwie biegunowo odmienne indywidualności duchowe. Czuł Bonaparte wyższość moralną Kościuszki, czuł niemy wyrzut w szanownej postaci Polaka, co naczelnictwo i dyktaturę w swoim narodzie wziąwszy zamachem miłości i poświęcenia, nie siły i ambicyi, pozostał nazawsze, nietylko dla Polski, lecz dla świata, szlachetnym symbolem bezinteresownej cnoty publicznej i niezbrukanych żadnemi postronnemi względy świętych haseł wolności narodowej i ludzkiej. A czuł też, pomimo czynionych przez siebie pierwszych ku niemu kroków, niezmożoną, uchylającą się, cichą, zawziętą jego odporność litewską. Odpowiadał na nią dumą samowiedną nieskończenie wyższego, światowego geniuszu i potęgi. Kościuszko, „czując się równym jemu we wszystkiem", a zapatrzony w same tylko ujemne jego rysy moralno-polityczne, zamykał oczy na jego zjawiskową względem siebie niewspółmierność, na wielkość dziejowego jego powołania. Zacinał się też w bezwzględnem do Bonapartego uprzedzeniu i w bezwzględnej z góry niewierze, aby od niego kiedykolwiek wyjść mogło dobro dla Polski.

Czyniąc zadość naleganiom Dąbrowskiego, Kościuszko w memoryale, podanym Bonapartemu w połowie stycznia 1800 r., odezwał się w obronie zagrożonych dwóch legii polsko-włoskich. Wykazywał niepodobieństwo utopienia ich w jednej naddunajskiej i prosił o zreformowanie ich, o ile nie dałoby się utrzymać w komplecie wszystkich trzech legii, przynajmniej pod postacią odrębnej legii włoskiej. Berthier, do którego z podobnym wnioskiem zwrócił się równocześnie Dąbrowski, poparł go w Konsulacie. W rzeczy samej, odpowiadało to intencyom rządu; gdyż wprawdzie nie chciano zachować obu legii włoskich, już z uwagi na podupadły liczebnie ich stan czynny, lecz nie chciano też znosić ich w zupełności. Ze swej strony również i Knia-

ziewicz, acz nienajlepiej wtedy z Kościuszką, a podejrzewany bezzasadnie o spółzawodnictwo przez Dąbrowskiego, energicznie poparł jego sprawę u Bonapartego i Berthiera. Sam zresztą, pod koniec stycznia, śladem nowego swego wodza, Moreau, będącego już przy armii reńskiej, musiał wyjechać z Paryża do swej legii. Lecz jeszcze na samem wyjezdnem, w piśmie do Dąbrowskiego, z otwartością rycerską, godną ich obu, Kniaziewicz niezasłużone odtrącał posądzenia i czystość wzajemnego przywracał stosunku.

Już w początku lutego 1800 r., w myśl pisma Kościuszki, zapadła uchwała konsulów, stanowiąca utworzenie z obu włoskich dotychczasowych, starych, jednej nowej legii, z miejscem zakładowem w Marsylii, jako pierwszej legii polskiej na żołdzie Republiki francuskiej, na wzór drugiej, naddunajskiej. Uchwała załatwiała rzecz dopiero w zasadzie, nie wchodziła w szczegóły; lecz choć była stosunkowo znacznym sukcesem, nie usunęła przecie bynajmniej trosk Dąbrowskiego. Przeciwnie, był on z wielu względów mocno nieukontentowany, a nawet ciężko strapiony. Jeszcze krótko przedtem, na obiedzie u Berthiera, słyszał od niego, iż „na przyszłą kampanię potrzeba nam będzie ze 20 tysięcy Polaków", i już gotów był łudzić się nadzieją „niebawem odebrać rozkaz maszerować do Polski". A tymczasem uchwała lutowa obcinała go, z posiadanych uprzednio w obu legiach włoskich sześciu batalionów, a wraz z dorobionemi w Neapolu aż z ośmiu, do czterech tylko batalionów piechoty, ze słabą artyleryą i jazdą, ściśle według organizacyi naddunajskiej. Nie był Dąbrowski wcale zbudowany tą ostatnią organizacyą, i to dla innych jeszcze powodów. Nie bez zasady upatrywał on w niej osłabienie narodowej odrębności legii, pod względem stroju, odznak, reglementacyi. Pozatem zaś najwięcej trapił się niepodobieństwem umieszczenia mnóstwa zasłużonych oficerów, zarówno nadliczbowych, jakoteż

oczekiwanych z niewoli austryackiej, w skurczonych tak dotkliwie kadrach. „Organizacya sprowadza nieszczęście najstraszniejsze dla nas, — pisał w wielkiem wzburzeniu do Kniaziewicza — bo 117 oficerów i największą część sztabsoficerów niszczy zupełnie, i batalion artyleryi, oraz znaki polskie, które utrzymywały charakter narodowy i pamięć ojczyzny". Mówił nawet o zamiarze zupełnego porzucenia służby, o ile nie udałoby się uzyskać niezbędnych poprawek. W dodatku nienajmniej gryzł się Dąbrowski widokiem wielu wybitnych swoich oficerów, śpieszących przechodzić od niego do szybko kompletowanej nowej legii naddunajskiej. Nie mógł też wyzbyć się niejakiej spółzawodniczej wobec fortunnego jej szefa, Kniaziewicza, niechęci. To też sam oddając się teraz ostentacyjnie pod opiekę Kościuszki, korzystał Dąbrowski z ochłodzenia stosunków między Naczelnikiem a niedawnym jego ulubieńcem, i nie był pod tym względem bez winy, gdyż raczej przykładał się do odstręczenia Kościuszki od Kniaziewicza. Z drugiej strony, Barss, dotknięty opuszczeniem swego dachu przez „Zygmunta", jak w korespondencyi poufnej nazywał Naczelnika, przekraczając nieraz dozwoloną miarę rozgoryczenia i krytyki, a bliżej w tym czasie trzymając się sztabu legii naddunajskiej, ponosił przeciwnie winę odstręczania Kniaziewicza od Kościuszki. Ale, koniec końcem, znów winną była najwięcej trucizna wygnania i narodowej niedoli, niecąca takie kwasy w takich ludziach najzacniejszych, najwyborniejszych Polakach. Zaraz w końcu lutego 1800 r., podał Dąbrowski Berthierowi projekt naprawienia dekretu konsularnego o swojej legii. Ofiarował się mianowicie całą „ruderę kawaleryi" swojej, wraz z artyleryą konną, odstąpić legii naddunajskiej, a natomiast żądał dodatkowo dla siebie trzech batalionów piechoty i pełnego batalionu artyleryi pieszej. Poczynił też usilne starania o częściowe chociażby przywrócenie szczegółów narodowych w stroju legionowym,

zabezpieczenie inwalidów polskich i t. p. Zabiegał we wszystkich tych materyach z cechującą go cierpliwą i czujną natarczywością. Nietylko nękał Berthiera i kołatał bezustanku do biur ministeryalnych, ale co główna, umiał trafić do samego Bonapartago, z którym każdego piątego dnia dekady, po paradzie, widywać się i mówić miewał sposobność.

Ku osobie Pierwszego konsula, nazajutrz po opanowaniu przezeń naczelnej władzy rządowej, a w przededniu oczekiwanych od niego wielkich czynów wojennych, zwracały się, rzecz prosta, oczy całej legionowej gromady polskiej. „Wawrzyniec", albo popularniej „Wawrek", jak od jego laurów ochrzcili go wtedy między sobą oficerowie legionowi, trzymał wszak obecnie w ręku losy ich wszystkich, a zarazem, tak przynajmniej im się zdawało, losy ich kraju. Bonaparte w rzeczy samej, jak się rzekło, nie zamykał oczu na europejską doniosłość sprawy polskiej pod względem czysto przedmiotowym. W pewnej mierze zachował też pod względem osobistym dawną dla Polaków i broni polskiej życzliwość. Nawet w odpornej wobec siebie postawie Kościuszki musiał uszanować pobudki podniosłe i cnotliwe. Przy częstszem teraz obcowaniu lepiej ocenił i polubił piękną prawość rycerską Kniaziewicza, nieznużoną czynność wytrawną Dąbrowskiego. Znał dobrze tęgość żołnierza, ofiarność oficera polskiego. Wyczuwał górne rysy polskiego charakteru narodowego. Odnajdywał je niekiedy aż w jakiejś przelotnej, drobnej iskierce. Kiedy temi właśnie czasy, w początku Konsulatu, zwiedzał szkoły paryskie, zwrócił się do niego w tutejszem Prytaneum francuskiem młodziutki studencik Miączyński, syn ściętego generała, z prośbą o przyjęcie do armii w stopniu oficerskim na najbliższą kampanię, co mu też przyrzeczonem było, lecz jakoś w biurach poszło w odwłokę. Gorący chłopak, mieniąc się zapomnianym, strzelił do siebie, a w pozostawionem piśmie do Bonapartego wyraził, iż

„nie chce żyć pod rządem, którego naczelnik nie dotrzymuje danego słowa". Uderzony był tym wypadkiem Bonaparte: „ci Polacy — odezwał się z tego powodu — to honor wcielony", to dusze tego samego, co Sułkowski, zakroju. Nie myślał jednak udzielać przyrzeczeń politycznych, o których niewykonalności z góry był przekonany. Nie widział w tem żadnego celu, co dla takiego, jak on, realisty było względem kardynalnym; żadnej dla siebie nie widział korzyści; owszem, namacalną upatrywał szkodę, utrudnienie sobie z góry wyjścia z czekającej go ogromnej rozprawy wojennej. Ta rozprawa przed nim otwierała się dopiero, i to w bardzo ciężkich, niepewnych warunkach. Wyniku jej nikt nie mógł przewidzieć. Na wszelki wypadek rad był Bonaparte mieć w niej do rozporządzenia również i broń polską, tembardziej, że ona ofiarowała się sama, i to na warunkach jaknajmniej obowiązujących, ułożonych za poprzedniego rządu Ale wolałby tę broń trzymać raczej w odwodzie, nie użyć jej osobiście i nie brać przez to odpowiedzialności za nieziszczalne jej nadzieje. Na tym, bądźcobądź dwuznacznym dylemacie, pomiędzy wstrętem do udzielenia fałszywej ułudy politycznej, a chęcią udzielenia szczerej pomocy militarnej, polegał obecny stosunek Pierwszego konsula do agitujących się spraw legionowych.

Tymczasem, w początku marca 1800 r., Dąbrowski, w towarzystwie wszystkich przytomnych w Paryżu oficerów polskich, udał się do Tuileryów, dla zbiorowego wystawienia Bonapartemu najgłówniejszych swych żądań względem zmian w świeżej, lutowej uchwale konsularnej o legionach. Bonaparte przyjął go jaknajlepiej, wysłuchał życzliwie czynionych sobie przełożeń i przyrzekł zlecić Berthierowi ostateczne w tym duchu załatwienie interesu legii włoskiej. W długiej z tego powodu z Dąbrowskim rozmowie, wychwalał zalety żołnierza polskiego i podnosił z uznaniem, iż w przeniesionej do Metzu legii Kniazie-

wicza już do 3 tysięcy zebrało się ludzi. Jakoż istotnie, już w tydzień potem, 13 marca 1800 r., zapadła nowa uzupełniająca uchwała konsularna o legii polskiej we Włoszech. Wydana poufnie, nie przeznaczona do ogłoszenia drukiem, w najzwięźlejszej z rozmysłu redakcyi zarządzenia czysto technicznego, przenosiła ona jazdę do legii naddunajskiej, zaś legię włoską, kasując w niej także artyleryę konną, podnosiła do siedmiu batalionów piechoty i jednego artyleryi pieszej w pięciu kompaniach. Tym sposobem stało się zadość głównym życzeniom Dąbrowskiego. Właściwie zyskiwał on ponad wszelkie spodziewanie, wychodził ponad dawny swój etat dwulegionowy, gdyż przy obecnej sile batalionowej, na miarę naddunajską, był uprawniony do skompletowania nowej swej legii włoskiej aż prawie do 9 tysięcy ludzi. Nie poprzestał przecie na tem Dąbrowski. Na gorąco, tegoż samego dnia, zwrócił się do Bonapartego z krótkiem pismem, mieszczącem dwie prośby arcyważne: aby zakład legionowy przeniesiony został z Marsylii do Dijonu; i aby tym sposobem legia, przechodząc z armii włoskiej Masseny do rezerwowej Berthiera, mogła walczyć pod bezpośrednią komendą Bonapartego. Mądrze planował to Dąbrowski. Gdyby i tej jego prośbie stało się zadość, byłaby jego legia dzieliła zwycięstwo Marenga. Ale tutaj spotkał się z odmową. Bonaparte, dla wskazanych pobudek natury politycznej, legii polskiej pod swemi rozkazami w pierwszej linii bojowej mieć nie chciał. Pozostać tedy wypadło przy zakładzie marsylskim i dowództwie Masseny.

Udało się natomiast Dąbrowskiemu załatwić pomyślnie niektóre inne, leżące mu na sercu sprawy. Wymusił jeszcze na Berthierze pewne poprawki w umundurowaniu swej legii, wbrew niwelującym przepisom poprzednim dla naddunajskiej. Wymógł mianowicie barwę trójkolorową polską dla swej piechoty; wyprosił „coś zielonego" dla swej artyleryi. Wystąpił również do ministra z waż-

nym wnioskiem ogólniejszym, w celu zamknięcia raz nazawsze przystępu do armii niepowołanym, w rodzaju Chadzkiewicza, Neymana i t. p., żywiołom, a najpewniej także w celu uporządkowania obsady oficerskiej w obu organizujących się legiach, bez krzywdy dla żadnej z nich, bez ujmy zwłaszcza dla starej formacyi włoskiej na rzecz nowej i popularniejszej teraz naddunajskiej. Wnosił tedy ustanowienie jednego bezstronnego i bezinteresownego „punktu środkowego" *(point central)* spraw legionowych, w osobie Kościuszki, jako uznanej powszechnie głowy narodu i oręża polskiego. Odtąd wszyscy oficerowie polscy, szukający umieszczenia w legiach, mieliby z urzędu wprost na ręce Kościuszki składać swe przedstawienia i dowody, które on następnie z opinią swoją przekazywałby do ministeyrum wojny. Również i paszporty i marszruty wyjezdne miałyby być wydawane nieinaczej, jak po zgłoszeniu się do Kościuszki i otrzymaniu od niego stosownego zaświadczenia. W tym czasie, pod koniec marca 1800 r., Kniaziewicz ze swej kwatery w Metzu wpadł na dni kilka do Paryża celem przyśpieszenia patentów, broni i mundurów dla swojej legii. Równocześnie Berthier, powołany do komendy armii rezerwowej, ustąpił z ministeryum. Tekę po nim objął Carnot, wrócony z fructidorowego wygnania dzięki przewrotowi brumaira, i zaraz posunięty przez Bonapartego na wydatne stanowisko w wydziale wojennym. Wniosek Dąbrowskiego niezwłocznie, w początku kwietnia, wprowadzony został w wykonanie, aczkolwiek z pewnem ograniczeniem. Zarządzono mianowicie, iż oficerowie polscy, zamieszkali w departamencie Sekwany i okolicznych, referować się mają do Kościuszki; iż natomiast zamieszkali bliżej Metzu albo Marsylii mogą udawać się bezpośrednio do Kniaziewicza albo Dąbrowskiego.

Mimo to Kościuszko pozostał oczywiście sercowym „ośrodkiem" rzeczy legionowych. Z posłuszeństwem sy-

nowskiem zgłaszali się do niego młodzi oficerowie. On z ojcowską miłością opiekował się ich losem. Poumieszczał wtedy w legiach wielu ludzi zacnych a nawet niepospolitych. Tak, między innymi, podówczas to, wiosną 1800 r., zgłosił się do niego późniejszy genialny matematyk i myśliciel, Wielkopolanin Józef Hoene-Wroński, niegdy przy jego boku oficer artyleryi na Czystem i pod Maciejowicami, który, skuszony potem protekcyą Suworowa i służbą rosyjską, opuścił ją obecnie, przywędrował do Paryża, ze skruchą, „wyspowiadał swoje grzechy" przed Naczelnikiem, i jako młodzieniec „wiele nauki mający", polecony był przez niego Dąbrowskiemu w stopniu porucznika na adjutanta artyleryi legii włoskiej. Kościuszko unikał wprawdzie dotychczas bezpośredniego odwoływania się do Berthiera, jako prawej ręki Bonapartego. Zawsze jednak cieszył się należnym sobie wysokim szacunkiem w ministeryum wojny. Miał tam zresztą, jak wspomniano, jeszcze z czasów rewolucyjnych, starego przyjaciela, Arçona, słynnego inżyniera i pisarza wojskowego, teraz wpływowego członka Senatu i Rady wojennej. Zwłaszcza zaś od chwili objęcia ministeryum wojny przez Carnota, z którym również dawniejsze łączyły go stosunki, nie omieszkiwał Kościuszko udawać się wprost do niego w bieżących sprawach legionowych. Czynił to zawsze z bezstronnością wyższą ponad wszelkie zatargi wewnętrzne, z pieczołowitością jednakową dla obu legii, Dąbrowskiego i Kniaziewicza. Obiedwie tymczasem na wyścigi organizowały się i gotowały do wzięcia czynnego udziału w podejmowanych już na całym froncie krokach wojennych. Pierwsza, rozrzucona po Rivierze, z zakładem w Marsylii, mocno jeszcze szarpnięta po ostatnich ciężkich przeprawach, wybierała się na wznowione walki wiosenne we Włoszech. Druga, z Metzu, jeszcze w młodych swych kadrach niewykończona, już wyruszała na wielką kampanię w Niemczech.

W rzeczy samej, wojna w pełnym już była toku na obu terenach, południowo-niemieckim i północno-włoskim. Offensywa armii reńskiej, nakazana przez Bonapartego w końcu marca, podjętą została z pewnem opóźnieniem w końcu kwietnia 1800 r. Moreau, przekroczywszy Ren, w bitwie pod Stockachem i dalszych pomyślnych potyczkach, zepchnął armię austryacką Kraya aż za Ulm, i posuwał się zwolna, lecz skutecznie, naprzód w ciągu najbliższych miesięcy wiosennych, operując nieco ociężale, urywkowo, ze staroświecką rozwagą, ale ze stałem naogół powodzeniem. Fatalny natomiast obrót wzięły rzeczy we Włoszech. Massena, wystawiony na atak dwakroć liczniejszych wojsk austryackich Melasa, wnet sam odcięty z prawem skrzydłem szczupłej swej armii, pod koniec kwietnia zablokowany został w Genui. Po upornej obronie, przy udziale też paruset Polaków, zmożony głodem, posiwiały podobno w ciągu tych kilku tygodni pomimo żelaznej swej energii musiał w początku czerwca 1800 r. poddać miasto Austryakom, na dość zaszczytnych zresztą warunkach konwencyi, nie kapitulacyi, wyprowadzając załogę francuską z bronią w ręku do Francyi. Po zamknięciu Masseny w Genui, jego szef sztabu Suchet dotrzymywać musiał pola z resztkami stopniałej do paru już tylko dywizyi armii włoskiej. Znalazły się tu również, w dywizyi generała Garniera, pozostałe jeszcze w szeregu znędzniałe szczęty legii Dąbrowskiego, około tysiąca zaledwo ludzi, pod szefem batalionu Białowiejskim. Brakło bowiem zgoła na tym froncie generałów legionowych, gdyż Dąbrowski był jeszcze w Paryżu, Kniaziewicz nad Renem, Rymkiewicz w ziemi, Wielhorski w niewoli, a jedyny przytomny Jabłonowski, „wyrzekając się Polaków", wolał wziąć komendę brygady francuskiej. Suchet, ze szczupłemi swemi siłami, wyparty przez Melasa aż za Nizzę, nad Var, manewrował z wielką biedą, albo raczej wywijał się nieprzyjacielskiej przewadze, grożącej już wtargnięciem z tej strony do serca Francyi.

Wobec podobnych warunków, rzeczą niecierpiącą zwłoki stawała się obecność samego Bonapartego we Włoszech. Nie przychodziło mu to łatwo. I tym razem, jak niemal zawsze, późniejszy świetny jego sukces przesłonił istotne skryte trudności i niebezpieczeństwa śmiertelne. Nie wybrnął jeszcze Pierwszy konsul z fatalnych skutków nędznej gospodarki dyrektoryalnej. Z dużym też kłopotem zbierał teraz armię rezerwową, liczącą dopiero niewiele ponad 40 tysięcy ludzi. Nie był jeszcze naprawdę panem wszechwładnym, i dla wyproszenia sobie niezbędnych posiłków od Moreau, musiał dopiero posyłać mu jego osobistego przyjaciela, Carnota, do kwatery głównej reńskiej. Ale zwlekać dłużej nie mógł i w początku maja 1800 r. opuścił Paryż, udając się do armii rezerwowej. Zostawiał zbierającą się za jego plecami w stolicy, natychmiast po jego wyjeździe, utajoną konspiracyę najpierwszych w rządzie ludzi, czekających tylko pośliźnięcia się jego w kampanii, aby wywrócić go i zgubić. Tak będzie odtąd za każdym razem, ilekroć on wybierać się będzie na wyprawę wojenną. Jak teraz w 1800 r., tak samo potem, w 1805, 1806, 1809, 1812, 1813 r., rachować się będą w Paryżu z otwartą zawsze możliwością jego porażki, jeśli nie nagłego bitewnego zgonu, i budować na tem tajne widoki nowego porządku rzeczy, aż nie wybije nareszcie, w 1814 r., godzina ziszczenia tych rachub i widoków. To był skutek konieczny nieustatkowania potęgi, stojącej nie na odwiecznej podwalinie dynastycznej, lecz na wysiłku, choćby najogromniejszym, jednego człowieka. To był też zawsze nienajmniejszy ciężar i hamulec, śród wielu innych, przytłaczających i krępujących światowe jego przedsięwzięcia.

Tymczasem Bonaparte, w drugiej połowie maja, 1800 r., wzorem, jeśli nie szlakiem hannibalowym, przebywszy niedostępne wyżyny alpejskie, najniespodziewaniej spadł z armią swoją do Piemontu. Natychmiast ruszył

stąd dalej ku Lombardyi, roztrącając napotykane oddziały Austryaków, śpiesznie wstecz ściągających się na jego przyjęcie. W początku czerwca, witany tryumfalnie, jak przedtem Suworow, wszedł do oswobodzonego powtórnie Medyolanu. Wprawdzie nie zdążył już na czas z odsieczą dla Masseny, ale w dni niewiele wziął srogi za niego odwet. W połowie czerwca 1800 r. zderzył się na polach Marenga z główną armią Melasa, i po walce nadzwyczaj krwawej i zmiennej, sam zrazu zaskoczony atakiem liczniejszego przeciwnika i całkiem już rozbity, szczęśliwym w ostatniej chwili obrotem rzeczy świetne odniósł zwycięstwo. Legioniści polscy, którym nigdy dotychczas nie była daną upragniona okazya walczenia w masie bezpośrednio pod okiem generała Bonapartego, którym następnie, za cesarza Napoleona, taka okazya wymknie się jeszcze pod Austerlitzem, a nadarzy się dopiero po raz najpierwszy, w najlepszym i najzdrowszym sposobie, w pierwszej kampanii polskiej, pod Friedlandem, nie mieli również możności wzięcia udziału w niniejszej, jedynej batalii Pierwszego konsula na bojowisku Marenga. Znaleźli się tu jedynie w armii francuskiej, jako przygodni uczestnicy sztabowi, Wołodkowicz i Laroche. Zaś niestety i tym razem pełno znowuż polskiego żołnierza bić się tu musiało po stronie przeciwnej, zwłaszcza w pułkach kawaleryjskich austryackich, których impetyczna szarża najmocniej zachwiała zrazu Francuzów i omal nie wydarła im zwycięstwa. Przy samym nawet boku Melasa odznaczył się walecznością ulubiony jego adjutant, major huzarów cesarskich, Aleksander Sułkowski, brat przyrodni rozszarpanego pod Kairem Józefa.

Jednakowoż Bonaparte zdobytą prawie cudem wygranę Marenga drogo musiał okupić. Stracił tu blisko trzecią część całej swej armii; a był i nadal liczebnie wciąż słabszy od wojsk austryackich we Włoszech. Skorzystał też skwapliwie z chwilowej paniki nieprzyjacie-

la dla zawarcia zaraz nazajutrz dogodnego zawieszenia broni dla Włoch, bez ujmy zresztą dla operacyi w Niemczech. Mocą tego mądrego rozejmu obowiązywał on Austryaków do opróżnienia ledwo zdobytej Genui, całej Cyzalpiny i wycofania się aż za Mincio, przez co jednym zamachem przekreślał całoroczne ich przewagi i korzyści na półwyspie. Powróciwszy do Medyolanu, w ponownem piśmie do cesarza Franciszka z pokojową oświadczył się gotowością, ofiarując mu powrót polubowny do paktów campoformijskich. Zarazem szybko zajął się przywróceniem zmartwychwstałej Republiki cyzalpińskiej. Ustanowił dla jej reorganizacyi Konsultę prawodawczą, pod przewodnictwem byłego ministra Petieta, jako pełnomocnika francuskiego. Zaprowadził też w Medyolanie Komisyę rządzącą tymczasową, pod prezydencyą Melziego, zamienioną następnie na mniejszy Komitet rządzący. Wreszcie, zdawszy Massenie dowództwo nad złączoną armią rezerwową i włoską, w dziesięć dni po Marengu popędził do Paryża, gdzie stanął z powrotem już w początku lipca. Całą kampanię w kilka zaledwo odbył tygodni. Śpieszył się tak bardzo, bo nie był pewnym Paryża, gdzie nad jego pracowano zgubą, bo nie był jeszcze bynajmniej pewnym swej władzy, którą zdobył przemocą i podstępem, i tak samo mógł stracić. Dla ustalenia jej, po wielkiem a niezbędnem zwycięstwie, teraz z kolei niezbędnie trzeba mu było pokoju. Nie mógł ani sam dalej zwyciężać, gdyż jeszcze ryzykowałby zbyt wiele przez dłuższą w stolicy nieobecność; ani też zwyciężać zanadto przez innych, gdyż w ten sposób groźnych hodowałby sobie spółzawodników. Nigdy on wojny dla samej nie prowadził wojny. Ale nigdy bodaj tak mocno nie pożądał pokoju, jak właśnie w porze niniejszej, wracając z Marenga. Odtąd to właściwie polityk wygórował w nim nad generałem.

Tak więc, niezwłocznie po powrocie do stolicy, witany tryumfalnie z powodu odniesionego piorunującego zwycięstwa, lecz bynajmniej tem nie zaślepiony, Pierwszy

konsul spowodował zawieszenie broni, w połowie lipca, również i między Moreau a Krayem, na teatrze wojny niemieckim. Z przybyłym do Paryża wysłańcem pełnomocnym austryackim, Saint-Julienem, przywożącym wymijającą odpowiedź cesarską, wdał się zaraz w rokowania pokojowe. Saint-Julienowi towarzyszył młody a przechytry major austryacki, hr. Neipperg, używany odtąd do misyi najdraźliwszych, jak teraz w Paryżu, tak później w Warszawie, a w którym nikt nie mógł przewidzieć przyszłego sukcesora Napoleona, drugiego małżonka cesarzowej Maryi-Luizy. Układni Austryacy zgodzili się tem łatwiej na wejście w rokowania pacyfikacyjne z Pierwszym konsulem, iż mieli sobie tajnie zlecone od Thuguta zyskiwać przez przedłużenie rozejmu jaknajwięcej na czasie dla zbrojeń. Już w końcu lipca 1800 r. podpisane też zostały w Paryżu preliminarze pokoju, na podstawie campoformijskiej. Były one w gruncie rzeczy, ze strony austryackiej, podobnym manewrem dylatoryjnym, jakim przed trzema laty miałyby zostać pierwotnie preliminarze leobeńskie. Były podobnież obliczone nietyle na pokój, ile na dalszą wojnę. Zaś jeszcze bardziej pod tym względem obecne układy paryskie austryackiego negocyatora, Saint-Juliena, po Marengo, imieniem pobitego cesarza Franciszka, w 1800 r., były podobne do późniejszych , po sześciu leciech, układów paryskich rosyjskiego negocyatora, Oubrila, po Austerlitzu, imieniem pobitego cesarza Aleksandra, w 1806 r. To też zupełnie tak samo, jak w następstwie formalnie zawarte w Paryżu preliminarze pokoju francusko-rosyjskiego, między cesarzem Napoleonem a Oubrilem, już z góry przeznaczone będą rozmyślnie na odmowę ratyfikacyjną petersburską, tak samo teraz, zawarte w Paryżu preliminarze pokoju francusko-austryackiego, między Pierwszym konsulem Bonapartem a Saint-Julienem, już z góry rozmyślnie były skazane na odmowę ratyfikacyjną wiedeńską. Równocześnie nawiązane były przez Bona-

partego zabiegi pokojowe pod adresem Anglii. Nie łudził się on zapewne co do ich skuteczności. W każdym razie, zwłasnych doświadczeń leobeńsko-campoformijskich znając wybornie krętą taktykę thugutowską, nie żywił zbytniej wiary w szczerość pokojową Austryi i zawczasu przewidywał odrzucenie przez nią preliminarzów paryskich. To też ze swej strony nie omieszkiwał zawczasu na taką ubezpieczyć się ewentualność. Tedy zawczasu, ponad głową Austryi i Anglii, w inną zupełnie mierzył stronę, zabierał się wygrać inny, walny atut polityczny: wyciągał rękę ku Rosyi.

III.

Położenie Rosyi, zarówno wewnętrzne jak zewnętrzne, wystawiało temi czasy obraz niesłychanego zamętu. Rozgrywał się tam ostatni akt burzliwych rządów Pawła, już nadciągał ponury ich kres. Coraz bardziej gmatwały się zdrowe a chorobliwe myśli i chcenia w zdegenerowanej duszy imperatora. Był on widomie spychany w przepaść przez własne zboczenia niezrównoważonej psychiki samowładczej. A był też tajnie podniecany do wybryków samowoli, podjudzany z rozmysłu, przez najbliższe otoczenie, pragnące zgubić go naprzód w opinii, jako tyrańskiego szaleńca, i następnie tem łacniej utrącić. Wkrótce stał się Paweł postrachem Rosyi, dziwadłem Europy. Arbitralnością bezprzykładną i nieobliczalną zraził sobie wierzchołki społeczeństwa rosyjskiego, szlachtę, magnateryę, generalicyę, biurokracyę, sługi przeszłego, przyszłego i nawet teraźniejszego panowania. Zraził sobie cerkiew prawosławną stosunkiem dziwacznym, nietyle przyjaznym, ile protekcyj-

nym, do kościoła rzymskiego. Zaciął się do ostateczności w upodobaniu do maltańskiego swego wielkomistrzostwa. Obranemu świeżo na *conclave* weneckiem papieżowi Piusowi VII ofiarował schronienie w Petersburgu. Zyskany osobiście przez niepospolitego o. Gabryela Grubera, Paweł nagle zlał swą opiekę na jezuitów połockich, przygarniętych ongi przez Katarzynę, po kasacie zakonu św. Ignacego. Domagał się natarczywie przywrócenia zakonu od Stolicy apostolskiej; oddał mu akademię wileńską i szkolnictwo w guberniach polskich, celem duchowego zjednoczenia ich z imperyum. Tak więc, osobliwszym sposobem, sam car pozwalał odradzać się starej, niewykorzenionej w Towarzystwie Jezusowem, possewinowej ułudzie połączenia obojga kościołów, nawrócenia Wszechrosyi.

Najgroźniejsze atoli powikłania Paweł przy własnem rodzinnem spotykał i zaostrzał ognisku. W następcy swoim, pierworodnym W. Księciu Aleksandrze, ciągle widział przeznaczonego sobie wolą nieboszczki matki zastępcę. Roztaczał baczność nieufną nad dworem wielkoksiążęcym, gdzie w rzeczy samej niewszystko w pospolitych odbywało się karbach. Przestrzeżony został, podobno najpierw przez wszechwiedzącego o. Grubera, o zachodzących tam bardzo niezwykłych stosunkach, o romansie młodziutkiej W. Księżny Elżbiety z Adamem Czartoryskim. Przecinając szaloną tę miłostkę, uprzedzając przewidywane już stąd skutki, Paweł nagle wyprawił Czartoryskiego na dalekie poselskie wygnanie, do dworu sardyńskiego. Z powodu drażliwego tego zajścia, musiał młody ks. Adam służyć odtąd we Włoszech dyplomatyczną asystą pogromcy legionów polskich, Suworowowi. Musiał następnie, wraz z królestwem sardyńskiem, chronić się aż gdzieś na południe półwyspu przed odgłosem gromów Marenga. Ale dzięki temu też włoskiemu swemu zesłaniu, uchroniony został od obecności przy niebezpiecznych powikłaniach i okropnych w koń-

cu przeprawach, gotujących się nad Newą. Przez swój przymusowy stąd wyjazd, jak ongi bliski jego powinowaty, stolnik Poniatowski, śród podobnych poniekąd romansownych warunków, odesłany stamtąd przed czterdziestoleciem, w przededniu zamachu na Piotra III, tak samo obecnie Czartoryski szczęśliwie uniknął asystowania przy zamachu na Pawła I. Albowiem w Petersburgu, tradycyjnym, nieuniknionym trybem, wnet rzeczy spiskową potoczyły się koleją. Czartoryski, przyjaciel Aleksandra i kochanek jego żony, tak dziwacznemi, podwójnemi węzły był wprawdzie najściślej zbliżony do pary wielkoksiążęcej. Pozostał nawet i nadal, z Włoch, w najtajniejszej z obojgiem, z W. Księciem i z Elżbietą, korespondencyi. Mimo to jednak nie był on zgoła wtajemniczony w poważne sprawy konspiracyjne, które Aleksander, znacznie od niego młodszy, lecz już znacznie trzeźwiejszy, prowadził samorzutnie z wytrawnymi w tych robotach Rosyanami.

Dwa były mianowicie, następujące po sobie spiski przeciw Pawłowi: pierwszy, nieudany, polityczny, wicekanclerza Panina, w 1800 r.; drugi, spełniony, wojskowy, generałgubernatora petersburskiego Pahlena, w 1801 r. Obadwa zrodzone były bezpośrednio z gwałtownego wewnętrznego napięcia, lecz uwarunkowane też pośrednio przez wpływowe sprężyny zewnętrzne. W szczególności pierwszy spisek był poczęty na tle ostrego przesilenia w polityce zagranicznej rosyjskiej, wynikłego już pod koniec 1799 r. W tym czasie zaznaczył się mianowicie zwrot nawskroś nieprzychylny w świeżym stosunku sprzymierzeńczym pomiędzy Rosyą a Austryą i Anglią. Stosunek sojuszniczy względem Austryi, nienaturalny w samym zarodzie i przeciwny osobistym nastrojom Pawła, jak zaznaczono, przeszedł szybko z serdeczności do chłodu, a wreszcie, pod wrażeniem klęsk rosyjskich w Szwajcaryi, zamienił się na gorzki żal i srogą pasyę. Jedyną nicią, łączącą dwory petersburski a wiedeński, pozostało

małżeństwo palatyna węgierskiego Józefa z W. Księżną Aleksandrą. Aliści niebawem stąd nawet najjadowitsze wynikły zatargi. Związek małżeński pobłogosławiony był w Gatczynie, w końcu października 1799 r., wedle obrządku obu kościołów, gdyż Paweł, pomimo rzekomych swych skłonności rzymskich, oczywiście ani słyszeć nie chciał o porzuceniu wiary prawosławnej przez ulubioną córkę. Ślubu katolickiego udzielił arcybiskup lwowski, Kicki, umyślnie przybyły w tym celu do Petersburga, w towarzystwie czterech kanoników i świty polskiej. Dało to zaraz pochop do pogłosek o odbudowaniu Polski przy Rosyi, co jawną było niedorzecznością, oraz o widokach rosyjskich na Galicyę, co miałoby pewną podstawę w zaznaczonych wcześniejszych wielkoksiążęcych pomysłach zaczepnych Pawła przeciw Austryi. W dodatku, skoro tylko młoda para zjechała z Petersburga do Pesztu, rozeszły się wieści o zgotowanem jej tam przez Węgrów nadzwyczaj gorącem przyjęciu, a zwłaszcza o niezwykłej popularności młodej palatynki śród tamecznej prawosławnej ludności słowiańskiej. Zaraz też zaczęto przebąkiwać o widokach rosyjskich na oderwanie Węgier. Było to znowuż w pewnej zgodzie z dawniejszemi w tej mierze poglądami Pawła. Nadomiar podobne pogłoski tem więcej dawały do myślenia i tem żywszą budziły podejrzliwość w Hofburgu wiedeńskim, iż na Węgrzech nurtowały wtedy istotnie prądy konspiracyjne, przed paru zaledwo laty krwawo stłumione przez Austryę. Te spiski i te represye, będące w niejakiej styczności z Galicyą, stanowiły też punkt wyjścia owych zaprzeszłorocznych pomysłów rewolucyjnych galicyjsko-węgierskich, o których poprzednio była mowa, poddawanych emigracyi polskiej w Paryżu przez rząd dyrektoryalny francuski. Obecnie rodziła się obawa, czyli, za pośrednictwem W. Księżny-palatynki, te dążenia powstańcze węgierskie nie poszukają sobie i nie znajdą oparcia w rządzie cesarskim rosyjskim. Przyłączały się

tu także tajne rozdźwięki czysto rodzinne między dworem petersburskim a wiedeńskim. Palatyn Józef, lubiany przez Pawła, nie był w łaskach u Franciszka, zawsze wielce podejrzliwego względem swych braci. Zaś palatynka Aleksandra, uderzająco podobna do swej ciotki austryackiej, nieboszczki cesarzowej Elżbiety, bardzo źle była widziana przez drugą żonę swego szwagra a wuja, cesarzowę Maryę-Teresę. Dość, że stosunek wzajemny dwóch sprzymierzonych dworów cesarskich stał się niebawem naprężony w najwyższym stopniu. Jednocześnie raptownemu pogorszeniu ulegał stosunek Rosyi do Anglii, zwłaszcza po porażkach broni rosyjskiej we wspólnej z Anglikami niefortunnej wyprawie do Holandyi. Na dobitkę, niebawem wynikł najdraźliwszy zatarg anglo-rosyjski o obleganą Maltę, która lada chwila z rąk francuskich wpaść musiała w angielskie, a o którą, jako o własność swoją wielkomistrzowską, bezwarunkowo upominał się Paweł. Wkrótce też nastąpiło odwołanie wszystkich wojsk rosyjskich z Zachodu. Równało się to faktycznie wycofaniu się Rosyi z koalicyi.

Położenie przedstawicieli koalicyjnych w Petersburgu, Cobenzla i Whitwortha, stawało się wręcz niemożliwem. Ostrożny Austryak znosił cierpliwie swe „męczeństwo petersburskie“, aż nie został stąd usunięty, prawie wyrzucony. Natomiast śmielszy Anglik, mając przez pieniądze i światową kochankę rosyjską bliższe wstępy za kulisy nadnewskie, wdał się w dojrzewającą tam awanturę spiskową. Szła wtedy w rządzie tamecznym walka zacięta między ambitnym i zdatnym mężem stanu, Paninem, powołanym przez cara z ambasady berlińskiej na wicekanclerstwo w Kolegium spraw zagranicznych, a sprytnym i nędznym dworakiem, Rostopczynem, zaufanym sekretarzem spraw zagranicznych przy osobie Pawła, a wnet prezesem tegoż Kolegium. Panin poszukał zbliżenia się z W. Księciem Aleksandrem; odważył się i potrafił wciągnąć go w pierwszy

spisek przeciw własnemu koronowanemu ojcu. Ale spisek, ułożony przez Panina, w porozumieniu z Whitworthem, nie dojrzał do wykonania. Co więcej, pono znów dzięki czujnemu o. Gruberowi, jakowaś o tym pierwszym spisku głucha do cara przeniknęła wiadomość. Nastąpiło brutalne przegnanie Whitwortha z Petersburga i zerwanie stosunków anglo-rosyjskich. Utrzymał się do czasu cudem zręczności Panin, lecz pochować głęboko musiał sprzyjające Anglii i koalicyi zamysły. Rostopczyn natomiast, skwapliwe narzędzie carskich na Austryę i Anglię gniewów, został tem samem obecnie głównym sternikiem gwałtownego nawspak zwrotu polityki carskiej. Ten zaś zwrot przeciwaustryacki i przeciwangielski z natury rzeczy pociągał Pawła w przyjaznym Francyi kierunku. Tym sposobem służbista Rostopczyn, przyszły, za Aleksandra, zajadły francuzożerca, stawał się tymczasem, za Pawła, gorącym francuzofilem, i jako główny obecnie kierownik polityki zagranicznej w Petersburgu, zapalał się do Bonapartego, którego potem w Moskwie będzie podpalał. W tem wszystkiem zaś najgodniejszą było uwagi rzeczą, iż niniejszy, tak gwałtowny zwrot napozór tylko wydawał się jakimś przygodnym, czysto osobistym wyrazem nieobliczalnej impetyczności Pawła. W rzeczywistości zaś był on wyrazem głębszych instynktów polityki rosyjskiej, żywiołowych jej wstrętów do Austryi i Anglii, na tle własnych dążeń zachłannych ku zachodniemu i południowemu słowiaństwu z jednej, a zdobyczom azyatyckim z drugiej strony, ku Bałkanom, Dardanelom, Indyom, ku bliższemu i dalszemu Wschodowi. W tem głębszem znaczeniu, Paweł samodzierżca, wyłamując się znienacka z koalicyjnego obozu i podając rękę sojuszniczą Francyi republikańskiej, pomimo całą swą anormalność duchową, stawał się mimowolnym wykładnikiem wyższego ponad jego zachciankę, mocarstwowego ciążenia Rosyi nowożytnej.

Rząd paryski w lot pochwycił tak pomyślną dla siebie konjunkturę petersburską. Talleyrand, przez zaprzyjaźnionych wielkopańskich emigrantów francuskich nad Newą, przez posłane tam ładne aktorki francuskie, a nienajmniej też przez sute łapówki, trafił do Rostopczyna oraz drugiego faworyta carskiego, uhrabionego balwierza, Kutaisowa. Co główna, Bonaparte umiał zręcznym gestem trafić do samego cara. W lipcu 1800 r., przystępując do niepewnych z Saint-Julienem układów, nagle zaofiarował Pawłowi bezinteresowne odesłanie jeńców rosyjskich, w liczbie około 6 tysięcy, znajdujących się we Francyi. Zarazem, w opinii publicznej i prasie paryskiej, wbrew mściwym dotychczas wstrętom do Suworowa i jego żołdactwa, barbarzyńskich zwycięzców z pod Trebbii i Novi, poczęła ostentacyjnie, z natchnień rządowych, występować pochlebna życzliwość dla Rosyi wogóle a Pawła w szczególności. Tak nawiązane zostało pierwsze zbliżenie między rządem konsularnym a carskim. Było to w samą porę, gdyż właśnie, jak było do przewidzenia, Thugut odmówił ratyfikacyi zawartych preliminarzy, zamykając dla pozoru w fortecy ich sprawcę, kozła ofiarnego Saint-Juliena. Zaproponował natomiast zbiorowe, kongresowe, o pokój powszechny układy w Lunewilu. Było to jakby drugie wydanie gry kongresowej rastadzkiej. Ale Bonaparte nie dał z sobą żartować. Natychmiast, z końcem sierpnia, wymówił zawieszenie broni i pchnął naprzód armię reńską Moreau. Tym sposobem wymusił ustępliwość Austryi, spowodował ostateczny upadek Thuguta oraz przysłanie jego następcy, świeżo wypędzonego z Petersburga, a znanego sobie z Campoformio, Ludwika Cobenzla, dla niezwłocznych rokowań pokojowych, do Paryża i Lunewilu. Wzamian za to, oraz za wydanie kilku ważnych fortec przez Austryaków, zgodził się, we wrześniu, na przedłużenie rozejmu aż do końca listopada 1800 r. Do tego czasu spodziewał się znacznie posunąć napoczęte z Pawłem stosunki

i tędy wywrzeć nacisk stanowczy na pacyfikacyę Austryi i losy Europy.

Jednakowoż realizacya rosyjsko-francuskiego zbliżenia postępowała pierwotnie bardzo wolno. Pomiędzy Paryż a Petersburg wpychał się, ile tylko mógł, obustronny przyjaciel, „uczciwy pośrednik", Berlin. Podobnież jak przedtem Dyrektoryatowi, tak teraz Konsulatowi, skwapliwie ofiarowały Prusy swoje usługi pośredniczące względem Rosyi. Szło im o dwie rzeczy. Szło naprzód o to, aby, pośrednicząc, możliwie odwlec i zepsuć sam cel pośredniczenia, związek francusko-rosyjski, zachowując sobie monopol sojuszniczych z Rosyą stosunków. Szło następnie o to, aby za takie osobliwsze pośrednictwo wziąć możliwie grubą zapłatę, zdobycz hanowerską i inne, hegemonię w Niemczech północnych. Brużdżąc w tym duchu w Petersburgu, rząd berliński nadomiar, w tejże dwoistej myśli mącenia i wyzysku, a zarazem dla zwichnięcia misyi pokojowej Cobenzla, w październiku 1800 r. na miejsce starego, zużytego Sandoza, wyprawił nowego posła do Paryża. Był nim zaś nikt inny, jeno stary Polaków znajomy, Lucchesini. Ale Paryż nie był Warszawą, ani Stanisławem-Augustem Bonaparte. Miał o tem na własnej skórze przekonać się Lucchesini. Przed trzema już laty, jak wspomniano, spotkał się on po raz pierwszy w Bologni z generałem Bonapartem. Teraz stawając przed Pierwszym konsulem, chciał zrazu familiarnie we włoskim doń przemówić języku, lecz ostro skarcony za ten nietakt, w należyte ujęty karby, z należną niewiarą i pogardą był odtąd traktowany przez Bonapartego, przenikającego równie dobrze i posła, i jego mocodawców. Co więcej, Lucchesini — który zresztą, ze starego przyzwyczajenia, nie zaniedbywał nad Sekwaną i w polskich węszyć i szkodzić sprawach,—zaraz wzięty tu został w troskliwą opiekę policyi paryskiej. Przekupiono jego służbę, podsunięto mu tajnego agenta na prywatnego sekretarza, wydostano jego cyfrę. Obnażono

szpetne jego i żony najskrytsze sekreta domowe i równie szpetne polityczne. Stale kopiowano i decyfrowano najpoufniejszą jego z Berlinem korespondencyę, która też w pięknych odpisach, przedstawianych regularnie Pierwszemu konsulowi, przechowała się dodziśdnia w paryskiem archiwum spraw zagranicznych. Tym sposobem Lucchesini, odsłaniając mimowoli całą nagość istotnych widoków pruskich, w ciągu sześcioletniego posłowania swego w Paryżu, aż do 1806 r., t. j. aż w sam przeddzień klęski jenajskiej, też przygotowywał grunt do tej okropnej katastrofy Prus. Był w tem jakgdyby odwet dziejowy za jego dawne, przed dziesięcioleciem, posłowanie w Warszawie, poprzedzające katastrofę drugiego podziału Polski. Zaś dalszym jeszcze będzie odwetem, kiedy tenże Lucchesini, już po doszczętnem zgromieniu Prus, wyparłszy się ich zupełnie i fagasując na wyżebranym urzędzie w służbie dworskiej ich pogromcy, cesarza Napoleona, odda mu i straci jedynego syna w służbie wojskowej napoleońskiej, oniemal w walce o odbudowę Polski.

Wszczęte przez Pierwszego konsula zbliżenie francusko-rosyjskie było jednak nietylko krzyżowane ze strony Berlina. Było również silnie hamowane w Petersburgu, przez tameczne żywioły koalicyjne, zwłaszcza anglofilskie, pod umiejętnym kierunkiem Panina. Ale i Bonaparte ze swej strony najmocniejszych tam użył sprężyn, aby pomimo tych wszystkich przeszkód do samego dotrzeć Pawła. Z wpływowym przyszedł mu sukursem pozyskany dla niego temi czasy szczególniejszy sojusznik, tak bardzo przez cara ceniony generał jezuitów, o. Gruber. Już bowiem wtedy Pierwszy konsul, przewidując konsolidacyę swej władzy, podczas ostatniego swego, za kampanii pod Marengo, pobytu we Włoszech, poczynał nawracać ku Kościołowi, ku nowoobranemu papieżowi Piusowi VII Chiaramonti, ku przyszłemu konkordatowi z Rzymem. Paweł zaś równocześnie, w przyjaznej z Piu-

sem VII korespondencyi, tytułując go „Ojcem Świętym", tytułowany przezeń „ukochanym synem", jak wskazano, wypraszał i zyskiwał od niego kanoniczną restytucyę Towarzystwa Jezusowego. Koniec końcem, Bonaparte postawił na swojem i wszedł nareszcie w bezpośrednią z carem styczność. W październiku 1800 r. Paweł zatwierdził najtajniejszy memoryał Rostopczyna o ścisłym związku francusko-rosyjskim i wspólnej wielkiej akcyi przeciw Anglii, kosztem wspólnego podziału Turcyi. Zarazem wyprawiony został do Paryża umyślny wysłannik carski, generał Sprengtporten, celem ułożenia konwencyi w sprawie ofiarowanego przez Bonapartego zwrotu jeńców rosyjskich. Francya konsularna stawała się przedmiotem coraz żywszego zajęcia i sympatyi, Anglia coraz większej nienawiści na dworze carskim. Angloman Panin w ostateczną popadł niełaskę. Następca jego na wicekanclerstwie, Kołyczew, który ongi w Berlinie układał się z Caillardem, został teraz przeznaczony na misyę nadzwyczajną do Paryża, dla bezpośrednich imieniem carskiem rokowań pokojowych z Pierwszym konsulem. W grudniu 1800 r., Bonaparte i Paweł wystosowali do siebie pierwsze, nader znamienne, a skroś przyjacielskie, pisma odręczne. Poza bliskim, obustronnie popieranym pokojem, już poczynało zarysowywać się przyszłe, obustronnie pożądane, przymierze francusko-rosyjskie.

IV.

W ścisku tych potężnych spółzawodnictw i krętych pociągnięć politycznych, ginęła, jak zwykle, spychana w szary kąt, sprawa polska. Przypominali ją przecie, ile było w ich mocy, legioniści. Na obu frontach, niemiec-

kim i włoskim, równolegle a raźno postępowało odrodzenie legii polskich. Wieść o powrocie Bonapartego, objęciu przezeń władzy naczelnej, wznowieniu z jego ręki organizacyi legionowych, szerokim odgłosem po wszystkiej wnet rozeszła się Polsce. Po przerwie, wywołanej przez ciężki zawód leobeńsko-campoformijski, przez srogie w kraju represye, przez pełny niemal pogrom legionów włoskich, ponownie teraz, z początkiem 1800 r., świeżą falą, całemi gromadami, zaczęli napływać z Polski oficerowie do obu legii, do Dąbrowskiego i Kniaziewicza porówno.

Kniaziewicz, ze sztabem dzielnych, jak Godebski, Gawroński, Fiszer, Sokolnicki, Kossecki, Drzewiecki i inni, pomocników a przyjaciół, trudził się gorączkowo nad rozwinięciem swojej legii drugiej, naddunajskiej. Rozrastała się ona szybko. W styczniu 1800 r. liczyła już 2300 ludzi; w marcu 3200; w kwietniu pozyskała przybyłą z legii włoskiej jazdę; z początkiem lata przekroczyła czwarty tysiąc rekruta. Pełnego, przyznanego sobie organizacyjnie, kompletu 5 tysięcy ludzi coprawda nie dosięgła nigdy, nietyle z powodu strat wojennych, ile dotkliwych od początku trudności materyalnych, oraz draźliwych w następstwie politycznych. Właściwie, w najlepszych chwilach, stan czynny legii naddunajskiej, w pełnem wyekwipowaniu, wynosił pod bronią do 3 tysięcy piechoty w trzech batalionach, blisko 700 ułanów w 6 szwadronach, około 70 artylerzystów przy 6 działach. Skład oficerski był naogół wyborny, choć dość mieszany. Byli tu starzy gwardziści francuscy, co jeszcze sługiwali w Polsce za Baru, jak kapitanowie Deschamp i Chavannes; a byli też Polacy, co służyli we Francyi grenadyerami w półbrygadach rewolucyjnych, jak porucznicy Sangowski i Zawiłowski. Jeszcze bardziej był mieszany materyał żołnierski, nietylko z wziętych do niewoli polsko-ruskich szeregowców galicyjskich, lecz i z litewsko-ruskich jeńców rosyjskich. Tutaj

też przyszedł z jazdą polsko-włoską były pułkownik insurekcyjny, teraz kapitan legionowy, Berko, ceniony osobiście przez Kniaziewicza; paru też było żydów chirurgów, przybyłych umyślnie, jak podnosił Godebski, z Polski do legii, Rosenfeld, Salomon Polonus i inni. Ale okrutna wciąż jeszcze przy organizacyi dolegała bieda. Mimo dobrej woli Pierwszego konsula, ministrów wojny Berthiera i Carnota, wodza naczelnego Moreau, niepodobna było odrazu uchylić skutków ohydnej gospodarki dyrektoryalnej. Brakło pieniędzy, efektów, prowiantu. Najgorzej było z ubraniem legii. Nie było koszul, ani mundurów. Daremnie Kościuszko szturmował w tym względzie do Carnota, który szczerze pragnął, lecz niewiele mógł poradzić. Jeszcze w maju, ze Strasburga, dokąd przeniesiony został z Metzu zakład legii, pisał strapiony Kniaziewicz do Moreau, iż „większa część naszych legionistów nosi jeszcze austryackie mundury", skutkiem czego w pierwszej batalii biedacy niechybnie narażeni będą wraz na kule francuskie i stryczek austryacki.

Nędza legionu przyczyniała się do innej, fatalnej klęski: dezercyi. Z rozkazu wodza naczelnego austryackiego, Kraya, wielkiego służbisty a nieprzyjaciela Polaków, w myśl skazówek wiedeńskiego Hofkriegsrathu, urządzona była na forpocztach osobna organizacya namowy dezercyjnej. Wydelegowany w tym celu austryacki pułkownik sztabu, urzędując w karczmie w Offenburgu, przez przekupionych markietanów francuskich, ściągał coraz liczniejszych, płatnych od głowy, dezerterów legionowych. Doszło do tego, że dwa prawie pełne bataliony polskie, stojąc w szańcach Kehlu, podmówione przez szpiegów austryackich, umyśliły zbuntować się i w masie przejść nocą do nieprzyjaciela. Przestrzeżony na szczęście Kniaziewicz, nadbiegłszy konno ze Strasburga, a przekładając śmierć własną nad hańbę swej legii, nakazał bateryi francuskiej, pilnującej prze-

prawy przez Ren, walić kartaczami w to miejsce, gdzie białą jego ujrzą chustkę; poczem, sam wpadłszy do Kehlu, groźnem słowem i śmiertelną tą zapowiedzią spiorunował załogę i do powinności nawrócił. Niedość zresztą samej austryackiej było pokusy; wnet dopełniła ją pruska. Szczególniejsza ta konkurencya dezercyjna zaczęła się z chwilą, gdy legia, latem 1800 r., przekroczywszy Ren pod Mannheimem, weszła w kraje Rzeszy niemieckiej, gdzie dozwolony był werbunek pruski. Natychmiast mnóstwo po legii pokazało się werbowników, nasyłanych wprost dla jej zdezorganizowania, którzy niemal otwarcie namawiali legionistów do armii królewskiej pruskiej, płacąc po dwanaście dukatów na rękę. Niezawiśle od tego dało się też mocno we znaki działanie osobnych agentów angielskich, popierających znacznemi pieniędzmi namowę dezercyjną wśród legii. Zaś, jak poufnie wyznawał sam, tak surowy w tym względzie, Kniaziewicz, „ta dezercya, zważając stan, w jakim się nasz żołnierz znajdował, była bardzo do przebaczenia".

Na dobitkę, wzorem legii włoskich, zaczęły się i w naddunajskiej rozkładowe wichrzenia wewnętrzne, zwłaszcza odkąd dostało się tutaj kilku zawodowych warchołów, jak posunięty na szefa brygady Turski-Sarmata, szef szwadronu Różniecki i im podobni. Prowadzili oni robotę demagogiczną od dołu, budząc żale i niesubordynacyę żołnierza przeciw najpoczciwszemu, lecz nieznającemu żartów w rzeczach dyscypliny wojskowej, ostremu służbiście Kniaziewiczowi. Wyzyskiwali w tym celu prawo francuskie o elekcyi oficerów, t. j. podporuczników, przez szeregowców, wprowadzone do legii, wbrew zastrzeżeniom Kniaziewicza i Fiszera, a w myśl życzeń Kościuszki. Zarazem systematycznie podjudzali przeciw Kniaziewiczowi ciało oficerskie. Szerzyli w niem, wbrew woli Kniaziewicza, zalecaną przez Kościuszkę spiskową przysięgę republikancką warszaw-

ską, na „nienawiść królom i arystokratom", „nienawiść tyranii, bezrządowi i monarchizmowi, oraz tym wszystkim, którzyby onym sprzyjali, nie uważając na przyjaźń i związek krwi", „wyrzeczenie się szlachectwa, godności i przywilejów wszelkich", „wierność wiekuistym zasadom wolności i równości" i wspartemu na nich prawdziwemu „rządowi demokratycznemu", itp. Taką, w kilku zresztą kursującą odmianach, rotę przysiężną przywiózł do legii z Paryża nieprzejednany bojownik wolności, Szaniawski, późniejszy nikczemny cenzor warszawski, kat myśli polskiej, kreatura Nowosilcowa. Zaś najpierwszy w legii zaprzysiągł tę rotę inny nieprzejednany pogromca tyranii, Rożniecki, późniejszy ohydny arcyszpieg warszawski pod cesarzewiczem Konstantym. Teraz odmawiali oni poprostu oficerów legii od służenia pod Kniaziewiczem, jako powolnym tyrana Bonapartego sługą, wrogiem ludu, wrogiem Kościuszki Na ten ostatni szczegół ci rzekomi gorliwcy narodowi i demokratyczni kładli nacisk szczególny. Wprawdzie najzacieklejszymi wrogami Kościuszki byli w istocie oni sami, nie przestawali denuncyować go potajemnie, i między sobą, w poufnej swej korespondencyi „jakóbińskiej" cynicznem obsypywali go szyderstwem, traktowali wręcz jako półgłówka, odsądzali od czci i wiary. Ale jednocześnie, z nieporównaną czelnością, w imię idei narodowej i demokratycznej, pod jego podszywając się imię, niby najwierniejsi, najposłuszniejsi adherenci i wyznawcy jego władzy naczelniczej, o sprzeniewierzenie się jej gwałtownie oskarżali Kniaziewicza. Potępiali go mocniej nawet, niż nienawistnego Dąbrowskiego, który przynajmniej przed Naczelnikiem się ukorzył, jego wskazań słuchał, kiedy Kniaziewicz arystokrata całkiem od niego się oddzielił, wyzwolił, niewolniczo w Pierwszego konsula zadufany faworze i protekcyi. Cała ta wichrzycielska robota, równie celowo podejmowana teraz względem legii naddunajskiej, jak przedtem względem włoskich,

tak wyraźnie godziła w rozbicie samej organizacyi legionowej i tak dobrze odpowiadała w tej mierze widokom rządów koalicyjnych, iż Kniaziewicz, podobnie jak i Dąbrowski, może niecałkiem bez powodu, skłonni byli coraz bardziej rozpoznawać w niej nietylko dzieło ślepej zawziętości partyjnej, lecz także ukartowanej zdrady. Tak czy owak, warchoły partyjne czy też płatni zdrajcy, koniec końcem, intrygą i potwarzą, szczęśliwie doprowadzili do tego, że otumanieni oficerowie legii naddunajskiej, z zacnym a łatwowiernym Gawrońskim, szefem sztabu legionowego, na czele, podpisali w Strasburgu zbiorowy adres do Moreau, z żądaniem oddalenia Kniaziewicza od komendy. Moreau, pomimo albo może skutkiem napiętych swoich do Bonapartego stosunków, niezwłocznie posłał to pismo Kniaziewiczowi, upoważniając go do ukarania podpisanych na niem, winnych podobnego aktu niesubordynacyi, oficerów legionowych. Kniaziewicz, przywoławszy ich, odczytał im otrzymane od wodza upoważnienie, poczem, drąc ów adres, dowód ich winy, „oto jest—rzekł—moje ukaranie". Rzecz ta jednak tragiczny miała epilog. Szlachetny, a dawniej osobiście Kniaziewiczowi bliski, pułkownik Gawroński uwikłanie się swoje w niehonorową tę intrygę tak wziął do serca, że popełnił samobójstwo, rzuciwszy się do Renu. Śmierć Gawrońskiego głęboko dotknęła zaprzyjaźnionego z nim Kościuszkę i pogłębiła jeszcze jego do Kniaziewicza urazę.

Na wszystkie te kłopoty: nędzę, dezercyę, rozterkę, jedno najskuteczniejsze było lekarstwo: zwycięski bój. Taka bojowa, zwycięska pobudka znowuż od Bonapartego, z równin lombardzkich, ożywczem nad Ren nadleciała echem i zbiedzoną naddunajską zelektryzowała legię. „Obywatele żołnierze, — tak grzmiącym, lapidarnym rozkazem dziennym, odzywał się w Strasburgu do swoich legionistów Kniaziewicz, — Milan wzięty. Pierwszy konsul Bonaparte wszedł do niego. Rzeczpospolita

Cyzalpińska wolna. Śmierć tyranom, wolność krajom". W parę tygodni nadeszła wieść Marenga. Moreau, który dotychczas, nadsłuchując wyników kampanii włoskiej, rozmyślnie zwalniał kroku, teraz, potężną rywalizacyjną tknięty ostrogą, runął wszystkiemi siłami naprzód. Teraz też dorwała się nareszcie do boju trzymana dotychczas w odwodzie legia naddunajska. Niestety, wypadło jej, jak przedtem włoskiej, wnet z własnymi rodakami bratobójcze odprawiać walki. Wypadło potykać się co kroku z rekrutem galicyjskim w szeregach armii Kraya, a zwłaszcza w awangardzie austryackiej, w cesarskiej jeździe ułańskiej, przeważnie z takiego właśnie polskiego złożonej rekruta. Tak, już w czerwcu, na rekonesansie pod Offenburgiem, krótkowidz Fiszer wpadł w ręce polskich ułanów Merveldta. Byli śród nich dawni żołnierze kościuszkowscy, którzy we wziętym jeńcu poznali i powitali serdecznie byłego adjutanta Naczelnika, za co zresztą odpokutował Fiszer, tem sroższej odtąd dopiero doświadczając niewoli. Wkrótce, przy pierwszem poważnem natarciu offensywnem, znalazła młoda legia sposobność, pod energicznym Kniaziewicza przewodem, wykazania swej sprawności bojowej i zasłużenia sobie na uznanie Francuzów. Biła się z powodzeniem, od początku lipca, w szeregu forsownych potyczek, pod Hattersheimem, Höchstem; a zwłaszcza 12 lipca 1800 r., pod Bergenem, gdzie sam Kniaziewicz z dwoma batalionami zdobył bateryę austryacką; pod Offenbachem, gdzie zdumieni legioniści tryumfalnie przyjęci byli przez osiedloną tam sektę Frankistów polskich; pod Bornheimem, gdzie ostre wdanie się broni legionowej wydobyło z kłopotu dwie dywizye francuskie, których dowódcy, generałowie Colaud i Souham, umocowali Kniaziewicza do podziękowania ich imieniem legii w osobnym rozkazie dziennym. Dzielnie tym sposobem przyczynili się Polacy do uwieńczenia tej części operacyi zajęciem Frankfurtu przez Francuzów. Moreau

ocenił wartość bojową legii a także osobistą jej wodza. Kniaziewiczowi, jako protegowanemu Bonapartego, mniej dotychczas on ufał; odtąd, poznawszy go bliżej, do zażyłej dopuścił go przyjaźni. Miało to przecie i ten skutek ujemny, że wrażliwy bardzo Kniaziewicz, dotknięty już zarzutami niektórych rodaków o swojej protekcyjnej od Bonapartego zawisłości, teraz nadomiar pod wpływem nieżyczliwych Bonapartemu wynurzeń Moreau, stawał się nadal coraz skłonniejszym do podejrzliwego boczenia się na Pierwszego konsula.

A tu najbliższa już chwila do uzasadnionych podejrzeń i obaw aż nadto wodzowi polskiemu nastręczała powodów. Po rozejmie czerwcowym dla Włoch, przyszedł, jak się rzekło, lipcowy dla Niemiec. To wyglądało zupełnie na nowe Leoben, na zapowiedź nowego Campoformia. Ze zgrozą odnawiał w pamięci Kniaziewicz rozpaczne przed trzema laty pod Mestre chwile zawodu. Podobnego i teraz oczekiwał ciosu. Zrazu, wedle rady Barssa, myślał pobiedz do Paryża i osobiście przed Pierwszym konsulem przemówić za Polską. Ale nie widział sposobu ani pominąć w tem Kościuszki, ani skutecznie go użyć. Dał w końcu za wygranę, tembardziej, że sam przez Moreau wciąż był zrażany do Bonapartego, upewniany o poświęceniu Polski ambitnym jego widokom, i w beznadziejnej utwierdzany rezygnacyi. Poprzestał tedy na wystosowaniu, w początku sierpnia 1800 r., „imieniem rodaków swoich“, zwięzłego pisma do Pierwszego konsula. Przypominając mu własne jego dzieło legionowe, wzywał go do odbudowy Polski, w której „Francya pozyska przywiązanego spólnością charakteru narodowego, wdzięcznego nazawsze sojusznika na Północy“. Ten apel raczej formalny, wewnętrzną cechowany niewiarą, posłany na ręce Barssa, bez żadnej pozostał odpowiedzi. Nie oczekiwał pomyślnej Kniaziewicz; przeciwnie, najgorzej o losie kraju i samej wróżył legii. Z właściwą sobie porywczością, przedwczesnem

zgnębiony czarnowidztwem, już był gotów rzucić komendę. Pragnął ustąpić jej Wielhorskiemu, wróconemu właśnie przez zamianę z niewoli austryackiej. W sposób niekoniecznie służbowy zwrócił się do ministra wojny, Carnota, z pisemnem w tej mierze żądaniem. Pozorował je starszeństwem rangi Wielhorskiego i swojem wyczerpaniem; lecz znacząco dodawał, iż chwyci znów za broń, „skoro nadarzy się sposobność bicia się za moją ojczyznę". To wszystko w owej chwili widocznie dotknęło Bonapartego. Pismo Kniaziewicza do ministra, jak przedtem do Pierwszego konsula, pozostało bez odpowiedzi. Natomiast, w końcu sierpnia 1800 r., nadszedł do sztabu armii reńskiej z paryskiego ministeryum wojny rozkaz, aby legia polska pomaszerowała do zakładu armii rezerwowej, do Dijonu, skąd, jak głoszono, miałaby pójść do Włoch, pod komendę Dąbrowskiego. Stropiony taką niespodzianką Kniaziewicz, pod pozorem choroby, zdał dowództwo legii Turskiemu i udał się do wód w Baden-Baden. Zarazem zwrócił się poufnie po przyjacielską interwencyę do Moreau, który poniekąd, przez odstrychnięcie go od Bonapartego, przyczynił się do wpędzenia go w tę biedę. Istotnie, za wdaniem się samego Moreau, na szczęście zostało odwołanem zgubne zarządzenie paryskie, które przyśpieszyłoby tylko przedwczesny, niesławny koniec legii naddunajskiej i pozbawiłoby ją i Kniaziewicza chwały Hohenlindenu.

Na inny sposób w tej samej porze biedził się i troskał Dąbrowski. Załatwiwszy możliwie najlepiej legionowe swe sprawy w Paryżu, wyjechał on stąd, w połowie maja 1800 r., do Marsylii. Z Kościuszką rozstał się jaknajlepiej, bardziej niż kiedykolwiek dbały teraz o moralne jego poparcie. Był niezawodnie, w pewnej przynajmniej mierze, wtajemniczony przez niego w zajmujące go wtedy tak silnie pomysły spiskowo-powstańcze warszawskie. Aczkolwiek zaś do nich formalnie się

nie zobowiązał, wszelako, nie odrzucając ich z szorstką Kniaziewicza prostotą, nie zraził sobie Naczelnika i względy jego do czasu zachował. Okazywał też Kościuszce wszelką deferencyę osobistą i służbową; nawet w odezwach swych do władz francuskich nie tytułował go inaczej, jak „*généralissime*"; zostawił przy jego boku w Paryżu aż dwóch, właściwie trzech, adjutantów, więcej dla dogodzenia mu, z respektu, niż potrzeby, Dembowskiego, Pakosza i syna swego, Jana. Z Kniaziewiczem natomiast pozostał wprawdzie również w prywatnej nadal korespondencyi, lecz zachował w głębi pewne żądło spółzawodnictwa. Zjechawszy do Marsylii pod koniec maja, trafił właśnie na ciężkie przeprawy armii włoskiej, na zablokowanie Masseny w Genui i odwrót Sucheta. Był przez to nawet osobiście ciężkiem dotknięty strapieniem. Już w roku zeszłym, podczas raptownej offensywy austro-rosyjskiej, omal nie stracił nieletniej córki jedynaczki, ukochanej „Karolci", zostawionej w pensyonacie w zajętym przez Suworowa Medyolanie. Teraz znów, po przybyciu do Marsylii, zastał żonę i córkę, wraz z wszystkiemi swemi papierami i oddziałem legionowym polskim, zamknięte z wojskiem Masseny w bombardowanej i głodzonej Genui. Pozostałe przy armii Sucheta szczątki legionowe, rozproszone od Genui do Aix, i od Varu do Marsylii, znalazł w stanie opłakanym, bliskie zupełnej nicości. Naliczył w nich już zaledwo 800 ludzi. Tem żwawiej atoli, z gorączkową energią, zwłaszcza wobec wiadomych sobie postępów legii naddunajskiej w Metzu i Strasburgu, zabrał się teraz w Marsylii do reorganizacyi swojej odnawianej, pierwszej, legii włoskiej. Natychmiast rozesłał przybyłego świeżo z Egiptu, z niewoli stambulskiej, szefa brygady Grabińskiego, z przydanym mu kapitanem Royerem, oraz szefa batalionu Konopkę, z kapitanem Komorowskim, do wszystkich depotów jeńców, celem wybrania Polaków do legii. Kazał brać co tylko się dało, bez

takiego już, jak ongi nieboszczykowi Tremonowi był zalecał, ścisłego wyboru; kazał nawet „Moskali zawerbować, a zwłaszcza tych, co niegdyś byli Polakami". Już w początku czerwca miał z górą 1500 ludzi; w końcu czerwca przeszło 2600; w końcu lipca przeszło 4 tysiące w szeregu i tysiąc rekruta w drodze. Odtąd, z właściwą sobie nieprzełamaną wytrwałością, będzie on bez przerwy pomnażał skład siedmiu batalionów swojej legii i doprowadzi ją nietylko do pełnego, dozwolonego organizacyjnie, stanu czynnego 9 tysięcy, lecz pod koniec znacznie nawet wyżej tego kompletu, aż do przeszło 10 tysięcy ludzi.

Ale takich wyników z największym wysiłkiem dorabiać się musiał Dąbrowski, śród ciągłych, również jak u Kniaziewicza, trudności materyalnych i powikłań politycznych. „Bez koszul, bez trzewików, bez broni,—żalił się w gorzkich z Marsylii listach—musi Polak po górach się włóczyć i straże czynić o chlebie i wodzie... rekrut ani szeląga nie odbiera". Błagał Kościuszkę o wstawiennictwo u rządu za nagą i głodną legią. Zostawionemu w Paryżu Dembowskiemu, wydeptującemu jej potrzeby po biurach ministeryalnych, dobitne posyłał instrukcye: „Koszule, koszule, koszule; pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy". Zaś, obok tych starych kłopotów, odnajdywał też dawne przeciw sobie zjadliwe w legii wichrzenia, zaostrzane, jak skarżył się Kniaziewiczowi, przez listowne podżegania od warchołów legii naddunajskiej. Inną znów biedę z nieśmiertelnym miał Chadzkiewiczem. Ten, po spiskowej swojej, na schyłku Dyrektoryatu, misyi u boku Championneta, z kolei, podczas wzmiankowanej konspiracyi paryskiej w początku Konsulatu, z pokrewną misyą wynurzył się u boku Masseny. Oblegany następnie razem z nim w Genui, równie sprawny rabuś jak rębacz, polubiony przez słynnego tyleż z dzielności co chciwości Massenę, został przez niego mianowany generał-adjutantem przy jego sztabie. Dąbrowskiemu, który stanowczo odmawiał

dopuszczenia go w tym stopniu do legii, który także, jak wspomniano, odmawiał udziału w finansowych jego operacyach, Chadzkiewicz jaknajmocniej szkodził w kwaterze głównej, pospołu z uwieszonym tam również przy Massenie Wołodkowiczem. Massena po upadku Genui objął napowrót komendę armii włoskiej, gdyż mocą konwencyi kapitulacyjnej, jak zaznaczono, wyszedł z miasta z bronią w ręku. Lecz w tejże konwencyi nie umiał on należycie ochronić zamkniętych w Genui legionistów polskich rodem z Galicyi, i naraził ich, w mniejszych rozmiarach, na powtórzenie tragedyi mantuańskiej, na niewolę i pomstę austryacką. Dąbrowski słusznie o to do niego zrażony, spotykając nadomiar dokoła niego tak nieszczególnych faworytów polskich, niczego jakoś w jego kwaterze głównej wskórać nie mógł. Daremnie raz po razie zwracał się do Masseny oraz do jego szefa sztabu, Oudinota, z prośbą o opatrzenie legii, o zgromadzenie rozproszonych jej oddziałów, o użycie jej w kupie przy armii czynnej. „Zazdroszczę Ci, — pisał do Kniaziewicza — że masz do czynienia z Moreau, z Saint-Cyrem, z Sainte-Suzannem, a ja sam nie wiem z kim“. Coprawda, okazało się niebawem, że niezewszystkiem była w tem wina Masseny, ani też zacnego Oudinota, późniejszego słynnego komendanta grenadyerów cesarskich gwardyi, a stałego Polski przyjaciela. Okazało się niestety, że była też wina własnych intrygantów legionowych, nie cofających się nawet przed chwytaniem pism Dąbrowskiego do głównej kwatery. Massena owszem poparł osobiście u Bonapartego, życzliwą od siebie odezwą, konieczność ściągnięcia rozrzuconej od Marsylii do Savony legii i zjednoczenia jej przy armii czynnej.

Dąbrowski, ze swej strony, oczywiście pragnął bezpośrednio dostać się do Bonapartego, z chwilą zejścia jego z armią rezerwową do Włoch. Na pierwszą wieść o odebraniu Medyolanu, wyprawił tam, do niego i Berthiera, aż trzech wysłańców, Grabińskiego, Axamitow-

skiego i kapitana Chłusowicza, z ustną i pisemną w sprawach legionowych petycyą. Nie zastali oni jednak w Medyolanie Pierwszego konsula, który już wtedy odprawiał bitwę pod Marengo, zawierał rozejm pod Alessandrią i wracał do Paryża. Dąbrowski bardziej jeszcze od Kniaziewicza uderzony był tak nagłem przerwaniem kroków wojennych przez zawieszenie broni francusko-austryackie na terenie włoskim. Przypomniało mu ono podobnież bolesne Leobenu i Campoformia zawody; brzmiało w uchu odpowiedzialnego twórcy idei legionowej pogrzebowym jej dzwonem. Poczuwał się też Dąbrowski do obowiązku wystąpienia w takiej chwili z nowym do Bonapartego apelem, w sprawie już nietylko legionowej, lecz ogólnonarodowej. Uczynił to niezwłocznie, i to szczegółowszym i bardziej rzeczowym, niż nieco później Kniaziewicz, sposobem, w krótkiem piśmie i dołączonym doń obszernym memoryale, wystosowanym z Marsylii, w początku lipca 1800 r., do Pierwszego konsula. Z wymowną tutaj do Bonapartego zwracał się prośbą o „dozwolenie Polakom ostatniego na rzecz nieszczęsnej ojczyzny wysiłku“, bez uronienia „jednej kropli krwi francuskiej“. Z uwagi, że w owej chwili zawieszenie broni nie zostało jeszcze rozciągnięte na niemiecki teatr wojny, prosił o natychmiastowe zgromadzenie, na lewem skrzydle armii reńskiej Moreau, obudwu legii polskich, włoskiej pospołu z naddunajską, wraz z forsownem, jaknajszybszem opatrzeniem ich, uzbrojeniem i pomnożeniem do liczby 20—30 tysięcy ludzi. W takim składzie korpus polski, „dowodzony przez generała przedsiębiorczego, gorliwego dla swej ojczyzny i obdarzonego talentami, niezbędnemi do tak śmiałego przedsięwzięcia“, t. j. oczywiście przez samego Dąbrowskiego, maszerując z Moguncyi wprost na Eger, przez nastrojone rewolucyjnie Czechy i Morawy, wtargnąłby do Galicyi, gdzie z zapałem będzie przyjęty i łatwo powszechne wywoła powstanie. „Zre-

sztą, żyje wszak jeszcze cnotliwy Kościuszko; imię jego będzie hasłem zbornem wszystkich dobrych obywateli... i armia, pod jego prowadzona znakiem (*sous ses auspiees*), ma prawo najświetniejszych oczekiwać sukcesów". Rzecz cała odbyłaby się napozór jako samorzutna, wbrew woli komendy francuskiej, wyprawa polska. Fryderyk-Wilhelm nie będzie przeszkadzał akcyi przeciwaustryackiej; Paweł również rad będzie tej nowej biedzie habsburskiej. Polacy zaś, mając w ręku dzielnicę galicyjską, zdobędą tytuł do udziału w pacyfikacyi powszechnej i do polubownego odzyskania od Prus i Rosyi pozostałych dwóch dzielnic rozbiorowych, wzamian za odszkodowanie w Niemczech i Turcyi. Tak szeroko zakreślony plan niniejszy był to właściwie, odwrócony nawspak, projekt Dąbrowskiego, z przed końca insurekcyi Kościuszkowskiej, kiedy to zamyślał on z wojskiem narodowem maszerować z Polski nad Ren, do Francuzów. Teraz, przed podsuwaną Kościuszce przez spiskowców warszawskich nową marą insurekcyjną, zamyślał Dąbrowski z legionami polskiemi maszerować z nad Renu, od Francuzów, napowrót do Polski. Podnieść należy, że znajdował się wtedy przy nim w Marsylii wspomniany Zajączek Ignacy, dotychczas zajadły jego przeciwnik, teraz nawrócony rzekomo stronnik, człek nędzny, fałszywy, sprzedajny, który jednak, jako kilkoletni w Josephstadzie współwięzień Kołłątaja a zawołany „jakóbin", miał duże wzięcie u związkowców warszawskich i wtarł się przez nich do zaufania Kościuszki. Uczestniczył on teraz bezpośrednio przy układaniu niniejszych planów marsylskich. Sam Dąbrowski zresztą wobec wszczętych rokowań Bonapartego z Austryakami, wobec wypróbowanej już w rzeczach polskich dwuznacznej postawy Prus a ostrej Pawła, najprawdopodobniej niebardzo wierzył w wykonalność podobnych arcyśmiałych w takiej chwili planów. Jeśli tedy występował z niemi obecnie, to nietyle z przekonania, ile raczej z poczucia

obowiązku, a także w myśl znanych sobie marzeń Kościuszki. To też pisma powyższe do Pierwszego konsula dopełnił przez list do Naczelnika, i całą tę ekspedycyę z Marsylii do Paryża, przez majora Downacowicza i Zajączka, na ręce Kościuszki, do jego uprzedniego wyprawił uznania i decyzyi.

Kościuszko wciąż trwał w napiętych z Konsulatem stosunkach. Jawnie niechętny nowemu rządowi, był wzamian od niego bez zbytnich traktowany względów. Świeżo właśnie, rozkazem ministeryalnym z początku lata 1800 r., wzbraniającym wszelkich w Paryżu reprezentacyi wojskowych, pozbawiony został przydanych sobie adjutantów legionowych. Wszelako, pomimo własnych zastrzeżeń i uraz, musiał on w interesie kraju wyjść z odpornej względem rządu bierności, skoro wygrana Marenga widocznie utrwalała Konsulat a rozejm włoski bezpłodną dla Polski groził pacyfikacyą. To też zaraz po powrocie Bonapartego do Paryża, w początku lipca 1800 r., Kościuszko wystąpił wprost do niego z notą w sprawie wymiany jeńców polskich, oraz z drugą do Carnota w sprawie skupienia legii. Zarazem, dla omówienia całokształtu sprawy polskiej, udał się osobiście do Pierwszego konsula. Bonaparte jednak ograniczył się do udzielenia mu wstrzemięźliwej odpowiedzi, „że ratowanie Polski należy zostawić dalszemu jeszcze losowi". Wtem nadeszła przywieziona przez Downarowicza ekspedycya marsylska. Zaklinał w niej Dąbrowski starego Naczelnika, „aby był naszym Mojżeszem, dla wyprowadzenia nas z niewoli egipskiej". Kościuszko, zrażony doznaną od Bonapartego odprawą, doręczenie mu memoryału Dąbrowskiego powierzył Wybickiemu i Ignacemu Zajączkowi, i podjął się wyjednać im audyencyę u Pierwszego konsula. Fatalny był wybór Zajączka; zamieszany w ciemne sprawki Chadzkiewicza, był on razem z nim śledzony a niebawem uwięziony przez tajną policyę konsularną. Oczywiście też audyencyi odmówio-

uo. Wypadło poprzestać poprostu na złożeniu memoryału, który, podobnież jak prawie spółczesne pismo Kniaziewicza, pozostał bez odpowiedzi. Lecz dwukrotnie zrażonego Kościuszkę czekał cios najdotkliwszy. Zaczynało się zbliżenie Bonapartego z człowiekiem, do którego Kościuszko w nieprzejednanej stanął sprzeczności, który go uwolnił, obdarował i wiernopoddańczą związał przysięgą, a któremu on cisnął rękawicę: z Pawłem. „Paweł zupełnie zerwał z Wiedniem i Londynem... —donosił już w lipcu Pakosz z Paryża Dąbrowskiemu — rząd tutejszy bardzo go głaszcze, kazał wykupić wszystkie dzieła, czerniące Pawła“. Różne tego „głaskania“ oznaki, a zwłaszcza oferta zwrotu jeńców rosyjskich, wcześnie doszły wiadomości Kościuszki przez rządowe jego stosunki. Co więcej, sam Bonaparte, wybornie świadom polskiego ciernia, polskiego kamienia obrazy, w sprawie porozumienia francusko-rosyjskiego, zawczasu pomyślał o wysondowaniu w tej sprawie Kościuszki. W tym celu nasyłał mu obecnie różnych zbliżonych do siebie wybitnych Francuzów, cieszących się zaufaniem Naczelnika, jak znani mu jeszcze z Ameryki uczony Volney i zacny Ségur, jak używany już za Dyrektoryatu w podobnej misyi gładki Garat, jak wracający z Egiptu i Marenga dzielny generał dywizyjny Davout. Tą drogą, latem 1800 r., — donosił związkowcom warszawskim bliski wtedy Naczelnika Orchowski,—„od rządu francuskiego insynuacya zaszła do Kościuszki, że... sam Bonaparte planem zatrudnić się oświadczył, dla rzucenia ziaren przyszłego naszej ojczyzny dźwignienia“. Zarazem zlecił Bonaparte wybitnemu publicyście paryskiemu, Galletowi, przyjacielowi Carnota, wygotowanie szczegółowego operatu w sprawie polskiej, z czego tenże w nader życzliwym Polsce wywiązał się duchu. Oczywiście jednak, jakiekolwiek w tym względzie były złudzenia emigracyi polskiej, ów „plan“ Pierwszego konsula sprowadzałby się podówczas, tak czy owak, do „po-

dźwignienia“ Polski nieinaczej, jak w kształcie monarchicznym, bądź bezpośrednio pod berłem rosyjskiego cesarza, bądź jego syna, W. Księcia Konstantego, bądź też w innym, dogadzającym mu sposobie, zawsze przecie w polubownem z Pawłem porozumieniu. Był to właściwie najpierwszy przebłysk późniejszych pomysłów polubownego załatwienia sprawy polskiej między Aleksandrem a Napoleonem. Owóż teraz szło mianowicie o wybadanie w tej mierze Kościuszki i oswojenie go z możliwością ugody francusko-rosyjskiej również i na gruncie sprawy polskiej, wedle myśli i pod egidą cara Pawła.

Kościuszko takim obrotem rzeczy tknięty był jakgdyby rozpalonem żelazem. Natychmiast też gwałtownym zreagował odruchem. Uczynił to w kierunku tych marzeń powstańczych, w jakich rozkołysany był od zeszłorocznego swego akcesu do Towarzystwa republikanów warszawskich. Wezwał do siebie Orchowskiego, któremu, jak się rzekło, w sierpniu 1799 r., wydał swoją na piśmie przysięgę, wziąwszy wtedy od niego wzamian jego pisemne zaręczenie przysiężne. Otóż obecnie w sierpniu 1800 r., Kościuszko na tem zaręczeniu Orchowskiego położył *in margine* własnoręczny, dopełniający ową wzajemną przysięgę, dopisek: „Bez względu na obce mocarstwa, ale w samej sile wewnętrznej szukając mocy, zachęcać i rozszerzać ten duch, i w jaknajprędszym czasie zrobić przygotowanie do powszechnego powstania“. Przydał też wzmiankę o „wolnych włościanach“, oraz o „posłuszeństwie ślepem zwierzchności związkowej“. Wziął również od Orchowskiego dodatkową przysięgę zachowania w sekrecie „poleceń wszelkich, jakie od Naczelnika Kościuszki będę miał“. Polecenia te zmierzały do niezwłocznego podjęcia w kraju przygotowawczych kroków przedinsurekcyjnych, do „zorganizowania Kurpiów puszczy ostrołęckiej“ itp., przedewszystkiem zaś do tego, aby „organizacyę Towarzystwa (republikanów warszawskich) zamienić w organizacyę

siły zbrojnej". Orchowski, marny człeczyna, który najrozmaitsze jeszcze będzie przechodził koleje, i nawet kiedyś do Mikołaja I z nędzną wystąpi supliką, był najwidoczniej mocno przerażony rewolucyjną gorączką Kościuszki. „Tadeusz postanowił nieodmiennie robić w kraju rewolucyę—donosił on swoim kompanom związkowym—...Cała jego chęć i myśl zajęta tem, aby kraj nasz, odrzuciwszy nadzieję ratunku skądinąd, w swoich własnych siłach, odwadze i męstwie szukał zbawienia. To jest jego żądaniem, chęcią, i siebie na wszystko zryzykować gotów dla zbawienia ojczyzny". Kościuszko, cokolwiekby o tym kroku jego sądzić, poprostu łaknął ofiary. Nie łaknęli jej zgoła związkowcy warszawscy. Wcieliwszy myśl powstańczą na papierze, w srogich artykułach swojej „umowy przedspołecznej", oni nie myśleli bynajmniej wcielać jej w życie. Orchowski, pozornie basując Kościuszce, czemprędzej wyjechał z Paryża do legii naddunajskiej, rzekomo dla zbadania jej nastrojów, naprawdę zaś dla oddalenia się od Naczelnika i niebezpiecznych jego „poleceń", oraz dla naradzenia się z bawiącym nad Renem Szaniawskim. Ten znów, podszywając się tam pod Kościuszkę, a pełen do niego pogardy i złości, z politowaniem potraktował jego rojenia powstańcze, lecz jako praktyczny przedewszystkiem działacz i matacz partyjny, rad byłby najpraktyczniejsze stąd, brzęczące, dla partyi wytrzasnąć korzyści. Radził tedy wytrawny Szaniawski „kilku majętnych wciągnąć (rodaków),... a stosownie do potrzeby, żeby ich czasem zatrudnić jaką polityczną bajką; niech sobie w nią wierzą, a pieniędzy dadzą". Umyślili tedy obadwaj, Orchowski z Szaniawskim, nie zrażając Kościuszki, hamować jego zapędy, a zarazem nakłaniać go do tajnego zbliżenia albo nawet i przeniesienia się do Anglii, w myśl pierwotnych skazówek warszawskich. Tymczasem sami, bądź dość niepewną drogą, przez pozyskanego drobnemi datkami urzędnika francuskiego we Frank-

furcie, Rosego, bądź też przez umyślnych z kraju wysłańców, Karola Eisbacha i Andrzeja Horodyskiego, utrzymywali na własną rękę bezpłodne z warszawskiem Towarzystwem stosunki. Pocichu zaś, śladem Dmochowskiego i innych reemigrantów, już gotowali się do zwinięcia swojej burzliwej, „jakóbińskiej", nieprzejednanej karyery wychodźczej, i do powrotu na stałe, pod skrzydła pruskie, do bezpiecznej Warszawy.

Kościuszko rychło wyczuł, jak mało na takich poplecznikach w swojej imprezie powstańczej mógł polegać. Z kolei w nielepsze przecie wpadł ręce, innego, niższej jeszcze miary, pomocnika. Po wyprowadzeniu się od Barssa, trzymającego mu dawniej pióro, korzystał z usług niejakiego Pawlikowskiego, jako przybocznego sekretarza swego. Wybór nie był szczęśliwy; dobroć i ufność Kościuszki zostały i tym razem omylone przez figurę bardzo poślednią. Józef Pawlikowski, rodem z Galicyi, syn kowala, otarty nieco w prawie samouk, uczestnik robót przedinsurekcyjnych, potem jeszcze w późnej starości zamieszany do związków tajnych pokongresowych, dokona żywota w celi więziennej u Karmelitów. W tak długim zawodzie spiskowym, którego pod koniec smutną padnie ofiarą, przedstawiał się on napozór jako gorliwiec i czerwieniec patryotyczny, uważany przez takich jak Prądzyński współwięźniów prawie za męczennika, lecz mocno miany w podejrzeniu przez ludzi ostrożniejszych, a zdaniem Stanisława Zamoyskiego, pospolity „wydrwigrosz". Ten to człek mały i ograniczony, w najlepszym razie warchoł i bałamut, wkradł się teraz do bezwzględnego zaufania Naczelnika. Pod jego wpływem Kościuszko dał się przekonać, że myśl spiskowo-powstańczą, dotychczas w najgłębszej chowaną tajemnicy, należy, wprost przeciwnie, podać do najszerszej wiadomości narodu, że mianowicie należy zawczasu przysposobić do niej umysły przez stosowne pismo publiczne. Owóż redakcyę tego pisma powierzył Kościuszko Pawlikowskie-

mu, który gładkiem swem piórem podjął się myśli Naczelnika wyłożyć narodowi. Niepodobna też zapewne za każde słowo tej redakcyi Pawlikowskiego czynić poczytalnym Kościuszki, który jednak dał nietylko nakład, lecz ogólny kierunek, tok myśli zasadniczy, sporo nawet własnych najwidoczniej zwrotów. Bądźcobądź, dopiero nadużyta powaga Naczelnika nadała temu pismu większą doniosłość. Zostało ono wydane niezwłocznie, pod koniec lata 1800 r., rzekomo w „Prykopiu nad Donem", t. j. naprawdę w Paryżu, w jedynej drukarni tamecznej, posiadającej czcionki polskie, a w największej tajemnicy przed rządem francuskim. Ta ostatnia okoliczność tem godniejszą była uwagi, iż niebawem ukazał się w Prusiech przekład niemiecki, bez żadnych przeszkód ze strony rządu berlińskiego, któremu widocznie zależało na ujawnieniu rzekomej pochopności rewolucyjnej polskiej. Rzecz sama, pod postacią niewielkiej, poczytnej broszury, sposobem zwięzłej wykładni programowej, miała udzielić odpowiedzi na pytanie walne, które od upadku kraju zajęło całą duszę polską, i wtedy, i potem, i zawsze: „Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość?"

Odpowiedź stanowcza, twierdząca, udzielona w dziwnem tem piśmie, brzmiała pobudką hartowną, tętniła niepożytą otuchą, cuciła zwątpiałego narodowego ducha. I w tem było zdrowe tchnienie osobiste starego Naczelnika. Było tu parę prawd złotych, parę nauk spiżowych, wprost z jego wielkiego serca bijących, nacechowanych widomym znakiem jego wiary niezłomnej i prostej mądrości. „Naród, żądający niepodległości, potrzeba koniecznie, aby ufał w swoje siły. Jeżeli niema tego czucia, jeśli do utrzymania swego bytu nie idzie przez własne usiłowanie, ale przez obce wsparcie i łaskę, można śmiało przepowiedzieć, iż nie dojdzie ani szczęścia, ani cnoty, ani sławy". Przebijał również głos miłujący Kościuszki w postrzeżeniach „o stanie moralnym Polaków", o „rzetelności" wrodzonej narodu, o prawie, wadze i wartości narodowej włościańskiego ludu. „Mniemają

niektórzy, iż potrzeba pierwej oświecić lud, zanim mu dać wolność. Ja rozumiem przeciwnie, że chcąc oświecić lud, trzeba go uwolnić... mniemam, że wieśniak polski od francuskiego ma więcej rozsądku". Ale oderwane założenia głębsze wnet topione były w powodzi rzekomych zastosowań doraźnych, wywodów fantastycznych i wręcz niedorzecznych, zmierzających do bezwzględnej konkluzyi powstańczej. Nowa, nieodwłoczna insurekcya wystawiana była jako rzecz konieczna, łatwa i pewna zupełnego sukcesu. Powoływane były sukcesy wyzwoleńcze Szwajcarów XIV i XV, Holendrów XVI a zwłaszcza niedawne Amerykanów XVIII wieku, ludów słabych, nielicznych: dowód jasny, czego w szesnaście milionów dokazaćby mogli Polacy. „Chciejmy tylko, a będziemy wolnymi... Zimne tylko i ciasne umysły rachują, że mamy sposoby małe". Następowały szczegółowe wyliczenia, wykazujące czarno na białem, iż przyszła insurekcya łatwo poradzi sobie z walką na trzy fronty odrazu. Do zgniecenia jej Rosya, Austryą i Prusy mogłyby użyć „tylko" 450 tysięcy żołnierzy, którym atoli łatwo przeciwstawi się trzy miliony, a conajmniej jeden milion uzbrojonego polskiego ludu. O broń nietrudno: jest wszak polska, chłopska, niezwalczona kosa, „zwycięska nad każdą bronią", nad piechotą, jazdą i artyleryą. Zresztą wynieść się trzeba ponad utarte przesądy sztuki wojennej; nic łatwiejszego jak obejść się bez fortec i armat, i okazać czynem „nieużytek strzelającej broni w bitwach". Należy własną, domorosłą stworzyć taktykę: „sposób zaś do tego jest małej wojny, t. j. rozrywać na części nieprzyjaciela i niedopuścić mu żywności". Należy tedy „obrać tysiąc punktów do powstania... i we wszystkich jednego dnia powstać". W tym zaś celu, przez samą naturę wskazane zostały Polsce schroniska niezdobyte—lasy. Lepszą nierównie warownię powstańczą od gór szwajcarskich stanowią rozległe polskie lasy oraz „polne fortyfikacye, których tysiącami narobić mo-

żna". „W niektórych miejscach są lasy po kilka, po kilkanaście, w niektórych po kilkadziesiąt mil... W lesie cóż zrobi artylerya albo postrzały nieprzyjacielskie?... Polak z strzelbą i kosą przedrze się przez wszystkie krzaki i bagna... Obywatele znają wszystkie przeprawy, wszystkie ścieżki, których nieprzyjaciel ani użyć może... Gdy z jednego miejsca spędzeni będą Polacy, pójdą w drugie... Insurgenci częściami na małe korpusa nieprzyjacielskie wpadać mogą, a tym sposobem będą w stanie przytłumiać, niszczyć i zwyciężać nieprzyjaciela". Pozatem powinni zatrudniać się „ogłaszaniem wolności" w samychże państwach rozbiorowych. Podobna propaganda najskuteczniejszą będzie w Rosyi, gdzie na takie hasło wnet podniesie się przeciw własnemu rządowi ciemiężony „chłop moskiewski", nastąpi „zrewolucyonizowanie Małorosyi", „powstanie Ukrainy", kozaczyzny itp. Na czele nowej insurekcyi polskiej postawić należy dyktatora, wzorem rzymskim: będzie nim oczywiście Kościuszko. Pod nim dopiero ustanowi się tymczasowy rząd narodowy, w rodzaju dawnej, lecz poprawionej Rady powstańczej, pod nazwą Kongresu, wzorem amerykańskim. Rzecz główna: działać samoistnie, liczyć tylko na siebie. Legiony niczego dla kraju wskórać nie zdołają: „10 tysięcy Polaków... zginęło w dwóch kampaniach włoskich... poginęli ci mężni ludzie na obcej ziemi, a bracia ich jęczą w niewoli". Wskórać można jedynie powstaniem powszechnem w domu, z woli własnej, mocą własną. „Polacy, nie czekajcie na *żadne okoliczności*, nie oglądajcie się ani na wojnę czyjąkolwiek, ani na pokój: macie siły wielkie, użyjcie ich przeciw nieprzyjaciołom, a zwyciężycie".

Niezwykłe pismo niniejsze, wydane w Paryżu w 1800 r., a później wielokrotnie przedrukowywane, posiada znaczenie wybitne, nietyle samo przez się, ile jako źródło najwcześniejsze całego kompleksu pojęć, które miały w następstwie, raz po razie, zaciążyć na losach

narodu. Doktryna, tu wyłożona, miała w następstwie wcielić się żywcem w rozpacznych przedsięwziach partyzantek polistopadowych i jeszcze powstania styczniowego. W niniejszej atoli chwili spotkała się ona ze stanowczym oporem rozważniejszych żywiołów emigracyjno-legionowych. Pawlikowski, z polecenia Kościuszki i przy materyalnem jego poparciu, zaraz po odbiciu tej broszury, zaczął całe jej „pakiety" wysyłać do kraju przez powracających wychodźców. Posłał też pewną ilość egzemplarzy na ręce zaufańszych radykałów legii naddunajskiej. Tutaj zwłaszcza szef tworzonego dopiero batalionu czwartego, mającego swój zakład w Neubrisachu, Grabski, głowa mętna, krzykacz, intrygant i warchoł zawołany, był „głównym korespondentem malkontentów". Na szczęście, zawczasu powzięli o tem wiadomość roztropniejsi sztabowcy legii. Spowodowali oni niezwłocznie zbiorową odezwę oficerów do Kniaziewicza przeciw rozpowszechnianiu rzeczonego pisma i przeciw zawartej w niem pobudce powstańczej. Z polecenia Kniaziewicza, jeden egzemplarz przez Kosseckiego przesłany został Barssowi do Paryża, z żądaniem bliższych pojaśnień. Barss, przed którym druk trzymany był w ścisłym sekrecie, znowuż przebrał miarę i nieproszony podjął się niezaszczytnej roli oskarzyciela zza węgła. Doręczył on ów egzemplarz, wraz z przekładem francuskim, swemu przyjacielowi Bonneau i skłonił go do podania formalnej z tego powodu skargi Talleyrandowi. Pawlikowski zaraz wzięty został w opiekę policyi, a znalezione jeszcze na składzie egzemplarze jego książki uległy konfiskacie. Ale i sam Kościuszko narażony został na poufne od rządu ostrzeżenie. Innych przykrości i kłopotów od własnych doświadczył rodaków. Jego myśl powstańcza i agitująca za nią książka, uznane za „najszkodliwsze", wywołały rzeczoną odezwę protestującą legii naddunajskiej. Z czelnem pismem zwrócił się do niego Orchowski: wyrzucał mu z powodu tej książki wydanie spi-

skowego sekretu, oskarzał go wprost o „krzywoprzysięstwo“, odsyłał mu jego przysięgę, żądając zwrotu swojej i sprytnie tym sposobem z ryzykownej wyzwalając się afery. Dotknięty protestem naddunajskim, Kościuszko bardziej jeszcze odtąd oddalił się od Kniaziewicza. A i do Dąbrowskiego temi czasy, skutkiem przykrej niedyskrecyi, znacznie ochłódł. Ale przynajmniej też od niektórych uwolnił się bałamutów; oddalił Pawlikowskiego, zerwał z Orchowskim; odwołał wreszcie swój akces do Towarzystwa republikanów. Zarazem zniechęcił się ostatecznie do Francyi konsularnej wogóle, a Bonapartego w szczególności. Odtąd poczynał stopniowo wycofywać się z właściwych spraw politycznych, zamykać się w zaciszu prywatnem, ograniczać do obowiązków ojca i opiekuna biedoty wygnańczej, a zwłaszcza drogiej jego sercu młodzieży legionowej. Przestawał być kierownikiem, pozostał patryarchą Polski, drogim symbolem jej prawowitych, choćby docześnie niedościgłych pragnień. Nie był już przy nim ster, była kotwica narodu.

V.

Tymczasem rokowania francusko-austryackie, prowadzono w Lunewilu między Cobenzlem a Józefem Bonapartem, szły jak z kamienia. Cobenzl, bardzo nieustępliwy, wyraźnie postaremu przewlekał. W Wiedniu jeszcze liczono na atuty wojenne i polityczne. Liczono na wzmocnione armie niemiecką i włoską, na których czele, zamiast pobitych Kraya i Melasa, postawiono arcyksięcia Jana i Bellegarda. A liczono też nienajmniej na pomyślne przewroty w Petersburgu i Paryżu. Wiedziano o spiskowych w Rosyi obrotach paninowsko-wielkoksią-

żęcych i brano w rachubę możliwość gwałtownej nad Newą niespodzianki pałacowej, utrącenia Pawła. Zaś podobnie jak za Dyrektoryatu, tak i teraz, za Konsulatu, wiedziano o spiskowych we Francyi robotach rojalistyczno-radykalnych i brano w rachubę możliwość gwałtownej nad Sekwaną niespodzianki ulicznej, utrącenia Bonapartego.

Wprawdzie między rojalistami francuskimi a Bonapartem były nawiązane pewne próby ugodowe, będące także w osobliwszym związku ze sprawą polską. Sam wysiadujący w Mitawie, na komornem rosyjskiem, hr. Prowancyi, hr. Lille, czyli król francuski *in partibus*, Ludwik XVIII, zaraz po zamachu brumaira był podejmował starania, celem pozyskania Pierwszego konsula dla sprawy restauracyi bourbońskiej. Następnie, po jego zwycięskim z Marenga powrocie, pretendent zwrócił się do niego oraz do trzeciego konsula, Lebruna, z wymownym apelem pisemnym, za pośrednictwem Talleyranda i swoich agentów w Paryżu. Bonaparte odpisał krótko, grzecznie i odmownie. Zarazem, niewiadomo napewno, czy z jego, czy też z własnej pobudki, Lebrun tajnemu pośrednikowi pretendenta, księdzu Montesquiou, oświadczył ustnie, iż „Bonaparte uważa za możliwe odbudowanie Polski, i byłby gotów ułatwić tam panowanie Ludwika XVIII i jego spadkobierców“. Dziwna to zaiste była ironia losu: koronę, porzuconą niegdyś przez zbiegłego z Polski Walezego, miałby teraz kłaść przegnany z Francyi Bourbon. Srodze obruszył się pretendent na podobną ofertę polską, nieprzystojną dla „sukcesora 33 królów“ francuskich. Nie bez powodu zresztą dopatrywał się w niej „danaowego daru“, podstępnej chęci skompromitowania go wobec mocarstw rozbiorowych, a zwłaszcza wobec gospodarza rosyjskiego, na którego łaskawym był chlebie. Naogół, cały ten dziwny epizod pozostał dość zagadkowym. Brak bezpośredniego w tej mierze pisemnego dowodu z pierwszej ręki, od samego Bonapartego, ani

nawet z drugiej, od Lebruna; są pośrednie tylko świadectwa, z trzeciej ręki rojalistycznej. Niepodobna też orzec dokładnie, jaki był istotnie udział i zamiar Pierwszego konsula w tej sprawie, conajmniej wielce podejrzanej, zalatującej grubym politycznym szantażem. Jakkolwiekbądź, po tych niedoszłych usiłowaniach ugodowych w ciągu lata 1800 r., nastąpiło tem większe naprężenie pomiędzy wydziedziczonym rojalizmem a jego sukcesorem, Pierwszym konsulem. Zaczynała się walka śmiertelna, prowadzona z całą bezwzględnością przez Bonapartego i jego przeciwników. Konsulat wkraczał w okres spisków nieubłaganych, morderczych. Konspiracya i tym razem z dwóch wręcz przeciwnych płynęła źródeł, emigrancko-rojalistycznego i wojskowo-republikańskiego. Bonaparte skłonny był zrazu niedoceniać pierwszej, przeceniać drugą. W rzeczywistości obiedwie konspiracye w najrozmaitszych postaciach, wyłączając się napozór, a przecież częstokroć najściślej sprzężone i spółrzędne, miały stale odtąd towarzyszyć Konsulatowi i Cesarstwu, godząc z reguły wprost w życie Bonapartego i Napoleona.

Jeśli tedy obecnie nie bez powodu liczono się w Wiedniu z ewentualnością gwałtownych w Petersburgu i Paryżu zajść i przewrotów, to jednak już co do pory tych wypadków mocno się przeliczono. Nic jeszcze niespodzianego z carem ani konsulem nie zaszło, a tymczasem na opornych targach lunewilskich minął termin upływającego w listopadzie 1800 r., ostatniego rozejmu Bonaparte nakazał natychmiastowe wypowiedzenie go dla obu naraz teatrów wojny, we Włoszech i Niemczech. Rozgorzała więc nanowo walka nad Minciem i Renem. Najpierw, w drugiej połowie listopada, rozpoczęły się kroki wojenne we Włoszech. Tutaj zresztą już od połowy sierpnia nastąpiła zmiana w komendzie naczelnej, przez nagły upadek Masseny, od niedawna dowódcy połączonej armii włoskiej. Zleciał on niespodzianie z ko-

mendy, zastąpiony przez Bruna, obejmującego z powrotem dowództwo w Medyolanie, i odwołany do Paryża. Powody nagłego tego zarządzenia były dość ciemne. Obok przeniewierstw pieniężnych Masseny, głównym powodem był podobno wykryty udział jego w pewnych tajnych knowaniach wojskowo-politycznych. Bezpośrednim skutkiem dziwnej tej afery było też aresztowanie Chadzkiewicza, Zajączka, Mierosławskiego i paru innych jeszcze Polaków, osadzenie ich w wieży Templu i poddanie surowemu śledztwu. Owóż następca Masseny, Brune, powołany teraz do wielkiej akcyi zaczepnej przeciw następcy Melasa, Bellegardowi, prowadził ją ze stałem powodzeniem, lecz naogół dość ospale. Dopiero pod koniec grudnia 1800 r. zepchnął on Austryaków z zajętych po Marengu stanowisk, przekroczył Mincio, a w początku następnego roku Adygę. Równocześnie Macdonald wtargnął do Trentina. Zagrożeni na tyłach Austryacy cofnęli się aż za Tagliamento. Wszelako już w połowie stycznia 1801 r. nastąpiło z tej strony ponowne zawieszenie broni, tym razem wyprzedzając nakrótko zawarcie pokoju.

Pierwsza legia polska w skromnej tej kampanii skromny też tylko wziąć mogła udział. Dąbrowski, uradowany objęciem komendy, po dość niemiłym sobie Massenie, przez starego swego znajomego Bruna, odebrał od niego rozkaz zebrania całej swej legii w Cyzalpinie, co zresztą już przedtem przez Massenę i Carnota, przy wstawiennictwie Kościuszki, postanowionem było. Skutkiem tego zaraz w początku października 1800 r. przybył Dąbrowski z Marsylii do Medyolanu. Tutaj niebawem wszystkie polskie ściągnęły bataliony, wraz z zakładem, prowadzonym przez wróconego z niewoli austryackiej Wielhorskiego. Trwało jeszcze wtedy pierwotne, przedłużone we wrześniu, zawieszenie broni na obu frontach, niemieckim i włoskim; oczekiwano co dnia dojścia pokoju. Nastrój wychodźctwa polskiego był przeto dosyć przygnę-

biony. Kniaziewicz, na wieść o tem nowem przedłużeniu rozejmu, czując pokój w powietrzu, zaraz pod koniec września 1800 r. pisał strwożony do Dąbrowskiego, proponując niezwłoczne zjechanie się w Paryżu dla dowiedzenia się o losie ojczyzny i wspólnej interwencyi osobistej u Bonapartego. Uprzedzał zarazem, że, na wypadek milczącego o Polsce pokoju, większość oficerów legii naddunajskiej służbę porzuci i do domu wróci. Podobnież trwożył się Wielhorski: „Pokój zdaje się być pewnym — pisał Wybickiemu w początku października.—My, jak ta owca obłąkana, tułająca się przed burzą, pod dębem wyniosłym czekać będziemy, póki nas albo gospodarz dobroczynny do owczarni, albo rzeźnik na kloc nie poprowadzi... Jeżeli Polska zupełnie ma być wymazaną z rzędu mocarstw, ...zatem i egzystencya naszego korpusu upada... Co do mnie, służę dopóty, dopóki wolno mi czapkę i hastę polską nosić. Cudzego munduru na moim grzbiecie nikt nie zobaczy“. Nie był wolnym od podobnych obaw sam Dąbrowski i do podobnej też wtedy skłaniał się konkluzyi. „Dłużej bawić nie myślę, — pisał on również do Wybickiego w połowie października — jak do pokoju generalnego. Kiedy już Francya i inne narody powiedzą, że już niemasz imienia Polski, natenczas i ja szukać będę zacisza, czekając końca dni moich“. Wybicki, który podówczas, po niedoszłej audyencyi u Bonapartego i nieszczególnym obrocie rzeczy polskich w Paryżu, postanowił ostatecznie Francyę opuścić i osiąść w Saksonii, ze swej strony pisał na wyjezdnem Dąbrowskiemu w listopadzie 1800 r., iż „słabą ma nadzieję o ojczyźnie” i radzi „z honorem skończyć egzystencyę legionów“.

Tymczasem w Medyolanie spotkał się Dąbrowski z ważną zmianą organizacyjną. W początku listopada 1800 r., w myśl rozkazu Pierwszego konsula, wyszło zarządzenie Bruna, iż pierwsza legia polska aż do liczby 6 tysięcy ludzi przenosi się od początku bieżącego roku republikańskiego, t. j. z datą wsteczną od

września tegoż roku, z powrotem na żołd cyzalpiński Wprawdzie było to zarządzenie tymczasowe, spowodowane głównie względami finansowemi, a miało też ten dobry skutek, iż łatwiej odtąd było o fundusze i prędzej można było oporządzić legię. Wprawdzie w rozkazie dziennym Bruna wyraźnie też zastrzeżonem było, iż, pomimo tej inowacyi, „Polacy stanowią zawsze część składową armii francuskiej“ i zachowują nadal kokardę i chorągwie francuskie. Istotnie, ośm takich chorągwi dla każdego batalionu i artyleryi, przy pochlebnem piśmie Berthiera, który w tym czasie objął z powrotem po Carnocie ministeryum wojny, niebawem przywiezionych zostało Dąbrowskiemu przez Dembowskiego z Paryża. Zawszeć jednak zarządzenie powyższe, okazując dowodnie nieustatkowany bynajmniej charakter świeżej formacyi legionowej polsko-francuskiej, było poniekąd ostrzegawczą zapowiedzią smutnych w tym względzie niespodzianek w bliskiej przyszłości. Gdy wkrótce potem wznowione zostały operacye wojenne, legia polska, licząca wtedy przeszło 5 tysięcy ludzi pod bronią, znowuż nie została użytą ani w kupie, ani w pierwszej linii bojowej, lecz, postaremu rozproszona, otrzymała od Bruna przeznaczenie raczej drugorzędne. Część zostawiono w Medyolanie; część posłano do blokowania Ferrary i Mantui; oddział główny pod Dąbrowskim, przeszło 2 tysiące ludzi, wyprawiono nad jezioro Gardę, do oblegania warownej Peschiery, głównie w celu zamaskowania ruchów armii głównej nad Minciem. Wszędzie ze zwykłą tęgością sprawili się legioniści; szczególnie na trudnym i niewdzięcznym posterunku pod Peschierą znaczne oddali usługi. Jednocześnie w pojedynkę odznaczyli się wybitnie Jabłonowski, na czele półbrygady francuskiej pod Bologną, oraz Wołodkowicz, który na czele dragonów francuskich jeden z pierwszych przedostał się przez Mincio. W zmudnej tej dwumiesięcznej kampanii zimowej włoskiej, bili się bezustanku Polacy aż do stycznio-

wego rozejmu 1801 r. Jakkolwiekbądź, nie miała tu legia pierwsza stosownego do działań znakomitszych pola. Wynagradzał to sobie na inny sposób Dąbrowski. Pokazał on tę sztukę rzadką, iż pośrodku niniejszej trwającej kampanii swoją legię zaokrąglił liczebnie, a niebawem, jak się rzekło, na wyższej niż kiedykolwiek, ponad komplet, postawił stopie. Niestety, syzyfowe to miały być prace.

W tej samej porze, na drugim teatrze wojny, w Niemczech, legia naddunajska, dużo słabsza liczebnie i organizacyjnie, do nierównie świetniejszych powołana była czynów. Tutaj Moreau do wielkich gotował się rzeczy. Dusza niewątpliwie wyższa, charakter szlachetny, lecz słaby, małostkowy, obcym wpływom łatwo podległy, niepospolity ten wódz, jedyny naprawdę, od śmierci Hocha, rywal Bonapartego, nie umiał ani jemu się poddać, ani z nim współżyć, ani go zwalczyć. Najpochlebniej przez niego głaskany, uległszy mu chwilowo podczas zamachu brumaira, potem odebrał mu siebie z powrotem. Świeżo właśnie, za swej ostatniej bytności w Paryżu, latem 1800 r., miał sobie od niego ofiarowane małżeństwo z jego pasierbicą, córką Józefiny, Hortensyą Beauharnais, lecz pogardliwie odtrącił ten związek, poślubił inną, i odtąd przez ambitną żonę i teściowę był gorączkowo podniecany do spółzawodnictwa, do walki z Bonapartem. Tej rywalizacyi on teraz, we wznowionej kampanii, najpiękniejszy myślał dać wyraz świetnym czynem wojennym, mającym przygasić Marengo. W rzeczy samej, Moreau, rozpocząwszy z końcem listopada na wielką zaraz skalę działania zaczepne w Bawaryi przeciw armii cesarskiej, dowodzonej po Krayu przez młodego, niedoświadczonego arcyksięcia Jana, już w tydzień, 3 grudnia 1800 r., pod Hohenlindenem, pełną swą armią zwarł się z połączoną armią bawarsko-austryacką, i przy równych niemal siłach, po 60 tysięcy ludzi z każdej strony, od jednego zamachu zupełne, roz-

strzygające kampanię i wojnę, odniósł zwycięstwo. Legia Kniaziewicza, t. j. gotowe wtedy pierwsze trzy bataliony piechoty, cztery lekkie szwadrony jazdy w 500 koni, i kompania artyleryi konnej, razem przeszło 3 tysiące ludzi, umieszczona była pierwotnie na lewem skrzydle. Nagle, tuż przed rozpoczęciem operacyi wojennych, została przez Moreau przeniesioną na skrzydło prawe i oddaną do dywizyi generała Decaena. Wedle wiarogodnego świadectwa Kniaziewicza i Godebskiego, zapewne na podstawie informacyi pochodzącej od samego Moreau, „oddalenie legii z lewego skrzydła uskuteczniło się, jakeśmy się potem dowiedzieli, na rozkaz z Paryża (od Bonapartego), gdyż za blisko byliśmy granic pruskich, czego król pruski wcale nie lubił". W każdym razie to przegrupowanie okazało się zewszechmiar szczęśliwym dla legii wypadkiem. Dzięki temu bowiem mogła ona wziąć godny siebie udział w rozstrzygnięciu bitwy hohenlindeńskiej, które właśnie z tej strony, na prawem skrzydle, nastąpić miało. Tutaj mianowicie, uplanowany przez Moreau, szeroki na tyły austryackie manewr oskrzydlający, uwieńczony został w chwili stanowczej energicznem wdaniem się legii. Już w tem miejscu, na moczarach leśnych pod Sankt-Christophem, śród walącej gęsto śnieżycy, naciskani przez piechotę austryacką i jazdę ułańską, zachwiali się Francuzi. Wtem, właśnie w chwili, gdy śnieg ustał i nagle z poza zimowej chmury pełne wybłysło słońce, Kniaziewicz z batalionem legii, idąc na bagnety, poparty przez jazdę legionową, z niewstrzymaną uderzając furyą, o powodzeniu całego flankowego zdecydował natarcia, a tem samem, na skromną miarę liczebną możności swojej, jaknajskuteczniej do wielkiego sukcesu całej hohenlindeńskiej przyłożył się batalii. O duchu, okazanym w tej potrzebie przez legionistów naddunajskich, świadczy taki chociażby epizod, iż ułan legionowy, Jan Pawlikowski, ubiwszy lancą kapitana i porucznika austryackiego, wziął do niewoli ca-

łą kompanię z 57 ludzi. Austryacy stracili pod Hohenlindenem około 10 tysięcy ludzi; lecz bojowa ich odporność bardziej jeszcze moralnie, niż materyalnie, była złamaną. Armia ich w największym cofała się pośpiechu i popłochu. Z największą znów energią, w awangardzie francuskiej, uczestniczyli w pościgu Polacy Kniaziewicza, niezmordowanie następując na pięty uchodzącemu nieprzyjacielowi. Gdy jeźdzcy legionowi, pierwsi wpław przebywszy wezbraną Salzę, znaleźli się naprzeciw brygady wirtembersko-austryackiej, ułan legionista „Trandowski, z kompanii szóstej kapitana Dulfusa, — epizod również nieźle legionową malujący fantazyę, — generała księcia Liechtensteina, na czele swej brygady stojącego, w skutku zakładu z kolegą swoim o halbę wina, wziął w niewolę, i pomimo strzałów nieprzyjacielskich, zmęczonego i zduszonego swemu kapitanowi przyprowadził". Szybkim marszem posuwano się naprzód wprost na Wiedeń. Już w drugiej połowie grudnia sztab legionowy kwaterował w opactwie Kremsmünster, o ledwo dwadzieścia parę mil od stolicy. Armia austryacka w nieporządnym odwrocie topniała raptownie. Arcyksiążę Karol, który po pobitym Janie na gwałt powołany został do objęcia nad nią dowództwa, znalazł ją w stanie „graniczącym z rozpaczą i zupełnym rozkładem". Naliczył pod bronią już tylko dwadzieścia kilka tysięcy ludzi, naprzeciw pełnych dziewięciu zwycięskich dywizyi francuskich. Natychmiast też zaczął od prośby o zawieszenie broni. Moreau w tejże chwili udzielił zgody. Tak, już w trzy tygodnie po Hohenlindenie, w grudniu 1800 r., zawarty został rozejm w Steyrze. Uratował on od zguby, wedle świadectwa arcyksięcia Karola, resztki armii i stolicę austryacką. Rozejm dotyczył oczywiście tylko terenu niemieckiego, lecz przewidywał również wstawiennictwo Moreau celem zawieszenia walki także na terenie włoskim. Był w każdym razie ważnym przygotowawczym ku pokojowi krokiem. Zaś zarazem, w nieuniknionej konsekwencyi, był

dotkliwym krokiem przygotowawczym do ostatecznej ruiny wychodźczych i legionowych widoków polskich.

Rozejm steyrski był dziełem osobistem samego Moreau. Nie może tu być mowy o przymusowym nacisku Bonapartego, który wcale nie mógłby wtedy takiego nacisku wywrzeć na zwycięscy Moreau, a nie wywarł nawet na Brunie, operującym swobodnie jeszcze przez blisko miesiąc. Poprostu, sam Moreau, dla względów rzeczowych, a nienajmniej też osobistych, nie chciał ryzykować hohenlindeńskiej sławy, nie chciał zdobywać Wiednia. „Zdobycie pokoju więcej warte“, odparł na zarzuty Decaena. Zamiast zapuszczać się dalej w głąb monarchii habsburskiej, wolał on wrócić do Paryża, zająć należne sobie w narodzie miejsce przewodnie, może policzyć się z Bonapartem. W gruncie rzeczy, z wojskowo-politycznego stanowiska generała Moreau, Steyr to było jego Leoben. Obecnie jego pobudki były poniekąd skroś pokrewne do ówczesnych, przed trzema laty, generała Bonapartego. A była to też, ze stanowiska polskiego, skroś podobna bieda. Właściwie nawet, pod kątem widzenia polskim, odpowiedzialność Moreau była nierównie większa. Był on bliższy Wiednia, niż leobeński jego poprzednik; miał armię znacznie od niego silniejszą; co zaś główna, kiedy tamten całkiem bez polskiej obył się broni, on prowadził z sobą legię polską, która krwią swoją do jego przyczyniła się tryumfu, i która, tak bardzo już do granic ojczystych przybliżona, tem goręcej wyrywała się do Polski. A jednak, rzecz zastanawiająca, Moreau, samem tylko życzliwem względem Polaków wzięciem się, samą okazywaną wydatnie, napewno szczerą, lecz żadnym płodnym czynem niepopartą, sympatyą dla sprawy polskiej, potrafił aż do końca życia, wtedy nawet, gdy, po leciech kilkunastu, razem z koalicyą trójrozbiorczą, przeciw własnej ojczyźnie francuskiej, a wraz i przeciw broni polskiej, będzie walczył i ginął, zachować opinię niezawodnego przyjaciela

Polski. Potrafił też w obecnej porze, podczas zawieranego z Austryą rozejmu, ujść wszelkich z tego tytułu ze strony polskiej wyrzutów, wszelkiej odpowiedzialności, która całkowicie zwaliła się na barki Bonapartego.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, w tej samej nieomal godzinie, gdy w Steyrze podpisywano zawieszenie broni, w Paryżu dokonany został pierwszy i najstraszliwszy zamach na życie Bonapartego. Tegoż wieczora, gdy on jechał powozem do Opery, nastąpił wybuch maszyny piekielnej na ulicy Saint-Nicaise, zabijając i raniąc osoby z najbliższego jego orszaku. Cudem ocalony Pierwszy konsul, wierząc w spisek rewolucyjny, zarządził srogą represyę przeciw żywiołom republikańskim. Miał w tem to jeszcze wyrachowanie, że sam już sterując ku monarchii, przystosowywał się i tym sposobem do pojęć tych monarchów, z którymi dotychczas wojował a teraz szukał pokoju. Przystosowywał się aż nadto do pojęć silnej ręki niemiłosiernego Franciszka, a zwłaszcza despoty Pawła. Ta mściwa represya, dochodząca aż do proskrypcyi i deportacyi, była nietylko niecnym gwałtem, lecz grubym też błędem. Albowiem zamach był dziełem nie republikanów, lecz rojalistów. W każdym razie musiał on jeszcze bardziej utwierdzić Bonapartego w pożądaniu pokoju z Europą, dla konsolidacyi swej władzy we Francyi. Tutaj w samą porę przypadło Hohenlinden. Niezwłocznie, obok zawartych rozejmów w Niemczech i Włoszech, wznowione zostały w Lunewilu układy pokojowe z upokorzoną Austryą, tym razem już całkiem naseryo w chyżem prowadzone tempie. W samą też porę przyjazne pisma i poselstwa cara Pawła przybywały do Paryża. Było to najskuteczniejsze lekarstwo na rozpaczliwą oporność Austryi i Cobenzla, a także na chciwe wścibstwo Prus i Lucchesiniego. Przed niedaleką pacyfikacyą austryacką, zaś co główna, zbliżającym się również pokojem a może sojuszem rosyjskim, Bonaparte już z góry wszelkie niemiłe pragnął z drogi usu-

nąć przeszkody. Jedną z najdraźliwszych pozostawała oczywiście sprawa polska. Już w końcu grudnia 1800 r., Pierwszy konsul nakazał ministrowi policyi, Fouchému, „skonfiskować i zniszczyć wszystkie egzemplarze broszury pod tytułem: „Niemasz gruntownego i trwałego pokoju bez odbudowania Polski“. Prawdy, w owym tytule zawartej, choć już o niej wewnętrzne mówiło mu czucie, nie chciał jeszcze słyszeć, nie chciał jeszcze o niej wiedzieć, chciał jeszcze ujść przed nią Bonaparte. Ale ta prawda za nim pójdzie, dopadnie go i zabrzmi mu w gromach Austerlitzu, Jeny i Friedlandu, a także Berezyny, Lipska i Waterloo.

Narazie jednak aktualniejsze górowały względy. Układy lunewilskie szybko pomyślnego dobiegały końca. Pod naciskiem własnej bezsilności wojennej, a nienajmniej też nieuchronnego ku Francyi zwrotu Pawła, Austrya ostatecznie składała broń. W początku lutego 1801 r., przez Cobenzla i Józefa Bonapartego, podpisany został między Republiką francuską a cesarzem, t. j. Austryą wraz z Rzeszą niemiecką, pokój w Lunewilu, ratyfikowany z początkiem marca w Wiedniu i Paryżu. Traktat lunewilski potwierdzał i rozszerzał na rzecz Francyi warunki campoformijskie. Oddawał jej cały lewy brzeg Renu, wraz z Belgią. Usuwał Austryę za Adygę, wzamian za odszkodowania wenecko-dalmatyńskie. Wydawał całe pozostałe Włochy pod wpływ francuski. Uznawał Cyzalpinę i Liguryę, przekazując nadomiar odebraną Habsburgom Toskanię do rozrządzenia Francyi, na rzecz Bourbona z linii hiszpańskiej, kuzyna i zięcia króla hiszpańskiego, ks. Ludwika infanta Parmy, przeznaczonej dla Cyzalpiny. Uzupełnieniem tego ostatniego punktu był równoległy układ z Hiszpanią, która, już poprzednio ustąpiwszy Francyi swoją część wyspy San-Domingo, obecnie, w marcu 1801 r., zwracała jej ponadto Luizyanę, wzamian za oddanie Toskanii ks. Ludwikowi. Zresztą, w układach lunewilskich, warując

wzajemny zwrot wszystkich jeńców wojennych i zakładników, oczywiście pominięto całkowicie sprawę polską. Niedość na tem, w najpierwszym zaraz artykule umieszczono przejęty dosłownie z tekstu campoformijskiego warunek, godzący prosto w tę sprawę. Przejęto zobowiązanie obopólne nieudzielania „żadnej pomocy, ani poparcia, bezpośrednio czy pośrednio", wzajemnym zagranicą wrogom wewnętrznym, t. j. emigracyi rojalistycznej francuskiej, jakoteż legionowej polskiej. Był tedy traktat lunewilski, podobnie jak umowy leobeńska i campoformijska, a nawet, wobec większej konsolidacyi pokojowej, był w wyższym jeszcze stopniu, ciężką klęską wysileń i widoków wychodźczych polskich, a w szczególności legionowych.

VI.

Pokój lunewilski z Austryą miał być przegrywką do pokoju i przymierza Francyi z Rosyą. Przybywał właśnie do Paryża nadzwyczajny wysłannik carski, Kołyczew. W tajnej dla niego instrukcyi ofiarował Paweł Pierwszemu Konsulowi, pełne spółdziałanie polityczne i wojenne w walce z Anglią. Ofiarował mu „poniżenie domu habsburskiego podług jego (Bonapartego) woli". Gorąco natomiast wstawiał się za papieżem, „jako głową wiary katolickiej, wyznawanej przez jedną trzecią dzierżaw moich". Radził Bonapartemu „objąć tytuł królewski, a nawet uczynić koronę dziedziczną w rodzinie swojej". Proponował mu ścisły związek, mocą którego samowtór „moglibyśmy rozrządzać pospołu resztą Europy". Zastrzegał jednak wyraźnie w osobnym tej instrukcyi ustępie, iż „nie będę mówił o Polsce, o której zgoła wzmiankować nie należy, tembardziej, że na-

leży ona do trzech mocarstw". Nakazywał również, w oddzielnym artykule dodatkowym, „nalegać na zniesienie klubów, komitetu polskiego (w Paryżu), oraz wszelkich wogóle urządzeń *(établissements)*, istniejących poza Francyą, a zajmujących się szerzeniem zasad demokratycznych... za zgodą i pod opieką rządu francuskiego". Pod temi „urządzeniami", rzecz prosta, dorozumiewać się należało przedewszystkiem legionów polskich. W początku marca 1801 r., po przybyciu Kołyczewa, zaczęły się natychmiast bezpośrednie rokowania pokojowe francusko-rosyjskie. Niebardzo zresztą nadawał się do nich Kołyczew, rdzenny Moskwicz starej daty, nienawidzący Zachodu, Francyi, a zwłaszcza Polski, osobiście przytem człek zły, żółciowy, podejrzliwy. Nie omieszkał on bacznie śledzić wychodźców polskich w Paryżu, i w doniesieniach swoich ciągle przestrzegał Pawła przed tajnemi planami odbudowy Polski, żywionemi przez Bonapartego. To też na pierwszej zaraz konferencyi pokojowej Kołyczewa z Talleyrandem, wyłoniła się sprawa wspólnej akcyi obronnej przeciw obustronnym, bawiącym zagranicą, „wrogom wewnętrznym". Kołyczew w tej sprawie, wobec Talleyranda, ponowił najdosłowniej żądania, stawiane w 1797 r. przez Panina w jego konferencyach berlińskich z Caillardem, powołując się na ówczesne ustępstwa rządu dyrektoryalnego. Talleyrand, imieniem konsularnego, również żadnych w tym względzie nie czynił trudności. Tak więc, w zaprojektowanych zgodnie, przez niego i Kołyczewa, dwóch artykułach przyszłego traktatu pokoju z Rosyą, jak dopiero co z Austryą, zastrzeżono podobnież zakaz dostarczania „jakiegokolwiek zasiłku, albo kontyngensu, w ludziach, ani pieniądzach", na rzecz owych „wrogów wewnętrznych"; przydano nadto zakaz utrzymywania przez nich korespondencyi, propagowania dążeń wichrzycielskich itp. To wszystko jawnie godziło w samą istność emigracyjną i legionową polską. Ale w tej chwili cała,

napozór tak nikła, sprawa polska schodziła na plan dalszy, wobec wielkich korzyści aktualnych, jakie związek z Pawłem otwierał Bonapartemu. Przez samą tylko groźbę carską odrazu uśmierzone zostały Prusy. Narzucały się one natrętnie ze swojem pośrednictwem i żądaniem indemnizacyi za lewy brzeg Renu, a zmuszone zostały wziąć ją w Hanowerze, własności domu angielskiego, zmuszone tedy, w ogonie Rosyi i Francyi, deklarować się przeciw Anglii. Rozjuszenie Pawła na Anglię skądinąd znów otwierało drogę najśmielszym pomysłom Bonapartego. Poruszana, jak wskazano, jeszcze przez polityków rewolucyjnych, i pewnie nieraz od Sułkowkowskiego słychiwana, myśl ekspedycyi indyjskiej, stycznej poniekąd z egipską, przybierała teraz dla Pierwszego konsula kształty realne, skoro pospołu z Rosyą miałaby zostać wykonaną. Był już wtedy szczegółowo rozważany przez Bonapartego plan wspólnej, francusko-rosyjskiej operacyi na Herat, Kandahar, Kabul, przeciw Indyom. Już Paweł atamanowi Płatowowi bajeczną wydawał instrukcyę: „Pójść do Gangesu, a potem na prawo"; już nawet, w marcu 1801 r., nastąpił wymarsz 20 tysięcy kozaków ze stanic dońskich ku Orenburgowi, na indyjską wyprawę.

Wtem uderzył grom, niweczący całą, tak świetną, konjekturę rosyjską Bonapartego. Tron carski nowa atrydowa skalała zbrodnia, po synobójstwie Piotra, mężobójstwie Katarzyny, ojcobójstwo Aleksandra. Po nieudanym pierwszym spisku Panina, dojrzewał wtóry, dzieło generał-gubernatora petersburskiego Pahlena, braci Zubowów, generała Bennigsena i innych dostojników. Dojrzewał z pełną wiedzą i aprobatą Aleksandra. Ten W. Książę następca, a przyszły car, którego wyniesieniu cała spiskowa służyła czereda, z niezgłębioną w młodzieńcu byzantyjską hipokryzyą, oszukując spólników i nawet samego siebie, udawał, że idzie mu jedynie o objęciu regencyi, o skłonienie ojca do abdykacyi, nie

tykając mu włosa z głowy, choć wiedział wybornie, że tylko przez mord, tylko po jego trupie, dojść mógł do władzy. Nareszcie ohydny zamach carobójczy dokonał się w ponurym pałacu Michajłowskim w Petersburgu, ponurej nocy marcowej 1801 r. Paweł został zgładzony, zaduszony. Aleksander I skrwawioną wszechrosyjską włożył koronę. W polityce zagranicznej dworu petersburskiego nastąpił zwrot gwałtowny. Kierunek jej objął napowrót Panin. Odrazu przywrócone zostały przyjazne z Anglią i Austryą stosunki. Odrazu też ochłodziły się stosunki z Francyą konsularną. O sojuszu francusko-rosyjskim nie było więcej mowy. Conajwyżej, rząd nowego cara, zajęty narazie, po krwawym przewrocie, utrwaleniem się nawewnątrz, unikając więc jeszcze powikłań zewnętrznych, nie zrzekał się wszczętych za poprzednika rokowań pokojowych z Francyą. Ale te rokowania szły odtąd, jak po grudzie, prowadzone przez Panina w duchu podejrzliwym, opornym i twardym. Wprawdzie w składzie rządu petersburskiego zaszły wkrótce zmiany wybitne. Aleksander, właściwym sobie mądrym a podstępnym sposobem, pozbywał się zbyt kompromitujących spólników zbrodni ojcobójczej. Naprzód utrącił Pahlena, potem oddalił Panina. Otoczył się natomiast gronem młodych, zaufanych doradców z doby swej wielkoksiążęcej. Zaraz też po objęciu rządów przywołał z Włoch Adama Czartoryskiego. Utworzył się tym sposobem t. zw. tryumwirat przy boku carskim. Prócz Czartoryskiego, należał tu podobny mu szczery idealista, Paweł Stroganow, magnat bez ambicyi i bez istotnego wpływu. Należał także Mikołaj Nowosilcow, bardzo zdolny, pod maską idealizmu nikczemny karyerowicz, służalec, sprzedawczyk, pod maską serdecznej dla Czartoryskiego przyjaźni chytry i zajadły wróg Polski, jedyny z tego kółka wtajemniczony zawczasu w spisek przeciw Pawłowi, a najlepiej umiejący dogadzać najskrytszym intencyom Aleksandra. Przybrany jeszcze został do „tryumwiratu" Wiktor Koczubej, siostrzeniec

kanclerza Bezborodki, Małorus-arystokrata, giętki, praktyczny, ambitny, były poseł w Stambule, gdzie, jak wskazano, polską śledził kolonię, niebardzo Polsce życzliwy, a mianowany po Paninie ministrem spraw zagranicznych. Bądźcobądź, zarówno i w tem gronie najbliższych Aleksandra młodych przyjaciół, jak i w oficyalnym składzie rządu rosyjskiego, przeważały obecnie dawne natchnienia koalicyjne, zwłaszcza anglofilskie, a tem samem mocne uprzedzenia do Francyi republikańskiej i Pierwszego konsula.

Bonaparte wieść o zgonie Pawła przyjął okrzykiem zgrozy, odczuł ją jako cios dotkliwy. Natychmiast też przedsięwziął energiczne środki zaradcze. Pośpieszył zlikwidować sprawy włoskie. W kwietniu 1801 r. zarządził organizacyę, t. j. właściwie już wcielenie Piemontu, jako dywizyi wojskowej francuskiej, pod zarządem generała Jourdana. Przyśpieszył reorganizacyę Cyzalpiny, jako jądra republiki włoskiej, pod opieką francuską. Ułożył się, w lipcu 1801 r., ze Stolicą Apostolską; zwrócił Piusowi VII Państwo kościelne. Co główna, z przysłanym od papieża do Paryża kardynałem Consalvim zawarł konkordat religijny, pokój między Francyą, najstarszą córą Kościoła, a katolicką macierzą. Przywracał religię rzymsko-katolicką we Francyi, wprawdzie nie jako religię stanu, lecz „znacznej większości obywateli"; przywracał, obok nominacyi biskupów przez Pierwszego konsula, kanoniczną ich instytucyę przez papieża; znosił, słowem, schyzmę rewolucyjną. Uczynił ten krok arcyważny, wbrew życzeniu znacznej radykalnej większości generalicyi i administracyi francuskiej, tyleż w myśli ustalenia równowagi wewnętrznej narodu francuskiego i rządów własnych, co ułatwienia zewnętrznej, europejskiej swojej polityki. Wreszcie, po ustąpieniu Pitta wiosną t. r., za premierostwa jego następcy, Addingtona, żywo poparł rokowania z Wielką Brytanią. Doprowadził je też szczęśliwie do podpisania w Londy-

nie, w październiku 1801 r., preliminarzów pokojowych francusko-angielskich, na zasadzie zwrotu przez Anglię wszystkich prawie, wziętych od wybuchu wojny, zdobyczy kolonialnych, wzamian za ewakuacyę Neapolu i Egiptu przez Francyę. Na całej tedy linii dał sobie radę i zabezpieczył się bez Rosyi.

Swoją drogą, obywając się bez Rosyi, Pierwszy konsul nie zaniedbywał niczego, aby dojść z nią do ładu. Wyprawił do Petersburga pierwszego swego adjutanta, Duroca, z uprzejmem pismem powitalnem do Aleksandra. Misya ta wszakże wskórała niewiele. Duroc łatwo dał się ująć, oczarować wylanej serdeczności młodego cara: a jednocześnie poufne jego doniesienia petersburskie do Paryża były po drodze, z carskiego rozkazu, otwierane i decyfrowane przez Panina. Nie na więcej zdało się wysłanie nad Newę Laharpa, ktory dość śmieszną teraz odegrał tam rolę wobec byłego swego ucznia, Aleksandra; a nie zapomniał też o sobie, i odtąd, po powrocie do Szwajcaryi, właściwie rosyjskim był informatorem. Gdy jednak tymczasem ujrzano w Petersburgu, jak dobrze na własną rękę radził sobie wszędy, nawet z Anglią, Bonaparte, zdecydowano się wznowić odwłóczone rokowania pokojowe francusko-rosyjskie. W tym celu, na miejsce Kołyczewa, posłany został do Paryża Morkow, nędzny i brudny wyga czasów Katarzyny, niegdy kreatura Zubowa i wybitny spółpracownik dwóch ostatnich podziałów Polski, na których grubo się obłowił. Po jego przybyciu i szeregu konferencyi z Talleyrandem, podpisany został nareszcie przez nich obu, w październiku 1801 r., traktat paryski pokoju między Francyą a Rosyą. Traktat stanowił „pokój, przyjaźń i dobre porozumienie" wzajemne; warował „tożsamość interesów" obustronnych w sprawie indemnizacyi w Rzeszy niemieckiej, wzamian za cesye nadreńskie i włoskie na rzecz Francyi; zastrzegał przytem zachowanie ścislej „równowagi domu austryackiego a brandenburskiego". W osobnym artykule trzecim uświęcono

uroczyście omawiane tylekroć wyparcie się zobopólnych „wrogów wewnętrznych", wzbronienie im wszelkiej korespondencyi i propagandy, a nawet unieszkodliwienie takich „wrogów wewnętrznych" drugiego kontrahenta przez „wydalenie ich za granice" państwa, udzielającego im dotychczas gościny. Artykuł ten, pomimo pozorów wzajemności, nie mógł w tej chwili mieć praktycznego zastosowania do emigracyi rojalistycznej francuskiej. W rzeczy samej, pretendent Ludwik XVIII z całą swą świtą już oddawna, od początku 1801 r., był wydalony przez Pawła z obrębów rosyjskich, z Mitawy; znajdował się on obecnie w Warszawie, pod berłem pruskiem, i to za wyraźną dyspensą, daną rządowi pruskiemu przez francuski. Widocznie więc w tym artykule szło najgłówniej o emigracyę legionową polską. Owóż, podczas zawarcia tego traktatu, już urzędował w Petersburgu przy boku Aleksandra przyjacielski „tryumwirat", z Czartoryskim; a nawet wybrany przez przyjaciół Koczubej już piastował po Paninie sprawy zagraniczne. A jednak rzeczony, skierowany przeciw Polakom, kapitalny artykuł trzymany był aż do końca w najściślejszej tajemnicy przed „Sarmatą", Czartoryskim, zarówno przez ministeryum, jak i przez samego cesarza. Była to skazówka ze wszechmiar charakterystyczna dla całego dwulicowego stosunku Aleksandra do polskiego swego doradcy i do sprawy polskiej w ogólności. Była to też najpierwsza, bardzo bolesna niespodzianka dla Czartoryskiego. Dowiadywał się on znienacka, że niniejszy „pierwszy akt Aleksandra był zaparciem się łączących nas uczuć". Głęboko dotknięty, czynił Czartoryski po niewczasie gorzkie z tego powodu wyrzuty „zaambarasowanemu" cesarzowi, oczywiście bezskutecznie. Z drugiej strony, i w Paryżu niniejszy właśnie draźliwy ustęp traktatowy nie obszedł się bez zasadniczej opozycyi. W listopadzie 1801 r. traktat październikowy francusko-rosyjski podany został do zatwierdzenia, w kształcie prawa Republiki, Ciału prawodawczemu i Trybunatowi.

W odczytanem Izbom sprawozdaniu Pierwszego konsula, „O położeniu Rzeczypospolitej", po gorących pochwałach dla „wielkiej duszy" nieboszczyka Pawła, który „kochał Francyę", traktat pokoju, zawarty z jego następcą, był przedstawiony, jako zbawienny przełom w „stosunkach dwu wielkich narodów (Francyi i Rosyi), które tyle mają pobudek do kochania się, a żadnej do obaw wzajemnych, i które sama natura, dla równowagi Północy a Południa, postawiła na obu krańcach Europy". Jednakowoż, podczas rozpraw nad tym traktatem w Ciele prawodawczem i Trybunacie, ozwały się ostre zarzuty, zwłaszcza z powodu artykułu trzeciego, choć zresztą w protokółach tych obrad usunięto wszelką wzmiankę o Polsce. Rząd, dość zakłopotany, musiał uciec się do złożenia Izbom „noty, pochodzącej wprost z gabinetu Pierwszego konsula". Miała ona wyjaśnić ów właśnie nieszczęsny artykuł, lecz naprawdę nie wyjaśniała niczego. Poczem ostatecznie, rzecz prosta, przeciw trzydziestce ledwo oponentów, większością dwustu głosów, traktat z Rosyą zatwierdzony został przez Ciało prawodawcze.

Z dobiegającej kresu pacyfikacyi powszechnej, wygarnął z kolei Bonaparte owoc teraz prawie już dojrzały, a z najpierwszych jego zwycięstw wyrosły, cyzalpińsko-włoski. Zwołał na grudzień 1801 r., do Lyonu, nadzwyczajną Konsultę Cyzalpiny, w składzie kilkuset przedstawicieli, obok których znalazło się też paru biernych świadków od posiłkowej broni legionowej polskiej. Sam, w styczniu 1802 r., zjechawszy do Lyonu, nadał Cyzalpinie nową ustawę, nowe władze, i nowe, znamienne imię Republiki Włoskiej, znak przyszłego zjednoczenia wszystkich Włoch. Zarazem zaś, nie bez wywartego na zgromadzenie nacisku, kazał się obrać jej prezydentem. Złączył tedy w swojej osobie naczelnictwo dwu wielkich narodów łacińskich. W marcu 1802 r., uświęcił zeszłoroczne preliminarze londyńskie przez podpisany w Amiens traktat pokoju z Anglią. W czerwcu 1802 r.,

zawarł w Paryżu pokój z Portą, na zasadzie nietykalności jej dzierżaw, oraz ewakuacyi Egiptu, dopełnionej istotnie w ciągu następnego roku. Tak nakoniec ubezpieczony wszechstronnie od Europy, uznał porę za sposobną do utrwalenia swej władzy we Francyi. Szedł szybkiemi krokami do władzy monarchicznej, a tem samem zbliżał się do pojęć i praktyk pogodzonej z nim teraz monarchicznej Europy. Uchwalenie konkordatu i przywrócenie pokoju obchodził uroczyście, wbrew pomrukom najbliższych nawet sobie dygnitarzy i generałów, wspaniałem *Tedeum* w starożytnej narodowej świątyni Notre-Dame. Wbrew silnej w Radzie państwa i obu Izbach opozycyi, upatrującej w tem nowy rodzaj szlachectwa, ustanowił Legię honorową, w której imiona swoje krwawym znojem tak chlubnie tylu zapisze Polaków. Przełamał oporność Ciała prawodawczego i Trybunatu przez przepisaną Senatowi uchwałę o epuracyi Izb, wzbraniającą reelekcyi niedogodnych rządowi, zbyt wolnomyślnych „ideologów". Ścisnął i obezwładnił prasę przez ostre zarządzenia cenzuralne; znakomicie rozszerzył kompetencyę tajnej policyi politycznej. Wreszcie, w maju 1802 r., narzucił Trybunatowi i Ciału prawodawczemu uchwałę o Konsulacie dożywotnim, uświęconą znowuż przez plebiscyt narodowy, pod łatwiejszym jeszcze niż poprzednio naciskiem rządu. Otrzymał tym razem wyższą nawet, niż po zamachu brumaira, większość półczwarta miliona głosów, przeciw ledwo kilku tysiącom protestów, śród których coprawda też Carnota i Lafayetta. Równocześnie, uzupełniając dożywotnie swoje dostojeństwo konsularne, spowodował zadyktowaną przez siebie senacką uchwałę organiczno-konstytucyjną z sierpnia 1802 r. Nadawała mu ona prawo wyznaczenia sobie następcy, ratyfikowania traktatów pokoju i przymierza; czyniła Senat wraz główną instytucyą państwową i powolnem w jego ręku narzędziem; słowem, obdarzała Pierwszego konsula pełną już prawie, prócz tytułu, władzą monarchy. Zaczynał on też

odtąd niemal monarszym otaczać się dworem, przepychem, obyczajem. Na stopnie cesarskiego zaczynał wstępować tronu.

Tkwiło w tem atoli niebezpieczeństwo podwójne. Z jednej strony, w nowej Francyi porewolucyjnej, Bonaparte, sięgając po purpurę, ostatecznie narażał się żywiołom republikańskim w kraju i armii. Zaś natomiast w ugodowych *(ralliés)* arystokratyczno-rojalistycznych żywiołach francuskich, świetnych *ci-devant*, narzucających mu się do posad dworskich i politycznych, zyskiwał sługi niepewne, często zdradzieckie. Z drugiej znów strony, w starej Europie monarchicznej; choć zmusił do pokoju dwory, lecz bynajmniej ich nie przebłagał. Nawet w konstytucyjnej Anglii, pobożny król Jerzy i blizcy mu reakcyjni lordowie, rozżaleni wymuszonym pokojem wzdrygali się na Bonapartego, jako piekielne wcielenie jakóbiństwa. Tembardziej nienawidziły go trzy samowładcze dwory kontynentalne. Sztywny Fryderyk-Wilhelm i „flirtująca" z Bonapartem piękna królowa Luiza żywili skrycie głęboką doń niechęć i fizyczną wprost odrazę. Cesarz Franciszek, bourbońska jego małżonka i cała feudalna kamaryla wiedeńska podobnież mściwą jeno pogardę i wyniosłe obrzydzenie mieli dla korsykańskiego plebejusza, rzeźnika tylu pięknych armii cesarskich, spólnika sankiulockich morderców gilotynowanej ciotki cesarskiej, a niestety, rzecz wtedy nieprzewidziana, dla przyszłego cesarskiego zięcia. Car Aleksander, w samejże chwili pacyfikacyi z Bonapartem, odzywał się o nim, jako nędznym „oszuście", a tem mocniej na niego się boczył przez ścisłe jego związki z zamordowanym Pawłem. Wspólna, śmiertelna nienawiść dziedziców starego europejskiego rzeczy porządku musiała nieuniknionym sposobem dążyć do wyładowania się we wspólnej napaści na dziedzica rewolucyi, i nie spocznie, aż nie doprowadzi do jego zguby i zgonu. Bonaparte jaśnie to widział i do przyszłych ze starą koali-

cyjną Europą gotował się bojów. Ale w miarę, jak on sam we własnym domu francuskim do niej przystosowywał się i zbliżał, poczynał też mimowoli zamykać oczy na istotny swój do niej stosunek. Z tego połączenia jasnowidztwa a ułudy miały w następstwie najcięższe wyniknąć biedy, w końcu katastrofa cesarza Napoleona.

Tymczasem jednak Pierwszy konsul Bonaparte znajdował się dopiero w miodowym okresie swoich z zagodzoną Europą stosunków. Dochodząc nareszcie do najpierwszego pełnego rozwikłania węzła wojen rewolucyjnych przez pacyfikacyę powszechną 1801-2 r., musiał wyciągnąć wszelkie nieodbite stąd konsekwencye. Owóż, należało do nich, zawarte *implicite* w traktatach z Austryą i Rosyą, wyrzeczenie się sprawy polskiej i legii polskich. Nie bez wahania i tajnych w duszy zastrzeżeń, przystępował do tego Bonaparte. Częściej, niż dotąd kiedykolwiek, temi właśnie czasy przemyśliwał on o Polsce. Uświadamiał sobie coraz dobitniej, jako statysta, nietylko jako generał, polityczną jej doniosłość europejską, im bardziej wyczuwał, jak mało na zawieranych z jej rozbiorcami, ze starą Europą, pokojowych polegać mógł paktach. Nie było w jego zwyczaju wywnętrzać się dla pochlebczej fikcyi, więc nie odsłaniał myśli swoich Polakom. Lecz po swojemu, wybuchowo, dla ulżenia sobie, wyrywał się z niemi przed najbliższem otoczeniem. Wskazano poprzednio poufne jego wynurzenia o pożądanej odbudowie Polski, wygłaszane wkrótce po zamachu brumaira. Obecnie, raz po razie, do tej samej wracał materyi. „Od śmierci Pawła i objęcia rządów przez Aleksandra, rozważania Pierwszego konsula o podziałach Polski wciąż odnawiały się w jego umyśle i pochłaniały go bardzo. Była to istna *idée fixe*... Miałem z nim — są słowa ówczesnego, w 1801 r., przybocznego jego sekretarza — ze dwadzieścia najciekawszych w tym przedmiocie rozmów". Jeszcze pod sam koniec Pawła, zajmowała Bonapartego podsuwana mu już przedtem

myśl przywrócenia Polski pod carewiczem lub mężem carewny. Wnet przecie uznał jawne niepodobieństwo zrobienia narazie czegokolwiek, siłą ani zgodą, dla Polski. Tedy, oczywiście, dla realności pokoju powszechnego poświęcił marę polską. Ale w trwałość tej pokojowej nie wierzył sielanki, poza którą widział wściekłą przeciw sobie wrogość zawistną pruską, odwetową austryacką, zachłanną rosyjską. Stąd też obecnie po raz pierwszy praktycznie pomyślał o zachowaniu przy sobie poniekąd zakładu sprawy i siły polskiej, w rezerwie, w odwodzie, jako ważnego na przyszłość atutu. Taka rachuba nie była bez wpływu na zupełne przezeń pominięcie, w obecnych traktatach z Austryą i Rosyą, nietylko wszelkiej ogólniejszej o Polsce wzmianki, lecz nawet przypominanej mu przez Polaków sprawy amnestyi dla wielotysięcznej rzeszy emigracyjno-legionowej. Zapewne, była tu trudność pod względem wzajemności traktatowej. Trudno byłoby Pierwszemu konsulowi w akcie międzynarodowym przyznać nawzajem amnestyę emigrantom francuskim, godzącym właśnie bez pardonu na jego życie. Lecz niewątpliwie wchodziła tu także w grę chęć jego tajemna nieułatwiania zgody ze swemi rządami i powrotu do kraju legionistom polskim, których i nadal jeszcze, choć w innym kształcie, on pragnął zatrzymać w swym ręku ze względu na przyszłość.

Była to niezawodnie rachuba twarda, realistyczna, samolubna. Lecz nie mierzyła ona na doraźne wyzyskanie legionistów, bo ich teraz nie potrzebował Bonaparte, mając w czasie pokoju aż nadto własnego wojska francuskiego, skąd obecnie wielu reformował oficerów i rozpuszczał szeregowców. Ani też nie mierzyła na zgładzenie legionistów, bo mógłby on wygodniej i taniej, dla pozbycia się ich, poprostu rozwiązać legie przy zawarciu pokoju, o co natarczywie z austryackiej i rosyjskiej, a ubocznie i z pruskiej, dopominano się strony. Zresztą Pierwszy konsul nie poczuwał się bynajmniej do winy względem sprawy

polskiej, którą już w rozpaczliwym porozbiorowym zastał stanie. Nie poczuwał się do winy względem legii polskich, których on nie wymyślił, z któremi do niego się zgłoszono, których sam właściwie nawet wojennie nie użył. Teraz również w gruncie rzeczy nie chciał ich oszukać, ani materyalnie skrzywdzić. Chciał tylko, bo tak musiał, bo tak zobowiązał się traktatowo, odebrać im narazie ich charakter narodowej, odbojowej siły zbrojnej polskiej. Ale tem samem wkraczał względem nich na drogę zatargów, fałszów, gwałtów, gdyż odbierał legiom duchową ich racyę bytu, likwidował je narodowo, ciężko krzywdził moralnie. Bezwzględny realizm Bonapartego spotkał się też tutaj z moralnym odporem duszy legionowej polskiej. Następował zgrzytliwy, bolesny, tragiczny koniec legionów.

ROZDZIAŁ CZWARTY

KONIEC LEGIONÓW.

I.

Dwa zawody, leobeński i campoformijski, nie zachwiały idei legionowej: trzeci, lunewilski, podciął ją z gruntu, był dla niej początkiem końca. Nowy ten pokój z Austryą torował drogę nieuniknionemu odtąd pokojowi paryskiemu z Rosyą. Prowadził tedy, po dawnym bazylejskim z Prusami, do zgody Francyi z wszystkimi trzema rozbiorcami Polski. Taka zgoda była wyrokiem śmierci legionów, stojących na walce Francyi z tymi rozbiorcami.

Legia naddunajska, w swym korpusie oficerskim ze szczególnie gorącej młodzi obywatelskiej złożona, w ostatniej zwycięskiej kampanii do świetnego powołana udziału, niedaleko już ojczystych wysunięta rubieży, potrzykroć też, najwcześniej, najpowszechniej i najżywiej, tym druzgocym przejęła się zawodem. Kniaziewicz natychmiast po zawartym w Steyrze rozejmie, w końcu grudnia 1800 r., z jędrnym a beznadziejnym apelem w zagrożonej sprawie narodowej zwrócił się do Bonapartego. Prostym tu, republikańskim i żołnierskim przemawiał językiem, nieprzystosowanym do świeżych, dworskich obyczajów tuileryjskich. Imieniem legionistów swoich, już prawie „u wrót Wiednia", na mil 60 od Polski, pokojową wstrzy-

manych wieścią, wzywał Pierwszego konsula, „ostatnią nadzieję" Polaków, do „odbudowy nieszczęsnej ojczyzny naszej", jeżeli nie wojennemi, to negocyatorskiemi sposoby. Pismo to wyprawił na ręce Moreau, który, z polecającym od siebie dopiskiem, miałby je przesłać Bonapartemu. Osobno, w pięknym liście do Moreau, zapowiadał już z góry, że na wypadek obojętnego na Polskę pokoju sam niechybnie służbę porzuci. „Stan wojskowy— pisał — jest najszanowniejszy, kiedy żołnierz przelewa krew swoją za ojczyznę; tenże żołnierz staje się najemnikiem, skoro nim inne powodują widoki... Gdyby pokój powszechny nie miał zmienić losu Polski, jakie prawo miałbym szafować krwią spółziomków moich w sprawie, która nie byłaby sprawą ich ojczyzny? Zaiste, słuszniebym wtedy zasłużył na nazwę najemnika". Zarazem zapytywał o los przyszły legionistów; upominał się o wyrobienie im amnestyi od Austryi, o ile do domu wrócić zechcą. oraz zabezpieczenie ich bytu we Francyi, o ile woleliby tam pozostać. Moreau niezwłocznie, z życzliwem wstawiennictwem swojem, skierował te pisma do Pierwszego konsula. W kilka dni potem, z początkiem stycznia 1801 r., Kniaziewicz, w niespokojnem wciąż podnieceniu, znów parokrotnie, a bardzo silnie pisał do Moreau, jako „protektora legii (naddunajskiej), któremu ona winna swe istnienie". Prosił o szybkie, jaknajpełniejsze skompletowanie i uzbrojenie obu legii polskich, „co byłoby dla nas termometrem czekającego nas losu". W razie pominięcia sprawy polskiej w przyszłym pokoju, Kniaziewicz wcale ostro, „z właściwą żołnierzowi otwartością i prostotą", zapowiadał masową dezercyę szeregowców, zbiorową dymisyę oficerów, „zupełny rozkład" legii. Na wszelki wypadek ponawiał z naciskiem prośbę o zapewnienie legionistom powszechnej amnestyi od rządu austryackiego. Żądał też wstawienia się rządu francuskiego za uwolnieniem więzionych w w Austryi patryotów polskich, Kołłątaja, Dzieduszyckiego i innych.

To wszystko oczywiście nie na wiele się zdało. Rzeczy były już w zasadzie przesądzone na niekorzyść Polski. Zresztą, w tak wczesnem już stadyum, szlachetne, lecz porywcze wystąpienie Kniaziewicza pod względem taktycznym nie było zbyt szczęśliwe. Na platonicznej życzliwości Moreau nie bardzo można było polegać. Zaś droga przez niego, jako „protektora" sprawy legionowej i polskiej, najnietrafniejszą była do ucha jego rywala Bonapartego. Zdaje się, że i treść, i forma pism Kniaziewicza mocno niepodobały się w Tuileryach. On sam podobno wydał się tam zanadto oddanym wodzowi armii reńskiej, a niedość Pierwszemu konsulowi. Wydał się też pewnie zanadto niezawisłym raptusem, w porównaniu z oględniejszym Dąbrowskim. Nadomiar, w tak ciężkiem przesileniu, wewnętrzna też, niestety, legionowa przyplątała się intryga. Z jednej strony, przy sztabie legii naddunajskiej wciąż kręcił się teraz rycerz spiskowy Orchowski. Imieniem tajemniczego Towarzystwa republikanów warszawskich, więc wyższem patryotycznej opinii kraju imieniem, dolewał on oliwy do ognia, podniecał jeszcze „uniesienie" Kniaziewicza i ostrość epistolarnej jego prozy. Był wszak wykładnikiem dawnej deputacyjno-„jakóbińskiej", nieprzejednanej zawziętości partyjnej, pchającej od samego początku, bez względu na okoliczności, za wszelkę cenę, wszelkiemi sposoby, do rozbicia legionowego dzieła. Z drugiej znów strony, w samej legii naddunajskiej, usłużni, w guście Różnieckiego, znaleźli się spryciarze, skwapliwie idący na rękę natchnieniom rządowym paryskim. Wbrew kategorycznym oświadczeniom Kniaziewicza, ułożyli oni zbiorową deklaracyę pisemną o dozgonnej wierności legionowej dla rządu francuskiego „bez żadnych kondycyi", a nawet o chętnej gotowości przeprowadzenia legii do armii włoskiej. Istotnie, w Paryżu odnowiła się teraz poprzednia groźba odesłania legii naddunajskiej do Włoch. Tym razem umyślono nadto szczególniejsze dać jej przeznaczenie

przenieść ją pod sztandar infanta Ludwika, nowego króla Etruryi. Tam, pod niebem toskańskiem, legia napewno czuć się będzie dobrze, zyska nawet materyalnie. A że straci moralnie i ofiarę swą narodową zbruka najemnictwem, o to mniej dbano. W przejrzystym dotychczas stosunku Bonapartego do legionów polskich zaczynały się zgrzyty, podstępy, pogwałcenia. Fatalnym już było znakiem, że wkrótce po steyrskim rozejmie, w styczniu 1801 r., oddziały polskie armii reńskiej, wedle nadeszłego z Paryża rozkazu, najpierwsze miały wycofać się z Austryi wstecz ku Bawaryi. Sam Kniaziewicz, wciąż czekając wyniku swych odezw, zatrzymał się w ustronnej mieścinie bawarskiej, Weissenhornie pod Ulmem. Towarzyszyli mu tutaj Wybicki, Godebski, Kossecki, Drzewiecki, nieodstępny Orchowski i inni. Jeszcze podówczas, w końcu stycznia i początku lutego 1801 r., niejakim oddawano się złudzeniom. Trwały jeszcze wtedy w najlepsze rokowania przyjacielskie między Bonapartem a Pawłem. Otóż Kniaziewicz w Weissenhornie, z kilku stron naraz, otrzymał najpewniejszą rzekomo wiadomość, jakoby, przez tajny układ między Pierwszym konsulem a carem, wzamian za odszkodowanie Prus w Hanowerze a Austryi na Bałkanach, zięć Pawła, ks. Ludwik Meklemburski, poślubiony od niedawna W. Księżnie Helenie Pawłównie, miał zostać królem odbudowanej Polski. Kniaziewicz z uciechą o tak ważnej nowinie w te pędy powiadomił Dąbrowskiego i legię włoską, oraz Barssa i emigracyę paryską. „Niech żyje Bonaparte, niech żyje Paweł I, niech żyje ks. Meklemburski! — tak na tę wieść radosną odpisał entuzyastycznie Barss —...Niech kogo chcą, zrobią królem polskim, aby Polska była, i my, jej dziatwa z nią szczęśliwa". Niewątpliwie odbijały się w tem nastroje prorosyjskie, rozpowszechnione od rządów Pawła, jak wskazano, w kraju samym. Stamtąd, z pruskiej Warszawy, a zwłaszcza z dzielnicy rosyjskiej, takie nastroje i wpływy jawnie i skrycie przedostawały się na coraz

podatniejszy, bo coraz chwiejniejszy grunt wychodźczo-legionowy. Przed kilku zaledwo laty, Barss z narażeniem życia gotował w Warszawie insurekcyę przeciwrosyjską, Kniaziewicz bił się z Moskwą pod Maciejowicami. Teraz chwytali z zapałem choćby ułudę restytucyi z ręki carskiej. W tym zrezygnowanym nastroju znękanych, zawiedzionych na świecie całym, wybornych patryotów polskich, tkwiła pomyślna szansa Rosyi do ujęcia w swoje ręce rozwiązania sprawy polskiej.

Z pogodnych w Weissenhornie rojeń sztab legii naraz został przykro ocucony. Apel grudniowy Kniaziewicza do Bonapartego wciąż głuchem pokryty był milczeniem. Natomiast obecnie, w lutym 1801 r., przyszedł z Paryża dla legii rozkaz maszerowania napowrót do Strasburga. Uderzony tem Kniaziewicz pobiegł po wyjaśnienia do kwatery głównej, bawiącej wtedy w Salzburgu. Uspokoił go tu Moreau solennem zapewnieniem, „iż to dla dobra legii, ażeby, skoncentrowana (w Strasburgu), mogła być śpiesznie ubrana i zapłacona". W rzeczywistości jednak ten rozkaz był maską. Miał on wycofać legię, bez oporu z jej strony, dalej wstecz od frontu, nie odkrywając przedwcześnie przeznaczenia jej do Włoch, już postanowionego w Paryżu. Istotnie, legia spokojnie, w pięciu kolumnach, ruszyła niby ku Strasburgowi. Wtem, wnet po podpisaniu lunewilskiego traktatu, nadszedł w połowie lutego nowy z Paryża rozkaz. Minister wojny Berthier zawiadamiał generała Moreau, że „intencyą Pierwszego konsula jest, aby wszystkie oddziały polskie przy armji reńskiej, piechota, jazda, artylerya, najkrótszą i najłatwiejszą drogą udały się do Toskanii". Legia była w połowie marszu do Strasburga; lecz Kniaziewicz chwilowo wyprzedził ją w Stuttgarcie, czekając na Moreau; w jego zastępstwie prowadził ją szef sztabu Sokolnicki. Nagle, w początku marca, nowy dopędził Sokolnickiego w Augsburgu oficer francuski, od szefa sztabu armii reńskiej, generała Lahoriego, z nakazem niezwłocznego obró-

cenia marszu na południe, przez Szwajcaryę, wprost do Toskanii, w myśl wyższych rozkazów samego Bonapartego Oddając ekspedycyę Lahoriego, sztabowiec francuski, jak z goryczą stwierdzał Godebski, „przyłączył komplement powinszowania, iż idziemy na służbę do nowego króla Etruryi i że będzie nam dobrze". Sokolnicki tejże nocy pchnął od siebie kuryera do szefa legii do Stuttgartu. Dla Kniaziewicza była to sroga niespodzianka. O ponownem, beznadziejnem teraz, zagrzebaniu się we Włoszech, o służbie najemniczej etruryjskiej, on słyszeć nie chciał. Co gorsza, obawiał się, czy i to zarządzenie nową nie okaże się maską, czy nie idzie tu naprawdę o wysłanie legii aż gdzieś za morze, do zgubnego dla Francuzów Egiptu. Co najgorsza, przejrzał zupełną daremność dalszych widoków legionowych i własnych ostatnich do rządu przełożeń. Przybyły nazajutrz Moreau potwierdził mu smutną tę prawdę. Zapewnił go wprawdzie słowem honoru, „że na żadną ekspedycyę morską (Polaków) nie wyślą"; ale pozatem w jaknajczarniejszych barwach przedstawił mu złą wolę Bonapartego względem Polaków i zupełne ich poświęcenie w tajnych jego z Cobenzlem układach, „nietylko w tem, co się ściągało do legionów, ale i do losu ojczyzny". Po jednodniowym jeszcze namyśle, tamże, w Stuttgarcie, na ręce Moreau, złożył Kniaziewicz, 5 marca 1801 r., prośbę o dymisyę. Zawiadomił o tem krótko Kościuszkę, z którym w napiętych wciąż pozostawał stosunkach. Zawiadomił też przyjaźnie Dąbrowskiego, wyrażając przekonanie, że twórca legionów również za jego pójdzie przykładem. Dowództwo nad legią, dla odprowadzenia jej do Włoch, zdał Sokolnickiemu, nie uwiadamiając go zrazu o swej prośbie abszytowej. Sam udał się do Strasburga, czekając rozstrzygnięcia jej przez rząd paryski.

Nie nastąpiło to odrazu. Bonaparte widocznie zaskoczony był tak raptownym i stanowczym odruchem dymisyjnym Kniaziewicza. Cenił go i pozbywać się go nie chciał; a zdawał sobie też sprawę z wrażenia, jakie jego usunięcie

się sprawić musiało w legiach polskich, a nawet w szerszych kołach armii francuskiej i opinii zagranicznej. Narazie nic nie odpowiadał, licząc może na to, że Kniaziewicz się rozmyśli. Ale ten, w końcu marca, powołując się na „osłabione zdrowie", ponowił swą prośbę wprost pod adresem ministra wojny, Berthiera. Berthier, z polecenia Bonapartego, odpisał bardzo uprzejmie, ofiarując urlop dla poprawy zdrowia, a nie przyjmując dymisyi, która „pozbawiłaby Republikę oficera, tak wybitnego przez swe talenty, usługi, odwagę i gorliwość". Kniaziewicz nieugięty, w zwięzłym do Berthiera odpisie, ponowił po raz trzeci, w kwietniu, prośbę o dymisyę, która nareszcie, w początku maja 1801 r., udzieloną mu została.

Legia, zatrzymana w pół drogi do Strasburga i nawracana znienacka do Włoch, w największem znalazła się zamieszaniu, popłochu i „powszechnej rozpaczy". Zaczęła się natychmiast dezercya. Pierwszego zaraz dnia, po nadejściu fatalnego rozkazu do Augsburga, dezertowało trzystu szeregowców, następnych dni po kilkadziesiąt. Biedacy nie chcieli znów za góry, albo może aż nawet za morza, do czarnych, jak gadano, ludów, skoro stanął pokój z cesarzem, skoro zatem nie brano więcej w cesarskie rekruty, skoro tedy można było pono wracać do chałupy. Ale ogromna bądźcobądź pozostała większość korpusu, dla przysięgi, dla karności, dla niewiadomego jeszcze losu sprawy swojej i narodowej, a i dlatego, że amnestyi nie było, i że zresztą, poprostu, nieboracy na dalekiej obczyźnie poradzić sobie, ani do domu trafićby nie umieli. Położenie oficerów było nadzwyczaj trudne. Jakże te, zwerbowane przez siebie, mieli oni odstępować sieroty? Wzorem szefa, obowiązek honoru zdawał się oficerom nakazywać dymisyę. Lecz niemniej święty obowiązek sumienia nie pozwalał im bezdomnego opuszczać żołnierza. Kniaziewicz, dla najczystszych ustępując pobudek, zostawiał wszakże legię na łasce losu, bez opieki

i busoli. Sokolnickiemu kazał ją „utrzymać w subordynacyi", prowadzić do Włoch „w porządku, tak że(by) nam (Francuzi) nic do zarzucenia nie mieli". Jawna w tem poniekąd była sprzeczność z własną jego decyzyą. Sokolnicki zresztą, którego istotne zalety małostkowa, nieraz intrygancka psuła ambicya, żadnej moralnej w legii nie miał powagi. Obok względów rzeczowych, skłaniających go obecnie do pozostania na posterunku, zbyt wyraźnie przecie pragnął on uległością zupełną francuskiej zasłużyć się władzy. „Plac próżny szefa legii i nadzieja figurowania w rządzie toskańskim zawróciły mu głowę". Rola jego była tem draźliwszą, że w gorliwości przelicytowywali go nieporównanie od niego gorsi Różniecki i kompania. Jego rozkaz dzienny przed wyruszeniem na południe, „w stylu oryentalnym" nawołujący do bezwzględnego posłuszeństwa, obliczony widocznie na okazanie wyższej komendzie francuskiej, jaknajgorsze w legii sprawił wrażenie i dalszą tylko wywołał dezercyę. Nie na Sokolnickiego też oglądało się strapione odejściem Kniaziewicza ciało oficerskie. Oczy wszystkich zwrócone były na skromnego „stoika", dowódcę piechoty legionowej, szefa brygady Fiszera, który właśnie, zamieniony na ks. Liechtensteina, wrócił z niewoli austryackiej. Ceniono w nim towarzysza i przyjaciela Kościuszki, surową prawość obywatela i wysoki punkt honoru oficera. Fiszer, zasięgnąwszy wprzódy pisemnie opinii Kościuszki, osądził po dojrzałej z kolegami naradzie, że należy „odprowadzić żołnierza na swe przeznaczenie (do Włoch), aby rozejście się jego nieporządne pod okiem nieprzyjaciela nie okryło nas hańbą, i dopiero na miejscu, w całym zbiorze, zakończyć chlubnie ostatnią kartę legionów". Innemi słowy, planowane było łączne i jednoczesne z pierwszą legią włoską, na ziemi włoskiej, gdzie narodziła się idea legionowa, ostateczne jej zamknięcie.

Na tem stanęło. Legia naddunajska wedle rozkazu

pomaszerowała na Szafhuzę, Zurych, Genewę, przez Mont-Cenis, do Włoch. Nastrój był ponury: droga przykra, w dotkliwych jeszcze o tej porze chłodach górskich, dla wielu zwłaszcza nieubranych, nieobutych legionistów. Legia szła nieopatrzona należycie, bez funduszów, przeważnie nawet bez broni. Co więcej, Fiszer, prowadząc pierwszy batalion, wykrył przypadkiem, że kolumna legionowa znajdowała się w marszu pod tajnym dozorem zbrojnym, że mianowicie przed i za nią, jakgdyby dokoła jeńców, postępowały dwa regimenty jazdy francuskiej. To wszystko dziwną zapewne było nagrodą spółzwycięsców hohenlindeńskich. Sami nawet z przykrością odczuwali to Francuzi. Spotkany po drodze dzielny generał dywizyi Baraguey d'Hilliers kazał korpusowi swemu stawać pod bronią i oddawać honory chorągwiom legii; zaś w Genewie wrogi Bonapartemu Macdonald przed spotkanym sztabem legionowym wyraził swój żal, że tak niegodnie zapomniano o Polsce. Nareszcie, w drugiej połowie kwietnia 1801 r., znękana fizycznie i duchowo, legia naddunajska nadciągnęła do Medyolanu, skąd dalsza jeszcze do Florencyi czekała ją droga, a gdzie tymczasem zeszła się ze starszą bracią z legii włoskiej pod Dąbrowskim.

II

Dąbrowski, po rozejmie styczniowym dla Włoch zarządzał blokadą Mantui. Za zezwoleniem życzliwego Bruna, mógł on tutaj nareszcie całą swoją, rozproszoną dotychczas, skupić legię. Zawsze się o to starał: a teraz jeszcze, pomimo rozejmu, wciąż łudził się nieco możliwością wznowienia kroków wojennych; w każdym zaś razie dążył do złączenia się i wspólnej akcyi z le-

gią naddunajską. Niebawem jednak tutaj, pod Mantuą, w połowie lutego 1801 roku, doczekał się wieści o pokoju lunewilskim. Udał się pośpiesznie do Medyolanu, dla dopilnowania tam spraw legionowych przy kwaterze głównej armii włoskiej Bruna oraz tymczasowym rządzie cyzalpińskim. Położenie tameczne, jak przez cały prawie czas istnienia Cyzalpiny, było pod względem cywilnym i wojskowym nadzwyczaj powikłane, nieustatkowane. Cyzalpina, z tylu względów, jak wskazano, a zwłaszcza w stopniowaniu terytoryalnej i politycznej budowy swojej, pokrewna Księstwu Warszawskiemu, wkraczała w trzecie, lunewilskie stadyum rozwoju. Jak przedtem przez Campoformio, tak teraz znów przez Lunewil, zwiększona znacznie, o półmiliona blisko mieszkańców, od strony Piemontu i Adygi, doszła 3,8 milionów ludności. Zamiast dawnego swego dyrektoryatu, otrzymała od Bonapartego konsultę prawodawczą, pod pełnomocnym komisarzem francuskim, byłym ministrem wojny, Petietem, do spraw reorganizacyjnych, oraz komisyę rządzącą nadzwyczajną, pod popularnym i zręcznym Melzim, zamienioną następnie na ściślejszy komitet rządzący trzech. Wydział wojskowy objął nieżyczliwy Polakom Birago, po nim Bianchi d'Adda. W grudniu 1800 r., konsulta, w porozumieniu z komitetem, wypracowała prawo o „przekształceniu *(riordinamento)* wojska cyzalpińskiego wraz z posiłkowem polskiem". Wedle tej reordynacyi, armia dzieliła się na cztery dywizye, włoską, cyzalpińską, wewnętrzną, i polską, pod czterema generałami dywizyjnymi, z których Dąbrowski liczył się drugim w starszeństwie. Jednak to urządzenie, zawieszone narazie, weszło w wykonanie, z pewnemi uzupełnieniami, dopiero od września następnego roku. Naogół reorganizacya Cyzalpiny szła bardzo nieskładnie. Szkodziły jej ciągłe, pomimo zawartego pokoju, najtajniejsze przeciw Francuzom sąsiedzkie podjudzania austryackie, ciągłe też, stamtąd podsycane, intrygi wewnętrzne, nieustanne ostre tarcia

z okupantem francuskim, a nienajmniej też korupcya, rozwielmożniona szczególnie pod chciwym Brunem. Bonaparte, powiadomiony o tych zboczeniach Bruna, a mocno też niezadowolony z dziwnie ospałych jego działań i wypuszczenia Austryaków za Piave, wezwał go już w lutym 1801 r. do Paryża. Najstarszy po nim generał dywizyjny, Moncey, otrzymał od marca dowództwo naczelne nad armią włoską, a od czerwca, po jej rozwiązaniu, t. j. redukcyi i przemianowaniu, nad „korpusem wojsk francuskich w Cyzalpinie". Wszakże uczciwy Moncey zbyt był nie na rękę korupcyjnej włosko-francuskiej klice medyolańskiej, która wnet po Brunie potężniejszego jeszcze znalazła spólnika i obrońcę. Był nim sympatyczny skądinąd, rycerski, a stale Polsce życzliwy, lecz niestety w sprawach pieniężnych bardzo nieczysty, Murat, szwagier Bonapartego, żonaty z jego siostrą Karoliną, rezydujący obecnie we Florencyi, jako dowódca naczelny południowej armii obserwacyjnej. Już w lipcu 1801 r. Moncey został przeznaczony do Hiszpanii, zaś Murat objął komendę naczelną wszystkich wojsk zarówno w Cyzalpinie, jakoteż w Państwie kościelnem i królestwie neapolitańskiem, z kwaterą główną w Medyolanie.

Dąbrowski, spokojnie śród tylu lawirując powikłań, nawet przez ciężką nowinę lunewilską nie dał wytrącić się z równowagi. Nie rozpaczał jeszcze bynajmniej, ani też do przedwczesnej rezygnacyi, dymisyi się nie kwapił. Przeciwnie, planował dalsze rozwinięcie swojej legii. W początku marca 1801 r., w miesiąc po Lunewilu, gdy Kniaziewicz rozpaczał w Stuttgarcie, on w Medyolanie układał dla Bonapartego „Uwagi o reorganizacyi legii pierwszej", sprowadzające się głównie do powiększenia jej artyleryi i dodania jej pułku jazdy. Posłał ten projekt do Paryża na ręce Berthiera i Bruna; zapewnił sobie wpływowe w tej mierze poparcie Marmonta, dowódcy artyleryi armii włoskiej, a osbistego przyjaciela Bonapartego. Kompletował dalej swą legię; umieszczał w niej oficerów,

wracających po pokoju z austryackiej niewoli. Był dobrej myśli. Łudził się odbudową Polski przez sprzymierzonych Bonapartego a Pawła, kosztem Porty. Gotował się do udziału w wielkiej na Turcyę wyprawie; kazał sobie z Paryża przysyłać najlepsze o Turecczyźnie dzieła. Łudził się pogłoską o W. Księciu Konstantym albo Meklemburczyku na tronie polskim. „Niezawodnie widzi mi się,— pisał jeszcze w marcu 1801 r.—że Polska będzie; ale co na to powie Deputacya, kluby galicyjskie, że z królem?" Wtem spadło na niego pismo Kniaziewicza, który mu o odesłaniu legii naddunajskiej do Włoch, o swojej donosił dymisyi, i do pójścia za swoim wzywał go przykładem. Dąbrowski jaknajgorzej przyjął tę wiadomość i to wezwanie. Po naradzeniu się z Wielhorskim, wspólnem imieniem surowej udzielił odpowiedzi. Bezwzględnie potępiał „krok niewczesny i raptowny" Kniaziewicza. Radził mu prośbę o abszyt odwołać i do Włoch z legią swoją przybyć. Radził czekać „pokoju generalnego, gdzie się prawdziwa nadzieja względem ojczyzny odkryje i ostateczne wyroki". Radził „uzbroić się w stałość i cierpliwość, ...i wszystkie nawet nieszczęścia znosić, dotrwać, ...by każdy mógł powiedzieć, że chociaż Polska nie była, Polacy żyli i czynili dla niej". Ze swej strony, boleśnie tą odprawą dotknięty, ostro znowuż krewki odpisał Kniaziewicz. Pękła na tem nazawsze jego z Dąbrowskim przyjaźń; a choć będą jeszcze kiedyś obadwaj razem pracować i krwawić dla ojczyzny, nie zapomną sobie nigdy tego duchowego zderzenia się i rozejścia, gdzie przecie była tylko scysya dwóch pojęć narodowego obowiązku, w bardzo mrocznej godzinie próby narodowej.

Wkrótce potem, w połowie kwietnia 1801 r., przymaszerowała do Włoch legia druga naddunajska. Wykonanie myśli wspólnego jej z legią włoską rozwiązania się napotkało trudności nieprzezwyciężone. Z jednej strony okazało się, że Dąbrowski stanowczo był temu przeciwny, a z nim większość oficerów jego legii. Z dru-

giej strony, wielu gorętszych, i to bardzo wybitnych oficerów naddunajskich, jak Godebski, Kossecki i inni. jeszcze w marszu przez Szwajcaryę, w Szafhuzie, usunęło się zawczasu i zawróciło do domu. To też ledwo stanąwszy na ziemi włoskiej, w pierwszej zaraz przez Piemont drodze, już w Turynie, w kwietniu, oficerowie pierwszego i drugiego batalionu piechoty naddunajskiej, na własną rękę, wedle koleżeńskiej umowy, zbiorowo spisali swoje dymisye, wprost na imię ministra wojny, Berthiera, i w liczbie 65 złożyli Fiszerowi. Ten doręczył je prowadzącemu legię Sokolnickiemu, z żądaniem przesłania do ministeryum paryskiego. Sokolnicki na wielkiego siadł konia: gadał o spisku i niesubordynacyi, groził surową karą i sądem polowym. Poczem, umywając ręce, zamiast skierować prośby dymisyjne do Berthiera do Paryża, połowę ich zachował przy sobie, zaś 30 sztuk posłał Kniaziewiczowi do Strasburga. Sam tymczasem poprowadził legię dalej do Florencyi. Tutaj, w początku maja, stawił się przed Muratem i okazywaną bezgraniczną gorliwością służbową starał się pozyskać jego względy. Kniaziewicz z niemałem zakłopotaniem odebrał trzydziestkę owych not abszytowych, w maju, właśnie po otrzymaniu nareszcie własnej dymisyi. Powołując się na tę okoliczność, na swój pozasłużbowy już charakter, odesłał on te noty byłych swych podkomendnych z powrotem na ręce Fiszera. W dołączonym od siebie przyjacielskim liście, radził mu zwrócić dymisye każdemu z oficerów zosobna; zalecał, aby ci tylko obstawali przy abszycie, których konieczność zmusza do powrotu do domu; wszystkich innych natomiast zaklinał, aby i nadal wytrzymali na stanowisku, ze względu na należną szeregowcom, prostemu żołnierzowi, opiekę. „Potrzeba—pisał—żeby tych nieszczęśliwych ofiar cnotliwi oficerowie nie opuszczali, oddawszy ich w ręce całkiem jurgieltników, bo ci ich i samych siebie więcej dającemu zaprzedadzą". Rada poczciwa, lecz niecałkiem z wła-

snym Kniaziewicza krokiem zgodna, niezupełnie przekonała Fiszera i jego przyjaciół. Również daremnie starał się na nich łagodząco oddziaływać Dąbrowski. Obstając przy swej dymisyi, Fiszer z gronem bliższych kolegów, po pewnej odwłoce, latem 1801 r., opuścili służbę i udali się bądź do Paryża, bądź do kraju.

Jednakowoż większość oficerów legii naddunajskiej narazie pozostała na posterunku. Sam wódz naczelny, Murat, właściwą sobie ujmującą wysilał uprzejmość, aby ich zatrzymać a nawet sobie pozyskać. Miał on dotychczas mało z Polakami do czynienia. W Egipcie zaprzyjaźnił się z Grabińskim. Teraz stykał się często z Sokolnickim, Jabłonowskim, Rożnieckim, później Wielhorskim i Dąbrowskim. Szczególnie Rożniecki, spryciarz nielada, a świetny też kawalerzysta, umiał mu się przypodobać, zostać jego ulubieńcem, niemal zausznikiem. Pamiętać zresztą trzeba, że, przy całej swej waleczności rycerskiej, Murat, jak wzmiankowano, pod niejednym względem miał brzydkie grzechy na sumieniu. Ale żołnierza, osobliwie zaś ułana polskiego, bliżej teraz poznawszy, on szczerze polubił. Być może, za tej to właśnie bytności florenckiej 1801 r., po raz pierwszy powziął Murat myśl o polskim dla siebie tronie, która kołatać się będzie po jego głowie w kampanii austerlickiej i jenajskiej, a zwłaszcza za bytności jego warszawskiej 1806 r. Podobnież i małżonka jego a siostra Pierwszego konsula, piękna i kochliwa Karolina, stateczną obecnie okazywała przyjaźń legii, a podobno i niektórym, oficerom polskim. Dobrze na tem wyszła szczególnie jazda legionowa, która otrzymała konsystencyę w samej Florencyi w wygodnych koszarach All'Annunziata, gdy oficerów po najpierwszych rozkwaterowano pałacach. Polubili legionistów również i Florentczycy. Kiedy Murat odprawiał rewie jazdy legionowej na Prato, „przybywała w eleganckim paryskim kabryolecie żona jego i grzeczności uprzejme w czasie chwilowego spoczynku oficerom prawiła.

Nieledwie cała ludność Florencyi zbiegała się dla widzenia manewrujących ułanów polskich. Obroty szykowne, w szeregach pik z chorągiewkami trzechkolorowemi, nowy dla Włochów i przecudny przedstawiały widok". Ale były to więcej piękne pozory. Już piechota legionowa, rozłożona po Sienie, Pizie, Lucce, Livornie, miała się znacznie gorzej. Legia w znacznej większości była niepłatna, nieopatrzona, cierpiała dokuczliwą biedę. Nastrój był naogół przygnębiony, niespokojny. Odejście Kniaziewicza, Fiszera, większe od kraju oddalenie, ciemna przyszłość korpusu i narodu, wprawiały w stan czasem beznadziejny. Kilku oficerów popełniło samobójstwo. Najgorzej było, że osierocona przez Kniaziewicza legia nie miała godnego szefa a moralnego sternika. Przeciwnie, w marne, sobkowskie dostała się ręce. Do kwestyi zasadniczej bytu lub niebytu legii przyplątały się gorszące zatargi czysto osobiste. We Florencyi do łask Murata wcierali się na wyścigi Sokolnicki i Rożniecki. Ten ostatni, sprytniejszy, wziął górę, wysadził spółzawodnika, a natomiast podsunął Muratowi Jabłonowskiego, dobrze widzianego w generalicyi francuskiej. Już w drugiej połowie maja 1801 r., jednocześnie obwieszczono legii drugiej dymisyę urzędową Kniaziewicza oraz rozkaz Murata, przekazujący komendę tymczasową nieobecnemu Jabłonowskiemu. Sokolnicki, zawiedziony w swoich na dowództwo rachubach, podał się teraz na urlop, nawet do dymisyi, od której niedawno tak gwałtownie odmawiał kolegów, a którą zresztą wnet cofnął, dla tych samych pobudek karyery, dla jakich ją wniósł. W lipcu przybyły Władysław Jabłonowski objął komendę. „Na kulach chodzący, ale jeszcze dzielny na koniu i znany z męstwa", w żadnym przecie razie nie był on prawego, bezinteresownego Kniaziewicza godnym następcą. Zanadto wciąż o własną służbową dbał karyerę i zanadto w tym celu pragnął wyzyskać swoje w sztabie francuskim stosunki, a zwłaszcza szkolne z Bonapartem koleżeństwo. To też już w październiku udał się za

urlopem do Paryża, dla poparcia swego awansu w armii francuskiej. Zastępował go znów Sokolnicki, źle widziany w legii i niebawem, w końcu listopada 1801 r., skutkiem intrygi Rożnieckiego i najgrubszej niekarności, wprost buntu własnych podkomendnych, zmuszony do ustąpienia i wyjazdu. Dowodził potem zastępczo stary szef batalionu pierwszego Junge, poczciwy, lecz wszelkiej pozbawiony energii i powagi. Aż wreszcie postępujący wciąż rozkład nieszczęsnej legii drugiej, naddunajskiej, znienacka brutalnym, śmiertelnym zzewnątrz przerwany zostanie wyrokiem.

Na dobitkę, do niepomyślnych tych okoliczności przyłączyła się opłakana sprawa służby etruryjskiej. Wspomniano o zamiarze Bonapartego oddania tej mianowicie legii na służbę Ludwika I, nowego monarchy nowego królestwa Etruryi. Król Ludwik z małżonką, Maryą-Luizą, w sierpniu 1801 r., zjechał do Florencyi i z wielką pompą objął panowanie nad Toskanią. Była to para tragikomiczna, dwojga degeneratów, zrodzonych z ciągłych małżeństw rodzinnych w domu Bourbonów hiszpańskich. Król był epileptyk, półobłąkany z urodzenia, a ogłupiały do reszty przez etykietę i dewocyę; królowa garbata, z krzywem biodrem, a namiętna, ambitna i tępa. Byli zupełnie bez środków, przyjechali do Florencyi „bez grosza", „zadłużeni u swoich lokajów", „ośmieszeni tak wstrętnem ubóstwem". Stali się też odrazu pośmiewiskiem oficerów francuskich, którzy odmówili udziału w koronacyi i połączonych z nią obrzędach i procesyach kościelnych, „wołając, że ich chcą w zakrystyanów obrócić, a armię w pokorne bractwo zamienić". Zastąpili ich oficerowie legionowi polscy, wyznaczeni przez Murata do eskortowania pary monarszej, asystowania przy akcie koronacyjnym, wartowania na pokojach królewskich w pałacu Pitti. Pełnili oni swoją powinność, ale nie bez głębokiego niesmaku. „Twarz żółta, bez żadnego wyrazu, z oczami osłupiałemi,—tak nieszczęsnego, skazanego na blizką już śmierć

w 1803 r., króla Etruryi, którego podczas jego epileptycznych ataków jedwabnemi wiązano sznurami, odmalował oficer legionowy polski, zmuszony wtedy, w 1801 r., odprawiać codzień służbę w jego apartamentach florenckich,— chuda, nędzna, chorobliwa, w ubiorze niby wojskowym... Jak sam król, tak i królowa i cały dwór miał na sobie cechę znękania, opuszczenia, smutku i braku piękna". W dodatku, oboje królestwo stosowali względem legionistów całą pychę etykietalną hiszpańską, a nawet okazywali im wyraźnie swą nieufność i niełaskę, jako bezbożnikom i jakóbinom. Jedyny pod tym względem wyjątek stanowił śliczny porucznik ułański, Czachórski, którego przyswoiła sobie ułomna królowa Marya-Luiza, i który podobno ten fawor życiem przypłacił. Wobec podobnych okoliczności pomysł legionowo-etruryjski stawał się wręcz niewykonalnym. Legioniści polscy już z samej zasady byli mu podwójnie przeciwni. Nie chcieli z korpusu polskiego przeobrażać się na obcą gromadę najemniczą, ani też ze służby republikańskiej przejść na królewską. Tembardziej zaś za nic nie chcieli wystawić się na drwiny swoich kolegów francuskich, oddając się takiemu właśnie królikowi, takiej karykaturze monarszej. Z drugiej strony, król Ludwik odżegnywał się od legionistów, którzy dla niego jawną żywili pogardę, a dla których on miał wstręt i obawę, a nie miał pieniędzy. Mimo to Bonaparte, nie bez głębszego powodu, długo upierał się przy tej myśli i naglące w tej mierze zlecenia posyłał Clarkowi, umocowanemu we Florencyi przy królu Ludwiku. Clarke ostrym naciskiem ledwo wymusił niechętną, połowiczną zgodę króla i jego rządu. Zarazem starano się przez bardzo usłużnego w tej sprawie Sokolnickiego i bardzo dwuznacznego Rożnieckiego uzyskać zgodę legionistów, na których również usiłował oddziaływać w tym duchu umyślny wysłaniec Pierwszego konsula, komisarz nadzwyczajny, kręty Saliceti. Wszystko to nie zdało się na nic. Po daremnych z obu końców wysiłkach, wy-

padło wreszcie całkiem zaniechać tej niefortunnej myśli polsko-etruryjskiej.

Nie kończyły się na tem powikłania, wynikłe na tle opłakanych losów legii naddunajskiej. Wyszła ona z armii reńskiej Moreau, mającej opinię czysto republikańską, więc skroś opozycyjną przeciw Pierwszemu konsulowi i jego dążeniom zachowawczym i jedynowładczym. Wprawdzie nie występowało to jawnie. Kiedy, podczas plebiscytu z powodu uchwały o Konsulacie dożywotnim Bonapartego, legia naddunajska, już wtedy zreorganizowana, otrzyma swoją księgę plebiscytową z odpowiednim kwestyonaryuszem, odpowie „jednogłośnie afirmacyą“. Ale potajemnie inne też, oporne istniały prądy. Istniały nawet pewne tajne łączniki pomiędzy legią a związkowemi i spiskowemi żywiołami radykalno-wojskowemi we Francyi i radykalno-narodowemi we Włoszech. Liczne wtedy w armii francuskiej istniały związki tajne oficerskie, w rodzaju zagadkowych „Filadelfów“, datujących się jeszcze z czasów rewolucyi i Dyrektoryatu, a następnie godzących wprost w osobę Pierwszego konsula. Liczne też odtąd przeciw niemu tworzyły się spiski wojskowe, o celach wcale gwałtownych, planujące bądź ubicie go w jasny dzień wśród Paryża, na placu przeglądów Carrouselu, podczas rewii, bądź też nocne porwanie go, z niechybną również konkluzyą śmiertelną. W takie plany młodych, zapalonych oficerów republikańskich wdawali się dyskretnie generałowie wybitni, wciąż niezdolni strawić nadzwyczajnego, ciągłego wznoszenia się Bonapartego. Najdyskretniej wdawał się, a raczej samą milczącą swą powagą i opozycyą przeciwkonsularną ośmielał i zachęcał Moreau; daleko głębiej maczał ręce we wszystkiem, podjudzał i poganiał Bernadotte. Co zaś najciekawsza, choć dla podniecenia republikańskiej młodzi oficerskiej głównie uderzano na konkordat i konsulat dożywotni, na „kapucynadę“ i „tyranię“ Bonapartego, przecie świadomie czy nieświadomie, działano tutaj równolegle, jeśli nie

ręka w rękę, ze spiskiem rojalistycznym, i postaremu wodę jakóbińską francuską pędzono na młyn restauracyjny. Z drugiej znów strony, coraz gęściej krzewiły się we Włoszech liczne związki tajne patryotyczne, w rodzaju wspomnianych medyolańskich „Promienistych" z doby Dyrektoryatu, godzące w zawodnego zbawcę Italii, Pierwszego konsula, który wydał cesarzowi Wenecyę, papieżowi Rzym, Bourbonom Toskanię i Neapol, sam zabrał Piemont, narzucił się na pana Cyzalpinie, słowem, podwójnie zdradził ludowładczy ideał włoskiego odrodzenia, bo zdradził i czystą republikę i zjednoczone Włochy. I znowuż, sposobem arcyciekawym, świadomie czy nieświadomie, pędzono postaremu wodę patryotyczną włoską na młyn koalicyjny. Jak bardzo tutaj plątały się, nawspak wywracały rzeczy, to pokazywało się np. na założonych pierwotnie, od 1798 r., we Włoszech południowych, przez księży i agentów królowej Karoliny, przeciw Francuzom wogóle, potem w szczególności przeciw Konsulatowi i Cesarstwu, tajnych związkach t. zw. „węglarskich", karbonarskich, z któremi wnet najściślej w pokrewnych zbiegły się dążeniach wręcz przeciwne napozór związki masońskie włoskie.

Owóż podobnież, jak na schyłku Dyrektoryatu, przed blizką drugą koalicyą, tak teraz za Konsulatu, przed daleką jeszcze, lecz nieuniknioną trzecią, do tych ciemnych robót związkowo-spiskowych z różnych stron wciągano Polaków. Już nieco wcześniej wybitny oficer legii naddunajskiej, młody Drzewiecki, wprowadzony został w Paryżu do tajnego Klubu Europejskiego, założonego przez Korsykanina Arenę i grono radykałów włosko-francuskich. Była to jedna z najwcześniejszych, zarodkowych organizacyi późniejszego Internacyonału, skąd apele zapaleńców w rodzaju Rebmanna, jak wskazano, trafiały już do Dąbrowskiego i legii włoskiej. Zdaje się, że za Klubem Europejskim stał najwszechstronniejszy swych czasów spiskowiec, wielki apostoł

przyszłej Międzynarodówki, pośrednik między nią a rewolucyą francuską, między Mazzinim a Babeufem, którego był przyjacielem i po którego ścięciu krył się teraz po Szwajcaryi i Włoszech, utrzymując stąd styczność z Paryżem, niezwykły, nieustraszony, niezmordowany Filip Buonarroti, ongi również, jak zaznaczono, przyjaciel młodego Bonapartego, obecnie zaś wróg zawzięty Pierwszego konsula. W rzeczonym Klubie paryskim uczestniczyły też inne związki tajne, Filadelfowie przez swego delegata Ceracchiego; głównie jednak reprezentowane tu być miały i klubowym sprzężone węzłem wszystkie narody europejskie. Bogu ducha winny Drzewiecki miał reprezentować Polskę, lecz wkrótce wyjechawszy nad Ren, potem do Włoch, tem samem od udziału w czynnościach związku, a wraz od niemałej uwolnił się biedy. W rzeczy samej, niebawem Arena, Ceracchi i paru towarzyszów, wdawszy się w t. zw. „spisek Opery" przeciw Bonapartemu, a wpuściwszy między siebie prowokatorów policyi konsularnej, dostali się do więzienia i na szafot, gilotynowani w początku 1801 r. Gdy wiosną tegoż roku obiedwie legie polskie znalazły się we Włoszech, zaczęło się wzmożone konspiracyjne na nie oddziaływanie, tym razem przez tutejsze wpływy i sposoby masońskie, i to z dwóch spółcześnie źródeł, medyolańskich i neapolitańskich. Przeciwny w gruncie Francuzom wogóle, a Pierwszemu konsulowi w szczególności, rząd medyolański, wedle świadectwa jednego z celniejszych oficerów legionowych, „starając się usilnie przyciągnąć nas ku sobie i niejako pobratać sekretnie, nasłał emisaryuszów, dla założenia u nas lóż masońskich, aby połączyć je z lożami po regimentach włoskich istniejącemi i wciągnąć do Wielkiego Wschodu medyolańskiego, całkiem oddzielonego od Wschodu paryskiego i oddzielną mającego konstytucyę". Jednocześnie w tym samym, przeciwfrancuskim i przeciwkonsularnym duchu, oddziaływali na legionistów polskich nieszczęśliwi ich koledzy

neapolitańscy, będący w podobnem jak oni, jeśli nie gorszem jeszcze położeniu wojskowo-politycznem. Ci ludzie, gorący patryoci i republikanie neapolitańscy, poczęści z najlepszych domów tamecznych, przed dwoma laty, na hasło Francyi i Championneta, poświęcili wszystko dla republiki Partenopejskiej; obecnie zaś najgłębszym żalem byli przejęci do Bonapartego, który ich kraj i rodziny wydawał reakcyi bourbońskiej, a ich samych i piękną ich legię skazywał na wygnanie z ojczyzny, rozproszenie i służbę najemniczą. „Postępek z legią neapolitańską wzruszył umysły Polaków tem mocniej, iż tenże uskutecznionym został w załogach polskich, którzy świadkami oczywistymi dopełnienia tak nieludzkiego postępku przez Francuzów byli. Oficerowie neapolitańscy, po rozebraniu ich legii utrzymania pozbawieni, znaleźli w oficerach polskich braterskie i zgodne z charakterem narodowym gościnne przyjęcie; dzielili się (Polacy) z nieszczęśliwymi Neapolitańczykami szczupłemi swemi dochodami, kwaterami, wyżywieniem i innemi potrzebami. Wówczas to loża wolnomularska w legii polskiej utworzona została, której przewielebnym mistrzem szef brygady byłej neapolitańskiej legii, Aurora, obranym został. Człowiek ten, egzaltowanego sposobu myślenia, postępowanie niewdzięczne Francuzów, zapał republikancki, dla którego istnienie swoje i majątek poświęcił, wprowadził w system zasad wolnomularskich... Nazwisko jego, Aurora, jutrzenka, posłużyła mu do użycia za godło pieczęci, i oraz do tego zmierzała, iż wzejdzie słońce pomyślności dla ludów, republikańskiemi zasadami rządzić się chcących... W takim to zamiarze przewodniczył w loży, symboliczne do tejże znaki wprowadziwszy. Zaufanie nieograniczone oraz przekonanie swoje tak głęboko wpoił w członkach loży, iż do ukrycia tajemnych swoich zamiarów najprzyjemniejszą namiętność w ludziach młodych żywego temperamentu umiał przytłumić i uderzającą reformę w obyczajach wprawił".

Takim to, dziwnym, niespodzianym sposobem, późniejsze wyzwoleńcze poczynania związkowe na ziemi polskiej, „promienistość“, „filarecya“, pod względem organizacyjnym, politycznym a nawet moralnym, czerpały z zarodów, rzuconych na dalekiej ziemi włoskiej, w poprzedniczej dobie wysiłków legionowych, okazujących się i w tej dziedzinie jednem z nieodłącznych ogniw ewolucyi ducha narodowego.

Tymczasem jednak czynnik związkowo-spiskowy, wnoszony z różnych stron do legii polskich we Włoszech, wzniecał działanie rozkładowe przedewszystkiem w kierunku wrogim dla rządu francuskiego i osobiście dla Bonapartego. Sprzyjała temu wroga w najwyższym stopniu atmosfera, panująca we Włoszech. „Codzień rozgłasza się tutaj—donosił Murat Bonapartemu z Livorna, w końcu kwietnia 1801 r. — pogłoski o śmierci Twojej, o powstaniu w Paryżu... wzywa się Scewolów i Brutusów“. Pisał to pod świeżem wrażeniem naocznem wybuchłego w przeddzień buntu 60. półbrygady francuskiej, która, przeznaczona do wyprawy na wyspę Elbę, odmówiła siąść na okręty. Gdy zaś wieczorem tegoż dnia, na ich miejsce chciano ambarkować w porcie liworneńskim, przy pochodniach, w obecności Murata, 300 legionistów polskich, siadających już karnie na statki, nadbiegli żołnierze francuscy poczęli ich odmawiać, ciskając w nich kamieniami i strzelając, poczem i Polacy zbuntowani rzucili się do szalup, odepchnęli własnych, powstrzymujących ich oficerów i wrócili na ląd. Cała wina była Francuzów, z których też dwóch rozstrzelano, kilku zakuto w żelaza. Donosił też Bonapartemu i Berthierowi Murat o wykrytem spólnictwie mieszkańców Livorna oraz ukrytych w porcie agentów angielskich i austryackich. Polaków nie winił wcale i żadnego z nich nie ukarał. W tym samym prawie czasie, w kwietniu 1801 r., z przeciwnej strony półwyspu, w Ankonie, wsadzano nocą na okręty kompanię legioni-

stów polskich, przeznaczoną do eskortowania amunicyi do Egiptu. Jak donosił Dąbrowskiemu Chłopicki, uprzedzeni o celu wyprawy i podmówieni „ludzie starzy wszyscy rozbiegli się w różne strony tegoż samego dnia... (przed) nocą, gdy mieli wypłynąć z portu“; natomiast rekruci popłynęli bez oporu, gdyż „mieli mówić, że im wszystko jedno, a na (statkach) dubelt racye dają“. Dodawał Chłopicki, że sam w swoim batalionie, w Mantui, liczną miewa dezercyę głównie z powodu panującej nędzy. Od wiosny 1801 r., coraz częściej poczynano ambarkować w portach liguryjskich, czasem jednak i adryatyckich, niewielkie oddziały legionistów. Przeznaczone one były głównie do bliższego użycia przeciw angielskim posterunkom na Elbie; lecz coraz głośniejszy stąd szerzył się posłuch, poczęści niepozbawiony uzasadnienia, o dalszem, zamorskiem przeznaczeniu tych komend, aż do Egiptu, na pewne niemal zatracenie. Nawet na taki rozpaczliwy wypadek zalecał Dąbrowski nie tracić ducha i „utrzymać honor Polaka“. „Nie spodziewam się nigdy, — pisał w początku maja 1801 r. Grabińskiemu, na alarmujące doniesienia jego, Zawadzkiego, Białowiejskiego, z Florencyi, Livorna. Piombina, o gotowanych tam nowych morskich wyprawach,—żeby Was do Egiptu posłali. Ale gdyby to nastąpiło, musicie się starać, żebyście się w kupie zawsze trzymali, aby i w inszym kraju reputacya Polaków słynęła i legiów narodowych, i żeby rząd francuski widział, że my dopełniamy z stałością jego rozkazów, a przez to zaciągał coraz bardziej święte na siebie obowiązki wrócić nas do własnej ojczyzny“. Stwierdzał jednak zarazem z niemałym niepokojem, że „gdyby ta wiadomość tutaj (w Medyolanie) gruchnęła, że siadacie na okręty, połowa żołnierzy rozejdzie się, a oficerowie, którzy prócz tego słabą mają nadzieję powrotu do ojczyzny, mogliby kroki przyzwoite, ale niewczesne przedsięwziąć“.

W końcu maja 1801 r., wybuchł pierwszy na większą skalę bunt wojskowy polski w Medyolanie. Trzy konsystujące tam bataliony legii pierwszej, włoskiej, czwarty szefostwa Małachowskiego, piąty Jasińskiego i szósty Zagórskiego, razem blizko półtrzecia tysiąca ludzi, odmówiły posłuszeństwa i wyjścia z koszar, upominając się o zaradzenie najnaglejszym swoim potrzebom, zapłatę zaległego trzechmiesięcznego żołdu i t. p. Cały ten rozruch niekrwawy, bierny, z zachowaniem ścisłego służbowego porządku w koszarach, ułożony i wykonany przez samych prostych szeregowców, bez udziału nawet podoficerów, był to jedyny w swoim rodzaju, szczególniejszy jakiś, protestujący się o swoją krzywdę, poczciwy, wojskowo-chłopski bunt polski. Dwa bataliony udało się niebawem dość spokojnie wyprowadzić z miasta. Pozostał najoporniejszy batalion grenadyerów. Nie dali się oni przekonać ani Wielhorskiemu, ani Dąbrowskiemu, którego nawet przez kilka godzin przetrzymali u siebie, w koszarach San Marco. Zażądali przyjścia samego wodza naczelnego, Monceya, dla wystawienia mu nędzy swojej i przełożenia zażaleń. Moncey istotnie przybył do nich do San Marco, cierpliwie ich wysłuchał, ostro a po ojcowsku do nich przemówił, poczem wszystko do właściwych wróciło karbów. Okazało się odrazu, że i w tym wypadku pobudka przyszła zzewnątrz, i to z kilku stron naraz. Widoczną była uprzednia tajna zmowa zbuntowanych legionistów polskich z załogą francuską w Medyolanie, która odmówiła zbrojnego przeciw nim wystąpienia, o czem Polacy z góry byli upewnieni. Były też niewątpliwie podmowy miejscowe, włoskie. W raporcie, posłanym nazajutrz po tem zajściu Bonapartemu, składając całą winę na tajne machinacye „podżegaczów“ francusko-włoskich, a w szczególności na dwuznaczną postawę komitetu rządzącego medyolańskiego, zacny stary Moncey zupełnie brał w obronę Polaków. „Batalion grenadyerów pol-

skich –pisał—... omal nie stał się ofiarą podstępnych intryg ludzi źle myślących, lecz, mam nadzieję, nie wpadnie już więcej w tę pułapkę". Jasnem też było, że obcą robotę podżegawczą w karnych szeregach polskich ułatwiało opłakane położenie polityczne a nawet materyalne legionów. Z naciskiem podnosił to Dąbrowski, zdając sprawę z tych zajść, równie przykrych, jak znamiennych. Podobnież i Wielhorski, w parę dni po rozruchu medyolańskim, wyrażając Monceyowi śmiałe „Refleksye o położeniu Polaków, legie składających", w słowach lapidarnych gorzką odsłaniał prawdę, wymawiał Francyi biedę okrutną i opuszczenie beznadziejne legionistów. Lecz ostatecznie, pomimo słusznych żalów i wyjaśnień z powołanej strony polskiej, Wielhorskiego i Dąbrowskiego, pomimo nawet bezstronnej relacyi i obrony z najpowołańszej strony francuskiej, Murata i Monceya, te następujące po sobie wypadki zbiorowej dymisyi, oporności, dezercyi, buntu w legionach polskich, w Turynie, Florencyi, Pizie, Livornie, Ankonie, Mantui, Medyolanie, fatalne wrażenie sprawiały w Paryżu, na rządzie, ministeryum wojny, a zwłaszcza na samym Pierwszym konsulu. Przychodzące raz po razie wiadomości o tych zajściach, choć naprawdę między sobą odrębnych, mających każde specyficzną swą przyczynę, uogólniano tam jako wyraz głębszej solidarności legionowej polskiej z powszechniejszą opozycyą radykalno-wojskową przeciw osobie i władzy Bonapartego. W szczególności zaś niespokojna postawa legii naddunajskiej, uchodzącej za bardzo skrajną i do dawnego swego wodza Moreau przywiązaną, zdawała się takie potwierdzać podejrzenia. Sam Bonaparte, stawając teraz oko w oko z rezydującym w Paryżu, od zawarcia pokoju, Moreau, a wstępując w okres niebezpiecznych, skierowanych przeciw sobie spisków, okazywał się temi właśnie czasy szczególnie w tych rzeczach podejrzliwym i wrażliwym. Zdecydowany podjąć bezwzględną walkę z opornym sobie duchem i przełamać

go we Francyi, szedł tem samem na przełamanie go w legionach, wraz z gruntowną ich reorganizacyą.

Reorganizacya legionów stawała się zresztą nieodbitą koniecznością dla ogólniejszych względów politycznych. Ostatnia ich organizacya 1799—1800 r., jako korpusu polskiego przy Francyi, była zarządzeniem wojennem, powziętem pośrodku kampanii koalicyjnej. Nie była ona w tym kształcie do utrzymania, jako instytucya pokojowa, zwłaszcza po przeciwnych wręcz jej istnieniu warunkach pokojowych lunewilskich i paryskich z Austryą i Rosyą. Wyjściem z tego dylematu miało być właśnie przekazanie legii na rzecz Etruryi i Cyzalpiny, czemu jednak przeciwili się sami legioniści, żądając utrzymania przy Republice francuskiej. Pozostawało drugie wyjście: zrównanie organizacyjne legionów polskich z półbrygadami armii francuskiej, w charakterze nie odrębnego korpusu, lecz zwykłej formacyi liniowej. Z tą zaś sprawą bezpośrednio wiązała się brana już pod uwagę sprawa dowolnego ich następnie użycia przez rząd francuski na dalszą zamorską wyprawę. Myśl podobnego pełnego sfrancuzienia legii miała za sobą sporo wybitniejszych nawet wojskowo, lecz niższej próby narodowej, dbających głównie o karyerę, oficerów legionowych, jak Jabłonowski, Grabiński, Axamitowski, Rożniecki i wielu innych. Dogadzała ona poniekąd i szeregowcom, ze względu na lepszą i pewniejszą płacę i opatrzenie na żołdzie francuskim. Dogadzała też ambicyi wojskowej polskiego żołnierza, który, zamiast zniżać się do słabizny cyzalpińskiej czy etruryjskiej, wznosiłby się na poziom militarnej potęgi i chwały Republiki francuskiej. Ale pod pięknemi temi pozory tkwiło naprawdę śmiertelne okaleczenie pierwotnej, narodowej idei legionowej. To też główny jej twórca i przedstawiciel, Dąbrowski, podobnemu rozwiązaniu był z zasady przeciwny. Po dłuższym od zawarcia pokoju pobycie w Medyolanie, od lutego do czerwca 1801 r., przebyw-

szy tam przykrą z niekarnymi grenadyerami swymi przeprawę, udał się on stąd nakrótko do Cremony, poczem od lipca swą kwaterę główną założył na stałe w Reggio. Po ściągnięciu dwóch swoich batalionów z Toskanii, zluzowanych tam przez legionistów naddunajskich, Dąbrowski całą swą legię, z wyjątkiem tylko oddziału zostawionego w Mantui pod Chłopickim, zgromadził w Reggio i Modenie. Nigdy zazdrośniej jak teraz nie dbał o trzymanie ludzi swoich w kupie, pod ręką, gdyż na wypadek najgorszy chciał mieć możność chwycenia się każdej chwili, na własną rękę, kroków śmiałych, rozpacznych, a w najgłębszym chowanym sekrecie.

Nie sądził jednak Dąbrowski, aby tak bliską już była wykonania zawieszona nad legią groźba. Nie uprzedzony zawczasu przez Pakosza, zacnego, lecz niedość czujnego pełnomocnika swego nad Sekwaną, nie przewidywał dojrzewającej szybko w Paryżu klęskowej o legiach decyzyi. Coprawda, niebezpieczeństwo nie odrazu było widoczne. Jeszcze w czerwcu 1801 r., Bonaparte przekazywał na żołd Cyzalpiny 6000, a Etruryi 3000 legionistów polskich. W początku lipca wyraźnie atoli zastrzegał wobec rządu medyolańskiego pełną napowrót przynależność legii pierwszej polskiej do armii francuskiej, bez względu na czasowe przekazanie jej na służbę cyzalpińską. Już wtedy, mówiąc o tej legii, znamiennego użył wyrażenia „półbrygada“. Tegoż lata francuski generał brygady Vignolle, były minister wojny cyzalpiński, jak wzmiankowano, niezbyt dla Polaków życzliwy, miał sobie zlecone wypracowanie rdzennej reorganizacyi legionowej polskiej. Rzecz była już z tego względu dość pilną, że, jak wskazano, od nowego roku republikańskiego X., t. j. od końca września 1801 r., wchodziła w moc „reordynacya“ wojsk cyzalpińskich, z wcieleniem do nich legii pierwszej polskiej, jako „dywizyi polskiej“. Murat, który w tym czasie przeniósł się z Flo-

rencyi do Medyolanu, dla odebrania komendy od Monceya, z początkiem września 1801 r. wezwał do siebie Dąbrowskiego. Przybywszy z Reggia do Medyolanu, Dąbrowski, jaknajlepiej przyjęty przez Murata i Monceya, odebrał na wstępie zaszczytną, obliczoną widocznie na pozyskanie go, nominacyę na generała komenderującego w dwóch departamentach cyzalpińskich, Crostolo i Panaro, t. j. dawnem księstwie modeńskiem. Zarazem jednak dowiedział się o zapadłem już nieodwołalnie postanowieniu t. zw. reorganizacyi, t. j. doszczętnego przetworzenia obu legii polskich na wzór formacyi liniowej francuskiej, oraz o oddaniu tej doniosłej roboty w nieżyczliwe ręce Vignolla. Nie było już na to rady; lecz należało przynajmniej ratować, co się jeszcze dało. Dąbrowski niezwłocznie złożył Muratowi swój własny szczegółowy projekt reorganizacyjny. Proponował z obu legii utworzyć sześć pułków po dwa bataliony, oraz pułk jazdy, razem w liczbie 11 tysięcy ludzi; żądał zachowania artyleryi pieszej i wcielenia konnej do jazdy; żądał bezwarunkowo, aby „utrzymany został mundur polski, jakim był od początku stworzenia korpusu przez generała Bonapartego".

Nazajutrz ciężko strapiony Dąbrowski wyjechał z Medyolanu, przenosząc odtąd kwaterę swoją do Modeny. Widział już, jak źle stały rzeczy. W Modenie dowiedział się niebawem o pokoju październikowym francusko-rosyjskim, łamiącym ostatnie emigracyjne nadzieje polskie. Stawał, wraz z Wielhorskim i innymi bliższymi sobie oficerami, wobec podobnej, jak przedtem Kniaziewicz, alternatywy opuszczenia legionów, albo też ślepej zgody na przeznaczone im losy fatalne. Wtedy to, jesienią 1801 r., w Modenie, najbliższym był podobno wykonania onej decyzyi rozpacznej, z którą w największej tajemnicy oddawna się nosił. Szło mianowicie o to, aby w najgorszym razie, innego honorowego nie mając wyjścia, na własną rękę „bryknąć" z całą siłą legionową w strony

tureckie; następnie zaś, jedno z dwóch, albo przebić się tamtędy do kraju dla wzniecenia powstania, albo też przetrwać tam i nietkniętą przechować drogocenną siłę zbrojną polską, aż do nowego pomyślniejszego obrotu spraw europejskich. Z podobnemi myślami, zakrojonemi na pierwszą mianowicie ewentualność, jak napomknięto, nosił się już dawniej Dąbrowski, za poprzednich zawodów pokojowych, wywnętrzając się w tym względzie przed wiernym Tremonem, Chamandem i innymi najzaufańszymi powiernikami swymi. Obecnie, wobec pacyfikacyi powszechnej, a więc niepodobieństwa powstańczej w kraju imprezy, zatrzymał się na ewentualności drugiej, t. j. na zbrojnem usadowieniu się legionowem, aż do szczęśliwszej dla Polski pory, na wyspach Jońskich i półwyspie Morei. Swego czasu, jak wspomniano, przychodziły stamtąd do generała Bonapartego, jeszcze za pierwszych jego kampanii włoskich, naglące błagania patryotów greckich, o wyzwolenie ich od tureckiego jarzma. Niektórzy z tych patryotów byli w bliskiej styczności z emigracyą polską, a w szczególności, obok rozlicznych figur mniej pewnych, człowiek szlachetny i śmiały, młody Grek Konstanty Stamati, który w służbie dyplomatycznej francuskiej przedewszystkiem własnej greckiej chciał służyć ojczyźnie, zaś w powierzonych sobie misyach tajnych służąc też bezpośrednio sprawie polskiej i szczerą dla niej okazując życzliwość, stał się jednym z pierwszych pośredników w dziedzinie wspólnych polsko-greckich zamierzeń. Wyspy archipelagu egejskiego i morza jońskiego, wyzwolone poczęści przez Francuzów, świeżo właśnie, mocą pokojowych preliminarzów anglo-francuskich z początku października 1801 r., ogłoszone zostały odrębną Republiką Jońską. Owóż w tę stronę obecnie skierowały się plany najskrytsze Dąbrowskiego. Musiał on jednak, o ile szłoby o niezwłoczne ich wykonanie, odsłonić je nietylko przed bezwzględnie pewnymi, jak Chłopicki, Małachowski i t. p., ludźmi, lecz także

przed dużo wątpliwszymi, w guście Axamitowskiego, oficerami własnej legii pierwszej, a także, co najdraźliwszą było rzeczą, przed niektórymi najzawodniejszymi, w rodzaju Rożnieckiego, sztabowcami legii drugiej. O te szkopuły już z góry całe rozbić się musiało przedsięwzięcie, bez względu na słabe strony zasadnicze, jakie przedstawiała sama jego wykonalność i celowość. Bliższe szczegóły zresztą pozostały dodziśdnia niejasne. „Zrobiliśmy projekt, — są słowa naocznego świadka i uczestnika tej sprawy, wiarogodnego Małachowskiego — a na samem czele stanął Dąbrowski, ażeby opuścić Włochy, przepłynąć na półwysep Morei, i tam jako Polacy zostać zbrojno pod opieką Turcyi do dalszych wypadków. Wykonanie projektu było łatwe, gdyż rozłożeni (w Modeńskiem) w niewielkiej odległości od brzegów Adryatyckiego morza, mogliśmy na przewiezienie nas zabrać tyle okrętów i rozmaitych statków handlowych kupieckich, ile było potrzeba... Postanowiliśmy konsulowi (Bonapartemu) posłać treściwy adres, obejmujący wszelkie powody jakie nas do takiego czynu zmusiły. Chodziło tylko o porozumienie się z legią (naddunajską), w Toskanii będąca, która, składając się z czterech batalionów piechoty, regimentu jazdy i kompanii artyleryi konnej, podniosłaby siłę naszą do 16 tysięcy wybornego i starego żołnierza, zbyt groźną dla Rzeczypospolitej włoskiej, ażeby śmiała przeciwko nam cośkolwiek rozpocząć. Lecz tam, (w legii naddunajskiej), wzburzenie i niejedność wykryły plan".

Zanim jeszcze nastąpiło wykrycie tego planu, postanowiona już sprawa reorganizacyi legionowej znacznie posunęła się naprzód. Projekt reorganizacyjny Vignolla, wypracowany w połowie września 1801 r., a zmierzający do podziału obu legii na trzy półbrygady trzybatalionowe piechoty, z zupełną kasatą jazdy i artyleryi, zupełnem też niemal zatarciem legionowej odrębności wojskowo-narodowej, został przesłany Berthierowi przez Mura-

ta, który jednak w dołączonym od siebie piśmie zalecał pewne modyfikacye w duchu życzeń Dąbrowskiego. W październiku Dąbrowski zwrócił się osobiście, za pośrednictwem Murata, do Bonapartego, składając mu w odpisie stary swój memoryał, posłany przed trzema laty Bernadottowi do Wiednia, o wyniesieniu arcyksięcia Karola, pożenionego wprzódy z infantką saską, na tron polski, głównie w celu zahamowania groźnej dla Europy potęgi rosyjskiej. Trafił nieborak z tem przypomnieniem jaknajmniej fortunnie, bo właśnie na zawarcie pokoju Bonapartego z Aleksandrem. Równocześnie, w październiku 1801 r., Pierwszy konsul rozkazał wstrzymać nowe urządzenie armii cyzalpińskiej, a tem samem wcielenie do niej „dywizyi polskiej". W początku listopada, wyszła od Berthiera, imieniem konsulackiem, stanowcza instrukcya do Murata, jaknajszybszej w duchu wniosków Vignolla reorganizacyi obu legii, stopionych w jedną masę, w ogólnej sile 10600 ludzi, rozłożonych następnie, po strąceniu jazdy, na trzy półbrygady piesze, każda po 3200 ludzi w trzech batalionach, każdy z dziewięciu kompanii, jednej grenadyerskiej i ośmiu fizyljerskich, bez kawaleryi i artyleryi, oraz ze znacznem okrojeniem dotychczasowego składu oficerskiego. Wobec tego Murat niezwłocznie wezwał Dąbrowskiego z Modeny do Medyolanu; ściągnął tu również Sokolnickiego, jako rzeczoznawcę w sprawach legii drugiej. Dąbrowski, zjechawszy pod koniec listopada, na okazaną sobie przez Murata instrukcyę paryską, ustnie i pisemnie z szeregiem mocnych wystąpił przełożeń. Napróżno jednak domagał się zostawienia artyleryi, za czem Murat, zasłaniając się wyraźnem brzmieniem instrukcyi, nawet wstawiać się odmówił. Artylerya piesza polska, zniszczona przed dwoma laty, przy kapitulacyi Mantui, odtąd wznowiona została staraniem przemyślnego Axamitowskiego, który, jako wybitny wolnomularz, silne miał stosunki w Wielkim Wschodzie francuskim, a cieszył się

też szczególną protekcyą wpływowego Marmonta, naczelnego dowódcy artyleryi francuskiej we Włoszech. Obecnie jednak jego batalion artyleryi ulegał rozwiązaniu i wcieleniu do piechoty legionowej. Taki sam los miał spotkać wyborną kompanię artyleryi konnej, która pod dzielnym Jakóbem Redlem świetnie sprawiła się w potrzebie hohenlindeńskiej, a obecnie ulegała również kasacie i wcieleniu do pułku jazdy legionowej. Natomiast przyrzekł Murat obronić od zagłady piękny ów pułk ułański naddunajczyków. Najwięcej pomógł tu sam tego zagrożonego pułku dowódca, Rożniecki. W zręcznem do Bonapartego piśmie, „nie jako Polak, ...lecz jako obywatel francuski“, wykazał on znaczenie niezrównanej jazdy polskiej dla armii francuskiej, przypomniał dawnych Lisowczyków i świeże formacye ułańskie pruskie i austryackie, podniósł szczególną wartość lansyerów polskich, i konkludował, że „raczej, obywatelu konsulu, winieneś uznać potrzebę wsadzenia piechoty polskiej na koń, aniżeli spieszenia jazdy polskiej“. W doręczonej Muratowi nocie pozatem jeszcze dopraszał się Dąbrowski, aby reorganizacya każdej legii odbywała się zosobna, a nie ze wspólnej masy, jak przepisywała instrukcya ministra wojny; aby jednak potem, po podziale na półbrygady, i nadal jeden polski formowały korpus; aby zostawiono im francuskie kokardy i chorągwie, nadane przez Bonapartego; aby oficerowie, pozostający w służbie czynnej, patentowani byli od rządu francuskiego, reformowani zaś również mogli pozostawać pozasłużbowo przy korpusie do dyspozycyi dowódców półbrygad. Murat w rzeczy samej napisał nazajutrz do Berthiera, w ciepłych słowach popierając te „życzenia, tak zaszczytne zarówno dla Francyi, jak i dla Polaków, ...dzielnych posiłkowców Francyi“. Wstawiennictwo poparte z kolei przez Berthiera u Bonapartego, pewien przynajmniej osiągnęło skutek. Zarazem, tyleż dzięki staraniom Dąbrowskiego, co sprytowi Rożnieckiego, regiment ułański polski, którego

konie już miały być rozebrane po pułkach francuskich, został ocalony przez miłośnika jazdy, Murata; jednak przefasonowany z gruntu, miał zostać całkiem wyodrębniony od formacyi polskich i do wojsk włoskich na stałe wcielony. Co się samego Dąbrowskiego tycze, to nie miał on odtąd sprawować żadnego właściwie czynnego dowództwa, lecz piastował jedynie godność inspektora generalnego korpusu polskiego. Było to wprawdzie, pod względem rangi i gaży, zaszczytnym awansem, lecz odbierało mu wszelką możność istotnego rozrządzania reorganizowaną bronią legionową. Pocieszał się Dąbrowski tem, że przez wspólną nad wszystkiemi trzema półbrygadami inspekcyę będzie mógł bronić pewnej jeszcze jednolitości narodowej w składzie, dyscyplinie, umundurowaniu, narażonej przez obojętną w tej mierze łatwość Jabłonowskiego, Grabińskiego i im podobnych; że będzie mógł przykładać się do „utrzymania ducha narodowego i jedności korpusu". Wtedy również został zawczasu uprzedzony przez Murata, że z końcem roku będzie musiał jechać z nim do Lyonu, celem osobistego zdania tam sprawy Bonapartemu z całokształtu spraw legionowych.

Tymczasem z początkiem grudnia wyjechał Dąbrowski z Medyolanu do Modeny, lecz pozbawiony już komendy i wszelkiego czynnego wpływu na najbliższe losy swej legii. Jak się zdaje, w związku z całym tym przebiegiem rzeczy było dokonane w tym właśnie czasie, zapewne przez Axamitowskiego i Rożnieckiego, wydanie owego tajnego, egejsko-morejskiego projektu władzom francuskim Wkrótce po wykryciu tego projektu,—wedle słów Małachowskiego—„Dąbrowski, wezwany do Medyolanu, już więcej do (dowództwa) nie wrócił. Murat przysłał natychmiast generała dywizyi francuskiego, Chabota, dla objęcia nad nami komendy, i razem z nim generała Vignolla". W rzeczy samej, Vignolle z całym sztabem urzędników wojskowych przybył niezwłocznie w ślad za Dąbrow-

skim do Reggia i Modeny, dla forsownej reorganizacyi rozłożonego tam legionu pierwszego. Utworzone w tym celu *jury* oficerskie, pod przewodnictwem Vignolla, złożone z wyznaczonych przez Murata członków, pułkownika Grabińskiego i podpułkowników Chłopickiego, Jasińskiego, Małachowskiego i Zawadzkiego, wedle przepisanej sobie szczegółowej instrukcyi, dokonało tego dzieła w ciągu tygodnia, w pierwszej połowie grudnia 1801 r. Wszystko odbyło się bez udziału Dąbrowskiego, będącego niemym jeno świadkiem ruiny sześcioletnich wysiłków swoich. Przytomny również Wielhorski nietylko, że udziału żadnego nie brał, lecz w tejże chwili, po przybyciu Vignolla, wniósł podanie o bezwarunkową, pełną dymisyę, która też niebawem udzieloną mu została. Jednocześnie zresztą, wedle wyższych z Medyolanu i Paryża skazówek, uległo reformie, w liczbie 90, około jednej trzeciej wszystkich oficerów legii pierwszej. Sama ta legia, w składzie czynnym tylko 6000 ludzi będących pod bronią, została, z dotychczasowych siedmiu batalionów piechoty i ósmego artyleryi, zredukowaną na sześć batalionów, oraz rozbitą na dwie półbrygady polskie po 3000 ludzi, I. pod tymczasową komendą Grabińskiego, II. Axamitowskiego. Wprost z Modeny udał się Vignolle niezwłocznie do Pizy i Livorna, gdzie w równie szybkiem tempie, w drugiej połowie grudnia, uwinął się z reorganizacyą legii naddunajskiej. Utworzył tu podobnie *jury* reorganizacyjne, dokąd weszli, pod jego przewodem, szefowie batalionowi, Junge, Sierawski, Bolesta, Grabski. Odłączone zostały trzy szwadrony jazdy legionowej, wraz ze skasowaną bateryą artyleryi konnej Redla, i w kształcie zreorganizowanego pułku strzelców polskich odesłane pod Rożnieckim do Medyolanu. Cała zaś, będąca pod bronią piechota legii drugiej, w składzie czynnym 3000 ludzi, z dotychczasowych czterech batalionów zredukowana na trzy, została przetworzoną na III. półbrygadę polską,

pod tymczasową komendą Junga. Wszystkie trzy półrygady nominalnie tworzyły jeszcze niejaką całość, zwaną do czasu korpusem polskim. Sprawa dalszych losów tego korpusu, przekazania oddzielnych jego części Cyzalpinie i Etruryi, lub też dania im innego przeznaczenia, pozostała narazie w zawieszeniu i rozstrzygniętą być mała ostatecznie przez samego Bonapartego, wraz z innemi, dotyczącemi losu Włoch sprawami, na nadchodzącej Konsulcie lyońskiej.

Bonaparte o rzeczach i nastrojach legionowych polskich był temi czasy informowany jaknajgorzej, i to nienajmniej z własnej winy polskiej. Od oficerów dużej poniekąd wartości wojskowej, lecz nierównie niższej obywatelskiej, jak Jabłonowski, Sokolnicki, Axamitowski, Rożniecki i wielu innych, odbierał w sprawach legionowych informacye, nacechowane samobójczym duchem służalstwa i delatorstwa. W tym samym czasie, w grudniu 1801 r., gdy dokonywała się we Włoszech przymusowa reorganizacya legionów, Jabłonowski w Paryżu składał Bonapartemu rzekome „życzenia wojskowych Polaków“, dopraszających się, niby o łaskę, „skoro istnienie korpusu polskiego mogłoby razić pogodzone z Francyą mocarstwa“, o zniesienie tego korpusu, o „traktowanie na wzór Piemontczyków“, t. j. o pełne „zasymilowanie z wojskami francuskiemi“ i obdarzenie „szczytnym tytułem obywateli francuskich“. Sadząc się na taką pokorę i pochlebstwo wspólnem jakoby imieniem legionistów, ciężki przymus wystawiając jako gorące ich pragnienie, nietyle o nich oczywiście, ile o siebie dbał Jabłonowski, nagrodzony też położoną na tem marnem jego piśmie dekretacyą Bonapartego o zaliczeniu go w poczet sztabowców francuskich. Skądinąd znów, podany temi czasy Pierwszemu konsulowi, piórem polskiem skreślony, zbiorowej widać roboty, „memoryał o legiach polskich jako korpusie posiłkowym Republiki francuskiej“, mieścił przedewszystkiem długą litanię od-

grzewanych, gwałtownych na Dąbrowskiego zaskarżeń i żądanie niezwłocznego usunięcia go od komendy. Z polskiego też niechybnie źródła wyszła spółczesna delacya zamierzanej greckiej jego wyprawy. Z takiemi to ujemnemi wrażeniami liczyć się musiał Dąbrowski, przybywając, w początku stycznia 1802 r., do Lyonu, dla widzenia się z Bonapartem. Był on tutaj zupełnie osamotniony. Spotkał się tu wprawdzie znów z Sokolnickim, który przecie, wydeptując sobie w Lyonie sukcesyę po Wielhorskim i stopień generała brygady, „robił wszystko dla siebie, a nic dla korpusu“. Nie sprzyjała zresztą smutnym i słabym kołataniom polskim cała towarzyska i polityczna atmosfera lyońskiego zjazdu. Wspaniałe przyjęcia, zgromadzenia, festyny, tłok dostojników cywilnych i wojskowych francuskich i włoskich, twardy i górny nastrój Bonapartego, narzucającego Konsulcie, pozornie udzielnej, własną swoją wolę samowładczą, wszystko to źle wróżyło o bezsilnych zabiegach, o stosunkowo znikomych a przesądzonych już sprawach legionowych polskich. Ale Dąbrowski, choć sam, choć w złych warunkach, nie zaniedbał koło tych spraw tak mu bliskich ze zwykłą, śmiałą, pracowitą i upartą chodzić wytrwałością. Trafił w rozgwarze lyońskim do wybitnych generałów, do francuskich ministrów spraw wewnętrznych, życzliwego Polsce Chaptala, i spraw zagranicznych, udającego życzliwość Talleyranda. Zwłaszcza zaś trzymał się wpływowego Murata, którego szczere sywpatye polskie a także tajne ambitne na Polskę widoki były mu dobrze znane.

Przez Murata i w jego obecności uzyskał Dąbrowski widzenie się z Pierwszym konsulem, w pierwszych już dniach po jego do Lyonu przybyciu. Poufna ta, ranna audyencya, w połowie stycznia 1802 r., odbyła się w ratuszu lyońskim, gdzie rezydował Bonaparte. Przyjęty z niezmienną przezeń łaskawością i pytany o „życzenia“ i „żądania“ legionowe,

Dąbrowski w skrępowanym z musu, dozwolonym przez okoliczności, lecz męskim bądźcobądź i roztropnym odpowiedział sposobie. Mówił „imieniem dziesięciu tysięcy zbrojnych (Polaków), walczących od lat sześciu... na rzecz narodu francuskiego. Prosił nie o łaskę, lecz o „lojalność". Żądał, aby „korpus polski", jako jedna zamknięta w sobie, ze sztabu, trzech półbrygad i pułku jazdy złożona całość, nie był rozdrabniany, rozdawany pomiędzy państewka włoskie, lecz w kupie zachowany przy armii francuskiej. Uzasadniał przedmiotowo to żądanie, wskazując przyszłą militarną i polityczną dla Francyi doniosłość takiego zbrojnego pogotowia polskiego przy armii francuskiej. A mianowicie, niezrażony dokonywaną właśnie dokoła pacyfikacyę powszechną, już przepowiadał nieuniknioną „pierwszą wojnę, jaką Francya będzie mogła mieć z jednem z mocarstw rozbiorowych". Na życzenie Bonapartego, złożył mu następnie te wywody na piśmie, w zwięzłej nocie. Nazajutrz podobne pismo złożył Talleyrandowi. Przypominał tu, że legiony polskie, powstałe z niczego, kosztowały dotychczas Austryę 30 tysięcy ludzi, z których 10 tysięcy jest jeszcze pod bronią w zreorganizowanych legiach polskich; wnioskował stąd o tem skuteczniejszej na przyszłość akcyi podobnej, przy należytem zachowaniu istniejącego, tak znacznego zbrojnego zawiązku. Pisał również do Murata, odwołując się do wypróbowanej jego opieki i zapewniając go ze znamiennym naciskiem o trwałej dlań „we wszelakich okolicznościach wdzięczności" Polaków. Prosił go szczególnie o pozwolenie wyjazdu z Lyonu do Paryża, celem opracowania dalszych szczegółów reorganizacyi legionowej w ministeryum wojny, w bezpośredniem porozumieniu ze znanym mu dobrze i przychylnym Berthierem. Co więcej, Dąbrowski, w parę dni potem, zdobył się na krok śmiały i zręczny: na formalne odsłonięcie swojego, wykrytego już uprzednio, jak dobrze było mu wiadomo, jońsko-

morejskiego sekretu. Uczynił to w złożonych Bonapartemu przez Murata dwóch zapiskach: „Projekcie usadowienia się (*établissement*) w Rzeczypospolitej Egejskiej“ i „Planie wykonania“. Ofiarował się uskutecznić znienacka ową polską do Grecyi wyprawę, „pod pretekstem jawnego buntu“ wojsk polskich, z powodu oddania ich Etruryi i Cyzalpinie. Prosił tylko o „milczącą zgodę i pomoc jaknajbardziej pośrednią“ ze strony Bonapartego i komendy naczelnej francuskiej we Włoszech. Polacy, rzekomo zbuntowani, złączywszy wszystkie trzy swe półbrygady i wziąwszy siłą armaty i amunicyę z Toskanii i Modeńskiego, pomaszerowaliby na południe, aż do Otranta, gdzie wsiedliby na okręty i udaliby się stąd wprost na wyspy greckie i do Morei. Byłoby to z podwójną Francyi korzyścią: pokrzyżowałoby zaborcze widoki rosyjskie na półwyspie bałkańskim i stworzyłoby Francuzom polską „kolonię towarzyszy broni“ na Zachodzie. „Być może nawet, obywatelu konsulu, — tak proroczym poniekąd, filhelleńskim zwrotem odzywał się tu do Bonapartego Dąbrowski, — rzucisz tym sposobem płodne ziarno rewolucyi, która kiedyś w całej wybuchnie Grecyi, a równie będzie pożądaną dla ludzkości wogóle, jakoteż w szczególności pożyteczną dla Francyi“. Jednakowoż wszystkie te zachody lyońskie Dąbrowskiego nie zdały się na nic. Nieprzychylne dla legii zarządzenia zadaleko już były posunięte i zbyt dobrze odpowiadały administracyjnym i politycznym względom i rachubom chwili. O utrzymaniu korpusu polskiego jako całości nie mogło być mowy; przeciwnie, gotowało się rdzenne jego rozbicie co do przynależności i czynnego użycia. Zaś co się tycze awanturniczej wyprawy greckiej, to grożąc wywołaniem nieobliczalnych na Wschodzie, z Portą, Rosyą i Anglią, powikłań, nie odpowiadała ona bynajmniej najbliższym zamierzeniom Bonapartego, zarówno w dziedzinie polityki zagranicznej jak wewnętrznej, wymagającym utrwalenia, przynajmniej na czas jakiś,

zdobytego z takim trudem stanu pokojowego. Koniec końcem, Dąbrowski, niczego nie wskórawszy, nie zyskawszy ani pozwolenia udania się do Paryża, ani ponownego posłuchania u Pierwszego konsula, musiał jeszcze przed jego odjazdem opuścić Lyon i wrócić do Medyolanu.

Wkrótce potem nadjechał tu z powrotem i Murat, przywożąc ostateczną wolę Bonapartego o niezwłocznem przejściu I. i II. półbrygady polskiej oraz pułku jazdy do wojsk włoskich. Z ciężkiem sercem poddał się temu wyrokowi Dąbrowski. Uzyskał jednak jeszcze, w początku lutego 1802 r., pisemne od Murata oświadczenie, że bezwarunkowo zachowane będą komenda, mundur i znaki polskie. Poczem natychmiast musiał jeździć osobiście do Reggia, Cremony, Modeny, gdzie konsystowały trzy wymienione oddziały polskie, dla wpłynięcia na spokojne ich poddanie się nowemu swemu przeznaczeniu. Nie odbyło się bez oporu; lecz przemogło, przekonało magiczne imię Bonapartego; gdyż pod nim raczej, niż Włochami, pod nowym teraz prezydentem Republiki włoskiej godzili się służyć legioniści. Niebawem, w końcu lutego, zapadła w Paryżu zasadnicza uchwała konsularna o nowem, poczynając od przyszłego już miesiąca marca, urządzeniu wojskowem w Republice włoskiej. Liczba konsystujących w niej wojsk francuskich, w myśl przedwojennej umowy 1798 r. z Cyzalpiną, ograniczono tu do 25 tysięcy ludzi. Zarazem do własnej armii Republiki włoskiej przekazywano, oprócz polskiego pułku jazdy, I. i II. półbrygadę polską. Tegoż dnia, w poufnem piśmie do wiceprezydenta Melziego, przesyłając powyższą uchwałę, zalecał mu Bonaparte trzymać oddziały polskie zdala od granic austryackich, najlepiej w Romagni. Melzi na tej zasadzie powiadomił Dąbrowskiego i przybyłych do Medyolanu trzech szefów oddziałów polskich, iż odtąd te oddziały „winny być uważane nieinaczej, jak wojsko narodowe włoskie“.

Groziło to zupełnem ich odpolszczeniem, a było w rażącej sprzeczności z pisemnem zobowiązaniem Murata. Wobec tego, w porozumieniu z Dąbrowskim, pozbawionym już czynnej komendy nad wojskiem polskiem, trzej obecni szefowie, Grabiński, Axamitowski i Rożniecki, z formalnem wystąpili zastrzeżeniem. Wnieśli oni, w początku marca, na ręce Melziego podanie, skierowane właściwie do Bonapartego, jako prezydenta Republiki włoskiej, gdzie w dziewięciu punktach wyrazili nieodbite, minimalne żądania oddziałów swoich. Żądali tedy uznania odrębnej przy wojsku włoskiem „istności korpusów polskich, wraz z zachowaniem nietykalnej ich całości", utrzymania polskiej komendy, munduru, sposobu rekrutacyi, awansu wewnątrz korpusów, zabezpieczenia inwalidów i weteranów i t. p. W końcu, podnosząc zasługi Dąbrowskiego, upominali się o pozostawienie go i nadal na stanowisku inspektora generalnego wojsk polskich. Na całą tę punktacyę, posłaną przez Melziego do Paryża, nadeszła stamtąd „jaknajpomyślniejsza" odpowiedź Bonapartego. W myśl udzielonej przez niego zgody na powyższe punkta szefów polskich, dekret nowego rządu medyolańskiego, 29 kwietnia 1802 r., urządził szczegółowo zasady przynależności oddziałów polskich do wojska Republiki włoskiej. Wedle tego dekretu, przy narodowej armii włoskiej, poza właściwym jej kompletem 24 tysięcy ludzi i 4 tysięcy koni, utrzymywane być miały, jako połączone z nią, lecz nie stanowiące integralnej jej części składowej, wojska „posiłkowe *(ausiliarii)*" polskie, złożone z trzybatalionowych półbrygad I. i II., po 3710 ludzi każda, oraz czteroszwadronowego pułku jazdy w tysiąc koni, ogółem w sile 8400 ludzi, pod nazwą „Polaków na żołdzie Republiki włoskiej (*Polacchi al soldo della Repubblica Italiana)*". Osobno urządzony został inspektorat generalny polski, pod Dąbrowskim, z szefem sztabu adjutantem-komendantem Kosińskim, szefem batalionu Janem Dembowskim, kapitanami-adjutantami

Tremonem młodszym i Haukem. Znalazł się też tutaj, jako komisarz wojskowy polsko-włoski, biedny, zbiegły z Paryża Barss, dzięki poleceniu Dąbrowskiego z ostatniej wydobyty nędzy i na tem umieszczony stanowisku. Nieco później uzyskał Dąbrowski od rządu włoskiego ustanowienie dwóch osobnych kompanii inwalidów i weteranów polskich.

To było wszystko, co narazie dało się zrobić. Nie było to, rzecz prosta, wedle myśli ani Dąbrowskiego, ani legionistów. Przejście ich na stałe służby nowej Republiki włoskiej było nietylko zasadniczem załamaniem pizrwotnej idei legionowej, lecz praktycznie też pociągało za sobą niedogodności poważne. Stosunki w tej Republice, choć daleko bardziej, niż w Cyzalpinie, ustatkowane teraz pod władzą prezydyalną Bonapartego, wiele jednak pozostawiały do życzenia, pod względem politycznym i gospodarczym. Nadana w Lyonie, w styczniu 1802 r., konstytucya republikańska włoska, wzorem konsularnym francuskim, warowała stanowczą przewagę władzy wykonawczej nad prawodawczą. Rząd włoski, w osobliwszej jakiejś, republikańskiej unii personalnej z Francyą pod prezydencyą Bonapartego, przy zastępującym go wiceprezydencie Melzim, składał się z dość zawiłego aparatu: ośmioosobowej Konsulty stanu, trzynastoosobowej Rady prawodawczej, i właściwej egzekutywy złożonej z siedmiu ministrów, śród których wydział wojny piastowali Trivulzio, potem Pino. Przedstawicielstwo narodowe spoczywało w jednoizbowem Ciele prawodawczem, z 75 posłów, z kompetencyą właściwie czysto doradczą, pozbawionem wszelkiej istotnej powagi i wpływu. Podług pierwszego budżetu Republiki włoskiej, na 1802—3 r., wydatki obliczone były na 82 miliony, w czem na same potrzeby wojskowe 46, i to w połowie na opłacenie okupacyjnej armii francuskiej; dochody na 68, deficyt przeto na 14 milionów. Nurtujące kraj niezadowolenie wzmogło się jeszcze po zawodach Konsulty

lyońskiej. „Niechęć przeciw Francuzom — donosił Bonapartemu Melzi—jest niemal powszechną". W podobnych warunkach, położenie obcej siły posiłkowej polskiej, oderwanej od rzeczywistych swoich przeznaczeń, a narażonej na wszystkie te tarcia francusko-włoskie, było zewszechmiar niezdrowe i niepomyślne. Ale przynajmniej egzystowano. Przynajmniej, w tym stanie przechodnim, aż do lepszych dotrwać spodziewano się czasów. Nie było z tem dobrze rozebranej na części, obezwładnionej, obniżonej, legii pierwszej, włoskiej. Ale mogło być gorzej, jak okazał to równocześnie straszliwy los legii drugiej, naddunajskiej.

Legia ta, jak się rzekło, od końca 1801 r., po oderwaniu swej jazdy, przeobrażona na III. półbrygadę pieszą polską, pozostała rozkwaterowana w Livornie i okolicach. Pozbawiona wszystkich wyższych oficerów, już nietylko Kniaziewicza i Fiszera, lecz także nieobecnych Jabłonowskiego, Sokolnickiego i Rożnieckiego, doznawała tem szybszego duchowego rozkładu. Nie mógł utrzymać jej w karbach dowodzący nią zastępczo stary żołnierz Rzpltej, zacny, lecz słaby i przyciśniony wiekiem szef batalionu Junge; a nawet, po rozlicznych zatargach i biedach, pod sam koniec dobrowolnie chciał składać komendę. Jeszcze mniej do trafnego nadawali się sternictwa drugi szef batalionu, Bolesta starszy, „burzliwego i egzaltowanego charakteru, ... w zasadach demokratycznych mniej roztropnie zaciekły", oraz trzeci szef, Grabski, „nader w rozumie i rozsądku upośledzony, swojego własnego zdania niemający". Bez kierunku, lub pod lichym kierunkiem, a śród wyjątkowo trudnych okoliczności, psuć się musiał raptownie wyborny materyał oficerski i żołnierski byłej legii naddunajskiej. Wkrótce spory, sejmiki, wykroczenia przeciw dyscyplinie były na porządku dziennym. „Karność i obroty wojskowe — donosił Muratowi gubernator Livorna, generał Rivaud — zupełnie są nieznane w tym

korpusie". W rzeczywistości tak źle nie było, i pod ręką właściwą niechybnie wszystko wnet wróciłoby do porządku. „Mogę zapewnić — pisał Dąbrowski, który pod koniec marca 1802 r. zjechał do Livorna na inspekcyę III. półbrygady, — że ciało oficerskie składa się z młodzieńców dobrej woli, lecz będących bez wodza, więc bez dyscypliny... Winni są nie oficerowie, ale ci, co znaleźli się na ich czele".

Tymczasem jednak nieboracy naddunajscy sami własne nieszczęsne przyśpieszali losy. Pobudkę zewnętrzną podała wciąż zawieszona nad III. półbrygadą, a od początku 1802 r., po zyskaniu zgody króla Ludwika, nanowo popierana sprawa służby etruryjskiej. Pragnąc raz kres jej położyć, zgromadzeni oficerowie, z inicyatywy Bolesty, ułożyli ostre oświadczenie zbiorowe, iż „nie chcą służyć królom, a gdyby ich do tego zmuszano, powrócą raczej do zagród swoich". Z tą odezwą, podpisaną swojem i żołnierzy imieniem, wyprawili trzech deputatów do Murata, do Medyolanu. Murat deputacyę najgrzeczniej przyjął i zapewnił, że o przymusowem oddaniu Polaków królowi Etruryi niema wcale mowy. Wkrótce potem, w marcu, Murat w największym pośpiechu wyjechał do Paryża. Podobno został on tam wezwany dla tłomaczenia się przed Bonapartem z brzydkiej afery przekupstwa. Był jednak także potrzebny do poinformowania Pierwszego Konsula w niektórych pilniejszych sprawach bieżących włoskich, a między innemi również w postanowionej już zasadniczo od półroku sprawie użycia Polaków do ekspedycji zamorskiej.

Naraz, w kwietniu, z Paryża, przez kwaterę główną medyolańską, nadeszła do Livorna nieoczekiwana nowina. Oznajmiono rozkazem dziennym wolę Bonapartego, „iż nagradzając znakomite usługi wojenne, przez walecznych Polaków Republice (francuskiej) okazane, III. półbrygada odtąd do wojska francuskiego przydzielona, równych zaszczytów i praw używać będzie, i numer (kolejny w woj-

sku francuskiem) 113. półbrygady nadany jej został". Rzecz zrazu przez legionistów z największą była przyjęta uciechą. Widziano w tem wielki sukces śmiałości, okazanej przez ową do Murata odezwę. Zostawając wprost przy Republice francuskiej, w porównaniu do oddanych włoskiej towarzyszów, uważano siebie za szczęśliwie uprzywilejowanych. Złudna ta radość miała trwać niedługo i nagle okrutnemu ustąpić otrzeźwieniu. Nie łudził się ani chwili i najwcześniej smutną przeniknął rzeczywistość czujny twórca legionów. Ledwo z inspekcyjnego swego objazdu wróciwszy do Medyolanu, ze zgrozą wykrył i wyrozumiał Dąbrowski istotne przeznaczenie III. półbrygady. „Dowiedziałem się,—pisał tymczasowemu jej komendantowi, nie przeczuwającemu jeszcze niczego szefowi Jungemu, już w drugiej połowie kwietnia 1802 r.,—że generał *en chef* (Murat) wyznaczył Francuza na szefa brygady do Waszego korpusu. Nie zastałem tu generała *en chef*... udałem się natychmiast do generała Charpentiera (szefa sztabu Murata), dla dowiedzenia się, czyliby nie można zaradzić temu nieszczęściu. Odpowiedział mi, że sami sobie temu winni jesteście przez Wasz nieład, nieporządek i niezgodę wielką. A ponieważ nie chcieliście być nigdy posłusznymi rządowi i, jak powiada, trzy razy więcej kosztujecie, niźli półbrygady francuskie, rząd Wam wyznaczył szefa brygady Francuza i jeszcze niektórych oficerów tego narodu, dla wprowadzenia u Was porządku: i dla uskutecznienia tego, do San Domingo Was posyła. To jest wszystko, co względem losu Waszego dowiedzieć się mogłem. Starajcie się temu zapobiedz przy powrocie na Florencyę generała *en chef*, aby przynajmniej tyle pięknej i statecznej młodzieży dla familii swoich nie było straconych".

Jeszcze nic dokładnie nie było wiadomem, jeszcze nietylko w Livornie, lecz i w Paryżu, w głowie samego nawet Bonapartego, o podjętej zamorskiej wyprawie pochlebne trwały złudzenia, a już „nieszczęście" i „zatratę"

trafnym odgadł instynktem, już najpierwszy na trwogę uderzył Dąbrowski, zasłyszawszy imię San Dominga. W złowieszczem tem imieniu była śmierć legionów.

III.

Najcenniejszą z niewielu, pozostałych jeszcze Francyi kolonii, była wtedy „perła Antyllów“. Była to wielka, o przeszło 70 tysiącach kilometrów kwadratowych, z ludnością około miliona, wyspa „dominikańska“, San Domingo, jak ochrzcili ją hiszpańscy odkrywcy, czyli Haiti, „górzysta“, jak zwali ją pierwotni, wnet wytępieni, tuziemcy indyjscy. Wystawiała ona cudny, podzwrotnikowy krajobraz. Ukazywała góry łagodne, bujną roślinnością okryte, kwitnące wieczną wiosną, równiny rozległe i płodne, przepasane gajami kokosów, cytryn, pomarańczy. Lecz hojne dary przyrody niebezpieczny zatruwał klimat. Panowały tu w porze upalnej, od kwietnia do września, zgniłe gorączki, dysenterya, zapad senny, w porze dżdżystej szkorbut, zapalenie płuc i mózgu. Nadomiar zaś gościła najstraszliwsza, śmiertelna plaga: żółta febra. To też napływowa ludność europejska, na te groźby tropikalne nieodporna, nigdy tutaj należycie zaaklimatyzować się i rozmnożyć nie mogła. Do uprawy obszernych swych plantacyi nieliczni biali koloniści sprowadzali moc niewolników murzyńskich, głównie z Gwinei i Konga. Część zachodnia, najurodzajniejsza, przeszło jedna trzecia całej wyspy, opanowana przez flibustyerów francuskich, odstąpioną została przez Hiszpanię Ludwikowi XIV w pokoju ryswickim, z końcem XVII wieku. Rozwinęła się ona ogromnie i pod koniec XVIII wieku miała wyjątkową doniosłość gospodarczą. Roczny stąd eksport francuski, zwłaszcza cukru trzcinowego, kawy,

bawełny, przenosił 200 milionów franków. W nowej stolicy, Port-au-Prince, na zachodzie, w starej, Cap Français, dawnem Haitien, na północy, zakwitły handel i zbytek na wielką skalę. Liczne też inne, Gonaïves, Cayes, Jérémie, zamożne portowe powstały miasta. Bogaciła się arystokracya plantatorska i bogaciła metropolię. Z tej jednej kolonii najwięcej złota płynęło do Francyi i Paryża.

Ta świetność jednak na kruchem spoczywała podłożu. Na przeszło 900 tysięcy mieszkańców San Dominga, było niespełna 100 tysięcy białych kolonistów. Do 200 tysięcy było usamowolnionych poczęści kolorowców, t. zw. mulatów, gryfów, kwarteronów, itp. krzyżowanych w różnym stopniu mieszańców. Wreszcie, przeszło półmiliona żyło tu, wegetowało, czarnych niewolników. Tych ostatnich położenie było okropne. Traktowani gorzej od bydła, trzymani byli w posłuszeństwie postrachem kar niesłychanych. Byli katowani, okaleczani ohydnie, żywcem grzebani lub paleni, oblewani cukrem i wystawiani mrówkom na pożarcie. Od tych męczarni ratowali się dzikiemi samobójczemi sposoby, przełykając własny język albo dławiąc się jedzoną ziemią. Dziką przeciw swym katom mściwość kryli w tajnych związkach, obrzędach, tańcach, śpiewach religijnych, pod hasłem na pohybel białym. Dzikie też układali plany pomsty i wyzwolenia, jak wykryty za Ludwika XV i srogo stłumiony spisek murzyna Macandala, celem wytrucia wszystkich białych. A mieli podobno afrykańskie jakieś sekrety zarazków trujących, sprzyjających epidemii żółtej febry. Z biegiem czasu jednak i śród białych znalazło się nieco żywiołów postępowych, przeciwnych zarówno rojalizmowi, jak niewolnictwu. Siedliskiem ich, na wzór Francyi, zostały loże wolnomularskie, do których zaczęto dopuszczać mulatów, później i murzynów. Powstał także w Cap Français oddział francuskiego towarzystwa Filadelfów. To też wybuch rewolucyi francuskiej odbił się

silnie na San Domingo. Uchwały Konstytuanty paryskiej o prawach człowieka i obywatela, w bezpośredniem swem zastosowaniu do niewolnictwa w koloniach, rzuciły zarzewie wielkiego na wyspie pożaru. Zaczęły się tutaj, w 1791 r., krwawe rozruchy murzyńskie przeciw białym. Plantatorowie-szlachta stanęli murem wraz za *ancien régimem* i niewolą. Zwoławszy dominikańskie zgromadzenie kolonialne, wystąpili oni zarówno przeciw przewrotom ustawodawczym paryskim, jak i obywatelstwu ludzi ciemnej rasy. Co więcej, za przykładem emigrantów francuskich, zwrócili się po pomoc do Anglii. Anglia bowiem, ze względu na licznych murzynów we własnych swoich koloniach, zwłaszcza tuż obok, w Indyach Zachodnich, na Jamaice, była żywo zainteresowaną w utrzymaniu niewolnictwa. Natomiast w Paryżu, po pierwotnem równouprawnieniu mulatów, za czem oświadczał się praktyczny Reubell, niebawem doszło do emancypacyi również i murzynów. Dekrety Legislatywy 1792 r. i Konwencyi 1793-4 r. ostatecznie uwięciły zniesienie niewolnictwa i pełne równouprawnienie mieszańców i czarnych.

W odpowiedzi na to koloniści francuscy San Dominga, przez wysłanych do Londynu pełnomocników, na podobieństwo spółczesnej akcyi Korsykanów, oddali siebie i swoją wyspę całkowicie pod protektorat Wielkiej Brytanii. Nastąpiło, w 1794 r., wylądowanie wojsk ekspedycyjnych angielskich, które, wspomagane przez rojalistycznych białych kolonistów i część pozyskanych mulatów, a także przez miejscowych Hiszpanów, opanowały całe pobrzeże francuskie San Dominga ze stolicy Port-au-Prince. Ze swej strony, jakóbińscy komisarze Konwencyi na wyspie, przy poparciu białej mniejszości republikańskiej, odwołali się do wyzwolonych murzynów. Na czele tych czarnych sojuszników Republiki stanął rzekomy wnuk króla Arradasów, zrodzony ze sprzedanych do San Dominga rodziców, na-

wrócony na katolicyzm murzyn, wybitnych zalet charakteru i umysłu, Toussaint Louverture. Panując nad całem wnętrzem wyspy, a przeciągnąwszy też mulatów pod generałem Rigaudem, coraz bardziej naciskał on Anglików, zamkniętych w miastach portowych i dziesiątkowanych przez klimat i choroby. Tymczasem, w 1795 r., Hiszpania zawarła w Bazylei pokój z Francyą rewolucyjną, ustępując jej swoją część San Domingo, poczem, w 1796 r., wypowiedziała wojnę Anglii. W tak pomyślnych okolicznościach, zagrzany nadto echem spółczesnych wielkich zwycięstw włoskich Bonapartego, Louverture z największym skutkiem prowadził i kończył swoją z Anglikami walkę. Ostatecznie, w 1798 r., Anglicy musieli ewakuować wyspę. Stracili oni tutaj z samych chorób, i w jednym tylko 1794 r., 12 tysięcy ludzi; ogółem zaś ta wyprawa, aż do 1798 r., kosztowała ich podobno 45 tysięcy ludzi i pół miliarda franków. Całe San Domingo było odtąd formalnie w ręku Francyi. W rzeczywistości panem wyspy został Louverture. Dyrektoryat paryski za wypędzenie Anglików mianował go jej gubernatorem, lecz ubocznie starał się utrzymać go na wodzy. W tym celu komisarz Dyrektoryatu na San Domingo, generał Hédouville, wyzyskując spółzawodnictwo murzynów z mulatami, podzielił władzę na wyspie między Louverturem a Rigaudem. W wynikłych stąd wnet, od 1799 r., krwawych zapasach, łatwo wziął górę Louverture. Odtąd usamodzielniał się on coraz bardziej. Zachował wprawdzie napozór dobre stosunki z Francyą, dokąd synów swych, niby zakładników, posłał na wychowanie. Lecz zarazem wszedł w poufną styczność z Anglią, z którą już przy ewakuacyi wyspy tajną zawarł umowę. Czując się „czarnym Bonapartem“, naśladując poniekąd jego konsulat, ogłosił się nakoniec dożywotnim rządcą wyspy, z prawem wyznaczenia sobie następcy. Wydał nawet własną dla niej konstytucyę, którą notyfikował Francyi jako czyn dokonany. Słowem,

prosto i szybko zmierzał do wyzwolenia siebie, swoich czarnych i San Dominga od metropolii francuskiej.

Takie położenie zastał Pierwszy konsul Bonaparte. Nie zoryentował się w niem odrazu. Niedocenił komplikacyi stosunków i ludzi kolonialnych. Po powrocie z Egiptu i zamachu brumaira, na Boże Narodzenie 1799 r., szczególnym zbiegiem okoliczności tego samego dnia, kiedy wystosował serdeczną odezwę powitalną do Dąbrowskiego i legionów polskich, wydał on również ognistą proklamacyę do „obywateli San Dominga“. Zapewniał tu „dzielnych czarnych“, iż zachowają wolność i równouprawnienie, nadane im przez rewolucyę. Kazał nawet to zapewnienie wypisać złotemi zgłoskami na ich sztandarach. Ale wkrótce poznał podwójną, polityczną i gospodarczą trudność zagadnienia. Polityczna polegała na dążeniu Louvertura do udzielnego panowania swego i czarnych na wyspie. Gospodarcza polegała na związanej ze zniesieniem niewolnictwa sprawie uwłaszczenia czarnych, a tem samem wywłaszczenia białych na wyspie. Kapitał białych kolonistów na San Domingo szacowano wtedy na przeszło półtora miliarda franków, w czem wartość niewolników murzyńskich stanowiła około miliarda, a resztę wartość gruntów, zakładów i bydła. Owóż ci koloniści kreolscy, wyzuci ze swych bogactw, a zawiedzeni na protekcyi angielskiej, zaczęli teraz tłumnie napływać do Francyi konsularnej. Zaczęli wyzyskiwać na rzecz swoją zwrot konsularny od haseł rewolucyi ku tradycyom monarchii. Wytworzyli w Paryżu wpływową grupę, popieraną przez posesyonowanych na Antyllach magnatów, jak Noailles, La Rochefoucauld itd., oraz przez zainteresowane koła finansowe. Znaleźli sobie popleczników w Radzie stanu i ministeryach spraw zagranicznych, skarbu, marynarki i kolonii. Co główna, korzystali z poparcia swej rodaczki, córy Antyllów, kreolki Józefiny, a przez nią oddziaływali na samego Pierwszego konsula. Już wiosną 1800 r. wyprawił Bonaparte

pierwszą niewielką, kilkotysięczną ekspedycyę kolonialną pod kontradmirałem Lacrossem. W wydanej z tego powodu proklamacyi zwracał się już nie do „obywateli“, lecz do „mieszkańców San Dominga“. W odmiennym, chłodniejszym przemawiając do nich tonie, przecież wciąż jeszcze poręczał im wolność i równość bez różnicy rasy. Jesienią tegoż roku wyprawił tam powtórną skromną ekspedycyę pod kontradmirałem Ganteaumem. Zalecał przytem głaskać osobiście Louvertura, hamując go zresztą konkurencyjnie przez innych wodzów murzyńskich. Pod koniec roku myślał nawet mianować go kapitanem generalnym, t. j. wielkorządcą wyspy. Tem mocniej atoli był dotknięty spadłą nagle, w maju 1801 r., nadaną samowolnie przez Louvertura konstytucyą. Uznał w niej zamach stanu, „akt niepodległości *(acte d'indépendance)*“. Stanął przed nieuniknionym teraz dylematem. Albo mógł zatwierdzić ten czyn dokonany i płynące stąd uwłaszczenie czarnych, zachowując wzamian dla Francyi cenny przywilej handlu z wyzwolonem San Domingiem i potężny sukurs przyjaznej armii murzyńskiej na drugiej półkuli. Albo też mógł pójść na odebranie wyspy murzynom siłą zbrojną, i płynące stąd, koniec końcem, przywrócenie niewolnictwa.

Wedle późniejszych na św. Helenie wynurzeń, Bonaparte zrazu przechylał się pono raczej ku pierwszemu, słuszniejszemu i mędrszemu rozwiązaniu. Ostatecznie jednak poszedł za drugiem, pozornie realistycznem a naprawdę zgubnem. Było mu ono narzucane przez zainteresowanych kolonistów, którzy na swem wywłaszczeniu, przy najlepszej nawet indemnizacyi, straciliby conajmniej trzy czwarte majątku. „Ci koloniści, stanowiący silną partyę w Paryżu, byli to prawie wszyscy rojaliści i zaprzedani fakcyi angielskiej“, tak po niewczasie wyrazi się o nich Napoleon na św. Helenie. Tymczasem jednak uczynił im zadość Pierwszy konsul. Pomściła się na nim tym razem, jak i kiedyindziej, zbytnia ustępliwość dla stano-

wych i społecznych przeżytków *ancien régimu*. Pomściło się też niezdrowe, nabyte w twardym o władzę wysiłku, lekceważenie pewnych wartości ideowych, tak niemiłej Napoleonowi „ideologii“. A pomściły się tu także szczególniejsze, jak się rzekło, wyniesione z Egiptu, zboczenia moralno-polityczne, wschodnia pogarda ludzkości wogóle, cóż dopiero rasy czarnej. Niewolnictwo kolonialne było wszak wtedy, poza jedynym rewolucyjnym wyjątkiem francuskim, powszechną jeszcze regułą. Stąd rodziła się skłonność do odwołania tego szalonego wyjątku. A jednak już podówczas sprawa abolicyi niewolnictwa była duchowo wygraną. Do jej głosicieli we Francyi rewolucyjnej, z idealistą księdzem Grégoirem na czele, zacnym obrońcą murzynów, a wiernym też, jak wspomniano, przyjacielem Polski, już zewsząd i w innych krajach wybitni przyłączali się filantropi. Należał do nich, wraz z amerykańskimi przyjaciółmi, i Kościuszko. Przed paru laty, na ostatnim ze Stanów Zjednoczonych wyjeździe, stwierdził to Naczelnik piękną, hojną ze skromnej swej kiesy, na rzecz czarnych fundacyą. Przedewszystkiem zaś w Anglii spółczesnej podniósł się największy abolicyonista, szlachetny Wilberforce. Pociągnąwszy takich nawet, jak Pitt i Fox, trzeźwych mężów stanu, potrafił on już w lat kilka osiągnąć zniesienie handlu czarnymi, zanim po trzydziestoleciu miał doprowadzić do zniesienia samego niewolnictwa. Bonaparte natomiast we wręcz przeciwnym zboczy kierunku. Pozbawi Francyę należnego jej zaszczytu pierwszeństwa w sprawie abolicyjnej. Zawróci wstecz, od wyzwoleńczych uchwał murzyńskich wielkiej rewolucyi, do okropnego „czarnego kodeksu“ Ludwika XIV. Opóźni on o półwieku, aż do rewolucyi lutowej, abolicyonizm francuski. W tej sprawie egzotycznej, lecz pośrednio i dla rzeczy europejskich bardzo znamiennej, pozornym realizmem poniży sam siebie moralnie. Ulegnie tu zacofaństwu przeszłości, stępi cudowne swe, intuicyjne przeczucie przyszłego po-

stępu. A wzamian i praktycznej żadnej nie odniesie korzyści. Przeciwnie, znaczne zmarnuje wysiłki, straci San Domingo, skapituluje przed „ideologią“. Będzie to nazawsze ciężka dla niego zmora i wyrzut, i nikt też mocniej od niego tej własnej nie napiętnuje pomyłki. „Sprawa San Dominga—tak on sam siebie za nią potępi—była wielkiem głupstwem... To był największy błąd, jaki popełniłem...“. To też już wkrótce potem, w 1807 r., a w półroku po pierwszem zwycięstwie Wilberforca, po zniesieniu przez parlament angielski handlu niewolnikami, za ów błąd Bonapartego na San Domingo będzie rehabilitował się w Polsce Napoleon. Wtedy to mianowicie, wyzwalając, choć bez uwłaszczenia, włościaństwo polskie, w zadyktowanej przez siebie ustawie Księstwa Warszawskiego, zamiast stwierdzić poprostu zniesienie poddaństwa *(servage)*, pośpieszy on jaknajdobitniej konstytucyjne wygłosić orzeczenie: „niewolnictwo jest zniesione *(l'esclavage est aboli)*“.

Jednakowoż, stwierdzając całą obłędność akcyi represyjnej, jaką obecnie, pod wpływem ujemnych pobudek psychicznych i interesownych podniet kreolskich, podejmował Pierwszy konsul, należy uwzględnić również i inne głębsze, popychające go w tym kierunku, czynniki czysto polityczne. Te czynniki wiązały się z samą istotą pacyfikacyi powszechnej, którą w tej chwili doprowadzał do końca Bonaparte. Stała ona, pomimo tryumfów Marenga i Hohenlindenu, na nieuniknionym kompromisie. Utrwalał wprawdzie Pierwszy konsul, przez tę pacyfikacyę, nabytki Francyi na lądzie europejskim. Ale zatwierdzał też jej straty kolonialne i przewagę Anglii na morzu. Rozumiał zaś, że przywrócony z takim mozołem stan pokojowy w Europie długo trwać nie może. Tem śpieszniej przeto pragnął wyzyskać go w tej ostatniej mianowicie, morskiej i zamorskiej dziedzinie. Miał przytem dwie praktyczne sprawy na widoku: gospodarczo-kolonialną i wojskowo-flotową. Szło mu więc o rychłe

i intensywne rozwinięcie tego, co jeszcze z francuskich pozostało kolonii, o możliwe tędy powetowanie straconych własnych, nieodżałowanych, jak Malta i Egipt, zdobyczy. Odzyskanie bogatego San Dominga oczywiście najpierw wchodziło tu w rachubę. Ale to byłby dopiero punkt wyjścia dalszych widoków kolonialnych francuskich. W istocie, Bonaparte, jak wskazano, przez umowę 1800 i traktat 1801 r., wzamian za Toskanię, zyskał od dworu madryckiego retrocesyę odstąpionej ongi Hiszpanom, zaprzepaszczonej przez Ludwika XV, wspaniałej kolonii Ludwika XIV, Luizyany. Myślał nadto, wzamian za Parmę, zyskać od Hiszpanów cesyę Florydy. Szłoby tu więc, prócz dalszych jeszcze widoków francuskich na odbiór Kanady, o stworzenie potężnego francuskiego państwa kolonialnego w Ameryce środkowej, z oparciem o Antylle i San Domingo. Zarazem zaś, obok takiej, zakrojonej na wielką skalę, stopniowej akcyi kolonialnej, poczętej ze skromnej napozór ekspedycyi porządkowej na San Domingo, szło tu nienajmniej też o osłonięte nią, ciche a skuteczne wzmocnienie floty francuskiej i przysposobienie jej do przyszłego na angielskiej odwetu. Mógł w rzeczy samej Pierwszy konsul żywić ambicyę posiadania najpierwszej floty świata, jak posiadał najpierwszą armię. Rozrządzał wszak, przy rozległem i dogodnem morskiem wybrzeżu, państwem 40-milionowem, wobec 18-milionowej Wielkiej Brytanii i 5-milionowych Stanów Zjednoczonych, z pominięciem innych krajów, pod względem marynarki nie wchodzących wtedy w rachubę.

Z tylu to różnorodnych założeń wyłoniła się fatalna na San Domingo wyprawa. Czekać z nią wszakże wypadło aż do chwili, kiedy, po pokoju z Austryą a wraz z pokojem z Rosyą, doszły nareszcie przynajmniej preliminarze pokojowe z Anglią. Odtąd bowiem dopiero otwierała się wolna żegluga morska. Natychmiast też, nazajutrz po ratyfikacyi tych preliminarzów, w początku października 1801 r., Pierwszy konsul przystąpił do

urządzenia owej wyprawy. Przeznaczał do niej odrazu siły znaczne, przeszło 20 tysięcy ludzi. Zaś w podyktowanej przez siebie, najpierwszej, październikowej „zapisce o organizacyi wojsk kolonialnych“, szczegółowo przepisując skład „legii San Dominga“, już wyraźnie przeznaczał do niej również i „legię polską“. To tak wczesne przeznaczenie kolonialne Polaków przez Bonapartego niewątpliwie w ścisłym było związku ze wskazaną równoległą reorganizacyą legionów polskich we Włoszech. Było znamiennym komentarzem do tamecznych od września projektów reorganizacyjnych Vignolla, do wstrzymanego w październiku przejęcia Polaków przez armię cyzalpińską, do zleceń Berthiera z listopada o przyśpieszonem przekształceniu legii polskich na półbrygady, z wyjątkiem mniej potrzebnej za morzem jazdy ułańskiej, wreszcie do całej, uskutecznionej w grudniu reorganizacyi obu tych legii na półbrygady I., II., III. Jednakowoż, dla technicznych i ogólniejszych powodów, przepisane w powyższej zapisce Bonapartego użycie Polaków w pierwszym zaraz korpusie ekspedycyjnym uległo zwłoce. Tymczasem zaś sama ta ekspedycya już w najbliższych tygodniach została uruchomioną. Z gorączkowym pośpiechem, przez nowego, umyślnie powołanego ministra marynarki i kolonii, Decrès, przez ministra wojny, Berthiera, sztyftował i poganiał ją osobiście Bonaparte. Komendę nad flotą przewozową powierzył doświadczonemu admirałowi Villaretowi-Joyeuse. Dowódcą naczelnym armii ekspedycyjnej i kapitanem generalnym San Dominga mianował generała Leclerca, swego szwagra, żonatego z ulubioną siostrą Pauliną, która miała towarzyszyć mężowi. Skład sztabowy i żołnierski wojsk ekspedycyjnych był pierworzędny, wartość bojowa wysoka, opatrzenie bardzo staranne. Coprawda, przy doborze wyprawianych oddziałów mógł Bonaparte powodować się poniekąd pewnemi tajnemi ubocznemi względy. Mógł pragnąć czasowego tędy oddalenia wojsk,

do trzymania na dawnej stopie wojennej mniej sobie teraz pod ręką potrzebnych, a zwłaszcza mniej sobie przychylnych, jak nadreńskie, po zatargu z Moreau, albo też mniej dogodnych, jak polskie, po pokoju z Austryą i Rosyą. Nie znaczy to jednak bynajmniej, jak o to później oskarżany bywał Bonaparte, aby on z góry zakładał sobie te wojska gdzieś na podzwrotnikowej uśmiercić wyspie. Na tej samej wyspie, jak się rzekło, w podobnej wyprawie, Anglicy, mniej od Francuzów na klimat tameczny odporni, niedawno większe jeszcze stosunkowo od nich ponieśli straty. A przecie nikt nigdy nie oskarżał Pitta, że on ich tam na rozmyślną posłał zagubę. Zresztą Bonapartemu, który najwierniejszą swą armię i samego siebie własnowolnie był rzucił w martwe pustynie Egiptu i Syryi, wprost śmieszna przypisywać rachubę wytracenia niemiłych sobie wojsk przez ekspedycyę na bujne San Domingo. Co więcej, sam Bonaparte pierwotnie nie wątpił zgoła o sukcesie podejmowanego z taką potęgą przedsięwzięcia. Ta egzotyczna wyprawa do kreolskiego raju na Antyllach była powszechnie, zwłaszcza w kołach wojskowych francuskich, uważana zrazu za rodzaj wyprawy po złote runo. Rwano się też do niej wprost na wyścigi. Ministerya wojny i marynarki zasypywane były prośbami oficerów francuskich o zaliczenie do korpusu ekspedycyjnego. Starali się o to usilnie tak wybitni generałowie, jak Ney, Victor, Bernadotte. Bonaparte, posyłając tam swego szwagra i siostrę rodzoną, żadną miarą nie może być posądzany o piekielną myśl zgładzenia dodanych im żołnierzy francuskich i polskich. Niema powodu zwalać na niego tutaj winy fikcyjnej, skoro i tak zbyt ciężką istotną obarczyło go San Domingo.

Wódz naczelny wyprawy, Leclerc, młodszy o lat kilka od Pierwszego konsula, przypominajacy go nieco rysami i figurą, mały, odważny, rzutki, słaby jego naśladowca, zwany „blondynem Bonapartem“, niedorastał powierzonego sobie trudnego zadania. Przed samym wy-

jazdem, w listopadzie 1801 r., otrzymał on od Bonapartego instrukcyę tajną, której dosłowne brzmienie nie dochowało się. Mimo to, jej treść główna daje się zrekonstruować nieochybnie. Polegała ona na tem, aby, uśpiwszy zarówno murzynów, jak mulatów, poróżniwszy ich między sobą, zgnieść jednych i drugich, wszystkich rozbroić, wodzów ich zgładzić lub jeńcami do Francyi odesłać, przywrócić niepodzielne nad wyspą zwierzchnictwo metropolii francuskiej a białym kolonistom ich majątki i władzę, wreszcie, z pewnem stopniowaniem, przywrócić niewolnictwo. Równocześnie wydał Bonaparte nową proklamacyę do „mieszkańców San Dominga bez różnicy pochodzenia i koloru". Przemawiał tu do nich wschodnim już raczej stylem, i nie bez przejrzystej groźby żądał kategorycznie posłuszeństwa rozkazom Leclerca. Ale jeszcze z naciskiem powtarzał nieszczere obietnice zachowania praw przyznanych murzynom i mieszańcom. Zarazem, odsyłając synów Louverturowi, w pierwszem i jedynem do niego piśmie odręcznem, nie szczędząc mu pochwał, odwołując się do jego talentów a nawet pobożności, poręczał mu solennie nietykalną wolność czarnych jego spółbraci. Zaś jednocześnie wręcz przeciwne nietylko żywił i gotował, lecz już poczynał odsłaniać zamiary. Zrobił to mianowicie pod adresem nawpół pogodzonej Anglii. Była ona bezwzględnie zainteresowaną w niewolnictwie murzyńskiem, jak upewniali go zaślepieni koloniści, wczora sprawcy interwencyi angielskiej a teraz francuskiej na San Domingo. Owóż, za ich to poradą, Bonaparte, by tak wielką zamorską wyprawą zbrojną nie przerazić Anglii, lecz owszem zyskać jeszcze jej poparcie, kazał przez Talleyrandu uczynić rządowi wielkobrytańskiemu szczególniejsze wynurzenie poufne. Odkrywał tedy przed gabinetem londyńskim, że naprawdę pragnie „zniszczyć rządy czarnych na San Domingo", albowiem „dobro cywilizacyi wymaga zburzenia tworzącego się pośrodku Ameryki nowego Algieru".

Dawał przytem wyraźnie do zrozumienia, że szło tu o nic innego, jak o pełne przywrócenie niewolnictwa w koloniach francuskich. Jeśli atoli myślał tym sposobem skaptować sobie Anglię, to zawiódł się srodze. Zraził tem tylko nazawsze, ku niemałej swej na przyszłość szkodzie, Anglików postępowych, dotychczas raczej sobie i Francyi życzliwych, a zwłaszcza Wilberforca i jego przyjaciół abolicyonistów. Natomiast wrogich sobie zachowawczych Anglików rządowych nietylko nie pozyskał, lecz dał im niebezpieczną przeciw sobie broń do ręki. W rzeczy samej, gabinet angielski pośpieszył przestrzedz potajemnie Louvertura i jego czarnych o dwulicowości Pierwszego konsula i istotnych jęgo zamysłach. Zresztą podobne ostrzeżenia wychodziły także wprost z Paryża, gdzie plany rządowe ujarzmienia czarnych i wznowienia niewolnictwa nie były dla nikogo sekretem. Skutek był ten, że zawczasu przygotowany został grunt do najzacieklejszych, śmiertelnych walk na San Domingo.

W takich warunkach ekspedycya Leclerca, wypłynąwszy z Brestu pod koniec listopada 1801 r., przybiła do Cap Français z początkiem lutego 1802 r. Spotkała się ona na samym wstępie z nieprzejednaną postawą należycie uprzedzonych murzynów. Podkomendny i rywal Louvertura, generał murzyński Christophe, w obliczu lądującej floty francuskiej, zaczął od spalenia pięknego miasta Capu, czem zasłuży sobie, jako poprzednik podpalacza Moskwy, na miano „czarnego Rostopczyna“. Jednak wielka przewaga militarna i świeży impet Francuzów, przybyłych w stosunkowo najlepszej porze roku, zdawał się zrazu zapewniać im łatwe zwycięstwo. Już w ciągu lutego, Cap Français i cała północna część wyspy znalazła się w ręku Leclerca. Niebawem zmienny Christophe dał się pozyskać i przeszedł do Francuzów; jego zdrada z kolei skłoniła samego Louvertura do poddania się. Pierwsze doniesienia Leclerca

o tych doraźnych sukcesach nadeszły do Paryża w połowie marca. Zbiegły się one z podpisanym temi właśnie dniami, formalnym pokojem amieńskim z Anglią. Pod wrażeniem tak pomyślnego obrotu rzeczy, Bonaparte ostatecznie utwierdził się w podjętem kolonialnem przedsięwzięciu. Już nieco wcześniej, posyłanemu na Gwadelupę, w zastępstwie Bernadotta, generałowi Richepancowi zalecał ewentualne przywrócenie stanu niewolniczego czarnych tamecznych. Teraz osobiście wypracował szereg fatalnych w tej sprawie zapisek projektowych, na których zasadzie niebawem wydane też zostało zasadnicze, nieogłoszone narazie, postanowienie prawodawcze. Sprowadzało się ono, pomimo pewnych fikcyjnych zastrzeżeń i stopniowań, do odwołania całego wyzwoleńczego dzieła rewolucyi o murzynach, do powszechnego właściwie przywrócenia niewolnictwa w koloniach francuskich. Zarazem zaś, w odpowiedzi na pomyślne pierwsze raporty Leclerca, zapowiadał mu Bonaparte rychłe dalsze posiłki, „dla ujarzmienia raz nazawsze zdradzieckich Afrykanów“. W rzeczy samej, z wezwanym do Paryża Muratem, uczynił on niezwłocznie dobór tych posiłków z rozłożonych po Włoszech oddziałów. Owóż śród nich wybrał również byłą legię naddunajską, obecną III. półbrygadę polską. Przeznaczona w tym celu jeszcze w październiku roku zeszłego, zapewne sama ona teraz ostatniemi wybrykami przyśpieszyła odwłóczone dotychczas losy swoje. Tak więc, 29 marca 1802 r., Pierwszy konsul wydał stanowcze rozkazy do Berthiera i Decrèsa o embarkowaniu rzeczonej półbrygady polskiej w Livornie, z przeznaczeniem na San Domingo. Sama data tych rozkazów ostatecznie niweczy utartą legendę o rzekomym machiawelskim, skrytobójczym zamiarze Bonapartego pozbycia się Polaków przez rozmyślne wystawienie ich w klęskowej wyprawie na pewną zgubę i śmierć. W owej bowiem dacie, w końcu marca, wprost przeciwnie, Bonaparte uważał tę wy-

prawę za arcyfortunną, mając właśnie w ręku jaknajlepsze stamtąd wiadomości. Przeszło 10 tysięczne świeże wojska posiłkowe przeznaczał on teraz do uwieńczenia mniemanej wygranej na San Domingo, a później może do dalszych świetnych w Luizyanie sukcesów. Jeśli więc z temi wojskami wysyłał obecnie również i Polaków, to mógł chcieć na czas jakiś ich oddalić, lecz nie mógł chcieć ich gubić. Raczej nawet i tym razem myślał dogodzić im materyalnie. Dość jego było grzechu, iż usuwając z Europy, oddalając od ojczyzny legionistów polskich, posyłając tych bojowników wolności na bój za niewolnictwo, narażał ich świadomie na śmierć duchową, zanim mimowoli przyprawi ich o śmierć fizyczną.

W myśl powyższych rozkazów Bonapartego, wyszły, w początku kwietnia, odpowiednie przygotowawcze zarządzenia Berthiera. Dotyczyły one przedewszystkiem przemianowania III. półbrygady polskiej na 113. liniową i wcielenia jej w tym charakterze do armii francuskiej. Niespodziane to zarządzenie, jak wyżej wskazano, obwieszczone rozkazem dziennym w Livornie korpusowi polskiemu, natychmiast zostało wykonane. Dowódcą półbrygady mianowany został Francuz, stary pułkownik Bernard z Ancony, oficer nieszczególnej reputacyi, niemający przedtem żadnej komendy frontowej, używany do czynności dość dwuznacznych, wywiadowczych, kontrybucyjnych itp. Stanął on odrazu w nieprzyjaznym do półbrygady stosunku. Zażądał nawet od Berthiera przysłania do każdej kompanii po oficerze i furyerze francuskim, pod pozorem lepszego zastosowania przepisów służbowych francuskich. Berthier jednak odmówił temu żądaniu, stwierdzając w swej odpowiedzi, iż „nic nie może być zmienionem w organizacyi półbrygady". Wkrótce po nominacyi Bernarda nadeszły z Paryża rozkazy Berthiera i Murata o ładowaniu nowej 113. półbrygady, z żywnością dwumiesięczną, na okręty w porcie livorneńskim, z przeniesieniem jej odtąd z wydziału wojny

do rozrządzenia ministeryum marynarki i kolonii. Pośpiesznie załatwiono wszelkie przygotowania do embarkacyi. Uczyniły to miejscowe władze wojenne i portowe, zwłaszcza chciwy komendant Livorna, Rivaud, i przydany mu komisarz ordonator, jaknajoszczędniej, więc jaknajgorzej i z niemałą legionistów biedą. Sprowadzono do Livorna czternaście niewielkich, lichych statków przewozowych, najrozmaitszej narodowości, trzy grecko-rosyjskie, inne austryackie, angielskie, amerykańskie, duńskie. Za niemi wpłynęła do portu korweta wojenna francuska. W samym mieście, opodal koszar polskich, stanęły pod bronią dwie półbrygady francuskie. Jednak wszystkie te środki ostrożności, przedsięwzięte na wypadek oporu zbrojnego, okazały się zbytecznemi. W połowie maja 1802 r., o godzinie czwartej zrana, Polacy 113. półbrygady, ładowani w szalupach, spokojnie, karnie wsiedli na przeznaczone statki. Poczem, „bez najmniejszego szemrania“, choć niepowiadomieni nawet o celu podróży i istotnem przeznaczeniem swojem, „popakowani jak śledzie“, niedostatecznie w żywność i wodę słodką opatrzeni, tegoż dnia o północy popłynęli w ciemną, nieznaną przestrzeń, na śmierć.

Było ich ogółem do 2600 ludzi, trzy bataliony, pierwszy szefa Wodzyńskiego, drugi Bolesty, trzeci Grabskiego, trochę urzędników cywilnych, kilkanaście żon oficerskich i żołnierskich, kilkoro też dzieci legionowych. Oficerowie, reformowani przed półrokiem, przy redukcyi legii i zamianie jej na III. półbrygadę, teraz natomiast, dekretacyą samego Bonapartego, powołani napowrót pod broń, zostali również, pod groźbą dymisyi, przynagleni do udziału w będącej już na morzu wyprawie. Jednocześnie były komendant legii, Jabłonowski, bawiący w Paryżu jako francuski generał brygady, z właściwą sobie usłużnością zaofiarował się Bonapartemu do ekspedycyi zamorskiej. Posłany na San Domingo, wraz z adjutantem swoim, szefem szwadronu Przebendowskim, wy-

przedził on tam nawet byłą swoją półbrygadę, bez żadnego zresztą czynnego nad nią dowództwa, przydany tylko Leclercowi do sztabu. Podobnym sposobem, pod koniec tegoż roku, przybył na wyspę inny wybitny były legionista, teraz też zaawansowany w służbie liniowej francuskiej, szef brygady Dembowski, również przydzielony jedynie do sztabu Leclerca. Pozatem pozostały jeszcze w Livornie zakład półbrygady polskiej, w kilkaset jeszcze ludzi, zdany na opiekę schorowanego szefa Jungego, po ciężkich na miejscu kłopotach, został rozwiązany i następnie jesienią także dosłany na San Domingo. Tymczasem sama nieszczęsna półbrygada 113., od pierwszej chwili wypłynięcia na morze, jakgdyby pod złą wróżbą, ciągłych w drodze klęskowych doświadczała niepowodzeń. Naprzód, ledwo odbiwszy od brzegu, wpadła w gwałtowną burzę wiosenną, która rozpędziła całą flotylę przewozową. Jeden okręt, św. Mikołaj, płynący pod flagą rosyjską, z winy kapitana Rosyanina, niemającego pojęcia o żeglarstwie, rozbił się o skały i zatonął; z dwóch wiezionych na nim kompanii batalionu trzeciego niewielu uratowało się ludzi. Po przebyciu powtórnej jeszcze nawałnicy na morzu Śródziemnem, napotkawszy uporne wiatry przeciwne w cieśninie gibraltarskiej, wypadło popasać czas dłuższy w Maladze i Kadyksie. Tak więc ze znacznem dopiero opóźnieniem wypłynąwszy na Atlantyk, nowych bied w oceanowej doświadczono przeprawie. W równikowej strefie niezmiernych upałów utknięto znów tak długo śród przeciągającej się ciszy morskiej, iż musiano jeszcze ograniczyć skąpe racye żywności i wody do picia, co źle wpłynęło na zdrowotność znużonej, wyczerpanej półbrygady. Nareszcie, po dwakroć dłuższej, niż zwyczajnie, blisko czteromiesięcznej podróży, w początku września 1802 r., zawinięto do San Dominga, w słoneczny poranek jesienny zarzucono kotwicę pod Cap Français.

Aliści, w ciągu ostatnich kilku miesięcy polityczne

i wojskowe położenie Francuzów na wyspie zmieniło się i pogorszyło nadzwyczajnie. Przedewszystkiem, od wiosny tegoż roku, miejscowe, tak niebezpieczne w gorącej porze, epidemiczne choroby poczęły szerzyć się w wojsku francuskiem z bezprzykładną furyą. Najokropniej rozjuszyła się żółta febra. Zabójcza ta choroba zaczynała się od ostrego bólu głowy; wnet gwałtowna wybuchała gorączka, przy coraz wyższej temperaturze odbierając siły i przytomność; twarz ciemno purpurowym okrywała się rumieńcem; następowały konwulsye i czarne wymioty; z kątów ust ściekała piana i spiekła krew czarna; oddech stawał się ciężkim i nieznośnie cuchnącym; ciało okrywały znamienne, niebieskawo prążkowane, duże plamy żółte, od których ludowa febry żółtej poszła nazwa; chory umierał zazwyczaj na trzeci dzień, często już w pierwszym lub drugim, nieraz w kilka ledwo godzin po zasłabnięciu. Rozkład ciała następował tak szybko, że natychmiast po skonaniu grzebać musiano trupy w wykopanych zawczasu dołach. Niebawem jednak i tego wypadło zaniechać, wobec coraz większej śmiertelności, gdy w samych tylko miastach głównych Cap Français i Port-au-Prince po 400 osób i więcej umierało na dobę. Tedy ze szpitali i koszar, nocą, ukradkiem, bez pogrzebu, bez modlitwy, bez honorów wojskowych, zabierano stosy nagich, żółtych trupów, młodego przeważnie żołnierza, okryte bliznami sławnych walk włoskich, egipskich, nadreńskich, wywożono na szalupach i nad samym brzegiem w morzu topiono. Już w początku maja, z pierwotnej 26 tysięcznej armii Leclerca ledwo 12 tysięcy ludzi było pod bronią. Owóż żywiołowa ta klęska dalsze za sobą fatalne pociągała skutki. W miarę jak topniały siły francuskie na wyspie, wzmagała się tutaj, mimo świeżo zawartego pokoju, wroga agitacya podziemna angielska. Anglicy, budząc uzasadnione obawy murzynów przed grożącem im podstępnem ujarzmieniem przez Bonapartego, nie prze-

stawali podburzać ich wprost do zbrojnego oporu. Zaś jeszcze skuteczniej czynili to pośrednio, przez Amerykanów, budząc tych znów uzasadnione obawy przed grożącem usadowieniem się Bonapartego w Luizyanie. Tak więc, zarówno z sąsiedniej Jamaiki angielskiej, jak i z pobliskich Stanów Zjednoczonych, odbierali murzyni San Dominga nietylko ciche namowy powstańcze, lecz także znaczne tajne transporty broni i amunicyi. Wkrótce też śród uspokojonych napozór czarnych dały się wyczuć oznaki gotującego się ponownego wybuchu. Ośrodkiem tych gróźb był oczywiście przyrodzony naczelnik murzyństwa, pogodzony rzekomo z Francyą Louverture. Tymczasem Pierwszy konsul, złudzony wieściami o pierwotnych sukcesach Leclerca, raz po razie nawoływał go, w myśl ostrej swej instrukcyi, do działań bezwzględnych, stanowczych. Leclerc właściwie był temu skroś przeciwny. Sam pojęć raczej liberalnych, był utwierdzany w nich przez zaufanego swego sztabowca, demokratycznie myślącego, starego, mężnego żołnierza wyprawy egipskiej, generała Dugua. Z własnego popędu i pod jego wpływem, a wbrew interesownej zawziętości kolonistów miejscowych, pragnął on zachować pewne umiarkowanie, zachować pewne przynajmniej oparcie u czarnych, a zwłaszcza śród mulatów. Jednakowoż niedługo na tem roztropnem mógł wytrwać stanowisku. Podniecany przez ostre nalegania Bonapartego, podżegany też do surowości przez bogatszych kolonistów, a podcinany trwogą o wymierające mu w oczach wojsko, dla pokrycia swej słabości zdobył się Leclerc na fatalny, pozorny akt siły. W początku czerwca kazał podstępnie uwięzić Louvertura. Stary wódz murzyński natychmiast odesłany został do Francyi, gdzie w więziennej samotni, przeznaczonym sobie przez Bonapartego odludnym zamku fortecznym, w rok niespełna życie zakończył. Gwałt, na nim dokonany, wywołał nieopisane wzburzenie śród czarnych. Na dobitkę, w sierpniu 1802 r. nadeszła na San

Domingo z sąsiedniej Gwadelupy wiadomość o zarządzonem tam przez Richepanca, w myśl wspomnianych postanowień paryskich, formalnem przywróceniu niewolnictwa. To ostatecznie podkopało stanowisko Leclerca. Stracił on odtąd wszelką możność opierania się, obok topniejących wojsk francuskich, na kolorowych oddziałach kolonialnych. Pozostali jeszcze przy nim dotychczas wodzowie murzyńscy poczęli teraz kolejno go opuszczać. Niebawem całą prawie wyspę objęło powstanie, wszędy rozgorzała niemiłosierna, beznadziejna dla Francuzów, walka na śmierć i życie.

W takiej to ciężkiej chwili przełomowej nadpłynęli do San Dominga nieboracy 113. półbrygady polskiej. Po męczącej podróży trzymani jeszcze, dla niewiadomych im powodów, przez dzień cały na statkach, z zachwytem patrzyli na rozpościerającą się przed nimi, w gorącym blasku wrześniowego podzwrotnikowego słońca, przecudną panoramę wyspy. „Nacieszyć się dość Polacy nie mogli — są słowa jednego z tych biedaków — widokiem rozmaitych, niezliczonych roślin, odmiennych zupełnie, co do składu liści i kolorów, od europejskich, na góry, aż do wierzchołka okryte lasami dziko rosnących pomarańcz i cytryn i tysiącznych innych drzew owocowych, palm kokosowych, fig, bananów... Była to dla Polaków zwodnicza chwila... Ledwo dni kilka upłynie, a zwłokom ich cienie tych samych drzew, które podziwiali, za wieczne schronienie służyć będą". Wylądowanie ich wspólne dlatego zostało wstrzymane, że, wedle rozkazu Berthiera, winien był Leclerc rozdzielić półbrygadę i rozrzucić po różnych punktach wyspy. Protest w tej mierze Jabłonowskiego wskórał niewiele. Tak więc późnym dopiero wieczorem jeden tylko pierwszy batalion wysadzono na ląd w Cap Français, drugi odwieziono do przylądka Môle Saint-Nicolas, trzeci do Borgne. Batalion Wodzyńskiego zaraz tejże nocy wyruszyć musiał w okolice Capu, już zagrożone przez powstańców. Przyłączony

do dywizyi wiernych rzekomo wojsk kolonialnych generała murzyńskiego Clairvaux, niebawem, skutkiem jego zdrady, ledwo ze znaczną stratą z morderczej wybrnął zasadzki. Batalion Bolesty, nieco później skierowany do Port-au-Prince, po drodze, w Jacmelu, padł ofiarą podobnej zdrady czarnych generałów Christopha i Dessalina. Musieli przytem Polacy ze wstrętem spełnić nieludzki rozkaz generała francuskiego Fressineta i wykłuć bagnetem cały rozbrojony batalion murzyński. A musieli też zaraz potem przekonać się o niczem nieposkromionej zawziętości afrykańskiej, gdy tamże, w Jacmelu, eskortowana do Port-au-Prince kompania czarnych, wraz ze swoim dowódcą, popełniła masowe samobójstwo przez udławienie się. Nareszcie batalion Grabskiego, rozłożony w departamencie południowym pod komendą generała Bruneta, posyłany był drobnemi oddziałami w góry okoliczne, na stracone posterunki i ciągłe z czarnymi utarczki. Był też w rozproszeniu skazany na rzeź nieuchronną, nie znając trudnego terenu, ani dzikich podstępów przeciwnika. Murzyni, zaszyci w górskich gęstwinach, celnym ogniem wybijali legionistów, zaś chwytanych jeńców, po okrutnych męczarniach, mordowali bez miłosierdzia, piekli żywcem, wbijali na pal itp. Ale najgorsze spustoszenia sprawiała w polskich szeregach straszliwa żółta febra. Gęściej jeszcze od Francuzów kosiła ona Polaków, tęgich, krwistych, nieostrożnych, gustujących w uroczych kreolkach i słodkiej wódce-tafii. Porywała narówni dowódców i szeregowców. Zmarł Jabłonowski generał i wszyscy trzej szefowie batalionowi, Wodzyński, Wojciech Bolesta i Grabski. Nędznie wymarli w szpitalach lub z murzyńskiej polegli ręki oficerowie wyborni, stary Wigandtt, dzielny Dziurbas, Krzyszkowski, Rembowski, Zdzitowiecki, Madeyski, Ruszkowski, „na którym ogień żywcem czarni palili", bracia Moskorzewscy, bracia Rogalińscy, bracia Wężykowie i wielu innych. Taki sam był los prostego żołnierza. Pierwszy i trzeci

batalion niebawem całkiem prawie wyginęły, tak że w kilkudziesięciu ledwo pozostałych głowach wcielone zostały do 74. i 31. półbrygady francuskiej. Drugi batalion, stopniały do paruset ludzi, nieco dłużej jako kadrowa przetrwał jednostka, skurczony do trzech nikłych kompanii, pod kapitanami Godlewskim, Kobylańskim, Zabokrzyckim. Niebawem i z tych szczątków nędzna, dogorywająca pozostała gromadka, kilku oficerów bez komend, trochę podoficerów i żołnierzy, „podobnych więcej do kościotrupów, aniżeli do istot żyjących". Taki był koniec 113. półbrygady liniowej francuskiej, byłej III. półbrygady polskiej, byłej sławnej legii naddunajskiej.

IV.

W niemniej rozpaczliwem zresztą położeniu znalazł się równocześnie cały korpus ekspedycyjny francuski. Stopniał on do pięciu tysięcy białego żołnierza pod bronią. Z wojsk kolonialnych pozostało jeszcze nieco mulatów oraz garstka czarnych pod jedynym wiernym do ostatka generałem murzyńskim Laplumem. „Cała moja armia — donosił Leclerc już pod koniec września — jest zniszczona, nawet wraz z nadesłanemi posiłkami". Jego ostatnie raporty, z września i października 1802 r., tchnęły przedśmiertną zgrozą. Leclerc umarł w początku listopada 1802 r., nazajutrz po zgonie swego przyjaciela Dugua. Mówiono, że obadwaj byli otruci, że biali koloniści, oburzeni ich umiarkowaniem, chcieli się ich pozbyć. Dowództwo naczelne objął najstarszy rangą generał dywizyi Rochambeau. Miał on zostać grabarzem rządów francuskich na San Domingo, przez politykę złą, brutalną, a zarazem dość dwuznaczną, którą po dziesięcioleciu, pod Lipskiem, śmiercią walecznych okupi. Waleczny i zdolny

generał, lecz bez zasad, niegodny syn zacnego ojca, marszałka Francyi, pod którym zamłodu bił się za wolność amerykańską, arystokrata nawskroś, udający niegdyś jakóbina, ułomny, ponury, wyuzdany, przebiegły, bezwzględny, był on bożyszczem kolonistów miejscowych, zwłaszcza wielkich dam kreolskich i wielkich właścicieli plantacyi niewolniczych. Dzięki ich poparciu, a wbrew ostrzeżeniu własnego ojca, został zatwierdzony przez Bonapartego jako kapitan generalny wyspy. Poszedł on odrazu drogą dzikiego względem czarnych terroru. Kazał katować ich bez miłosierdzia, rozstrzeliwać, wycinać w pień, wieszać, krzyżować, topić, palić. Sprowadził z Kuby, od plantatorów hiszpańskich, wielkie dogi, tresowane umyślnie do tropienia i pożerania murzynów. Te psy wściekłe, okrywane kwiatami, wstążkami, pocałunkami przez wściekłe panie kreolskie, wypuszczał jak w cyrku, dla próby, na czarnych więźniów i rozdawał wyprawianym w pole oddziałom. Nie poprzestając na dzikiej prowokacyi czarnych, zwrócił się również przeciw głaskanym dotychczas przez Leclerca mulatom. Tych ostatnich sojuszników kolorowych wnet zbrutalizował, odepchnął i skłonił do połączenia się, pod generałem mulackim Ferrou, z powszechnem na wyspie powstaniem. Samobójczą swoją politykę daremnie pozorem stanowczości i siły chciał osłaniać Rochambeau. Przeplatając wyszukane okrucieństwa szalonemi orgiami, daremnie pozorem uciech i rozkoszy chciał odganiać widma krwawej pomsty czarnych i żółtej febry. Wojsko i ludność biała San Dominga już były nieodwołalnie skarane na zgubę i śmierć.

Bonaparte, po długich złudach, zaczął w październiku 1802 r. odbierać hiobowe ddniesienia Leclerca. Mimo to sprawy San Dominga nie miał jeszcze bynajmniej za straconą, a spodziewał się właśnie zrealizowania powrotu Luizyany. Uchwalił tedy niezwłocznie posłać Leclercowi dalsze mocne posiłki. Owóż w tym samym

czasie otrzymał z Medyolanu od Murata, który tam po półrocznej wrócił nieobecności, nader pochlebne sprawozdanie o „wspaniałych" półbrygadach polskich I. i II., „niewzruszenie (do osoby Pierwszego konsula) przywiązanych". Stanowisko obu tych półbrygad Grabińskiego i Axamitowskiego, oraz jazdy Rożnieckiego, zostało uregulowane po raz ostatni w ścisłym związku z postanowioną już ekspedycyą III. półbrygady na San Domingo. Wówczas to mianowicie, jak wyżej wskazano, z końcem kwietnia 1802 r., te pozostawione na miejscu wojska polskie otrzymały charakter „posiłkowych" Republiki włoskiej. Pierwsza półbrygada Grabińskiego została przydzieloną do pierwszej dywizyi włoskiej generała Lechiego, druga zaś Axamitowskiego do dywizyi drugiej generała Pina. Owóż obecnie pochwalną o tych oddziałach odezwę Murata odebrał Bonaparte w chwili, gdy pochłonięty był nagłą sprawą wzmocnienia stopniałego korpusu na San Domingo. Natychmiast postanowił tak oddanych sobie Polaków użyć znowuż do gotowanych świeżych posiłków zamorskich. Zaraz też, w końcu października, kazał Berthierowi powiadomić Murata oraz wiceprezydenta Republiki włoskiej, Melziego, o swoim zamiarze przejęcia jednej półbrygady polskiej ze służby włoskiej na francuską.

Murat oczywiście od pierwszego domyślił się słowa, że idzie tu o wyprawę na San Domingo, a wiedział, jak tam źle stały rzeczy. Zaprzyjaźniony zaś jeszcze z Egiptu z szefem Grabińskim, za jego a zapewne i Rożnieckiego staraniem, umyślił zwolnić jego I. półbrygadę od misyi tak niebezpiecznej. Umyślił natomiast poświęcić w tym celu półbrygadę II. Axamitowskiego, a to tembardziej, że temi mianowicie czasy przez własnego jej szefa jaknajgorzej był o niej uprzedzony. Axamitowski, mason i szpieg w jednej osobie, latem 1802 r., za nieobecności Murata, wpadł na trop wspomnianych, zaszczepionych przez Włocha Aurorę, tajnych prób organizacyjnych śród legionistów polskich.

Zrobił zaraz ze swego odkrycia najniecniejszy, delatorski użytek u władz wojskowych i policyjnych francuskich. Obecnie zaś, jesienią, zjechawszy do Medyolanu po powrocie Murata, pośpieszył rozwiać pierwsze dodatnie jego wrażenia o „przywiązaniu" Polaków, a w szczególności wzniecić w nim podejrzenia względem swojej II. półbrygady. Oskarżył przed Muratem i władze medyolańskie, i własnych oficerów o knowania spiskowe przeciw Pierwszemu konsulowi, prezydentowi Republiki włoskiej. Był to naogół, w tem znaczeniu dosłownem, z paru rzadkiemi może wyjątkami, fałsz oszczerczy, o ile o polskich szło legionistów. Jednakże coś w tem było prawdy, o ile szło o pewne, wyżej zaznaczone, nieprzyjazne Bonapartemu czynniki włoskie i skryte podniety koalicyjne. Istotnie też podówczas, od 1802 r., wszczęły się zaburzenia przeciwfrancuskie w Ferrarze i Bologni, gdzie nawet teatr spalono, oraz zawiązki konspiracyjne w samym Medyolanie, pod postacią lóż illuminatów, dokąd zresztą zaraz francuscy wcisnęli się szpiegowie. W tych tajnych, skojarzonych jeszcze z drugą koalicyą 1799 r., a wyprzedzających już trzecią 1805 r., wyzwoleńczych napozór a naprawdę reakcyjnych robotach spiskowych we Włoszech przeciw Bonapartemu, był pod względem organizacyjnym nader ciekawy, niespodziany punkt wyjścia późniejszych, po upadku Napoleona, wręcz odmiennych duchowo, rewolucyjnych działań spiskowych przeciw rządom doby Restauracyi. Tutaj to, hodowane koalicyjną ręką międzynarodowego *ancien régimu*, tkwiły paradoksalne zaczątki późniejszego węglarstwa i międzynarodówki republikańskiej, narodowościowej i społecznej. I tędy też, z legii polskich we Włoszech, zaniesione przez oficerów legionowych, pójdą do Warszawy pokongresowej zasady wolnomularstwa narodowego, a i następnych, aż do doby najnowszej, pochodnych tajnych przedsięwzięć organizacyjnych. Owóż teraz, z powodu odkryć Axamitowskiego, zarządzone zostało z Medyolanu surowe

śledztwo, poniekąd pierwowzór podobnych tragedyi śledczych pokongresowych. Aurora, okuty w kajdany, ogłoszony za szaleńca, skończył ciemnym jakimś sposobem, podobno w domu obłąkanych. Dwudziestu kilku oficerów II. półbrygady polskiej wożono na indagacye do Ferrary i Bologni. Władze włoskie, pokrywając się „obłąkaniem" Aurory, na wszelki sposób usiłowały siebie przed Paryżem z podejrzeń oczyścić. Wzięły one mocno za złe Axamitowskiemu jego rolę oskarzycielską i dążyły do usunięcia go z komendy. Jeszcze bardziej oburzeni byli na niego sami jego podkomendni, śród których stanowisko szefa-denuncyanta stało się nader draźliwem. Skutkiem całej tej afery i rząd włoski, i Murat, i Axamitowski, radzi byli pozbyć się niewygodnej II. półbrygady, którą zarazem w zastępstwie swojej forytował do wysłania Grabiński

Koniec końcem, w odpowiedzi na odebraną właśnie z Paryża odezwę, Murat zwrócił się do Berthiera, z popartą również przez Melziego prośbą o pozostawienie we Włoszech półbrygady I., a wyprawienie natomiast II. na San Domingo. Tak się też stało. Bonaparte w końcu listopada wydał stosowne zlecenie Berthierowi i Decrèsowi, względem wcielenia z kolei II. półbrygady polskiej, jako liniowej, pod odpowiednim numerem porządkowym, napowrót do armii francuskiej, oraz względem corychlejszego embarkowania jej następnie w Genui do Antyllów. Kazał przytem wyraźnie uprzedzić oficerów polskich o przeznaczeniu ich na San Domingo. Kazał także, wobec wcześniejszych smutnych doświadczeń transportowych III. półbrygady, zapewnić ich, że tym razem odstawieni będą bezpiecznie i prędko, na okrętach wojennych francuskich. Postanowienie niniejsze Bonapartego o II. półbrygadzie polskiej niewątpliwie ciężej zaważyć musi na jego odpowiedzialności, niż poprzednie o III. Poprzednio był on wysłał Polaków na San Domingo jeszcze w przekonaniu o sukcesach, teraz wysyłał ich już w przeświadczeniu o klęskach tamecznych francuskich. Zanim zdąży ich wysłać,

otrzyma nadomiar wiadomość o śmierci Leclerca i wyginięciu całej prawie jego armii. A jednak w tych nawet warunkach niewolno oskarżać Bonapartego o rozmyślne wyprawienie legionistów polskich na pewne zatracenie. Przedewszystkiem w samej armii francuskiej wciąż jeszcze widziano tam nie zatratę, lecz dopiero duże, ale popłatne ryzyko. Na takie ryzyko wciąż chętnie z własnej woli liczni francuscy puszczali się śmiałkowie, jak np. wybitni generałowie Spital i Sarrazin, dopraszający się jeszcze w grudniu 1802 r. o wysłanie ich na San Domingo. Co główna, Bonaparte oprócz Polaków wyprawiał tam teraz właśnie przeszło 12 tysięcy świeżych wojsk francuskich; a planował jeszcze posłać za niemi dalsze 15 tysięcy ludzi, wybieranych w równym stosunku z przeszło pięciuset batalionów całej prawie armii francuskiej. Widocznie więc i tym nawet razem o jakiejś szczególnej złej woli Bonapartego względem Polaków nie może być mowy. Był tu poprostu jeden jeszcze dalszy fatalny skutek jego chybionej w samem założeniu polityki kolonialnej.

Półbrygada II. polska, od wiosny 1802 r., jak wskazano, przyłączona do dywizyi generała Pina, była rozłożoną w Reggio. Tutaj, w początku grudnia, odebrała z Medyolanu, od Murata, nagły rozkaz wymarszu do Genui. Zarazem z Bologni, kwatery dywizyjnej Pina, przybył generał włoski Ottavi, dla czynności popisowych i oddawczych. Sam Murat zjechał na pół drogi, do Parmy, lecz tylko na widzenie się z Axamitowskim, któremu, wraz z jego bratem ciotecznym, dwuznacznym Falkowskim, pozwolił zostać we Włoszech, pod pozorem likwidacyi zaległości półbrygady od rządu włoskiego. Już po wyjeździe Murata stanęła półbrygada w Parmie. Tutaj, uszykowana na placu parady, miała sobie po francusku i polsku odczytany rozkaz o przejściu swojem do armii francuskiej i przeznaczeniu na San Domingo. Była to rzekomo „nagroda zasług i czynów walecznych“, przyznana Polakom przez Pierwszego konsula, a pole-

gająca na wyższym żołdzie, zaliczce, obywatelstwie francuskiem, widokach awansu i zdobyczy. Złudzeni nieboracy odpowiedzieli hucznemi wiwatami na Bonapartego. Poczem wymaszerowali z Parmy, „z miną tryumfującą“, lecz dla pewności eskortowani odtąd przez jazdę francuską. Po drodze, na postoju w Novi, dla prostszego obrachunku w samą datę zeszłorocznej reorganizacyi, nastąpiło formalne przekształcenie półbrygady II. polskiej na 114. liniową francuską. Po przybyciu, z końcem roku, do Genui i odbytym tam przed generałem Gardannem przeglądzie, półbrygada przeszła czasowo pod władzę dyskrecyonalną generała brygady Spitala, Irlandczyka rodem, na okres embarkowania i morskiej przeprawy. Pozostała też w Genui pod policyjnym dozorem sprytnego Salicetiego, ówczesnego posła francuskiego przy Senacie liguryjskim. Zajęto się rozlicznemi przygotowaniami do dalekiej wyprawy. Wypłacono też z góry oficerom, podoficerom i żołnierzom żołd trzymiesięczny, na stopie francuskiej. „Wciągu takowych zatrudnień—wedle naocznego świadectwa jednego z oficerów 114. półbrygady—przybywali do korpusu podoficerowie i żołnierze, wyszli z różnych szpitali, między którymi wielu nawet niewyleczonych, a to jedynie, aby się nie rozłączać i nie pozostać w Europie. Zjechali się prawie wszyscy oficerowie reformowani, jak tylko im oświadczono, że mogą embarkować się i być czynnie użytymi. Pułkownik Axamitowski odebrał rozkaz uformowania mocnego zakładu z ludzi, mniej zdolnych do zniesienia podróży morskiej i trudów wojennych. Ale nie było żadnego podoficera i żołnierza, któryby się chciał w nim pozostać; aż trzeba było użyć przymusu. Taki to był chlubny zapał i jedność korpusu, wyjąwszy kilku“. Nieprzewidziana jeszcze wypadła odwłoka z braku kolonialnych mundurów drelichowych, itp. efektów ubiorczych, a to skutkiem jawnych nadużyć w komisaryacie wojennym francuskim. Nareszcie, z kilkotygodniowem spóźnieniem, odbyło się ładowanie półbrygady

na przybyłe z Brestu do Genui trzy okręty liniowe, korwetę i dwie fregaty francuskie. „Tysiące ludu genueńskiego, okrywającego przystań i pobrzeże, świadkami były porządku, spokojności, poświęcenia się i zadziwiającej wesołości, jakie każdy w tej stanowczej chwili okazywał“. W końcu stycznia 1803 r., popołudniu, wypłynęli Polacy 114. półbrygady, śladem nieszczęsnych swych braci, ku Zachodowi, na San Domingo, na śmierć.

Było ich ogółem około 2500 ludzi, trzy bataliony, pierwszy szefa Małachowskiego, drugi Jasińskiego, trzeci pod kapitanem Tyssonem, zamiast urlopowanego do Lwowa Zawadzkiego. Później, po paru miesiącach, zostawiony narazie w Europie zakład pod kapitanem Nenchą, w kilkaset jeszcze ludzi, również będzie dosłany na San Domingo. Tymczasem wypływającą 114. półbrygadą, w zastępstwie pozostałego we Włoszech Axamitowskiego, dowodził szef kontroli, podpułkownik Zagórski. Zresztą, po jego zgonie wkrótce po przybyciu na miejsce, komendę objął Małachowski, najwybitniejsza odtąd postać oficerska polska na San Domingo. Kazimierz Małachowski, rodem z Nowogródzkiego, z tejże wybornej drobnoszlacheckiej krwi litewskiej, co Kościuszko i Mickiewicz, przywędrował zamłodu do Warszawy, na służbę Rzpltej. Ale ubogi, bez protekcyi, nie docisnąwszy się do korpusu kadetów, wstąpił jako prosty kanonier do artyleryi koronnej. Tu o głodzie i chłodzie pierwsze przebywszy stopnie, w kampanii sejmowej litewskiej wziął kapitańtswo, w insurekcyjnej, za Racławice, majorostwo. Aż do końca powstania przy dywizyi Dąbrowskiego wytrwał, poczem na Wołoszczyźnie biedował, wreszcie, jak namieniono, do legii Dąbrowskiego we Włoszech się przemknął. Był w wyprawie rzymskiej, neapolitańskiej, lombardzkiej; cięty w głowę pod Trebbią, w niewolę popadł rosyjską, skąd po wymianie wrócił do legii, by teraz znów bić się aż pod zwrotnikiem. Będzie tak bił się bezustanku, w blisko półwiekowym żołnierskim zawodzie,

w tuzinie kampanii domowych i obcych, a wszędzie w duchu za Polskę. Od kanoniera Rzpltej zacząwszy, skończy jako zastępczy wódz naczelny rewolucyi listopadowej, a zawsze równy, prosty, nieustraszony, sumienny, cichy, pogodny, mierny talentem, nieprześcigniony cnotą. Nie zmogą go mozoły i biedy najcięższe, ani też nigdy nie chwyci się go zwątpienie. Wytrzymały fizycznie, przebędzie dżumę w Rai chocimskiej i żółtą febrą na San Domingo; niezłomny moralnie, wprawi w podziw dużo zdolniejszych od siebie i głębokim napełni respektem. „Najszanowniejszy i najwaleczniejszy z generałów polskich, — tak o nim jednym bez zastrzeżeń zgryźliwy odezwie się Prądzyński—zawsze prawdziwy i niezachwiany żołnierz, był typem męstwa, wszelkiej abnegacyi, bezinteresowności, skromności i najzupełniejszego poświęcenia się. Zdawało się, że on zupełnie nieprzystępny wszelkim drobiazgom, namiętnościom i przywarom, właściwym człowieczeństwu. Jedna myśl przewodniczyła całemu jego życiu bezwzględnie: najzupełniejsze poświęcenie się dla Polski“. Małachowski, właśnie przez cnotę swoją, miał zawziętego wroga w Axamitowskim, swoim w broni artyleryjskiej przełożonym. Teraz, przez jego denuncyacyę o spiskowo-masońskich z Aurorą związkach, był osobiście najmocniej obciążony przed Muratem i Spitalem. Musiał też całą podróż na San Domingo odbyć prawie jak więzień, bez szpady, pod ścisłym dozorem. Inny niepospolity tej wyprawy towarzysz był szef Ignacy Jasiński. Brat poety i generała, bohatera Wilna i Pragi, sam dzielny obrońca insurekcyi, wzięty wtedy do niewoli rosyjskiej, dostał się do niej powtórnie pod Trebbią, wraz z Małachowskim wrócił do szeregu i płynął teraz za ocean. Pełen patryotyzmu i szlachetnej egzaltacyi, niewdzięczną służbę San Dominga przetnie rozpacznym odruchem samobójcy. Innym znów niezwykłym tej ekspedycyi uczestnikiem był major Ignacy Blumer, napoły Galicyanin, napoły Irlandczyk, też poprzednio

powstaniec kościuszkowski i partyzant wołoski. Żołnierz twardy, bitny, z jakąś szczególną polsko-irlandzką fantazyą, skoczy z murzyńskiej opresyi, na własną rękę, z garścią ludzi, aż hen w puszcze Florydy, królować czerwonoskórym Indyanom. Potem w kraju świetnie odprawi wszystkie kampanie napoleońskie, po San Domingo wyjdzie żyw z Berezyny, aby nakoniec, w noc listopadową, zginąć w Warszawie rewolucyjnej, z ręki podchorążych. A podobnych typów tęgich, jędrnych, oryginalnych, jak legendowej odwagi kapitan Bogusławski, jak niepożytego animuszu 68 letni podporucznik Gnoiński, jak tylu innych, pełno było w 114. polskiej półbrygadzie.

Tej miary był materyał oficerski i żołnierski, wypływający obecnie z Genui. I tym razem, wnet po rozwinięciu żagli, ciężka burza porwała i rozpędziła flotylę przewozową. Naprzód, po szybkiej podróży, w początku marca 1803 r., przybił do Cap Français batalion pierwszy Małachowskiego. Natychmiast odesłany przez Rochambeau na południe, oddany pod rozkazy generała brygady Darbois, wylądował w Tiburonie, gdzie spotkał znędzniałych rozbitków 113. półbrygady. Na ten widok poczęły otwierać się oczy nowoprzybyłym na istotne położenie rzeczy na wyspie i czekający ich los własny. Ale zaraz wypadło ruszyć w marsz całodzienny do miejsca przeznaczenia, stolicy departamentowej Cayes. Tutaj, po stromej drodze górzystej, spotkał się batalion po raz pierwszy z murzynami. Atakowany dwukrotnie, naprzód otwarcie, potem w niebezpiecznej śród wąwozu zasadzce, dzięki zimnej krwi Małachowskiego przebił się szczęśliwie, acz nie bez strat ciężkich. Z kolei, w początku kwietnia, nadpłynęły spóźnione dwa pozostałe bataliony. Były one również skierowane niezwłocznie przez Rochambeau do najbardziej wtedy zagrożonego departamentu południowego. Drugi batalion Jasińskiego narazie rozłożono załogą w mieście Jérémie i oko-

licy. Trzeci Tyssona, śladem pierwszego, posłany został pod komendantem francuskim Cerclayem wprost do Cayes. Po drodze jednak, w połowie kwietnia, wpadł w tę samą górską zasadzkę, i otoczony zewsząd przez generała Ferrou, w większej części został wycięty i wzięty do niewoli. Przybyły na odsiecz batalion pierwszy Małachowskiego omal tego samego nie doznał losu, i tylko dzięki przezorności i odwadze idącego na czele wiernego generała murzyńskiego Lapluma, ledwo z powrotem wycofać się zdołał. Wkrótce potem samo miasto Cayes, pod komenderującym generałem Brunetem, było oblegane przez Ferrou, odpierając z trudem ponawiane wściekłe szturmy czarnych. Na dobitkę działo się to w najgorszej porze upalnej. Wpadła tedy odrazu nieszczęsna 114. półbrygada i pod nóż murzyński i pod kosę żółtej febry. To też wkrótce, na podobieństwo poprzednicy swojej, zmarnowaną została do szczętu.

Tymczasem w Europie zaszedł wypadek wagi światowej, który miał ostatecznie pogrążyć całą wyprawę na San Domingo i polskich jej uczestników. Nastąpiło zerwanie zeszłorocznego pokoju amieńskiego między Francyą a Anglią. Anglia zawarła ten pokój z musu, wobec ustąpienia z koalicyi Austryi i Rosyi. Ale gotową była zerwać go co chwila, na pierwszy znak ich powrotu. Owóż taki znak obecnie podała tajemnie Rosya, podał Aleksander i główny teraz kierownik jego polityki zagranicznej, Czartoryski. Utrwalenie pokoju nie leżało w interesie Rosyi, szukającej pod młodym monarchą nowych dróg dla starych swych dążeń ekspansyjnych, w całym szeregu spraw europejskich, a najgłówniej w polskiej. Pogrzebana głęboko przed kilku laty przez trzeci podział, sprawa polska tembardziej rozsadzającą w skrytości siłą wybuchową już wstrząsać poczynała sztucznie przywróconą równowagę europejską. W styczniu 1803 r., Czartoryski imieniem Aleksandra poufnie doradził Anglii zatrzymać Maltę, do której wydania zo-

bowiązała się traktatem amieńskim. Zatarg o Maltę i zbrojenia angielskie żywo poruszyły Bonapartego. Już w marcu zrobił on z tego powodu słynną scenę posłowi brytańskiemu w Paryżu, Whitworthowi. Zaś przeczuwając nieuniknioną lada chwila wojnę morską, przedewszystkiem wyrzekł się planowanych dalszych na San Domingo posiłków. Odtąd samą wyprawę tameczną uznał za straconą bez ratunku. Z właściwą sobie bystrością rozpoznawszy własne błędy kolonialne, postanowił nie grzęznąć w nich dalej i skończyć z niemi odrazu. W końcu kwietnia nagle odsprzedał Luizyanę Stanom Zjednoczonym, uprzedzając tym sposobem możliwy przeciw sobie związek ich z Anglią. Likwidował na całej linii swoją chybioną politykę kolonialną. Uczynił to w samą porę. Anglia bowiem, rozmyślnie przyśpieszając wybuchłe o Maltę przesilenie, zakończyła je, w połowie maja 1803 r., wypowiedzeniem wojny Francyi.

Natychmiast, już z końcem maja, pod San Domingo zjawiła się przygotowana zawczasu flota wojenna angielska. Czynne jej z murzynami spółdziałanie przyśpieszyło zupełną klęskę i eksmisyę Francuzów. Po stracie wnętrza wyspy, nastąpił teraz upadek miast portowych, utrzymanych dotychczas w ręku francuskim. Latem 1803 r. Dessalines obległ Port-au-Prince. Przy obronie szturmowanego zaciekle i ogłodzonego miasta odznaczyli się Polacy tyleż walecznością, co charakterem, „dzieląc się z mieszkańcami, bez różnicy stanu i koloru, szczupłą żywnością swoją". Upadek Port-au-Prince pociągnął za sobą stratę innych południowo-zachodnich miast nadmorskich. Pod Jérémie, na wysuniętym w morze cyplu, w blokhauzie La Cloche, przerobionym z fabryki cukru, Jasiński z częścią drugiego batalionu otoczony został w lipcu dziesięciokrotną murzyńską przewagą. Po mężnej obronie, niedoczekawszy się odsieczy, posłanej mu przez komenderującego w mieście generała francuskiego Fressineta, wystrzałem z pistoletu odebrał

sobie życie. „Générale,—tak w liście do Fressineta z piołunową przedśmiertną odzywał się goryczą—Pierwszy konsul waleczne legiony polskie, które tyle krwi w sprawie francuskiej wylały i niezaprzeczone od jej nawet wrogów dowody męstwa złożyły, w nagrodę do San Domingo wysłał. Lecz i tu, walcząc z narodem dzikim i barbarzyńskim, okazali (Polacy) niewdzięcznej Francyi, że pełnią swoje obowiązki. Widząc się otoczonym przez 3000 przeszło murzynów, nie jestem w stanie obronienia się z tak małym oddziałem. A nie chcąc wpaść w ręce zdziczałego ludu, walczącego za wolność swoją, życie sobie odbieram".

Wkrótce potem Fressinet, naciskany przez Ferrou w samem mieście, musiał opróżnić Jérémie, uchodząc drogą morską przed rzezią niechybną. Ale wsiadając pośpiesznie na statki z załogą francuską, wydał na łaskę losu rozłożone po okolicy oddziały polskie. Ferrou wyrznął bez miłosierdzia pozostałe luźne posterunki francuskie; Polakom natomiast nietylko życie darował, lecz, opatrzywszy ich należycie, odesłał na Kubę, bezpieczne u Hiszpanów schronisko. Nie był to zresztą wypadek odosobniony. Powstańcza ludność murzyńska już podówczas nauczyła się wyróżniać Polaków i traktować ich w sposób wyjątkowy, bardziej ludzki. Rozliczne na to złożyły się powody. Wojska polskie, stanowiące znaczną i bitną część korpusu ekspedycyjnego francuskiego, chciano oczywiście tym sposobem zachęcić do dezercyi. Wpływali w tym kierunku Anglicy, którzy zamiast wycinać Polaków, woleli ich sobie zyskiwać i wcielać do wojsk swoich. Wpływali i Amerykanie, przez wzgląd na rodaków Kościuszki. Wpłynęły także, arcydziwnym sposobem, czynniki masońskie, rozpowszechnione zwłaszcza w 114. półbrygadzie, a zarazem, jak namieniono, szeroko rozgałęzione śród kolorowej ludności San Dominga. Wpłynęło wreszcie piękne, ludzkie zachowanie się niektórych oddziałów polskich,

jak np. przy oblężeniu Port-au-Prince, i niektórych oficerów takiej, jak Małachowski, miary. Tak więc, oprócz Ferrou, inni również wybitni przywódcy mulaccy i murzyńscy nieraz w najcięższej potrzebie słowem i czynem Polakom swoje okazywali spółczucie. Czarny generał Paweł Louverture, synowiec Toussainta, uwalniając liczną gromadę jeńców polskich, w te do nich odezwał się słowa: „Biedni Polacy, Francuzi Was uwiedli, kazali Wam szukać ojczyzny Waszej pod skwarnem niebem, usługi Wasze niewdzięcznością odpłacając". Do Małachowskiego, którego z żółtej febry dobremi ziołami litościwe uleczyły murzynki, inny czarny generał wystosował „bardzo piękny list". „Wolny murzyn do wolnego (polskiego) narodu przemawiał... Znał on naszą sprawę, ubolewał nad ofiarą, jaką z Polaków zrobiono". Małachowski w gronie najbliższych przyjaciół z wzruszeniem pokilkakroć odczytał to pismo, poczem je zniszczył. „Rzecz bowiem zbyt była niebezpieczna, bo gdyby się byli o tem dowiedzieli Francuzi, byłby zginął".

Tymczasem, po wzięciu Jérémie przez czarnych, z kolei upaść musiało i Cayes. Tutaj, w okopach podmiejskich i sąsiednich blokhauzach, do obrony bogatych plantacyi cukru, kawy, indyga, bawełny, najwięcej użytych było Polaków. Zebrane tu były wszystkie szczątki 114. półbrygady pod Małachowskim. Zamknięty w Cayes generał Brunet, nie chcąc poddać się murzynom, wszedł w układy z dowódcą krążącej pod przystanią eskadry angielskiej i w połowie października zawarł z nim kapitulacyę, warującą wojskom polsko-francuskim powrót bez broni do Francyi. Wszakże po przeniesieniu tych wojsk na Jamaikę, tameczne władze angielskie odmówiły dotrzymania owej kapitulacyi. Jedynie Małachowski, Bogusławski, Emeryk, Oyrzanowski i kilku innych oficerów mogli wydostać się do Stanów Zjednoczonych a stamtąd do Francyi. Natomiast podoficerów i żołnierzy polskich zatrzymano

w niewoli. Część ich wymarła na pontonach angielskich, gdzie niektórzy tylko przetrwali dziesięciolecie aż do upadku Napoleona. Zaś przeszło trzystu tych niedobitków polskich biedą i groźbą skłoniono do wstąpienia do służby angielskiej na Jamaice, gdzie wszelki ślad ich zaginął.

Już wtedy zresztą powszechna katastrofa francuska na San Domingo okropnego dobiegała końca. W listopadzie 1803 r. padł Cap Français, kapitulował Rochambeau. Straszny był bilans dwuletniej niespełna wyprawy. Z samych tylko chorób zmarło czternastu generałów, siedmiuset lekarzy, półtoratysiąca oficerów, 20 tysięcy żołnierzy, 9 tysięcy marynarzy, tysiące urzędników cywilno-wojskowych francuskich, zaś razem z zabitymi w polu zginęło przeszło 40 tysięcy ludzi. W tej liczbie Polacy wyginęli prawie ze szczętem. Mała ich garstka przedostała się do hiszpańskiej części wyspy, gdzie trzymał się jeszcze przez lata generał francuski Ferrand. Około czterystu jeńców polskich przyjęli murzyni w poczet obywateli Haiti, a nawet wyjątkowo zwolnili ich od ograniczeń konstytucyjnych, wyborczych, nabywczych itp., ustalonych dla białej ludności. Naogół z obu posłanych na San Domingo półbrygad polskich 113. i 114., liczących wraz z zakładami przeszło sześć tysięcy ludzi, wróciło do Europy niespełna trzydziestu oficerów i trzystu podoficerów i żołnierzy. Wprawdzie taka strata polska, bezwzględnie biorąc, odpowiadała mniej więcej powyższej ciężkiej francuskiej. Stosunkowo jednak była ona nierównie dotkliwszą, wręcz niespółmierną. Tamta stanowiła drobny bądźcobądź ułamek wielkiej armii francuskiej. Ta stanowiła dwie trzecie całej, zrodzonej z takim trudem, dochowanej z taką męką, wychodźczej siły legionowej. Był to ubytek, fizycznie i moralnie zgoła niepowetowany. Katastrofa San Dominga ostatecznie dobijała broń i ideę legionową.

V.

Wznowienie wojny z Anglią, wraz z doznaną klęską kolonialną, stało się punktem wyjścia nowych, niebezpiecznych dla Bonapartego, powikłań wewnętrznych i zewnętrznych. Anglia sama oczywiście dotrzymać mu nie była w stanie. Musiała tedy znowuż szukać sobie corychlej sojuszników we Francyi i Europie. Wnet odrodziły się też przygotowania konspiracyjne i koalicyjne. Zaczęło się od obostrzenia akcyi spiskowej francuskiej. Szła ona podawnemu równolegle z dwóch źródeł przeciwnych, republikańskiego i rojalistycznego. Zaś najgroźniejsze jej oparcie stanowiły koła wojskowe, generalicya. Ośrodkową postacią był tu, jak wskazano, zwycięsca Hohenlindenu, Moreau. Przesiadywał on teraz bezczynnie w Paryżu konsularnym, i wciąż jątrzony przez młodą żonę, rwącą się na miejsce najpierwsze, frondował coraz jawniej przeciw Pierwszemu konsulowi. Obok niego stała opozycyjna generalska trójca, gburowaty Augereau, zamknięty Macdonald, przebiegły Bernadotte. Ten ostatni, przeciwnie, hamowany i pilnowany był przez żonę, byłą narzeczoną Bonapartego. Kochała ona zawsze swego niedoszłego „Elissona“ - Napoleona, i z przerażeniem ostrzegała go o sekretach spiskowych, z jakiemi w sypialni małżeńskiej, nocą, mówiąc przez sen, wydawał się Bernadotte; choć najpewniej ten spryciarz lunatyk rozmyślnie we śnie gadał i zdradzał się, bo chciał należeć do spisku i zysku, lecz nie chciał czynnie ryzykować. Wdawali się tu również Massena i Brune, ale z radykalniejszego już, jakóbińskiego skrzydła. Wdawali się też wybitni generałowie drugorzędni, którzy później dużo z wojskiem polskiem będą mieli do czynienia, jak krewki Reynier, waleczny Lecourbe, i wielu innych. Ogółem, na 117 generałów dywizyi, liczono spiskujących wtedy czternastu, a mniej więcej dwa razy

tyle na 240 generałów brygady. Ta „koalicya generałów“ przedstawiała groźbę wcale poważną. Owóż była ona w ciągłej styczności z zagranicą. Działały tu mianowicie kierowane stamtąd sprężyny rojalistyczne. Wprawdzie Bonaparte świeżo właśnie ponowił próby porozumienia się z pretendentem Ludwikiem XVIII. Ten, jak zaznaczono, dla dogodzenia Pierwszemu konsulowi, eksmitowany przez cara Pawła, osiadł w pruskiej Warszawie, w Łazienkach królewskich. Stało się to za poufną zgodą rządu francuskiego. W rzeczy samej, Bonaparte chwilowo wolał mieć pretendenta daleko nad Wisłą, pod zaprzyjaźnioną kuratelą berlińską, aniżeli tuż pod bokiem, na wrogiej ziemi angielskiej. Zaś korzystając z jego bytności w Warszawie, podsuwał mu, za pośrednictwem usłużnych władz pruskich, nową ofertę abdykacyjną, wzamian za sowite odszkodowanie. Pozatem osobiście nawet przyjmował w Tuileryach agentów rojalistycznych, dybiących na jego życie, i najdzielniejszemu z nich, Cadoudalowi, ofiarował pułkownikostwo w armii francuskiej. Ale te wszystkie próby zbliżenia były daremne. Ludwik XVIII, umocniony przez Anglię, a odzyskawszy hojnego protektora w osobie Aleksandra, odrzucił propozycye Bonapartego.

Przy tajnem poparciu rosyjsko-angielskiem, rojalistyczna akcya spiskowa do najwyższego doszła napięcia. Gorączkową kontrakcyę rozwinął rząd konsularny. Musiał przytem obyć się bez wytrawnego Fouchégo, usuniętego czasowo z ministeryum policyi, gdyż ręka jego aż nadto we wszelakich tkwiła spiskach, napoły prowokacyjnie, dla śledzenia ich i krzyżowania, lecz napoły też reasekuracyjnie, dla skorzystania z ich sukcesu. Obok niedość pewnej policyi ministeryalnej, urządził Pierwszy konsul osobistą swoją tajną kontrpolicyę wojskową, pod ślepo oddanymi sobie generałami Davoutem i Savarym. Prowadził także, przy pomocy Talleyranda, osobistą kontrpolicyę dyplomatyczną. Tędy też obecnie, przez nędznika Mehéego, pod nazwiskiem „Stanisława Jabłońskiego, szlachcica pol-

skiego", odgrywającego rolę fałszywego szpiega angielskiego, wywiódł w pole Anglików i odsłonił ich związki ze spiskowcami paryskimi. W tej, zewsząd otaczającej go sieci spiskowej czuł się Bonaparte coraz mniej bezpiecznym. Przedsięwziął nadzwyczajne środki ostrożności. Na miejsce wiernego, lecz nierozważnego generała Junota, komendanturę Paryża powierzył wezwanemu z Włoch Muratowi. Istotnie, wszystko do gwałtownego parło rozwiązania. W początku 1804 r. przybyli z Anglii do Paryża Cadoudal i Pichegru. Ten ostatni, uciekłszy ze swego fructidorowego do Cayenny zesłania, spiskując odtąd na żołdzie anglo-rosyjskim, spotkał się teraz w Paryżu potajemnie z Moreau, celem pozyskania go dla gotowanego zamachu i przywrócenia Bourbonów. Śmierć Bonapartego wisiała w powietrzu. Na szczęście dla niego, skutkiem zdrady nastąpiło w początku marca aresztowanie Cadoudala, zaczem poszło uwięzienie Pichegru i towarzyszy, jak również skompromitowanego Moreau. Nazajutrz Bonaparte rozkazał uwięzić przebywającego w Badeńskiem młodego ks. Enghiena, ostatniego z rodziny Condé, podejrzywanego o spółudział w spisku. Nastąpiło, nie bez podniety Talleyranda, pragnącego przelaną krwią bourbońską nieodwołalnie splamić Bonapartego, nocną porą skazanie przez rząd polowy i niezwłoczne rozstrzelanie Enghiena. Był to znów jeden z ciężkich Bonapartego błędów, który dużo zaszkodził mu w opinii francuskiej i europejskiej. Ale pozatem rzeczy wzięły zewszechmiar pomyślny dlań obrót. Po samobójstwie Pichegru w więzieniu i rozgłośnych rozprawach sądowych, główni spiskowcy skazani zostali na śmierć, inni na więzienie. Śród tych ostatnich był Moreau. Ułaskawiony przez Pierwszego konsula, lecz doszczętnie skompromitowany, zwłaszcza w wojsku, ujawnieniem swych stosunków ze spiskiem rojalistycznym i angielskim, straciwszy górne swe stanowisko moralno-polityczne, opuścił on Francyę i, po pewnem jeszcze wahaniu i zwłoce,

udał się do Stanów Zjednoczonych. W jego osobie znikała walna dla wielkiego jego rywala przeszkoda na drodze do jedynowładztwa. Był to też w dziedzinie wewnętrznej pierwszorzędny sukces Bonapartego.

Wszakże i w dziedzinie zewnętrznej, z wyjątkiem klęski San Dominga, mógł Bonaparte równocześnie powołać się na dalsze poważne sukcesy. Jeśli nie został trwałym pacyfikatorem Francyi, to natomiast coraz bardziej stawał się pomnożycielem jej dzierżaw, wpływów, powagi międzynarodowej. Już jesienią 1802 r., po abdykacyi Karola-Emanuela IV sardyńskiego, wydziedziczając również jego następcę, Wiktora-Emanuela I, uznając w nim jedynie króla wyspy Sardynii, wcielił ostatecznie cały Piemont do Francyi. Wobec obostrzonych w Szwajcaryi walk federalistów z unionistami, po zbrojnej interwencyi generałów Neya i Rappa, wystąpił jako medyator, i przez mądry akt medyacyjny paryski, z lutego 1803 r., stanowiąc na miejscu Helwetyki Konfederacyę szwajcarską, utrwalił losy jej i rozwój, a wraz stałą jej od Francyi zawisłość. W rozwinięciu zapowiedzi rastadzkiej i umów lunewilskich o odszkodowaniu książąt niemieckich za cesyę lewobrzeżnych reńskich posiadłości przez sekularyzacyę prawobrzeżnych ziem duchownych, mocą szeregu przekształcających samą istotę Rzeszy niemieckiej umów sekularyzacyjno-indemnizacyjnych, zamkniętych w recesie powszechnym z lutego 1803 r., wystąpił jako główny rozdawca i superarbiter. Wprawdzie przy tych układach niemieckich, będących zresztą źródłem niezmiernych zarobków przekupnego Talleyranda, musiał liczyć się bardzo z Austryą, Prusami, a także z Rosyą, od ćwierci wieku, od pokoju cieszyńskiego, spółgwarantką Rzeszy niemieckiej. Musiał też w owym recesie obdzielić sowicie zwłaszcza Prusy, które od pokoju bazylejskiego stosowały wciąż szantaż niepochwytnego swego z Francyą przymierza. Musiał przez wzgląd na Rosyę hojnie obdzielić domy wirtemberski i badeń-

ski, skojarzone z Aleksandrem przez matkę i małżonkę carską. Z tem wszystkiem jednak, na niniejszem ohydnem targowisku indemnizacyjnem niemieckiem jaknajdobitniej już własną hegemoniczną ustalił powagę. Wystąpił już tutaj jako najpierwszy po Karolu Wielkim, imieniem ludu Franków, moderator świętego cesarstwa rzymskiego, a tem samem wszystkiej Europy.

Tak pomyślny moment wewnętrznej i zewnętrznej swej polityki uznał Bonaparte za właściwy do sięgnięcia po koronę cesarską francuską. Skorzystał w lot z przychylnego dla siebie wrażenia, jakie w narodzie i wojsku wywołało odkrycie knowań rojalistyczno-angielskich, spisku Cadoudala i towarzyszy. Po wywarciu stosownego nacisku na powolne instytucye naczelne, Radę państwa, Trybunat, Ciało prawodawcze, Senat, przy miękkim jeno oporze Carnota, Volneya, Grégoira i paru innych, zapadła, w połowie maja 1804 r., organiczna uchwała senacka, nadająca Bonapartemu władzę cesarską. Wedle szczególniejszego, przepisanego oczywiście z góry, brzmienia tej uchwały, „rząd Republiki powierza się cesarzowi“. Bonaparte, już kładąc koronę, nie zdobywał się jeszcze na zupełne skreślenie imienia Republiki. Zapatrywał się pod tym względem nietylko na klasyczny wzór rzymski, lecz także na koronowaną Rzpltę polską. W istocie, temi mianowicie czasy lubił on szeroko rozprawiać o urządzeniach prawnopaństwowych polskich, przyczem wszakże stanowczo potępiał elekcye królewskie polskie, jako główne źródło jej upadku. Sam zresztą w kilka lat dopiero po objęciu godności cesarskiej, ostatecznie skasuje nazwę Republiki francuskiej. Tymczasem rzeczona uchwała senacka w głównych rysach urządzała już konstytucyjnie cesarstwo francuskie na całe dalsze dziesięciolecie. Pierwszy konsul dożywotni stawał się monarchą dziedzicznym, nie Francyi jednak, nie ziemi, lecz wolnych ludzi, cesarzem Francuzów. W myśl nowożytnej tej zasady, a raczej fikcyi, oddanie władzy cesarskiej Bonapartemu zostało znowuż uświęcone przez ple-

biscyt ogromną większością przeszło półczwarta miliona wotów, na ledwo półtrzecia tysiąca protestów. Nastąpiło uroczyste proklamowanie nowego cesarstwa. Wreszcie, z największą świetnością, przy udziale sprowadzonego z Rzymu do Paryża papieża Piusa VII, w starożytnej katedrze Notre Dame, gdzie niegdyś Henryk Walezy zaprzysięgał pakta konwenta jako król polski, odbyła się, w grudniu 1804 r., koronacya Napoleona I.

Rozumiał atoli Napoleon, że wziętą sobie godność imperatorską dopiero orężem będzie musiał okupić i wywalczyć w Europie. A rozumiał także i orzekł już przy wznowieniu wojny angielskiej, że ona sprowadzić musi kontynentalną. Co więcej, samo objęcie korony pojmował w pewnej mierze jako ochronny środek przeciwkoalicyjny. Upatrywał w niem poniekąd pomost ideowy pomiędzy sobą, dziedzicem Rewolucyi, a starym światem monarchicznym. Spodziewał się tędy łatwiej z tym światem dać sobie radę, narzucić się mu, przełamać jego oporność, w końcu porozumieć się z nim, skojarzyć. Niebrak nawet skazówek, że już wtedy nasuwała mu się myśl wtórego, dynastycznego małżeństwa. Ale to były, zwodne zresztą, rachuby przyszłości. Narazie zaś młode cesarstwo napoleońskie tem bardziej właśnie rozjuszało, niepokoiło starą Europę. Dotyczyło to przedewszystkiem Austryi. Dla niej, po recesie sekularyzacyjnym niemieckim, Napoleon, w dziedzicznej koronie cesarskiej, zjeżdżający tryumfalnie na obejrzenie grobu Karola Wielkiego do Akwizgranu, i na odprawienie wspaniałych powitań hołdowniczych do Moguncyi, był wcieloną groźbą pozbawienia domu Habsburgów elekcyjnej korony cesarskiej rzymsko-niemieckiej. Dlatego też zawczasu, już w sierpniu 1804 r., Franciszek II pośpieszył na wszelki wypadek przyjąć dla siebie i swej dynastyi również dziedziczną koronę cesarską austryacką. Lecz pozatem inną jeszcze, nader dotkliwą dla dworu wiedeńskiego groźbę stanowił stosunek cesarza Napoleona do Włoch. Ogłoszona przed

paru zaledwo laty w Lyonie Republika włoska, obecnie gdy jej prezydent, Pierwszy konsul, został cesarzem Francuzów, musiała oczywiście przeobrazić się także na monarchię. Istotnie, w połowie marca 1805 r., z rąk sprowadzonej z Medyolanu do Paryża Konsulty wraz z deputacyą cywilno-wojskową Republiki włoskiej, wziął Napoleon ofiarowaną sobie koronę króla włoskiego. Zjechawszy do Włoch, w maju 1805 r., w katedrze medyolańskiej włożył żelazną koronę lombardzką. W przemówieniu uroczystem podnosił stałą swą zawsze „myśl stworzenia niepodległego i wolnego narodu włoskiego". Wskazywał stopniowe swoje, w miarę możności, coraz szersze w tym kierunku twory, republiki cyspadańską, transpadańską, cyzalpińską, włoską, aż do obecnego królestwa włoskiego. Tem samem zaś to pięciomilionowe królestwo wystawiał jako etap do przyszłego zjednoczenia całego półwyspu i narodu włoskiego. Podobnież więc jak później korona warszawska, nieuniknioną mimo wszelkich zastrzeżeń groźbą odrodzenia wszystkiej Polski, będzie godziła w Rosyę, tak obecnie korona lombardzka, groźbą odrodzenia wszystkich Włoch, godziła wprost w Austryę. W rzeczy samej, w herbie nowego królestwa włoskiego, na pierwszem miejscu występował lew św. Marka. Groziła Austryi bezpośrednio utrata Wenecyi, pośrednio upadek spowinowaconego Neapolu, w ogólności opasanie od Francyi i Włoch złączoną cesarsko-królewską potęgą Napoleona. Ale raz jeszcze stawiać mu czoło na własną rękę, na to, po tylu ciężkich doświadczeniach, po ostatniem Marenga, sama Austrya ważyć się nie mogła. Więc pomimo namów angielskich i własnych żalów, musiała bardziej niż kiedykolwiek oglądać się na Rosyę. Rosya, nieobecna w pierwszej koalicyi przeciwfrancuskiej, pomocnicza jeno w drugiej, wysuwała się w trzeciej na plan najpierwszy.

Powiedziało się, śród jakich warunków, wbrew sprawie polskiej a poza wpływem Czartoryskiego, zawarty

był pokój francusko-rosyjski 1801 r. Nie utrwalił on przecie bynajmniej stosunków wzajemnych. Był to rozejm raczej, niż pokój. Podnosiły się przeciw niemu nieokiełznane, odziedziczone po Piotrze i Katarzynie, hegemoniczne tradycye rosyjskie. Podnosiła się wielka, pod liberalnym pozorem, samodzierżcza ambicya młodego cara. Zaś zarazem Pierwszy konsul, którego zdaniem właściwie „Rosya znajdowała się poza Europą", dotkliwie odczuwał kategoryczne wdawanie się cara do spraw niemieckich, włoskich i wszelakich zachodnio-europejskich, oraz wyzywającą, buńczuczną postawę carskich w Paryżu posłów, po żółciowym Kołyczewie, czelnego Morkowa. Odpychały się tu i do nowego starcia, do zerwania czasowej pacyfikacyi, prowadziły, obok względów aktualnych i oddziaływań angielskich, głębsze, zasadnicze przeciwieństwa polityczne i duchowe. Ale wiele jeszcze zależało od kierownictwa nieustatkowanej, krystalizującej się dopiero, polityki zagranicznej młodego Aleksandra. Kierownictwo to tymczasem przeszło faktycznie w ręce Czartoryskiego. We wrześniu 1802 r., został on towarzyszem ministra spraw zagranicznych, z teką, przy kanclerzu Aleksandrze Woroncowie. Wobec wieku i zgrzybiałości kanclerza, został odrazu istotnym sternikiem ministeryum. Zresztą niebawem, w styczniu 1804 r., po ustąpieniu Woroncowa, wszystkie najpoufniejsze bieżące papiery polityczne przeniesiono z jego domu do mieszkania ks. Adama. Odtąd i formalnie objął władzę Czartoryski, w stopniu zarządzającego ministeryum spraw zagranicznych, gdyż pełnego tytułu ministra rosyjskiego, ani też pensyi i orderów, nigdy przyjąć nie chciał. Stanowisko jego, w trzechleciu od jesieni 1802 do jesieni 1805 r., było stosunkowo najsilniejszem, o ile wogóle silnem być mogło, wsparte wyłącznie na osobistem zaufaniu zmiennej, skroś byzantyńskiej i autokratycznej duszy Aleksandra. To też przez zmienność carską ministeryum Czartoryskiego miało się skończyć srogim dlań zawodem.

Narazie jednak niepospolita jego indywidualność nie omieszkała odbić się silnie na całym toku polityki zagranicznej rosyjskiej w ciągu niniejszego trzechlecia. Czartoryski z tradycyi swego domu wyniósł dążność wybitnie prorosyjską i antypruską, przy nastroju anglofilskim, poniekąd też sprzyjającym Austryi, zaś natomiast wyraźnie boczącym się na Francyę. Były w tem wszystkiem, obok wskazań dodatnich, również i niebezpieczne zboczenia. Lecz w pewnej przynajmniej mierze, zbyt jednostronne tradycye polityczne Familii prostował ks. Adam wrodzonym osobistym umiarem, nowożytnym duchem europejskim, bezinteresownem czuciem patryotycznem. Zadanie jego, Polaka sternika carskiej polityki zagranicznej, było nader trudnem. Pozyskanie Aleksandra dla Polski i Polski dla Aleksandra, to były dwie strony tego zadania; pierwsze musiał Czartoryski okupywać drugiem. Zyskał istotnie możność czynienia dobrze Polsce w kraju i na wychodźctwie, imieniem cara, lecz wraz dla jego śród Polaków chwały. Rozwinął tedy, jako kurator wileński, od wiosny 1803 r., zbawienną działalność oświatową w ośmiu guberniach polskich. Przychodził z pomocą i ratunkiem skompromitowanym politycznie rodakom. Mógł wyzwolić i wrócić z sybirskiego zesłania wiele ofiar polskich, zapomnianych tam pomimo amnestyi Pawła, albo już za Pawła skazanych w sprawie Centralizacyi wileńskiej. Mógł z twierdzy austryackiej najznakomitszą wydobyć ofiarę, Kołłątaja, i sprowadzić go do dzielnicy rosyjskiej, gdzie ta głowa jakóbiństwa polskiego pośpieszy złożyć w kościele krzemienieckim przysięgę wiernopoddańczą i układać będzie wiersze hołdownicze na cześć cara łaskawcy. Mógł Czartoryski sięgnąć nawet aż do więzień stambulskich i wyratować zabłąkanych tam z Egiptu oficerów legionowych. Mógł uzyskać zniesienie konfiskat i wyroków zapadłych na legionistów, zbiegłych do Włoch z rosyjskiego kordonu, i zapewnić im pozwolenie bezkarnego powrotu. Tym spo-

sobem w niniejszej właśnie, krytycznej dla legii dobie, skutecznie przykładał się zdaleka do pogrzebania dogorywającej idei legionowej i oderwania, odwrócenia legionistów od tego złego ducha, co ich tą ideą oczarował, uwiódł i zawiódł, od Bonapartego.

Rzecz szczególna, a dla Polski niepomyślna, ci dwaj ludzie, Napoleon i Czartoryski, nigdy osobiście się nie spotkali, nigdy też na sobie dobrze się nie poznali. Napoleon, z różnych stron, a nienajmniej z polskiej, przez Sułkowskiego, Zajączka, Sapiehę itd., uprzedzony do Czartoryskiego i jego rodziny, miał go za intryganta, frazesowicza, dworaka Rosyi, anglomana, wroga Francyi, wiecznego do wojny z nią podszczuwacza. Czartoryski znów, przez wielkopańskie przesądy Puław i dworskie nienawiści Petersburga, Wiednia i Londynu, uprzedzony do Napoleona, miał go za awanturnika, kondotyera, samoluba, wyzyskiwacza Polaków i Polski. Nie przewidział Napoleon, że kiedyś jego synowiec, Napoleon III, będzie konkurował o rękę córki Czartoryskiego. Nie przewidział Czartoryski, że on sam, po upływie półwieku, na wygnaniu emigracyjnem, przebywać będzie pod osłoną drugiego napoleońskiego cesarstwa, że widoki ratunku Polski od Rosyi, od mściwości następcy Aleksandra, opierać będzie na małym epigonie i następcy Napoleona Wielkiego.

W chwili niniejszej, w przededniu trzeciej koalicyi, obustronny stosunek potężnego europejskiego geniuszu a wiernego patryoty polskiego mógłby jeszcze pomyślniejszym potoczyć się torem. Pierwszy konsul, na wieść o wstąpieniu ks. Adama do ministeryum, zaraz w październiku 1802 r., przez Talleyranda, polecił posłowi swemu w Petersburgu, generałowi Hédouville, „szczególne mieć względy dla ks. Czartoryskiego, naczelnika wydziału spraw zagranicznych“. Co główna, sam Czartoryski żywił jeszcze wtedy zamiary nadspodzianie ugodowe względem Francyi i jej władcy. W początku 1803 r., złożył on osobiście Aleksandrowi najpoufniejszy własnoręczny

memoryał „O systemacie politycznym, jakiego winna trzymać się Rosya". W tem arcydoniosłem, nieznanem dotychczas piśmie, odsłaniał przed samym carem najważniejsze linie wytyczne swej polityki. Naturalnych wrogów Rosyi ukazywał w obu jej sąsiadach zachodnich, Prusach i Austryi. Przepowiadał groźbę uderzenia kiedyś sprzymierzonych obu tych potęg na Rosyę. Przeciw Austryi radził z drugiego krańca wznieść zjednoczone Włochy. Wyobrażał je sobie pod przewodem dynastyi sabaudzkiej, którą, za swego we Włoszech pobytu, poznał blisko, najbliżej pono przez czułą królowę sardyńską. Tej okoliczności osobistej przypisywano też, że, w następnych rokowaniach z Bonapartem, szczególnie ostro naglił Czartoryski o zwrot Piemontu. Najmocniej atoli w memoryale niniejszym godził on w Prusy, wykazując konieczność wydarcia im całej ich polskiej dzielnicy ze stolicą Warszawą. Na drugiem już miejscu brał pod uwagę wydobycie Galicyi od Austryi. Tym sposobem, jako cel wytyczny polityki rosyjskiej, wysuwał odrobienie błędu podziałowego i skupienie całej Polski przy Rosyi. Mogłoby to, w najgorszym razie, nastąpić przynajmniej przez zjednoczenie wszystkich rozdartych dzielnic polskich i wcielenie ich do Rosyi pod wspólnem berłem Aleksandra. Jednakowoż to rozwiązanie, na którem później zejdą się zachłanna pycha carska i ugodowa rezygnacya polska, podawał Czartoryski wyraźnie jako *pis-aller*, gdyby innego już zgoła nie było sposobu. Uznawał je bezwarunkowo za mniej pożądane, a nawet za trudniej wykonalne. Nie mogło ono bowiem zaspokoić Polski złączeniem jej pod jarzmem jednego rozbiorcy, a musiało zaniepokoić Europę niepomiernym wzrostem rosyjskiej potęgi. Natomiast jako rozwiązanie najwłaściwsze wystawiał Czartoryski pełną odbudowę *(réintégration)* zjednoczonej i niepodległej Polski, pod W. Księciem Konstantym, królem polskim, wzamian za zrzeczenie się przezeń sukcesyi rosyjskiej. Wprawdzie W. Książę już był znany z dzikich wybryków nieposkromionego tem-

peramentu; znanem też było jego brutalstwo, okazane we Włoszech legionistom polskim. Ale jeszcze niedawno, zakochany na zabój w księżniczce Helenie Lubomirskiej, dobijał się o jej rękę; był młody, wrażliwy; i jeszcze może, zdaniem autora memoryału, nadawał się do okiełznania w wolnej, konstytucyjnej Polsce. W każdym razie, taka „reintegracya“ polegała przedewszystkiem na przymusowem odebraniu przez Rosyę Prusom polskiego ich działu z Warszawą i Poznaniem, zaczem poszłoby mniej lub więcej polubowne odebranie Austryi jej działu z Krakowem i Lwowem. Jakimże jednak sposobem tak wielki przewrót byłby do uskutecznienia? Owóż najpierw, byłaby tu nieodbicie wymaganą zgoda Anglii. To też w osobnym ustępie memoryału zalecane było utrwalenie ścisłych związków politycznych, gospodarczych a nawet duchowych między Rosyą a Anglią. Lecz oczywiście samo poparcie brytańskie nie starczyłoby do umożliwienia restytucyi Polski. Trzebaby na to jeszcze zgody najpotężniejszego mocarstwa lądowego,— Francyi. Stawiając tezę, tak niespodzianą i rażącą, jak na ówczesne warunki i pojęcia petersburskiego dworu, ks. Adam, dla pokrycia się przed carem i jego otoczeniem, nie pożałował ostrych słów o „nieszczęsnej i oburzającej ambicyi obecnego pana Francyi”, Bonapartego, o konieczności pohamowania go w Europie i samejże Francyi. Ale zarazem stwierdzał z naciskiem wspólność wielu interesów francusko-rosyjskich, a stąd możliwość porozumienia w sprawie „reintegracyi“ polskiej między Petersburgiem a Paryżem, t. j. ostatecznie między carem a Pierwszym konsulem. „Jeżeli Francya i Rosya—konkludował—raz zgodziłyby się co do tej sprawy, to inne mocarstwa byłyby zmuszone poddać się ich uchwale, tembardziej że Anglia podpisałaby ją chętnie. A wtedy widoki (odbudowy Polski) z prawdopodobieństwa zamieniłyby się w pewność“. Oczywiście warunkiem przedwstępnym urzeczywistnienia całej tej

koncepcyi było ponowne powszechne przesilenie europejskie. Ku takiemu przesileniu, t. j. ku nowej, nieuniknionej zresztą, koalicyjnej burzy przeciwfrancuskiej, wypadało zatem sterować, aby we właściwej porze wylądować z rozwiązaniem polskiem w przystani rosyjsko-francuskiego porozumienia. Czartoryski, Polak minister rosyjski, musiał liczyć się z całą zawiłością położenia międzynarodowego, jakie rozbiór Polski, rewolucya francuska i impet napoleoński wytworzyły w Europie. Musiał też liczyć się z całą skalą skłonności, wstrętów, rachub, wahań i podejrzeń carskich. Musiał z tem wszystkiem liczyć się zwłaszcza w niniejszej, najdraźliwszej, a leżącej mu najbardziej na sercu, sprawie polskiej. Musial tedy prowadzić grę bardzo cienką. Ale na samem dnie tej gry, wiodącej faktycznie do trzeciej koalicyi, w owej chwili spoczywało jeszcze potencyalnie spotkanie się Aleksandra z Napoleonem w sprawie polskiej, spoczywało w zasadzie, tylko w wywróconej nawspak postaci, spotkanie tylżyckie.

Tymczasem wszakże stosunki francusko-rosyjskie naprężały się coraz bardziej. Zaostrzał je, ile tylko mógł, posłujący w Paryżu Morkow. Wróg Czartoryskiego i Polski, denuncyant przebywających w Paryżu Polaków, ten stary sługa Katarzyny był też zaciekłym wrogiem Bonapartego. Frondował przeciw niemu po salonach paryskich, przekupywał mu urzędników w ministeryum wojny francuskiem itp. Pierwszy konsul, zniecierpliwiony, wprost zażądał od Aleksandra jego odwołania. Gdy zaś ono zadługo dało na siebie czekać, objawił swe niezadowolenie sposobem bardzo znamiennym. Na audyencyi publicznej w Tuileryach, w październiku 1803 r., kazał sobie przez starego Ségura, przyjaciela Kościuszki i Polski, przedstawić przybyłego z Galicyi Polaka, niejakiego Żaboklickiego, kawalera maltańskiego, mizerną zresztą i nieciekawą figurę. Poczem, schwyciwszy wystraszonego Żaboklickiego za guzik od surduta, podniesionym gło-

sem zwrócił się do niego, wobec licznie zgromadzonych w sali audyencyonalnej osób, a najwyraźniej pod adresem stojącego opodal Morkowa, z nieoczekiwanem dłuższem i ostrem przemówieniem w sprawie polskiej. Wyrażał ubolewanie nad nieszczęsnym losem narodu polskiego; potępiał dawny rząd francuski za to, że nie przeszkodził podziałom Polski; chwalił męstwo stworzonych przez siebie legionów polskich, które potrafiłyby dzielnie bronić swej ojczyzny i doczekać się pomocy Francyi; mówił w końcu o odbudowie Polski, jako rzeczy, wprawdzie „wymagającej teraz *prawie* cudu", lecz nie będącej wcale niepodobieństwem.

Było to najpierwsze publiczne odezwanie się Bonapartego w sprawie polskiej. Dawało ono z różnych względów wiele do myślenia. Improwizacyjne napozór, było naprawdę z góry celowo ułożone. Bonaparte widocznie powodował się tu nietylko chęcią dokuczenia Morkowowi. W owej chwili, już podczas jawnej katastrofy legionowej San Dominga, w przededniu nowej groźnej koalicyi, a wobec kaptacyjnej polityki polskiej Aleksandra, czuł on potrzebę przypomnienia się Polakom takiem głośnem, przyjaznem, znaczącem słowem. To też powyższa scena audencyonalna powszechną zwróciła uwagę. W parę dni potem obchodzono w Paryżu dorocznym październikowym bankietem imieniny Kościuszki. Liczniej niż zwykle zebrano się tym razem, w dniu Judy-Tadeusza Apostoła, za stołem biesiadnym dokoła starego Naczelnika. Prócz głów kolonii wychodźczej i znakomitszych przyjezdnych Polaków, było też obecnych wielu wybitnych Francuzów, członkowie Senatu i Rady Stanu; przybył również konsul Lebrun oraz Ségur, główny reżyser owego sensacyjnego wystąpienia Pierwszego konsula. To wystąpienie było oczywiście głównym przedmiotem rozmowy biesiadników. Zaraz też, w początku listopada, Kościuszko, niezawodnie w porozumieniu z życzliwym Ségurem, wystosował do niego pismo otwarte, z powodu fałszy-

wie i tendencyjnie przypisanego sobie przez Prusaków rzekomego okrzyku *Finis Poloniae*. Oświadczał, że „całą duszą protestuje przeciw temu świętokradczemu słowu", które jakoby miał wyrzec pod Maciejowicami. „Wszystko, co odtąd (od upadku insurekcyi)—pisał Kościuszko do Ségura—uczynili Polacy w sławnych legionach polskich, i wszystko, co w przyszłości jeszcze uczynią dla odzyskania ojczyzny swojej, dostatecznym jest dowodem, że jeśli my, wierni tej ojczyzny żołnierze, jesteśmy śmiertelni, to Polska jest nieśmiertelna".

O powyższym incydensie polskim poszły natychmiast do Berlina, Wiednia, Petersburga, szczegółowe doniesienia od urzędujących w Paryżu przedstawicieli państw rozbiorczych. Najżywiej zaniepokoił się Aleksander, zajęty pospołu z Czartoryskim myślą zjednoczenia całej Polski i pozyskania sobie wszystkich Polaków. Już w dniach najbliższych po tamtej scenie tuileryjskiej nastąpiło odwołanie Morkowa. Jego następca, Oubril, otrzymał rozkaz dostarczenia najpoufniejszych wiadomości o zachowaniu się bawiących w Paryżu Polaków, a zwłaszcza o ich związkach z Kościuszką, jakoteż o stosunkach Naczelnika z Pierwszym konsulem i rządem francuskim. Rozkaz ten wydał sam kanclerz Woroncow, zalecając przytem wyraźnie Oubrilowi przysłanie odpowiedzi „pod kopertą prywatną na moje imię i do moich rąk własnych", czyli, innemi słowy, poza plecami Czartoryskiego. W istocie, Czartoryski od objęcia urzędu towarzysza ministra był zwalczany zaciekle, jako Polak zdrajca, przez potężne dworsko-urzędnicze koła narodowo-rosyjskie. Miał też przeciw sobie carową matkę, Maryę Teodorównę, świadomą zresztą jego stosunku z synową, której również nienawidziła. Za sobą miał tę ostatnią, carową panującą Elżbietę, miał samego Aleksandra; lecz istniejący pomiędzy nimi, za wspólną wiedzą, trójdźwięk małżeńsko-miłosno-przyjacielski wciąż fatalnym przebijał i mścił się dysonansem. Zarazem podejrzliwy Aleksan-

der, od takich wrogów zaciętych ks. Adama, jak adjutant carski, młody ks. Dołgorukow, a może już nawet takich, jak Nowosilcow, wątpliwych przyjaciół, miał sobie kładzione do ucha zatrute przeciw Czartoryskiemu insynuacye. Oskarżano przed carem ks. Adama, że, w myśl dawnych tradycyi Familii, sam tajne żywi widoki na koronę polską, dla pozoru jeno podsuwaną przezeń Aleksandrowi lub Konstantemu. Oskarżano go niejako już z góry o walenrodyzm. Oskarżano o chęć rozmyślnego wprowadzenia Rosyi w biedę, o grę podwójną, inną w Petersburgu a inną w Polsce i Paryżu. Te podejrzenia były bezzasadne. Czartoryski z całą lojalnością chciał godzić służbę dla Polski i dla przyjaciela Aleksandra. Działał konsekwentnie w kraju, w Wilnie, Krakowie, Warszawie, na rzecz zgody polsko-rosyjskiej. Działał i zagranicą, a zwłaszcza w Paryżu, śród wychodźctwa, w duchu przychylnym carowi, przeciwnym Bonapartemu.

Ostatniemi czasy, w dobie pokojowej 1802—5 r., obok Anglików i Rosyan, pełno Polaków wybitnych napływało do Paryża. Zjeżdżali tu ordynat Stanisław Zamoyski z żoną, siostrą Czartoryskiego, Aleksander Sapieha z żoną, siostrą ordynata a późniejszą teściową Czartoryskiego, Wincenty Krasiński z żoną, Radziwiłłówną, pasierbicą marszałka Małachowskiego, Walenty Radziwiłł, Pac, Cetner, Krasicki, Sierakowski, Moszyński i wielu innych. Przywozili oni z kraju nad Sekwanę nastroje wręcz antyfrancuskie, antybonapartystyczne, a natomiast wyraźnie prorosyjskie, proaleksandryjskie. To poprostu stawało się wtedy rodzajem prawomyślności narodowej dobrego Polaka. Takie z kraju nastroje, zasiewane na wychodźctwie paryskiem, przyjmowały się tam tem łatwiej w niniejszym okresie rozczarowań pokojowych i ciężkich o San Domingo żalów. W tym duchu ujemnym oddziaływali z reguły przybywający teraz nad Sekwanę możniejsi rodacy, z rzadkiemi tylko wyjątkami. Takim wyjątkiem był ks. Aleksander Sa-

pieha, ukształcony podróżnik i pisarz, gorący Polak, charakter mały, niepoważny. Został on stałym bywalcem konsularnego dworu w Tuileryach, Malmaison i Saint-Cloud. Dostarczał cennych o Polsce wiadomości, a umiał też szczególniejszemi dworackiemi sposoby przypodobać się osobiście władcy Francyi. Tak więc bliską swą przyjaciółkę, słynną artystkę Teatru Francuskiego, młodziutką pannę George, uczynnie przekazał kochliwemu Bonapartemu. Sapieha odtąd przez dziesięciolecie, aż do swej śmierci, pozostał oddanym zwolennikiem Pierwszego konsula i cesarza. Ale już własna jego żona, księżna Anna z Zamoyskich Sapieżyna, żywiła głębokie do Bonapartego uprzedzenie. Podobnież Zamoyscy, Krasińscy i inni ówcześni polscy goście wielkopańscy w Paryżu, bywając skwapliwie na świetnych przyjęciach Pierwszego konsula, dworując jemu i Józefinie, zarazem jednak po kątach pomstowali zaciekle na korsykańskiego „awanturnika" i „uzurpatora", w poufnem kole spółczesnych tam wojażerów rosyjskich i angielskich, oraz w salonach arystokratycznych Faubourg Saint-Germain. Wszyscy oni oczywiście, zwłaszcza panie, rozumna i egzaltowana Aleksandrowa Sapieżyna, serdeczna jej przyjaciółka, Marya z Radziwiłłów Krasińska, śliczna Zofia z Czartoryskich Zamoyska, składali hołd powinny wygnańcowi Kościuszce, w jego mieszkaniu w Paryżu, a następnie w posiadłości wiejskiej Zeltnerów, Berville pod Fontainebleau. Zaś prawie wszyscy byli wobec Naczelnika wymownymi tłómaczami planów i nadziei Adama Czartoryskiego. A byli równocześnie gorącymi apologetami jego młodego, szlachetnego przyjaciela i pana, Aleksandra, wystawianego jako duch dobry, „anioł biały",—car był jasnym blondynem,—naprzeciw złego ducha, „czarnego anioła", Bonapartego. Co się tycze Kościuszki, to on sam, obok wspomnianych zażyłych swych stosunków z opozycyą przeciwkonsularną francuską, a między innymi także z jej głową, generałem Moreau, był również, po pokoju amień-

skim, w bliskiej styczności z angielską w Paryżu kolonią. Schodził się z wielkim wodzem wigowskim, Karolem Foxem, podczas paryskiego jego pobytu. Fox był chwilowo z Bonapartem na stopie przyjaznej, ale był zdawna bardzo od Rosyi zawisły, a teraz nawet przez Aleksandra i Czartoryskiego forytowany na rządzące w Anglii stanowisko. Tak więc Kościuszko zewsząd odbierał kojące, sprzyjające Rosyi suggestye i wrażenia. Wszakże stanowcze dlań znaczenie miała ta okoliczność, że, wraz ze zgonem Pawła, bladła i znikała zmora związanych z osobą zamordowanego cara własnych bolesnych wspomnień łaski, przysięgi, zerwania. Co więcej, tamtą wyłudzoną przysięgę Kościuszki na rzecz Pawła gasiła wszak obecnie dobrowolna przysięga wiernopoddańcza Kołłątaja na rzecz Aleksandra. Odtąd i nieprzejednane Towarzystwo republikanów polskich, pod radykalnym kołłątajowym celebrujące znakiem, musiało odrzec się owych, wręcz przeciwnych, republikańsko-rewolucyjnych przysiąg i haseł, do jakich niedawno pociągało Kościuszkę. W istocie, wielu katońskich tego Towarzystwa dostojników, jak np. Orchowski, zostało teraz poprostu agentami Czartoryskiego. Kościuszko, zawsze pod silnym domu Czartoryskich wpływem, a znając szczery patryotyzm ks. Adama i słysząc o świeżych jego dla rodzimej Litwy dobrodziejstwach kuratorskich, skłonny był zawierzyć trafności i powodzeniu jego politycznych zamierzeń polsko-rosyjskich. Utwierdzali go w takiej wierze wymienieni podróżni wielkopańscy, mniej lub więcej bliscy Czartoryskiego. Zresztą Czartoryski wtedy właśnie miał w Paryżu niektórych, dość ciemnych agentów tajnych, jak przebiegły krętacz Moszyński, jak czelny sztukmistrz Chadzkiewicz, którzy niegdyś obadwaj czynni byli w insurekcyi kościuszkowskiej. Miał nawet korespondentów w najbliższem otoczeniu paryskiem Naczelnika, w osobie spowinowaconego z nim, dzielnego kapitana Jerzego Zenowicza, albo lubianego przezeń, jowialnego Józefa Sierakowskiego.

Tym sposobem Kościuszko był zewsząd pod okiem i wpływem idącej z Petersburga oryentacyi polsko-rosyjskiej. Poza tem nie omieszkiwano oddziaływać nań w tym samym kierunku postronnemi również sposoby, przez szwajcarskich jego przyjaciół, przez bardzo niepewnego a usłużnego dla Rosyi Zeltnera, przez Laharpa, będącego na stałem utrzymaniu rosyjskiem i w stałej korespondencyi poufnej ze swym byłym wychowankiem, carem Aleksandrem. Zaś kołysany wiarą w liberalny idealizm cara i jego posłannictwo bezinteresownego zbawcy Polski, Kościuszko jednocześnie, widokiem konsularnego samowładztwa, wyprawy na San Domingo, przywrócenia murzyńskiej niewoli, zniszczenia legionów polskich, sprawy Moreau, represyi sądowo-policyjnej, wreszcie ogłoszenia cesarstwa, ostatecznie zrażał się do Napoleona, a nawet poczynał objawiać gotowość zwalczania go osobiście, na czele Polski, pod sztandarem przyszłej koalicyi.

Tymczasem zadzierzgiwał się zwolna ów nowy węzeł koalicyjny. Zarazem zbliżała się jedyna sposobność urzeczywistnienia wielkich a trudnych pomysłów Czartoryskiego. Znalazł on sobie teraz, w chwili podjęcia akcyi tak zawiłej i ważnej, oddanego konfidenta i spółpracownika dyplomatycznego. Był nim eks-ksiądz Piattoli, ongi sekretarz Stanisława-Augusta współpracownik Ustawy majowej, potem więzień austryacki, w końcu domownik księstwa Kurlandzkich, człek nie bez talentu i zalet, lecz z nadmiarem południowej wyobraźni i politycznego szarlataństwa XVIII wieku. Za pośrednictwem Antraigua, utrzymującego stałą z Czartoryskim korespondencyę, jesienią 1803 r., przypomniał się on księciu ministrowi, a od początku 1804 r., przybywszy do Petersburga, został jego doradcą w otwierającem się przesileniu europejskiem. To przesilenie weszło niebawem w stan ostry przez porwanie i śmierć ks. Enghiena. Na protest Aleksandra z powodu tego zabójstwa odpowiedział Bonaparte bolesną aluzyą do mor-

du Pawła. Z wynikłego stąd zatargu znalazł Czartoryski wyjście, odpowiadające tajnym jego widokom, a nieznane dotyczas w praktyce międzynarodowej, pośrednie między pokojem a wojną. Polegało ono na formalnem zerwaniu, wiosną 1804 r., wszelkich stosunków politycznych między Rosyą a Francyą, wraz z odwołaniem wzajemnych przedstawicieli dyplomatycznych, lecz bez wypowiedzenia wojny, bez przerwania stosunków handlowych, nawet bez odwołania konsulów. Wytwarzał się tym sposobem szczególniejszy stosunek francusko-rosyjski, formalnie wrogi, więc sprzyjający stworzeniu nowej koalicyi, lecz narazie zwalniający Rosyę od czynów wrogich, dopuszczający teraz pewną jej rezerwę względem Francyi a nawet przyszłe porozumienie obustronne. Równolegle z tym manewrem, doraźnem odcięciem się od Francyi, rozpoczął Czartoryski bardzo subtelną grę troistą. Zmierzała ona naprzód do odosobnienia Prus, przez skompromitowanie na obie strony ich gry obosiecznej, fałszywej ich przyjaźni z Francyą i Rosyą jednocześnie. Zmierzała następnie do pchnięcia Austryi do samodzielnej, wybiegającej daleko na Zachód, nad Dunaj i Ren, offensywy przeciw Napoleonowi, co pozostawiłoby Rosyi wolną rękę na Wschodzie, nad Niemnem i Wisłą. Zmierzała wreszcie do ścisłego związania się z Anglią i zyskania jej zgody na koncepcyę koalicyjną rosyjską, na uwieńczenie jej odbudową Polski i na końcowe zagodzenie z Francyą. Naogół, w grubszych zarysach, Czartoryski wyobrażał sobie pożądaną kolej wypadków i odpowiednią linię oryentacyjną polityki rosyjskiej, jak następuje. W razie przewidywanego i pożądanego zatargu wojennego między Austryą a Francyą, z jednej strony, sprzymierzyć się z Austryą i zachęcić ją do akcyi zaczepnej; z drugiej strony, zmusić Prusy do zejścia z dwulicowego ich stanowiska środkującego; następnie, niezawiśle od rozprawy austro-francuskiej, główną siłą rosyjską obrócić się nie przeciw Fran-

cyi, lecz uderzyć na Prusy, zgnieść je i stanąć mocną nogą w Warszawie i Polsce pruskiej; wreszcie, w razie porażki Austryi, ponad głową jej i Prus, a w porozumieniu z Anglią, przeprowadzić pacyfikacyę wprost z Napoleonem, za cenę zjednoczenia Polski trójdzielnicowej, w bliższym lub dalszym związku z dynastyą rosyjską.

Przygotowawczą kampanię dyplomatyczną rozpoczął Czartoryski w 1804 r., u dworów pruskiego, austryackiego i angielskiego. Prusy, w maju 1804 r., wydały Aleksandrowi tajną deklaracyę królewską, przyrzekającą oparcie się przemocy francuskiej w Niemczech północnych; i tegoż samego dnia wydały Napoleonowi poufną deklaracyę gabinetową, przyrzekającą oparcie się przemarszowi armii rosyjskiej przeciw Francyi. Trwały one w najlepsze w dwuznacznej i popłatnej roli języczka u wagi między Petersburgiem a Paryżem. Do uśpienia ich mimowoli do czasu w tej roli nadawał się wybornie ówczesny poseł rosyjski w Berlinie, Alopeus, będący całkowicie na żołdzie pruskim. Z drugiej strony, Austrya, po tylu wziętych od Francyi cięgach i ostatnich suworowowskich od Rosyi zawodach, dość nieufnie wchodząc w petersburskie namowy koalicyjne, nie bez wahania, w listopadzie 1804 r., zawarła tajne, warunkowe jeszcze, przymierze zaczepno-odporne z Rosyą przeciw Francyi. Do uspokojenia mimowoli tej nieufności wiedeńskiej wybornie nadawał się ówczesny poseł rosyjski w Wiedniu, Razumowski, będący oddawna na utrzymaniu austryackiem. Alopeus i Razumowski winni byli pozostać całkiem lub poczęści bezwiednemi narzędziami ukrywanej przed nimi jaknajdłużej istotnej myśli koalicyjnej swego rządu. Dla tem większej pewności przydawał im Czartoryski zaufanych, wtajemniczonych dozorców. Takim dozorcą był generał Wintzin gerode, niegdy szambelan ks. Ferdynanda Pruskiego, teścia Radziwiłła, potem pułkownik austryacki, potem gwardzista rosyjski i adjutant

Aleksandra, żonaty z Polką, Rostworowską, przyjaciel Czartoryskiego, który mu sekundował w pojedynku z Dołgorukowem, miał do niego pełne zaufanie i wyprawiał go teraz właśnie z misyą dozorczą po kolei do Berlina i Wiednia. To zaufanie zresztą niecałkiem było uzasadnione. Czartoryski i w tym wypadku, jak w wielu innych, okazał wadę, bardzo śród magnatów polskich pospolitą, a nadzwyczaj w polityce szkodliwą, małą znajomość ludzi. Wintzingerode, pomimo polskiego swego małżeństwa, był służbistą rosyjskim a przedewszystkiem ślepo oddaną Austryi kreaturą, i najpewniej zawczasu odkrył w Wiedniu wszystko, co tylko wiedział o polskich planach Czartoryskiego. Najtrudniejszą atoli była podejmowana przez ks. Adama negocyacya londyńska. Tam, w Anglii, chciał Czartoryski to skuteczne znaleść poparcie, jakiego nie mógł oczekiwać od spółrozbiorców Polski. W tym celu jednak musiał postępować bardzo oględnie z obecnym rządem angielskim. Jak wspomniano, w marcu 1801 r., Pitt dobrowolnie ustąpił władzy rządowi Addingtona, dla ułatwienia pokoju z Francyą. Z kolei, po wznowieniu wojny z Francyą, musiał ustąpić Addington, poczem, w kwietniu 1804 r., Pitt powrócił do władzy. Nowe, skroś wojenne, nieprzejednane względem Francyi, ministeryum Pitta nie ze wszystkiem nadawało się do środkujących zamierzeń koalicyjnych Czartoryskiego, któremu przeto wielce zależało na pewnej rekonstrukcyi tego ministeryum. Zależało w szczególności na wprowadzeniu do rządu Foxa, wielkiego wigowskiego przywódcy, który zawsze, od początku wojen rewolucyjnych, był zwolennikiem pokoju francusko-angielskiego, był przytem wymownym, choć platonicznym, przyjacielem Polski, a był też, co nienajmniej ważna, od wielu lat w bardzo ścisłych stosunkach z Rosyą. Rzecz była tem aktualniejszą, że temi właśnie czasy, z powodu choroby umysłowej króla Jerzego, wisiała w powietrzu regencya hulaszczego ks. Walii, osobiście i politycznie

związanego z Foxem. Owóż Czartoryski w tych wszystkich drażliwych materyach nie mógł odkryć się z całą myślą swoją przed długoletnim posłem rosyjskim w Londynie, Woroncowem. Ten bowiem, jakkolwiek cenił ks. Adama, jednak w sprawach polityki ogólnej, a zwłaszcza polskiej, miał wspólnie ze swym bratem, kanclerzem, swoje odrębne pojęcia czysto rosyjskie, pozatem zaś był ślepo oddany teraźniejszemu rządowi angielskiemu. Wobec tego postanowił Czartoryski wysłać do Londynu, z misyą najpoufniejszą, Nowosilcowa. Jego też, obok samego cara, zapewne też Stroganowa, Wintzingerodego, oraz Piattolego, wtajemniczył w swój istotny program koalicyjny, zarysowany w tajnym memoryale zeszłorocznym. Była to nieostrożność, która ciężko się pomściła. Do polsko-rosyjskiej koncepcyi Czartoryskiego dopuszczony został w osobie Nowosilcowa fałszywy teraz przyjaciel, a później otwarty, nieubłagany wróg. W istocie, misya Nowosilcowa do Anglii, pod koniec 1804 r., żadnego pozytywnego nie dała wyniku. Po powrocie z wyprawy londyńskiej do Petersburga, został on, latem 1805 r., ponownie przeznaczony, w towarzystwie Piattolego, do misyi jeszcze drażliwszej, do Paryża, celem rokowań osobistych z Napoleonem. Po drodze jednak, w Berlinie, został zatrzymany i nakoniec odwołany przez Czartoryskiego, który po niewczasie wyczuł niewłaściwość wyboru takiego wysłańca, jakkolwiek jeszcze przez szereg lat będzie się łudził rzekomą jego przyjaźnią dla siebie i Polski. W rzeczywistości Nowosilcow nietylko nie wywiązał się należycie z powierzonej sobie misyi, lecz nawet, jak się zdaje, wydał rządowi pruskiemu sekret zamierzeń Czartoryskiego.

Właściwie już wtedy zwichnięte zostały te niepospolite, choć w samym zarodzie chybione zamierzenia. Nie dał im przecie za wygranę Czartoryski w ciągu całego prawie 1805 r., głównie przy pomocy urodzonego projektowicza Piattolego, nietyle w praktycznej, ile

raczej spekulatywnej dziedzinie. Wchodząc najdalej w myśl ks. Adama, układał mu Piattoli obszerne operaty, czyli „marzenia polityczne“, rozwijające ową myśl wytyczną w najszczegółowszym sposobie i stopniowaniu, stosownie do przewidywanych rozlicznych wyników negocyacyi lub wojny. W tej projektowej redakcyi Włocha, wedle skazówek Czartoryskiego, wprawdzie bardzo szeroko była mowa o powszechnej europejskiej „koalicyi pośredniczącej“ *(alliance de médiation)*, mającej przemożną groźbą wojenną wywrzeć kategoryczny nacisk na Napoleona. W gruncie jednak wciąż górowała tu dążność do polubownego porozumienia się z Napoleonem, uznania jego cesarstwa, dynastyi, głównych zdobyczy, nawet ewentualnego odzyskania przezeń Egiptu i San Dominga, wzamian przedewszystkiem za odbudowę zjednoczonej Polski przy Rosyi, obok pewnych zysków rosyjskich na Wschodzie i Północy. Ustnie formułował Piattoli istotę rzeczy leżącą na samem dnie konjunktury, branej w rachubę przez Czartoryskiego, w tem lapidarnem orzeczeniu: „sprzymierzyć się znienacka *(s'allier brusquement)* z Bonapartem i spożyć ciasto pospołu“, czyli do spółki podzielić się światem. Owóż, naprzód, ta koncepcya podziału świata między Zachodem a Wschodem, Napoleonem a Aleksandrem, wraz z równoczesnem odrodzeniem Polski przy Rosyi, była w samem swem założeniu przeciwną naturze i dziejom. Następnie zaś, w swem wykonaniu, nie była do pomyślenia pod kierunkiem Polaka. Czartoryski, pomimo wpływowego napozór stanowiska, był naprawdę zupełnie odosobniony w Petersburgu. Nie mógł on, ani w polityce europejskiej, ani tembardziej w polskiej, polegać na żadnym Rosyaninie, nie wyłączając cara. A zarazem, z przeciwnej strony, wszelkiemi sposoby, zwłaszcza przez przestrzeżone czynniki pruskie, był zohydzany u Napoleona. Stąd też w subtelnych jego pomysłach narodowych i europejskich wciąż rwało się wszystko, ze wszystkich naraz końców, z rosyjskiego,

francuskiego, angielskiego, pruskiego, austryackiego, wreszcie i z polskiego. Tkwił tu rdzenny tragizm szlachetnej jego duszy i inicyatywy, choć górującej nieskończenie nad znikczemniałą poprzednią targowicką i zmarniałą późniejszą ugodową. Była tu klątwa fałszywego położenia życiowego i duchowej rozbieżności Czartoryskiego pomiędzy walenrodyzmem a lojalizmem, polskością a słowiaństwem, skąd on kiedyś wybrnie przez całopalną ofiarę rewolucyjną i emigracyjną, a gdzie obecnie ugrzązł bez wyjścia. Nie rosyjska, przez Petersburg, droga do przyszłej odrodzonej prowadziła Polski, lecz legionowa, przez Zachód, przez Francyę, przez Napoleona.

Napoleon tymczasem na nadciągającą koalicyjną gotował się zawieruchę. Przenikał ją z góry, ogólnikowo przynajmniej, z odbieranych wiadomości poufnych, a głównie dzięki własnej intuicyi. Rozeznawał, i to dość jasno, z interceptów Lucchesiniego, bezdenną dwulicowość Berlina. Dostrzegał, choć tylko ułamkowo, wyłącznie z wrogiej sobie strony, skomplikowaną grę Petersburga. Czujnie śledził mściwe zakusy i wraz trwożliwe wahania Wiednia. Z tem wszystkiem spokojną zachowywał wstrzemięźliwość. Okazywał udaną ufność Prusom, odnawiając bezpłodne z niemi rokowania sojusznicze Komitetu Ocalenia publicznego i Dyrektoryatu. Jeszcze po cesarskiej swej koronacyi paryskiej, pod koniec 1804 r., publicznie, przed Ciałem prawodawczem, wyciągał rękę Rosyi. Jeszcze po królewskiej koronacyi medyolańskiej, latem 1805 r., ostrzegał Austryę przed prowakacyą rosyjską, która pragnie pchnąć ją do wojny a później na sztych wystawić. Równocześnie zaś sam ześrodkowywał swe wysiłki przeciw jedynemu narazie otwartemu wrogowi, Anglii. Założywszy, od 1803 r., wielki obóz w Boulogne, przygotowywał stamtąd wylądowanie zbrojne na brytańskiem pobrzeżu. Te przygotowania, z rozmyślną czynione ostentacyą, nie były wszakże bynajmniej samym jeno manewrem.

Zapatrywał się Napoleon na wzory wypraw brytańskich Juliusza Cezara i Wilhelma Zdobywcy. Myślał w Londynie „przeciąć gordyjski węzeł koalicyi“. Zaś samą już akcyą przygotowawczą osiągał cele praktyczne, mocnił marynarkę francuską i trzymał w szachu ministeryum angielskie. Ale wyprawa do Anglii, wchodząc istotnie, z pewnym ułamkiem prawdopodobieństwa, w rachubę boulońskiego obozu, nie wyczerpywała innych stron tej rachuby. A mianowicie, wobec przeciągającego się, dojrzewającego zbyt powoli, kontynentalnego przesilenia, mógł Napoleon, dzięki obozowi w Boulogne, przez dwa lata trzymać w pogotowiu i doskonalić na uboczu armię przeszło stutysięczną, aby w razie potrzeby, odwracając się nagle ku Wschodowi, użyć jej do nieoczekiwanej, błyskawicznej kontroffensywy przeciw czyhającym nieprzyjaciołom lądowym, przeciw przewidywanemu austro-rosyjskiemu natarciu.

Tak też się stało. Nazbyt zawiłe i rozłożyste planowania rosyjskie ostatecznie stoczyły się napowrót na utarte tory koalicyjne. Parła ku temu odosobniona Anglia i Pitt, przy mocnem poparciu wojskowych zwłaszcza żywiołów przeciwfrancuskich Wiednia i Petersburga. Czartoryski, pchany tędy siłą rzeczy, słabością swego stanowiska i naciskiem angielskim, osądził, że najlepiej będzie pójść do czasu linią mniejszego oporu, dawną z 1799 r. linią koalicyi anglo-austro-rosyjskiej, byle wyjść nareszcie z bezwładu i dojść do konjunktury, która w sposobnej porze pozwoliłaby wyłamać się w pożądanym kierunku pierwotnych założeń polskich. Tak doszedł naprzód w Petersburgu zaczepny traktat sprzymierzeńczy anglo-rosyjski przeciw Francyi, z kwietnia 1805 r. Nastąpiły dalsze rokowania w Wiedniu względem akcesu Austryi, pierwotnie w dziedzinie czysto wojskowej. Arcyksiążę Karol stanowczo był przeciwny zarówno nowej wojnie z Francyą, jakoteż nowemu sojuszowi z niepewną Rosyą. Ale za wojną i sojuszem przeważył szalę szef sztabu główne-

go austryackiego, ambitny Mack, niegdyś, w kampanii neapolitańskiej, zdrowo bijany przez Championneta i Kniaziewicza, i wtedy też, jak się rzekło, trafnie przez Dąbrowskiego oceniony i kiepskim nazwany „waryatem", a teraz wyrywający się do laurów pogromcy Napoleona. Stanęła więc, w lipcu, wiedeńska tajna konwencya wojskowa austro-rosyjska. Odpowiadała ona najskrytszym widokom Rosyi: przewidywała offensywę austryacką przez Bawaryę przeciw Francyi; przyrzekała tam rosyjskie posiłki, lecz w przesadnej liczbie i spóźnionym terminie; główne natomiast siły rosyjskie pozwalała trzymać w odwodzie przeciw Prusom; słowem, wiążąc i narażając w pierwszej linii Austryę, zostawiała wolne ręce Rosyi. Po dopełnionym jeszcze, w sierpniu, formalnym akcesie austryackim do związku anglo-rosyjskiego, przy neapolitańskim również udziale, więc ściśle na poprzednią, drugą koalicyjną modłę, wystąpiła do boju trzecia koalicya. Niezawiśle od wojsk pod arcyksięciem Karolem, przeznaczonych do działań flankowych przeciw Francuzom we Włoszech, z rezerwą pod arcyksięciem Janem w Tyrolu, główna armia austryacka pod Mackiem niezwłocznie wyruszyła w pole, wprost przez Bawaryę mierząc ku Francyi, a za nią korpus posiłkowy rosyjski Kutuzowa pomaszerował bez pośpiechu przez Galicyę ku Zachodowi. We wrześniu Austrya rozpoczęła otwarte kroki wojenne. Mack, bez trudu wdzierając się do sprzymierzonej z Francyą Bawaryi, ześrodkował swe siły pod warownym Ulmem. W takim stanie rzeczy, Napoleon, zasiedziały nad brzegiem morskim w Boulogne i wyłącznie napozór swą ekspedycyjną angielską pochłonięty marą, z wzrokiem w Kanał i Londyn wlepionym, niebaczny napozór na zbierające się cichaczem za jego plecami niebezpieczeństwo, lecz w rzeczywistości śledząc je jaknajświadomiej, jaknajczujniej, raptem wstał, odwrócił się i w samo serce koalicyi piorunującym, kontroffensywnym zamierzył się ciosem. W końcu sierpnia wydał

pierwsze rozkazy do rzucenia swych wojsk z obozu boulońskiego na Wschód, nad Ren i Dunaj. W początku września stanął w Paryżu, skąd w końcu września popędził na Strasburg, za awansującą w marszach forsownych, 150 tysięczną Wielką Armią. W początku października, z prawego skrzydła wziąwszy tyły Austryakom, odciąwszy ich od Wiednia, naraz od Wschodu, od tyłu, uderzył na osłupiałego, czekającego go przed sobą, od Zachodu, a już zewsząd otoczonego Macka. Łatwo złamał jego opór, w połowie października zmusił go do sromotnej kapitulacyi pod Ulmem, zabrał ogółem do 50 tysięcy jeńca, a wraz z krwawemi stratami i zbiegłymi, zniósł całą prawie stutysięczną główną armię austryacką. Poczem ruszył dalej naprzód niewstrzymanym już nigdzie impetem, w początku listopada zajął Wiedeń, rozłożył się kwaterą w Schoenbrunnie. Załatwił się z bronią austryacką i cesarzem Franciszkiem, czekał rosyjskiej i cara Aleksandra.

Aleksander wchodził do koalicyi szlakiem polityki Czartoryskiego. Pchnąwszy Austryę na karkołomną z Napoleonem rozprawę na ziemi bawarskiej, nad Dunajem, sam zamyślał rozprawić się z Prusami na ziemi polskiej, nad Wisłą. Skierował tam, z pod Grodna i Brześcia, 90 tysięczną armię główną Michelsona, którą nadto wzmocnić miały nadciągające ze stolicy gwardye. W połowie września, sam car we własnej osobie, rzecz od Piotra Wielkiego w Rosyi bezprzykładna, udał się z Petersburga do armii czynnej. Miał z sobą Czartoryskiego, któremu w tym czasie napozór całkowicie ulegał. Wprost ze stolicy, po drodze do armii czynnej, udał się na dłuższy postój do Puław, rezydencyi Czartoryskich w Galicyi. Przed wyjazdem z Petersburga wystosował do Fryderyka-Wilhelma kategoryczne żądanie wolnego przemarszu wojsk rosyjskich przez ziemie pruskie. Przewidywana odmowa Berlina na podobne żądanie winna była zostać upragnionem hasłem sforsowania tego przemar-

szu siłą zbrojną, uderzenia znienacka na Prusy i zajęcia polskiej ich dzielnicy. Na ten wypadek, w końcu września, wygotowany był przez Czartoryskiego manifest carski o wypowiedzeniu wojny Prusom i poufnie rozesłany generałom rosyjskim, ciągnącym ku granicy pruskiej, do ogłoszenia go z chwilą jej przekroczenia. Aliści uwieńczeniem całej imprezy byłoby oczywiście dopiero publiczne ogłoszenie Królestwa Polskiego pod berłem Romanowów, za zgodą i sankcyą samejże Polski. Dla uniknięcia piętrzących się ze strony rosyjskiej trudności, godził się już Czartoryski na tymczasowe obwołanie samego cara królem polskim. Przygotowane to być miało właśnie przez dwutygodniowy, w pierwszej połowie października 1805 r., pobyt Aleksandra w Puławach. Do złożenia przedwstępnego hołdu carowi pociągnięto tu i zgromadzono wielu wybitnych działaczów ze wszystkich trzech dzielnic i wszystkich stronnictw polskich. Sprowadzony został do Puław były przywódca Wielkiego Sejmu, marszałek Ignacy Potocki; wezwany też były przywódca Targowicy, hetman Ksawery Branicki; wtajemniczony również były wódz naczelny, ks. Józef Poniatowski. Powszechna jedność narodowa pod nowym panem polsko-rosyjskim miała poprzedzić zjednoczenie pod nim odrodzonego państwa polskiego. Od licznie zebranych uczestników puławskiego zjazdu odbierano już nawet podpisy pod tajną odezwą, rodzajem asekuracyi wiernopoddańczej na rzecz Aleksandra. Wobec znacznego odsetka Polaków w wojsku pruskiem, liczono na masową ich dezercyę z chwilą rozpoczęcia kroków wojennych. Zamierzano też, wzorem powstałych z austryackiego jeńca legionów polskich przy armii francuskiej, utworzyć ze zbiegów i jeńców pruskich legiony polskie przy armii rosyjskiej, przy pomocy będących w kraju licznych oficerów legionowych. Innemi słowy, chciano naśladować to, co przed ośmiu laty sprawił Bonaparte z Dąbrowskim, a co z nim i Poniatowskim miał sprawić za rok Napo-

leon. Brano też, zdaje się, pod uwagę możliwość tajemnego sprowadzenia z Paryża Kościuszki. Tymczasem, na samym zaraz wstępie, myślano całe to dzieło wojenno-polityczne od wielkiego zacząć aktu. Ułożonem było, że wraz z przejściem Pilicy wojska rosyjskie zajmą Warszawę, dokąd zjedzie Aleksander i ogłosi się królem polskim. Rzecz zdawała się być na tak dobrej drodze, że w początku października, w piśmie z Puław, opatrzonem własnoręcznym przypiskiem Aleksandra, Czartoryski odsłaniał już przed Razumowskim istotne widoki polskie cara, kazał uprzedzić o nich dwór wiedeński, a nawet dać do zrozumienia, że one dotyczą nietylko dzielnicy podziałowej pruskiej, lecz również i galicyjskiej, za stosowną indemnizacyjną „zamianą". Wyraźnie w tem piśmie podawano do wiadomości Wiednia, że cesarz Aleksander „będzie zmuszony ustąpić pragnieniom (Polaków), przyłączając do Rosyi prowincye (prusko-polskie) i przyjmując tytuł króla polskiego", oraz że podobnież wypadnie z kolei urządzić „przyszłe losy Galicyi", wzamian za odszkodowanie Austryi w Szląsku pruskim i Bawaryi. Zaś dla przekonania dworu wiedeńskiego, zaskoczonego tak doniosłemi rewelacyami, i pozyskania jego zgody, wytaczał Czartoryski w piśmie niniejszem argument najwalniejszy: wiszącą nad spółrozbiorcami groźbę rozwiązania sprawy polskiej przez Napoleona. „Bonaparte nie omieszka zająć się Polską. Doprowadzi on w tej mierze do jakiegoś porozumienia z królem pruskim,... albo też bodaj jego samego spowoduje do przyjęcia tytułu króla (polskiego). Jestto rzecz, której bezwarunkowo przeszkodzić, którą uprzedzić należy".

Jednakowoż cała ta gorączkowa robota puławska spoczywała na piasku. Stała na fałszywej życzliwości Rosyan dla Polski, na wróżącej wciąż na dwoje zachciance Aleksandra. Tej kombinacyi polsko-rosyjskiej, pozornie tyle mającej za sobą, a w istocie skroś wymuszonej i nienaturalnej, nikt właściwie, prócz Czartoryskie-

go i polskich jego stronników, szczerze nie popierał, wszyscy byli jej przeciwni. Sprzeciwiało się jej całe niemal rosyjskie otoczenie cara. Sprzeciwiła się zaraz, przez swego w Puławach wysłańca, Stutterheima, zaniepokojona do żywego Austrya. Rozpaczliwie, rzecz prosta, sprzeciwiły się zagrożone śmiertelnie Prusy, za pośrednictwem wpływowych przyjaciół, jakich pełno miały na dworze i w rządzie rosyjskim. Już oddawna sekret Czartoryskiego był zdradzony w Berlinie przez Alopeusa. Aleksander, który chciał być zdradzonym, by mieć pretekst do zdradzenia Czartoryskiego, już po drodze do Puław, z Brześcia, wysłał Dołgorukowa do Berlina, rzekomo dla uśpienia Prus, naprawdę dla przygotowania sobie odwrotu. Zarazem wstrzymał wydane generałom rosyjskim rozkazy wkroczenia do Prus, rzekomo z powodu doniesień Alopeusa o mobilizacyi przestrzeżonych Prusaków, choć oni naprawdę wtedy w największej trwodze opróżniali samą nawet Warszawę. Wtem Fryderyk-Wilhelm, korzystając z bezprawnego przemarszu korpusu francuskiego Bernadotta przez zachodnią granicę pruską, skwapliwie udzielił przez Dołgorukowa pozwolenia do przemarszu wojsk rosyjskich przez wschodnią. Ze swej strony skwapliwie z tego pruskiego korzystając ustępstwa, Aleksander jednym zamachem wywrócił karcianą budowę puławską. Zamiast rzucić się na Prusy, rzucił się w ich objęcia. Opuściwszy nagle Puławy, zamiast wjechać po królewsku do Warszawy, objechał ją *incognito* dokoła, zjadł obiad u Potockich w Wilanowie, drugi u Radziwiłłów w Nieborowie, pogawędził na Czystem z Poniatowskim, ale nie o polityce, i popędził do Berlina, do miłego brata i przyjaciela, Fryderyka-Wilhelma, do pięknej siostry i przyjaciółki, królowej Luizy, ze skruchą, czułością, przymierzem. Towarzyszyć mu musiał Czartoryski, bo car tak chciał, chciał go mieć z sobą, Polaka, winowajcę, kusiciela, na którego głowę spadała wyłączna odpowiedzialność za „puławski plan morderczy (*Mord-*

plan) przeciw Prusom". Patrzeć się musiał na wznowione pobratymstwo prusko-rosyjskie, które zgubiło Polskę, które spodziewał się zerwać, a które teraz, uroczystą u trumny Fryderyka Wielkiego uświęcone przysięgą, na długie odradzało się stulecie. Musiał, on, który wczora na rozkaz carski pisał puławski manifest wojenny rosyjski przeciw Prusom, obecnie, na rozkaz carski, kłaść swój podpis na poczdamskiej konwencyi sprzymierzeńczej rosyjsko-pruskiej przeciw Napoleonowi. Wypił wtedy w Berlinie Czartoryski do dna kielich goryczy; okrutnem upokorzeniem i zawodem opłacił swoje ministeryum rosyjskie. Wnet jednak same pomściły go wypadki. Wprost z Berlina, wciąż w biernej jego asyście, pośpieszył Aleksander na Morawy, na walną rozprawę z Napoleonem, na Austerlitz.

Położenie Napoleona, pomimo nadzwyczajnych dotychczas sukcesów, pogromu Macka, zdobycia Wiednia, miało swoje strony słabe. Nazajutrz po kapitulacyi pod Ulmem, nastąpiło doszczętne zniszczenie floty francuskiej Villeneuva przez angielską Nelsona pod Trafalgarem. Katastrofa trafalgarska odbiła się bezpośrednio na Włoszech. Tutaj, po koronacyi medyolańskiej, przekazał Napoleon zastępczą władzę monarszą, w stopniu wicekróla włoskiego, młodemu pasierbowi swemu, Eugeniuszowi Beauharnais, lecz komendę czynną nad wojskiem włosko-francuskiem, po Muracie sprawowaną przez Jourdana, z chwilą wybuchu wojny powierzył wypróbowanemu Massenie. Ten niełacne miał zadanie oparcia się prawie dwakroć liczniejszej przewadze, ciągnącej do Włoch północnych, 90 tysięcznej armii austryackiej arcyksięcia Karola. A niebardzo też miał zabezpieczone tyły od południa, ze strony Neapolu. Wprawdzie, dzięki zawartej we wrześniu 1805 r. konwencyi francusko-neapolitańskiej o ścisłej neutralności zobopólnej, można było wycofać rozłożone w portach neapolitańskich, dla dozorowania krążących w pobliżu Anglików i Rosyan, kilkuna-

stotysięczne wojska francuskie pod dowództwem generała Gouvion Saint-Cyra. Do tych wojsk, obok Francuzów, Włochów i Szwajcarów, należały też posłane do Apulii ostatnie szczęty legionowe polskie, pułk piechoty Grabińskiego, t. j. I. półbrygada polska, i pułk ułański Rożnieckiego, rozkwaterowane po rozlicznych miejscowościach pobrzeżnych, piechota w Bari, jazda w Barletta, Trani, Canosie. Polacy dotychczas bili się tu bezustanku z brygantami i Anglikami. Teraz wyprowadzeni zostali przez Saint-Cyra na północ, na sukurs Massenie, podobnie jak przed sześciu laty, na sukurs Schererowi, tą samą drogą z Neapolu na północ, prowadzoną była pod Dąbrowskim pierwsza legia polska. Tym razem jednak na półwyspie o tyle z gruntu inaczej i lepiej miały się rzeczy, że z tamtej strony Alp gromił teraz zwycięsca Napoleon. Krewki Massena na wieść o Ulmie nie zawahał się, w końcu października, uderzyć na przemagających liczbą, obwarowanych pod Caldierem Austryaków, lecz z dotkliwą stratą został odparty. Poczem, w początku listopada, arcyksiążę Karol, zrzekając się akcyi włoskiej, rzuciwszy jeno silną załogę do zablokowanej wnet przez Saint-Cyra Wenecyi, pociągnął drogą okolną wstecz, w kierunku Wiednia, na spóźnioną wprawdzie odsiecz stolicy, lecz z wcale jeszcze groźną dla Napoleona flankową dywersyą. W tym samym również kierunku zawróciła operującą pierwotnie w Tyrolu, a wyparta stąd po Ulmie przez Neya i Augereau, armia rezerwowa austryacka arcyksięcia Jana. Jeden zbłąkany jej oddział, złożony z 7 tysięcy piechoty i przeszło tysiąca jazdy, korpus emigranta francuskiego, generała ks. Rohana, zepchnięty poprzez góry trentyńskie na południe, chcąc przebić się do Wenecyi, po drodze, między Bassanem a Wenecyą, natknął się na idące mu na przełaj, ze Strà, polsko-francuskie wojska Saint-Cyra. Były tu obadwa pułki polskie, Grabińskiego i Rożnieckiego, poddane komendzie generała Peyri, oraz

skombinowana dywizya francusko-włoska pod generałem Reynierem. Rohan, spotkawszy naprzód przecinającego mu wprost drogę Reyniera, rozbił i odepchnął jego dywizyę, gdy wtem sam Saint-Cyr, wziąwszy pośpiesznie pułk Grabińskiego, stojący jeszcze w tyle w Camposampiero, rzucił go z flanki, opodal Castelfranca, na posuwających się naprzód Austryaków. Piechota polska, pod wytrawnym przewodem podpułkownika Chłopickiego, uderzyła „z największą natarczywością" i zmusiła Austryaków do bezładnego odwrotu; dopędziwszy go, powtórnem uderzeniem przełamała całą kolumnę nieprzyjacielską, przyczem sam Chłopicki zabrał do niewoli pułk kirasyerski w 700 koni. Gdy zaś wtem nastąpiło na tyłach gwałtowne natarcie ułanów Rożnieckiego, cały korpus austryacki w pełnym składzie musiał złożyć broń. Wpadło tu w ręce polskie około 6 tysięcy piechoty i do tysiąca koni, „potrzebna zdobycz osobliwie ułanom polskim, którzy w ciągłych marszach i bitwach (apulijskich) wiele koni i ludzi natraciwszy, (teraz z jeńców korpusu Rohana) Polaków zwerbowawszy, w dobre konie niepoślednio się opatrzyli". Sam Rohan z całym sztabem, chorągwiami i artyleryą, dostał się do niewoli. Mała ta stosunkowo, na uboczu odprawiona, bitwa pod Castelfranco Veneto, 24 listopada 1805 r., była jednym z ostatnich świetnych czynów legionowych. Przyczyniła się też do przyśpieszenia odwrotu arcyksięcia Karola. Śladem następujących na Villach, Klagenfurt, ze skrętem na Węgry, wojsk arcyksiążęcych, posuwał się aż do Lublany Massena, wciąż mając na prawem skrzydle, pod Saint-Cyrem, w pierwszej dywizyi włoskiej, legionistów polskich, po raz pierwszy tak daleko na powrotne do domu wypuszczonych szlaki. Ale tymczasem, na pierwszą wieść o Trafalgarze, wiarołomny dwór neapolitański, już w połowie listopada, wbrew umówionej neutralności, sprowadził flotę anglo-rosyjską, z kilkunastu tysiącami Rosyan, śród których sporo było żołnierzy i marynarzy polskich, oraz

kilkotysięcznym korpusem ekspedycyjnym angielskim. Z tymi sprzymierzeńcami na czele, pod dowództwem generałów rosyjskich Lascego i Anrepa, wojska neapolitańskie znowuż, jak przed sześcioleciem, ruszyły znienacka w górę półwyspu, celem wzięcia tyłów Massenie i złączenia się z Austryakami.

Jednakowoż, ponad wszystkiemi temi odleglejszemi groźbami, górowały całkiem aktualne, bliższe, bezpośrednio zawieszone nad rozpędzonym w głąb Austryi Napoleonem. Utkwił on tutaj, wśród zimy, dalej niż kiedykolwiek w kampaniach włoskich odsunięty od swych podstaw operacyjnych. Poza możliwem zawsze w rdzennych częściach tak rozległej monarchii odrodzeniem się oporności habsburskiej, miał on naprzeciw siebie nietkniętą jeszcze Rosyę i nieodgadnione Prusy. Murat, w połowie listopada, w gorączce pościgu, wypuścił z ręki wojsko posiłkowe spryciarza Kutuzowa, który umknął, wykłamawszy się rzekomym rozejmem. A tu już nadciągały na Kraków dalsze silne korpusy i gwardye rosyjskie pod W. Księciem Konstantym. Napoleon osobiście popędził z Schoenbrunnu na Morawy, w myśli rozbicia zawczasu tej nawały rosyjskiej przed większem jej skupieniem się. Musiał z tem śpieszyć się tembardziej ze względu na mocno niepewny Berlin. Dotkliwą dlań niespodzianką była świeża prusko-rosyjska konwencya poczdamska, obowiązująca Prusy do zbrojnej przeciw niemu mediyacyi, pod rygorem uderzenia nań od tyłu w 180 tysięcy ludzi. Wprawdzie wiedział także Napoleon o poprzedniem naprężeniu prusko-rosyjskiem, o tajnym planie Czartoryskiego, o „wielkim strachu, jakiego Rosya napędziła Prusom". Wiedział również o pewnych, bardzo niedawnych, tajnych planach offensywnych sztabu głównego pruskiego przeciw Austryi. Wiedział o wpływowych w Berlinie czynnikach, wzdrygających się na samą myśl ratowania pobitej monarchii habsburskiej i marzących raczej o tem głębszem pogrążeniu jej, ku chwale i zyskowi Prus, w duchu starych tradycyi fry-

derycyańskich. Przeniknął też, że w Berlinie niebardzo się kwapiono z wykonaniem konwencyi i przysięgi poczdamskiej; że rozmyślnie dawano mu jeszcze dosyć czasu do załatwienia się po Austryakach również i z Rosyanami; że spekulowano tam wciąż nietyle na rolę walczącego koalianta, ile międzykoalicyjnego superarbitra, obławiającego się po skończonej walce spólnie ze stroną zwycięską kosztem pobitej. Lecz właśnie dlatego śpieszyć musiał z osiągnięciem stanowczej wygranej, zanim obróciłaby się przeciw niemu wahająca się zdrada i szpada pruska. Wyczuwał to wszystko, przyjmując w głównej kwaterze swej w Brnie morawskiem, w końcu listopada, przysłanego sobie wreszcie z Berlina medyatora pruskiego, Haugwitza, opatrzonego zapewne w najtajniejsze hamujące ustne zlecenia królewskie. Odesłał go do Wiednia na przewlekłe rokowania z Talleyrandem, sam gotując się tymczasem do ostatecznego zbrojnego rozstrzygnięcia. Nie było ono jeszcze w tej chwili bynajmniej ubezpieczone na rzecz Francyi. Przeciwnie, w dzień odwiedzin Haugwitza i jeszcze przez dwa dni następne, Napoleon pod względem taktycznym znajdował się w położeniu mocno zagrożonem. Miał naprzeciw siebie przeważające o przeszło jedną trzecią wojska austro-rosyjskie, i dopiero na gwałt ściągając detaszowane korpusy, zdołał w ostatniej prawie godzinie wyrównać siły a tem samem wziąć górę przewagą geniuszu.

Tedy w początku grudnia 1805 r., w samą pierwszą rocznicę koronacyjną, odprawił Napoleon czterdziestą zwycięską swą batalię, austerlicką. W tej najświetniejszej swojej, a i liczebnie największej dotychczas, przy blisko 90 tysiącach z każdej strony ludzi, bitwie „trójcesarskiej", zgruchotał do cna sprzymierzonych Austro-Rosyan, zniszczył około jednej ich trzeciej w zabitych, rannych i jeńcach, a resztę, wraz z carem i cesarzem rzymskim, w dziką, bezładną pognał rozsypkę. Najwięcej ucierpiały niezwalczone rzekomo, stanowiące

liczbą i bitnością rdzeń armii sprzymierzeńczej, wojska rosyjskie. A było tam także, niestety, mnóstwo oficerów i szeregowców polskich. Pochodzili oni poczęści jeszcze z wcielonych gwałtem przez Katarzynę odłamów siły zbrojnej sejmowej i insurekcyjnej, z werbunku znędzniałej drobnej szlachty polskiej do lekkiej jazdy rosyjskiej, głównie zaś z polsko-litewskich poborów rekruckich, ściąganych przez Pawła, a szczególnie obficie, aż do dziewięciu rekrutów na każde półtysiąca dusz chłopskich, w pierwszem czteroleciu rządów liberała Aleksandra, z inspekcyi poborowej brzeskiej, litewskiej, inflanckiej, ukraińskiej i kijowskiej. To też teraz, pod Austerlitzem, jeden z wybitniejszych generałów carskich, zrusyfikowany Polak Przybyszewski, dostał się do niewoli francuskiej z całą swoją dywizyą. Zaś najdzielniej z całej armii Aleksandra, podczas stanowczego ataku grenadyerów Soulta na centrum rosyjskie na wyżynach Pratzenu, sprawiła się złożona niemal wyłącznie z Polaków jazda ułańska rosyjska, roztrącając jazdę francuską Kellermanna, a zwłaszcza dwa świetne szwadrony pierwszego dywizyonu gwardyi konnej imienia cesarzewicza Konstantego, które z niezrównanym kawaleryjskim impetem sarmackim, szarżując pod pułkownikiem Ożarowskim, rozbiły czwarty pułk liniowy francuski i wzięły jedyny zdobyty w tej bitwie sztandar napoleoński. Ale też tysiącami padli tutaj Polacy w szeregach rosyjskich smutną ofiarą niesłychanej klęski austerlickiej. Ta klęska największą niespodzianką była dla samego Aleksandra. On to bowiem, na własną rękę, wbrew ostrzeżeniom Czartoryskiego, pokwapił się z wydaniem tej najpierwszej walnej swej bitwy, gdyż, pewien w pysze carskiej łatwego zwycięstwa, bał się tylko umknięcia Napoleona i troszczył się o odcięcie mu odwrotu do Wiednia. Aż tu nagle ze wszystkich strącony złudzeń, w sromotnej ucieczce, sromotniejszem jeszcze kłamstwie, wzorem Kutuzowa, szukać musiał ratunku od wpadnięcia w ręce już opasu-

jącego go Davouta. A kiedy w szybko zapadającym zimowym zmroku, z zasłanego trupami śnieżnego pobojowiska, cwałem zrozpaczony, spłakany, opuszczony uchodził car, znalazł się konno przy jego boku, towarzyszył mu, cucił go i podtrzymywał ks. Adam, skrzywdzony polski jego minister i przyjaciel. Ta szalona w noc grudniową ucieczka z pod Austerlitzu,—tak po wielu jeszcze leciech nie bez zgrozy wspominać będzie Czartoryski— to była jakby zmora nocna z króla Leara, gdy wicher huczy w ciemnościach, walą się trony, a królowie po otwartem błąkają się polu.

Napoleon od początku tej kampanii najwięcej liczył się z Rosyą. Jeszcze po Ulmie mógłby on pono, usilnie namawiany do tego przez Talleyranda, na dogodnych warunkach ułożyć się, nawet sprzymierzyć z Austryą przeciw Rosyi. Nie zdobywał się jednak wtedy na zwrot podobny, nienajmniej z uwagi na Prusy; wolałby przeciwnie, osłabiwszy Austryę, ułożyć się z Rosyą. Powodował się przytem oczywiście nie sympatyą dla Rosyi, lecz względem na odległą a niezmierną jej siłę. Ale w końcu zanadto zaczynała mu ona dokuczać, zewsząd dawać się we znaki, w Neapolu, Francyi, Szwecyi i Bawaryi, na Morawach, w Polsce i Poczdamie. Otóż Austerlitz dowodnie okazał, że z tą siłą żywiołową bądźcobądź można było poradzić. Wówczas też zrodziła się w Napoleonie myśl zespolenia Europy przeciw Rosyi. „Bitwa austerlicka—tak główne jej znaczenie ujmował on w biuletynie Wielkiej Armii—była zwycięstwem europejskiem, albowiem obaliła *prestige*, które zdawało się być związane z imieniem tych barbarzyńców (Rosyan)". Zresztą nie mógłby nawet rokować w tej chwili z uchylającym się Aleksandrem, gdyż upokorzony a tembardziej zawzięty car samodzierżca, dysząc nieutuloną żądzą odwetu i pomsty, wolał poprostu zbiedz do nieprzystępnej północnej swojej stolicy. Z drugiej strony, trzeba było liczyć się z Prusami, które ze swą grą szantażową całko-

wicie się zdemaskowały przez układ poczdamski i misyę Haugwitza, a trzymały w pogotowiu zmobilizowaną armię blisko 200 tysięczną. Niepodobna też było zostawiać zbyt długo samej sobie Francyi, do której pobrzeży po Trafalgarze łatwy przystęp mieli Anglicy, ani też zwłaszcza nieobliczalnego zawsze Paryża, skąd przykre przychodziły wieści o wynikłych już za nieobecności cesarza ciężkich powikłaniach ekonomiczno-politycznych. Wreszcie w samej Wielkiej Armii, pomimo zdobytej chwały, wyraźnie nurtowało uczucie, że posunięto się zadaleko, z Boulogne aż na Morawy, i objawiała się chęć corychlejszego powrotu do domu z ubezpieczonym zyskiem zwycięskiej kampanii.

Napoleon, słowem, postanowił nieodwłocznie kres wojnie położyć. Poszedł za mądrą, choć interesowną radą Talleyranda, wyciągnął rękę do Austryi. Opodal Austerlitzu miał widzenie się z cesarzem Franciszkiem. W tem spotkaniu z Jego Rzymską i Apostolską Mością, najpierwszym w Europie monarchą, bratankiem ostatniej królowej Francyi, a przyszłym teściem swoim, okazał uprzedzającą grzeczność, prawie deferencyę, oszczędzając mu upokorzenia zwyciężonego wobec zwycięscy. Jeśli jednak wmawiał sobie, że takiem względnem obejściem ugłaskal i zyskał Franciszka, to był w grubym błędzie. Ten błąd zasadniczy Napoleona, ponawiany później na zjazdach tylżyckim i erfurckim oraz w sprawie austryackiego małżeństwa, polegał na przecenieniu przezeń istotnego dostojeństwa, moralnej wartości i umysłowego poziomu koronowanych swych przeciwników, jakoteż na beznadziejnem wspinaniu się do dynastycznej ich wyłączności, do skojarzenia, uzgodnienia się z nimi. To było zarówno niepodobieństwem względem Franciszka, Aleksandra, Fryderyka-Wilhelma. Im więcej starał się Napoleon zyskiwać ich sobie osobiście, tembardziej tylko odstręczał ich od siebie. Nienawidzili go oni żywiołowo za duchową jego wyższość, za to, że się

z nimi zrównał, ponad nich wyniósł, nie zwyrodniałem, zbękarciałem ich prawem dziedzicznem, lecz przyrodzonem prawem swego geniuszu, że ich bijał i, co najgorsza, ułaskawiał, że z nimi obcował, że poprostu żył, że samą istnością swoją doprowadzał do absurdu kruchy, fałszywy, fikcyjny ich majestat. Tak też w niniejszym było wypadku. Zaraz po obecnem austerlickiem spotkaniu, samolubny, podejrzliwy, tchórzliwy, zajadły, bezlitosny, lubieżny, prostacki, tępy mieszczuch w koronie, jakim był cesarz Franciszek, swoim dyalektem wiedeńskim, do zaufanego ks. Liechtensteina, z nieopisaną wybuchnął wściekłością: „Teraz, kiedym go (Napoleona) widział, już nazawsze znosić go nie mogę". Mimo to, już po dwóch dniach podpisany został odrębny rozejm austro-francuski. Austrya wycofywała się, zostawiając na placu umykającą się zresztą samorzutnie. Rosyę. Z kolei jedną i drugą pozostawiały swemu losowi Prusy. Zdradziwszy ongi w Bazylei pierwszą koalicyę dla Francyi rewolucyjnej, a świeżo w Poczdamie Francyę dla Rosyi, zdradziły teraz w Schoenbrunnie trzecią koalicyę dla Francyi napoleońskiej. W połowie grudnia, z całkiem zmiękłym a najpewniej opłaconym przez Francyę Haugwitzem, podpisany został traktat schoenbruński, stanowiący nareszcie, za cenę przyznawanego Prusom Hanoweru, targowane od dziesięciolecia, od pokoju bazylejskiego, przymierze prusko-francuskie. Poczem, pod podwójnym naciskiem klęski austerlickiej i tego przymierza, z negocyatorskiej ręki wyrozumiałego a najpewniej opłaconego przez Austryę Talleyranda, szybko doprowadzoną została do końca pacyfikacya odrębna z Austryą. Za cenę utraty campoformijskich odszkodowań austryackich, Wenecyi z Istryą, Dalmacyą, Cattarem, dalej Tyrolu, Trentina, itd., ogółem przeszło tysiąca mil kwadratowych i półtrzecia miliona mieszkańców, choć stosunkowo z pewną jeszcze, właśnie dzięki Talleyrandowi, folgą, przyznaniem Austryi Salzburga i pomiarkowaniem kontrybucyi wojennej, podpisa-

ny został w Preszburgu, pod koniec grudnia 1805 r., traktat pokojowy austro-francuski.

Kończyła się trzecia koalicya raptowniejszym i cięższym, niż dwie poprzednie, pogromem. Wprawdzie pozostała jeszcze niezagodzona Rosya, lecz należało przypuszczać, że i ona, po lekcyi austerlickiej, powróciwszy do siebie, odstąpiona od Prus i Austryi, za ich przykładem pokojowego poszuka rozwiązania. Aliści taki ponowny powszechny pokój lądowy Napoleona zwycięscy i tym razem, jak poprzednio, stawał się klęską nieszczęsnego narodu, któremu tylko wojna powszechna przynieść mogła zbawienie, a który raz jeszcze i w tej wojnie, i w tym pokoju całkowicie został pominięty. Podobnie jak generał Bonaparte w Leobenie i Campoformio, jak Pierwszy konsul w Lunewilu i Paryżu, tak teraz cesarz Napoleon w Schoenbrunnie i Preszburgu godził się a nawet sprzymierzał z rozbiorcami Rzpltej polskiej. Zaś nowy ten bolesny zawód, całej dotykając Polski, przedewszystkiem ostatecznie pognębiał wielką sprawę, żywym czynem wcielającą najrdzenniejszego, wyzwolonego od wszystkich spółrozbiorców, niepodległego ducha polskiego, ostatecznie grzebał konającą sprawę legionową.

VI.

Zawiedziony potylekroć naczelny tej sprawy przewodnik, Dąbrowski, od kilku już lat, od przekształcenia legii na półbrygady a zwłaszcza od wyprawy na San Domingo, w najprzykrzejszem trwał położeniu. Wraz ze sprawą legionową, jego własna była przegrana na wychodźctwie i w kraju. Z wychodźctwa wracało do kraju pełno legionistów najlepszych, ostatniej wyzbywszy się nadziei. Wracali zasłużeni wodzowie

i świetni oficerowie, wzory patryotycznego poświęcenia i żołnierskiego honoru. Wracali Kniaziewicz i Wielhorski, Godebski i Fiszer, tylu innych ofiarnych uczestników wysiłku i nieposzlakowanych świadków bankructwa legionowego. Dąbrowski nie wracał, bo był z nich najtwardszy, najwytrzymalszy. Im bardziej niektórzy z nich, jak Kniaziewicz, wzywali go do ustąpienia, im bardziej inni, jak Kosiński, obracali mu nóż w sercu, o coraz nowym donosząc zawodzie, o coraz nowej pacyfikacyi francuskiej, zabójczej dla sprawy legionowej, tembardziej on się zacinał w tej polityczno-wojskowej koncepcyi, która go do legionowego pchnęła przedsięwzięcia. Wciąż w głębi upierał się przy swem przekonaniu, że te wszystkie pacyfikacye są rzeczą nietrwałą i przejściową, że po nich większa jeszcze rozgorzeje wojna, która zwycięską Francyę konsularną i napoleońską wreszcie aż na polską wyprowadzi ziemię i pozwoli urzeczywistnić wytyczną myśl i pieśń legionową. Dąbrowski, chłop zawzięty, pójść napowrót pod jarzmo trójrozbiorcze, ugiąć się, ukorzyć, przyznać się do legionowej przegranej i błędu, nie chciał. Wolał trwać i *contra spem sperare*. Lecz on nietylko wracać nie chciał, ale wracać nie mógł. Do czegoby wrócił? Do nędzy i potępienia rodaków? Nie znalazłby w domu nawet chleba dla chorej żony i dzieci. Nie mógłby, jak Wielhorski, osiąść w dobrach dziedzicznych, albo jak Kniaziewicz, na przyjacielskiej sanguszkowskiej dzierżawie. Nie miał w kraju przyjaciół. A za to wrogów miał tam co niemiara, podkopujących dobre jego imię obywatela i żołnierza. Daremnie szukał jakiejś z krajem styczności, pisywał do ludzi najszanowniejszych, do Sołtyka, Czackiego, ks. Józefa Poniatowskiego, starego Czartoryskiego; daremnie zaufanych, jak Haukego, posyłał tam adjutantów. Odbierał w najlepszym razie słowa obojętnej grzeczności; pozatem zaś wyczuwał odgłos wyraźnej niechęci, surowej krytyki, albo wręcz zajadłej wrogości. Więc pozostał na miejscu, we Włoszech, śród warunków

coraz dotkliwszych. Stracił naprzód, jak wskazano, komendę czynną legii, dla fikcyjnego nad niemi inspektoratu. Następnie, po rozebraniu półbrygad polskich i zniszczeniu większej ich części, z inspektora wojsk polskich we Włoszech został, w 1803 r., inspektorem generalnym całej jazdy włoskiej, co służbowym było awansem a degradacyą narodową. W tym stopniu odtąd urzędując w Medyolanie, całkowicie był odcięty od byłych swych podkomendnych. Pierwsza półbrygada Grabińskiego, czyli pułk piechoty polsko-włoskiej, — gdyż od jesieni 1803 r. dekretem konsularnym przywróconą była w armii francuskiej, a następnie i we włoskiej, nazwa pułków zamiast półbrygad,—wraz z pułkiem jazdy Rożnieckiego, działały w Neapolitańskiem pod rozkazami Saint-Cyra; dwie pozostałe ginęły na San Domingo pod rozkazami Leclerca i Rochambeau. Zaś były ich wódz rodowity zdala na to wszystko patrzeć się musiał, z komenderującego generała polskiego zostawszy administracyjnym urzędnikiem wojskowym włosko-francuskim.

Nieprzestawał oczywiście Dąbrowski i nadal jaknajżywiej interesować się losem drogiej swemu sercu broni legionowej. Śledził uciążliwe jej przeprawy w Apulii; z bezsilnym bólem odbierał przedśmiertne skargi legionistów z San Dominga. Ale nic dla nich uczynić nie mógł, ani nawet w ich wstawiać się sprawie. Zapragnął tedy przynajmniej od zapomnienia i poniewierki uchronić ich imię, ocalić pamięć i honor legionowego czynu. A pragnął zarazem obronić samego siebie, twórcę i wodza tego nieszczęśliwego, przegranego, skompromitowanego wtedy czynu, który ówczesna opinia publiczna rodaków i wielu nawet byłych legionistów skłonną była piętnować jako wytwór szalonej polityki straceńców, albo też wręcz zbrodniczej prywaty kondotyerów. Zaś za tę rzekomą zbrodnię, za tyle szlachetnej krwi polskiej, przelanej rzekomo nadaremnie, za tyle okrutnych zawodów legionowych, przedewszystkiem czyniono odpowiedzialnym Dąbrowskiego.

W podobnym duchu skroś ujemnym i oskarzycielskim nietylko wystawiano podówczas przed narodem w relacyi ustnej, lecz już i w pisemnej poczynano utrwalać dzieje legionowe. Taka pobudka dziejopisarska, w chwalebnej skądinąd intencyi upamiętnienia odbytych pospołu bojów, wcześnie zrodziła się śród byłych podkomendnych Rymkiewicza i Kniaziewicza, w przyjacielskiem kole Godebskiego, Kosseckiego, Drzewieckiego i innych, raczej chłodno względem Dąbrowskiego nastrojonych naddunajczyków. Przyłączyli się do tej myśli niektórzy, w rodzaju Kosińskiego, byli podkomendni Dąbrowskiego, mniej mu życzliwi, poczęści mocno doń uprzedzeni. Przyłączyli się również po powrocie do Warszawy działacze byłej jakóbineryi polskiej w Paryżu, eksdeputacyjne grono Dmochowskiego, Szaniawskiego, itp. zaklętych Dąbrowskiego wrogów i prześladowców. Ze strony tych bliższych i dalszych świadków zajęto się nakreśleniem historyi świeżych wysiłków i przepraw emigracyjno-legionowych. Tak powstało pismo obszerne w języku francuskim, biegnące od założenia legii aż do 1801 r., niepozbawione szczegółów ciekawych, lecz pełne fałszów i nienawistnych na Dąbrowskiego potwarzy, „Obraz historyczny legionów polskich", którego autorem był kapitan legii pierwszej, przemyślny i zjadliwy Piotr Tomaszewski. Tak znów, na wezwanie Kosseckiego, powstały odrębne ułamki historyczne, jak Godebskiego cenny pamiętnik oblężenia Mantui, albo Axamitowskiego dość nieścisły skrót dziejów artyleryi legionowej. Kossecki z Warszawy zwrócił się nawet listownie wprost do Dąbrowskiego, z żądaniem przysłania sobie urzędowych akt kancelaryi legionowej, jako materyału do zamierzanej zbiorowej pracy historycznej o legiach. Generał grzecznie się wymówił; nie żywił on oczywiście wielkiego zaufania do bezstronności tego warszawskiego o sobie i swych czynach dziejopisarstwa.

Postanowił natomiast Dąbrowski, uprzedzając podobne, mniej lub więcej wątpliwej wartości, a najpewniej sobie nieprzychylne pomysły historyograficzne, sam na własną rękę, na podstawie swych wspomnień oraz posiadanych bezpośrednich źródłowych świadectw pisemnych, swojej korespondencyi i dzienników wojskowych, ułożyć zwięzłe, autentyczne dzieje sprawy legionowej, w ciągu pięciolecia od podjęcia jej przez siebie po wyjeździe z kraju, aż do faktycznego jej zawieszenia po pacyfikacyi lunewilskiej. Do redakcyi w języku franeuskim użył zaufanych swych adjutantów przybocznych, Regulskiego, Pflugbeila, Haukego, lecz sam całej rzeczy, pod względem ducha i toku wykładni, nadał własne wybitne piętno osobiste. W ten sposób powstało Dąbrowskiego „Opisanie y hystoria Legiów polskich", czyli „Pamiętnik wojskowy *(Mémoire militaire)* legionów polskich we Włoszech, z przypisami źródłowemi, poświęcony krewnym legionistów, pisany w Medyolanie w r. IX". W rzeczywistości Pamiętnik w tym czasie (1800-1) był dopiero zaczęty i ulegał następnie znacznym przeróbkom redakcyjnym. Naogół jestto ścisły, prawdomówny, cenny w lapidarnej swej prostocie, wysnuty wprost ze źródeł, rys dziejów legionowych. Zapewne, w dochowanej, aż nazbyt treściwej wersyi oryginalnej, to pismo niewolne jest od braków, zarówno pod względem oświetlenia, jak i przemilczenia pewnych rzeczy, ludzi, wypadków, sprężyn, zagadnień. Pomimo całej swej przedmiotowej wstrzemięźliwości, bezzosobowości, urzędowej aż szarzyzny wykładu, niewolne też jest od pewnej, całkiem zresztą zrozumiałej i nieuniknionej, osobistej intencyi apologetycznej. Ale przedewszystkiem jestto szlachetna apologia zbiorowa samej idei legionowej. Trzeba było koniecznie tę jedyną w swoim rodzaju ideę postawić przed światem i narodem w świetle właściwem. „Legiony — pisał Kosiński — były ludem błąkającym się na puszczy; widok ojczyzny, jak słup ognisty przewodniczył ich krokom". „Jak błędne w no-

cy światła, — śpiewał Godebski — co łudzą podróżnych. Tak cień Matki ich wodził po krainach różnych... W ich zbrojnem ciele dusza narodu jaśniała. Na twarzy była rozpacz, a na czole chwała". To była prawda. Owóż tę prawdę zasadniczą, najczystsze narodowe źródło imprezy legionowej, jaknajdobitniej w swym Pamiętniku stwierdzał Dąbrowski. Ze wzgardą odtrącał potwarz, jakoby „legiony polskie powstały ze zbiegów i najmitów, oraz z oficerów, których jedynym zamiarem było, służąc ambicyi lub interesowi swego wodza, mieć sposób utrzymania się". Ze słuszną natomiast podnosił dumą, że „Polacy zjednoczyli się w korpus zbrojny (legionowy) wyłącznie celem powrócenia do ojczyzny swojej; zanim to zaś mogłoby nastąpić, złączyli się w widoku zachowania śród siebie ducha narodowego i nadziei stania się kiedyś wojskiem narodowem; woleli wreszcie być wygnańcami i cierpieć niedostatek, niżeli schylić karku pod jarzmem mocarstw rozbiorczych, uświęcić biernem milczeniem niewolę swojej ojczyzny". Zaś na samem czele pamiętnikarskiej swej relacyi kładł znamienne godło, wzięte ze starej „Taktyki" hr. Guiberta, słynnego ongi pisarza wojskowego, czułego poety, kochanka i salonowca wersalskiego *ancien régimu* w jednej osobie. W dedykacyi, ofiarując swe dzieło „krewnym legionistów", tych zwłaszcza co położyli kości na obczyźnie pod legionowym sztandarem, znękany, zasmucony Dąbrowski, świadom wielkiej swej odpowiedzialności przed temi mianowicie, okrytemi żałobą, rodzinami poległych swych podkomendnych, jakgdyby tłomaczył się, uniewinniał, zasłaniał owem godłem: „Szał obywatela, marzącego o szczęściu swej ojczyzny, ma w sobie coś, co wzbudza poszanowanie".

„Szałem *(délire)*" musiał sam nawet Dąbrowski w beznadziejnej chwili ówczesnej nazwać straconą narazie sprawę legionową. Przestawszy być jej sternikiem, został jej historykiem, jako rzeczy skończonej, umarłej. Wysiadywał teraz przeważnie w Medyolanie, zdala od

szczątków legionowych. Pełnił administracyjną swą służbę włoską, zbierał książki, sztychy mapy wojskowe, porządkował legionową swą kancelaryę i bibliotekę. Tutaj, w lombardzkiej stolicy, widział go wtedy i w podróżnym opisał dzienniku pisarz i oryginał niemiecki, a były oficer rosyjski za Katarzyny, Seume, który go niegdyś w suworowowskiej spotykał Warszawie. Gdy jednak teraz dotknął w rozmowie nowoczesnych widoków złączenia całej Polski pod berłem rosyjskiem, pod łaskawym Aleksandrem, usłyszał Dąbrowskiego zdanie, że on woli wytrwać jeszcze przy „ostatniej nadziei" wywalczenia może zupełnej niepodległości. „Dzielnem i szlachetnem" wydało się to uczciwemu Seumemu. Inaczej przecie ówczesne zachowanie się Dąbrowskiego oceniano w kraju. Chciano w niem prostą jeno żołdacką widzieć rachubę. Szkodziła wielce Dąbrowskiemu nieszczególna opinia niektórych innych celniejszych legionistów, wymawiających się, jak i on, od powrotu do kraju. Wprawdzie byli tam oficerowie, wyróżniający się tyleż brawurą, co charakterem narodowym, jak Chłopicki, Redel, Klicki i inni. Ale u samej góry, przeważnie już w stopniach generalskich, pozostali na obczyźnie ludzie jak Rożniecki, Axamitowski, Grabiński, Sokolnicki, Zajączek, w których, poza tęgością żołnierską, u jednych mniej, u drugich więcej, zawsze przecie zbyt jasno pospolite przebijało karyerowiczostwo. Odbarwiało to w opinii krajowej na samym Dąbrowskim. Wszak on sam nieinaczej, nielepiej od tamtych, ani wraz z legiami jak Rymkiewicz nie zginął, ani też wraz ze zgubą legii jek Kniaziewicz nie skwitował ze służby, lecz piastował i nadal popłatne, najemne w obcem wojsku stanowisko. Nie szczędzono mu też z tego tytułu ciężkich, krzywdzących oskarzeń. Ciężko skrzywdził go nawet szlachetny Godebski, w cudnym „Wierszu do legiów polskich" zgoła przemilczając ich twórcę. Co gorsza, temu twórcy i naczelnemu wodzowi legionowemu poeta legionowy z wyraźnym wyrzutem przeciwstawiał

i wynosił Rymkiewicza za śmierć jego bohaterską; z wyraźną goryczą przeciwstawiał mu i wysławiał Kniaziewicza za to, że „budząc odwagę hasłem, któremu sam wierzył, I sam niem zawiedziony, próżnej sławy syty, Przeniósł ziomków szacunek nad obce zaszczyty". Tak więc, palcem prawie wskazując Dąbrowskiego, odmawiał mu niejako prawa do narodowego szacunku. Po paru już leciech, gdy wybije godzina wielkiego narodowego czynu, Godebski w sposób godny siebie i Dąbrowskiego odwoła te obelżywe zarzuty. Ale obecnie górowały one w opinii krajowej, choć była w nich krzycząca niesprawiedliwość, było wyłączne poleganie na pozorach i wrażeniach chwili, było zapoznawanie ogólnej konjunktury europejskiej, istotnej roli Dąbrowskiego, historycznego przeznaczenia legionów i głębszego stosunku do nich Napoleona.

W rzeczy samej, choć właściwe legie polskie już wtedy istnieć przestały, jednak szczątkowe ich formacye wciąż pozostawały w styczności bezpośredniej z Pierwszym konsulem i cesarzem, tworząc bądźcobądź jedyny żywy łącznik pomiędzy nim a sprawą polską. Przywiązanie legionistów do jego osoby, na które stale kładł nacisk Murat, było faktem niewątpliwym. Stąd rodziły się pochodne objawy sympatyi dla jego zastępcy i szwagra Murata, jako możliwego z jego ręki przyszłego króla polskiego. On sam ze swej strony cenił sobie to przywiązanie, i zwłaszcza od klęski San Dominga dbał o to, aby ono nie zagasło. „Nie zapomnę nigdy—tak w maju 1803 r. pisał Grabińskiemu Pierwszy konsul—walecznych (I. półbrygady polskiej). Mogą oni być spokojni o swoją przyszłość. Choć służą Republice Włoskiej, uważam ich za służących Francuskiej". Nie chciał bynajmniej zaniku tych ostatnich formacyi polskich, które przeciwnie pragnął zachować jako cenny na przyszłość zarodek. Chętnie też zatwierdził wyrażoną tejże jesieni prośbę Grabińskiego o prawo wcielania do swej półbrygady dezer-

terów austryackich we Włoszech oraz znajdujących się na Elbie resztek 114. półbrygady, aby w ten przynajmniej sposób, wobec ustania rekrutacyi od zawarcia pokoju, utrzymać w mierze stan czynny korpusu. Zarazem baczne miał oko na wabiące wpływy tajne rosyjskie, które, w imię restytucyjnych przyrzeczeń Aleksandra i widoków Czartoryskiego, trafiały z Petersburga aż do polskich obozowisk legionowych we Włoszech. W istocie, kaptacyjne i dezercyjne namowy rosyjskie nie przestawały podówczas, 1804-5 r., szerzyć się śród rozłożonych w Apulii legionistów. Zajmował się tem poseł carski w Neapolu, Tatiszczew, żonaty z Polką, siostrą dzielnego legionisty, szefa szwadronu Jana Konopki. Agitacyę taką ułatwiała wspomniona obecność licznych majtków, a nawet wybitnych oficerów Polaków z dzielnicy rozbiorowej litewsko-ukrainnej, zarówno pośród załogi krążących pod Neapolem okrętów rosyjskich, jakoteż wyładowanych tam później wojsk carskich. Jednak ta rozkładowa robota rosyjska nie osiągała celu; a jeśli nawet poddawał się jej czasem jakiś typ zwyrodniały, jak były oficer legionowy, przez własnych przepędzony kolegów, Hieronim Pągowski, oszust, awanturnik, noszący się z projektem zamachu na Napoleona za pieniądze rosyjskie, to był to wyjątek zgoła odosobniony.

Bardziej niepokojąco przedstawiały się pewne stosunki, istniejące, jak wzmiankowano, pomiędzy niektóremi żywiołami legionowemi, zwłaszcza oficerami na reformie, a opozycyą wojskową francuską, ciążącą ku Moreau i bliskiej mu frondzie generalskiej. Szczególnie draźliwe było położenie odesłanych z San Dominga rozbitków polskich, w których Napoleon domyślał się gorzkiego ku sobie żalu, i których później jeszcze, po wielu leciech, starannie unikał, „jakby smutnem (na ich widok) wspomnieniem rażony". To też zaraz po wykryciu spisku Cadoudala, wiosną 1804 r., wszyscy znajdujący się w Paryżu oficerowie Polacy otrzymali rozkaz opusz-

czenia stolicy w ciągu dwudziestu czterech godzin i udania się na stały pobyt do Châlons sur Marne. Tutaj zgromadziła się tym sposobem znaczna liczba znajdujących się we Francyi niedobitków 113. i 114. półbrygady oraz reformowanych oficerów polskich, biedujących odtąd na półżołdzie w małej prowincyonalnej mieścinie francuskiej, w rozpaczliwej bezczynności i upadku ducha. Jedyny dla siebie ratunek widzieli oni w nowej wielkiej wojnie napoleońskiej. Jeden z nich, nienajlepszy zresztą, Paszkowski Franciszek, niegodny pupil poczciwego Kościuszki, lichy charakter, lecz nie bez zdolności oficer, w pisanej tutaj, w maju 1804 r., rozprawie „O wojnie", trafnie wyrażał uczucia kolegów, gdy „wzywał wojnę, bóstwo wielkie i dobroczynne". Gdyż tylko wielka wojna mogła tych nieboraków ze smutnej châlońskiej wyzwolić próżnicy, i wymarzonym pierwotnie szlakiem legionowym do utraconej wyprowadzić ojczyzny. Zaś takiej wojnie jeden tylko mógł przewodzić niezwyciężony cezar Napoleon. Podczas plebiscytu nad majową uchwałą senacką paryską 1804 r. o ustanowieniu cesarstwa, Polacy, konsystujący w Châlons, wraz z oficerami francuskimi załogi miejscowej, sprowadzeni zostali do komendanta miasta, generała Gotrou, celem oddania głosów swoich. „Oficerowie francuscy—opowiada jeden z polskich legionowych tej sceny uczestników, niedobitek z San Dominga,—nie chcieli podpisać, tylko żebyśmy pierwej podpisali... My Polacy, mówiąc do siebie: „Bierz ich dyabli, podpiszmy, będzie prędzej wojna"—i tak jak podpisaliśmy, tak i oni podpisali". Piechota i jazda polska, będąca we Włoszech na służbie tamecznej, powołana przed paru laty do plebiscytu konsularnego, tym razem nie uczestniczyła już w plebiscycie cesarskim francuskim. Pamiętał o niej jednak Napoleon i nie omieszkiwał dowodami życzliwej swej pamięci podtrzymywać znanego sobie przywiązania tych wojsk do swej osoby. Tak więc, w połowie lipca 1804 r., przy pierwszem cesarskiem rozdawnictwie odznak fran-

cuskiej Légii honorowej, nie zapomniał o twórcy legionów polskich i wyróżnił Dąbrowskiego wysoką dekoracyą orła złotego Legii.

Już wtedy od paru miesięcy, z powodu rozstrzelania Enghiena, zerwane były stosunki z Petersburgiem, otwierała się wielka rozprawa rosyjsko-francuska, wielkie spółzawodnictwo między Napoleonem a Aleksandrem. Napoleon, pomstując na „głupią arogancyę rosyjską" i przewidując nieuniknione starcie wojenne z carem, poczynał na taki wypadek żywiej interesować się Polską. Pod koniec lipca 1804 r., osobiście przepisywał szefowi wydziału ministeryum spraw zagranicznych, Hauterivowi, w półurzędowej broszurze „O zmianach zaszłych w Europie od ćwierci wieku", uwydatnić przedewszystkiem, „wiele Rosya zyskała na podziale Polski". We wrześniu, odprawiając uroczysty objazd lewego brzegu Renu, kazał sobie z Medyolanu, z misyą dziękczynną od władz włoskich, przysłać do Moguncyi Dąbrowskiego, przyjął go na audyencyi poufnej i pożegnał znaczącemi słowy: „zobaczymy się jeszcze". W październiku, podczas zarządzonego uwięzienia bawiących w Paryżu Polaków poddanych rosyjskich, a między innymi Moszyńskiego, istotnego agenta rosyjskiego, zalecił Napoleon ministrowi policyi, Fouchému, wyłączyć od represyi Sapiehę i innych godnych zaufania Polaków. Podczas koronacyi cesarskiej w Notre Dame, w grudniu 1804 r., śród dostojników wojskowych francuskich i włoskich, był również obecny Dąbrowski. Na życzenie cesarza pozostał on w Paryżu przez kilka następnych miesięcy. Należał też Dąbrowski do deputacyi, przybyłej potem z Medyolanu do stolicy Francyi w sprawie objęcia tronu włoskiego przez Napoleona. Na odpowiednim akcie, złożonym cesarzowi, w marcu 1805 r., przez tę deputacyę, imieniem Republiki włoskiej, i ofiarującym mu żelazną koronę królewską lombardzką, śród 24 podpisów, z wiceprezydentem Melzim na czele, położył także

swój podpis Dąbrowski, jako „generał polski w służbie włoskiej *(generale polacco al servizio italiano)*". Kiedy następnie Napoleon zjechał do Lombardyi, celem odbycia koronacyi królewskiej w Medyolanie, konsystujące we Włoszech wojska legionowe polskie, jako przynależne do nowego królestwa włoskiego, pośpieszyły zapewnić go o swej wierności i zupełnem oddaniu. Pułk jazdy polskiej, z Neapolu, w sam dzień święta narodowego 3 maja 1805 r., wystosował do cesarza i króla gorący, w języku francuskim, adres hołdowniczy. „Z niewysłowioną radością — głosił ten adres—dowiedzieliśmy o objęciu przez W. C. Mość korony włoskiej. Zardzewiała korona żelazna na uświęconej głowie W. C. Mości wnet najświetniejszym zajaśnieje blaskiem... Wszyscy oficerowie oraz piśmienni podoficerowie i żołnierze polscy, kładąc tu swe podpisy, ...gotowi są przelać ostatnią kroplę krwi dla obrony osoby W. C. Mości, dla chwały sławnego imienia Twego i obrony praw Twoich, za każdym Twoim rozkazem". Podpisali ten adres Rożniecki pułkownik, szefowie szwadronu Zejdlic, Konopka, Klicki, kapitanowie Lenkiewicz, Dulfus, Kostanecki, Berko, porucznicy, Tański, Fijałkowski, podporucznicy Dobiecki, Stokowski, i wielu innych walecznych. A było jeszcze wtedy w tym pułku, obok świetnej młodzieży ochotniczej i wypróbowanych powstańców kościuszkowskich, dość ludzi dawniejszego nawet autoramentu, jak sędziwy kapitan Jacewski, co jeszcze pod Pułaskim w barskiej bił się konfederacyi, albo prosty kawalerzysta, siwy a rześki staruszek Rosnowski, z dawnego wojska Rzpltej, noszący pierwszy numer matrykuły pułkowej. Jednakowoż w powyższym adresie uderzał charakter czysto żołnierskiej, wiernopoddańczej odezwy, wyłącznie poświęconej osobie wodza i pana, obcego monarchy, Napoleona. Uderzał brak wszelkiej zgoła wzmianki o Polsce. Niezawodnie w tej redakcyi przebijał dworacki, pretoryański, wyzuty głębszego czucia narodo-

wego, duch jej autora, Rożnieckiego. Ale przykrą było rzeczą, że tylu dzielnych sygnataryuszów tej odezwy pogodziło się z zupełnem w niej przemilczeniem głównej sprężyny wysileń legionowych, własnej sprawy narodowej polskiej. Z podobnym adresem, w języku włoskim, osobno zwrócił się do Napoleona pułk piechoty polskiej. Tutaj podpisali się pułkownik Grabiński, szef batalionu Świderski, kapitanowie Amira, Bieliński, Estko, Kąsinowski, Notkiewicz, Ruttié, Stuart, porucznicy Ball, Bukowski, John, Zawistowski i wielu innych. Cesarz widocznie tym odezwom większą przypisywał wagę, skoro kazał ogłosić je w całości na szpaltach urzędowego Monitora paryskiego. Podczas koronacyi królewskiej Napoleona w katedrze medyolańskiej, w końcu maja, śród dygnitarzy królestwa włoskiego asystował znowuż Dąbrowski. Znajdował się on również, wraz z generałem brygady Dembowskim, śród oficerów odznaczonych orderem komandorskim korony żelaznej włoskiej, przy ówczesnem pierwszem rozdawnictwie tej dekoracyi. Wówczas też, po akcie koronacyjnym, odprawił Napoleon przegląd wojsk polsko-włoskich, ostatni po ośmiu leciech swój przegląd szczątków legionowych polskich na ziemi włoskiej, w początku czerwca 1805 r., na polu Montechiaro pod Medyolanem.

Już wtedy do najwyższego dochodziło napięcia, już do wojennego dojrzewało wybuchu trzecie przesilenie koalicyjne. Wskazano, jaką rolę pierwszorzędną, aczkolwiek tylko potencyalnie, pod postacią niewykonanych w końcu, lecz bądźcobądź niezmiernie doniosłych zamierzeń Aleksandra i Czartoryskiego, odgrywała w tem przesileniu sprawa polska. Otóż nie mylił się bynajmniej Czartoryski, kiedy w ówczesnych petersburskich i puławskich swych memoryałach wyrażał przekonanie, że, na wypadek nowej anglo-austro-rosyjskiej koalicyi, ta sprawa nie może pozostać obojętną Napoleonowi pomimo pozornej jego dotychczas w tym względzie bierności, lecz przeciwnie,

musi sama przez się narzucić się jego myśli, jako naturalna potężna broń przeciwkoalicyjna. W rzeczy samej, imię Polski coraz dobitniej poczęło przypominać się w Paryżu. Po tamtej scenie w Tuileryach z jesieni 1803 r., to imię zapomniane, przemilczane, znów ozwało się teraz, wiosną 1805 r., w Senacie francuskim. Przyjąwszy ofiarowaną sobie przez deputacyę medyolańską, przy udziale Dąbrowskiego, koronę włoską, Napoleon w przemówieniu, wygłoszonem z tego powodu w Paryżu, przed Senatem, w marcu 1805 r., połączenie w swej osobie obojga koron uzasadniał skutkami podziału Polski. „Podział Polski—rzekł, dotykając po raz pierwszy tej sprawy w przemówieniu ściśle urzędowem—...na naszą niekorzyść złamał równowagę powszechną". Wygrażając koaliantom sprawą polską, Napoleon mógł poruszyć ją bądź sam bezpośrednio na własną rękę, bądź też za pośrednictwem Prus. Ta ostatnia mianowicie myśl rzucenia Prus na Rosyę i Austryę za cenę odbudowy Polski na rzecz dynastyczną pruską, myśl związana jeszcze z polsko-pruskiem przymierzem sejmowem, wznowiona potem w pierwotnych projektach Dąbrowskiego, Wybickiego i emigracyi polskiej w Paryżu, pokutująca we francuskiem ministeryum spraw zagranicznych przez cały okres Dyrektoryatu, zaczęła znowuż wyłaniać się obecnie, w dobie trzeciej wojny koalicyjnej. Była ona brana na uwagę w sztabie pruskim w związku ze wspomnianemi planami offensywnemi przeciw Austryi, z jakiemi tam noszono się już w 1804 r. Była też podsuwaną Napoleonowi przed samym wybuchem wojennym 1805 r. Podsuwał ją cesarzowi jeden z najzdolniejszych jego tajnych doradców politycznych, hr. Montgaillard, nędzny skądinąd awanturnik, lecz obdarzony rzadką intuicyę męża stanu i miewający też nieraz ucho cesarskie w ważnych zagadnieniach międzynarodowych. Już w memoryale z końca lipca 1805 r., przypominając związki dawnej Francyi królewskiej z „republikańskiem Królestwem pol-

s kiem", ośrodkiem „równowagi północnej", zalecał Montgaillard „skłonić Prusy do zaatakowania Rosyi w Polsce". W memoryale nnstępnym, z końca sierpnia, doręczonym Napoleonowi w Saint-Cloud przez Duroca, już w czasie przygotowań do wyjazdu cesarza na kampanię, kładł Montgaillard główny nacisk na groźbę rosyjską. Wskazywał, że Rosya od pierwszego rozbioru Polski zyskała 7 milionów ludności, że może utrzymywać armię półmilionową, że ogromem swym „ciśnie na Europę, a gotowa rzucić się na Grecyę i Włochy". Co najciekawsza, utrafiał on tutaj w samo sedno tajnych planów Czartoryskiego. „Jest rzeczą niewątpliwą, — pisał — że Prusy prędzej czy później będą zaatakowane przez Rosyę w Polsce... Powinny zatem Prusy pośpieszyć się z uprzedzeniem Rosyi w Polsce". W następnym memoryale, już w dobie kapitulacyi ulmskiej, w końcu października, wprost żądał Montgaillard „zmuszenia gabinetu berlińskiego do przeciwstawienia się Rosyi... i do powiększenia się w Polsce kosztem Rosyi i Austryi". Tak czy owak radził pod postacią odbudowanej Polski „przywrócić Europie przedmurze *(boulevard)*, które chroniło ją od moskiewskiego najazdu".

Jednocześnie Napoleon, poza stroną polityczną, dla względów czysto wojskowych myśl swoją poczynał zwracać ku Polakom. Jeszcze on sam był w Paryżu i dopiero swe wojska z nad Oceanu ściągał, a już orlim wzrokiem przebijając przyszłość, widział siebie w Wiedniu, za Wiedniem, może w Polsce. Wprawdzie, z właściwą sobie ostrożnością, zwłaszcza w sprawie polskiej, której niezmierną drażliwość i doniosłość coraz jaśniej wyczuwał, jak ongi hamował legie Dąbrowskiego i Kniaziewicza, tak i tym razem postanowił jaknajdłużej zachować w odwodzie szczątkowe pułki legionowe Grabińskiego i Rożnieckiego. Natomiast na wszelki wypadek w awansującej ku Wschodowi Wielkiej Armii chciał zapewnić sobie obecność pewnej liczby oficerów polskich.

Nie powoływał jeszcze Dąbrowskiego. Ten bowiem, ze swem zbyt głośnem w narodzie i Europie imieniem a zbyt samorzutną inicyatywą własną, w chwili obecnej, niewyjaśnionej jeszcze wojskowo ani politycznie, mógł okazać się niewygodnym, przedwcześnie alarmującym. Dopiero po roku, po Jenie, będzie on wezwany do boku cesarza, do wielkiej pracy narodowej, do Polski. Teraz wszakże pozostać musiał w Lombardyi, w Medyolanie, przy boku wicekróla Eugeniusza. Postawiony został mianowicie, na czas kampanii niniejszej, wraz z generałem Fontanellim, na czele rozłożonego opodal lombardzkiej stolicy, pod koronacyjną Monzą, korpusu rezerwowego, z dwóch pułków włoskich i gwardyi cesarsko-królewskiej. Nie brał też żadnego udziału nawet w rozgrywających się tuż obok, w Weneckiem, świetnych czynach oddziałów polskich Grabińskiego i Rożnieckiego pod Saint-Cyrem. Niemało gryźć się zapewne musiał Dąbrowski, zostawiony całkiem na stronie, bezczynny śród obcych, odcięty od tak bliskich walk i sukcesów broni legionowej. Tymczasem, zamiast niego, Napoleon powołał Zajączka. Ten znów, po powrocie z Egiptu, przeznaczony w stopniu generała dywizyi do służby czynnej we Włoszech, pod Muratem, Jourdanem, Masseną, na czele dywizyi francuskiej nic wspólnego niemając z żołnierzem polskim, ostentacyjnie od własnych odżegnywał się rodaków i oświadczał ze ślepem posłuszeństwem dla osobistego dobroczyńcy i pana swego, Pierwszego konsula i cesarza. Owóż Napoleon obecnie, w połowie września 1805 r., przypomniał sobie o tym zdatnym i oddanym sobie służbiście polskim i kazał pośpiesznie ściągnąć Zajączka z Włoch do Strasburga. Równocześnie polecił Berthierowi sprowadzić do Wielkiej Armii „dobrych oficerów polskich, szefów batalionu lub kapitanów, do rozpoznania terenu oraz badania jeńców ich narodowości". „Pragnąłbym,—dodawał—aby przy sztabie każdego korpusu znajdował się oficer polski". W wykonaniu i roz-

winięciu tego rozkazu, niezwłocznie wezwano do sztabu głównego Berthiera, sztabów korpusowych, nawet dywizyjnych, oraz na adjutantów przybocznych przy marszałkach i komenderujących generałach francuskich, około pół setki urlopowanych i reformowanych oficerów polskich, przeważnie internowanych w Châlons sur Marne. Było śród nich sporo ludzi wyższej miary, jak Małachowski, Kobyliński, Junge, Dembowski, Jerzmanowski i inni. Uczestniczyli oni w całej prawie niniejszej kampanii przeciw Austro-Rosyanom. Niektórzy z nich bili się i odznaczyli pod Austerlitzem. Jednocześnie przepisywał Napoleon wicekrólowi włoskiemu, ks. Eugeniuszowi, urządzenie w Novarze „zakładu do rekrutacyi Polaków", celem wzmocnienia ich „legii", jak wcale znamienie, starym zwyczajem, wyrażał się z tego powodu o dwóch polskich pułkach tamecznych. Co się zresztą tych pułków tycze, to jeszcze w listopadzie 1805 r. zalecał Massenie pozostawić ich do dyspozycyi wicekróla we Włoszech i nie kwapić się z przedwczesnem wysunięciem ich do Tyrolu. Nie przeszkodziło to tym oddziałom polskim, w tym samym czasie, przed dojściem powyższego zalecenia, zasłużyć się świetnym popisem bojowym pod Castelfranco. A nawet, jak wskazano, mogły one następnie, wraz z posuwającem się szybko naprzód wojskiem francuskiem, wkroczyć chwilowo w głąb ziem austryackich; lecz ostatecznie zostały stamtąd znowuż w dół Włoch z powrotem odwołane. Tak więc i tym razem, jak przed ośmioleciem za własnej kampanii włoskiej, wciąż jeszcze, z wyjątkiem kilkudziesięciu oficerów, trzymał Napoleon w tyle legionistów polskich, wciąż stosując dawną swą taktykę wyczekującą względem samej sprawy polskiej.

Że jednak, pomimo całej wstrzemięźliwości Napoleona, ta sprawa już podówczas siłą rzeczy sprzęgała się najściślej z jego osobą i przeznaczeniem, o tem z trwogą poczynali przeświadczać się najbardziej zainteresowa-

ni trzej rozbiorcy Polski. Lucchesini w paryskich swych depeszach 1805 r. nie przestawał przestrzegać rządu berlińskiego o dalekosiężnych w tej mierze tajnych zamysłach Napoleona, o „jego ulubionym planie polskim", planie obosiecznym, skierowanym chwilowo głównie przeciw Rosyi, nawet przy pomocy Prus, lecz ostatecznie godzącym również i w Prusy. Albowiem, w gruncie rzeczy, zdaniem Lucchesiniego, Napoleon zmierzał do odbudowy Polski nie pod Prusakiem, lecz na własny benefis, pod szwagrem swoim Muratem. Przemyśliwał zaś przytem o odebraniu dwóch ostatnich dzielnic rozbiorowych 1793 i 1795 r. nietylko Rosyi, lecz także i Prusom, wzamian za odszkodowanie w Hanowerze i na Pomorzu szwedzkiem. W takich widokach gotów byłby nie cofnąć się przed wywołaniem powszechnego powstania we wszystkich trzech dzielnicach Polski. Dlatego też już z góry sprowadzał do Wielkiej Armii tylu oficerów polskich, a lada chwila samego sprowadzi Kościuszkę. Alarmujące te doniesienia Lucchesiniego z Paryża przenikały następnie przez Berlin, za pośrednictwem Alopeusa i Dołgorukiego, do kwatery głównej Aleksandra, budząc tam zrozumiały niepokój. Zresztą odpowiadały one poniekąd spółczesnym, tylko trzeźwiejszym ostrzeżeniom Czartoryskiego przed możliwością czynnego spożytkowania sprawy polskiej przez Napoleona. Taką możliwością nienajmniej również przeraził się narażony w pierwszym rzędzie, przegrywający wojnę z kretesem, rząd wiedeński. Przeraził się cesarz Franciszek, który tym razem nie śmiał już, jak w 1797 r., myśleć o schronieniu się przed Francuzami z Wiednia do Krakowa. Austryacki minister policyi, baron Summeraw, na gwałt zażądał teraz wiadomości z Galicyi o tamecznych knowaniach polsko-francuskich. Gubernator galicyjski, Uermenyi, komisarz policyjny lwowski Rohrer, krakowski dyrektor policyi Persa, i inni tego gutunku działacze zrazu odpowiednie swe relacye układnym zaprawiali optymi-

zmem. Nie szczędzili pochwał przykładnej czarnożółtej prawomyślności różnych miejscowych dostojników polskich, a zwłaszcza ludności rusińskiej i arcylojalnego jej przewodnika, przemyskiego biskupa unickiego Angełłowicza, autora ognistych, c. k. patryotycznych listów pasterskich przeciw bezbożnym Francuzom. Ale niebawem, w miarę pogromu wojsk austryackich, nawet ci urzędowi optymiści zaczęli hiobowe nadsyłać wieści o groźnem wrzeniu spiskowem, przy udziale byłych legionistów, w Krakowie i Lwowie, o zjazdach konspiracyjnych za kordonem rosyjskim, z natchnienia generała Kniaziewicza, w Żytomierzu i Berdyczowie, o rozległej akcyi związkowej za kordonem pruskim, ześrodkowanej w Warszawie. Cały ten ruch opierać się miał na zwycięskich postępach Francuzów, na podmowach i przyrzeczeniach tajnych emisaryuszów francuskich, na oczekiwanej nagłej wyprawie Zajączka z korpusem francuskim do Galicyi, itp. „Polacy sądzą, — donosił Rohrer ze Lwowa, po dojściu tam wiadomości o Austerlitzu,—że teraz wybiła godzina, kiedy Bonaparte będzie mógł ze swego wywiązać się słowa, danego przezeń generałowi Dąbrowskiemu. Kiedy bowiem, podczas jego koronacyi cesarsko-królewskiej, Dąbrowski ze łzami w oczach żalił się przed nim, czyli Polskę uważać należy za straconą, Bonaparte miał zapewnić go, że sam we właściwej porze odbuduje państwo polskie". Podobnież najbliższy spraw polskich członek domu habsburskiego, królewicz polski, stary ks. Albert Sasko-Cieszyński, pośpieszył wtedy, po Austerlitzu, z naciskiem przestrzedz arcyksięcia Karola, iż „duch rewolucyi tli się w Polsce". Niezawodnie też ta okoliczność, groźba zrewolucyonizowania przez Napoleona Polski wogóle, a Galicyi w szczególności, przyczyniła się niepomału do ustępliwości rządu austryackiego podczas rokowań pokojowych, a tem samem do przyśpieszenia pacyfikacyi preszburskiej.

W tem wszystkiem oczywiście było dużo przesady.

Strach trójrozbiorczy przed widmem rewolucyi polskiej, rozpętanej dłonią Napoleona, wielkie miał oczy. Był to strach przedwczesny jeszcze o rok cały, o jedną jeszcze koalicyę. Wprawdzie niejakie w tym duchu zapowiedzi już teraz, za trzeciej koalicyi, dawały się istotnie wyczuwać. Ale były to rzeczy bez głębszego narazie znaczenia. Byli istotnie już teraz w Polsce tajni cywilni i wojskowi wysłańcy napoleońscy, lecz dla celów wywiadowczych, nie podburzających. Były też pewne tajne schadzki, pewne próby organizacyjne polskie w Galicyi, na Litwie i Wołyniu, w Warszawie, podejmowane odruchowo przez dusze gorętsze, pod wrażeniem zwycięstw napoleońskich, lecz bez żadnych określonych widoków praktycznych. Zaczęli też gdzieniegdzie ruszać się postaremu zawodowi spiskowcy pośledniego lub, co gorzej, dwuznacznego gatunku. Warszawscy dygnitarze zgasłego Towarzystwa Republikantów, podobno nie bez udziału Orchowskiego, do jakichciś nowych obudzili się czynów. Powstał w Warszawie jakiś, bardzo zresztą podejrzany, tajny „związek patryotyczny“, z niedorzeczną ustawą, z ponurą czarnobiałą pieczęcią żałobną, z centralnym „wydziałem warszawskim“, złożonym z ciemnych jakichś figur czy pseudonimów. W założeniu tego związku łączono imię Kościuszki i myśl nowego powstania z hasłem napoleońskiem. Rozpowszechniano nawet rzekomą odezwę Napoleona do Polski, datowaną jakoby z Monachium, w początku października 1805 r. Wzywał tu Napoleon „obywateli Sarmatów“ do powstania i łączenia się z wojskiem francuskiem, pozwalał im „obrać sobie, kogo zechcą, na rządcę“, przyrzekał przepędzić dwugłowego orła rosyjskiego „za Wołgę“ a czarnego pruskiego zamknąć w „margrabstwie brandeburskiem“. Był to pachnący prowokacyą, nędzny falsyfikat nieodpowiedzialnych, w guście Pągowskiego, sprawców. To wszystko, rzecz prosta, było bez znaczenia. Nieco poważniejsze, zresztą niedość uchwytne, bo najściślej tajone symptomaty dążeń polsko-napo-

leońskich wystąpiły pod sam koniec kampanii niniejszej tuż przed bitwą austerlicką oraz w ciągu kilkotygodniowych po niej rokowań pokojowych. Świetny a dotkliwy popis lancy polskiej, w służbie rosyjskiej, pod Austerlitzem, nie mógł nie dać do myślenia Napoleonowi. Niemniej uderzającą była tym razem, jak przedtem za kampanii włoskich, znaczna liczba wybornego żołnierza polskiego w wojsku austryackiem i wielkie masy wziętego polskiego jeńca. Zaś wobec grożącej zarazem interwencyi Prus, podobnież już z góry wypadało brać w rachubę wyższy jeszcze odsetek rekruta polskiego w armii pruskiej. Wtedy też, naprzekór obosiecznej misyi wiedeńskiej Haugwitza i antypolskim ostrzeżeniom paryskim Lucchesiniego, ongi twórcy i zdrajcy polsko-pruskiego przymierza, w pewnych kołach sztabowych berlińskich pomyślano właśnie o nawrocie na tory tamtej koncepcyi prusko-polskiej przy pomocy Napoleona. Pułkownik sztabu Massenbach w gwałtownym memoryale, złożonym przyszłemu wodzowi naczelnemu armii pruskiej, ks. Brunświckiemu, w grudniu 1805 r., żądał od Fryderyka-Wilhelma niezwłocznego sojuszu z Napoleonem i wspólnego natarcia na Rosyę, za cenę przyznania Prusom tronu odbudowanej Polski. Jednocześnie w najbliższem otoczeniu Napoleona starano się wpłynąć na cesarza w duchu odbudowy Polski na rzecz królewskiej kandydatury polskiej Murata. Zarazem i wprost ze strony polskiej były podejmowane pewne starania w kwaterze głównej cesarskiej, podobno za pośrednictwem Tadeusza Mostowskiego, który miał otrzymać wtedy „misyę tajną wysondowania cesarza (Napoleona) co do jego projektów względem Polski". Aliści w tym samym czasie przeciw wszelkim dalszym wysiłkom wojennym i politycznym na rzecz Polski stanowczo oświadczyli się tak wybitni doradcy cesarza, jak Ney, śmiertelnie w tej kampanii skłócony z Muratem, oraz Talleyrand, zyskany dla śpiesznej z Austryą pacyfikacyi. Życzeniem armii francuskiej i samego Napoleona po Au-

sterlitzu było, jak się rzekło, corychlejsze zamknięcie operacyi wojennych i tryumfalny do Paryża powrót. O wdawaniu się w nieobliczalną awanturę polską nie mogło wtedy naseryo być mowy. Nie było do tego żadnych szans, ani podstaw realnych. Niepodobna było polegać na dwulicowych Prusach, ani na bezsilnej budować Polsce. Tak skończyło się, skończyć się musiało na pokoju preszburskim.

Pokój ten zamykał pierwszą erę stosunku Napoleona do Polski, legionową. Legiony dogasały. Dwa szczątkowe ich pułki, jak wskazano, cofnięte z Lublany, zagrzebane zostały w najdalszym zakątku apenińskiego półwyspu. Właściwie należały one wciąż do królestwa włoskiego, które, świeżem przez pokój preszburski wcieleniem Wenecyi zwiększone do 6 milionów mieszkańców, pod władzą królewską Napoleona a wicekrólewskim zarządem zdatnego ks. Eugeniusza, wstępowało w okres spokojnego rozwoju. Ale nie dano tu popasać i zaznać spoczynku Polakom. Przeznaczono ich do wyprawy karnej, podjętej natychmiast po zawarciu pokoju, w początku 1806 r., pod wodzą rzekomą brata cesarskiego Józefa a faktyczną Masseny, przeciw wiarołomnemu królestwu neapolitańskiemu. Po ucieczce króla Ferdynanda i królowej Karoliny do Palermu i zajęciu Neapolu, w połowie lutego, przez Francuzów, dekretem cesarskim z końca marca Józef Bonaparte mianowany został królem Neapolu i Obojga Sycylii. Ale nowy ten tron wypadło siłą 50 tysięcy podpierać bagnetów, a między niemi także i polskich. Dostały się tym sposobem obadwa pułki polskie na służbę króla Józefa, dobrotliwego w gruncie, lecz ograniczonego, zarozumiałego i trwożliwego człeka. Dorabiali się na tej służbie sprytni dowódcy, układny Grabiński a zwłaszcza dworak Rożniecki, posunięty niebawem na generała brygady i koniuszego króla Józefa. Ale na kusem utrzymaniu neapolitańskiem i twardych przeprawach tutejszych mocno biedowały oddziały pol-

skie. Ściągał je stąd chwilowo Napoleon do Państwa Kościelnego, pod dowództwem generała Duhesma, celem pilnowania pobrzeży pod Ostyą, w Anconie i Cività-Vecchii, od najazdów floty brytańskiej oraz wzniecanych przez Anglików zaburzeń ludności miejscowej. Ale zaraz potem odesłał Polaków z powrotem do Neapolu, wyraźnie uprzedzając brata Józefa, że pragnie trzymać ich jaknajdalej granicy austryackiej i unikać użycia ich w razie nowego z Austryą zatargu. Myślał nawet, w czerwcu 1806 r., posłać ich dalej jeszcze, na planowaną wtedy wyprawę do Sycylii. Tymczasem używani byli Polacy w samem królestwie neapolitańskiem, pod komendą Masseny i Reyniera, do ustawicznych, zażartych walk z ogarniającem kraj cały powstaniem przeciw narzuconym rządom króla Józefa. Było to coś wielce podobnego do dawniejszych, pod komendą Championneta i Macdonalda, neapolitańskich przepraw pierwszej legii Dąbrowskiego i Kniaziewicza. Sam Dąbrowski również ponownie posłany tu został z Medyolanu, imieniem Napoleona cesarza Francuzów i króla włoskiego, latem 1806 r., jako „komendant Trojga Abruzzów w królestwie neapolitańskiem". Znowuż więc, jak przed sześcioleciem, znalazł się on tutaj przy byłych swych legionistach. Ale też w niemniej ciężkich, jeśli nie cięższych jeszcze jak wówczas, znalazł się tarapatach. Warowną Gaetę, niegdyś w lot wziętą przez legionistów Kniaziewicza, teraz po długich wysiłkach ledwo zdobył Massena. Pod Santa Eufemia od połączonych sił anglo-neapolitańskich krwawej porażki doznał Reynier. Dotkliwie dawała sie we znaki niezmordowana działalność krążących tuż nad brzegiem Anglików, pod starym ongi z Syryi przeciwnikiem Bonapartego, komodorem Sydney Smithem. Wysadzali oni na ląd coraz nowe oddziały, zasilali bronią, amunicyą, pieniędzmi chłopstwo powstańcze. Tym dzikim i fanatycznym powstańcom-brygantom, prowadzonym przez niedościgłego partyzanta Fra Diavola,

nieustannie opędzać się musiał żołnierz polski po górskich stokach Abruzzów, pobrzeżnych skrętach Apulii, niedostępnych urwiskach osławionej już za Rzymian „srogiej Kalabryi *(Calabria ferox)*". Sprawiali się przytem Polacy ze zwykłem męstwem, wytrwałością, dyscypliną. Zasługiwali też sobie na szczególne pochwały przełożonych generałów francuskich i samego króla Józefa. Ale w tej ciągłej, okrutnej partyzantce codzień pełno polskich padało ofiar, wielu ginęło od bryganckiej kuli i noża, wielu z wyczerpania i chorób po lichych marniało szpitalach, wielu dostawało się do niewoli i szło na długoletnią mękę na pontonach angielskich. Tak, na południowym krańcu Europy, najodleglejszym, najzapadlejszym wylocie włoskiego półwyspu, wykruszało się do reszty, zamierało fizycznie i duchowo, przed oczyma znękanego, starzejącego się, dźwigającego już pięćdziesiątkę Dąbrowskiego, umiłowane dzieło jego życia, stworzone przezeń z takim mozołem i nadzieją, wielkie wojskowo-polityczne przedsięwzięcie narodowe. Tak, po dziewięcioletniem trwaniu, dopełniał się koniec polskich legionów.

W tym dziewięcioletnim okresie, 1797—1806 r., przeszło przez legiony ogółem 805 oficerów i około 20 tysięcy podoficerów i szeregowców. Żołnierz legionowy głównie pochodził z Galicyi; potem, od drugiej i trzeciej koalicyi, doszło nieco z Litwy i Podola rosyjskiego. Był to z reguły lud wieśniaczy; ale było tu też sporo miejskiej biedoty, zagarniętej przez rekrutacyę austryacką. Oficerowie natomiast byli rodem przeważnie z dzielnicy rozbiorowej pruskiej i rosyjskiej. Była to z reguły młódź drobnoszlachecka; sporo przecie znalazło się tu synów średniej, tłustej szlachty. Prócz półpańskiego nazwiska Wielhorskiego, oraz idącego samopas, z nieprawego zresztą łoża, Sułkowskiego, śród całej tej patryotycznej emigracyi orężnej ani jednego nie było magnata. Mała szlachta, na czele orężnego ludu, dźwignęła

wielki czyn legionowy. Zbawiła przytem ów lud, nawet wiodąc go na śmierć. Żołnierz legionowy, jeniec lub zbieg austro-rosyjski, to było mięso armatnie dla rozbiorców Polski, uratowane dla sprawy narodowej. Tak samo poczęści rzecz się miała z legionowym korpusem oficerskim. Zresztą, na ośmiuset oficerów i dwadzieścia tysięcy żołnierzy legionowych, większa część wróciła do kraju, gotując grunt do powstania poznańskiego 1806 i galicyjskiego 1809 r. Prawdziwy nakład fizyczny legionów był więc stosunkowo umiarkowany. Dziesięćkroć więcej Polaków zginęło w tym samym czasie w armiach rozbiorców Polski, aniżeli w legiach polskich. Biadanie nad hekatombą legionową na rzecz Francyi i Napoleona, to bądź nieświadomość, bądź ślepota partyjna, to w każdym razie mniej lub więcej mimowolne wysługiwanie się niedorzecznym i kłamliwym, upozorowanym krokodylową czułością, historyczno-politycznym natchnieniom wrogów Polski. Doniosłości dziejowej legionów nie wyczerpywały bynajmniej doraźne materyalne ich sukcesy, straty ani zawody. Niepożyta ich doniosłość spoczywała w dziedzinie duchowej. Legiony pracowały nietylko dla teraźniejszości, jak mniemali ich przywódcy, lecz dla dalekiej przyszłości. W najciemniejszej chwili dziejów porozbiorowych wykrzesały one iskrę nadziei, tchnęły otuchę w zmartwiały naród. Przez potop trójrozbiorowy przeniosły ocalone hasło niepodległości. Utrzymały nieprzerwaną ciągłość tego hasła i wcielającej je broni polskiej. Rzuciły pomost, ponad ziejące przepaście niewoli i zwątpienia, pomiędzy Insurekcyą Kościuszki a Księstwem Warszawskiem, Rewolucyą listopadową, Powstaniem styczniowem. I kiedyś jeszcze, gdy nareszcie wybije naprawdę godzina zmartwychwstania, najpierwszy w imię niepodległości zbrojny odruch polski pod starym legionowym odrodzi się znakiem. Tak nazawsze z granitowym blokiem niepodle-

głej samowiedzy narodowej spoją się Legiony Dąbrowskiego i Napoleona.

Ale to dopiero jaśniejsza, szczęśliwsza miała odkryć przyszłość. Tymczasem w mroku i smutku tonął koniec legionów. Sam Dąbrowski, jeszcze jesienią 1806 r., w korespondencyi ze swej kwatery kalabryjskiej w Chieti, gorzkie wywodząc żale, nie przeczuwał, że w dni niewiele tamże dojdzie go wezwanie Napoleona na kampanię jenajską, na powrót do kraju. Tem mniej w samym kraju przewidywano bliską chwilę tak fortunnego zwrotu. Przeciwnie, w ostatnich kilku leciech, od Lunewilu, półbrygad, San Dominga, zapanowało w Polsce powszechne niemal rozgoryczenie przeciw Francyi. Przykładały się do tego zgorzkniałe głosy wracającej do domu, znędzniałej, rozczarowanej emigracyi politycznej i legionowej. Przykładały się zniechęcające do Francyi wpływy kaptacyjne rozbiorców, szczególnie rosyjskie, lecz także austryackie i pruskie. Przedewszystkiem zaś oddziaływały nagie fakty: daremność ofiary legionowej, nicość pomocy francuskiej. „Niepodobna wyrazić,—tak Kosiński zaraz po powrocie donosił z Warszawy Dąbrowskiemu— jak bardzo Francuzi są tu znienawidzeni. Trudno jest znaleść się w towarzystwie, żeby nie spotkać ojca, matki lub krewnych której z nieszczęsnych ofiar (legionowych). Starczy wymówić słowo „Francuz", aby wywołać złorzeczenia". W spółczesnej prasie i piśmiennictwie warszawskiem wyraźnie ten rozżalony, przeciwfrancuski przebijał nastrój. Poddawali mu się nawet tacy zapaleni ongi i ofiarni przyjaciele i obrońcy Francyi, jak rycerz-poeta Godebski. Stawiając w swym poemacie pomnik grobowy legionom, oddając hołd niezasłużony ludzkości i cnotom Fryderyka-Wilhelma, gorzko natomiast wypominał on grzechy Francyi, popełnione względem legii polskich. Wypominał tu z boleścią, jak z francuskiego rozkazu Polak legionista, słany na poskromienie wolnych murzynów, „poniósł drugim pęta. Poniósł, ale słu-

sznego nie uszedł pogromu. Znalazł lub zgon za morzem, lub niewolę w domu... O narodzie niewdzięczny (francuski), takaż twa zapłata, Byś na rzeź słał przyjaciół do obcego świata?... Takąż nam do ojczyzny ukazałeś drogę?"

Aliści, koniec końcem, ponad całe to, w znacznej mierze uzasadnione i zrozumiałe uczucie goryczy i żalu, wygórowało mimowolne uczucie podziwu, uwielbienia, a wraz płynącej stąd nadziei, na widok wciąż rosnącej wielkości, potęgi, fortuny Francyi, uosobionej w geniuszu Napoleona. Ta postać bajeczna pana wojny i pokoju, generała Bonapartego, Pierwszego konsula, cesarza Napoleona, poczynała coraz bardziej opanowywać wyobraźnię polską. Rozchwytywane były we wszystkich trzech dzielnicach, o ile na to trójrozbiorcza pozwalała cenzura, najpierwsze, bez wyjątku apoteozujące, polskie o nim pisma. „Rycerz niezrównany", — tak głosiła wydana w Kalıszu „charakterystika Bounaparty"—co więcej, „prawodawca, nauczyciel, krótko mówiąc, ojciec ojczyzny", a przytem „dobry katolik... Ojca św. osobę szanuje". Dobry też „szlachcic Korsykan", syn i oswobodziciel sławnej ziemi włoskiej, z której „książęta litewscy ród swój prowadzą", srogi pogromca mocarzów tego świata, lecz „nie ubliżający powinnego Jego Świątobliwości szacunku", a zarazem dobroczynny opiekun „legionów z obcych północnych emigrantów,... z ludzi, po stracie swej ojczyzny innej szukających", tak mimo przeszkód cenzuralnych dawał upust swym zachwytom, w wydanym w Wilnie „życiu i czynach Bonaparty", gorący entuzyasta napoleoński, ks. Grzegorz Kniaziewicz, proboszcz kaplicy Panny Maryi w katedrze wileńskiej. Zaś jeśli nawet bogobojni starej daty ludzie dawali się porwać podobnemu entuzyazmowi, to tembardziej młodsze zapalało się pokolenie. To była żywiołowa suggestya wyobraźni i uczucia, zagłuszająca zimne rozumowanie. Już zakwitała w Polsce, sil-

niejsza a poniekąd prawdziwsza od prawdy, legenda napoleońska. Niezawodnie Francya zawiodła Polskę, skrzywdziła legionistów polskich. Ale ten francuski wódz i konsul Bonaparte, ten francuski imperator Napoleon miał tyle genialnego polotu, potęgi, szczęścia. Zaś, co najgłówniejsza, on tak mocno grzmocił, tak głęboko upokarzał, tak sprawiedliwie karał morderców Polski. On jeden Polaków podobnem uraczył zadośćuczynieniem za okrutne ich krzywdy. Tem samem, chcąc niechcąc, otwierał im widoki na szczęsne z jego ręki odrodzenie. Jeszcze nie obiecywał tego słowem, lecz już, chcąc niechcąc, czynem. Czemże były najsolenniejsze obietnice Aleksandra wobec milczącej wymowy Arcola, Marenga, Austerlitzu? Tylokrotny mściciel Polski jakże nie miałby w końcu zostać jej odnowicielem? To proste, niewyrozumowane poczucie szerzyło się w Polsce już za dwóch pierwszych koalicyi, gdy Bonaparte bijał na głowę najsłabszego z rozbiorców, Austryaka. Pogłębiło się ono nieskończenie teraz, za trzeciej koalicyi, skoro Napoleon stanął do rozprawy z najpotężniejszym rozbiorcą, głównym od stulecia katem Polski a postrachem Europy, skoro pod Austerlitzem mały kapral wziął za bary i powalił ogromnego Moskala. Ten widok niesłychany, te rozniesione na miazgę gwardye rosyjskie, ten cwałem umykający car, a opodal ten przegnany ze swej stolicy i korzący się cesarz rzymski, ten stulający uszy Prusak, wszystkie te nagłe cuda napoleońskiego geniuszu kazały o doznanych zapomnieć rozczarowaniach i straconą odżywiały ufność. Pierwotna wiara we Francyę i Bonapartego wskrzesała w żołnierskich zwłaszcza sercach polskich, w wiecznie ofiarnych i młodych, choć tyloma zrażonych, zwarzonych zawodami, duszach legionowych. „Znowu część świata w zbrojnej postawie — tak na schyłku 1805 r., ze skruchą, z niecierpliwem utęsknieniem, poetycki dobosz le-

gionów do swej dawnej francuskiej i napoleońskiej nawracał się wiary — ...Znów hufce zbrojne ciągną od Wołgi, Zlewki Połowców i Hippomolgi: Może i Brennów zawita plemię Na naszą ziemię!"

Już szedł, już szedł największy z Brennów, by miecz gallijski na szalę dziejowych Polski rzucić przeznaczeń. Już, dłużej niewstrzymanej ulegając konieczności, europejskie swe pełniąc posłannictwo, niosąc niedoskonały, niecały, nietrwały, lecz bądźcobądź wyzwoleńczy twór Księstwa Warszawskiego, szedł do Polski Napoleon.

PRZYPISY *).

(Str. 9 sq.) Tarcia z Cyzalpiną: por. t. II, 218 sq., 328. Przejazd Berthiera: Wielhorski do Dąbrowskiego, Med., 26 grud. 1797; Kniaziewicz do Wybickiego, Fanò, 26 stycz., por. Listy znak. Pol. (1831), 17. Dąbrowski do Wielhorskiego, Rimini, 4 lut. 1798: „Berthier pełen grzeczności i oświadczeń... Otwarcie mi się doklarował. Potwierdzał całą moją operacyę, szczegóły ekspedycyi pochwalał... Wstrzymał mnie od awansowania dalszego, wymawiając się szczerze, że Cyzalpiny, uznając papieża, wchodząc z nim w związki przyjazne, przyjmując z ostentacyą posła Jego, nie mogą czynić nic widocznie... Lubo nasz żołnierz 20 gieltaków (=Geldtag) niepłatny, odarty, boso, ale opasły, trzyma się w subordynacyi, kochany od Włochów i Francuzów. Na wszystkie sposoby się biorą mieszkańcy księstwa Urbino, żebyśmy wrócili do nich na konsystencyę. Od wnijścia swego i zabrania tego kraju żadnej skargi nie miałem. Oficerowie, ambicyą powodowani, całe siły poświęcają, żeby się zawsze w tej opinii utrzymać, na jaką sobie zasłużyliśmy w tej ekspedycyi... Mój gle,... będziemy szczęśliwi i w pomyślnej porze, na własnej przypominać sobie (ziemi), żeśmy wszystko czynili dla ojczyzny... Z Polakami tylko żyć pragnę i nigdy nie znać innego społeczeństwa, jak swoje...“.

(Str. 15 sq.) G. F. Rebmann do Dąbrowskiego, Paris, 13 oct. 1797: „Celui qui ose s'adresser à vous, mon gl., y a été encouragé par l'assurance que le gl. Sokolnicki et mr. Mostowski, vos compatriotes, lui ont donnée que vous avez accueilli et connu les efforts qu'il a faits dans un journal allemand „Le monstre

*) Z przygotowanych do druku przypisów, jak w t. II, tak zwłaszcza w tym III, z powodu trudności technicznych drobna tylko część mogła być ogłoszoną. Pozostały materyał źródłowy będzie ogłoszony na innem miejscu.

gris", d'intéresser les hommes de sentiment pour la cause de votre malheureuse patrie... Accueillez les voeux d'un ami de la liberté qui vous offrirait son bras, si sa santé délabrée le lui permettait... Que le Dien des combats vous soit propice! Que la victoire couronne vos généreux efforts, et que le XVIIIe siècle qui a vu tant de prodiges, puisse encore voir rétablie la Pologne et terrassés ses cruels oppresseurs! Ah! pourquoi les mêmes espérances ne luisent-elles pas encore pour ma malheureuse patrie! Opprimée, trahie par ceux-là mêmes qui nous promettaient de nous prêter assistance, la malheureuse Allemagne n'a presque d'autre vraisemblance que de voir une partie de ses pays agglomérée à une République conquérante, et l'autre partagée entre les ravisseurs de la Pologne. Elle subira le sort de votre patrie... Que les amis de la liberté de nos deux pays se serrent! Qu'ils concertent leurs opérations! Leurs sort est lié étroitement. Si l'Allemagne parvient à secouer le joug, les Polonais réussiront beaucoup plus facilement. Et si les Polonais ont des succès, la lutte des opprimés en Allemagne deviendra beauconp moins dangereuse. Unissons-nous donc! Italiens, Polonais, Allemands, Suisses! Oublions les préjugés nationaux et attendons notre salut point de la France, mais de nos propres efforts! Je me propose, gl., de vous présenter un jour quelques idées sur les moyens de coopérer utilement pour les succès de la cause de la liberté. Tout dépend encore de la reprise de la guerre, mais celle-ci ayant recommencée, il n'est plus temps à perdre". Por. wydawnictwo Rebmanna, D. graue Ungeheuer, hrsg. von einem Freunde d. Menschheit, I (Upsala, 1796, bei Eust. Erichson), 84 sq.: Polens Theilung in Hinsicht ihrer Folgen für Deutschlands kleinere Fürsten; ib. 112 sq., w dziale krytyk, Untersuchung üb. d. Rechtmässigkeit d. Theilung Polens; III (1797), Tamerlan Suworow in Prag, itd.

(Str. 17 sq.). Godebski: 1765—1809; za insurekcyi dostał się z kordonu rosyjskiego do Lwowa; potem czynny w związkach wołyńskich, zamieszany w sprawę łucką 1797, uszedł znów do Galicyi i od Centralizacyi lwowskiej wysłany zagranicę; Pisma wierszem i prozą (1821); Szaniawski, Pochwała G. (1809).—Kossecki Franc. Ksawer ur. 3 grud. 1778 w Kotiużyńcach na Wołyniu (ojciec Stanisław, wojski i poseł wdztwa podol. na Sejm czterol.), wszedł do komisaryatu na adjunkta 5 czerw. 1794, pozostał aż do rozwiązania wojska w listop.; do bat. 1. legii pol. we Włoszech, podpor. nadkompl. 1 listop. 1797; por. 10 wrześ., adjut. Kniaziewicza 10 grud. 1798; był w kampanii neap., pod Cività Castellana, Falari, 4 grud., Otricoli 6 grud. 1798, przy wzięciu Gaety 8 stycz., pod Sessą 10 stycz., pod Sant'Agata 23 stycz. 1799 ranny; kapit. legii nadd. 4

mar. 1800; był w kampanii nadreńskiej 1800-1, pod Philippsburgiem, Bergenem 6 lip., Offenbachem 10 lip., St. Christoph (Hohenlinden) 3 grud. 1800; przerwa w służbie przez dymisyę 5 maja 1801 do stycz. 1807; szef. bat. legii półn. 19 stycz. 1807; p. o. szefa sztabu przy Zajączku, był w kamp. pruskiej t. r., pod Grudziądzem, Ortelsburgiem, Wałami itd.; majorem 8 pułku piech. 9 mar.; pułkownikiem szef. szt. II legii 27 grud. 1807; virt. mil. 1 stycz. 1808; był w kamp; austr. 1809, pod Jedlińskiem ranny; legia honor. 14 czerw. 1809; gen. bryg. 25 maja 1812; w kamp. mosk. dow. osobnym oddziałem, pod Koydanowem 15 kontuzyowany, Borysowem 21, Berezyną 28 listop. 1812; komend. depart. płock., potem garnizonem pol. Modlina aż do kapitul. 1 grud. 1813; potw. gen. bryg. przez Aleksandra I 12 grud. 1814; dow. 2. bryg. dyw. I piech. 20 stycz. 1815; komis. pełn. do rozgran. od Prus 15 lip.; urzęd. do oddz. obow. przy Nam. Zajączku 13 grud. 1815; radc. sekr. st. przy Radzie Adm. 2 lut. 1816; ord. Stanisł. 26 kw. 1818; gł. dyw. 3 wrześ. 1826; ord. Włodz. 12 maja 1829; członk. Rządu Tymcz. 14 mar. 1832; dyrekt. gł. Kom. sprawiedl. 27 mar.; Orła Biał. 27 mar.; prez. Kom. emer. 7 maja 1832; w nagrodę zasług otrzymał prawo noszenia munduru gła rosyj. z całkow. pensyą emer. dożywotnią; zna języki franc., niem., nauki matem., statyst., administr.; posiadał 110 dusz w pow. latycz. gub. podol., dobra Żmudź i Rostoka w wojew. lub., obw. krasnost., pow. chełm., fabrykę sukienną w Przedborzu wojew. sandom.; 2 synów chował w Petersb.; † 1843. Mikołaj I do Paskiewicza, Pet., 1 czerw. 1832, ze słów Stroganowa: „(Kossecki) płut był i jest', no presposobnyj; prežde krał i naživšziś perestał". Gł. Pac, uchodząc z kraju 1831, powierzył Kosseckiemu swe kapitały, co wydało się w 1835; rola K. w tej sprawie niejasna. Por. koresp. K., tabl. d. services, stany służby; Szczerbatow, Feldm. Paskiewicz, V (1896), 23, 144 sq.—O Rożnieckim por. Łukasiński, I (1908), 285, 393 sq. i pass.

Rymkiewicz: ur. 1756; „kapit. Franc R., 33 liet (1789), polskoj nacii, iz szljachetstwa; za otcom jewo w knjażestwie żmudzkom mużeska połu 30 dusz"; umie po pol., rosyj., niem.; że był w zakonie oo. jezuitów, potwierdza Chamand do Dąbrowskiego, Ancona, 20 Jan. 1799, j. n.; wszedł na sierż. pułku starotul. 4 wrześ. 1778, praporszcz. 3 paźdz. 1780, adjut. 18 sierp. 1783, poruczn. 5 stycz. 1783, kapit. 9 lip. 1787; był w kamp. tureckiej 1788-9, przy szturmie i wzięciu Chocimia 13-29 wrześ. 1788, pod Kiszyniowem i w Mołdawii na forpocztach; dymisyonowany w Jassach, „dla słabości zdrowia", w stopniu sekundmajora, uchwałą Koleg. Woj. 28 lip. 1790, „z poleceniem udania się do rodziny zamieszkałej w gub. moskiew."; wszedł do wojska pol. na majora i dowód. batal. 20 sierp. 1792; gen.-maj. w insurekcyi, por. jego Opisanie wyprawy wielkopol.

pod Dąbrowskim, Skałkowski, J. K. Dąbrowski, I (1904), 314 sq.; listy jego z Konstant. 1796-7, Smoleński, Emigr. pol. (1911), do Kosińskiego 21 mar. 1797, Am. Kosiński we Wł., 321 sq., 49 sq.

Rymkiewicz do Dąbrowskiego, Konst., 27 Jan., 28 Febr. 1797: „Freund u. Mitbürger, bis anjetzo waren es nur Zeitungsnachrichten, d. mir Deine Ankunft in Italien zu wissen thaten. ...Durch Briefe aus Venedig bin nun... von allen Deinen Schritten... unterrichtet. D. Himmel segne Dein Werk, d. Werk des Rechtschaffenen, d. Biedermannes. Bruder! Liebe für mein Vaterland hat mich in diese wilde Gegenden geführt,... so wie Dich nach dem freien Italien... Leider, anstatt wirklichen Gedeihens, habe bis dahero nur gespürt ohnmächtige Aus sichten, u. wo ich glaubte, Heil u. Segen anzutreffen, finde nur Verderben u. Verzweiflung... Du bist schon auf d. Wege der Wirkung u. ich soll unthätig bleiben?... sollst Du nur allein wollen, d. Ruhm d. Schlachten davontragen? Ich glaube nicht, denn Du denkst zu edel u. zu gerecht; hoffe vielmehr, dass Du mir mit erster Gelegenheit schreiben wirst, um nich mit Dir zu vereinigen“; 19 März: „...ich verstehe es nicht, warum Du mir bis dato noch nicht geschrieben... Könntest Du anjetzo im freien Italien Deine Reihen u. Dein Wohl stiften, u. mich allhier wissen im Dunklen? elend u. nothdürftig? da wir doch stets Glück u. Unglück zusammen getheilt?...“; 24 Juni: „...ich bin hier in Konstantinopel schmachtend, unruhig, elend ...Ich bin dahero im Fall *(sic)*, dieses wilde Land zu verlassen u. mich zu Dir nach Italien zu begeben. Schreibe mir hierüber auf d. Baldigste... D. Dienst Italiens, u. zwar an Deiner Seite, in Deinen freundschaftlichen Reihen, wäre für mich d. Schicklichste. Eile, mir zu schreiben... Ich befinde mich nicht wohl...“; „3 vendém. VI, 23 (*sic*, t. j. 24) sept. 1797“: „...Ja tu (w Konst.) jeszcze zostać się muszę, częścią abym był naszym w przeciągu ich tu bawienia się i do ambarkowania onych przytuleniem i wsparciem, częścią dogadzając woli ambasadora Aubert du Bayeta ...Sakryfikowawszy się raz,... zostanę się, chociaż... na tem najwięcej cierpię, zwłaszcza będąc już całkiem bez pieniędzy... Zaiste, nigdy mój stan tak smutnym nie był...“; por. list do Kosińskiego, j. w.; Tański, Pam. (1905), 20, 117.

Chłopicki, młodziutki chorąży, uczestniczył na ochotnika w szturmie Oczakowa 1788; bił się przeciw Rosyanom pod Zieleńcami i Boryszkowcami 1792; wraz z garnizonem Kamieńca złożył wymuszoną przysięgę 1793; z kwatery w Barze, na wieść o insurekcyi, uciekł w kwiet. 1794, z podof. Żukotyńskim i dwoma szeregowcami; topił się w Dniestrze, lecz przedostał do Lwowa i Warszawy, bił się jeszcze pod Maciejowicami; wszedł do legii kapit. 14 czerw. 1797; najdokładniejszy stan służby Chł., minuta jego dymisyi przez Kom. woj. 11 grud. 1818, z własnor. jego dopiskami d. 29 kwiet.

1831, Łukasiński, I, 346 sq.; por. nieścisły Obraz czyn. woj. gła Chł. (1831).

(Str. 21 sq.) Naganka na Dąbrowskiego: Kosiński do D., Ferr., 2, 12 lut., Am. K. we Wł., NN. 19, 20; skarga Deputacyi do Dyrekt. na D., Par., 9 mars, Skałkowski, 207 sq.; paszkwil Jean Woytyński Polonais [=Dmochowski i Szaniawski], Lettre au gl. D. comm. les lég. pol., Vars. (=Par.), 1 mars 1798; przesł. przez Neymana do min. woj. 28 mar.; por. jadowitą wzmiankę o tej broszurze w Journ. d. camp. et d. armées, 10 avr., N. 749, ib., N. 758, list otwarty Sokolnickiego, 16 avr. 1798, z gorącą obroną D.; por. Sokolnicki, Gł. M. S. (1912), 351 sq.—Bunt załogi mantuańskiej: Wielhorski do Dąbrowskiego, Mantua, 26 lut. 1798: Polacy jedni nie uczestniczyli w buncie, Austryacy już podstępowli pod twierdzę; por. Tuetey, Serurier, (1899), 236 sq.—Namowy austryackie: Tige do Thuguta, Wien, 12 Sept. 1797, proponuje wydać do legionistów pol. „Bekanntmachung, dass Jeder, wenn er sich selbst stellt, nebst d. Straflosigkeit, auch noch einen Ducaten auf d. Hand erhalten werde"; Thugut do Tigego, 18 Sept., aprobuje i zaleca „d. Zusicherung einer Douceur von 1 Duc. nebst Nachsicht d. Strafe für jeden Revertenten von d. Dąbrowskischen Legion durch d. Druck bekannt u. auf jener Seite besonders in d. Kantonierungen dieser Legion unter d. Hand vertheilen zu lassen"; por. t. II, 311.—Partyjność: „pendant notre séjour à Rimini (wiosną 1798), soit politique perverse, soit l'enclin national à la discorde, soit enfin le besoin de différends, enfin il y avait quelque chose tout le temps qui troublait nos sociétés et notre repos. Tout le monde ne parlait que de partis, et le mot „parti" devint si en vogue et sonore que partotu où l'on passait, il blessait l'oreille; presque chaque officier supérieur en cherchait un pour en être le chef", Tomaszewski, Tabl. hist. des lég.—Marsz do Rzymu: z Rimini, na Faenzę, Pesaro, Foligno itd., barwnie opisany u Tomaszewskiego, j. w., i Wierzbickiego, Pam. leg.

(Str. 23 sq.) Legia w Rzymie: Dąbrowski ze sztabem przybył do Rzymu 1 maja i zamieszkał zrazu w palazzo Borghese, skąd nazajutrz, 2, przeniósł się do palazzo Teano; wejście legii nastąpiło w czwartek, 3 maja, 14 fiorile. Dąbrowskiego rozkaz dzienny, Rzym, 3 maja 1798; obok tekstu pol., zachował się oryginał niemiecki, cały własnor. pisany i poprawiany przez Dąbrowskiego, Befehl bey Einmarsch nach Rom; między obu tekstami są pewne charakterystyczne różnice; np. opuszczony w wersyi pol. ustęp: „Wir haben hier einige Geistliche unserer Nation, deren Moral, Philosophie u. Patriotismus uns bekannt ist; diese habe ersucht, uusern noch nicht ganz aufgeklärten Soldaten im feinen Tonen (*sic*) selbige Wissenschaften beizubringen u., wenn es thun-

lich ist, alle Löhnungstage eine moralisch patriotische Rede zu halten".—W przechowywanych w Bibl. Vittorio Em. w Rzymie pamiętn. audytora Trybunału papieskiego, Galimbertiego, są cenne, choć stronne i nieprzyjazne, świadectwa naoczne o pobycie rzymskim legii pol., Memorie dell'avv. Ant. Galimberti dell'occup. franc. in Roma dal 1798 al fine del 1802: 1, 2, 3 magg.: „nella mattina circa un'ora dopo mezzogiorno entrò in città la truppa polacca in buon'ordinanza, con tamburri e bande, e passata per tutto il Corso, fù distribuita a Campidoglio, ove collocò i quattro pezzi di artigleria che avea condotti, ai conventi di S. Agostino e della Madonna del Popolo. La truppa avea i suoi cappellani ed era ben montata e polita...", 5: „la truppa polacca guarnì tutte le porte della città e tutte le alture", 8, 9 magg. — Dziwowisko Rzymian: Drzewiecki, Pam., 84 sq.; Tomaszewski, Tabl.: „(on) avait persuadé aux Romains que les Polonais mangeaient les petits enfants"; Wierzbicki również podaje tę pogłoskę o „barbara gente del Norte chiamata Polacchi, che mangiano gli bambini".

(Str. 25 sq.) Kościół św. Stanisława: Galimberti, Mem., 6 magg.: „essendo prossima la festa di. S. Stanislao rè di Polonia (!), il commandante polacco interrogò il cittadino Gambini, amministratore della Repubblica Romana della chiesa de'Polacchi, se si sarebbe solennizata, ed avendo inteso, che tutti i paramenti ed arredi sacri erano sotto biffe della Repubblica, gli ordinò di rimoverle. Essendosi però il Gambini scusato di ciò fare, il commandante mandò la truppa e fece levar tutte le biffe"; 7 magg.: „nella chiesa de'Polacchi fu solennizata la festa di S. Stanislao. Grande fù il concorso della truppa polacca, che assistette ed intervenne con gran divozione. Uno de'loro cappellani le faceva baciare la Reliquia di detto Santo".

Chorągiew Mahometa: Dąbrowski do Saint-Cyra, Rome, 6 mai: „...un siècle s'est écoulé qu'un des drapeaux pris sur les Turcs par les Polonais, lorsqu'ils délivrèrent Vienne, a été selon l'usage de ces temps attaché à la nef de l'église de Lorette... Les Polonais réclament leur propriété; et partout où la France dirigera cet oriflamme, elle verra nos Légions combattre avec cette fureur, que leur inspirera l'idée contrastante de notre ancienne grandeur et de l'ingratitude qui nous opprime présentement..."; do kap. art. Trzeszkowskiego, 22: posyła go, z upoważnieniem Saint-Cyra, po chorągiew do Loretu; do komendanta Loretu, 22, do Dessolla, kom. Ancony, 23 mai, w tejże sprawie; notatka do gazet, Rome, prair. VI: „...l'étendard (Mahometa) arrivé à Rome, escorté par mille Polonais, a été déposé au quartier du gl. de division Dąbrowski, entre es mains duq uel le consul Angelucci, animé de cet esprit répu-

blicain qui le caractérise, a également remis le sabre (Sobieskiego)...".—Fundacye polskie: Dąbrowski do Dyrektoryatu franc., 3 juill.: „...les légions pol... composées en partie des descendants de ceux qui ont donné lieu à ces fondations, réclament... que ces biens nationaux polonais existant à Rome et Lorette, soient exceptés à la loi générale, appliquée aux possessions du clergé"; do Chamanda (b. d.), upoważnia go do odbioru „(des biens) situés aux environs de Lorette, que dans le temps s'était appropriés le ci-devant cardinal Antici"; obszerny w tej sprawie memoryał Chamanda do komisarzów franc. w Rzymie, 18 oct. 1798. Por. Kętrzyński, Kościół i hospic. św. Stanisława w Rzymie, Przegl. dypl., N. 10 (1919), 429 sq.

(Str. 24 sq.) Nastroje rzymskie: Monitore di Roma, 12 magg., N. 24, Ai soldati polacchi, wita gorąco legionistów, „soldati e amici dell' intrepido Kościuszko", zapowiada upadek Rosyi i Austryi i odrodzenie Polski; 16 magg., N. 26, Lettera d'un uffiz. pol. al redatt.—Dziennik ks. Sali, 2, 8 magg.: „vediamo generalmente (gli Polacchi) frequentar le chiese e mostrossi buoni cattolici. Essi non sono molto amici de'Francesi", 11: „...ieri, mentre veniva portato il Ss. Viatico... un soldato polacco prostrossi a terra...; passandogli innanzi un militare francese... si fece beffi di lui; egli... caricò il Francese di solennissime piattonate", 18 magg.: „...veramente fra li Francesi e i Polacchi non passa buona armonia", 1, 3, 7, 9 giug.: już mocne skargi na zachowanie się legionistów pol., zwłaszcza w casa del Gesù, 20 giug.: o „zagrabieniu" chorągwi i szabli Sobieskiego z Loretu, 5, 11, 14, 19 lugl. 1798, G. A. Sala, Diario Romano degli anni 1798-9, ed. Cugnoni, I (1886), 125, 183, 192, 196, 214, 220, 229, 239, 244, 252, 255, 261, II, 8, 20, 29, 37.

O ks. Falęckim, ks. Sokołowskim bernardynie, bawiących wtedy w Rzymie, o Dembińskim, Milewskim, Skwarskim, „trzech klerykach, którzy tam przybyli wyświęcić się na księży, a których oficerowie polscy namówili do wejścia do legii", itp. komplikacyach, por. Pam. Drzewieckiego, Tomaszewskiego, Wierzbickiego. O rozstrzelaniu legionisty na Piazza del Popolo rankiem 11 lip., Galimberti, Mem., 11 lugl.: „morì con una indifferenza grandissima"; Sala, 11 lugl. 1798: „marciava (alla morte) pieno di brio a passo militare, come se fosse andato a nozze". Por. Daunou (komisarz franc. w Rzymie) do Lareveillèra, Rome, 12 mai 1798: „la légion pol. donne des inquiétudes: 1° parce qu'elle est arrivée non payée depuis 4 mois; 2° parceque les soldats pol. se montrent plus superstitieux encore que le peuple de Transtevère; ils sont toujours dans les églises, servent des messes etc... On croit pouvoir compter sur les officiers; mais cette conduite des soldats inspire de la

confiance aux aristocrates, et nous sommes avertis qu'on prépare une insurrection", Lareveillère, Mém., III, 375.

(Str. 26 sq.) Pojedynek: odbył się 12 maja; Galimberti, Mem., 12: „alla villa Borghese... si impostarano alla distanza del mantello e spararono", 14 magg.: „il cadavere... fu trasportato... innanzi la chiesa di S. Francesca Romana [t. j. dawnej świątyni Wenery; należy poprawić wiadomość Drzewieckiego, 90, jakoby Zabłockiego pochowano w ruinach Tempio del pace, położonych znacznie dalej], dove fù sepolto dieci passi longi dalla gradinata, essendo protestante", 29 nov. 1798: o wywleczeniu stąd ciała Zabłockiego przez lud podczas okupacyi neapolitańskiej, spaleniu go i wrzuceniu szczątków do Tybru; por. Sala, 14 magg., nieco odmiennie o śmierci Zabłockiego. O przyczynach pojedynku, Pam. Wierzbickiego, Tomaszewskiego [należy sprostować niektóre dane Szumlańskiego, powtórzone u Kukiela, Kw. hist., XXVII (1914), 397 sq.].—Prośby o abszyt Grabińskiego i Haumana, 13 i dymisye tegoż dnia; prośba o dym. Szumlańskiego 17, dymisya 21 maja. Dąbrowski do gła Trivulziego, 17; do Klebera, 25: poleca mu wszystkich trzech; do Bonapartego. 24 mai 1798: id., „...se rendant à l'expédition de l' Angleterre, commandée par le premier militaire, ils y portent cet amour de la gloire, ce désir que tout Polonais a de combattre pour la cause de la liberté... Agréez, cit. gl., les voeux de nos Légions, leurs sentiments et la reconnaissance qu'ils vous portent". Byli zresztą śród oficerów legionowych inni jeszcze amatorowie wyprawy egipskiej, jak świadczy prośba Przyszychowskiego i Kiełkiewicza do Dąbrowskiego, Rzym, 19 maja, o pozwolenie popłynięcia z wojskiem Bonapartego.

Afera Neymana i Turskiego: przybyli do Rzymu 19 maja, lecz przedtem już działali w Medyolanie; Neyman do Bruna, Mil., 30 avr., składając pismo Deputacyi par., prosi „que nous soyons débarassés de l'arbitraire du gl. Dąbrowski et que les légions pol. soient républicainement organisés"; Józ. Turski, „pułk. 6 pułku W. Ks. Lit.", do Kościuszki, Rzym (za drugim nawrotem), 22 Aug. 1798, kapitalna opowieść całej afery majowej rzymskiej: zjechawszy z kraju, razem z Zeydlicem oraz spotkanym w Medyolanie, przysłanym z Paryża, Neymanem, przybył do Rzymu, mając „chociaż ustne, lecz zawsze mocne i ważne zlecenia" od „cnotliwych obywateli inflanckich, żmudzkich, litewskich", aby „skończyć" z Dąbrowskim, „odrodkiem i służalcem despotyzmu", który go jednak z Rzymu „na kształt moskiewski" wypędził.—Dąbrowski do Saint-Cyra, 22 mai: imieniem oficerów sztabu legii żąda wydalenia Turskiego i Neymana, którzy „fomentent, sous le nom d'une députation pol., le mécontentement, la discorde et le désordre". De-

putacya (Mniewski, Dmochowski, Szaniawski) do Zeydlica, Par., 1 juin, wyraża mu uznanie za wspólną z Neymanem agitacyę przeciw Dąbrowskiemu [przy całej zresztą zasłudze wojskowej Zeydlica, sprostować należy przesadną jego pochwałę u Mościckiego, Dzieje porozb. Litwy i Rusi, I (1913), 420 sq.]; Wojc. Turski Sarmata do Dąbrowskiego, Par., 8 lip. 1798, z wyrzutami z powodu wypędzenia z Rzymu brata Józefa.—Intryga z głem Grabowskim, pod którym wtedy służył jako adj. Laroche i Jabłonowski, związana była z głębszym zatargiem między Saint-Cyrem, ministrem wojny rzymskim Brémondem, konsulami rzymskimi; w intrydze tej uczestniczył Kosiński, jak wynika z jego poufnych listów do Grabowskiego, 23, 30 maja; sam Grabowski maluje siebie z bajecznym cynizmem w poufnem piśmie do Neymana, Rzym, 30 sierp. 1798, o swej akcyi przeciw Dąbrowskiemu, swej szulerskiej „industryi“ itp. O tych powikłaniach ciekawe szczegóły w dwóch poufnych listach Wybickiego do Barssa, Rzym, b. d. [=począt. lipca, przez Garata, posła franc., odwołanego w końcu czerwca z Neapolu i wracającego wtedy przez Rzym do Paryża], i 23 lip. 1798. O spółczesnych stosunkach rzymskich 1798, por. Saint-Cyr, Mém.; Macdonald, Souv.; Sciout, Direct.; Dufourcq, Rég. jac. en Italie, itd.

(Str. 27 sq.) Rymkiewicz: przybył do Rzymu 14 czerw.; rozkaz Dąbrowskiego do Kniaziewicza, 15 czerw., o „składzie korespondencyi“ pod R.; R. do Dąbrowskiego, 19, o organizacyi „składu“, i odpowiedź Dąbrowskiego, 19; piękna odezwa R., podp. też przez jego pomocników w „składzie“, Godebskiego i Aleks. Zakrzewskiego, do spółrodaków, Rzym, 24 czerw.—Mniewski do R., Par., 29 czerw., ostrzega go przed Dąbrowskim, „zbrodniczym hipokrytą“, „jaszczurczem plemieniem“. R. jednak później opiekował się Neymanem, jak wynika z jego listu do Kosińskiego, 1 listop. 1798, Am. Kosiński we Wł., 54 sq.

(Str. 29 sq.) Kościuszko: w cennej, choć wymagającej licznych poprawek, biografii (1894) i Dopełn. (1910) Korzona, podana dość pełna literatura; główne nowsze przyczynki dają Czasopismo K. (1894); Kozłowski i Dembiński w Kw. hist.; Zahorski, Listy nieznane T. K. (1911); Skałkowski, O kok. leg. (1912); Gorjainow, Więz. K. (1912); Dzwonkowski, Młode lata K., Bibl. Warsz., (1911); Askenazy, Przysięga K., ib. (1912); Askenazy i Dzwonkowski, Akta Powst. K., (1918).—Do pobytu K. w Szwecyi, relacye posła rosyj. Budberga do Pawła, Stockh. 27 janv., 2, 24 févr. sq.; Grimm do Pawła, Hamb., 25 juill.: o bytności w Hamburgu oficera „du corps de Dombrowski“, oraz o rzekomem porwaniu statku, na którym K. wypłynął z Bristolu do Ameryki, przez korsarza francuskiego i sprowadzeniu K. do Nantes; Woroncow do Pawła, 23

czerw.: o pobycie w Anglii „gła Koszczunskoj“ (=bluźnierca; lichy kalembur z nazwiska K.), 4 sierp. 1797: o porwanin K. do Nantes.— K. wyjechał z Petersb. 19 grud. 1796; przybył do Stockh. 26 stycz., wyjech. 22 lut. do Göteborga, skąd wypłynął do Anglii 10 maja; [por. t. II, 114, 307]; przybył do Lond. 29 maja. [bardzo długa podróż; może zboczył z drogi?]; wyjechał z Lond. 7 czerw. do Bristolu, skąd wypłynął do Ameryki 18 czerw.; przybył do Filadelfii 18 sierp. 1797.

Wtóry pobyt K. w Ameryce: Létombe, cons. gl. et chargé d' aff., do Delacroix, Philad., 20 août [reçu le 13 oct.] 1797 (chiffre): „Le même membre du Congrès [nazwisko opuszczone w depeszy; zapewne Jefferson] étant venu me dire que le gl. Kościuszko désirait me parler, je me suis rendu chez ce gl. hier au soir. Il veut aller en France. Il s'y rendra incessamment par une voie sûre. Il est observé ici. Ce martyre de la liberté n'y peut parler et agir qu' avec les plus grandes précautions. Il n'est venu ici que pour tromper ses ennemis. Il m'a prié, cit. ministre, de vous informer sans délai de tous ces faits“ [ta depesza rozstrzyga długi spór w sprawie powrotu K. z Ameryki przeciw tezie Korzona; por. Kw. hist. XX (1906); Korzon, Dopełn., itd.].—Stosunki amerykańskie 1797-8: Trescott, Dipl. hist. of the Administr. of Washington and Adams 1789—1801 (1857); Mc Master, The struggle for commerc. indep., Cambr. Mod. Hist., VII (1905).—O aferze przekupstwa Talleyranda, Amer. State pap., Foreign relat., II (Wash., 1832), 157 sq.; por. Amerik. Staatspap., ogł. u Posselta, Europ. Annal. (1798), II[4], 99 sq.; wzmiankowani tu trzej pośrednicy francuscy, x., y., z., byli Bellamy, Hauteval i Hottinguer, ten ostatni następnie długoletni bankier Kościuszki; por. Ames, The x. y. z. letters (ed. Univ. of Pennsylv., s. a.); ujawnienie całej tej skandalicznej korespondencyi w orędziu Adamsa do Kongresu, 3 Apr. 1798.—„Inwitacye“ do K. z Medyol., sierp. 1797, por, t. II, 170, 320.—Jefferson, Corresp., II, pass.; o parciu Carnota do wojny z Ameryką, a natomiast poufnych działaniach ugodowych Jeffersona, Lareveillère, Mém., II, 258 sq.; o pośredniczącej misyi K. imieniem Jeffersona, Paszkowski, Dzieje T. K. (1872), 196, Drzewiecki, Pam., 152.

Powrót z Ameryki: K. wyjechał z Filadelfii 5 maja; przybył do Bayonny 28 czerw. 1798. W dwóch zapiskach starego Edwarda Zeltnera, jednego z braci przyjaciół Kościuszki, Fontain., 15 nov., 15 déc. 1830, mieszczących liczne zresztą myłki, znajduje się następująca, dziwna w swej precyzyi wiadomość: „en partant d'Amérique (1798), K. avait dirigé son voyage sur l'Angleterre, alors en guerre avec la France... Lorsque K. quitta l'Angleterre pour se rendre en France, les deux pays étant en guerre, il se rendit à un port de mer d'Espagne le

plus proche de la France; de là il se rendit à St. Jean pied de Port, et ensuite à Bayonne, où il est descendu chez mr. Bastarège, banquier, pour lequel il avait des lettres de crédit; de là il partit pour Paris"; zgadzałoby się z tem, że rząd francuski tak dokładnie był uprzedzony o przybyciu K. do Bayonny, posłał tam zawczasu Lamarqua, zgotował uroczyste przyjęcie itp.; opis tego przyjęcia w liście Lamarqua, szefa szt. 11 dyw., Bayonne, 29 juin 1798, Monit., 8 juill., N. 290; Courr. de l'armée d' Italie, 16 juill.; K. do Barssa, Bayonne, 29 czerw.: każe powiadomić Dyrektoryat o swem przybyciu; Barss do Dyrektoryatu, Par., 6 juill. [ogł. przez Kozłowskiego, Rev. d. rev., XXIX (1899), 247, z błędną datą 4 lip.]; do Dembowskiego (do Medyol.) 7 lip.: zawiadamia legie, sam jedzie na spotkanie K. do Orléans. [list ten, przesłany przez Dembowskiego, nadszedł do Rzymu dopiero 26]. K. przybył do Paryża 10 lip., por. Journ de Paris, N. 289, Monit., N. 297, 15 juill. 1798.

(Str. 34 sq.) Legie a powrót K.: pierwsza bezpośrednia wiadomość doszła 26 lip. do Rzymu z Paryża przez list Barssa do Dembowskiego, Par., 7 lip., j. w.: „K. jest we Francyi i za dni kilka będzie w Paryżu... Powiedz kolegom, że go wyśpiewali: „Mamy racławickie kosy, marsz, marsz, etc..."; wcześniej jednak doszła pośrednia z Medyolanu przez Courr. de l'armée d'Italie ou le Patriote franç. à Milan, 16 juill., j. w. [w tymże Courr. d' It., równo o rok przedtem, 24, 28 juill., NN. 3, 5, ukazała się wiadomość o porwaniu K. do Nantes, por. wyżej. t. II, 163, 319].—Wybicki do Barssa, Rzym, 23; rozkaz dzienny Dąbrowskiego, 26; korpus oficerów legii I do K., 28; Rymkiewicz, od składu koresp., do K., 28; Wybicki do K., 28, ogł. Skałkowski, O kok., 76; Dąbrowski do Kniaziewicza, 28: wyjeżdża do Paryża; Wielhorski do Dąbrowskiego, Mant., 28 i 30: radzi mu jechać do Paryża; korpus oficerów legii II do Dąbrowskiego, Mant., 29 lip.: proponuje wysłanie do K. Wielhorskiego z dołączoną w kopii odezwą, co jednak skutkiem różnicy zdań zaniechane zostało.—Dąbrowski wyjechał z Rzymu 29 lip., przybył do Medyol. 1 sier., „po trzech dniach i nocach podróży, śpiesząc ile można do kochanego naszego Naczelnika". Dąbrowski do K., Med., 2 sierp.; Wielhorski do K., ib., 2, ogł. Korzon, Tyg. ill. (1906) N. 10 i Dopełn. do biogr. K., 58; Dąbrowski do Tremona i Wasilewskiego, 2: posyła ich z powyższemi dwoma pismami do Paryża, dokąd oni przybyli 9 sierp.; Dąbrowski do Kniaziewicza, 4 sierp.; Tremo do Dąbrowskiego, Par., 9 Aug. 1798, o pierwszem widzeniu się z K.

(Str. 35 sq.) Powikłania medyolańskie: Brune przybył do Med. 3 kwiet., Berthier wyjechał stąd 6 kwiet., Trouvé przybył 15 maja; Brune wyjechał z Med. do Paryża 22 lip. zrana, por. relacyę Trouvégo, Mil., 22 juill., Lareveillère, Mém., III, 263; przewrót

Trouvégo 30 sierp.; jego odwołanie i nominacya Fouchégo 2 wrześ., którego przyjazd do Med. 11 a przewrót 19 paźdz.; jego odwołanie i nominacya Rivauda 25 list., którego przyjazd do Med. 7 a przewrót 10 grud.; odwołanie Bruna i nominacya Jouberta 25 paźdz., który objął komendę w Med. 31 paźdz. 1798, poczem dwukrotnie, 7, 9 grud. 1798 podawał się do dymisyi, zrazu nieprzyjętej; na jego miejsce mianowany 10 lut. 1799 Bernadotte, który odmawia, poczem ostatecznie na miejsce Jouberta mianowany Scherer uchwałą Dyrekt. 21 févr. 1799; por. Lareveillère, I, 347, II, 29 sq., III, 253-332; Roguet, Mém. mil., II (1862), 56 sq.; por. Guyot, Dir. et la paix, 796 sq., który jednak mylnie zalicza Bruna do „parti militaire autour des Bonaparte", gdy wprost przeciwnie, jak stwierdza Roguet, szło jemu i Trouvému o to, by „éloigner à tout prix les hommes... dévoués à Bonaparte".

Dąbrowski w Med. i Mantui: D. do Kniaziewicza, Rymkiewicza, Med., 4 sierp.; Chamanda, 15 Aug., o intrygach medyolańskich; Wielhorskiego, 21, Barssa, 23 sierp., o pierwszym liście Kościuszki; do Wielhorskiego, Kniaziewicza, 8 wrześ., Rymkiewicza, 15 wrześ. o zniesieniu składu koresp.; do Bruna, Mil., 1 sept.: ośm punktów organizacyi leg., 5: o dezerterach, 10: składa swój Etat nominatif na 8001 ludzi, w czem 261 ofic. (+65 nadkompl.), podpis. przez Bruna 11 sept.; Rymkiewicz ze sztabem do Bruna, Mant., 10 sept.; Dąbrowski do Bruna, Mant., 24 sept.: prosi o złączenie korpusu, posyła mu Wielhorskiego, Rymkiewicza, Strzałkowskiego, Redla; Tremo do K., Med., 27 wrześ.; Rymkiewicz [przybył z Rzymu do Mantui 29 sierp.] i korpus oficerów legii II do K., Mant., 27 wrześ., ogł. Kallenbach w Kw. hist., XXXII (1918), 326 sq. [ta radykalizująca i godząca w Dąbrowskiego odezwa Rymkiewicza zastąpiła zaniechaną z 29 lip., j. w., inspirowaną przez Wielhorskiego a życzliwą Dąbrowskiemu]; Zawadzki i Wasilewski do K., Med., 2 paźdz.; mowa Bruna w Mantui 4 oct.; Dąbrowski do Descorcha, Mant., 5 oct. [Descorches mianowany posłem do Konst. 2 wrześ., jego instr. 3 paźdz. 1798]; konferencya Dąbrowskiego, Wielhorskiego, Rymkiewicza z Brunem, Med., 24 paźdz. 1798, t. j. w przeddzień odwołania Bruna, j. w.

(Str. 39 sq.) Kościuszko w Paryżu: przybył 10 lip., j w; był na trybunie Rady Pięciuset 14, na bankiecie Scherera 15 lip., Monit., 15, 20 juill., NN. 297, 302; jednak równocześnie w Gaz. dipl., 18 juill., już ironizowany K.; por. raport. policyjny 19 juill., Aulard, Paris pend. la réact. thermid. et sous le Dir., IV (1900), 787, N. 1411; Skałkowski, O kok., 211. Reubell chory wyjechał na kuracyę do Plombières w końcu lip., wrócił do Paryża dopiero w połowie wrześ., Barras, Mém., III, 244, 256 sq., por. Guyot, 719.—K. do Dąbrowskie-

go, Paris, 22 juill., o swem przybyciu do Paryża [jednak to pierwsze pismo K. doręczone zostało Dąbrowskiemu w Med. dopiero 21 sierp.].

Stosunki K. z Barrasem, z Lebrunem, por. Plancy (zięć Lebruna), Souven. 1788—1816 (1904), 8 sq.: „parmi les familiers de Grosbois (posiadłość Barrasa pod Paryżem) était le gl. Kościuszko. De même que K. était l'ami de Barras, il devint aussi celui de mon futur beau-père Lebrun... K. signa mon contrat de mariage à la suite de Bonaparte"; por. me de Chastenay, Mém., I (1896), 367, 393 sq. O bytności K. u byłego członka Kom. ocal. publ., por. Mém. pol. et mil. pour servir à l'hist. secr. de la révol. franç., puisés dans des mém. manuscr., II (Par., an VII), 43 sq. [ib. ciekawa retrospektywna relacya działań K. w Com. de sal. publ. w 1793]. O zażyłości K. z Fouchém, Paszkowski, Dzieje T. K.; z panią Pourrat, osobą nieszczególnej reputacyi, teściową bankiera Lecoulteux, wpływową w kołach finansowych, literackich i politycznych, w której salonie K. częstym bywał gościem, por. Arnault, Souven., IV (1834), 389 sq.; Melegari, Journ. int. de B. Constant (1895), 97 sq.; Lettr. inéd. de Laclos (1904), 106, 115, 137; Godet, Mme de Charrière et ses amis (1906), I, 340, II, 97 sq.; Rudler, La jeunesse de B. Constant (1909), 232, 511 sq. K. bywał też często u staruszki wdowy po Helwecyuszu, w Auteuil pod Paryżem, gdzie mieszkali inni jego przyjaciele, d'Arçon, Volney, Lecoulteux itd., por. Guillois, Le salon de mme Helvétius, Cabanis et les idéologues (1894). Opis K. „aux traits maussades..., à la figure inverse et retroussée, réservé de langage comme un homme d'esprit, commun de manières comme un homme du peuple", w domu przeciwnika Bonapartego, wydawcy pisma Le Bien Informé, poety i wolnomularza Mik. Bonnevilla, więzionego później za Konsulatu, por. Nodier, Souven. de la révol. et de l'emp., I (1862), 181, 245 sq., II, 26 sq.

Szpiegowanie K.: Antraigues do Thuguta, Gratz, 7 sept. 1798, załącza w aneksie następujące relacye swego tajnego informatora paryskiego: Vannelet [zapewne Daru, por. Pingaud, Un agent secr. (1894); Chuquet, w Revue crit., XXXV, 438] do Antraigua, Par., 22 juill.: „K... inspire de la confiance... il paraît extrêmement désintéressé, il s'explique peu et mal sur ce qu'il voudrait en Pologne... il a donné sur la Russie des détails neufs et singuliers... il a conservé des relations à Pétersbourg et à Moscou; les lettres lui sont envoyées à l'adresse d'un banquier à Riga, écrites avec du soufre, et de Riga on les lui envoie à Hambourg et de là où il est. Je le connais beaucoup et le vois tous les jours... Ce qu'on lui écrit de Russie... j'ai lu à la vérité sur les extraits qu'il remettait au directeur Treilhard, son ami..."; Vannelet junior do Autraigua, 23

août 1798: „hier soir... à Auteuil, dans... le jardin qu'avait mme de de Boufflers, Kościuszko, qui y prend les eaux chez mme Helvétius, vint chez moi pour me faire part ...que le 19 août il a signé un traité qu'il dit très secret, avec le Directoire... K. est très content... on s'oblige à le faire parvenir jusqu' à Paswan Oglou... on lui adonné un fonds pour se créer des partisans en Pologne“ [w kłamliwych tych relacyach są pewne szczegóły prawdziwe].

Lekceważenie K. Katarzyna do Grimma, Pét., 15 déc. 1794: „K., amené ici, a été reconnu pour un sot dans toute la valeur du terme“, 19 sept. 1795: „ma pauvre bête de K. est doux comme un agneau“; Zawadowski do A. R. Woroncowa, Pet., 17 stycz. 1795: „K. w zdjeszniej krjeposti, czełowiek ducha twiordawo, no razuma nieobilnawo“; Bezborodko do S. R. Woroncowa, Pet. 20 lut. 1795: „K... antuziast, czestnyj czełowiek, no weśma ograniczen... (Ign. Potocki) że prjamo gosudarstwennyj czełowiek, chotja nieposljednij płut“, Sbornik R. Ist. Ob., XXIII (1878), 617, 650; Arch. Woroncow., XII (1879), N. 92, XIII (1870), N. 211.—Sandoz do Fryderyka-Wilhelma III, Par., 26 juill. 1798, podaje zdanie Talleyranda o K.: „trop borné en tout genre pour pouvoir être consulté en rien... faible opinion de ses talents militaires. On lui donnera des dîners par curiosité, une chétive pension peut-être, et on l'oubliera“; 19 août: „(K.) bon pour le courage, mais inepte pour conduire la moindre entreprise“; 3 janv. 1799, ostre zdanie Reubella o K., Bailleu, Preussen u. Frankreich, I, NN 189, 230.

(Str. 43 sq.) List do Pawła: K. do Pawła, Par., 4 août 1798: „l'apparence de votre bonté“, ogł. w Monit., j. n., i z pewnemi błędami w Arch. Woroncow., XXIV (1880), 415. O udziale w redakcyi Lareveillèra, Drzewiecki, Pam., 135 sq., 151, ze słów Kniaziewicza: „płochemu Francuzowi dał za siebie pisać do cesarza...“; Talleyrand do Sieyèsa, 4 août, z dołącz. listu K.; Sieyès do Talleyranda, Berl., 25 août, z odmową; 29 sept., ze zwrotem pakietu K.; por. Skałkowski, O kok., 87 sq.; zaraz Panin do Pawła, Berl., 2 oct., nadsyła „en mains propres“ otrzymaną od Haugwitza kopię listu K.; do Bezborodki id.; do Pawła, 20 oct., o wyjeździe K. z Paryża; do Repnina gł. gub. lit., Gudowicza woł., Bekleszewa podol., id.; do Pawła, 25 oct., o pomocy pruskiej względem aresztowania K., oraz odkryciu Haugwitza, iż posiada on „depuis longtemps... la clef du chiffre de Parandier“ i interceptuje całą korespondencyę emigracyjną polską, idącą przez Hamburg, Brückuer, Mater. N. P. Panina, III (1890), NN 505, 6, 21, 2, 7, 8, z tych NN 505 i 521 ogł. w Roczn. Tow. Hist. Lit. (1866), 296 sq.—O wyjeździe K. z Paryża pod nazwiskiem Dufresnoy są wzmianki w depeszach Sandoza z paźdz.; K. istotnie wtedy wyjeżdżał; w listach jego paryskich z tego czasu

est przerwa między 19 a 29 paźdz. 1798; Haugwitz do Panina, 9 nov., o pobycie K. w Brukseli i powrocie do Paryża.—List K. do Pawła, 4 août, j. w., ogł. znacznie później jako „extrait de l'Ami des lois" w Monit., N. 61, 21 nov. [wedle Korzona, K., 505, mylnie: „jednocześnie z wysłaniem, t. j. 4 sierp."], z datą „B... (*sic*), ce 4 août" i dopiskiem redakcyi: „nous recevons des frontières d'Allemagne une lettre du gl. K."; jednocześnie nastąpiło przesłanie listu Razumowskiemu; Razumowski do Pawła, 28 nov.: dziś otrzymał pakiet K.; karcące reskrypty Pawła do Razumowskiego, 8, 13 grud. 1798, Wasilczykow, Semej. Razumowskich, III (1882), 162 sq., Roczn. T. H. L., 299 sq.

(Str. 46 sq.). K. a legiony: K. do Dąbrowskiego, 22 juill., j. w.; do Kralewskiego, 8 sierp., Siemieński, Listy K. (1877), 220, N. 99, przedr. Skałkowski, 96; Mniewski do Giedroycia, 10; K. doGiedroycia; 12 sierp.; Giedroyć do K., Drez., 5 wrześ, Skałkowski, 94, 214.—Dąbrowski do K., Med., 8, 13, 16, 18, 22 sierp. [odpis na otrzymany 21 sierp. list. K. z 22 lip., j. w.].—K. 22 sierp. do Dąbrowskiego; oficerów; żołnierzy [dwa ostatnie listy ogł. Kukiel, Dzieje oręża pol. (1912), 58, z brakami; w minucie ręką Barssa ciekawe odmianki]; Kniaziewicza; Rymkiewicza; Wielhorskiego [ten list K. do Wielhorskiego, 22 sierp., ogł. Korzon, Tyg. ill., j. w., z mylkami w tekście i pod błędnym adresem Dąbrowskiego]; Wybickiego; 7 listów powyższych tejże daty 22 sierp.; do Bruna, 26 août 1798; wszystkie powyższe ekspedycye w liczbie 8 zabrali Tremo i Wasilewski, którzy wyjechali z Paryża 26 sierp. a przybyli do Medyolann 6 wrześ.; por. Dąbrowski, Mém. mis.: „le major Tremo revint de Paris le 20 (fruct. VI=6 wrześ.), mais il n' apporta rien de consolant"; Tremo do K., Med., 27 wrześ. 1798 j. w.

(Str. 51 sq.) Powstanie w Circeo: potyczki pod Ferentino 29 lip., Terracina 9 sierp.; Kniaziewicz do Dąbrowskiego, Rzym, 7 sierp. Macdonald, 10 août 1798, u Chodźki, II, 383 sq.; Dufourcq, Rég. jac. en It. (1900), 272.

(Str. 59 sq.) Egipt: atak na Valettę 10, kapitulacya Malty w nocy 11-12 czerw. 1798. Sułkowski, Lettre de Malte, Skałkowski, Pol. en Egypte, 4 sq.; por. Jonquière, II; dziwna relacya z niewyd. pam. Desgenetta, o wolnomularskim obchodzie templaryuszów na Malcie, nazajutrz po wzięciu, 13 czerw., niby odwet za w. mistrza Molaya, na Filipie Pięknym, Klemensie V, w osobie Ludwika XVI, Piusa VI i Joannitów, co wszystko całkiem w romantyczno-radykalnym duchu Sułkowskiego.—O szturmie Aleksandryi, 2 lip., Sułkowski, Notes sur l'expéd. d'Eg., Skałkowski, 19 sq.: „ému à cet aspect... la bizarrerie des circonstances,... le danger,... un site romantique", o swym udziale w ataku ledwo wspomina; Bonaparte

do Berthiera, Alex., 3 juill.: „Sułkowski... promu chef d'escadron pour... services qu'il a rendus à l'armée et principalement à Malte et hier à la prise d'Alexandrie, où il a été culbuté deux fois du haut du mur", Corr., N. 2738; Bonaparte do Dyrekt., 6 juill.: „le cit. Sułkowski qui est un officier du plus grand mérite", ogł. w Monit., 20 oct., N. 29; ib. 21 oct., N. 30 raport Berthiera z pochwałą S.— Wzięcie Kairu 22 lip.; Abukir 2 sierp.; bitwa pod Salhejem 11; powrót do Kairu 14; otwarcie Instytutu Egip. 22 sierp., Jonquière, II, 554 sq.

(Str. 65 sq.) Zajączek: Bonaparte do Z., Caire, 30 juill,, 4 août 1798, Corr., 2901, 71; Dąbrowski do Dembowskiego, Mars., 31 maja 1800: „gł. Desaix tu przyjechał i dziś jedzie do Bonaparty; bardzo dobrze o gle Zajączku gadał i oświadczył, że ostatnią wygranę nad mamelukami jemu francuskie wojsko winno. Chwalił także Grabińskiego i innych Polaków; ganił tylko ich niestałość"; Rogaliński, Notaty 1797-1806, pod 1802, o 8 ogierach Arabach przysłanych przez Zajączka Branickiemu; Skałkowski, pass.; Z. wrócił do Paryża 28 stycz. 1802, Askenazy, Nowe wczasy (1910), 444.—Burzyński: ur. 1753; wysłany na misyę do Egiptu i Syryi 1790; z poparcia namiestnika Zajączka konsekrowany w Warszawie 1820 bisk. sandom., † 1830; jedno z jego kazań egipskich, „della mormorazione", dochowało się w tekście arabskim.—Łazowski: Menou do Bonapartego, Caire, 23 oct. 1800: „(Ł.) est un excellent officier, prêt à perdre la vue en Egypte", Rousseau, Kleber et Menou en Egypte 1799—1801 (1900), 366; odesłany przez Menou 6 list. 1800, przybył w grud. do Francyi, Jonquière, IV, 261 sq., Skałkowski (67) sq.— Grabiński: Dąbrowski do Kniaziewicza, Par., 24 lut. 1800: „Grabiński powrócił z Egiptu... bardzo się pięknie dystyngwował według zaświadczeń Desaix, Klebera i Berthiera"; jego relacya do K., Par., 25 févr. 1800, ogł. Kukiel, Kw. hist., XXXI (1917), 150 sq. — Szumlański: jego Pam. wypr. egip., Lwowianin (1842), 117 sq.; wstąpił potem do służby rosyjskiej i jako rotmistrz huzarów bił się przeciw Francuzom pod Austerlitzem; później wszedł do armii Księstwa Warsz., był adjutantem ks. Józefa i kochankiem pani Vauban; dochowała się czuła jego z nią koresp.; dochowały się też listy jego z Konstantynopola do brata Jana, 28 kwiet. 1799 sq., z dopiskami Haumana.—O śmierci Haumana w więzieniu, Wierzbicki, Pam. leg.; o okropności ówczesnych więzień stambulskich, por. Pouqueville, Voyage en Morée, à Constant., 1798—1801, II (Par., 1805), 145 sq.—Z notatki parysk. Aff. étr., Turquie, zdaje się wynikać, że w więzieniu stambulskiem zginął wtedy inny jeszcze Polak, Witalis Przybyłowski, „(envoyé) en courrier pour porter des dépêches du Directoire au gl. Bonaparte en Egypte; c'est à Aix en Proven-

ce qu'il rencontra Bonaparte; il demanda d'être honoré d'une nouvelle mission;... (il fut) arrêté depuis par les Turcs et conduit au bagno".—Prośby Przyszychowskiego i Kiełkiewicza do Dąbrowskiego, Rzym, 19 maja 1798, o pozwolenie do Egiptu, j. w., 396.—O szeregowcach legionowych zabłąkanych do Egiptu wspomina Dąbrowski do Murata, Mil., 7 nov. 1802: „plusieurs soldats de la 1ère légion furent envoyés en Egypte pour y escorter des munitions de guerre. Faits prisonniers de guerre, ils sont revenus d'Angleterre en France (po pokoju amieńskim). Ils demandent anjoudhui, par la lettre ci-jointe en original, en date du 16 oct. 1802, du Havre, que j'ai l'honneur de vous adresser, qu' il leur soit permis de joindre leurs corps. — O Hurwiczu, t. I, 110, 164 sq., 243; corr. de Const., 17 avr. 1799: „Bonaparte a fait une proclamation, dans laquelle il invite tous les juifs de l'Asie et de l'Afrique à venir se ranger sous ses drapeaux pour rétablir l'ancienne Jérusalem", Moniteur, VII, N. 243; por. natomiast o oporze żydów palestyńskich przeciw Bonapartemu, przy obronie Akki itd., Grätz, Gesch. d. Juden, XI (1900), 214 sq.; wedle zapiski parys. Aff-étr., 1799 „le cit. Hourwitz, savant juif polonais... vient d'obtenir du Premier consul une presse et des caractères arabes pour aller établir au Caire une école françaire et y rédiger un journal arabe;... il s'agit d'un nouveau moyen de correspondance avec le gl. Kleber; les dépêches seraient chiffrées en langage cabalistique ...elles seraient adressées au gd rabbin du Caire pour remettre à Salomon Levi de Hambourg..."; ciekawy późniejszy rkp. memoryał H. do Bonapartego, 18 août 1802, za równouprawnieniem żydów; por. Gaz. Koresp. warsz. i zagr. (1809), N. 66, dod.

(Str. 67 sq.) Śmierć Sułkowskiego: powstanie w Kairze 21; S. zabity rankiem 22 paźdz. 1797; bajka o rozmyślnem wysłaniu go na śmierć przez Bonapartego jest niedorzecznym wymysłem Saint-Albina do spółki z Maliszewskim; dokładne szczegóły zgonu u Patona, A hist. of the egypt. revol., I (1870), 151 sq., 188; Jonquièra, III, 281 sq., 290, i Skałkowskiego, préf.; słowa Bonapartego: „il est mort, il est heureux", wedle paru relacyi; por. opis u Dogueréau, Journ. de l'expéd. d'Egyp. (1904), 92 sq., który zdaleka się patrzył na śmierć S.: „nous le vîmes venir dans le lointain"; Geffroy Saint-Hilaire, Lettr. écr. d'Egyp. (1901), 71, 85, 108; gl. Desvernois, Mém. (1898), 133, 145: „les habitants ont fait manger par leurs chiens S., brave et digne Polonais"; Monit., XXIX (réimpr., 1843), 447, 878; Fiszer do Stan. Kosseckiego, Par., 7 févr. 1802, posyła dla Ksawerego K. „extrait mortuaire de mr. Joseph S."; Bourrienne, Mém., II (1829), 128, 182 sq.: „au Caire Bonaparte me parla plusieurs fois de S. avec des regrets profondément sentis: „je ne puis, me dit il un jour, vanter assez le coractère, le beau courage, l'impertur-

bable sang froid de mon pauvre S... c'aurait été un homme précieux pour celui qui entreprendrait de resusciter (la Pologne)", IX, 103.—Pierwsze wzmianki o S. w prasie polskiej, N. Pam. Warsz., XVI (paźdz. 1804), 152 sq., Bunt w Kairze; Orzeł Biały, II (1820), 46 sq., S. w Egipcie.—O forcie S. w Kairze, Courr. de l'Egypte, 2 nov. 1798, N. 14; sprawą wystawienia tam pomnika Sułkowskiemu zajął się gł. Henr. Dembiński za swej bytności w Egipcie: Dembiński do konsula franc. w Kairze, Mimonta, Alexandrie, 4 mars 1834: „étant arrivé dans ce pays guidé par les mêmes motifs qui y avaient amené S., je désire, en quittant l'Egypte, y laisser un souvenir qui, en honorant la mémoire de mon compatriote, serve de preuve, combien tout Polonais sait apprécier les efforts même lointains de chaque membre de sa grande famillle. Je voudrais ériger un mausolée à la mémoire de S. et j'ai pris avec mr. Alric, sculpteur, nouvellement arrivé avec les Saint-Simoniens et demeurant au Caire, les arrangements concernaut cet objet... (deponuje na ten cel u Mimonta 2 tys. piastrów w gotówce i przekazie i 1100 p. w swym wekslu); do Alrica, 4 mars: wskazuje szczegóły pomnika i napis w języku arab., franc. i pol.

Bonaparte w morzu Czerwonem: 28 grud. 1798; rel. naoczna Savarego, Mém.; por. Corr., XXIX, 510 sq.; Larrey, Mém, de chir milit. I (1812), 274 sq.; Bourrienne, II, 196; Jonquière, III, 487.—Wyprawa do Syryi 10 stycz. 1799; w szpitalu w Jaffie 9 mar.; pod Akką 19 mar.-20 maja; w pustyni syryjskiej podczas samumu, Colbert, Trad. et souv., I (1882), 234 sq.; powrót do Kairu 14 czerw. zwycięstwo pod Abukirem 25 lip.; powrót do Kairu 11 sierp., wyjazd 18; odpłynięcie z Aleksandryi 23 sierp.; wylądowanie w Saint-Raphaël 9, przyjazd do Paryża 16 paźdz. 1798.—Epilog egipski: kapitulacya Menou w Aleksandryi 2 wrześ. 1801, wbrew opini Zajączka, por. Corr., XXX, 162: „les généraux Destaing, Delzons, Zajączek... émirent l'avis de se défendre jusqu'à la dernière extrémité et de ne capituler"; o oporze Zajączka na tej kapitulacyjnej radzie wojennej 28-30 sierp., Skałkowski, Pol. en Eg. (98); Paton, II, 391; Rousseau, Kleber et Menou en Egypte, août 1799—sept. 1801 (1900); surowy dla obu; Rigault, Le gl. Abdallach Menou (1911); Invent. d. états de serv. d. offic. de l'arm. d'Egyp. (1911).

(Str. 75) Dąbrowski, Wielhorski, Rymkiewicz, Strzałkowski, Redel do Jouberta, Mil., 12 nov.: „au moment... où peut être la campagne va se rouvrir, nous nous croirions coupables envers notre corps et nos compatriotes restés dans le pays, si... nous gardions le silence... Notre corps ne saurait être envisagé sous un point de vue purement militaire,... (mais) sous le point de vue politique et

philosophique...“; memoryał tychże w 12 §§, Etat effect. fixé pour le corps pol., Mil. 12 nov. 1798.

(Str. 76 sq.) Kampania neapolitańska: Championnet: Rousselin Saint-Albin, Ch., gl. d. arm. de la Rép. fr. (1861, éd. Hortenius Saint-Albin; utarta legenda o Ch.); Villard-Tavenas, Etude crit. sur Ch. (1904); Faure, Souven. de Ch. 1792—1800 (s. a.); sprawiedliwa ocena Ch. winna wziąć średnią z entuzyazmu Sorela V, a potępienia Sciout, III, i Guyota.—Ch. mianowany wodzem armii rzymskiej, „subordonnément au gl. en chef de l'armée d'Italie“, 18 paźdz.; przybył do Rzymu 18 list. 1798; prokl. Ch., Rome, 20 nov.: „Rome!... du fond de la Pologne asservie des milliers de républicains viennent t'offrir le secours de leurs bras et ils retrouveront dans tes murs la liberté pour laquelle ils ont tout sacrifié“; por. spółczesny artykuł Volneya w Monit., 21 nov., gdzie radzi Bonapartemu z Egiptu przez Stambuł pójść „relever de ses débris la Pologne“.—Przekroczenie granicy rzymskiej przez armię neap. 22 list.; Ch. oficyalnie podawał jej liczbę na 70 tys. a swojej na 13 tys.; liczby istotne u Faura, 234 sq.: Neapolitańczycy 11 tys. wojsk regul. a Ch. 23908; por. Posselt, Europ. Annal., III[3] (1798), 262 sq., Über d. bevorstehenden Krieg zwisch. Frankr. u. Neap., już z góry pesymistyczny sąd o wojsku neap.—Rozruchy w Rzymie od 24; Ch. wyszedł w nocy z 26 na 27; Polacy 27 list.; tegoż dnia weszły forpoczty neap.: Galimberti, Mem., 26, 27, 29: „il popolo disoterrò diversi cadaveri dei Polacchi... li legò con delle funi, li strascinò per la città, tirando loro delle sassate, e condottili al Tevere, ve li sommerse“ (por. wyżej, 396), 30 nov.

Kniaziewicz pod Maglianem 1 grud: rozk. dzienny Leop. Berthiera, szefa szt. Macdonalda, 2 déc.: „les Polonais se sont conduits avec infiniment de bravoure... Kn. à la tête de 300 h. de sa légion... a repoussé 5000“; por. o tej i następnych akcyach pod Falari i Calvi, rel. Championneta do Dyrektoryatu, Terni, 5, Rieti, 11 (u Chodźki mylnie 7) déc., Chodźko, II, 385 sq.; Tański, 24, 118.—Kn. pod Falari (=Civita Castellana) 5 grud.: Kn. i Chamand do Dąbrowskiego, 3, 4 grud.; Tomaszewski (był pod Falari), Tabl. hist.; por. Thiébault, Mém., II (1894), 277 sq.: „ce Kn. était un héros digne des héros de la légende“; uwagi Napoleona o tych akcyach Kn., Corr., XXX, 240.—Kn. pod Calvi 7-9 grud.: Macdonald do Championneta, Calvi, 9 déc.; Dąbrowski do Chamanda, Rom, 18 Dez.; Faure, Souv., 257 sq., Dufourcq, Rég. jac., 369; odezwy pochwalne Scherera (u Chodźki mylnie Dubois-Crancé) do Kn. 30 déc., Chodźko, II, 90, 399 sq.; Dąbrowski, Mém. mil.; Drzewiecki, 108 sq.

Rzym-Neapol: Dąbrowski do Chamanda, Rom, 16, 18 Dez.:

legia wyszła z odebranego Rzymu 18, w Terracinie 27 (odtąd Dąbrowski przy legii), przez granicę neap. pod Fondi 28; pod Gaetą 30 grud. 1798; Dąbrowski do Chamanda, 6 Jan., o wzięciu twierdzy; kapitulacya Capui 12; ucieczka Macka do obozu pol.-franc. 16; wzięcie Neapolu 23, ogł. republiki 24 stycz. 1799. O rabunkach franc. w Neapolu, Sciout, Guyot, Verri, Conforti, Rep. napol. (1890), Colletta (naoczny świadek po stronie franc.), II, 114 sq., itd.

(Str. 79 sq.) Chadzkiewicz (właściwie Chodźkiewicz): H. Rzewuski, Teofrast pol., Pisma, II (1851), 18, 36 sq.; Drzewiecki, 101 sq.; Herm. Hołowiński, marsz. gub. woł., Pam. i wspomn., obok kapitalnych szczegółów o początku i końcu Ch., jego zesłaniu za wpływem Kisielewa itp., podaje też wiadomość o jego przeniewierstwach w Neapolu i zatargu z Kniaziewiczem; Stan. Morawski, Pam.; itd.; por. Mościcki, J. Jasiński, 375; w protokóle patentów wojsk lin. insurekcyi figuruje pod 11 sierp. 1794 „Ign. Chodźkiewicz na szarżę podpułk. w wojsku W. Ks. Lit.“, Askenazy i Dzwonkowski, Akta Powst. Kościuszki, III, 137; Ch. do Dąbrowskiego, Rzym, 7 sierp., 23 wrześ.: chce wstąpić do legii, 14 grud. 1798: o powierzonych sobie funduszach dla legii [w tejże sprawie Berek Joselowicz do Dąbrowskiego 14 i Chamand 16 grud.]; Neapol, 14 stycz.: był wzięty przez scarpettów, lecz dostawiony cało na dwór królewski [zdaje się, że był użyty w sprawie konwencyi franc.-neap. 11 stycz., jednego z dziwniejszych incydensów tej kampanii; por. Drzewiecki, 118]; Caserta, 19 stycz.: ofiaruje werbunek szwadronu jazdy leg.; Neap„ 4 lut.: żąda majorostwa legii po awansie Chamanda na szefa; 6 lut. 1799: ofiaruje 400 koni ze stadnin król.; Dąbrowski koresp. pol., pass.

O scarpettach okropne szczegóły naoczne u Tomaszewskiego, Tabl. hist.; El. Tremo zamordowany 9 stycz. 1799, por. Dąbrowski do Chamanda, Gaeta, 27 Jan.—Jazda legionowa: jeszcze w Rzymie, zaraz po swem przybyciu, Championnet do konsulów rzym., 22 nov. 1798, żądał utworzenia szwadronu jazdy pol. z 200 ludzi, Dufourcq, Rég. jac., 352; Dąbrowski do Kniaziewicza, pod Capuą, 6 stycz., o pozwoleniu Championneta na jazdę leg.; koresp. Dąbrowskiego z Przyszychowskim, Berkiem, Karwowskim, luty-marz. 1799, o organizacyi jazdy.—O Berku por. W. G. (adon), Zbiór ustaw i obrzęd... reformy izrael. (1835), 36 sq., o pochodzeniu B. z Kretyngi na Żmudzi; Oest. Milit. Ztschr. (1845); Bibl. Warsz., II (1861); Jutrzenka (1861); Łuniński, Berek Joselowicz i jego syn (1909); por. wyżej, t. II, 324; Listy znak. Pol., 90; Askenazy w Kw. hist. żyd. w Pol. (1912); Dąbrowski do Berka Joszelowicza pułkownika, Rome, 2 lip. 1798 „Z prawdziwem ukontentowaniem doszedł mnie list Twój, ob. pułkowniku; spodziewałem się zawsze, że Ty, co pierwszym byłeś do

zachęcenia ziomków swych podczas ostatniej Rewolucyi, aby się jęli oręża w obronie kraju, nie opuścisz i tej drogi służenia Ojczyźnie przez przybycie do Legionów. Dziękuję Ci najmocniej za grzeczność, którą mi w swym wyrażasz liście, i proszę, abyś nie wątpił, że uprzejmem sercem od wszystkich przyjętym będziesz. Przybywaj więc, gdy Ci się łatwość nadarzy, do Rzymu. Życzę sobie osobiście z Nim mówić, i nim będę miał tę prawdziwą satysfakcyę, przyjmij z ucałowaniem zdrowie i braterstwo".

(Str. 83 sq.) Myśl o „bryknięciu" była też prowokowaną z podejrzanej strony obcej: Chamand do Dąbrowskiego, Ancona, 20 Jan. 1799, o swych rokowaniach z ks. Dolci Wiscovichem [o tym Dalmatyńcu, pośredniku w przekupstwach Barrasa i zapewne tajnym agencie koalicyjnym, por. Barras, II, 93, sq., Lareveillère, II, 238 sq., Landrieux, 278 sq., Guyot, 472 sq., 529, 545 sq.] i Stamatim którzy chcieliby „unsere Legionen zu embarquiren u. nach Ragusa zu schicken, um uns mit denen in Relation mit Dolci Wiscovich stehenden Völkern von Zenta u. Montenegro zu vereinigen. Diese Idée ist bei dermaligen Umständen nicht übel, insoweit unsere Leute na szyfy pójdą; aber das sage ich zum Voraus, dass kein Frauzos zwischen uns sein muss u. dass wir mit d. Maske der wider d. Griechen u. Türken entrüsteten katholischen Religion erscheinen müssen: anders richten wir so wenig aus, wie d. lieben Unsrigen in d. Moldau... Stamati... ist ein Busenfreund d. Rymkiewicz u. ist mit ihm in Correspondenz... ich hab'ihm erzählt, dass Rymkiewicz Jesuit war, worüber er sich sehr zu verwuudern schien... Wiscovich ist zu katholisch.. er sagt ohne alle Umstände, dass es für d. polnische Legionen Zeit ist, d. Joch d. Franzosen abzuschütteln, das wir von ihnen nichts zu hoffen haben u. durch uns selbst thätig sein müssen, dass er in Kurzem nach Paris gehen wird, um mit Kościuszko darüber zu sprechen... D. Kerl scheint mir entweder ein Spion oder ein Narr zu sein...". Ta myśl jednak musiała transpirować, jak widać z gróźb Macdonalda, wzmiankowanych w piśmie Dąbrowskiego do Chamanda, 20 Apr. 1799; por. też Dobiecki, Pam., Dod. Czasu, XV (1859), 207; o zeszłorocznym rzekomym pomyśle Dąbrowskiego „hopkę do Toskanii zrobić, W. Księcia wypędzić" itp., jest dziwna wzmianka w Pam. Wierzbickiego.

Misya paryska Kniaziewicza: inicyatywa pierwotna Dąbrowskiego odprawienia Kn. z małą misyą od siebie: Kn. do Dąbrowskiego, Sessa, 27: wymawia się zrazu chorobą; Dąbrowski do Championneta, Traetta, 29 janv.: posyła mu Kn. z prośbą o pozwolenie mu na wyjazd do Paryża w interesie legii; instrukcya Dąbrowskiego dla Kn., 29 janv. — Zatarg Championneta z Faipoultem: Faipoult do Ch. 22, 27 janv.; rozkaz Ch. o wydaleniu F., 6 févr., por.

Faure, 315 sq., Guyot, 893 sq.—Kn. zyskuje wielką misyę od Championneta: Kn. do Dąbrowskiego, Neap., 30 stycz.; rozk. Championneta 4, 5 févr.; Dąbrowski do Kn. 5, do Scherera 6; Kn. wyjechał 6; Kn. do Dąbrowskiego, z drogi, Med., 19 lut.; z Paryża, 8 mar. 1799.

Upadek Championneta: uchwała Dyrekt. o odwołaniu Ch. i nominacyi Macdonalda, 13, o aresztowaniu Ch. 25; Ch. wyjechał z Neapolu 28 lut. Por. Dąbrowski do Chamanda, Sessa, 8 März: „Den 27 Febr. Nachmittags ist Macdonald als Gl. en chef d. neapol. Armee hier durchgegangen, um d. Commando von Championnet zu übernehemen; d. 28 Nachmittags ist Championnet hier durchgegangen, wie man sagt, nach Frankreich... beide Feldherrn haben sich mit Fleiss verfehlt, in Aversa oder Capua, folglich haben sich nicht gesehen"; por. Macdonald, Souv., 68; Thiébault, Mém., II, 480.—Scherer mianowany na miejsce Jouberta 21 lut.—Wielhorski do Dąbrowskiego, Mant., 5, 17 mar.: wojna pewna, Scherer przybył i objął komendę.

(Str. 89 sq.) Dekada legionów: Szaniawskiego Pochwała Godebskiego, w Pismach G., I (1821), 17 sq.; Chodźko, II, 71 sq.; Drzewiecki, Pam.; najdokładniej Wierzbicki, Pam.: „za przybyciem Rymkiewicza z Godebskim do Mantui, porozumiawszy się z Paszkowskim i Faustynem Kamińskim, oficerami w wysokim stopniu nauki posiadającymi, umówili się... rozszerzać w wojsku wiadomości..., i chociaż nie byli w stanie zaprowadzić w Mantui drukarni polskiej, tłomaczyli i przepisywali wyjątki z najlepszych pisarzy zagranicznych... Wyjątki takowe, obejmujące 2 arkusze, wychodziły co 10 dni p. t. Dekady legionowej. Cypr. Godebski zatrudniał się tą pracą, a prócz wyjątków z gazet zagranicznych, umieszczał artykuły o Polakach, przydając do nich ustępy z literatury prozą, wierszem, mając na względzie utrzymanie ducha narodowego...".—Dochował się jeden oryg. numer Dekady, z mar. 1799, tuż przed klęską legii, który będzie ogł. w podobiźnie; jest tu artykuł Godebskiego o Rosyi: „Moskwa... dwóch nam wystawia apostołów: Piotra i Pawła. Piotr I stał się głową kościoła wschodniego. Paweł I przedzielił swoją na dwie części, ofiarując jedną Grekom a drugą Rzymianom. Coby rzekł Augustyn i Focyusz na ten traktat teologiczny, potwierdzony przez głowę kościoła angielskiego i gwarantowany przez następcę Mahometa?...".

Pogrom legii II: Przybycie Scherera do Medyolanu 11 mar., do Mantui 21; bitwa pod Pastrengo (Legnago) 26; o zachowaniu się w niej legii, Konopka do Dąbrowskiego, Med., 30; Journ. de la divis. Montrichard, 19—28 mars., Kosiński, N. 29; bitwa pod Magnanem (Veroną) 5 kwiet; o śmierci Rymkiewicza, [Kościuszko], Czy

Polacy mogą wybić się na niepodl. (1801): „kiedy cienie śmierci zapadły na Rymkiewicza, płakał, że nie umierał na ziemi ojczystej swojej“; Godebski, Wiersz do leg.; Kosseckiego zapiska o śmierci R.; Wielhorski do Dąbrowskiego, Mantua, 8; rozkaz Scherera o zostawieniu legii w Mantui, 11; mém. de la II lég., Kosiński, N. 30; Dyrektoryat do legii, Paris, 28 avr. 1799, Chodźko, II, 135 sq.; Hüffer, Krieg v. 1799, I (1904), 33 sq.; por. ostre uwagi Napoleona o kampanii Scherera, Corr., XXX, 254, 265 sq., z przesadnemi zresztą cyframi wojsk francuskich.

Panin do Pawła, 8 avr., z wykradzioną sytuacyą francuską, Miliutin, Ist. wojny 1799 g., III (1856), 131.—Suworow wyjechał z Petersb. 1, przybył do Wied. 25 mar., do Verony 14 kwiet.; bitwa pod Cassanem 27, nazajutrz kapitulacya Seruriera; wjazd Suworowa do Medyolanu pod wieczór 28 kwiet.; i tegoż dnia mord rastadzki.—Suworow: do początków S. za konfederacyi barskiej, por. jego listy w Zapisk. o żizni i służbie A. J. Bibikowa (Pet., 1817); za insurekcyi, j. w., t. I; Suworowskij Sborn.; Petruszewskij, Obzor Suworowskoj literat. (1903); ze starych panegiryków zagranicznych z doby napoleońskiej, z których, rzecz dziwna, wiele ukazało się w Paryżu: (Beauchamp), Hist. d. camp. du mar. S. (1802, kompilacyjne); Duboscage, Préc. hist. sur S. (1808); najciekawszy Laverne, Hist. du feldm... S. (1809), z jadowitemi wycieczkami autora, oficera dragonów, który był w Warszawie i Petersb. 1794 i Wiedniu 1799, przeciw ks. Józefowi, Kościuszce i wogóle Polsce, 212, 251, 260 sq.; o kampanii S. 1799 najpełniej Miliutin, j. w., do którego niewiele dodają Petruszewskij, Generaliss. kn. S., III (1884); Orłow, Razbor woj. djejst. S. w Ital. (1892); Grjazew, Pochod S. 1799 (1898): nowe opracowanie franc.: Gachot, S. en Italie (1903, słabe); austryackie świadectwa o S. podaje Hüffer, Quell. z Gesch. d. Kriege 1799—1800, I (1900). O wjeździe S. do Med., Petruszewskij, III, 58 sq., Hüffer, Krieg, 45; o rozmowie jego z Serurierem, Tuetey, Serurier (1899), 264 sq.; list S. do Wandejczyka Charetta, w Mém. d'un homme d'état, VII (1834), 254, 470 sq.; o proklamacyach włoskich S., por. Gohier, Mém., I (1824), 377 sq.: przyjęcie parlamentarzy włoskich przez S. siedzącego „na rundukje“, jego wejście do Mantui, goły, skacząc z nogi na nogę, oblewany wodą przez deńszczyka, itp., Russ. Star., VI (1872); o stanie zdrowia własne jego słowa, S. do Rostopczyna, Kobryń, 25 lut. 1800: „tjeło mojo wo gnojiszcze leżit,... sypi, weredy, puzyri s mjesta na mjesto perechodjat“, Miliutin, III, 647. Zdanie Napoleona: „S. avait l'âme d'un grand gl., mais il n'en avait pas la tête ...les manoeuvres de S. (en Italie)... indiquent un homme qui n'avait aucune connaissance des principes de la guerre“, Corr., XXX, 269 sq.; dane tu lapidarne „observations“ N.

mimo grubych nieścisłości co do niedość dokładnie wiadomych mu szczegółów kampanii 1799 a zwłaszcza cyfr wojsk, oraz mimo jego niechęci do Moreau i Macdonalda, biją w oczy prawdą; on znał teren, jak nikt.

(Str. 93 sq.) Łegia I na północ: obostrzone walki na południu: raporty Chłopickiego, Jabłonowskiego, Ruttié, Konopki, Forestiera, Zeydlitza, Berka, do Dąbrowskiego, 14-23 mar.—Rozkaz Scherera, odwołujący legię I, datowany 27 mars, nazajutrz po bitwie pod Legnago.—Pierwsza wieść o porażkach: Chamand do D., Anc., 6, 14 Apr.; Zawadzki, wysłany z Wybickim 29 mar., wróeił do D. 21 kwiet.—Rozkaz Macdonalda, pozwalający legii I ruszyć na północ, Napl., 24 avr.—D. z kwaterą główną legii wyruszył z Sezzy 27 kwiet.—Marsz legii: 29 w Terracinie; 30 kwiet. w Mezy; 3, 4 maja w Rzymie; por. Monitore di Roma, 3 magg., N. 14: „il corpo polacco... è qui oggi arrivato per riunirsi ai suoi fratelli di arme dell' armata d'Italia. Questo corpo... è condotto dal gen. Dabrovoscki... (*sic*) Il popolo romano vede con dispiacere questi bravi difensori della libertà allontanarsi dal suo territorio; gli accompagna nella loro marcia con i più vivi sentimenti di gratitudine...“; Galimberti, Mem., 3, 7 magg.; D. do Macdonalda, Scherera, Chamanda, Rome, 4 mai; 6 w Civita Castellana, 8 w Spoleto, 9 w Foligno, 13 w Perugii; o stratach D. nad Trazymenem, 13-4, por. Hüffer, Krieg, I, 261; śmierć Chamanda 14; 16 we Florencyi, 19 w Lucce, 26 maja w Pontremoli, 2-8 czerw. w Fivizzano, 13 czerw. 1799 w Reggio, gdzie złączenie z Macdonaldem.

(Str. 97 sq.) Trebbia: taktyka Suworowa a Hannibala: Liv., XXI: „Hannibal prima luce Numidas equites transgressos Trebiam flumen obequitare jubet hostium portis, jaculandoque in stationes elicere ad pugnam hostem, iniecto deinde certamine cedendo sensim citra flumen protrahere...“.—Najpodd. doniesienie Suworowa, z Alessandrii, 19/30 czerw. 1799, pełne przesady i przechwały: pierwszego dnia, 17, „Poljakow“ jeńców na 400, zabitych 600; drugiego, 18, na 603 i 500, trzeciego, 19 czerw., na 429 i 629, co dałoby 1432 jeńców i 1729 zabitych, czyli ogółem stratę 3161 ludzi, nielicząc rannych; przebija tu, jak i w innych, przeważnie niewyd., relacyach rosyj. z tej kampanii, nieprzejednana do Polaków zawziętość.—Ścisłą i bezstronną „sprawkę“ fachową o operacyach nad Trebbią otrzymał piszący od pułk. Polikarpowa, dyrekt. Mosk. Arch. Szt. Gł., na podstawie akt tego Arch.—Dość dokładny wykład Trebbii daje Miliutin, Ist. wojny 1799 g., I, 531 sq.; por. Orłow, Suworow na Trebbii (1895); Zap. Denisowa, Russ. Star., XII; Petruszewskij, Generaliss. kn. S., III (1884), 117 sq.—Ze strony franc., Gachot, Souvorow en It., 230, 246 sq., dość powierzchownie, głów-

nie wedle Chodźki, z niesłusznym wyrzutem „négligence des Polonais“. Por. Macdonald, Souven. (1892), 91 sq. O ataku Bagrationa uwagi C. F. P. Massona, major d. grenad. du gd. duc Alexandre. Mém. secr. sur la Russie, III (éd. 1859), 232 sq.: „que l'ascendant acquis et conservé depuis un siècle de la part des Russes sur les Polonais ait augmenté la confiance des premiers“; zgadzałaby się z tem relacya Estki, j. n.—Hüffer, Krieg, I, 272 sq.

Relacye polskie: dochowały się z drugiego dnia samej bitwy dwie kartki Dąbrowskiego do Victora, Gossolengo, 18 juin.—Wkrótce po bitwie redagowany był cenny operat Dąbrowskiego, Journ. de la guerre en Italie avec les Austro-Russes du 28 flor. jusqu'au 7 mess VII (16 mai-25 juin 1799); jestto najdokładniejszy fachowy opis Trebbii; por. wyciąg w Mém. mil. D., Pam. wojsk., 81 sq., Chodźko, II, 184, 408 sq.—Tomaszewski, Tabl. hist., o dowództwie franc. pod Trebbią: „une inimitié, une mésintelligence et une jalousie sans bornes a dominé les esprits de tous les généraux français (wyjmuje Victora)... L'honneur, la gloire et le salut de toute l'armée, le bien de la cause publique, l'outrage du caractère national, l'attentat enfin à leur propre renommée n'étaient pas des motifs suffisants pour les rendre à l'union et les détourner du désordre qui menaçait toute l'armée et son honneur“.

Bratobójstwo: Polacy austryaccy pod Trebbią, por. t. II, 71 sq., 297 sq.; Aleks. Sułkowski w sztabie austr., Crossard, Mém. mil. et hist., II (Par., 1829), 47, 138.—Polacy rosyjcy: stany służby Szembeka [„w 1792 g... pod Zielencami,... Dubiankoju, Markuszewym,.... 1793 po osobomu nastawlenju pri rasformirowanji polskich połkow i pri wzjatii goroda Kamenec-Podolskawo, za userdnuju służbu i rewnost' Wsemiłostiwjejsze nagrażdion ordenom sw. Władimira 3 stepeni... po ros., pol., franc., italj., istorji, geografii i geometrii umjejet...]“, Powały-Świejkowskiego, Wysockiego, braci Lubeckich [figurują w stanie służby „iz rossijskawo knjażestwa“; „junja 6, 7, 8 i 9 (=17-20 czerw.) w generalnoj batalii pri rjekach Trebbii i Tidone, za czto Wysocki i Lubecki połuczyli Monarszeje nagrażdenje ordena sw. Anny 3 klassa“] itd.; bliższe skazówki o Polakach w armii rosyjskiej udzielone będą w t. IV, przy kampanii 1806-7.

Dochowała się przepyszna relacya kap. Jana Amiry, wziętego pod Trebbią, do Dąbrowskiego, Gorizia, 17 juill., o rozmowie, zaraz na polu bitwy, z Suworowem i W. Ks. Konstantym, [który pod nazwiskiem hr. Romanowa przybył 7 maja w Vogherze do armii rosyj.]; inne ciekawe z niewoli pisma porucz. Sykst. Estki, siostrzeńca Kościuszki, do Kniaziewicza, z Brodów, 15 wrześ. 1799, szefa Zawadzkiego do tegoż, Kleinzell, 16 mar. 1800 itd. W dochowanym spisie imiennym mieszczą się nazwiska 7 polskich oficerów zabitych i 35 wziętych do

niewoli.—Fałszywe ładunki: Dąbrowski do Forestiera, Fivizzano, 5 czerw.: „Znalazły się między ładunkami u Francuzów wiele bardzo takich, w których były kule woskowe. Każ więc co tam masz jaknajściślej przerewidować, a jeśli podobne się znajdą, staraj się dowiedzieć, skąd były brane, o czem mnie donieś". Te rzeczy się powtarzały, jak wynika z reklamacyi Dąbrowskiego au chef de brigade directeur gl. des parcs d'artillerie de l'armée, Campofreddo, 14 sept. 1799: „Dans le dernier envoi que vous m'avez fait de 100.000 cartouches, il s'en est trouvé beaucoup avec des balles de bois. Comme cet objet est de la dernière conséquence par les suites qu'il peut avoir et par la méfiance qu'il inspire aux soldats, je vous invite à y faire la plus scrupuleuse attention".—Por. dziwną analogię wcześniejszą, Verri, Vicende memor., 218 sq.: „a Castiglione (1796)... sul campo di battaglia si trovarono palle da cannone di legno affumicate, e in quel di Valeggio molte palle d'archibuso composte di sughero coperto di lame di piombo".

(Str. 102 sq.) Kapitulacya Mantui, 28 lip.; Hüffer, Quellen, I[1], N. 71, Zach do Alvinczego, 5 Aug. 1799, stwierdza winę Foissaca: „d. Einnahme von Mantua gehört unter d. glücklichsten Ereignisse... d. Kommandant (Foissae) hat d. weiteren Hindernisse nicht benutzt, wurde irre..."; por. Am. Kosiński we Wł., NN. 32-45, 116; Chodźko, II, NN. 55-76; papiery Wielhorskiego; Godebski, Pam. oblęż. Mantui, wyd. syn Ksawery (1864); id. przedr., Am. Kosiński we Wł., 354 sq.; Grenadyer filozof, Pisma, I (1821); obszerna apologia Foissaca. Précis... d. opérat.: dans la place de Mantoue 9 germ.—10 therm. VI (Par., 1800); piorunujące pismo Bonapartego do Carnota, 24 juill 1800: „Foissac-Latour trouvera dans le mépris public la plus grande punition que l'on puisse infliger à un Français", i dekretacya na wniosku minist. wojny o pensyi Foissaca, 25 août 1801: „Ne plus prononcer ce nom", NN. 5019, 5703; por. Corr., XXX, 284.

(Str. 105 sq.) Dąbrowski do Moreau, Fivizz., 28 juin (przez Jabłonowskiego), 17 juill.; Gênes, 26 juill. 1799 [jestto pierwsza ściślejsza styczność broni i sprawy polskiej z Moreau].—Prairial, 18 czerw.: po wylosowaniu Reubella 9 maja, unieważnieniu Treilharda 17, przymusowe usunięcie Lareveillèra i Merlina 18 czerw.; Bernadotte min. woj. 2, Reinhard spr. zagr. i Fouché policyi 20; Joubert wodzem 4, Championnet 8 lip.

Naganka na Dąbrowskiego: zaczęło się od ostrej odprawy Kniaziewicza do Neymana, 3 avr.; Szaniawski da Mycielskiego, 8 lip.: „z kliką Barssa i Dąbrowskiego niedługo otwarta zaczyna się wojna", 17 lip., 8, 10 sierp.; Neyman, patriote réfugié pol., dwa listy otwarte w Journ. d. hommes libres, 17 juill., N. 29: „D. s'est livré aux cosaques... ce bas valet de Souvorow ...ce complice des

artisans de notre destruction" itd., i 8 août: wyd. uzupełnione jako broszura Sur Dąbrowski; jednocześnie wznowiono zeszłoroczny List „Woytyńskiego", wydano go po włosku, jako Lettera di Varsavia, i posłano do armii włoskiej [Skałkowski, J. H. Dąbrowski, 314, naopak uznał List Woytyńskiego mylnie za parafrazę paszkwilu Neymana]; Kniaziewicz do Bourdona, min. maryn., 17 juill., natychmiast wniósł skargę z tego powodu przeciw Neymanowi, jako podpor. w pułku franc. przeznaczonym do Gwadelupy; wdał się w to bawiący wtedy w Paryżu Jan Dąbrowski do Bourdona, 22 juill., oraz Sokolnicki; Dąbrowski do Rożnieckiego, (który mu skwapliwie o napaściach Neymana doniósł i namawiał do repliki), 3 sierp.: „co się tyczy paszkwilów, co na mnie po gazetach podali, jest znakiem, że o mnie pamiętają i przez to zapewne chcą mówić moim przyjaciołom, że ja jeszcze żyję... Kto czas ma a urażony, niech na to odpisze; ja ani się czuję być urażonym, ani czasu nie mam. Trzymam się w tym razie Montecucculego:... faire le bien et souffrir le mal qu'on dit de (vous), se moquer des fous, mépriser les méchants et se contenter de l'approbation des gens de bien et de mérite"; do Larocha, 5; do Pflugbeila, 29 Aug., 25 Sept., por. t. II, 300; do Moreau, Gênes, 4 sept. W związku z tą sprawą, jako planową przegrywką do niebawnego wciągniecia Kościuszki do Tow. Rep. i wyprowadzenia się jego od Barssa, por. jeszcze Championnet do Bernadotta, Par., 12 juill. (z gorącem poleceniem Wołodkowicza i Chadzkiewicza); Kniaziewicz do Chadzkiewicza, 14, 15, Dąbrowskiego, 24 lip.; Neyman do Kościuszki 30 lip.; Barss do Wybickiego, 31 lip., 20 sierp. 1799.

(Str. 111 sq.) Novi, 15 sierp. 1799; rel. Moreau, u Chodźki, II, 482 sq.; Saint-Cyr, I, 240 sq.; Miliutin, II, 42 sq., o zasługach Świejkowskiego w tej bitwie; Hüffer, Quell., II, i Krieg, 345 sq.; Gachot, 367 sq., wedle raportów Watrina: „les Polonais tour à tour pleins de fougue et de mollesse"; Dąbrowski do Watrina, 18 août; Tomaszewski, Tabl. hist.—Dymisya Bernadotta i prowizoryum Mileta, 14 wrześ.; na ten dzień antydatowana późniejsza nominacya Dubois-Crancégo, por. Barras, IV, 15 sq.; Vandal, Avènement de Bonaparte (1902), I, 188 sq., gdzie jednak niedoceniona groźba Bernadotta.—Odmarsz Suworowa z Włoch do Szwajcaryi 9, bitwa pod Bergenem 19 wrześ.—Championnet w Genui 20 wrześ.; por. surowe zdanie Napoleona o jego kampanii jesiennej 1799, Corr. XXX, 289, 302.

(Str. 116 sq.) Kościuszko i Kniaziewicz w Paryżu: Kościuszko do Dyrekt., 25 août 1798, ogł. Kozłowski, Rev. d. rev., XXIX (1899), z mylną datą; do Bruna, 26, j. w., 403; do Scherera, 27, ogł. Skałkowski, 164; do Dąbrowskiego 30 [z dołącz. odpowiedzią Sche-

rera, 28]; do Nadolskiego, 30 sierp.; do Vignolla, 4 sept; [Wybicki do K., 10, ogł. Korzon, b. d., Tyg. ill., l. c.; Dąbrowski do K., 10, 12, 14 wrześ.]; do Bruna, 4 oct.; do Dąbrowskiego, 4, 14; do Dyrekt., 15, ogł. Kraushar, Kw. hist., XII (1898), 305, z mylną datą; [rząd cyzalp. do K., 17, ogł. Korzon, Dopełn., 60]; do Dąbrowskiego, 19; do oficerów legii I, 19; do Scherera, 29 oct., przedr. Kozłowski, 251 sq.; do Dąbrowskiego, 11, 17 list., [Dąbrowski do K., 2 grud. 1798], 11 stycz. 1799; do Dyrekt., Notice sur les Russes, 23 janv., ogł. Hüffer Quell., I (1900) 143 sq., przedr. Skałkowski, 164 sq.; [Dąbrowski do K., 5 lut., ogł. Korzon, Tyg. ill.]; do Dąbrowskiego, 18 lut. 1799.

Kniaziewicz przybył do Paryża 4 mar. 1799; akt złożenia chorągwi 6 (nie 8, jak mylnie u Chodźki, II, 114 sq., gdzie również mylnie wymieniony Dubois-Crancé zamiast ówczesnego min. woj. Mileta); por. opis i mowy w Rédacteur, 7 mars 1799, N. 1176; inne szczegóły w zapisce własnor. Kosseckiego, oraz w Pam. Drzewieckiego, 133.—Kn. do Championneta, Par., 8 mars; do Dąbrowskiego, 8; do Mileta, 14, 16; Kościuszko do Dyrekt., 16, ogł. Skałkowski, 169 sq.; Kn. do Dyrekt., 18; [uchwała Dyrekt., 19, o pensyi 18 tys. fr. dla Kościuszki, płatnej od 21, ogł. Kozłowski, Rev. d. r., 250, przedr. Skałkowski, 213; Plancy, który, jako zięć Lebruna i wysoki urzędnik, mógł to wiedzieć, stwierdza wyraźnie, Souv., l. c., że „le Directoire avait offert à Kościuszko une pension, ...mais il l'avait refusé, disant qu'il ne pouvait rien accepter de la France en l'état de gêne financière où il la savait"]; K. do Talleyranda, 25 mars, ogł. Skałkowski; j. w.; [Talleyrand do K., do Rivauda 1 avr.]; Kn. do Dąbrowskiego, 14, Kw. hist. XIII (1899), 523; do Talleyranda, 27 avr.; K. do Dyrekt., 1 mai, ogł. Wierzbowski, Aten (1881), I, 140 sq.; [Milet do Dyrekt., 1, 20 mai, Rev. d. r., j. w.]; K. do Mileta, 8 juin; do Talleyranda, 11, ogł. Skałkowski, 172; do Dyrekt., 29 juin; [Talleyrand do Bernadotta, 3 juill., nazajutrz po jego nominacyi, ogł. Skałkowski, 219]; K. do Bernadotta, 10, ogł. Skałkowski, 104; [orędzie Dyrekt. do Ciał prawod., 10 juill.]; Kn. do Wybickiego, 10, 19 lipca 1799, w List. znak. Pol., 27 sq.

(Str. 125 sq.) Sprawy polsko-francusko-szwajcarskie: Oechsli, Gesch. d. Schweiz im XIX Jhd. I (1903); Tillier, Gesch. d. helv. Republ. 1798-1803, I (1843); Muret, L'invas. de la Suisse (1881), I, 7, 77, II, 17; (Jahn) Bonaparte, Talleyrand et Stapfer (1869); Budé, Les Bonaparte en Suisse (1905); Steiner, Napoleons I Polit. u. Diplom. in d. Schweiz (1907); Guillon, Napoléon et la Suisse 1803-15 (1910); Strickler, Amtl. Sammlung d. Acten aus d. Zeit d. Helv. Republ., IV (1892); Dunant, Relat. dipl. de la France et de la Républ. helv., w Quell. z. Schweizergesch., XIX (1901). — La-

harpe: Suchomlinow, F. C. Laharpe (1871); Edm. de Laharpe, Notice sur la famille de L. (1884); relacye L., Russ. Star. I (1870); Sborn. R. I. O., V; Pingaud, Corresp. de L. et Bry, 1798-9, Arch. de la Soc. d'hist. de Fribourg, IV² (1888); L., Mém. écr. par lui-même (éd. Vogel, 1864), 103, 106 sq., o Zeltnerze; Marès, Précis de la guerre en Suisse 1799 (1909), 251 sq.: Luginbühl, Ph. A. Stapfer (1888), 298 sq.; memoryał Laharpa, do spółki z Pozzem, dla Aleksandra I, przeciw odbudowie Polski, 7 juill. 1814, Szylder, Imper. Aleks. I, III, 534 sq.; nędzne napaści na Polskę w listach L. do Stapfera, 30 mai 1832, 19 févr. 1834, Luginbühl, Aus Stapfers Briefwechsel, II, Quell. z. Schweizergesch., XII (1891), NN. 296, 299; por. ostrzeżenie Merlina do Dyrekt., 9 juill. 1798: „ne vous fiez pas à L., jadis esclave et soudoyé des czars", Dzwonkowski w Kwart. hist., XXIV, 239, oraz sąd Tourgenieffa, La Russie et les Russes, który go poznał w starości: „mr. L. ne tenait à la Russie que par les pensions qu'il en recevait... courtisan-républicain". — Zeltnerowie: W. R (ust), Altlandvogt F. X. Zeltner, w Zürich. Post, (1895), NN. 117, 120, 122; Türler, Aus d. Album von R. S. Walthard, w N. Soloth. Wochenbl. (1912) N. 8; Coston, Prem. ann. de Nap. Bonap., I (1840), 499 sq.; Paszkowski, Dzieje T. K., 217: Jenner-Pigott, Gottl. v. Jenners Denkwürd., 1765—1834 (1887), 36 sq.: Tillier, Dunant, Strickler, itd., j. w., pass.

(Str. 132 sq.) Założenie Tow. Republ. warsz., 21 wrześ. 1798; por. Tokarz, Ost. lata Kołłątaja, I, 212 sq., gdzie należy niektóre sprostować nieścisłości; Askenazy, Łukasiński, I, 192 sq., 379.— Orchowski przybył do Paryża 26 kwiet. 1799; por. o nim Kron. emigr. pol., V (1837); Sprawozd. Muz. rappersw., (1908; niekrytycznie); fagasowskie jego pismo, Aloys O., poln. Edelmann, Uber d. Wiederherstell. d. Friedens von Polen im Interesse Russlands, Preuss., Oestr. u. ganz Europas (Cassel, 1831).—Akces Kościuszki do Tow. Republ. (po uprzedniej przygotowawczej, planowej akcyi potwarczej Szaniawskiego, Neymana itd. w ciągu lipca, j. w., obliczonej na zasuggestyonowanie K.) i zamiana przezeń przysięgi z Orchowskim, Par., 20 therm. VII (7 sierp. 1799).—Wyprowadzenie się K. od Barssa, 14 sierp.; por. Kn. do K., 14, Kw. hist., XIII (1899) 779 sq.; Szaniawski do Giedroycia, 18; Barss do Wybickiego, 20, Listy znak. Pol. 53 sq.; Kn. do Wybickiego, 21 sierp., ib., 1 sq., że K. postąpił „jak Rymkiewicz w Rzymie"; do Dąbrowskiego, 16 wrześ., Kw. hist., 529: „słowem, tak jak Rymkiewicz zrobił w Rzymie"; Orchowski do Mycielskiego, 21 paźdz.; Drzewiecki, 149 sq., z pomieszaniem dat; Akta Tow. Republ.; koresp. Barssa i Kosseckiego.

(Str. 140 sq.) Legia nadreńska: Kościuszko do Bernadotta,

10; orędzie Dyrektoryatu do Ciał prawod., 10 juill., j. w.; Championnet do Bernadotta, 12 juill.; Kniaziewicz do Bernadotta, 2 août; do Fouchégo, 4; uchwała Rady Pięciuset, 31 août: „le Conseil des 500, considérant que, si les rois coalisés déploient des armées nombreuses contre les peuples libres, il importe à ceux-ci d'admettre dans leurs rangs tous les hommes qu'un élan sublime appelle à combattre pour la cause sacrée de la liberté...“; sankcyonowana przez uchwałę Rady Starszych, 8 sept.; publikowana jako Loi qui autorise la création d'une nouvelle Légion polonaise, w Bullet. des lois de la Républ. [(1799) CCCVII, N. 3251 [por. ib. prawo o légion italique, N. 3250].—Kn. do Bernadotta, 8, 12 sept. [Bernadotte ustąpił 15 wrześ.]; K. do Dyrektoryatu [w Aff. Etr. w kopii b. d.=9 sept.; ogł. w Kw. hist., XII, 306, z mylną datą 10, należącą do następnego dokumentu]; do Reinharda [który 5 wrześ. przybył do Paryża i objął spr. zagr. po Talleyrandzie], 10 sept. [ogł. przez Kozłowskiego, 254, i Kraushara, j. w., 306, z mylną datą 15 oct. 1798]; do tegoż, 17 sept.; raport Reinharda do Dyrekt., 26 sept. [ogł. Dzwonkowski, Kw. hist., XXIV, 231 sq.; końcowy ustęp przedr. Skałkowski, 112]; Kn. do Dubois-Crancé, 5 oct.: K. do Dyrekt., 5 oct. [ogł. z mylną datą 4 oct. 1798 przez Kozłowskiego, Rev. d. rev., XXIX, 252; ogł. tamże, 255, list K. do ministra wojny Carnota, 24 sept. 1799, odnosi się oczywiście do 1800]; Dubois-Crancé do Kn., 8; K. do Dyrekt., 9 oct., ogł. Dzwonkowski, 233 sq.; Guttin do Reinharda, 13; Reinhard do Dyrekt., 14 oct. [Traczewski, Sborn. R. I. O., LXX, 644 sq., to poparcie legii polskich mylnie przypisuje Talleyrandowi zamiast Reinhardowi]; Orchowski do Mycielskiego, 14 paźdz.; K. do Dyrektoryatu, 25 oct. [ogł. Kozłowski 255, i Kraushar, 308, z mylną datą]; do Dąbrowskiego, 26 paźdz., ogł. Skałkowski, 173; do Dubois-Crancé, 28 oct. 1799, ib.—Początki organizacyjne w Phalsburgu: koresp. Kniaziewicza, Kosseckiego, Fiszera.

(Str. 149 sq.) Powrót Bonapartego: wrócił do Paryża 16 paźdz. o 6 rano; pierwsze widzenie się z Kościuszką 17 paźdz. [por. relacyę naoczną Drzewieckiego, 146: „Bonaparte Dyrektoryat odwiedza, jedzie na Zgrom. Rady 500 (co odbyło się 17 przedpoł.); stamtąd prosto do Kościuszki wieść się każe“; Falkenstein, Th. Kościuszko (1839) 192; Paszkowski, 200]; spotkanie na bankiecie Rad, 6 list.; nazajutrz, w Bien Informé, 7 nov., uwaga pochodząca zapewne od redaktora tego pisma, Bonnevilla, przyjaciela Kościuszki (j. w., 401): „on a observé que le gl. Kościuszko était à ce diner, mais son voeu, qui, sans doute, est de rendre à sa patrie la liberté, n'y a pas été entendu. Il n'a pas eu la parole à ce diner“, Aulard, Paris pend.

la réact. thermid. et sous le Direct., V (1902), 758 sq.—Zamach brumaira, 9-10 nov.; o interwencyi Szaltzera, Drzewiecki, 148, 155; ten Szaltzer, major w kampaniach pol. 1792 i 4, był 1798 attaché przy Vignollu min. woj. cyzalp., potem wszedł kapit. do legii nadr., Kw. hist., XXIV, 233, 336, Skałkowski, 118.—Konsulat prowizor. 10 list., dziesięcioletni 14 grud. 1799.

(Str. 155 sq.) Podania dymisyjne Championneta, 14 oct., 5 nov., Coston, I, 511 sq.—Bitwa pod Bosco, 24 paźdz.; Dąbrowski, Mém. mil.; Tomaszewski, Tabl. hist.; Chodźko, II (upiększone); Seume, Spaziergang nach Syrakus, Sämmtl. Werke, I (1839); Schiller, Dreissigj. Krieg; wtóra bitwa pod Novi 6 listop. 1799.

Memor. Bonneau do konsulów, 14 nov., o odbudowie Polski; Kniaziewicz do Berthiera, 16, do Bonapartego, 19; dziwna dekretacya Bonapartego, 22 nov.: „les légions pol. en Italie feront partie de la légion du Danube", Chuquet, Ordr. et apost., I (1911). N. 13; Berthier do Talleyranda, 25 [posyła mu do opinii, z rozkazu konsulów, powyższe pisma Kn.; Talleyrand, po dymisyi Reinharda, 21 list., objął z powrotem spr. zagr.]; Talleyrand do konsulów, 26, 28; nominacya Kn. szefem legii nadd., 28 nov.: Kościuszko do Talleyranda, 4 déc. [ogł. Kozłowski, 256, z mylną datą 3, i Kraushar, 309, b. d.]; Talleyrand do Berthiera, 6; Berthier do Kniaziewicza, 7; Talleyrand do Berthiera, 22 déc. 1799 [ogł. Skałkowski, 127, z mylną datą 4 janv. 1800].

Rozkaz dzienny Championneta, Gênes, 20 nov.: „...Ce héros de la France Bonaparte, qui vous a conduit à la victoire, ...s'occupe de sauver la patrie... l'héros de l'Italie et d'Egypte connaît toute l'étendue de vos besoins et de vos souffrances; il s'occupe de les faire cesser..." (dołącz. Bull. des lois, CCCXXI, z uchwałami zamachu bumaira).—Adres oficerów leg. do Dąbrowskiego, o jego wyjeździe do Paryża, Ovada, 1 grud. [w Pam. woj., 223, i u Chodźki, II, 255, mylnie 2]; Dąbrowski do korpusu, 1; do Kościuszki, Ovada, 3; D. w Genui 5, w Nizzy 12, w Lyonie 25, przybył do Paryża 31 grud.—Bonaparte do Dąbrowskiego, Par., 25 déc. 1799: „...dites à vos braves, qu'ils sont toujours présents à ma pensée, que je compte sur eux, ...et que je serai toujours leur ami et leur camarade", N. 4452; Chodźko, II, 257.

(Str. 166 sq.). Dąbrowski do Bonapartego, Par., 6; Kościuszko do Bonapartego, 18 janv. 1800; Berthier do Kniaziewicza, 22 déc. 1799, 2, 8, 10, 12 janv. 1800; Kniaziewicz do Dąbrowskiego, 23 stycz.; raport Berthiera do konsulów, fin janv., Skałkowski, O kok., 122 sq.; uchwały konsul. o leg., pol., 10 févr., Skałkowski, Corr. inéd. de Nap., 17 sq.; Dąbrowski do Wybickiego, 13, do Kniaziewicza, do Jabłonowskiego, 15 lut.; Barss do Kosseckiego, 1, 4, 5, 12, 13, 28

lut., 6, 9, 10, 14, 16, 24 mar., 1, 28 kwiet.; do Kniaziewicza, 7, 12 mar.; Dąbrowski z oficerami w Tuileryach u Bonapartego, 6 mar.; uchwała konsul. o leg. pol. we Włosz., 13 mars, Corr. inéd., j. w.; Dąbrowski do Berthiera, 17; Berthier do Kniaziewicza, 18; do Kościuszki, 22; do Dąbrowskiego, 29 mars: akceptuje jego żądania względem odznak i kolorów; Carnot, [który objął min. wojny po Berthierze, mianowanym 2 kwiet. dowódcą armi rezerwowej] do Kościuszki, do Dąbrowskiego, 3 avr.; do Kniaziewicza, 12; do Dąbrowskiega, 27 avr. [por. Chodźko, II, 494 sq.]; Kościuszko do Carnota, 20, 25; Carnot do Kościuszki, do Dąbrowskiego, 27 avr. [Chodźko, II, N. 79]; Lacuée (w zastępstwie Carnota) do Kościuszki, 7, Carnot do Kościuszki, 9 mai.—Dąbrowski wyjechał z Paryża 16; stanął w Marsylii 24 maja 1800.

(Str. 178 sq.) Marengo: Cugnac, Camp. de Marengo (1901-4); Gachot, Le siège de Gênes (1908); Koch, Massena, IV (1849); Hüffer, Krieg, II (1905); Herrmann, D. Aufstieg Napoleons (1912), itd.—Bonaparte wyjechał z Paryża 6, przez św. Bernarda 20 maja, w Medyol. 2, pod Marengo 14; rozejm pod Alessandrią, 15; Bonaparte do Franciszka, Med., 21 (antydat. Marengo, 16); reorganizacya Cyzalpiny, 17, 22; wyjazd z Medyol. 25 czerw.; powrót do Paryża 2 lip. 1800. — Wierzbicki, Pam. leg., prócz Wołodkowicza i Larocha, wzmiankuje o „oddziale Polaków“ pod Marengo, gdzie również, wedle swego stanu służby, znajdował się Kaz. Lux; o obecności ze strony austryackiej Al. Sułkowskiego, por. wyżej, 413, i Gachot, Siège de Gênes, 244, 321; w ciekawym liście, ogł. w Świecie, VII (1912) N. 3, por. Kolecki, z rgtu austr. Reisky, mówi o sobie i 600 Polakach wziętych do niewoli franc. pod Marengo.—O spisku przeciw Bonapartemu podczas Marenga, spożytkowanym w powieści Balzaca, Ténébr. aff., por. Girardin, Journ. et souv., III (1828), 175 sq.; Miot de Mélito, Mém., I (1873), 276 sq.; mme d'Abrantès, Mém., IV, 549 sq.; Savary, Mém., I, 343; Hamel, Conspir. du gl. Malet (1873), 53 sq.; Bailleu, Preuss. u. Frankr., I, N. 345, itd.

(Str. 183 sq.) Czartoryski do Włoch: dyskretna wzmianka o tej aferze w jego Mém., I; poufna jego koresp. z bratem Konstantym, ks. Wirtemberską, Bernatowiczem, 1799-1801. Czartoryski do Rostopczyna, Vienne, 7 oct.; do Pawła, [zmuszony podpisywać się „W. Imp. Wiel. wsjepoddanniejszyj rab“], Flor., 31 déc. 1799, 7, 14 janv., aż do 5 juill. [odtąd, skutkiem Marenga, ucieka przed Francuzami z dworem sardyńskim na południe], Pise, 18 juill., Rome, 2 août 1800 i nast.; dochowało się też kilka pism jego do Suworowa.—Małżeństwo palatyna Józefa z W. ks. Aleksandrą: ślub 30 paźdz. 1799; Kaj. Ign. Kicki był arcyb. lwow. 1797-1812; o pobycie na Węgrzech i zgonie palatynki, Zapiska popa o. A. O. Samborskiego,

ogł. Lamanski, w zbiorze Kaszpirewa, Pam. now. russk. ist., II² (1872), 47 sq.; por. Karnowicz, Zamiecz. i zagad. licznosti XVIII i XIX st. (1893), 324 sq.; Czartoryski, Mém., I, 282, przyznaje „quelque ombre de vraisemblance à ce que l'on disait sur la mort de l'archiduchesse". — Saint-Julien do Paryża 21, podp. prelim. pokoju z Talleyrandem 28 lip.; Thugut do Saint-Juliena, 11 août, odmawia ratyfikacyi.; por. Ducasse, Hist. d. nég. dipl. rel. aux traités de Mortfontaine, Lunéville et Amiens (1855); Vivenot, Vertr. Briefe, II; Fournier, Hist. Stud., I; Hüffer, Quell., II. — Brune na miejsce odwołanego Masseny do Włoch, 13 sierp.; wypowiedzenie rozejmu przez Moreau 29 sierp., przez Bruna 4 wrześ.; ostateczne wypow. rozejmu 13 listop.; wznowienie kroków woj. we Włoszech 24, w Niemczech 28 list. 1800. — Lucchesini: Bailleu, II; o tajnym nad nim nadzorze, przekupieniu jego kamerdynera Juliana, itp., pocieszne szczegóły w raportach agenta „Pallaviciniego" do prefekta policyi par., 1800-1, Souven. hist. II (Leipz., 1835-6), 82 sq.; por. Dropmore papers, VII (1910) 91; Hauterive Police secrète du prem. empire, I (1908) NN. 1542 sq., II (1913) NN. 8, 13 sq.; o synu, Maur. Lucchesinim, ur. w Warszawie 1790, a od 1808 porucz. 7 pułku drag. franc., adjutancie Baraguey d'Hilliessa, oraz końcu starego L., por. mme Rémusat, Mém. III (1880) 30 sq.; Reumont, Gräfin Albany, II, 103 sq.; Pélissier, Portefeuille de la csse d'Albany (1902), 117 sq.; Griois, Mém., I, 396.

(Str. 192 sq.) Legia naddunajska: koresp. Kniaziewicza, Kosseckiego, Fiszera, Barssa; Roczn. Tow. hist. lit. (1867); Bronikowski, Pam. pol., II (1845); Kron. Rodz. (1884); Sokolnicki, Gł. M. S.; Kozłowski, Dzwonkowski, Skałkowski, j. w. — Kościuszko do Bonapartego (pocz. lip. 1800); do Carnota, Masseny, id. — Dąbrowski do Bonapartego, Mars., 7 juill., przez Downarowicza, Chodźko, II, 277 sq. (z błędami); do Masseny, 15, 23; do Carnota, 20; Massena do Bonapartego, Mil., 30, z poparciem prośb Dąbrowskiego; Carnot do Masseny, 31 juill. — Kniaziewicz do Bonapartego, Strasb., 2 août 1800.

(Str. 207 sq. Myśl powstańcza Kościuszki: jego przypis na zaręczeniu przysiężnem, 14 therm. VIII, 2 sierp. 1800. — Orchowski do Dozoru Tow. Republ., Mogun., 28 paźdz. 1800. — Czy Polacy wybić się mogą na niepodl. (w Prykopiu n. Donem = Paryż, w drukarni Baudouina, jedynej mającej wtedy czcionki polskie), z datą in fine „w miesiącu czerwcu 1801" [antydatowane dla wytłomaczenia dojścia pod koniec lata do Paryża]; wtóry przedr., Jan Leszczyński mag. praw, urzędn. Kom. przych. i sk. (1831); w trzecim przedr. fikcyjnie „w oswobodzonej Warszawie 1831" [=istotnie we Lwowie, w Inst. Ossol., 1834] po raz pierwszy błędnie poda-

ne jako „dzieło generała Kniaziewicza“; następne ed., w Poitiers i Paryżu, 1839 i 1843. Szczegóły redakcyi przez Kościuszkę pospołu z Pawlikowskim, w koresp. Orchowskiego [jego relacya w Sprawozd. Muz. rappersw. (1908), 70 sq., bałamutna], Barssa, Kniaziewicza, Dąbrowskiego; Barss do Kosseckiego, 26 list.: „...książki tej odesłać Ci nie mogę... za widzeniem się powiem Ci, co się z nią stało“ [oczywiście zaskarżył ją u rządu przez Bonneau]; Bonneau do Talleyranda, 27 nov. (ogł. Skałkowski, 136 sq.), 31 déc. 1800.—Pawlikowski: jego Réponse aux assertions de l'auteur [=Anthinga] des campagn. de Suworow au sujet de celle que ce général fit en Pologne en 1794 (Par., 1799); [Józ. Pawlikowski] Dalszy ciąg sprostowania mylnych pism wzgl. Kościuszki, Weter. pozn., II (1825), 70 sq.; id., Pam. o Kościuszce, ogł. Siemieński, w Przegl. Pol. (1876), I, 68 sq.; Metternich do Stadiona, Par., 12 janv. 1809: „Horodyski... est lié avec un certain Pawlikowski, également Galicien, fils d'un maréchal ferrant, et établi depuis 18 ans à Paris... souvent employé à porter les lettres... qui était naguère secrétaire de Kościuszko“; por. Askenazy, Łukasiński, II, 82, 323, Stan. Zamoyski, Notices: „Pawlikowski, espèce d'escroc; mériterait tout au plus d'être traduit devant un tribunal de police correctionnelle“; por. przeciwnie pochwały Prądzyńskiego, Pam., I (1909), 168 sq.

(Str. 220 sq.) Hohenlinden: Hüffer, Quell. z. Gesch. d. Kriege 1799—1800, I² (1901); Mémorial... de la guerre, V, 46 sq., 427 sq.; Decaen, Mém. et journ., éd. Picard—Paultier, II (1911), 146 sq., 171, 174, 186, 214 sq.; Dobiecki, Pam., Czas, Dod., XV (1859); Roczn. T. H. L. itd., j. w.; Drzewiecki, Pam.; papiery Kniaziewicza i Kosseckiego.

Charles Moller [pseudonim], Point de paix solide et durable sans la restauration de la Pologne, ou refléxions du citoyen pol. sur les vues qu'a mises en avant le cit. de Herycy, du Calvados... (Par., chez Desenne, an IX; na egz. Aff. étr. nadpis: „brumaire IX, nov. 1800“; zeszła się więc ta broszura z pismem Kościuszki-Pawlikowskiego); Bonaparte do Fouchégo, 27 déc. 1800, N. 5245, nakazuje „la saisie et la suppression de tous les exemplaires de (cette) brochure“.—Rozejm w Steyr, 25 grud. 1800; w Trevisie, 16, w Lunewilu, 26 stycz.; traktat pokoju austro-franc., Lunéville, 9 févr. 1801, Neumann, Rec. d. trait. et convent. concl. par l'Autriche, II (1856) NN. 124, 125, por. 128, 131; trakt. hiszp.-franc., w San Ildefonso, 1 oct. 1800, w Aranjuezie, 21 mars 1801.

(Str. 226 sq.) Rokowania francusko-rosyjskie: Traczewski, w Sborn. R. I. O., LXX; Arch. Woronc., VIII, XI, XXIX; instr. secr. Pawła dla Kołyczewa, Pét., 30 déc. 1800, § 10: „que je ne parlerai pas de la Pologne en ce qu'il ne devait nullement en être question,..“; articles secr. pour traiter avec le Prem. consul, Pét., 9

janv. 1801 § 6: „d'insister sur la suppression des clubs, du comité polonais, et en général de tous les établissements existants.., de l'aveu et sous la protection du gouvernement français", Russk. Arch. (1873), II, 960 sq. [por. wyżej, t. II, 109, 306].—[Hauterive] De l'état de la France à la fin de l'an VIII (Par., brum. IX=oct. nov. 1800; ważne to pismo niewątpliwie redag. przy udziale Talleyranda i samego Bonapartego), 64 sq., o podziale Polski; Exposé de la situation de la Républ., 22 nov. 1800, Arch. parlem., II, 667.

Zamordowanie Pawła, 23.mar. 1801; wiadomość nadeszła do Paryża 12 kwiet., por. Corr., N. 5522; Lucchesini, Par., 17 avr.: „la nouvelle... a été un véritable coup de foudre pour Bonaparte": Ludw. Cobenzl, Par., 19 avr.: „Bonaparte a été atterré"; ciekawa dosłowna zbieżność wrażenia w Rzymie: Consalvi do Spiny, Roma, 22 apr. 1801: „la morte di Paolo I è un vero fulmine per i nostri interessi", Boulay de la Meurthe, Docum. sur le concord., II (1892), N. 378. Przeciwnie, ks. Wirtemberska do brata, ks. Adama, Vienne, 9 avr. (1801): „c'est dans la joie, dans le ravissement que je vous écris; vous savez déjà sans doute la grande nouvelle de la mort de Wappy (*sic*)... un courrier en a apporté la nouvelle aujourdhui. Il est mort le 11 mars russe. Notre cher adorable G (rand) D (uc) est empereur. Je suis folle de joie".

Konkordat paryski, 15 lip.; londyńskie preliminarze anglo-francuskie, 1 paźdz. 1801.

Początki Aleksandra I, misya Morkowa: Traczewski, j. w.; Martens, Rec. d. trait. et convent. concl. par la Russie, XIII; Arch. Woronc., XI, XIV, XVIII; Brückner, N. P. Panin, VI; Czartoryski, Mém., I; Szylder, Aleksandr. I, II; Vandal, Napol. et Alex., I; Gd. Duc Nicolas Mikhailovitch, Imper. Aleks. I; id. Imp. Elisaweta Aleksiejewna; id. Kn. Dołgorukije; id. cte Paul Stroganov, I, II; Driault, La polit. extér. du Prem. Consul, 1800-3 itd.—Duroc w Petersburgu, 25 maja-14 wrześ.; poufna jego stąd korespondencya, zwłaszcza z Fouchém, była perlustrowana przez Panina.—Morkow w Paryżu od 16 wrześ. 1801.

Traktat pokojowy rosyjsko-francuski, Paris, 8 oct. 1801, § 3: „les deux parties contractantes, voulant ...contribuer à la tranquillité des gouvernements respectifs, se promettent mutuellement de ne pas soufirir qu'aucun de leurs sujets se permette d'entretenir une correspondance quelconque ...avec las ennemis intérieurs du gouvernement actuel des deux états, d'y propager des principes contraires à leurs constitutions respectives ou d'y fomenter des troubles; et par une suite de ce concert, tout sujet de l'une des deux puissances qui en séjournant dans les états de l'autre, attenterait à sa sûreté, sera de suite éloigné dudit

pays et transporté hors des frontières..."; tajna konwencya franc.-rosyj. i deklaracya wyjaśniająca, 10 oct., Martens, Recueil, XIII (1902) NN. 480, 9, 90. — Traktat niespodzianką dla Czartoryskiego: jego Mém., I, 286 sq. — Bonapartego Exposé de la situation de la Républ. (redagowane przez Lebruna), 22 nov. 1801: „rien ne troublera désormais les relations de deux grands peuples (France et Russie), qui, avec tant de raisons de s'aimer, n'en ont aucune de se craindre...", Lebrun, Opinions, rapports (Par., 1829), 440 sq.; Corr., N. 5874. Por. z tem istotne uczucia obustronne: L. Cobenzl do Franciszka I, Par.. 5 sept.: „le Premier Consul me parla avec le plus grand mépris de l'emp. Alexandre..."; Koczubej do A. R. Woroncowa, 3 nov. 1801: „l'empereur (Alexandre) a été content de la signature de la paix avec la France, mais... (à propos) du Premier Consul et de Talleyrand il lui est échappé de dire: „kakije moszenniki", Arch. Wor., XIV, 161.—Rozprawy nad § 3 traktatu: Corps législ., présidence Dupuis, 29 nov.; Tribunat, présid. Chabaud-Latour, 30 nov., 6 déc., przewrotny raport Costaza: „les convenances diplomatiques exigeaicut que la stipulation (§ 3) fût réciproque, mais.., cet article est dans le fond une concession faite à la République par la Russie..."; Corps législ., présid. Baraillon, 9 déc. 1801: „lecture d'une note qui sort directement du cabinet du Premier Consul... La discussion fermée... Projet (t. j. traktat) sanctionné à la majorité de 229 boules blanches contre 31 noires", Archives parlem. 1800-1860, II² (1863), 754 sq., II³ (1864), 4, 48 sq., 60 sq. Por. szczegóły o tajnem w tej sprawie posiedzeniu Trybunatu, gdzie traktat, wbrew opozycyi Chéniera, Guinguenégo i in., przeszedł większością 77 głosów przeciw 14, u Girardina, Journ. et souven., I (1828), 141 sq.; ib. III, 230 sq., Entretien avec le Premier Consul (sur) le traité de paix avec la Russie, oct. 1801, o gniewie Bonapartego z powodu okazanej w tej sprawie opozycyi.

(Str. 233 sq.) Ustanowienie Republiki włoskiej w Lyonie, 25-6 stycz.; pokój anglo-francuski w Amiens, 25 mar.; pokój turecko-francuski w Paryżu, 25 czerw.; Tedeum w Notre Dame, 18 kwiet.; orędzie o Legii honorowej, 15 maja; ogłoszenie plebiscytowe o Konsulacie dożywotnim, 2 sierp.; uchwała organiczno-konstytucyjna, 4 sierp. 1802.

(Str. 239 sq.) Dymisya Kniaziewicza, marsz legii naddunajskiej do Włoch: papiery legii nadd.; koresp. Kniaziewicza z Bonapartem, Moreau, Berthierem, Dąbrowskim; por. Picard, Bonaparte et Moreau (1905), 342 sq.; koresp. Kosseckiego, Godebskiege, Fiszera, Barssa; wykład Sokolnickiego, Gł. M. S., 110 sq., nieścisły.

(Str. 247 sq.) Legie we Włoszech 1801: koresp. Dąbrowskiego, Wielhorskiego, Grabińskiego; Lettres et docum. pour serv. à l'hist.

de J. Murat, I, II (1908-9); Duc de Conegliano, Le maréch. Moncey (1902); o Republice wł.: Melzi, Tivaroni, Sabini, Esperim. costituz., Zanoli-Focosi, Milizia cisalp.-ital. (1845) i piękne Tavole; o Etruryi: Marmottan, Le royaume d'Etr. (1900); o spiskach wojskowych: Savary (1828); Desmarest, Haute police (1833; przedr. 1900); Guillon, Complots milit. sous le Consulat et l'Empire (1894); Am. Kosiński we Włoszech; Pam. Dobieckiego, Drzewieckiego, Kierzkowskiego (prócz druk., 1903, dochował się też odmienny rkp.), Tańskiego; Tomaszewski, Tabl. hist.; Wierzbicki, Pam. , i t. d.

Reorganizacya legii pierwszej na półbrygady I. i II., 3-11 grud.; legii drugiej na półbrygadę III., 17-22 grud. 1801.

(Str. 283 sq.) San Domingo: papiery Małachowskiego, Blumera, Wierzbickiego, Luxa; listy z S. D. w koresp. Dąbrowskiego; głowej Małachowskiej Wspomnienia o mężu; Kierzkowskiego Wyprawa Polaków na S. D., pis. w Bourges, 1832; Wierzbickiego-Luxa Pam. leg. i wyprawy na S. D. [por. niżej; znaczną większość obszernego tego rkp., a w szczególności naocznie o 113. półbrygadzie, napisał Wierzbicki, który w stopniu porucznika wypłynął z nią 1802 na S. D.; zaś Lux, ur. w Warszawie 1779, ranny pałaszem pod Marengo, napisał naocznie o 114., z którą w stopniu sierżanta wypłynął 1803; ułożyli się zrazu pisać do spółki, potem pokłócili. Są tu dane cenne, lecz częste też fałsze, skutkiem pisania w lat 40 po wypadkach oraz uprzedzeń partyjnych, zwłaszcza do Dąbrowskiego; zresztą sporo też kompilacyi z Dumasa Précis IX, (Beauvaisa) Vict., conqu. VIII, Métrala Expéd. à S. D., Ogińskiego Mém. i Chodźki Lég. Trafne uwagi o tym rkp. już z góry wyraził K. Małachowski, w liście 16 mar. 1844, na wieść, że „jakiś p. Kazimierz, a niewymieniono jego nazwiska (=oczywiście Lux), pisze ...całą ekspedycyę do S. D., której sam był uczestnikiem. Piękne to są rzeczy; trzeba je zostawić potomności. Ale, żeby ona prawdę czytać mogła, trzeba się wprzódy dobrze namozolić... Najlepsza pamięć nie jest dostateczną, gdyż niepodobieństwem jest w mnogości czynów wszędzie się znajdować i wszystko osobiście widzieć lub wiedzieć. Cóż dopiero mówić o nieparcyalności, wyrzeczeniu się wszelkiej miłości własnej... Kwestya jest, czy autor mógł nazbierać tyle materyałów, ażeby historyi legionów do S. D. wyprawionych nadać ciąg pewny. Ja, chociaż tam także byłem, bardzo mało pawiedzieć mogę..."].

Garran de Coulon, Rapport sur les troubl. de S. D. (Par., 1797-9); Wimpffen, Voyage à S. D. (Par., 1797); Malouet, Coll. d. mém. sur les colonies, IV (1802); Archenholz, Gesch. d. Flibustiere (Tüb., 1803); Gaz. Warsz. (1803) 23 grud., II, 1745, lista ofic. 114. półbr., zmarłych na S. D.; N Pam. Warsz., XIII (1804); Laujon,

Préc. hist. de la dern. expéd. de S. D. (Par., s. a.=około 1805), 176 sq. dość surowo o Polakach; Lewis Goldsmith, Secr. hist. of the cabin. of Bonaparte (Lond., 1810), w tym pamflecie, 140, najpierw ukazało się twierdzenie, że z Polaków na S. D. „the greatest part deserted to Toussaint"; Chanlatte, Cri de la nature (Cap, 1810); Vastey, Notes, Essai sur l. causes d. guerr. du Haïti (Cap, 1814, 1819; stanowisko promurzyńskie); Clausson, Préc. hist. de la rév. de S. D. (Par., 1819; stanowisko antymurzyńskie kolonisty fanatyka); Pamphile de Lacroix, Mém. pour serv. à l'hist. de la révol. de S. D., II, 1800-2 (Par., 1819; bezstronne); J. B. D., Sur S. D. (Par., 1814; ciekawa wzmianka o murzynach w służbie neapol. przy obronie Gaety i Kalabryi); J. N. Bouilly, Mes récapitul., III (Par., s. a.), 365 sq. o masoneryi śród murzynów na S. D.; Kosiński, w Mrówce pozn., przedr. w Wandzie (1821), por. Am. K. we Wł.; Métral, Hist. de l'expéd. fr. à S. D. sous le consul. de Nap. Bonap. (Par., 1825); Bourrienne et ses erreurs (Par., 1830), 252 sq., dokumenty komisarza Daura z S. D.; Las Cases, Mémorial de Ste Hélène, I (1842), 687 sq.; Mémoires de Napoléon (éd. 1842), 324 sq., por. Corr., pass.; Lemonnier-Delafosse, Sec. camp. de S. D. 1803-9, préc. de souv. hist. de la prem. camp. 1801-3 (1846); Wyprawa do S. D., wyciąg z pam. Wierzbickiego, ed. L. Potocki, Bibl. Warsz., XXV (1847); Luxa Opisanie S. D., ed. Wóycicki, ib. LVI (1854); Małachowski, Rzut oka na leg., Przegl. Pozn., XV (1852), Wspomnienia z S. D., Czas, Dod., II (1856); Mém. et corr. du roi Jérôme, I (1861), 91 sq., o jego wysłaniu z Leclercem na S. D.; Mosbach, D. franz. Feldzug auf S. D. (1882); Adams, Napoléon I et S. D., Rev. hist., XXIV (1884; słabe i tendencyjne, w ówczesnym duchu antynapoleońskim Iunga i t. p.); Meinert, Legiony na S. D., Przew. nauk. i liter., XIV (1886; źródłowe lecz nieporządne); Norvins, Souven. d'un historien de Napol., II, III (1896); Castonnet des Fosses, La rév. de S. D. (1893; słabe); Poyen, Hist. milit. de la rév. de S. D. (źródłowe); Roloff, D. Kolonialpolitik Napoleons (1899; słabe); Sloane, Napoleon's plans for a colonial system, Americ. hist. rev., IV (1899); Prentout, L'île de France sous Decaen (1901); Gl. Jean Hardy, Corr. intime 1797-1802 (1901); Holland Rose, Life of Napol., I (1902), ch. XIV; Boissonnade, S. D. à la veille de la révol. (1906); Vaissière, S. D., la société et la vie créole (1909); Holland Rose, William Pitt and the great war (1911); id. Pitt and Napoleon (1912); L. Dembowski, Voyage de retour de S. D., éd. Martin, Carnet de la Sabretache, NN. 252-4 (1913-4).

(Str. 319 sq.) Przesilenie 1803-4: Corr., VIII-IX; Murat, Lettr. et doc., III; Boulay de la Meurthe, Corresp. du duc d'Enghien, 1801-4; Desmarets, Quinze aus de haute police; Pasquier, Mém., I;

Madelin, Fouché, I; Guillon, Compl. milit.; Picard, Bonaparte et Moreau (1905); Daudet, Exil et mort de Moreau (1909); Gourgaud, Sainte-Hélène, Journ. inéd., I (s. a.), 388 sq., 9 janv. 1817 (słowa Napoleona): „mme Moreau a causé la perte de son mari, qui était bon, mais faible... Je savais qu' il avait pris quatre millions (podczas kampanii niemieckiej 1800-1); je n'en parlais jamais... (wejście Moreau do spisku) J'en fus informé par Désirée qui me raconta que son mari (Bernadotte) ne dormait plus, rêvait et parlait de Moreau et de conspirations". — Afera z Ludwikiem XVIII w Warszawie: instr. Talleyranda dla Galon-Boyera, agenta do Warszawy, janv. 1803; rel. Galona, Vars., 16 mai, 18 juill., 2, 16, 20 août 1803; por. Daudet, Les Bourbons en Russie (s. a.), 264 sq.; id., Hist. de l'émigr. III (1907), 294 sq.; Boulay de la Meurthe, I, NN. 117 sq.; Hüe, Souven. (1903), 245 sq.; Bibl. pol., III (Warsz., 1827), 40 sq.; [Mehée de la Touche], Alliance des jacobins de France avec le ministère angl. (Par., avr. 1804), 269 sq.: Mehée jako „Stan. Jabłoński, a polish gentleman"; por. Caudrillier, Complot de l'an XII, Rev. hist.: LXXVIII (1902), 45 sq.; nowe przyczynki u Boulay de la Meurthe, Corr. Enghien, I (1904), NN. 244, 262 sq.; por. wyżej t. I, II pass. — Akt medyacyjny szwajcarski 19; reces powszechny niemiecki 25 lut. 1803. — Rozstrzelanie Enghien nocą 20 mar. 1804. — Senatusconsultum cesarskie 18 maja; koronacya w Notre Dame, 2 grud. 1804; w Medyolanie, 26 maja 1805.

Czartoryski: jego koresp. z bratem Konstantym, Piattolim, Nowosilcowem, Stroganowem, Woroncowem, Antraiguem, 1801-5, i Mém., I, II; Traczewski, Dipł. snosz. Rossii s Francjej, Sborn., LXX, LXXVII, LXXXII; Wasilczykow, Semej. Razumowskich; Arch. Woronc., pass.; Gd. Duc Nicolas Mikhailovitch, j. w., pass. (z reguły tendencyjna, wroga Czartoryskiemu wykładnia); Martens, IX (Angleterre), XIII (France); koresp. Morkowa, S. R. Woroncowa, Nowosilcowa, Razumowskiego, w znacznej części niewyd., niezużytkowana w powyższych wydawnictwach rosyjskich. — Czartoryskiego memoryał Sur le système polit. que devrait suivre la Russie, présenté et lu à l'emp. Alexandre 1803 [z tekstu wynika, że przed wybuchem wojny anglo-francuskiej, t. j. przed połową maja 1803].

Scena z Żaboklickim: Morkow do kancl. Woroncowa, Par., 28 oct. 1803, Sborn., LXXVII (1891), 381 sq.; o tym Janie Kolumnie Żaboklickim, później kreaturze M. W. Ks. Konstantego i Paskiewicza, por. K. Koźmian, Pam., III (1865), 432 sq. — Imieniny Kościuszki, 28 paźdz.: Morkow do Woroncowa, 1 [brak w Sborn.]: „le repas était donné à Kościuszko à l'occasion de son jour de nom. Plusieurs généraux et sénateurs français y ont assisté, de même que tous les Polonais qui se trouvent à Paris, à l'exception du pce Sa-

pieha... Mr. Małachowski et mme Mycielska... ont fait les honneurs de cette orgie...„, 4 nov.; Woroncow do Oubrila, Pét., 30 nov; Oubril do Woroncowa, 26 déc. 1803, 10 mars 1804, Sborn., 394, 422, 434, 509 sq.—Kościuszko do Ségura, 12 nov. 1803 [wielokrotnie przedr. z błędną datą 31 oct., Décade hist., II (1824), 264 sq.; National (1857) N. 364; Angeberg, Recueil (1862), 392 sq.]; wedle zapiski Jerzego Zenowicza, 6 list. 1850, „sam list Naczelnika do Ségura był przezemnie pisany pod dyktowaniem Kościuszki".

Intrygi petersburskie przeciw Czartoryskiemu: jego Mém., I, 361 sq.; koresp. Woroncowów, ostrzeżenia Antraiga, Mallii itp.; S. R. Woroncow do A. R. Woroncowa, 17 janv.: „on déteste Czartoryski à Berlin, où, à mon passage, on m'avait fait mille insinnations contre lui", 24 janv. 1804 [ta kontrakcya pruska szczególnie szkodziła Czartoryskiemu w Petersburgu]; Tatiszczew do A. Woroncowa, Pét., 1 déc. 1804: „la cabale qui en veut (au pce Adam) avait redoublé... à tel point qu'il a eté au moment de faire la culbute"; J. de Maistre, Mém. pol. et corr. dipl. (1858), 101: (Pétersb., févr. 1804) „Czartoryski est haut, dissimulé... je doute qu'un Polonais qui rêvait des prétentions à la couronne, puisse être bon Russe", i t. d.

Polacy w Paryżu: listy Anny Sapieżyny do Maryi Krasińskiej, 1803-4, Falkowski, Obrazy, I (1877), 219 sq.—Pam. Anny Sapieżyny, Podróż w r. 1803-4, Paryż, 15 Nov. 1803, Febr. 1804: „wszyscy Moreau bardzo żałują... chciał przywrócić Ludwika XVIII... to złość konsula (Bonapartego), aby go (Moreau) zgubić... zdaje mi się, że cała publiczność jest za Moreau", 26, 29 Febr.: „na kolacyi u Pierwszego konsula... z moją bratową (Zamoyską)...", marzec (o śmierci Enghiena) „na Pierwszego konsula patrzą jako na człowieka, który wstępuje w ślady Robespierra" i t. d. — Aleks. Sapieha, 1772-1812; jego Podróż po słow. krajach 1802-3 (s. a.; część w rkp.); Czarnecki, Rys zasług nauk. Al. Sapiehy, Roczn. T. P. N. XIII (Warsz., 1820); Niemcewicz, Sanguszko, Pam., pass.; por. Iwaszkiewicz, Litwa w r. 1812 (1912), 361; Mlle George, Mém. (éd. Cheramy, 1908), pass., o Sapiezie, „grand, mince, une physionomie charmante, élégant sans affectation, très simple, ...grand seigneur, ...homme d'esprit", o swoim z nim stosunku, przejściu od niego do Bonapartego, w stycz. 1802, itp.; o dalszej hojności dla niej Sapiehy, rel. Lachevardièra do Ludwika XVIII, Par., 16 nov. 1803, Remacle, Relations secr. des agents de Louis XVIII à Paris sous le Consulat, 1802-3 (1899); Masson, Napol. et les femmes, 132 sq.; dozór polic. nad Sapiehą i Moszyńskim, bull. 28 sept. 1804, Hauterive, Police secrète, I (1908) N. 359, por. wstawiennictwo Bonapartego za Sapiehą, do Fouchégo, Corr., N. 8081; Brotonne, Dern. lettr. de Nap., I (1903),

N. 276.—Kościuszko a Fox: J. B. Trotter, late priv. secr. to Mr. Fox, Mem. of the latter years of the right hon. Ch. Jam. Fox (Lond., 1811), 229—234, o bytności K. u F. w Paryżu, latem 1802; „he (K.) was received and entertained by Mr. Fox with a cordiality mixed with melancholy...“; wtedy też, 1803, ukazał się słynny wiersz Campbella, The fall of Poland, o K.

(Str. 339 sq.) Misya Nowosilcowa: Gd. D. Nicolas Mikhailovitch, Alex., I, 37 sq.: „cette mission... est une énigme, dont toutes les recherches dans les archives n'ont pu nous fournir le mot“; w rzeczy samej wykładnie dotychczasowe, nawet Martensa, Rec., IX, Holland Rosego, Pitt and great war. 516, 522 sq., są niewystarczające; istota rzeczy znajduje dopiero należyte oświetlenie w niewyd. tajnej instr. i koresp. Nowosilcowa z Czartoryskim, pap. Piattolego i t. d. Zdaje się, że w już tym czasie przez Nowosilcowa wydaną została wrogom Czartoryskiego najtajniejsza myśl jego porozumienia się z Bonapartem. Por. dyszące nienawiścią do Bonapartego i Czartoryskiego poufne listy Armfelta do J. Müllera, 21 Juni 1805: „(Piattoli) ist ein grosser geheimer Anbeter Bonapartes“, Beitr. z. Gesch. Deutschl. 1805-9 (Schaffh., 1843), 96 sq.

(Str. 343 sq.) Trzecia koalicya: Holland Rose, Despatches relat. to the formation of the third Coalition, 1804-5 (1904); Beer, Zehn Jahre oest. Polit. (1878); Hansing, Hardenberg u. d. dritte Coalition (1899); D. preuss. Kriegsvorbereit. u. Operationspläne 1805, w Kriegsgesch. Einzelnschr. d. Gr. Generalst. (1883); Massenbach, Hist. Denkw. (Amsterd., 1809); Ulmann, Russ.-preuss. Polit. 1801-6 (1899); [mnóstwo oryg. planów przygotowawczych sztabu pruskiego 1804 z pap. Massenbacha, Raucha, Goetzena itd. do wojny z Austryą, przemilczanych przez historyków pruskich, dochowało się w parys. Arch. wojny ze zdobyczy 1806]; Wertheimer, I, Szylder, III, Bailleu, II; Driault, Austerlitz, 1804-6 (1912; słabe).—kampania: Generalmaj. Krauss, D. Feldzug v. Ulm 1805 (1912); Colin et Alombert, Campagne de 1805 (1902-4); por. oryginalny opis klasyczny tej kampanii, J. C. S. (erra), Commentarii de bello germanico, I (Parisiis, 1806), II, pars altera (1807), napisany przez późniejszego przedstawiciela franc. w Warszawie, uczonego Serrę:— Traktat anglo-rosyjski, 16 lip.; wymarsz Kutuzowa 25 sierp.; wyjazd Aleksandra z Petersb. 21, przyjazd do Puław nocą 29-30 wrześ.; powrót Dołgorukiego z Berlina i przewrót puławski, 16 paźdz.; Aleksander przejazdem w Warszawie 21, w Poznaniu 23, do Berlina 25 paźdz.; konwencya poczdamska prusko-rosyj., 3 listop.; wysłanie Haugwitza 14, jego audyencya u Napoleona w Brnie 28 listop.—Napoleon w Boulogne wydaje rozkazy do marszu od 24 sierp.; wyjazd do Paryża, 2, z Paryża do armii, 24 wrześ.; kapi-

tulacya Macka pod Ulmem, 19 paźdz.; Napoleon w Wiedniu, 14 list.; Austerlitz, 2 grud. [por. kapitalną wiadomość urzędową w Gaz. Warsz., jeszcze 17 grud. 1805, N. 101: „główna batalia zaszła (pod Austerlitzem) ...wypadek dotąd nie jest stanowiący... zwycięstwo nakłonić się miało w końcu na stronę wojska rosyjsko-austryackiego"]; spotkanie Napoleona z Franciszkiem, 4; rozejm austro-francuski 6; schoenbruńskie przymierze prusko-francuskie podp. przez Haugwitza, 15; preszburski trakt. pokojowy austro-francuski podp. nocą 26-7 grud. 1805.

(Str. 351 sq.) Kampania włoska, Castelfranco: Dumas, Préc.; Koch, Massena; Saint-Cyr, Mém; Zanoli, Milizia; raport Lechiego, Legn., 25 nov.; rozkaz dzienny Masseny, Gorizia, 26 nov.; bull. de la G. Armée 4 déc. 1805, Corr. N. 9543; por. Gaz. Warsz. (1805) NN. 101, 103.—Polacy pod Austerlitzem: Annenkow, Ist. lejbgw. konn. połka 1731-1848, II (1849), 57 sq., 60, III, 81, IV, 133 sq.; Manzej, Ist. lejbgw. huz. J. Wiel. połka 1775-1857, III (1859), 41 sq.; Iwanow, Sostaw i ustroj. regul. russ. kawal. (1864); Luce, Ułany J. Wiel. (1903); Bobrowski, Ist. lejbgw. ułan. połka, I (1903), 58 sq.; Panczulidzew, Ist. kawalergardow, III (1903), 48, 61 sq. (wyborny opis Austerlitzu); Thiard, Souven. 1804-6 (s. a.), 231, 241, o wzięciu dywizyi Przybyszewskiego i Tyzenhausa; por. niewyd. Mém. gła Dembińskiego pod 1805; Marbot, Mém., I (1892), 269, o wyratowanym, z zamarzłege stawu austerlickiego, na rozkaz Napoleona, rannym żołnierzu rosyj., który okazał się polskim Litwinem; o stratach rosyj. „rgtu hułanów gwardyi, (skąd) 400 ludzi tylko zostało", Gaz. Warsz. (1805), N. 104; o rekrutacyi polskiej za Aleksandra najdokładniej Szczepetilnikow, Komplektowanje wojsk w carstw. Aleks. I (1902); por. Wiskowatyj, Ist. opisanje odeż. i wooruż. rossij. wojsk, IV-V (1847); inne szczegóły dane będą w t. IV; por. też (Wł. Broniewski), Zapiski morskowo oficera 1805-10 (Pet., 1818).—O kłamliwej kartce Aleksandra pod Austerlitzem,Napoleon do Savarego, Par., 12 mai 1815: „de ce qui s'est passé à Austerlitz avec l'emp. Alexandre lorsqu'il fut coupé par Davout... du petit billet qu'il écrivit au crayon et qui doit être aux Arch. de la secrétairerie d'état", por. Bonnal, Les royalistes et l'armée, II (1906), 384; Savary, Mém., II, 229.—Słowa ces. Franciszka do ks. Jana Liechtensteina po pierwszem spotkaniu z Napoleonem: „Ietz, weil I'n gsöge hab, ietz kann I'n gar nimmer leiden!" [Hormayr], Lebensbild. aus d. Befreinngskriegen, I (1841), 43.

(Str. 359 sq.) Historya legionów: pierwszą pobudkę dali zapewne Godebski i Kossecki po wyjściu z pogromu wiosennego 1799; zaraz tę inicyatywę przejęto ze strony przeciwnej, por. Barss do Wybickiego, Par., 29 lip. 1799, o dziele, które „publikować za-

mierzamy... historyi cnót braterskich poczciwych legionistów... wszystkie głupstwa, kalumnie, intrygi odłożylibyśmy do historyi sekretnej", Listy znak. Pol., 33 sq.—Tomaszewskiego Tabl. hist. d. lég. pol. en Italie, 1801].

Koresp. Dąbrowskiego i Haukego z Godebskim, Kosseckim, Kosińskim w sprawie materyałów do hist. leg.; w Extrakcie koresp. pol. Dąbrowskiego, między zapiskami z 25 prair. a 3 mess. IX (=14—22 czerw. 1801), wpisano jego ręką: „Milan 9 Opisanie y hystoria Legiow Polsk."; oryg. jego Mémoire militaire des légions polonaises en Italie, avec des pièces justificatives, dédié aux parens des légionnaires, écrit à Milan dans l'année IX, w Bibl. publ. pet.; istnieje też kilka autentycznych odpisów; por. Kraushar, Misc. hist., N. 16 (1907). Dąbrowski ze swą kwaterą główną przybył z Medyol. do Cremony 8 czerw. 1801, skąd w lip. jeździł do Reggia i Medyol., zaś 12 wrześ. przeniósł się na stałe do Modeny, gdzie siedział aż do grud. 1801 i skąd udał się na Konsultę do Lyonu. Wedle gła Jul. Sierawskiego, Uwagi świadka (pis. w maju 1830), Dąbrowski „Regulskiemu składanie historyi legionów całkiem powierzył, ...już po większej części, w garnizonach Cremony i Modeny uskutecznione... Uzupełnienia... i poprawy gł. Dąbrowski nie wprzódy aż w r. 1816... do skutku przyprowadzi(ł)... mając pod ręką... Pflugbeila, z nim się tą pracą, albo raczej przekształceniem zatrudnił... Regulski, gdy w 1817 był w Winnogórze i przejrzał ten świeżo przeistoczony rękopism, natychmiast z szczerością wyrzekł te słowa: „proszę generała, aby mnie jako należącego do układania tej mieszaniny nigdy wspominać nie raczył" [te Uwagi zgryźliwego Sierawskiego (por. o nim Przyj. ludu, 25 sierp. 1849, N. 14) wymagają jednak pewnych zastrzeżeń].—Guibert, Essai gén. sur la tact., (1770), nouv. éd. publ. par sa veuve (Par., s. a.=1803; wskazywałoby to redakcyę Pam. Dąbrowskiego skończoną po 1803, antydatowaną na 1801, jako przymusowym, ze względu na półbrygady i San Domingo, końcu wykładu), I, 2: „si je m'égare,... qu'on me pardonne. Le délire d'un citoyen, qui rêve au bonheur de sa patrie, a quelque chose de respectable"; o Guibercie, 1743-90, por. koresp. Grimma, Laharpa, mlle de Lespinasse; Ségur, Gens d'autrefois, 197 sq.

Sprawa historyi leg. pol. wniesioną została do dyskusyi publicznej przez nieżyczliwe dla legionów wzmianki w Histor. Untersuch. üb. d. Deutschen, w Buchholtza Journ. f. Deutschl., II³ (Berl., 1816); na ten artykuł Dąbrowski, w stycz. 1817, przy pomocy Regulskiego, wtedy dyrektora Szkoły kad. w Kaliszu, wypracował odpowiedź, ogładzoną stylistycznie przez Tripplina i ogł. w Ludena Nemesis, X⁴ (1817), 489 sq.; por. też Polit. Journ., II (1818), 625 sq.—Pierwsze wyciągi z Pam. Dąbrowskiego ogł. Dom. Lisiecki, p. t.

Hist. legii pierw. z pism gł. H. D. krótko zebrane, w Kicińskiego Wandzie, I (Warsz., 1820), II, 49, 112, 145 sq., II, 31, 136 sq.; por. III (1821), 10, 31, 76, 166, 233 sq., przedruk polemicznych Uwag Kosińskiego, z Mrówki pozn., I (1821), 176 sq.; dalej poszły wyciągi Chodźki, Hist. d. Lég., i przedr. pol. Kraszewskiego, w Zbiorze Pam. Żupańskiego.

(Str. 369 sq.) Bonaparte do Hauteriva, 29 juill. 1804, do Senatu, 18 mars 1805, NN. 7883, 8449.—Dąbrowski u Napoleona w Moguncyi, 22 wrześ.; do Paryża 4 paźdz.; na koronacyi w Par., 2 grud. 1804; z deputacyą włoską u Napoleona 15 mar.; na koronacyi w Medyol. 26 maja; komand. korony żel., 6; przegląd pod Montechiaro, 8 czerw.; adresy pułku kawaleryi pol. do Napoleona, Naples, 3 mai 1805; pułku piechoty pol. (b. m. i d.). Koresp. Dąbrowskiego, 1804-5; Monit. (1805), 25 déc., 1008; Zanoli, Sulla milizia cisalp.-ital., I (Mil., dic. 1845), 58 sq., II, 385 sq.; Zanoli—Focosi, Tavole storico-pittor. (1845), rassegna data alle milizie... polacche dall'imper. e rè Napol. al campo di Montechiaro, giug. 1805; Lacépède, Ét. gén. de la Lég. d'honn. (Par.. 1814), 205; Pingaud, Bonaparte présid. de la Rép. Ital., II (1914), 192, 416; Sokołowski, w Czasie, LVII (1904), N. 234.—Montgaillard, Seconde guerre de Pologne (Par., 1812); Souven. (1895); Mém. diplom. 1805-19 (1896), 25 juill., 26 août, 25 oct. 1805, 87, 121, 156 sq.

Oficerowie polscy w kampanii 1805: Napoleon do Berthiera, St. Cloud, 16, Chuquet, Ordr. et apost., I (1911) N, 656; id., 16 sept., Corr., N. 9994; Berthier do Napoleona, Augsb.. 12 oct. 1805, Picard-Tuetey, Corr. inéd. de Napol., I (1912), N. 196; Skałkowski, 251 sq.; pap. Zajączka, Kobylińskiego itd.

Alarmy: Voss do Fryderyka-Wilhelma III, Berl., 15 oct.; Lucchesini do tegoż, Par., 23: „...que l'empereur voulait donner la Pologne à son beau-frère le pce Murat... Reubell prétend... avoir connaissance de ce projet...", 25: pogłoska o „départ pour Strasbourg du gl. Kościuszko", 29 nov. 1805; Summeraw do Uermenyiego, Wien, 25 Nov., Uermenyi do Summerawa, Lemb., 4, 14 Dez.; geh. Rapport Rohrera, Lemb., 12 Dez.; por. arcyks. Karol do ks. Albrechta Sasko-Cieszyńskiego, 25 déc. 1805, Criste, Erzh. Carl, II (1912), 602.

Związek patr. warsz. 1805: ustawy i przepisy związk., podpis. „W. Nawarski prezes WW., D. Zawidzki z W. R., J. Kosiński, Ludwik Kujawski sekr. Wydz. warsz."; „przysięga związkowych"; „odezwa Napoleona, dd. w Monachium 6 Oktobra 1805".—Hier. Pągowski w pamflecie „au peuple anglais", ogł. w Lond. w początku 1806, już stwierdzał, że Napoleon „a bien en effet adressé une proclamation aux Polonais de son camp en Moravie (en 1805)"; podobnież

w liście do Budberga, Lond., 16 nov. 1806, dołączając swój memor. 15 déc. 1805: „Bonaparte, entré en Moravie, adresse une proclamation à mes concitoyens“; podobnież w liście do Sewer. Rzewuskiego, Hamb., 13 juill. 1807, wspomina o „odezwie Bonapartego do Polaków“; sam w 1805 r. był w Warszawie (przedtem, 1802, bawił w Lyonie razem z Orchowskim); mógł więc mieć udział w tym falsyfikacie; por. o nim raport Gd. Juge Regniera do Napoleona, 21 févr. 1810 (skąd okazuje się, że P. obok pieniędzy rosyj.. ang. i pruskich, brał też austr. przez Metternicha) w Arch. parys. śród pap. ministér., relat. extér.; Desmarest, Quinze ans de haute police (éd. 1900), 24 sq.; Grasilier, Aventuriers polit. (1902), 308, 339, 342 sq.; Czas, Dod. VII (1857), 699 sq., z autobiograficznym listem Pągowskiego do Rzewuskiego, Hamb., 1807, j. w.; Skałkowski w Kw. hist., XXXII (1918), 477 sq.; Pągowskiego projekt zamordowania Napoleona, Plan contre Bonaparte conçu... le 15 déc. 1805, jako załącznik do pisma do Budberga 1806, j. w.: „j'aurais vengé dans son sang (Napoleona) mes infortunés compatriotes indignement sacrifiés à S. Domingue“; wprawdzie później te papiery (które, wedle adnotacyi petersb. Arch. spr. zagr., pozostały w ręku Aleksandra do 1810, t. j. do rozstrzelania Pągowskiego) były zakomunikowane do Paryża; lecz mimo to myśl mordu mogła być poddaną Pągowskiemu z półurzędowych źródeł rosyjskich, gdzie była ona wtedy na porządku dziennym; por. Armfelt do Müllera, 14 Apr. 1806: „nur d. Tod d. Tyrannen kann uns retten; von d. Dolche eines unsterblichen Meuchlers (!) allein, den Jeder, d. noch Herz u. Ehrgefühl hat, mit seinen Wünschen u. Segnungen begleiten wird, hat Europa seine Rettung zu erwarten“, Beiträge, 115.

Polacy w Kalabryi: koresp. Dąbrowskiego do paźdz. 1806; Pam. Tańskiego, Wierzbickiego; Napoleon do Józefa, 23 avr.: „gardez avec vous les Polonais“, 19 mai: Polaków do Sycylii (por. 7, 21 juin), 21, 31 mai 1806, NN. 10131, 250, 6, 303, 92; porażka Reyniera i Polaków pod Santa Eufemia, 3 lip. 1806; Du Casse, Mém. du roi Joseph, II, III (1865); Masson, Napol. et sa famille, III (1900); Rambaud, Lettr. inéd... de Joseph Bonaparte à Naples (1911), 9, 18 sq.; Naples sous Joseph Bonaparte 1806-8 (1911), 136 sq., Dąbrowski do Lemarois, Chieti, 15 sept. 1806; por. Loret, Między Jeną a Tylżą (1902), 137.—Zapiska Dąbrowskiego o 1806-7: „5 oktobra (1806) gł. Dąbrowski odebrał w Chieti rozkaz,... aby natychmiast udał się do... głównej kwatery N. cesarza. Nie czekając nawet na zastępcę, gła dywizyi d'Espagne, który po nim miał objąć komendę w Abruzz(ach), i bez najmniejszej straty czasu, tegoż samego dnia gł. Dąbrowski opuścił Chieti, udając się śpiesznie z szefem szwadronu Hauke, swoim adjutantem; na miejsce swojego prze-

znaczenia... Już w drodze napotykał tłum niewolników... już było po bitwie pod Jena".

Zapiska Kosseckiego: „Z liczby 805 officerów z Legionów polskich we Włoszech i nad Renem, od 1797 r. do końca 1806 r., w którym istnieć zaprzestały, pozostają jeszcze przy życiu w 1845: (wyszczególnionych imiennie, w porządku alfabetycznym, 48 osób)... 5. Chłopicki gł. dyw... 7. Drzewiecki szef bat... 12. Klicki gł. dyw... 16. Kossecki gł. dyw... 22. Paszkowski gł. bryg... 27. Redel gł. bryg. 28. Regulski pułk... 30. Rożniecki gł. dyw. 31 Ruttié gł. bryg. 32. Sierawski gł. bryg... 38. Tański pułk... 47. Zdzitowiecki pułk...". — Godebski, List do przyjaciela, 1 wrześ., do J. Drozdowskiego, 30 paźdz. 1805, Pisma, I, 392, 421.

INDEKS.

Abrantès 420.
Adams 32—3, 398.
Addington 230, 340,
Albany 421.
Albert ks. Sasko - Cieszyński 377, 421.
Aleksander I 57, 87, 126. 181, 183—7, 207, 228—33, 235—6, 269, 314, 320, 323, 226—37, 339—43, 346—50, 354—7. 365, 367, 369, 371, 376, 385, 391. 417, 423 — 4, 427, 429, 430, 433.
Aleksander Wirtemberski 51.
Aleksandra Pawłówna w. ks. 52, 63, 86, 185—6, 421—1.
Alopeus 339, 349, 376.
Alric 406.
Alvensleben 56.
Alvinczy 414.
Amira 371, 413.
Angelucci 24, 394—5.
Angełłowicz 377.
Anrep 353.
Anthing 422.
Antici 395.
Antraigues 43, 165, 337, 401, 427.
Archenholz 425.
Arçon 176, 401.
Arena 257—8.
Armfelt 429, 433.
Arnault 401.
Arseniew 80.
Aubert du Bayet 392.
Augereau 319, 351.
Augusta Saska 269.
Augustyn św. 410.
Aurora 259, 306, 308, 312.
Axamitowski 103, 114, 202—3, 263, 268—73; 277—8, 306—12, 362, 365.

Babeuf 258.
Bagration 98, 102.
Ball 371.
Baraguey d'Hilliers 247, 421.
Baraillon 424.
Barère 42.
Barras 37, 39, 80, 87, 106, 109—10, 117, 129—30, 149—50, 152, 400—1, 409. 415.
Barss 34, 38, 45, 47, 50, 124, 131, 134, 138—40, 157, 171, 298, 209, 213, 242—3, 279, 397, 399—400, 403, 414 — 5, 417, 419, 421—2, 430,
Bassal 81.
Bastarège 399.
Baudouin 421.
Beauchamp 411.
Beauharnais Eugeniusz 350, 374—5, 380.
Beauharnais Hortensya 220.
Beauvais 425.
Bekleszew 402.
Bellamy 398.
Bellegarde 88, 214, 217.
Bennigsen 228.
Bernadotte 11—2, 40, 61, 76—7,

80, 106—11, 114, 130—1, 135—7, 146, 150—1, 157, 256, 269, 293, 296, 319, 349, 400 415—8, 427.
Bernadottowa 319, 427.
Bernard 282, 297.
Bernatowicz 420.
Berthier Aleksander 10—2, 22, 153, 155, 157, 164, 166, 169—76, 293, 202, 219, 243, 245, 249, 251, 260, 268—70, 275, 292, 296—7, 302, 306, 308, 374—5, 389, 399 404 419, 429, 424, 432.
Berthier Leopold 407.
Berville 126.
Bezborodko 43, 230, 402.
Białowiejski 177, 261,
Bianchi d'Adda 248.
Bibikow 411.
Bieliński 371,
Biernacki 107, 114, 143,
Birago 248.
Blumer 18, 312—3, 425.
Bogusławski 313, 317.
Bolesta Ignacy 272. 280—1, 298.
Bolesta Wojciech 303.
Bonaparte Hieronim 426.
Bonaparte Józef 214, 225, 380-2.
Bonaparte Karolina (Murat) 249, 252.
Bonaparte Lucyan 152.
Bonaparte Paulina (Leclerc-Borghèse) 292—3.
Bonneau 159—60, 162—3, 213, 419, 422.
Bonneville 401, 418.
Boufflers 402.
Bouilly 426.
Bourbonowie 86, 215, 254, 257, 321.
Bourdon 415.
Bourrienne 160—1, 235, 405—6, 426.
Branicki 347, 404.
Brémond 397,
Brune 12, 23, 35, 38—8, 49, 73—5, 93, 115, 124, 144, 146, 217—9, 223, 247—9, 319, 396, 399—400, 403, 415—6.
Brunet 303, 314, 317.
Brunświcki ks. 379.
Brutus 260.
Bry 417.
Brzechffa 82.
Brzostowski 54.
Buchholtz 431.
Budberg 397, 433.
Bukowski 371.
Buonarotti 257—8.
Burzyński 65—6, 404.

Cabanis 401.
Cadoudal 320—1, 323, 367.
Cailiard 40—1, 191, 227.
Cambacérès 151—3.
Carnot 175—6, 178, 193, 199, 205—6, 217, 219, 234, 323, 398, 418, 420—1.
Ceracchi 258.
Cerclay 314.
Cetner 334.
Cezar 167, 344.
Chabot 271.
Chabaud—Latour 424.
Chadzkiewicz Ignacy 79—81, 109—10, 113, 175, 201—2, 205, 217, 336, 415.
Chadzkiewicz ojciec 79.
Chamand 27, 83, 96, 97, 267, 391, 395, 400, 407—10, 412.
Championnet 76—9, 81—4, 88, 93, 107—10, 113—6, 134—5, 155—6, 201, 259, 345, 381, 407—9, 414—6, 418—9.
Chanlatte 426.
Chaptal 274.
Charette 411.
Charpentier 282.
Charrière 401.
Chastenay 401.
Chavannes 192.
Chénier 424.
Chłopicki 19, 22, 26, 98, 145, 261, 265, 267, 272, 352, 365, 392—3, 412, 434.
Chłusowicz 203.
Chodźkiewicz zob. Chadzkiewicz.
Chodźko 403, 407, 410—6, 425, 432.
Christophe 295, 303.
Clairvaux 303.
Clarke 255.
Clausson 426.
Cobenzl 51, 186, 188—9, 214, 224—5, 244, 423.
Colaud 197.
Colletta, 408.

Condé 52, 321.
Consalvi 230, 432.
Constant 401.
Costaz 424.
Czachórski 255.
Czacki 360.
Czartoryscy 29—30, 328, 334, 336, 346.
Czartoryski Adam Jerzy 14, 183—4, 229, 232, 314, 325—31, 333—44, 346—50, 353, 355—6, 367, 371, 373, 376, 420—1, 423—4, 427—9.
Czartoryski Adam Kazimierz 55—6, 360.
Czartoryski Konstanty 420, 427.

Dąbrowska Augusta z Rackelów 73, 200, 360.
Dąbrowska Karolina (Palombini) 73, 200.
Dąbrowski Jan Henryk 9—12, 14—6, 18—28, 33—5, 38—9, 46, 48—51, 72—6, 78—84, 92—9, 101—2, 104—19, 121, 129, 134—6, 142—3, 147, 156—8, 164—7, 169—77, 192, 195—6, 199—206, 214, 217—20, 241—2, 244, 247—50, 252, 257, 261—72, 274—9, 281—3, 287, 311, 345, 347, 351, 359—66, 369—71, 377—82, 384, 389—97, 399—401, 403—8, 409—25, 431—3.
Dąbrowski Jan 84, 116, 200, 415.
Dąbrowski Ksawery 80.
Darbois 313.
Daru Piotr 165, 401.
Daru ojciec 401.
Daunou 395.
Daure 426.
Davout 221, 223, 430.
Decaen 422, 426.
Decrès 292, 296, 308.
Delacroix 31, 398.
Delzons 406.
Dembiński Henryk 406, 430.
Dembiński ks. 395.
Dembowski Jan 21, 158, 200—1, 219, 278, 375, 399, 404.
Dembowski Ludwik 299, 371, 426.
Denisow 412.
Desaix 404.
Deschamp 292.
Descorches 62, 400.
Desenne 422.
Desgenettes 403.
Desmarest 425—6, 433.
Dessalines 303, 315.
Dessolle 394.
Destaing 406.
Desvernois 405.
Dietrichstein 51.
Dmochowski 18, 21, 209, 362, 393, 397.
Dobiecki 255, 370, 409, 422, 425.
Doguereau 405.
Dołgorukow 334, 340, 349, 376, 429.
Dołgorukowowie 423.
Dorota Kurlandzka 337.
Downarowicz 205, 421.
Drzewiecki 11, 84, 116—7, 145, 147, 151, 192, 242, 257—8, 362, 394—6, 398, 402, 407—8, 410, 416—19, 422, 425, 434.
Dubois-Crancé 114, 141—2, 145—6, 151, 153, 157, 407, 415—6, 418.
Duboscage 411.
Ducos 42, 151—3, 159, 167.
Dufresnoy 402.
Dugua 301, 304.
Duhesme 381.
Dulfus 222, 370.
Dumański 132.
Dumas 425, 430.
Dupuis 424.
Duroc 231, 373, 423.
Działyńska Izabella z Czartoryskich 328.
Działyński 80.
Dzieduszycki 240.
Dziurbas 303.

Eisbach 132, 209.
Elżbieta Austryacka 186.
Elżbieta Aleksiejewna 183—4, 323, 333, 423.
Emeryk 317.
Enghien ks. 321, 337, 369, 426—8.
Espagne 433.
Erichson 390.
Estko 371, 413.

Faipoult 84, 409.
Falęcki 25, 395.
Falkowski 309.

Ferdynand Neapolit. 79, 82, 380.
Ferdynand Pruski 339.
Ferdynand III Toskański 96, 409.
Ferdynand Wirtemberski 51.
Ferraud 318.
Ferrou 305, 314, 316—7.
Fijałkowski 370.
Filip Piękny 403.
Fiszer 128, 145, 192, 194, 197, 246—7, 251—3, 280, 360, 405, 418, 421.
Focyusz 410.
Foissac 103, 414.
Fontanelli 374.
Forestier 98, 412, 414.
Fouché 37, 42, 130, 150, 168, 225, 320, 369, 400 — 1, 414, 422—3, 427—8.
Fox 289, 336, 340—1, 429.
Fra Diavolo 93, 381.
Franciszek I 50—1, 56, 75, 83, 112, 115, 127, 154, 166, 180—1, 186, 224, 235, 245, 257, 324, 346, 354, 357—8, 376, 386, 420, 424, 430.
Fressinet 303, 315—6.
Fryderyk II 110, 350.
Fryderyk August 159.
Fryderyk Wilhelm II 40, 52—3, 56.
Fryderyk Wilhelm III 40, 44, 53, 133, 137, 204, 221, 235, 346, 348—9, 357, 379, 384, 402, 432.

Galimberti 394—6, 407, 412.
Gallet 206.
Gall 50.
Galon Boyer 427.
Gambini 394.
Ganteaume 288.
Gaon-Guinou 285.
Garat 42, 138—9, 206, 397.
Gardanne 310.
Garnier 177.
Garran de Coulon 425.
Gawroński 128, 145, 192, 196.
George 335, 428.
Giedroyć 13, 46, 48, 403, 417.
Giełgud 54.
Girardin 420, 424.
Głotz 385.
Gnoiński 313.
Godebski Cypryan 14, 17—8, 28, 89, 104, 128, 144, 192—3, 221, 242, 244, 251 360, 362, 365—6, 384—7, 390, 397, 410—1, 414, 430—1.
Godebski Ksawery 414.
Godefroy de Bouillon 69.
Godlewski 304.
Gohier 152, 411.
Goldbeck 56.
Goldsmith 426.
Gołębiowski 100.
Gotrou 368.
Gourgand 427.
Grabiński 26, 66, 200, 202, 252, 261, 264, 271—2, 277—8, 306, 308, 351—2, 361, 365—6, 371, 374—4, 380, 396, 404.
Grabowska 27.
Grabowski Jerzy 27, 51, 80, 397.
Grabski 213, 272, 280, 298, 303.
Grégoire 289, 323.
Grimm 397, 402, 431.
Griois 421.
Gruber 183, 187, 290.
Gudowicz 402.
Guibert 364, 431.
Guinguéné 424.
Guttin 85—6, 162—3, 418.

Habsburgowie 86, 324.
Hannibal 98, 412.
Hardenberg 429.
Hardy 426.
Haugwitz 45, 56, 354, 357—8, 379, 402—5, 429.
Hauke 279, 360, 363, 431, 433.
Haumann 26, 66, 396, 404.
Hauterive 369, 423.
Hauteval 398.
Hédouville 286, 328.
Helena Pawłówna 237, 242.
Helfflinger 133.
Helvétius 401.
Helvétiusowa 401—2.
Henry 104, 414.
Henryk Walezy 215.
Hermann 86, 115.
Herycy 422.
Hoche 15, 76, 80, 150, 220.
Hoene-Wroński 176.
Hołowiński 408.
Hormayr 430.
Hornowski 103.
Horodyski 209, 422.

Hottinguer 398.
Hüe 427.
Hurwicz 66—7, 405.

Ibrahim bej 61.

Jabłonowski 27, 78, 80, 105, 177, 219, 252—4, 264, 271, 273, 280, 298—9, 302—3, 397, 412, 414, 419.
Jabłoński zob. Mehée.
Jacewski 370.
Jakubowski 103.
Jan III Sobieski 24, 395.
Jan arcyks. 214, 220, 222, 345, 351.
Jasiński Ignacy 272, 311—3, 315—6.
Jasiński Jakób 80, 312, 408.
Jefferson 32—3, 398.
Jenner 126—8, 417.
Jerzmanowski 375.
Jerzy III 154, 235, 340.
Jerzy IV 340.
John 371.
Joselowicz Berek 82—3, 193, 370, 408—9, 412.
Joselowicz Józef (Berkowicz) 408.
Joubert 37, 75, 83—4, 88, 93, 106—7, 109—11, 113, 134—5, 141, 400, 406 410, 414.
Jourdan 88, 118, 121, 129, 135 150, 230, 350, 374.
Józef palatyn 52, 63, 86, 185—6, 420.
Józefina cesarzowa 220, 287, 335.
Julian 189, 421.
Junge 254, 272—3, 280, 282, 299, 375.
Junot 321.
Jurgaszko 100.

Kamiński 410.
Karaiczay 99.
Karol Wielki 323—4.
Karol arcyks, 88, 222, 269, 344—5, 350—2, 377, 432.
Karol Emanuel IV Sardyński 322.
Karolina Neapolitańska 50, 62, 76, 257, 380.
Karwowski 83, 408.
Kąsinowski 371.
Katarzyna II 19, 43, 57, 82, 85, 87, 183, 228, 231, 326, 331, 355, 365, 402.
Katarzyna Pawłówna 98.
Katylina 114.
Kellermann 355.
Kiciński 432.
Kicki 185, 420.
Kiełkiewicz 396, 405.
Kierzkowski 388, 425
Kisielew 408.
Kleber 26, 70—1, 76, 396, 404—6.
Klemens V 403.
Klicki 365, 370, 434.
Kniaziewicz Grzegorz 385.
Kniaziewicz Karol 10, 14, 35, 51, 77—8, 80—1, 83—4, 97, 107, 109, 112, 116—8, 120—5, 127—9, 134—5, 137—40, 143—4, 147, 151, 157—8, 164—5, 169—77, 192—203, 206, 213—218, 221—2, 239—46, 245—53, 266, 280, 346, 360, 362, 365—6, 373, 377, 381, 389—91, 397, 399—400, 402—4, 407—8, 10. 413—22, 424.
Kobylański 304.
Kobyliński 375, 432.
Kochanowski 54.
Koczubej 80, 229—30, 232, 424.
Kolecki 420.
Kołłątaj 30, 42, 204, 240, 327, 336, 417.
Kołyczew 291, 226—7, 231, 326, 422.
Komorowski 200.
Konopka Jan 367, 370.
Konopka Kazimierz 107, 114, 143, 200, 410, 412.
Konstanty Pawłowicz w. ks. 18, 86, 100, 162—3, 195, 207, 237, 250, 329—30, 334, 353, 355, 413, 427.
Korsakow 86 115.
Kościuszko 9, 14, 28—35, 38—40, 42—50, 54—5, 72, 75, 82, 96, 107, 116—28, 131—5, 137—45, 151—2, 158, 164, 176—72, 175—6, 293—201, 204—14, 217, 244, 246, 289, 311, 316, 331—3, 335—7. 348, 368, 376, 378, 383, 395—403, 408—11, 415—22, 427—9, 432.

Kosiński Amiluar 21,103, 278, 360, 362—3, 384, 392—3, 397, 419—1, 414, 425—6, 431—2.
Kosiński J. 432.
Kosseccy 391.
Kossecki Franciszek Ksawery 18, 84, 116—7, 144, 147, 192, 213, 242, 251, 362, 390—1, 405, 411, 416—9, 421—2, 430—1, 434.
Kossecki Stanisław 390, 405.
Kostanecki 370.
Koźmian 427.
Kralewski 403.
Krasicki 334.
Krasińscy 335.
Krasińska z Radziwiłłów 334—5, 428.
Krasiński 334.
Kray 88, 90, 102, 177, 181, 193, 197, 214, 220.
Krzyszkowski 303.
Kujawski 432.
Kutaisow 188.
Kutuzow 38, 345, 343, 355, 429.

Lachevardière 428.
Laclos 401.
Lacrosse 288.
Lacuée 140, 420.
Lafayette 66, 234.
Laharpe Fryderyk-Cezary 57, 62, 86, 125—7, 231, 337, 417.
Laharpe Jan Franciszek 431.
Laborie 243—4.
Lahoz 37.
Lamarque 399.
Landrieux 409.
Laplace 151.
Laplume 304, 314.
Lareveillère 39, 44, 130, 134, 395—6, 398—400, 402, 409, 414.
Laroche 179, 397, 415, 420.
Larrey 406.
Las Cases 426.
Lascy 353.
Laujon 425.
Lavallette 163.
Laverne 411.
Lear 356.
Lebrun 42, 153, 167—8, 214—6, 332, 401, 416, 424.
Lechi 306, 430.
Leclerc 202—6, 299—302, 304—4, 309, 361, 426.
Lecoulteux 401.
Lecourbe 319.
Lemarois 433.
Lemercier 152.
Lenkiewicz 370.
Lespinasse 432.
Leszczyński 421.
Létombe 31, 398.
Levenehr 99.
Levi 405.
Liberadzki 51, 90.
Liechtenstein 222, 245, 358, 430.
Lisiecki 431.
Livius 412.
Louverture Izaak 286, 294.
Louverture Paweł 317.
Louverture Toussaint 285—8, 294—5, 301, 317, 426.
Louverturowie 285.
Lubecki Hieronim 99.
Lubecki Ksawery 99, 413.
Lubomirska 330.
Lucchesini Girolamo 180—90, 224, 343, 376, 379, 420, 423, 432.
Lucchesini Maurycy 190, 421.
Lucchesiniowa 290.
Luden 431.
Ludwik I Etruryjski 225, 242, 244, 254—5, 281.
Ludwik XIV 283, 289, 291.
Ludwik XV 284, 291.
Ludwik XVI 126, 403.
Ludwik XVIII 52, 87, 129, 163, 215, 232, 320, 427—8.
Ludwik Meklemburski 237, 242, 250.
Luiza Pruska 53, 235, 349.
Lux 310, 420, 425.

Łazowski 60—1, 66, 68—9, 404.
Łukasiński 391, 393, 417, 422.

Macandel 284.
Machiavelli 132.
Macdonald Jakób Stefan 51, 77—8, 80, 84, 88, 93—4, 97—8, 101—2, 105, 217, 247, 319, 381, 397, 403, 407, 409—10, 412—3.
Mac-Donald 51.

Mack 76—9, 345—6, 350, 408, 430.
Madeyski 303.
Mahomet 24, 394.
Maistre 428.
Malet, 430.
Maliszewski 21, 47, 80, 108—10, 113, 137, 405.
Malouet 425.
Malte-Brune 167.
Małachowska, 425.
Małachowski Kazimierz 18, 258, 262, 267—8, 271—2, 311—4, 317, 375, 425—6.
Małachowski Stanisław 55, 334.
Małachowski Stanisław jun. 428.
Marek Aureliusz 24.
Maret 153.
Marmont 249, 270.
Marya Antonina 50, 235, 357.
Marya Luiza Austryacka 181.
Marya Luiza Etruryjska 254—5.
Marya Teodorówna 323, 333.
Marya Teresa 186, 235.
Massena 12, 115, 135, 144, 155, 174, 177, 179—80. 200—2. 216—7, 319, 350—3, 374—5, 380—1, 420—1, 430.
Massenbach 379, 429.
Masson 413.
Mazzini 258.
Mehée 320, 427.
Melas 88, 111, 177, 179, 214, 217.
Melzi 180, 248, 277—80, 306, 308, 369, 425.
Menou 404, 406.
Mercier 85—6.
Merlin 130, 414, 417.
Merveldt 197.
Métral 425—6.
Metternich 422.
Miączyński Józef 172.
Miączyński Karol 172.
Michelson 346.
Mickiewicz 18, 311.
Mierosławski 113—4, 217.
Mikołaj I 208, 328, 391.
Milet 84, 88, 106, 114, 117—8, 123—5, 127, 415—6.
Milewski 395.
Miłkowski 99.
Mimont 406.
Miot de Mélito 420.
Mirabeau 66.
Mniewski 28, 46, 397, 403.
Molay 403.
Moller 422—3.
Moncey 249, 262—3, 266, 424.
Montecucculi, 415.
Montesquiou 215.
Montgaillard 372—3, 432.
Montrichard 410.
Morawski 408.
Moreau 70, 88, 90—2, 97, 105—7, 111, 113—4, 147, 150—2, 155, 170, 177—8, 181, 188, 193, 196—9, 202—3, 220—4, 240—1, 243—4, 256, 263, 293, 319, 321—2, 335, 337, 367, 412, 414—5, 421, 424, 427—8.
Moreau z Hulotów 220, 319, 427.
Morkow 231, 326, 331—3, 427.
Moskorzewscy 303.
Mostowski 160, 379, 389.
Moszyński 334, 336, 369, 428.
Moulins 152.
Müller 429, 433.
Murad bej 61.
Murat 249, 251—4, 260, 263, 265—6, 268—72, 274—8, 280—2, 296—7. 306—9, 312, 321, 350, 353, 366, 374, 376, 379, 405, 426, 432.
Mustafa pasza 71.
Mycielski 132, 414, 417—8, 428.

Nadolski 416.
Napoleon I 9—10, 12, 14—6, 23, 25—6, 31, 35—6, 38, 43, 57—64, 66—74, 76, 81, 84—6, 89, 91, 94, 100, 102—3, 109, 118, 122, 140, 137, 142, 146, 148—63, 165—70, 172—82, 187—9, 196—6, 198—9, 202—7, 214—6, 218, 210—1, 223—8, 230—1, 233—95, 247—50, 252—60, 262—71, 273—82, 286—98, 300—1, 305—10, 315—6, 319—26, 328—39, 341—8, 350—1, 353—9, 366—81, 383—7, 397, 400—1, 403—7, 411; 415—6, 418—24, 426—33.
Napoleon III 328.
Nawarski 432.
Neipperg 181.
Nelson 61, 350.
Nencha 311.

Ney 293, 322, 351, 376.
Neyman 26—7, 110, 114, 134, 175, 393, 396—7, 414—5, 417.
Niemcewicz 428.
Niesiołowski 54.
Noailles 287.
Nodier 401.
Norvins 426.
Notkiewicz 371.
Nowosilcow 295, 229, 334, 341, 427, 429.

Ochs 125.
Ogiński 41, 425.
Orchowski 132—4, 138—9, 206—9, 213—4, 241 — 2, 336, 378, 417—8, 422—3, 433.
Ottavi 309.
Oubril 181, 333, 428.
Oudinot 202.
Oyrzanowski 317.
Ożarowski 355.

Pac 334, 391.
Pągowski 367, 378, 432—3.
Pahlen 184, 228—9.
Pakosz 158, 200, 206, 265.
„Pallavicini" 189, 421.
Pamphile de Lacroix, 423.
Panin 40, 44—5, 88, 184, 186—7, 190—1, 227—32, 402—3.
Parandier 402.
Paskiewicz 427.
Pasquier 426.
Paskiewicz 391.
Paswan Ogtu 80, 402.
Paszkowski 368, 410, 417—8, 434.
Paweł św. 410.
Paweł I 13, 30—1, 34, 40—1, 43—5, 47, 50—5, 57, 60, 62, 85—8, 98, 115, 125, 129, 137, 172—8, 190—1, 204, 206—7, 215—6, 224—30, 232—3, 235—6, 242, 250, 320, 327, 336, 338, 355, 397, 402—3, 410, 420, 422—3.
Pawlikowski 209—10, 213—4, 221, 422.
Pawlikowski ojciec 422.
Perrochel 127.
Persa 376.
Petiet 180, 248.
Peyri 351.
Pflugbeil 363, 415.
Piattoli 337, 341—2, 427, 429.
Pichegru 87, 321.
Pino 279, 306, 309.
Piotr św. 23, 52, 410.
Piotr Wielki 57, 346, 410.
Piotr III 184, 228, 326.
Pitt 230, 289, 293, 344.
Pius VIII 25, 86, 183, 190—1, 226, 230, 257, 324, 385, 389, 403.
Plancy 401, 416.
Płatow 228.
Polonus 193.
Poniatowski Józef 14, 36, 53, 347, 349, 360, 404, 411.
Posselt 398, 407.
Potemkin 19.
Potoccy 349.
Potocki Ignacy 30, 42, 55, 347, 402.
Potocki Szczęsny 80, 96.
Pouqueville 404.
Pourrat 401.
Pozzo di Borgo, 417.
Prądzyński 209, 312, 422.
Przebendowski 298.
Przybyłowski 404—5.
Przybyszewski 355, 430.
Przyszychowski 82, 396, 405 408.
Pułaski 370.

Radziwiłł Antoni 54, 56, 359.
Radziwiłł Walenty 334.
Radziwiłłowa 56.
Radziwiłłowie 349.
Rapp 322.
Rauch 429.
Razumowscy 403, 427.
Razumowski 45, 50, 339, 348, 403.
Rebmann 15—6, 257, 389—90.
Redel 74, 103, 270, 272, 365, 400, 406—7, 434.
Régnier 433.
Regulski 363, 431 ,434.
Rehbinder 86.
Reinhard 106, 142, 153, 414, 418—9.
Reisky 420.
Rembowski 303.
Rémusat 421.
Repnin 40, 52, 402.

Reubell 37, 39, 43, 85, 123, 130, 285, 400, 402, 414, 432.
Rey 78.
Reynier 70, 319, 352, 381, 433.
Richepance 296, 302,
Rigaud 286,
Rivaud 38, 120, 280, 298, 400, 416.
Rebespierre 428.
Rochambeau Donat Józef 303—5, 313, 318, 361.
Rochambeau Jan Chrzciciel 305.
Rochefoucauld 287.
Rogalińscy 303.
Rogaliński 404.
Roguet 400.
Rohan 351—2.
Rohrer 376—7, 432.
Romanowowie 347.
Rose 209.
Rosenberg 86
Rosenfeld 193.
Rosnowski 370.
Rostopczyn 186—8, 191, 295, 420.
Rousseau 29, 85.
Rożniecki 18, 145, 194—5, 241, 246, 252—5, 264, 268, 270—3, 277—8, 280, 306, 351—2, 361, 365, 370—1, 373—4, 380, 391, 415, 434.
Royer 200.
Rusca 97—8.
Ruszkowski 303.
Ruttié 371, 411, 434.
Rymkiewicz Franciszek 18—21, 27—8, 35, 49, 72, 74—5, 90, 94, 105, 122, 129, 132, 144, 177, 362, 365—6, 391—2, 397, 399—400, 403, 406—7, 409—11, 417.
Rymkiewicz ojciec 391.
Rzewuski Henryk 408.
Rzewuski Seweryn 433.

Saint-Albin Hortensius 407.
Saint-Albin Rousselin 108, 110, 405, 407.
Saint-Cyr 24, 27, 51, 105, 111, 202, 351—2, 361, 374, 394, 396—7, 415, 430.
Saint-Hilaire Geoffroy 405.
Saint-Julien 181, 188, 421.
Sainte-Suzanne 202.
Sala 395—6.
Saliceti 255, 310.
Samborski 420.
Sandoz 45, 189, 402.
Sangowski 192.
Sanguszko 428.
Sapieha 328, 334—5, 369, 428.
Sapieżyna 334—5, 428.
Sarrazin 309.
Savary 320, 406, 420, 430.
Scevola 260.
Scherer 40, 84, 88—91, 93, 118, 129, 351, 400, 407, 410—2, 415—6.
Schiller 156, 419.
Schimmelpenninck 125.
Ségur 206, 331—3, 428.
Selim III 62, 64, 68.
Serbelloni 117.
Serra 429.
Serra Capriola 52.
Serurier 91, 100, 393, 411.
Seume 365, 419.
Sierakowski 335, 336.
Sierawski 272, 431, 434.
Siéyès 41, 44, 106, 114, 130—1, 148—53, 162, 402.
Skwarski 395.
Smith Sydney 381.
Sokolnicki 121, 145, 192, 243—4, 246, 251—5, 269, 273—4, 280, 365, 389, 393, 415, 421.
Sokołowski 395.
Sołtan 54.
Sołtyk 360.
Souham 197.
Soult 355.
Spina 423.
Spital 309—10, 312.
Sprengtporten 191.
Stadion 422.
Stamati 267, 409.
Stanisław Leszczyński 144
Stanisław August Poniatowski 53, 184, 189, 327.
Stapfer 416—7.
Stokowski 370.
Stroganow 229, 341, 391, 423, 427.
Stroganowowie.
Strzałkowski 74, 400, 406—7.
Stuart 371.
Stutterheim 349.
Suchet 177, 200.

Sułkowski Aleksander 99, 179, 413, 420.
Sułkowski Józef 26, 59—61, 64—5, 67—8, 99, 173, 179, 228, 328, 403—6.
Summeraw 376, 432.
Suworow 19, 21, 38, 79, 86, 88, 91—2, 97—8, 100, 108, 111, 115, 129, 146, 176, 179, 183, 188, 200, 390, 411—2, 414—5, 420.
Świderski 371.
Świejkowski-Powała 99, 413, 415.
Szaltzer 153, 419.
Szaniawski 18, 21, 47, 107, 110, 132, 134, 195, 208—9, 362, 390, 393, 397, 410, 414, 417.
Szembek 99, 413.
Szulicki 132.
Szumlański Jan 404.
Szumlański Józef 26, 60—1, 66, 396, 404.

Talleyrand 32—3, 41, 43, 57, 86, 106, 120, 127—8, 130, 133, 150, 153, 162—6, 188, 213, 215, 227, 231, 274—5, 294, 320—2, 328, 354, 366—8, 379, 398, 402, 416, 418—9, 421—4, 327.
Tallienowa 27.
Talot 140.
Tański 370, 392, 407, 425, 433—4.
Tatiszczew 367, 428.
Tatiszczewowa 367.
Tepper 109.
Terzy 104.
Thiard 430.
Thiébault 410.
Thugut 22, 40, 181, 188, 393, 401, 421.
Tige 393.
Tomaszewski 102. 362, 393—6, 407—8, 413, 415, 419, 425.
Trandowski 222.
Treilhard 130, 401, 414.
Tremo Eliasz 21, 39, 47, 82, 121, 201, 267, 393—400, 403, 408.
Tremo Paweł 279.
Tripplin 431.
Trivulzio 279, 396.
Trotter 429.
Trouvé 37, 73, 399—40.
Trzeszkowski 394.
Turgeniew 417.
Turgot 29.
Turski Józef 26—7, 396—7.
Turski Wojciech 26, 46, 50, 145, 163, 194, 199, 396—7.
Tysson 311, 314.
Tyzenhauz 54, 430.

Uermenyi 376, 432.

Vannelet sen. zob. Daru ojciec.
Vannelet iun. zob. Daru Piotr.
Vastey 426.
Vauban 404.
Verri 408, 414.
Victor 293, 413.
Vignolle 72, 74, 265—6, 268—9, 271—2, 292, 416, 419.
Villaret-Joyeuse 292.
Villeneuve 350.
Visconti 92.
Volney 206, 323, 401, 407.
Voss 432.

Walthard 417.
Wappy zob. Paweł I.
Washington 29, 32, 398.
Wasilewski 39, 47, 121, 399—400, 403.
Watrin 111. 415.
Wawrzecki 54.
Wężykowie 303.
Whitworth 51—2, 186—7, 315.
Wielhorski 10, 21—2, 26, 35, 39, 48, 74—5, 82—3, 90, 93, 103, 177, 199, 217—8, 250, 252, 262—3, 266, 272, 274, 360, 382, 393, 399—400, 403, 406—7, 410—1, 414, 414.
Wierzbicki 302, 393—6, 404, 409—10, 420, 425—6, 433.
Wigandt 112, 303.
Wiktor Emanuel I Sardyński 322.
Wilberforce 289—90, 295.
Wilhelm Zdobywca 344.
Wimpffen 425.
Wintzingerode 339 41.
Wintzingerodowa 340.
Wirtemberska Marya z Czartoryskich 420, 423.
Wiscovich 409—10.
Wodzyński 298, 302—3.

Wołodkowicz 109—10, 113, 202, 219, 415, 420.
Wołodkowiczowa z Tepperów 109.
Woroncow Aleksander 326, 333, 341, 402, 424, 427—8.
Woroncow Szymon 45, 341, 397, 402, 428.
Woyczyński 54.
Woytyński zob. Dmochowski, Szaniawski, Neyman.
Wybicki 9—11, 33, 35, 39, 48, 93—4, 114, 156, 205, 218, 242, 372, 389, 397, 399, 403, 412, 415—7, 430.
Wysocki 99.

Zabłocki 26—7, 396.
Zabokrzycki 304.
Zach 414.
Zagórski 262, 311.
Zajączek Ignacy 109, 204—5, 217.
Zajączek Józef 19, 61, 65—6, 109, 113, 328, 365, 374, 377, 391, 404, 406, 432.
Zakrzewski 397.
Zamoyscy 335.
Zamoyska z Czartoryskich 334—5, 428.
Zamoyski 209 334, 422.
Zanoli 425, 430, 432.
Zaremba 100.
Zawadowski 43, 402.
Zawadzki 39, 93—4, 261, 272, 311, 400, 412—3.
Zawidzki 432.
Zawiłowski 192.
Zawistowski 371.
Zdzitowiecki 303.
Zeltner Edward 398—9.
Zeltner Piotr Józef 126—8, 337, 417.
Zeltnerowa z Drouyn de Vaudeuil de Lhuys Angelika 126, 128.
Zeltnerowa de la Martinière Marya 126.
Zeltnerowie 335, 417.
Zenowicz 337.
Zeydlitz 145, 370, 396—7, 412.
Zubow 80, 231.
Zubowowie 228.

Żaboklicki 331—2, 427.
Żelewski 82.
Żerebcowa 186.
Żukotyński 391.

TREŚĆ.

Rozdział I. Przybycie Kościuszki 9
Rozdział II. Legiony bez Bonapartego 59
Rozdział III. Pierwszy Konsul 148
Rozdział IV. Koniec Legionów 239
Przypisy 389
Indeks 435

DC
202
.7
A7
t.3
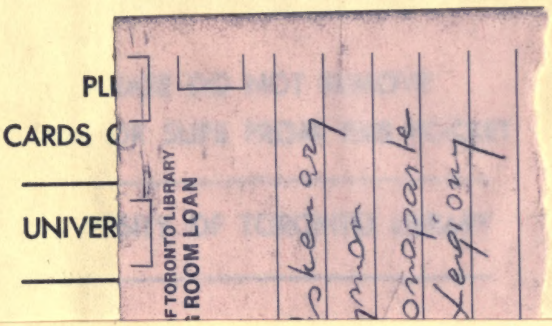
Askenazy, Szymon
Napoleon a Polska.
t.3